Robert A. Heinlein

HIOB

KOMEDIA SPRAWIEDLIWOŚCI

REBIS

Robert A. Heinlein

HIOB

KOMEDIA SPRAWIEDLIWOŚCI

Przełożył
Michał Jakuszewski

Dom Wydawniczy REBIS

Cliffordowi D. Simakowi

„Szczęśliwy, kogo Bóg karci,
więc nie odrzucaj nagan Wszechmocnego”.

Księga Hioba 5,17

Rozdział I

„Gdy pójdziesz przez ogień, nie spalisz się
i nie strawi cię płomień”.

Księga Izajasza 43,2

Dół miał około dwudziestu pięciu stóp długości, dziesięciu szerokości i, prawdopodobnie, dwóch głębokości. Ogień płonął w nim już od wielu godzin.

Od węgli bił żar nie do wytrzymania, który doskwierał nawet w miejscu, gdzie siedziałem – oddalonym o piętnaście stóp, w drugim rzędzie przeznaczonym dla turystów.

Odstąpiłem swe miejsce w pierwszym rzędzie jednej z dam ze statku, z radością korzystając z osłony, którą zapewniało jej dobrze odżywione cielsko. Odczuwałem pokusę, aby przenieść się jeszcze dalej… naprawdę jednak pragnąłem obejrzeć z bliska chodzących po ogniu. Jak często można być świadkiem cudu?

– To oszustwo – oświadczył Doświadczony Podróżnik. – Przekonacie się!

– Dlaczego zaraz oszustwo, Geraldzie – przeciwstawił się Autorytet od Wszystkiego. – Po prostu niezupełnie to, co nam obiecywano. To nie będzie cała wieś. Zapewne nikt z tańczących hula, a już na pewno nie te dzieci. Jeden czy dwóch młodych ludzi ze skórą na podeszwach jak wygarbowana naćpa się opium czy jakiegoś miejscowego paskudztwa i przemknie przez

dół. Wieśniacy zaczną bić brawo, a ten nasz drogi kanaka, który jest tłumaczem, zasugeruje nam stanowczo, że oprócz tego, co zapłaciliśmy za luau, za tańce i całe przedstawienie, powinniśmy jeszcze wręczyć drobną sumkę każdemu z tych bohaterów. Nie, to właściwie nie będzie oszustwo – ciągnął. – Prospekt wycieczki zapowiadał pokaz chodzenia po ogniu. To właśnie zobaczymy. A co do gadania o całej wiosce, to tego nie było w kontrakcie.

Autorytet zrobił zadowoloną minę.

– Masowa hipnoza – oznajmił Zawodowy Nudziarz.

Miałem ochotę poprosić go, aby wyjaśnił mi ten termin, ale nikt mnie tu nie słuchał. Byłem od nich młodszy – nie wiekiem, lecz stażem na naszym statku *Konge Knut*. Tak to już jest na statkach wycieczkowych. Ten, kto wsiadł w porcie wyjścia, jest starszy od wszystkich, którzy zaokrętowali się później. Medowie i Persowie wprowadzili to prawo i nic nie jest w stanie go zmienić. Sam przyleciałem sterowcem *Graf von Zeppelin*, a w Papeete do domu zabierze mnie *Admirał Moffett*, toteż będę już stale żółtodziobem i powinienem trzymać gębę na kłódkę, gdy rozprawiają lepsi ode mnie.

Na statkach wycieczkowych jest najlepsze jedzenie na świecie, ale aż za często można spotkać najgorsze towarzystwo. Mimo to podobał mi się pobyt na wyspach. Nawet Mistyk, Astrolog Amator, Salonowy Freudysta i Numerolog nie przeszkadzali mi, ponieważ ich uwagi puszczałem mimo uszu.

– Robią to poprzez czwarty wymiar – oznajmił Mistyk. – Prawda, Gwendolyn?

– Na pewno, kochanie – zgodziła się Numerolog. – Ojej, już idą. Zobaczysz, że będzie nieparzysta liczba osób.

– Jesteś taka mądra, kochanie.

– Hm – mruknął Sceptyk.

Tubylec, który oprowadzał naszą grupę, podniósł ręce i rozpostarł dłonie, apelując o ciszę.

– Proszę, niech wszyscy słuchają. *Mauruuru roa*. Dziękuję bardzo. Najwyższy kapłan i kapłanka pomodlą się teraz do bogów, aby uczynili ogień nieszkodliwym dla mieszkańców wioski. Proszę nie zapominać, że jest to wielce starożytna uroczystość religijna. Zachowujcie się tak, jakbyście byli w waszym kościele, ponieważ…

Niesamowicie stary kanaka przerwał mu. Wymienili kilka słów w nieznanym mi języku – polinezyjskim, jak sądzę, gdyż wskazywało na to jego płynne brzmienie. Młodszy kanaka ponownie zwrócił się w naszą stronę.

– Najwyższy kapłan powiedział mi, że niektóre dzieci będą dziś przechodzić przez ogień po raz pierwszy, wliczając to niemowlę spoczywające w ramionach matki. Prosi was wszystkich, abyście zachowali podczas modlitw absolutną ciszę, by nie narazić dzieci na niebezpieczeństwo. Niech mi będzie wolno dodać, że sam jestem katolikiem. W tym momencie zawsze błagam Matkę Przenajświętszą o opiekę nad naszymi dziećmi. Proszę więc was wszystkich, abyście modlili się za nie na swój sposób, a przynajmniej zachowywali ciszę i myśleli o nich życzliwie. Jeśli najwyższy kapłan uzna, że nastrój nie jest wystarczająco poważny, nie pozwoli dzieciom wejść do ognia. Były już nawet przypadki, że odwołał całą ceremonię.

– No i widzisz, Geraldzie – powiedział Autorytet od Wszystkiego scenicznym szeptem. – Najpierw wstęp, a potem odpowiedni pretekst, żeby zwalić wszystko na nas – żachnął się.

Autorytet – nazywał się Cheevers – denerwował mnie, odkąd znalazłem się na statku. Pochyliłem się do przodu i szepnąłem mu do ucha:

– Jeśli te dzieci przejdą przez ogień, czy odważy się pan zrobić to samo?

Niech to będzie dla was nauczka. Uczcie się na moich błędach. Nigdy nie pozwólcie, żeby byle bałwan odebrał wam rozsądek. Po kilku sekundach okazało się, że moje wyzwanie obróciło się przeciwko mnie. Jakimś cudem wszyscy trzej – Autorytet, Sceptyk i Doświadczony Podróżnik – założyli się ze mną, o setkę każdy, że to ja nie odważę się przejść przez ogień, jeśli dzieci uczynią to przede mną. Po chwili tłumacz uciszył nas ponownie. Kapłan i kapłanka zstąpili do dołu z ogniem. Wszyscy byli bardzo cicho i myślę, że niektórzy z nas się modlili. Wiem, że ja to robiłem. Zacząłem nagle recytować to, co przyszło mi na myśl:

„I jeśli zginę, nim się zbudzę, powierzam Panu moją duszę".

Z jakiegoś powodu te słowa wydawały się odpowiednie.

Kapłan i kapłanka nie przechodzili przez ogień. Uczynili spokojnie coś bardzo efektownego i (jak mi się zdawało) znacznie bardziej niebezpiecznego. Po prostu stanęli boso wśród płonących węgli i modlili się przez kilka minut. Widziałem, jak ich wargi się poruszają. Od czasu do czasu stary kapłan dosypywał czegoś do ognia. Cokolwiek to było, sypało iskrami w momencie zetknięcia z rozżarzonymi węglami.

Starałem się dostrzec, czy stoją na płonących węglach, czy na skale, lecz niczego nie wypatrzyłem… nie wiedziałem zresztą, co gorsze. A jednak ta stara kobieta, chuda jak ogryziona kość, stała niczym posąg, z twarzą bez wyrazu. Podwinęła tylko swą spódniczkę tak, że przypominała ona niemal pieluszkę. Najwyraźniej obawiała się przypalić sobie ubranie, ale nie zważała na nogi.

Trzech mężczyzn drągami rozsunęło płonące kłody, upewniając się, że dno dołu jest dostatecznie mocne i równe, aby chodzących po ogniu nie spotkała jakaś niespodzianka. Obserwowałem ich pracę z głębokim

zainteresowaniem, ponieważ za kilka minut sam miałem wstąpić w ogień… o ile się nie spietram i nie przyznam z góry do porażki. Miałem wrażenie, że ich zabiegi umożliwią mi przejście przez całą długość dołu po skalnym podłożu, a nie po płonących węglach. Oby tak było!

Co to zresztą za różnica? – pomyślałem po chwili, przypominając sobie pęcherze na moich stopach od rozgrzanych słońcem chodników w czasach, gdy byłem chłopcem w Kansas. Ten ogień musiał mieć temperaturę przynajmniej siedmiuset stopni Fahrenheita. Skały były w nim pogrążone od kilku godzin. Czy zatem przy tej temperaturze była jakakolwiek różnica między patelnią a ogniem?

Tymczasem głos rozsądku szeptał mi do ucha, że poświęcenie trzech setek nie stanowi zbyt wysokiej ceny za wydostanie się cało z tej kabały… chyba że wolę przez resztę życia spacerować na dwóch przypieczonych kikutach.

Czy pomoże mi, jak wezmę aspirynę?

Mężczyźni zakończyli manipulacje przy płonących kłodach i podeszli do dołu z lewej strony. Pozostali tubylcy zgromadzili się za nimi, w tym te skubane dzieciaki! Co sobie wyobrażają rodzice, którzy pozwalają maluchom tak ryzykować? Dlaczego dzieciaki nie są w szkole, gdzie jest ich miejsce?

Trzej mężczyźni przeszli jeden za drugim przez sam środek dołu, nie śpiesząc się ani nie zwlekając. Pozostali mężczyźni z wioski podążyli za nimi w powolnej, nieustającej procesji. Za nimi szły kobiety wraz z młodą matką z dzieckiem na biodrze. Niemowlę zaczęło płakać, gdy uderzyła je fala gorąca. Nie zmieniając kroku, matka podniosła maluszka i przystawiła do piersi. Dziecko uciszyło się.

Za kobietami podążały dzieci, od dojrzewających dziewcząt i chłopców aż do berbeci w wieku przedszkolnym. Na końcu wędrowała dziewczynka

(dziewięcio-, ośmioletnia?) prowadząca za rękę swojego braciszka o wystraszonym spojrzeniu. Wyglądał mniej więcej na cztery lata i był zupełnie nagi.

Spojrzałem na berbecia i zrozumiałem z ponurą pewnością, że wpadłem w to aż po szyję. Nie mogłem się teraz wycofać. Chłopczyk potknął się, lecz siostra go podtrzymała. Ruszył dalej krótkimi, pewnymi krokami. Gdy doszedł do końca, ktoś wyciągnął ręce i podniósł go.

Przyszła kolej na mnie.

– Rozumie pan, że Polinezyjskie Biuro Turystyczne nie bierze odpowiedzialności za pańskie bezpieczeństwo? – odezwał się tłumacz. – Ogień może pana poparzyć, nawet zabić. Ci ludzie przechodzą bezpiecznie, ponieważ chroni ich wiara.

Zapewniłem go, że mnie również chroni wiara, zadając sobie pytanie, jak mogę być tak bezczelnym kłamcą. Podpisałem oświadczenie, które mi podsunął.

Po chwili stałem już przy wejściu do dołu ze spodniami zawiniętymi do kolan. Moje buty, skarpetki, kapelusz i portfel czekały po drugiej stronie na taboreciku. To był mój cel, moja nagroda. Czy jeśli mi się nie uda, będą o nie rzucać losy czy też wyślą je pocztą mojej rodzinie?

– Proszę iść samym środkiem! Nie śpieszyć się ani nie zatrzymywać – nakazał tłumacz.

Przemówił najwyższy kapłan.

Mój mentor wysłuchał go, po czym oświadczył:

– Mówi, żeby w żadnym wypadku nie biec, nawet gdy ogień poparzy panu stopy. Mógłby się pan potknąć, przewrócić i już więcej nie podnieść, to znaczy umrzeć. Muszę dodać, że prawdopodobnie nie umarłby pan,

chyba że zaczerpnąłby pan płomieni do płuc. Ale ogień straszliwie poparzyłby pana. Proszę się więc nie śpieszyć i uważać, by się nie przewrócić. Czy widzi pan ten płaski kamień pod spodem? To pana pierwszy krok. *Que le bon Dieu vous garde.* Życzę szczęścia!

– Dziękuję.

Spojrzałem na Autorytet od Wszystkiego, który uśmiechał się jak upiór, o ile upiory się uśmiechają. Pomachałem mu ręką z fałszywą swobodą i wkroczyłem do dołu.

Zdążyłem postawić trzy kroki, zanim zdałem sobie sprawę, że nie czuję zupełnie nic. Potem poczułem coś – strach. Bałem się jak głupi. Zapragnąłem znaleźć się w Peorii. Albo nawet w Filadelfii. Wszędzie, tylko nie tu, na tym dymiącym pustkowiu. Do celu było mniej więcej tak daleko jak do następnej przecznicy w mieście. Może dalej. Brnąłem jednak naprzód w nadziei, że postępujące odrętwienie nie spowoduje mojego upadku, zanim tam dotrę.

Zacząłem się dusić i zdałem sobie sprawę, że wstrzymuję oddech. Zaczerpnąłem więc powietrza… i pożałowałem tego natychmiast. Ponad tak wielkim dołem pełnym ognia unosi się mnóstwo piekących gazów – dymu, dwutlenku i tlenku węgla oraz czegoś jeszcze, co przypomina zgniły oddech Szatana – tlenu jednak jest tam niewiele. Znowu wstrzymałem oddech. Oczy zaszły mi łzami, w gardle poczułem drapanie i spróbowałem ocenić, czy zdołam dojść do końca trasy bez oddychania.

Niech niebo ma mnie w swojej opiece. W ogóle nie widziałem tego końca. Kłęby dymu zasłaniały wszystko. Nie mogłem niemal rozewrzeć powiek. Brnąłem naprzód, próbując przypomnieć sobie formułę spowiedzi na łożu śmierci, która zaprowadziłaby mnie automatycznie do nieba.

Może w ogóle nie było takiej formuły. Poczułem w stopach coś dziwnego, kolana zaczęły się pode mną uginać…

– Czuje się pan lepiej, panie Graham?

Leżałem na trawie, spoglądając na przyjazną brązową twarz.

– Chyba tak – odpowiedziałem. – Co się stało? Przeszedłem przez dół?

– No jasne. W pięknym stylu. Ale zemdlał pan na samym końcu. Byliśmy jednak w pogotowiu i wyciągnęliśmy pana. Niech mi pan powie, co się stało. Czy zaczerpnął pan dymu?

– Możliwe. Czy jestem poparzony?

– Nie. No może będzie pan miał jakiś pęcherz na prawej stopie. Gdyby pan nie zemdlał, wszystko przebiegłoby perfekcyjnie. To na pewno przez ten dym!

– Też tak sądzę.

Pomógł mi usiąść.

– Czy może mi pan podać buty i skarpetki? Gdzie są wszyscy?

– Autobus odjechał. Najwyższy kapłan sprawdził pański puls i oddech, ale zabronił pana ruszać. Jeśli przebudzi się człowieka, którego duch opuścił ciało, duch może nie powrócić. Kapłan w to wierzy, a nikt nie śmie się mu sprzeciwić.

– Nie będę się z nim sprzeczał. Czuję się świetnie. Jestem wypoczęty. Ale jak mam wrócić na statek?

Piesza wędrówka przez tropikalny raj stanie się piekłem już po pierwszej mili. Zwłaszcza że moje stopy wydawały się lekko opuchnięte, czemu trudno się było dziwić.

– Autobus wróci po tubylców, aby przewieźć ich do łodzi, która zabierze ich na ich wyspę. Mógłby zabrać pana na statek. Znam jednak lepszy sposób. Mój kuzyn ma automobil. Podwiezie pana.

– Świetnie. Ile będę musiał mu zapłacić?

Taksówki na wyspach Polinezji są potwornie drogie, zwłaszcza jeśli jest się zdanym na łaskę kierowców. Niemniej przystałem na to, aby mnie obrabowano, ponieważ ta szopka i tak miała przynieść mi zysk. Trzy setki minus opłata za taksówkę. Sięgnąłem po kapelusz.

– Gdzie mój portfel?

– Portfel?

– Tak. Zostawiłem go w kapeluszu. Gdzie się podział? To nie jest zabawne. Miałem w nim pieniądze i karty kredytowe.

– Pieniądze? *Oh! Votre portefeuille!* Przepraszam, mój angielski nie jest najlepszy. Zabrał go oficer z pańskiego statku, wasz przewodnik.

– To miło z jego strony. Ale jak mam zapłacić pańskiemu kuzynowi? Nie mam przy sobie ani franka.

Wyjaśniliśmy w końcu sytuację. Przewodnik, który zdawał sobie sprawę, że zabierając portfel, zostawia mnie bez grosza, opłacił mój powrót na statek. Mój znajomy tubylec zaprowadził mnie do samochodu i przedstawił kuzynowi – z grubsza, gdyż angielski jego krewniaka ograniczał się do „Okay, szefie!”. Nie zdołałem nawet ustalić, jak się nazywał.

Jego automobil stanowił dowód na potęgę wiary i sztuki drutowania. Pojechaliśmy do portu na pełnym gazie i z potwornym rykiem, strasząc kury i z łatwością przeganiając koźlęta. Nie zwracałem uwagi na drogę, gdyż wciąż byłem oszołomiony tym, co wydarzyło się przed odjazdem.

Tubylcy czekali na autobus. Przeszliśmy przez sam środek ich gromady. Gdy wstąpiliśmy w ciżbę tubylców, zostałem pocałowany, wycałowany przez wszystkich. Widziałem już Polinezyjczyków całujących się na powitanie lub pożegnanie, po raz pierwszy jednak potraktowano mnie w ten sposób.

Mój znajomy wyjaśnił:

– Przeszedł pan przez ich ogień, został więc pan honorowym obywatelem wioski. Pragną zabić świnię i urządzić ucztę na pańską cześć.

Starałem się wytłumaczyć im, że muszę wracać do domu, za wielką wodę, ale któregoś dnia powrócę, jeśli Bóg pozwoli. W końcu udało nam się wyrwać.

Nie to wszakże oszołomiło mnie najbardziej. Każdy bezstronny obserwator musi przyznać, że jestem raczej bywałym człowiekiem. Zdaję sobie sprawę, że nie wszystkie kraje dorównują poziomem moralnym Ameryce i że są miejsca, gdzie publiczne obnażanie się nikogo nie oburza. Wiem, że kobiety polinezyjskie zwykły chodzić nago od talii w górę, zanim zapanowała cywilizacja, no, kurczę pieczone, czytam przecież „National Geographic".

Ale nigdy się nie spodziewałem, że ujrzę to na własne oczy.

Zanim przeszedłem przez ogień, tubylcy byli przyzwoicie odziani – w spódniczki z trawy, a kobiety miały zasłonięte piersi.

Gdy jednak całowały mnie na do widzenia, obnażyły biusty. Wyglądało to zupełnie jak w „National Geographic".

Rzecz jasna, doceniam piękno kobiecego ciała. Te cudowne odrębności, widziane we właściwym czasie przy porządnie zasuniętych zasłonach, mogą oczarować. Jednakże czterdzieści sztuk naraz może człowieka wystraszyć. Ujrzałem więcej kobiecych biustów niż w całym swoim życiu. Członkowie Towarzystwa Episkopalnego Metodystów na rzecz Moralności i Umiarkowania dostaliby szału, oglądając tak bezwstydną nagość!

Jestem pewien, że mogłoby to być przyjemne przeżycie, gdybym został odpowiednio przygotowany. Było to jednak zbyt zaskakujące, działo się za dużo i za szybko. Mogłem to docenić jedynie post factum.

Nasz tropikalny rolls-royce zatrzymał się z piskiem hamulców i zgrzytem skrzyni biegów. Otrząsnąłem się z euforycznego oszołomienia.

– Okay, szefie! – oznajmił kierowca.

– To nie jest mój statek – powiedziałem.

– Okay, szefie?

– Zawiozłeś mnie na niewłaściwe nabrzeże. Kurczę pieczone, wydaje się, że nabrzeże jest to samo, ale to nie ten statek.

Tego byłem pewien. MV *Konge Knut* miał białe burty, nadbudówkę i elegancki fałszywy komin. Ten statek był w przeważającej części czerwony, z czterema wysokimi czarnymi kominami. To musiał być parowiec, nie motorowiec, w dodatku solidnie przestarzały.

– Nie. Nie!

– Okay, szefie. *Votre vapeur! Voilà!*

– *Non!*

– Okay, szefie!

Wysiadł, podszedł do moich drzwi, otworzył je, złapał mnie za rękę i pociągnął.

Nie jestem ułomkiem, ale jego ręce wzmocniło pływanie, wspinanie się na palmy kokosowe, wyciąganie sieci z wody, a także opornych turystów z samochodu, toteż uległem.

Wskoczył z powrotem za kierownicę.

– Okay, szefie! – zawołał. – *Merci bien! Au'voir!* – I odjechał.

Wszedłem, rad nierad, na trap nieznanego statku, aby dowiedzieć się, jeśli zdołam, co się stało z *Konge Knut*. Gdy znalazłem się na pokładzie, stojący na wachcie bosman zasalutował.

– Dobry wieczór, panie Graham. Pan Nielsen zostawił dla pana przesyłkę. Chwileczkę… – Uniósł klapę biurka i wyjął szarą kopertę. – Proszę, to dla pana!

Na kopercie widniały słowa „A.L. Graham, kabina C109". Otworzyłem ją i znalazłem w środku wytarty portfel.

– Czy wszystko się zgadza, panie Graham?

– Tak, dziękuję panu. Czy zechce pan powiadomić pana Nielsena, że otrzymałem przesyłkę, i przekazać mu moje podziękowania?

– Oczywiście.

Stwierdziłem, że znajduję się na pokładzie D, przeszedłem więc piętro wyżej, aby odnaleźć kabinę C109.

Nie wszystko się zgadzało. Nie nazywam się Graham.

Rozdział II

„To, co było, jest tym, co będzie,
a to, co się stało, jest tym, co znowu się stanie,
więc nic zgoła nowego nie ma pod słońcem”.

Księga Koheleta 1,9

Dzięki Bogu wszystkie statki używają tego samego systemu numeracji. Kabina C109 znajdowała się tam, gdzie powinna – na pokładzie C, na przedzie prawej burty, pomiędzy C107 i C111. Nie musiałem nikogo pytać, by ją znaleźć. Złapałem za klamkę, lecz drzwi były zamknięte. Najwyraźniej pan Graham potraktował poważnie ostrzeżenia na temat zamykania drzwi, zwłaszcza podczas postoju w porcie.

Klucz, nawiedziła mnie posępna myśl, znajduje się w kieszeni spodni pana Grahama. Ale gdzie jest pan Graham? Może się czai, aby mnie złapać, gdy się dobieram do jego drzwi? Albo próbuje sforsować moje, podczas gdy ja próbuję otworzyć jego kabinę?

Szansa, że dowolny klucz będzie pasował do danego zamka, jest niewielka, ale nie równa zeru. Miałem w kieszeni swoje klucze z *Konge Knut*. Spróbowałem otworzyć nimi drzwi.

Cóż, spróbować nie zawadzi. Stałem przed drzwiami, zastanawiając się, czy się skichać, czy paść trupem, gdy usłyszałem za sobą:

– Och, pan Graham!

Młoda, ładna kobieta w kostiumie pokojówki – przepraszam, stewardesy. Zakrzątnęła się zaraz, ujmując klucz uniwersalny, który miała przypięty do

paska. Otworzyła kabinę, mówiąc:

– Margrethe prosiła mnie, abym miała na pana oko. Powiedziała, że zostawił pan swój klucz na biurku. Nie ruszała go, lecz przekazała mi, żebym pana wpuściła, jak pan przyjdzie.

– To bardzo miło z pani strony, panno, hmmm…

– Jestem Astrid. Zajmuję się pokojami na drugiej burcie, a więc możemy się z Margą zastąpić w razie potrzeby. Ona zeszła dziś wieczorem na ląd. – Przytrzymała mi drzwi. – Czy to wszystko, proszę pana?

Podziękowałem jej i odeszła. Zaryglowałem drzwi, opadłem na krzesło i zacząłem dygotać.

Po dziesięciu minutach wstałem, poszedłem do łazienki i przemyłem zimną wodą twarz i oczy. To nic nie rozwiązało ani całkowicie mnie nie uspokoiło, lecz moje nerwy nie łopotały już jak flaga na wietrze. Starałem się nie stracić panowania nad sobą od chwili, gdy zacząłem podejrzewać, że coś tu naprawdę nie gra, czyli od… właściwie od kiedy? Czy to w dole z ogniem coś poszło nie tak? Później? No, z pewnością w chwili, gdy ujrzałem, że jeden dwudziestotysięcznik zastąpił inny.

„Alex, strach to nic złego… dopóki nie pozwolisz, żeby zapanował nad tobą, nim zagrożenie minie – zwykł mawiać mój ojciec. – Histeria jest wybaczalna… ale po fakcie i kiedy jesteś sam. Mężczyźnie także wolno płakać… ale w łazience, gdy drzwi są zamknięte. Różnica między człowiekiem odważnym a tchórzem polega głównie na wyczuciu właściwej chwili”.

Nie jestem takim facetem, jakim był mój ojciec, staram się jednak słuchać jego rad. Jeśli nie podskakujesz, gdy wybuchnie petarda lub zaskoczy cię coś innego, masz szansę zapanować nad nerwami aż do chwili, gdy będzie już po wszystkim.

Tym razem nie było po wszystkim, lecz solidna dawka dygotania przyniosła katharsis. Mogłem teraz stawić czoła sytuacji.

Rozważałem następujące hipotezy:

a) coś absurdalnego wydarzyło się ze światem, w którym żyłem;

b) coś absurdalnego wydarzyło się z umysłem Alexa Hergensheimera, należy więc go zamknąć i podać mu środki uspokajające.

Nie potrafiłem wymyślić trzeciej hipotezy. Te dwie wydawały się wyczerpywać wszystkie możliwości. Na roztrząsanie drugiej szkoda było czasu. Jeśli odbiła mi palma, prędzej czy później ludzie to zauważą, wpakują mnie w kaftan bezpieczeństwa i zamkną w przyjemnym, wyścielanym pokoju.

Załóżmy więc, że jestem normalny (przynajmniej częściowo; odrobina wariactwa pomaga w życiu). Jeśli ja jestem normalny, to dekiel odbił światu. Zastanówmy się przez chwilę!

Ten portfel. Nie jest mój. Portfele są na ogół do siebie podobne. Ten również jest podobny do mojego. Ale jeśli nosisz portfel przez kilka lat, zżywasz się z nim. Od razu poznałem, że ten nie należy do mnie. Nie chciałem jednak mówić o tym bosmanowi, który uparcie twierdził, że „poznaje mnie” jako „pana Grahama”.

Wyjąłem portfel Grahama i zajrzałem do środka.

Kilkaset franków. Policzę je później.

Osiemdziesiąt pięć dolarów w banknotach. Legalny środek płatniczy Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Prawo jazdy na nazwisko A.L. Graham.

Znajdowało się tam jeszcze więcej rzeczy, natrafiłem jednak na napisaną na maszynie kartkę, na widok której zastygłem jak słup soli.

Ktokolwiek znajdzie ten portfel, może zatrzymać pieniądze w nagrodę, o ile będzie tak uprzejmy, że zwróci portfel A.L. Grahamowi – kabina C109, SS *Konge Knut*, Linie

Duńsko-Amerykańskie – albo któremukolwiek agentowi lub ochmistrzowi tej linii. Serdeczne podziękowania. A.L.G.

Wiedziałem już więc, co się stało z *Konge Knut*. Zaszła w nim zmiana.

Ale czy rzeczywiście? Czy cały świat istotnie się przeobraził, a statek razem z nim? A może istnieją dwa światy i w jakiś sposób przeszedłem przez ogień z pierwszego do drugiego? Czy faktycznie istniało dwóch mężczyzn, którzy zamienili swe losy, czy też Alex Hergensheimer przekształcił się w Aleca Grahama, podobnie jak MV *Konge Knut* w SS *Konge Knut*? (A Unia Północnoamerykańska stała się Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej?)

To ważne pytania. Cieszę się, że je zadano. Czy chcecie zapytać o coś jeszcze, dzieci?

Kiedy chodziłem do szkoły, ukazywało się mnóstwo magazynów publikujących fantastykę. Nie tylko opowieści o duchach, ale najprzeróżniejsze dziwactwa. Magiczne statki żeglujące w eterze do innych gwiazd. Niezwykłe wynalazki. Wyprawy do wnętrza Ziemi. Inne „wymiary”. Maszyny latające. Siła uzyskiwana z płonących atomów. Potwory tworzone w sekretnych laboratoriach. Kupowałem te tanie pisemka i ukrywałem wewnątrz egzemplarzy „Towarzysza Młodości” czy „Młodych Krzyżowców”. Wiedziałem instynktownie, że rodzicom się nie spodobają i że mogą je skonfiskować. Uwielbiałem je, podobnie jak mój kumpel Bert, z którym nie wolno mi się było spotykać.

To nie mogło trwać długo. Najpierw w „Towarzyszu Młodości” ukazał się artykuł redakcyjny pod tytułem *Precz z trucizną dla duszy!* Potem nasz pastor – brat Draper – wygłosił kazanie przeciwko tak ogłupiającemu chłamowi, powołując się przy tym na zgubne skutki papierosów i gorzałki. Następnie nasz stan zdelegalizował podobne wydawnictwa zgodnie

z doktryną „powszechnie uznawanych wartości”, zanim jeszcze uchwalono odpowiednie ustawy o zasięgu ogólnopaństwowym.

„Niezawodny” schowek, który miałem na strychu, został opróżniony. Co gorsza, książki pana H.G. Wellsa, pana Jules’a Verne’a oraz kilku innych autorów wycofano z naszej biblioteki publicznej.

Trzeba podziwiać motywy naszych duchowych przywódców oraz posłów pragnących chronić umysły młodzieży. Jak wskazał brat Draper, w Dobrej Księdze jest wystarczająco wiele ekscytujących, pełnych przygód opowieści, aby zaspokoić potrzeby wszystkich chłopców i dziewcząt na świecie. Świecka literatura jest więc po prostu niepotrzebna. Nie żądał cenzurowania książek dla dorosłych, lecz wzywał do położenia tamy tandecie, która wykoślawia dusze podatnej na zły wpływ młodzieży. Jeśli osoby w wieku dojrzałym chcą czytać ten fantastyczny chłam, można na to przystać, choć on osobiście nie rozumie, dlaczego człowiek dorosły miałby to robić.

Myślę, że sam należałem do „podatnej na zły wpływ młodzieży”. Wciąż brakuje mi tych opowiadań.

Szczególnie dobrze zapamiętałem książkę pana Wellsa *Ludzie jak bogowie*. To tekst o ludziach, którzy jechali automobilem, gdy nastąpił wybuch i znaleźli się w innym świecie, podobnym do ich własnego, tylko lepszym. Spotykali się tam z ludźmi, którzy opowiadali im o wszechświatach równoległych, czwartym wymiarze i tak dalej.

To był pierwszy odcinek. Potem nasz stan uchwalił prawo chroniące młodzież przed zepsuciem moralnym, tak więc nigdy nie poznałem dalszego ciągu.

Jeden z moich profesorów angielskiego, który był otwartym przeciwnikiem cenzury, powiedział, że pan Wells wymyślił wszystkie podstawowe tematy literatury fantastycznej. Podał tę historię jako źródło

koncepcji światów równoległych. Zamierzałem go zapytać, czy wie, gdzie mógłbym zdobyć egzemplarz, postanowiłem jednak zaczekać do końca semestru, gdy oficjalnie osiągnę „wiek dojrzały”. Okazało się, że czekałem zbyt długo. Komitet do spraw wiary i moralności przy senacie uczelni wypowiedział się przeciwko przedłużeniu mu kontraktu i profesor wyjechał nagle przed zakończeniem semestru.

Czy przydarzyło mi się coś takiego, co pan Wells opisywał w swojej książce? Czy pan Wells posiadał święty dar prorokowania? Na przykład, czy pewnego dnia ludzie naprawdę polecą na Księżyc? Absurd! Ale czy absurd większy niż to, co mi się przydarzyło?

Tak czy inaczej, znajdowałem się na *Konge Knut* (choć nie był to mój *Konge Knut*) i z rozkładu wynikało, że odpływa on dziś o szóstej wieczorem. Było już późne popołudnie. Najwyższy czas podjąć decyzję.

Co robić? Wyglądało na to, że zapodziałem gdzieś swój statek – MV *Konge Knut*. Jednakże załoga parowca *Konge Knut* (a przynajmniej jej część) zdawała się akceptować mnie jako jednego z pasażerów – „pana Grahama”.

Zostać bezczelnie na pokładzie? A co, jeśli przyjdzie Graham (może to zrobić w każdej chwili!) i zapyta mnie, co robię w jego kabinie?

A może zejść ze statku (jak należało zrobić) i zgłosić się ze swymi kłopotami do odpowiednich władz?

Alex, francuskie władze kolonialne będą tobą zachwycone. Bez bagażu, w jednym ubraniu, bez pieniędzy (ani sou!) i bez paszportu!

Będą tak zachwyceni, że dadzą ci wikt i opierunek na resztę życia… w lochu z kratą w suficie.

W tym portfelu są pieniądze.

No i co z tego? Słyszałeś kiedyś o siódmym przykazaniu? To są *jego* pieniądze.

Wydaje się jednak oczywiste, że on przeszedł przez ogień w tej samej chwili co ty, tylko po drugiej stronie, w tym drugim świecie, czy jak to zwał. W przeciwnym razie jego portfel nie czekałby na ciebie. Teraz *on* ma *twój* portfel. To logiczne.

Posłuchaj, mój upośledzony przyjacielu, czy wydaje ci się, że sytuacja, w której się znaleźliśmy, ma cokolwiek wspólnego z logiką?

No więc…

Wal śmiało!

Nie, raczej nie. Cóż więc począć? Nie wychylaj się z kabiny. Jeśli Graham pojawi się, zanim statek odpłynie, wywalą cię stąd na zbity pysk, to jasne. Gdybyś jednak zszedł ze statku teraz, skutek byłby ten sam. Jeśli Graham się nie pokaże, zajmiesz jego miejsce, przynajmniej do czasu, aż dopłyniesz do Papeete. To duże miasto. Tam będzie łatwiej znaleźć jakieś wyjście. Zwrócisz się do konsula i tak dalej.

Namówiłeś mnie.

Na statkach pasażerskich codziennie jest wydawana gazeta dla pasażerów – jedna czy dwie kartki z tak ekscytującymi informacjami, jak „Dziś o dziesiątej ćwiczenia w korzystaniu z łodzi ratunkowych. Obecność obowiązkowa” albo „Zwyciężczynią wczorajszej loterii została pani Ephraim Glutz z Bethany w stanie Iowa”, oraz – z reguły – z kilkoma wiadomościami ze świata podsłuchanymi przez operatora telegrafu bez drutu. Postanowiłem odszukać tę gazetę oraz *Witajcie na pokładzie*. To drugie to książeczka (może nazywać się inaczej), która ma wprowadzić świeżo przybyłego na pokład pasażera w mały świat, jakim jest statek. Podaje się w niej nazwiska oficerów, godziny posiłków, lokalizację zakładu fryzjerskiego, pralni, jadalni i kiosku (igły, nici, czasopisma, pasta do

zębów), wyjaśnia, jak zamówić budzenie, zamieszcza plan wszystkich pokładów statku, miejsce składowania kamizelek ratunkowych, drogi ewakuacji do łodzi, informuje, jak zdobyć miejsce przy stole…

A niech to! Pasażer, który przebywał na pokładzie choć jeden dzień, nie musi pytać o drogę do swego stołu w jadalni. Najłatwiej wpaść na drobiazgach. Trudno, coś się wymyśli.

Książeczka tkwiła w biurku Grahama. Przekartkowałem ją, starając się zapamiętać wszystkie podstawowe dane, zanim wyjdę z kabiny – zakładając, że nadal będę na pokładzie, gdy statek odcumuje – po czym odłożyłem, gdy znalazłem gazetkę.

Nazywała się „Królewski Skald” i Graham, dzięki Bogu, zachował wszystkie egzemplarze otrzymane od chwili, gdy wsiadł na pokład… w Portland, jak wydedukowałem z nagłówka najstarszego egzemplarza. To wskazywało, że wykupił bilet na cały rejs, co mogło być dla mnie ważne. Zamierzałem wrócić w ten sam sposób, jak przybyłem – sterowcem – lecz jeśli nawet *Admirał Moffett* istniał w tym świecie, wymiarze, czy jak to zwał, i tak nie miałem już na niego biletu ani pieniędzy, żeby go kupić. Co robią we francuskich koloniach z turystą, który nie ma pieniędzy? Palą go na stosie? A może ograniczają się do rozrywania końmi? Wolałem tego nie sprawdzać. Jeżeli Graham wykupił bilet na całą trasę, mogło mnie to wybawić od tej konieczności. (O ile nie zjawi się on za godzinę i nie zostanę wykopany ze statku).

Nie miałem zamiaru zostać w Polinezji. Włóczęga bez grosza przy duszy mógł może prowadzić niezłe życie na Bora-Bora czy Moorea przed stu laty, lecz w dzisiejszych czasach można było na tych wyspach dostać za darmo tylko choroby zakaźne.

Zanosiło się na to, że w Ameryce również będę nieznanym nikomu nędzarzem, czułem jednak, że lepiej dam sobie radę we własnej ojczyźnie.

No, powiedzmy w ojczyźnie Grahama.

Przeczytałem niektóre wiadomości, ale nie mogłem nic z nich zrozumieć, odłożyłem je więc do późniejszej analizy. Nie dowiedziałem się wiele, a to, czego się domyślałem, było niepokojące. Miałem głęboką – choć nielogiczną – nadzieję, że wszystko to okaże się głupią pomyłką, która wkrótce się wyjaśni (nie pytajcie mnie, w jaki sposób). Ale to, co przeczytałem, położyło kres wszelkiej nadziei.

Co to za świat, w którym „prezydent" Niemiec składa wizytę w Londynie? W moim świecie Cesarstwem Niemieckim rządzi kajzer Wilhelm IV. „Prezydent" Niemiec brzmi równie głupio, jak „król" Ameryki.

To mógł być niezły świat… ale to nie był świat, w którym się urodziłem. Te dziwaczne wiadomości potwierdzały ten fakt.

Gdy odkładałem na bok stos gazetek Grahama, dostrzegłem na stronie tytułowej dzisiejszego wydania informację: „Podczas kolacji obowiązuje strój wieczorowy".

Nie zdziwiło mnie to. Na motorowcu *Konge Knut* wymagano zarówno eleganckiego ubioru, jak i dobrych manier. W czasie rejsu należało nosić czarny krawat. Jeśli pasażer nie miał krawata, dawano mu do zrozumienia, że powinien jadać w swojej kabinie.

Nie miałem smokingu. Nasz Kościół nie pochwala próżności. Wybrałem kompromis, wkładając do kolacji niebieski garnitur, białą koszulę i czarny krawat na gumce. Nikt nic nie powiedział. I tak byłem niegodny uwagi, ponieważ wszedłem na pokład w Papeete. Postanowiłem sprawdzić, czy pan Graham ma czarny garnitur i krawat.

Pan Graham posiadał wiele ubrań, o wiele więcej niż ja. Przymierzyłem jego sportową marynarkę. Leżała nieźle. Spodnie? Długość wydawała się w sam raz. Nie byłem pewien, czy nie będą za ciasne w pasie, lecz

obawiałem się je przymierzyć, aby pan Graham nie przyłapał mnie z jedną nogą w swych spodniach. Co powiedzieć w takiej sytuacji? No, jest pan! Czekam już jakby troszkę za długo, toteż postanowiłem przymierzyć pańskie spodnie, by jakoś zabić czas. Mało przekonywające!

Graham miał nie jeden, ale dwa smokingi. Pierwszy konwencjonalny czarny, a drugi ciemnoczerwony. Nigdy nie słyszałem o takiej ekstrawagancji.

Nie znalazłem jednak krawata na gumce.

Graham posiadał kilka czarnych krawatów, ale ja nigdy nie nauczyłem się ich wiązać.

Odetchnąłem głęboko i zacząłem się nad tym zastanawiać.

Usłyszałem pukanie do drzwi. Podskoczyłem tak gwałtownie, że o mały włos wyskoczyłbym ze skóry.

– Kto tam? (Daję słowo, panie Graham, właśnie na pana czekałem!)

– Stewardesa.

– Aha. Proszę bardzo!

Usłyszałem, jak przekręca klucz w zamku. Podskoczyłem do drzwi, aby otworzyć zasuwkę.

– Przepraszam. Zapomniałem, że zamknąłem drzwi na zasuwkę. Proszę wejść!

Margrethe okazała się równie młoda, jak Astrid i nawet ładniejsza. Miała włosy w kolorze lnu i piegi na nosie. Mówiła poprawnie po angielsku z lekkim, uroczym akcentem. Trzymała wieszak, na którym wisiała krótka biała marynarka.

– Pańska marynarka. Karl powiedział, że druga będzie na jutro.

– Dziękuję ci, Margrethe. Zupełnie o niej zapomniałem!

– Obawiałam się tego. Dlatego wróciłam na pokład trochę wcześniej. Właśnie mieli zamknąć pralnię. Dobrze, że tak zrobiłam. Jest o wiele za gorąco, żeby ubierać się na czarno.

– Nie musiałaś wracać wcześniej. Rozpieszczasz mnie!

– Staram się dbać o swoich gości, jak pan wie.

Powiesiła marynarkę w szafie i zwróciła się w stronę wyjścia.

– Wrócę, żeby zawiązać panu krawat. O szóstej trzydzieści, jak zwykle?

– Może być o szóstej trzydzieści. Która jest teraz? (Kurczę blade, mój zegarek zniknął wraz z MV *Konge Knut*. Nie wziąłem go na ląd).

– Prawie szósta. – Zawahała się. – Przygotuję panu ubranie, zanim wyjdę. Nie ma już wiele czasu.

– Ależ dziewczyno! To nie należy do twoich obowiązków.

– Nie. Ale robię to z przyjemnością.

Otworzyła szufladę, wyjęła koszulę i rozłożyła ją na mojej (Grahama) koi.

– I pan wie dlaczego.

Szybko i sprawnie, jak ktoś, kto wie dokładnie, gdzie czego szukać, otworzyła szufladę w biurku, której nie zauważyłem, wyciągnęła skórzaną saszetkę, a z niej wyjęła zegarek, sygnet i spinki. Ułożyła to wszystko na koi obok koszuli, po czym wpięła spinki w rękawy. Na poduszce położyła świeżą bieliznę oraz czarne jedwabne skarpetki. Ustawiła lakierki obok krzesła i wsunęła w nie łyżkę do butów. Następnie wyjęła z szafy marynarkę, którą przyniosła, i powiesiła, wraz z czarnymi spodniami od fraka (z przypiętymi szelkami) i ciemnoczerwonym pasem smokingowym, na drzwiach szafy. Przyjrzała się swemu dziełu. Dodała do stosu na poduszce kołnierzyk, czarny krawat oraz świeżą chustkę do nosa. Spojrzała ponownie na całość i położyła klucz od pokoju oraz portfel obok sygnetu i zegarka. Jeszcze raz zlustrowała wszystko i skinęła głową.

– Muszę już pędzić, bo się spóźnię na kolację. Wrócę, by zawiązać panu krawat.

Nie wybiegła, lecz wyszła w pośpiechu.

Margrethe miała rację. Gdyby nie przygotowała mi wszystkiego, wciąż jeszcze walczyłbym ze swym strojem. Sama koszula wystarczyłaby, żeby mnie uziemić. Była to jedna z tych zapinanych od wewnątrz. Nigdy takiej nie nosiłem.

Dzięki Bogu Graham używał zwyczajnej maszynki do golenia. Do szóstej piętnaście zgoliłem poranny zarost, wziąłem prysznic (konieczny!) i zmyłem z włosów zapach dymu.

Jego buty pasowały na mnie, jak gdybym je sam rozchodził. Spodnie były przyciasne w pasie – duński statek nie jest odpowiednim miejscem na odchudzanie, a ja spędziłem na MV *Konge Knut* dwa tygodnie.

Wciąż jeszcze walczyłem z tą skubaną, zapinaną na odwrót koszulą, gdy Margrethe otworzyła drzwi swym kluczem uniwersalnym.

Szybko podeszła do mnie.

– Proszę stać spokojnie – powiedziała, zapinając guziki, z którymi nie mogłem sobie poradzić. Następnie przypięła mi ten kołnierzyk z piekła rodem i założyła krawat na szyję. – Proszę się odwrócić – zażądała.

Właściwe zawiązywanie krawata jest sztuką magiczną. Ona znała odpowiednie zaklęcia.

Pomogła mi włożyć pas smokingowy i marynarkę, obejrzała mnie dokładnie i oświadczyła:

– Może być. Jestem z pana dumna. Dziewczyny podczas kolacji mówiły o panu. Szkoda, że tego nie widziałam. Jest pan bardzo odważny.

– Nie odważny, ale głupi! Odezwałem się w nieodpowiednim momencie.

– Odważny! Muszę już lecieć. Kristina miała przypilnować mojego placka z wiśniami. Jeśli nie będzie mnie zbyt długo, ktoś go zwędzi.

– No to leć! Wielkie dzięki. Mam nadzieję, że uratujesz ten placek.

– Nie zamierza mi pan zapłacić?

– Hmm. Ile się należy?

– Proszę się ze mną nie drażnić!

Zbliżyła się o kilka cali, unosząc twarz. Nie znam się na kobietach – w końcu kto się zna? – ale niektóre sygnały są łatwe do odczytania. Ująłem ją za ramiona, pocałowałem w oba policzki, zawahałem się, aby się upewnić, że nie jest zaskoczona ani rozgniewana, po czym złożyłem trzeci pocałunek dokładnie między poprzednimi. Wargi miała pełne i gorące.

– Czy o taką zapłatę ci chodziło?

– Oczywiście. Ale potrafi pan całować znacznie lepiej. Wie pan o tym. – Wydęła dolną wargę i opuściła wzrok. – Przytul mnie!

Rzeczywiście, potrafiłem całować znacznie lepiej. Nauczyłem się tego, zanim nasz pocałunek dobiegł końca. Dzięki temu, że pozwoliłem Margrethe prowadzić i z radością współpracowałem z nią przy wszystkim, czego jej zdaniem wymagał dobry pocałunek, przez dwie minuty dowiedziałem się o całowaniu więcej niż przez całe dotychczasowe życie.

W głowie mi huczało.

Gdy skończyliśmy, pozostawała przez chwilę bez ruchu w moich objęciach, spoglądając na mnie poważnie.

– Alec – powiedziała – nigdy jeszcze tak dobrze nie całowałeś. O rany! A teraz muszę już lecieć, bo spóźnisz się przeze mnie na kolację.

Wysunęła się z moich ramion i zniknęła z właściwą sobie szybkością.

Przejrzałem się w lustrze. Nie było śladów. Pocałunek tak namiętny powinien pozostawić ślady.

Jakiego rodzaju człowiekiem był ten Graham? Mogłem nosić jego ubrania… ale czy zdołam sobie poradzić z jego kobietą? O ile to rzeczywiście jego kobieta. Kto to wie? Ja nie wiedziałem. Czy był on rozpustnikiem, uwodzicielem? A może władowałem się w całkowicie nieszkodliwy, choć troszkę niedyskretny romans?

Jak wrócić do punktu wyjścia przez dół pełen ognia?

I czy rzeczywiście chciałem to uczynić?

Zastanawiałem się, jak dojść do jadalni. W stronę rufy, aż do głównych schodów, potem dwa pokłady w dół i jeszcze kawałek w stronę rufy – przypomniałem sobie plan statku, który znalazłem w książeczce. I trafiłem bez problemu.

Mężczyzna stojący w drzwiach jadalni, ubrany podobnie jak ja, lecz trzymający pod pachą menu, to prawdopodobnie szef kelnerów – główny steward. Nie myliłem się. Potwierdził to jego szeroki, profesjonalny uśmiech.

– Dobry wieczór, panie Graham.

Zatrzymałem się.

– Dobry wieczór. Słyszałem coś o zmianie miejsc. Gdzie mam dzisiaj usiąść? (Jeśli złapiesz byka za rogi, może ci się uda chociaż go zaskoczyć).

– To nie jest stała zmiana, proszę pana. Jutro wróci pan do stołu numer czternaście. Dzisiaj jednak kapitan zaprasza pana do swojego. Zechce pan udać się za mną.

Zaprowadził mnie do olbrzymiego stołu na śródokręciu. Chciał mnie posadzić z prawej strony kapitana, lecz ten wstał i zaczął bić brawo. Pozostali poszli za jego przykładem. Wkrótce wszyscy w jadalni (jak się

zdawało) stali i bili brawo. Niektórzy wydawali nawet okrzyki na moją cześć.

Podczas kolacji dowiedziałem się dwóch rzeczy. Po pierwsze, było jasne, że Graham wykręcił ten sam kretyński numer co ja. (Wciąż nie było jasne, czy jesteśmy tą samą osobą, czy też jest nas dwóch, ale odłożyłem to na później). Po drugie, ale bardzo ważne: Nigdy nie pij schłodzonego akwawitu Aalborg na pusty żołądek, zwłaszcza jeśli, tak jak ja, zostałeś wychowany w obszarze Białego Pasa!

Rozdział III

„Szydercą jest wino, swarliwą – sycera”.

Księga Przysłów 20,1

Nie mam pretensji do kapitana Hansena. Słyszałem, że Skandynawowie wprowadzają sobie etanol do krwi dla rozgrzewki, ze względu na panujące u nich długie, surowe zimy i nie rozumieją ludzi, którzy nie potrafią pić mocnych trunków. Poza tym nikt nie trzymał mnie za ręce i nos i nie wlewał mi przemocą alkoholu do gardła. Robiłem to sam.

Nasz Kościół nie uznaje poglądu, że ciało ludzkie jest słabe, w związku z czym grzechy można zrozumieć i wybaczyć. Owszem, można uzyskać rozgrzeszenie, ale nie jest to łatwe i trzeba najpierw swoje przecierpieć. Grzechy należy odpokutować.

Poznałem jeden z rodzajów tej pokuty. Słyszałem, że nazywają to kacem. Tak przynajmniej nazywał to mój wujaszek pijak. Wujek Ed twierdził, że nikt nie może stać się wstrzemięźliwy, dopóki nie rzuci się w wir rozpusty… w przeciwnym razie, gdy natrafi na pokusę, nie zdoła się jej oprzeć.

Chyba udowodniłem, że wujek Ed miał rację. U nas w domu uważano, że daje on zły przykład, i gdyby nie był bratem matki, mój stary nie pozwoliłby mu w ogóle u nas bywać. I tak zresztą nigdy nie zatrzymywano go, gdy chciał wyjść, ani nie zapraszano, ażeby złożył powtórną wizytę.

Zanim jeszcze zasiadłem za stołem, kapitan zaproponował mi kieliszek akwawitu. Kieliszki, z których się pije ten trunek, nie są duże. W tym właśnie tkwi niebezpieczeństwo.

Kapitan trzymał identyczne naczynie. Spojrzał mi w oczy i wzniósł toast:

– Za naszego bohatera! *Skaal!*

Przechylił lekko głowę i wlał sobie płyn do gardła.

Wokół stołu rozległo się chóralne *Skaal!* i wszyscy przełknęli alkohol równie szybko jak kapitan. Poszedłem w ślady biesiadników. Mógłbym się tłumaczyć, że jako gość honorowy miałem pewne obowiązki. „Kiedy wejdziesz między wrony…" – i tak dalej. Prawdą jest jednak, że zabrakło mi siły charakteru, aby odmówić. Powiedziałem sobie: „Jeden mały kieliszek nie zaszkodzi", i przełknąłem zawartość.

Przeszło gładko. Jeden przyjemny lodowaty łyk, potem ostry posmak z domieszką lukrecji. Nie wiedziałem, co piję, i nie byłem pewien, czy jest w tym alkohol. Nic na to nie wskazywało.

Usiedliśmy. Ktoś nałożył mi na talerz jedzenie, a steward nalał następny kieliszek sznapsa. Już miałem zacząć skubać bardzo smaczne duńskie przystawki, gdy nagle ktoś położył rękę na moim ramieniu.

Spojrzałem w górę. Doświadczony Podróżnik… a przy nim Autorytet i Sceptyk.

Nazwiska nie były te same. Ktokolwiek (cokolwiek?) wprowadził zamieszanie w moim życiu, nie posunął się tak daleko. Na przykład nazwisko „Gerald Fortescue" zmieniło się w „Jeremy Forsyth". Mimo drobnych różnic rozpoznałem ich jednak bez trudności. Również ich nazwiska były na tyle podobne, iż było jasne, że ktoś, czy coś, nadal ze mnie kpi. (Dlaczego więc moje nowe nazwisko w niczym nie przypominało poprzedniego? „Hergensheimer" ma w sobie pewną godność i brzmi imponująco, podczas gdy „Graham" to zwyczajne nazwisko).

– Pomyliliśmy się co do ciebie, Alec – oświadczył pan Forsyth. – Duncan, ja i Pete przyznajemy to z przyjemnością. Oto trzy tysiące, które jesteśmy ci winni, i – wyciągnął zza pleców prawą rękę, w której trzymał wielką butelkę – najlepszy szampan na statku w dowód naszego uznania.

– Steward! – zawołał kapitan.

Steward pojawił się wkrótce i napełnił nasze kieliszki. Wcześniej zdążyłem jednak jeszcze wstać i wymienić *Skaal!* z każdym z pokonanych. W ręku ściskałem trzy tysiące dolarów (w walucie USNA). Nie było czasu, aby się zastanowić, dlaczego trzy setki zamieniły się w trzy tysiące, poza tym nie było to tak dziwne jak to, co przydarzyło się *Konge Knut*. Obu *Konge Knut*. Moja zdolność dziwienia się najwyraźniej osłabła.

Kapitan Hansen poprosił kelnerkę, aby przyniosła krzesła dla Forsytha i pozostałych, lecz cała trójka odmówiła, twierdząc, że czekają na nich żony i towarzysze. Poza tym nie było już dla nich miejsca. Nie stanowiło to wszakże przeszkody dla kapitana Hansena. Jest on wikingiem wielkim jak dąb, albo i większym. Gdyby dać mu młot, można by go wziąć za Thora. Ma mięśnie tam, gdzie inni mężczyźni nie mają nawet na nie miejsca. I bardzo trudno się mu przeciwstawić. Ale w końcu przystał jowialnym tonem na kompromis – mogli wrócić do swych stołów, przedtem jednak musieli wznieść toast za Szadraka, Meszaka i Abed-Nego, aniołów stróżów naszego drogiego przyjaciela Aleca. Wszyscy siedzący przy stole musieli się przyłączyć.

– Steward!

Skaal! – rozległo się jeszcze trzykrotnie. Duński rozgrzewacz spływał nam po migdałkach.

Liczycie? Zdaje się, że to siedem. Możecie dać sobie spokój, bo wtedy właśnie straciłem rachubę. Zacząłem czuć odrętwienie podobne do tego, które odczuwałem w połowie drogi przez dół pełen ognia.

Steward rozlał do kieliszków nowego szampana, który znalazł się na stole dzięki hojności kapitana. Potem nadszedł czas na kolejny toast na moją cześć. Odwzajemniłem się swoim trzem przeciwnikom, następnie wznieśliśmy toast na cześć kapitana Hansena, a później wypiliśmy za pomyślność *Konge Knut*.

Kapitan wzniósł toast na cześć Stanów Zjednoczonych. Cała sala powstała i wypiła z nim. Uznałem, że spoczywa na mnie obowiązek wzniesienia toastu na cześć duńskiej królowej, co wywołało kolejny rewanż kapitana, który zażądał, abym wygłosił mowę.

– Proszę nam opowiedzieć, jak było w piecu ognistym!

Usiłowałem odmówić, lecz wokoło rozległy się okrzyki: „Mowa! Mowa!”.

Wstałem z niejaką trudnością, usiłując przypomnieć sobie mowę, którą wygłosiłem na ostatniej kolacji połączonej ze zbiórką funduszy na rzecz misji za granicą. Nic z niej nie pamiętałem. W końcu oświadczyłem:

– E tam, to żadna sztuka! Przyłóżcie tylko uszy do ziemi, ręce zajmijcie robotą, wzrok skierujcie na gwiazdy, a reszta przyjdzie sama. Dziękuję. Dziękuję wam wszystkim i przy następnej okazji zapraszam do siebie do domu.

Rozległy się brawa i po raz kolejny zawołaliśmy: *Skaal!* Nie pamiętam już, z jakiej okazji. Dama siedząca po lewej stronie kapitana wstała i podeszła do mnie, aby mnie pocałować. Inne panie siedzące przy stole ustawiły się w kolejce, aby pójść w jej ślady. Najwyraźniej wpłynęło to na pozostałe damy na sali, ponieważ nagle pojawiła się niekończąca się procesja kobiet pragnących dać buzi mnie, a przy okazji kapitanowi, czy też może na odwrót.

Podczas tej parady ktoś sprzątnął z mojego talerza stek, co do którego miałem pewne plany. Nie przejąłem się tym jednak zbytnio, gdyż

niekończąca się orgia pocałunków oszołomiła mnie, podobnie jak wcześniej tubylczynie po przejściu przez ogień.

Oszołomienie to trwało już od chwili, gdy przekroczyłem próg sali. Ujmijmy to w ten sposób: Wszystkie pasażerki statku powinny znaleźć się w „National Geographic”. Tak jest. Dobrze usłyszeliście. No, może nie całkiem, ale w tym, co miały na sobie, wydawały się bardziej nagie niż te sympatyczne tubylczynie. Nie będę opisywał tych „sukni wieczorowych”, ponieważ nie jestem pewien, czy potrafię. Jestem za to przekonany, że nie powinienem tego robić. Żadna z nich jednak nie zakrywała więcej niż dwadzieścia procent tego, co damy na uroczystych przyjęciach w świecie, w którym się wychowałem, zwykle przysłaniają. Mam na myśli część powyżej pasa. Suknie, choć długie, niekiedy sięgające do podłogi, miały zdumiewające rozcięcia. Górne części niektórych kreacji zakrywały wszystko… ale materiał, z którego je wykonano, był przezroczysty jak szkło. Albo prawie ażurowy.

Niektóre młodsze panie, czy raczej dziewczęta, naprawdę nadawały się do „National Geographic” jak moje tubylczynie. Z jakiegoś powodu wszakże nie wyglądały tak nieprzyzwoicie jak starsze kobiety.

Zauważyłem cały ten „pokaz”, gdy tylko wszedłem na salę. Starałem się jednak nie gapić zbyt ostentacyjnie, a kapitan i inni sprawili, że nie miałem czasu przyglądać się niewiarygodnie obnażonym niewiastom. No ale, rozumiecie, gdy dama podchodzi, obejmuje cię i upiera się, że chce cię pocałować, trudno nie zauważyć, że nie ma na sobie dość odzienia, aby ustrzec się przed zapaleniem płuc.

Mimo narastających zawrotów głowy i odrętwienia pilnowałem się bardzo.

Ale nawet golizna nie zdumiała mnie tak jak słownictwo. Takiego języka nigdy nie słyszałem w miejscach publicznych. Nawet w czysto męskim

towarzystwie używano go nadzwyczaj rzadko, i to nigdy wśród dżentelmenów. Przynajmniej w świecie, który znałem.

Największy szok w dzieciństwie przeżyłem, gdy przechodząc przez rynek, dostrzegłem tłum zgromadzony wokół dybów pod gmachem sądu. Podszedłem, aby zobaczyć, kogo zakuto i za co… i stwierdziłem ze zgrozą, że to mój harcmistrz.

Jak głosiła tabliczka na piersi skazańca, ukarano go za używanie wulgarnego języka. Oskarżycielką była jego żona. Zrezygnował z obrony i zdał się na łaskę sądu… tyle że sędzią był diakon Brumby, który w ogóle nie znał słowa „łaska”.

Pan Kirk, mój harcmistrz, wyjechał z miasta dwa tygodnie później i nikt go więcej nie widział. Zakucie w dyby często wywoływało podobny efekt. Nie wiem, jakich słów użył Kirk, ale nie mogły one być takie złe, skoro diakon Brumby skazał go tylko na jeden dzień w dybach.

Tego wieczoru przy kapitańskim stole na *Konge Knut* usłyszałem, jak miła starsza pani w typie „twoja najdroższa babcia” obrzuciła męża wiązanką zakazanych słów, wśród których znalazły się bluźnierstwa i określenia zakazanych aktów cielesnych. Gdyby odezwała się w ten sposób publicznie w moim mieście, skazano by ją na najdłuższe możliwe zakucie w dyby, a następnie wygnano. (W naszym mieście nie używamy smoły i pierza. Sądzimy, że to zbyt brutalna kara). Tymczasem tej miłej pani nikt nawet nie zwrócił uwagi. Jej mąż uśmiechnął się tylko i powiedział, że nie powinna się tak denerwować.

Nieprzyzwoity język, niewiarygodne obnażanie się w miejscu publicznym oraz znaczne ilości dwóch niezwykłych i podstępnych napitków sprawiły, że czułem się kompletnie skonfundowany. Obcy w obcym kraju, stanąłem wobec zwyczajów nowych i szokujących. Podtrzymywało mnie przeświadczenie, że muszę się zachowywać jak

człowiek bywały, który czuje się tu jak w domu i niczemu się nie dziwi. Nie mogę pozwolić, żeby ktoś zaczął podejrzewać, że nie jestem znanym mu Alekiem Grahamem, lecz kimś zupełnie obcym – Alexandrem Hergensheimerem. W przeciwnym razie może się wydarzyć coś strasznego.

Rzecz jasna byłem w błędzie. Coś strasznego już się wydarzyło. Byłem w istocie zupełnie obcy w całkowicie obcym i zdumiewającym kraju… teraz jednak, wspominając te chwile, nie sądzę, abym pogorszył swoją sytuację, gdybym nagle wszystko wygadał. Po prostu nikt by mi nie uwierzył.

Jak mogło być inaczej? Mnie samemu trudno było uwierzyć w to wszystko.

Kapitan Hansen – serdeczny, rzeczowy mężczyzna – ryknąłby śmiechem po moim „żarcie” i wzniósł kolejny toast. A gdybym się upierał przy swoich „urojeniach”, skierowałby mnie do lekarza okrętowego.

Niemniej uporczywa koncentracja na odgrywaniu roli Aleca Grahama i obawa, aby nikt nie rozpoznał we mnie podrzutka, pomogły mi przetrwać ten zdumiewający wieczór.

Właśnie położono przede mną plasterek „tortu księżniczki” – niezwykłego, wielowarstwowego deseru, który pamiętałem z poprzedniego *Konge Knut* – oraz podano małą filiżankę kawy, gdy kapitan podniósł się z miejsca.

– Wstawaj, Alec! Idziemy do sali klubowej. Przedstawienie jest przygotowane, ale nie mogą zacząć, dopóki się nie zjawię. Chodź już! Daj spokój ze słodyczami. To szkodzi zdrowiu. Kawę możesz zamówić na miejscu. Najpierw jednak napijemy się męskiego trunku, hę? Nie tej słabizny. Lubisz rosyjską wódkę?

Wziął mnie pod rękę. Nagle poczułem, że idę w stronę sali klubowej. Był to akt czysto automatyczny.

Przedstawienie przypominało składanki, które pamiętałem z MV *Konge Knut* – sztukmistrz robiący nieprawdopodobne rzeczy (choć nie takie jak ta, którą ja zrobiłem czy ze mną zrobiono), komik, który stanowczo powinien zmienić zawód, ładna dziewczyna śpiewająca piosenki oraz trupa tancerzy. Dwie różnice – szokującą goliznę i szokujące słownictwo – zauważyłem już wcześniej, poza tym byłem wtedy zbyt odrętwiały po przeżytym wstrząsie i wypitym akwawicie, aby te dodatkowe dowody odmienności tego świata mogły wywrzeć na mnie wrażenie.

Piosenkarka nie miała na sobie niemal nic, a teksty jej piosenek przysporzyłyby jej kłopotów nawet w półświatku Newark w New Jersey. Tak przynajmniej mi się zdaje. Osobiście nigdy nie poznałem tego siedliska nieprawości. Zwracałem więcej uwagi na jej wygląd, ponieważ tym razem nie musiałem odwracać wzroku. Na artystów w czasie występu *należy* się gapić.

Jeśli przyjąć założenie, że sposób ubierania się może ulec daleko idącym zmianom, nie niszcząc przy tym zasad współżycia społecznego (osobiście w to nie wierzę, ale załóżmy, że to prawda), jest, jak myślę, lepiej, gdy demonstruje te zmiany osoba młoda, zdrowa i ładna. Piosenkarka miała te wszystkie cechy. Poczułem ukłucie żalu, gdy zeszła ze sceny.

Główną atrakcję stanowił zespół tahitańskich tancerzy. Nie zdziwiłem się, rzecz jasna, widząc, że powyżej pasa mają na sobie jedynie kwiaty i muszelki. Byłoby raczej dziwne, gdyby było inaczej. Co mnie jednak zaskoczyło (choć, jak sądzę, nie powinno), to zachowanie pasażerów.

Najpierw wystąpił zespół – osiem dziewcząt i dwóch mężczyzn. Wykonali oni taniec bardzo podobny do tego, który widziałem rano, przed pokazem chodzenia po ogniu oraz na pokładzie MV *Konge Knut* w Papeete. Być może wiecie, że hula z Tahiti różni się od powolnego i pełnego wdzięku hula z Królestwa Hawajów tym, że jest znacznie szybsze i bardziej

żywiołowe. Nie jestem znawcą sztuki tańca, poznałem jednak oba style hula w ich ojczyźnie. Wolę wersję hawajską, którą ujrzałem, gdy *Graf von Zeppelin* zatrzymał się w Hilo na jeden dzień w drodze do Papeete. Tahitańskie hula przypomina mi raczej pokaz akrobatyczny niż formę sztuki. Ale jego prędkość i żywiołowość sprawiły, że stroje tubylczyń (czy raczej ich brak) wywarły na mnie piorunujące wrażenie. A to jeszcze nie był koniec. Po długim pokazie tańców, podczas których wszystkie dziewczęta tańczyły po kolei z oboma młodzieńcami i robiły rzeczy, które wydawałyby się szokujące nawet w wykonaniu drobiu na farmie (wciąż oczekiwałem, że kapitan Hansen położy temu kres), wystąpił mistrz ceremonii.

– Panie i panowie – oznajmił – oraz wy, nietrzeźwe osoby nieprawego pochodzenia (jestem zmuszony ocenzurować jego słownictwo). Większość zebranych, a nawet kilku rozebranych, wykorzystała cztery dni, które ci tancerze spędzili z nami, aby włączyć tahitańskie hula do swego repertuaru. Wkrótce będziecie mieli okazję pokazać, czego się nauczyliście. Otrzymacie dyplomy, autentyczne jak papaje z Papeete. Ale nie wiecie, że na naszym starym, dzielnym *Knucie* również uknuto spisek w celu nauki hula. Maestro… tusz!

Na scenę wybiegło dwanaście nowych tancerek. Tylko że nie były to Polinezyjki – te dziewczyny były białe. Nosiły autentyczne stroje polinezyjskie: spódniczki z trawy, naszyjniki, kwiaty we włosach i na tym koniec. Ich skóra nie była jednak ciemnobrązowa, lecz jasna. Większość miała włosy blond, a dwie nawet rude.

To różnica. Byłem już gotów przyznać, że polinezyjskie dziewczęta w swych ludowych strojach są odpowiednio, a nawet skromnie ubrane – co kraj to obyczaj. Czyż pramatka Ewa nie była skromna w swej prostocie przed upadkiem?

Białe kobiety w strojach z mórz południowych wydają się wszakże bardzo nie na miejscu.

Nie przeszkodziło mi to jednak przyjrzeć się im uważnie. Zdumiało mnie, że tańczą one ten szybki i skomplikowany taniec równie dobrze (oceniając moim niewprawnym okiem) jak tubylczynie.

– Nauczyły się tak tańczyć w ciągu czterech dni? – zapytałem kapitana.

Parsknął śmiechem.

– Ćwiczą na każdym rejsie, to znaczy te, które pływały już z nami przedtem. Każda ćwiczyła przynajmniej od San Diego.

W tym momencie rozpoznałem jedną z tancerek – Astrid – młodą, miłą dziewczynę, która wpuściła mnie do „mojej" kajuty. Zrozumiałem, dlaczego miały czas i ochotę ćwiczyć razem. Należały do załogi statku. Spoglądałem na nią – czy raczej gapiłem się – z dużym zainteresowaniem. Zauważyła to i uśmiechnęła się do mnie. Zachowałem się jak ostatni kołek. Zamiast odwzajemnić uśmiech, odwróciłem wzrok i zaczerwieniłem się. Usiłując ukryć zmieszanie, pociągnąłem duży łyk ze szklanki, którą, jak się okazało, miałem w ręku.

Jeden z tubylców podbiegł do białych dziewcząt i poprosił jedną z nich do tańca. Niech mnie Bóg chroni! To była Margrethe. Zakrztusiłem się i nie mogłem zaczerpnąć powietrza. To był najpiękniejszy, najbardziej olśniewający widok, jaki oglądałem w życiu.

„O jak piękna jesteś, przyjaciółko moja, jakże piękna! Oczy twe jak gołębice za twoją zasłoną. Włosy twe jak stado kóz falujące na górach Gileadu. Łono twe, czasza okrągła: niechaj nie zbraknie w niej wina korzennego! Brzuch twój jak stos pszenicznego ziarna okolony wiankiem lilii. Piersi twe jak dwoje koźląt, bliźniąt gazeli.

Cała piękna jesteś, przyjaciółko moja, i nie ma w tobie skazy".

Rozdział IV

„Wszak boleść nie z roli wyszła,
ni z ziemi cierpienie wyrosło.
To człowiek się rodzi, by jęczeć,
jak iskra, by unieść się w górę”.

Księga Hioba 5,6-7

Powoli odzyskałem świadomość i natychmiast tego pożałowałem. Ścigał mnie najstraszliwszy z koszmarów. Zacisnąłem oczy i spróbowałem zasnąć ponownie.

Bębny tubylców dudniły mi w głowie. Usiłowałem je uciszyć, zatykając uszy.

Stały się jeszcze głośniejsze.

Zrezygnowałem. Otworzyłem oczy i uniosłem głowę. Błąd – żołądek podszedł mi do gardła, a w uszach zadudniło. Nie mogłem skupić wzroku. Wydawało się, że te piekielne bębny rozwalą mi czaszkę.

W końcu udało mi się skupić wzrok, choć nadal widziałem mętnie. Rozejrzałem się i stwierdziłem, że znajduję się w nieznanym pokoju i leżę wpółubrany na łóżku.

Pamięć wracała powoli. Bankiet na statku. Alkohol. Mnóstwo alkoholu. Hałas. Nagość. Kapitan w spódniczce z trawy tańczący zapamiętale. Orkiestra pląsająca wokół kapitana. Niektóre pasażerki ubrane w spódniczki z trawy, a inne prawie całkiem nagie. Grzechot bambusa. Łoskot bębnów.

Bębny…

To nie były bębny. To był najgorszy ból głowy w moim życiu. Dlaczego, u diaska, pozwoliłem im…

Mniejsza o „nich”. Zrobiłeś to sam, koleś.

Tak, ale…

„Tak, ale”. Wieczne „Tak, ale”. Przez całe życie powtarzałeś tylko: „Tak, ale”. Kiedy wreszcie weźmiesz się w garść i przyjmiesz pełną odpowiedzialność za swoje życie i wszystko, co się z tobą dzieje?

Tak, ale to nie moja wina. Nie jestem A.L. Grahamem. To nie moje nazwisko i nie mój statek.

Czyżby?

Oczywiście, że nie…

Usiadłem, aby otrząsnąć się z tego koszmaru. To był kolejny błąd. Głowa mi co prawda nie odpadła, lecz przeszywający ból u podstawy szyi dołączył się do pulsowania wewnątrz czaszki.

Miałem na sobie czarne spodnie od fraka i najwyraźniej nic poza tym. Znajdowałem się w nieznanym pomieszczeniu, które obracało się powoli wokół mnie.

Spodnie Grahama. Jego kabina. A to powolne kołysanie… statek nie miał stabilizatorów.

To nie był sen. A jeśli nawet, nie zdołam się z niego otrząsnąć. Dokuczały mi zęby. Stopy były jak nie moje. Ciało miałem pokryte zaschniętym potem, a zarazem lepiłem się, szczególnie pod pachami, no i…

Suszyło mnie straszliwie!

Przypomniałem sobie wszystko. Albo prawie wszystko. Dół pełen ognia. Tubylcy. Kury czmychające nam z drogi. Statek, który nie był mój… i był mój. Margrethe…

Margrethe!

„Piersi twe jak dwoje koźląt, bliźniąt gazeli. Cała piękna jesteś, przyjaciółko moja!”

Margrethe pomiędzy tancerkami, jej piersi równie nagie jak stopy. Margrethe tańcząca z tym niegodziwym kanakiem, potrząsająca swoimi…

Nic dziwnego, że się upiłem.

Nie chrzań, koleś. Byłeś już wtedy pijany! Jedyne, co masz do zarzucenia temu młodzieńcowi, to fakt, że nie znalazłeś się na jego miejscu. Też chciałeś z nią zatańczyć. Tylko że ty nie umiesz tańczyć!

Taniec to wymysł Szatana.

Nie mów, że nie żałujesz, że nie umiesz.

„…jak dwoje koźląt…” Pewnie, że żałuję!

Usłyszałem ciche pukanie, a potem brzęk kluczy. Margrethe wsadziła głowę do środka.

– Obudził się pan? To dobrze.

Weszła do środka, niosąc tacę. Zamknęła za sobą drzwi i podeszła do mnie.

– Proszę to wypić.

– Co to jest?

– Głównie sok pomidorowy. Niech się pan ze mną nie sprzecza, tylko wypije!

– Chyba nie mogę.

– Może pan. Musi. Proszę to zrobić!

Powąchałem i pociągnąłem łyczek. Ku swemu zdumieniu nie poczułem mdłości. Wypiłem więcej. Po pierwszym lekkim wstrząsie przeszło gładko i pozostało w żołądku na dobre. Margrethe podała mi dwie tabletki.

– Proszę zażyć i popić resztą soku.

– Nigdy nie biorę lekarstw.

Westchnęła i powiedziała coś, czego nie zrozumiałem. Nie po angielsku. Nie całkowicie.

– Co powiedziałaś?

– Coś, co zwykła mówić moja babcia, gdy dziadek się jej sprzeciwiał. Panie Graham, proszę połknąć te pigułki. To tylko aspiryna. Pomoże panu. Jeśli będzie pan niegrzeczny, przestanę panu pomagać. Ja… odstąpię pana Astrid. Daję słowo!

– Nie rób tego!

– Zrobię, jeśli nie przestanie mi się pan sprzeciwiać. Wiem, że Astrid chętnie się zamieni. Podoba się jej pan. Mówiła, że nie odrywał pan od niej oczu, gdy tańczyła.

Połknąłem pastylki i popiłem resztą soku. Był lodowaty i przyniósł mi wielką ulgę.

– Tak, dopóki nie ujrzałem ciebie. Potem patrzyłem już tylko na ciebie.

Uśmiechnęła się po raz pierwszy.

– Tak? I jak się panu podobało?

– Byłaś cudowna. (A twój taniec był obsceniczny. Twój nieprzyzwoity strój i zachowanie wstrząsnęły mną do głębi. Chciałbym to zobaczyć po raz drugi, choćby w tej chwili!) Masz bardzo dużo wdzięku.

Uśmiechnęła się ponownie, a na jej policzkach pojawiły się śliczne dołeczki.

– Miałam nadzieję, że się panu spodoba, panie Graham.

– Bardzo mi się spodobało. Tylko przestań straszyć mnie Astrid!

– Przestanę, jeśli będzie pan grzeczny. A teraz proszę wstać i jazda pod prysznic! Najpierw bardzo gorący, potem lodowaty. Jak w saunie. – Czekała. – Nie wyjdę stąd, póki nie zacznie buchać para spod prysznica.

– Wezmę prysznic, kiedy wyjdziesz.

– Oczywiście, letni. Znam pana dobrze. Proszę wstać, ściągnąć portki i wleźć pod prysznic! Zanim pan skończy, przyniosę śniadanie. Nie mamy czasu. Niedługo zamykają kuchnię przed obiadem… więc niech się pan pośpieszy. Proszę!

– Ojej! Nie zjem śniadania! Nie dzisiaj. Na pewno nie.

Jedzenie! Sama myśl o nim napełniała mnie wstrętem.

– *Musi* pan zjeść. Wypił pan wczoraj za dużo. Wie pan, że to prawda. W przeciwnym razie będzie się pan źle czuł przez cały dzień. Oporządziłam już wszystkich gości, jestem więc wolna. Jak już przyniosę śniadanie, osobiście przypilnuję, żeby pan je zjadł. – Spojrzała na mnie. – Powinnam była ściągnąć panu spodnie, kiedy kładłam pana do łóżka, ale był pan zbyt ciężki.

– To ty mnie położyłaś do łóżka?

– Ori mi pomógł. Ten chłopak, z którym tańczyłam.

Twarz musiała mnie zdradzić, dziewczyna bowiem pośpiesznie dodała:

– Nie pozwoliłam mu oczywiście wejść do pańskiego pokoju. Rozebrałam pana sama. Potrzebna mi jednak była pomoc, aby wprowadzić pana na schody.

– Nie zamierzałem cię krytykować. (Czy wróciłaś potem na przyjęcie? Tańczyłaś z nim ponownie? „Zazdrość jej nieprzejednana jak Szeol, żar jej to żar ognia, płomień Pański”. Nie mam do tego żadnego prawa). Dziękuję wam obojgu. Zachowałem się jak zwyczajne bydlę.

– No cóż… odważni mężczyźni często się upijają, gdy niebezpieczeństwo już minie. To jednak panu szkodzi.

– Faktycznie, szkodzi. – Wstałem z łóżka i powlokłem się w stronę łazienki, oznajmiając: – Wezmę gorący prysznic. Daję słowo!

Zamknąłem drzwi na zasuwkę i skończyłem się rozbierać. (A więc schlałem się do tego stopnia, że tubylec musiał mnie odprowadzić do łóżka.

Alex, jesteś zwyczajne bydlę! I nie masz żadnego prawa być zazdrosny o tę miłą dziewczynę. Ona nie jest twoją własnością, zachowuje się zgodnie z normami obowiązującymi w tym miejscu – gdziekolwiek się ono znajduje – a poza tym jedynie zaopiekowała się tobą).

Wziąłem gorący prysznic, choć to o mało nie zabiło biednego starego Alexa. Nie zmniejszyłem jednak temperatury, dopóki wrzątek nie znieczulił końcówek nerwów. Potem nagle przełączyłem prysznic na zimną wodę i wrzasnąłem wniebogłosy.

Tkwiłem tam, aż przestałem odczuwać chłód. Następnie zamknąłem kran i otworzyłem drzwi, wypuszczając wilgotne powietrze, co pozwoliło mi szybko wyschnąć. Wróciłem do kabiny… i nagle zdałem sobie sprawę, że czuję się wspaniale. Głowa przestała mnie boleć. Nie miałem już wrażenia, że świat się kończy dziś w południe. Mdłości ustały. Pozostał tylko głód. Alex, nigdy już się nie upijesz… a jeśli nawet, zrobisz dokładnie to, co ci każe Margrethe. Z was dwojga ona ma rozum. Doceń to, chłopcze!

Pogwizdując, otworzyłem szafę Grahama. Usłyszawszy klucz w drzwiach, pośpiesznie złapałem jego szlafrok. Ledwie zdążyłem się nim okryć, Margrethe weszła do kabiny. Zajęło jej to trochę czasu, ponieważ ciężka taca utrudniała jej zadanie. Gdy to zauważyłem, przytrzymałem drzwi. Położyła tacę i rozstawiła śniadanie na stole.

– Miałaś rację co do prysznica w stylu sauny – oświadczyłem. – To właśnie zalecają lekarze, czy raczej pielęgniarki.

– Wiem. Tak postępowała moja babcia, gdy dziadek się upił.

– Mądra kobieta. O kurczę, jaki smakowity zapach! – (Jajecznica na bekonie, duże ilości duńskiego pieczywa, mleko, kawa oraz dodatkowy talerzyk, na którym leżały rozmaite sery, *flatbrød*, cienkie plasterki szynki i jakiś tropikalny owoc, którego nazwy nie znam). – A co takiego twoja babcia zwykła mówić, gdy dziadek się jej sprzeciwiał?

– Och, bywała popędliwa.

– Tobie to się nie zdarza. Odpowiedz mi!

– No cóż… zwykła mówić, że Bóg stworzył mężczyzn, aby wystawić na próbę dusze kobiet.

– Może to i racja. Czy się z nią zgadzasz?

Uśmiechnęła się, ukazując prześliczne dołeczki.

– Myślę, że potraficie też inne rzeczy.

Kiedy jadłem śniadanie, Margrethe sprzątnęła moją kabinę i łazienkę (no dobrze, kabinę i łazienkę Grahama – zadowolony?). Następnie przygotowała dla mnie spodenki, sportową koszulę z mapą wysp oraz sandały, po czym zabrała tacę i talerze, pozostawiając kawę oraz niedojedzony owoc. Podziękowałem jej, gdy wychodziła. Zastanawiałem się, czy powinienem zaproponować jej „zapłatę” oraz czy świadczy podobne usługi również innym pasażerom. To nie wydawało się prawdopodobne. Stwierdziłem jednak, że nie mam odwagi jej o to zapytać.

Zamknąłem za nią drzwi i zacząłem przeszukiwać kabinę Grahama. Nosiłem jego ubranie, spałem w jego łóżku, odpowiadałem, gdy zwracano się do mnie jego nazwiskiem. Musiałem zdecydować, czy pójść na całość i po prostu stać się „A.L. Grahamem”… czy może raczej zwrócić się do odpowiednich władz (Amerykańskiego konsula? A jeśli nie, to do kogo?), wyznać całą prawdę i poprosić o pomoc. Wypadki pędziły coraz szybciej. Dzisiejszy „Królewski Skald” podawał, że SS *Konge Knut* ma zawinąć o godzinie piętnastej do Papeete, a o osiemnastej wypłynąć do Mazatlánu. Ochmistrz zawiadamiał wszystkich pasażerów pragnących wymienić franki na dolary, że przedstawiciel banku z Papeete będzie urzędował naprzeciw jego biura od chwili zawinięcia do portu aż do momentu, gdy do wyjścia

statku w morze pozostanie kwadrans. Ponadto przypominał, że długi zaciągnięte w barze lub w sklepach na pokładzie można spłacać wyłącznie w dolarach, duńskich koronach lub potwierdzonymi akredytywami.

Brzmiało to rozsądnie, lecz zwiastowało kłopoty. Miałem nadzieję, że statek zatrzyma się w Papeete przynajmniej na dwadzieścia cztery godziny. Trzygodzinny pobyt w porcie wydawał się bez sensu. Ledwie zdążą zacumować, a już będą musieli zacząć rzucać cumy! Czyżby nie musieli wnieść opłaty za dwadzieścia cztery godziny z chwilą zawinięcia do portu?

Przypomniałem sobie jednak, że dowodzenie statkiem nie należy do moich obowiązków. Być może kapitan korzystał z krótkiej przerwy pomiędzy odpłynięciem jednego statku a zawinięciem do portu następnego. Mogło zresztą istnieć jeszcze pół tuzina powodów. Mnie powinno teraz obchodzić tylko to, co mogę zrobić między trzecią a szóstą i co muszę zrobić do trzeciej.

Po czterdziestu minutach intensywnych poszukiwań odnalazłem następujące rzeczy: stos przeróżnych ubrań, których rozmiar nie nastręczał problemów (no, może pięć funtów nadwagi sprawiło, że spodnie były troszeczkę obcisłe); pieniądze – franki w jego portfelu (muszę je wymienić) oraz osiemdziesiąt pięć dolarów tamże; trzy tysiące dolarów luzem w szufladzie, w której poza tym znajdowała się niewielka saszetka, gdzie Graham trzymał zegarek, obrączkę, spinki i tak dalej. Ponieważ Margrethe odłożyła zegarek i resztę na miejsce, założyłem, że to ona zachowała dla mnie zyski z mojego (lub Grahama) wygranego zakładu z Forsythem, Jeeves’em i Henshawem. Mówią, że Pan Bóg czuwa nad głupcami i pijakami. Jeśli tak jest, w moim przypadku jego narzędziem była Margrethe.

Znalazłem też różne drobiazgi, które nie miały w tej chwili znaczenia – książki, upominki, pastę do zębów i tak dalej.

Nigdzie nie było paszportu.

Gdy nie udało mi się znaleźć paszportu Grahama, powtórzyłem poszukiwania. Tym razem zajrzałem do kieszeni wszystkich marynarek wiszących w szafie, jak również sprawdziłem ponownie z wielką starannością wszystkie zwykłe (i część niezwykłych także!) miejsca, w których mogła się zmieścić książeczka tych rozmiarów. Nadal nic.

Niektórzy turyści dbają o to, żeby zawsze mieć paszport przy sobie, gdy schodzą ze statku. Osobiście wolę go nie nosić, jeśli mogę tego uniknąć, ponieważ utrata paszportu może władować człowieka w niezłe bagno. Wczoraj nie miałem go przy sobie… tak więc mój paszport popłynął w siną dal. Znajdował się teraz za siedmioma górami wraz z MV *Konge Knut*. To znaczy… właściwie gdzie? Nie zastanawiałem się nad tym do tej pory. Nowy, nieznany świat dostarczał mi zbyt wielu wrażeń.

Jeśli Graham wziął swój paszport, on również znajdował się za siedmioma górami, przedostawszy się tam przez otwór w czwartym wymiarze. A w każdym razie zaczynało na to wyglądać.

Gdy pogrążałem się w gniewnych dociekaniach, ktoś wsunął kopertę przez szparę pod drzwiami.

Podniosłem ją i otworzyłem. W środku był „mój” (Grahama) rachunek do zapłacenia. Czyżby Graham kończył swą podróż w Papeete?

O, nie! W takim przypadku mógłbym pozostać na wyspach na zawsze.

Chyba jednak nie. To wyglądało na regularny, comiesięczny rachunek.

Suma, którą Graham wydał w barze, zaszokowała mnie… dopóki nie zwróciłem uwagi na poszczególne pozycje. Wtedy szok stał się jeszcze głębszy, choć z innego powodu. Kiedy „coca-cola” kosztuje dwa dolary, to nie oznacza, że butelka jest większa. To oznacza, że dolar jest mniej wart.

Zrozumiałem teraz, dlaczego zakład o trzysta dolarów po, hmm, tamtej stronie przekształcił się w zakład o trzy tysiące dolarów po tej. Jeśli miałem

żyć w tym świecie, musiałem przestawić swe myślenie o cenach. Traktować dolary jak zagraniczną walutę i przeliczać w głowie wszystkie ceny, zanim się do nich przyzwyczaję. Na przykład, jeśli ceny ze statku są miarodajne, dobry obiad – stek albo żeberka – w restauracji pierwszej klasy w takich hotelach jak Brown Palace czy Mark Hopkins mógł kosztować nawet dziesięć dolarów. O kurczę!

Doliczając koktajl przed obiadem i wino, rachunek mógł osiągnąć nawet piętnaście. To tygodniowa pensja. Dzięki Bogu, że nie piję!

Przepraszam, czego nie robisz?

Posłuchaj, wczorajszy wieczór to był szczególny wypadek.

Pewnie, że tak. Cnotę można stracić tylko raz. Nie da się jej potem odzyskać. Jak się nazywało to, co piłeś, zanim film ci się urwał? Duński Zombi? Nie miałbyś teraz ochoty na coś takiego? Tylko po to, żeby odzyskać równowagę?

Nigdy już nie wezmę czegoś takiego do ust!

Jeszcze zobaczymy, koleś.

Została jeszcze jedna szansa. Miałem nadzieję, że dopisze mi szczęście. W saszetce, w której Graham trzymał cenne drobiazgi, znajdował się klucz. Nie wyróżniał się on niczym poza tym, że na jego piórku widniał numer osiemdziesiąt dwa. Jeśli los się do mnie uśmiechnął, był to klucz do skrytki w biurze ochmistrza. (A jeśli los złośliwie szczerzył zęby, był to klucz do skrytki w banku w którymś z czterdziestu sześciu stanów, banku, którego nigdy nie ujrzę na oczy. Lepiej jednak nie szukać kłopotów. Mam ich wystarczająco wiele).

Zszedłem na niższy pokład i skierowałem się w stronę rufy.

– Dzień dobry panu – powiedziałem do ochmistrza.

– O, pan Graham! Bankiet był niezły, co?

– Niewątpliwie. Jeszcze jeden taki i pójdę do ziemi.

– No wie pan. I to mówi człowiek, który przeszedł przez ogień. Miałem wrażenie, że bawił się pan dobrze. Ja z pewnością tak. W czym mogę panu pomóc?

Wyjąłem tajemniczy klucz.

– Czy to wasz klucz, czy też z mojego banku? Zawsze mi się mylą.

Obejrzał go.

– To nasz. Poul! Przynieś skrzynkę pana Grahama! Proszę bardzo, panie Graham, niech pan spocznie przy stole.

– Dziękuję. Czy ma pan może jakiś worek albo coś w tym rodzaju, w co mógłbym załadować zawartość tak dużej skrzynki? Chciałbym to przejrzeć w kabinie.

– Worek… hmm… Mógłbym przynieść coś ze sklepu z upominkami. Chwileczkę. Ile to panu zajmie? Zdąży pan do południa?

– Z pewnością.

– Niech więc pan zabierze skrzynkę ze sobą. Co prawda to wbrew przepisom, ale to ja ustaliłem te przepisy, możemy więc zaryzykować ich złamanie. Niech się pan jednak postara przynieść ją do południa. Między dwunastą a trzynastą mamy zamknięte, jest przerwa obiadowa. Jeżeli będę zmuszony siedzieć tu sam, podczas gdy moi pracownicy pójdą na obiad, będzie mi pan musiał postawić drinka!

– I tak to zrobię.

– Zagramy w kości o ten przywilej. Oto i ona. Proszę ją trzymać z dala od ognia.

Paszport Grahama był na samym wierzchu. Ciężar leżący mi na piersi zelżał. Nikt nie może się czuć bardziej zagubiony niż człowiek, który znalazł się poza granicami Unii bez paszportu… nawet jeśli nie jest to naprawdę Unia. Otworzyłem paszport i spojrzałem na zdjęcie. Czy rzeczywiście tak wyglądam? Udałem się do łazienki, aby porównać twarz w lustrze z twarzą w paszporcie.

Chyba w miarę podobna. Nie można za wiele wymagać od zdjęcia w paszporcie. Uniosłem fotografię do lustra. Nagle podobieństwo stało się znaczne. Masz krzywą gębę, koleś! Pan też, panie Graham.

Bracie, jeśli mam na stałe przyjąć twoją tożsamość, a wszystko wskazuje na to, że nie mam wyboru, to dobrze przynajmniej wiedzieć, że jesteśmy do siebie tak podobni. Odciski palców? Będziemy się tym martwić, gdy zaistnieje taka potrzeba. Wygląda na to, że w paszportach Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej nie zamieszcza się ich. To dobrze. Zawód: kierownik. Kierownik czego? Zakładu pogrzebowego? A może sieci hoteli o międzynarodowym zasięgu? Może to wcale nie będzie trudne, lecz po prostu niemożliwe.

Pocztę kierować na adres: Kancelaria adwokacka O’Hara, Rigsbee, Crumpacker i Rigsbee, apartament 7000, Budynek Smitha, Dallas.

O kurczę! Tylko skrytka pocztowa! Nie ma adresu domowego, adresu miejsca pracy ani samego miejsca pracy. Ty oszuście! Chętnie dałbym ci w trąbę!

(Nie może być nazbyt odrażający. Margrethe jest o nim dobrego zdania. Tak, ale powinien trzymać łapy z dala od niej. Wykorzystuje ją. To nieuczciwe. Kto ją wykorzystuje? Uważaj, chłopcze, to grozi rozdwojeniem jaźni).

W kopercie pod paszportem znajdowała się kopia biletu. Faktycznie była to pełna trasa – z Portland do Portland. No, bliźniaku, jeśli się nie pokażesz

przed szóstą, powrót do domu mam zapewniony. Może przyda ci się mój bilet na *Admirała Moffetta*. Życzę ci szczęścia.

Było tam jeszcze kilka drobiazgów, lecz większą część metalowej skrzynki zajmowało dziesięć grubych, zamkniętych kopert dużego formatu. Otworzyłem jedną z nich.

W środku były banknoty tysiącdolarowe. Sto sztuk. Sprawdziłem pośpiesznie pozostałych dziewięć. Wszędzie to samo. Milion dolarów gotówką.

Rozdział V

„Ucieka występny, choć go nikt nie goni,
lecz prawy jest ufny jak młody lew”.

Księga Przysłów 28,1

Zabrakło mi tchu w piersiach. Zakleiłem koperty za pomocą taśmy klejącej znalezionej w biurku Grahama. Włożyłem do skrzynki wszystko oprócz paszportu. Ten schowałem wraz z trzema tysiącami, które uważałem za „swoje”, w małej szufladzie biurka. Następnie zaniosłem ostrożnie skrzynkę do biura ochmistrza.

Za ladą stał ktoś inny, lecz sam ochmistrz był w środku. Zauważył mnie natychmiast.

– Cześć! – zawołał. – Tak szybko?!

Wyszedł z pomieszczenia.

– Tak. Tym razem, o dziwo, wszystko się zgadzało – powiedziałem, wręczając mu skrzynkę.

– Szkoda, że nie mogę pana zatrudnić w tym biurze. Tu nic się nigdy nie zgadza. Przynajmniej nie przed północą. Chodźmy na tego drinka. Czuję, że go potrzebuję.

– Ja też. Chodźmy.

Oficer poprowadził mnie w stronę rufy, do znajdującego się na wolnym powietrzu baru, którego nie zauważyłem na planie statku.

Pokład nad nami kończył się, a nasz – pokład D – ciągnął się dalej jako spacerowy. Pokryty był jasnymi tekowymi deskami, po których przyjemnie się stąpało. Końcówka pokładu C tworzyła nawis, z którego rozpostarto płótno. Pod nim właśnie znajdował się bar. Naprzeciwko umieszczono bufety, przy których ustawiła się kolejka pasażerów. A nieco dalej znajdował się basen, słychać było plusk wody, piski i okrzyki.

Ochmistrz poprowadził mnie do stolika, przy którym siedziało dwóch młodszych oficerów.

– Wy dwaj, jazda za burtę! – rzucił.

– Tak jest, panie Henderson!

Wstali, zabrali szklanki z piwem i przenieśli się dalej. Jeden z nich uśmiechnął się do mnie, jakbyśmy się znali, skinąłem więc głową i powiedziałem: „Cześć!”. Płócienny daszek częściowo ocieniał stolik. Ochmistrz spytał:

– Woli pan usiąść w słońcu i popatrzeć na panienki czy posiedzieć w cieniu i odpocząć?

– Wszystko mi jedno. Niech pan siada, gdzie chce, ja zajmę drugie krzesło.

– Hmm. Przesuńmy więc trochę ten stół, żebyśmy mogli obaj usiąść w cieniu. O, tak wystarczy.

Usiadł twarzą w stronę dziobu. Siłą rzeczy musiałem więc zająć krzesło zwrócone w stronę basenu, a to pozwoliło mi potwierdzić coś, co – jak mi się zdawało – dostrzegłem na pierwszy rzut oka. W tym basenie nie wymagano takich zbytecznych drobiazgów jak kostiumy kąpielowe.

Powinienem był to przewidzieć, gdybym się trochę zastanowił, lecz z jakiegoś powodu tego nie zrobiłem. Ostatni raz widziałem coś takiego – pływanie bez kostiumów – gdy miałem dwanaście lat. Był to przywilej zastrzeżony dla chłopców w podobnym wieku i jeszcze młodszych.

– Pytałem, co pan wypije, panie Graham.

– Och, przepraszam. Nie słuchałem pana.

– Wiem. Patrzył pan. Co ma być?

– Hmm… Duński Zombi.

Mrugnął do mnie.

– Nie radzę o tej porze. To prawdziwa siekiera. Halo! – Skinął w stronę kogoś za moimi plecami. – Podejdź do nas, maleńka!

Spojrzałem na wezwaną kelnerkę. Potem spojrzałem na nią po raz drugi. Ostatnio widziałem ją przez alkoholową mgłę wczorajszego wieczoru. Była to jedna z dwóch rudowłosych tancerek hula.

– Powiedz Hansowi, że zamawiam dwa Silver Fizz. Jak masz na imię, mała?

– Panie Henderson, jeśli nie przestanie pan udawać, że nie wie, jak mam na imię, wyleję panu drinka na sam środek łysiny.

– Dobrze, malutka. A teraz się pośpiesz! Ruszaj tymi tłustymi nóżkami!

Żachnęła się, kołysząc się z gracją na swych nogach – szczupłych i pełnych wdzięku.

– Miła dziewczyna – powiedział ochmistrz. – Jej rodzice mieszkali niedaleko mnie w Odense. Znam ją od dziecka. I do tego mądra. Bodel studiuje weterynarię. Został jej jeszcze rok.

– Naprawdę? Jak może pogodzić to zajęcie z nauką?

– Większość naszych dziewcząt to studentki. Niektóre biorą urlop dziekański, inne wyjeżdżają tylko na czas wakacji. Popływają po morzu, rozerwą się i zarobią na kolejny rok nauki. Chętniej przyjmuję do pracy dziewczęta pragnące zarobić na studia. Można na nich polegać, a poza tym znają więcej języków. Na przykład pańska stewardesa. Astrid?

– Nie, Margrethe.

– Prawda, pan jest w sto dziewiątce. Astrid ma na tym pokładzie kabiny na lewej burcie w części dziobowej. Po pańskiej stronie dyżuruje Margrethe. Margrethe Svensdatter Gunderson. Jest nauczycielką. Uczy angielskiego i historii. Zna też cztery inne języki, nie licząc skandynawskich. Z dwóch zdała egzamin państwowy. Wzięła roczny urlop ze szkoły imienia H.Ch. Andersena. Założę się, że już tam nie wróci.

– Hę? A to dlaczego?

– Wyjdzie za mąż za bogatego Amerykanina. Pan jest bogaty?

– *Ja*? A wyglądam na bogatego? (Czy to możliwe, żeby wiedział, co jest w tej skrzynce? Mój Boże, co należy zrobić z milionem dolarów, które nie są twoje? Nie mogę po prostu wyrzucić ich za burtę. Dlaczego Graham podróżował z taką ilością gotówki? Przyszło mi do głowy kilka powodów. Wszystkie wróżyły źle. Każdy z nich mógł mi przysporzyć więcej kłopotów, niż miałem przez całe życie).

– Bogaci Amerykanie nigdy nie wyglądają na bogaczy. Robią wszystko, by wyglądać na biedaków. Mam na myśli tych z Ameryki Północnej. Ci z Południowej to całkiem inna para kaloszy. Dziękuję ci, Gertrude, dobra z ciebie dziewczyna.

– Czy chce pan mieć tego drinka na łysinie?

– A czy ty chcesz, żebym cię wrzucił do basenu w ubraniu? Bądź grzeczna, malutka, albo powiem wszystko twojej mamie. Postaw szklaneczki i daj mi rachunek.

– Nie ma rachunku. Hans chciał postawić drinka panu Grahamowi. Postanowił, że tym razem uwzględni też pana.

– Powiedz mu, że w ten sposób bar traci pieniądze. Potrącę mu to z pensji.

Tak oto wypiłem dwa Silver Fizz zamiast jednego… i znalazłem się na prostej drodze do katastrofy przypominającej wczorajszą, gdy pan Henderson uznał, że powinniśmy coś zjeść. Miałem ochotę na trzeci koktajl. Po pierwszych dwóch przestałem się przejmować tą wariacką skrzynką pełną pieniędzy, a równocześnie zacząłem doceniać to, co widziałem w basenie. Odkryłem, że w dwadzieścia cztery godziny można zapomnieć o wszystkim, co wpaja się człowiekowi w ciągu całego życia. Nie było nic grzesznego w spoglądaniu na nieprzyozdobione kobiece piękno. Było to równie niewinne jak patrzenie na kwiaty czy młode kotki, za to znacznie bardziej zajmujące.

Nadal jednak miałem ochotę na następnego drinka.

Pan Henderson sprzeciwił się temu. Zawołał Bodel i powiedział coś do niej szybko po duńsku. Odeszła i po kilku minutach wróciła, niosąc pełną tacę – zakąski, gorące klopsy, miseczki z ciasta napełnione lodami i mocną kawę, a wszystkiego w bród.

Po dwudziestu pięciu minutach nadal podziwiałem nastolatki w basenie, lecz nie zmierzałem już ku następnej alkoholowej katastrofie. Wytrzeźwiałem na tyle, że zdałem sobie sprawę, iż nie rozwiążę swych problemów za pomocą pijaństwa, co więcej – skoro nie potrafię pić mocnych trunków – muszę unikać alkoholu, dopóki nie uporam się z tymi problemami. Wujek Ed miał rację. Występek wymagał treningu i długiej praktyki. W przeciwnym razie lepiej – ze względów praktycznych – pozostać na ścieżce cnoty, nawet gdy nakazy moralne przestały obowiązywać. Mnie już z pewnością nie obowiązywały. Inaczej nie siedziałbym tutaj ze szklanką diabelskiego trunku w ręku, patrząc na nagie kobiece ciała.

Stwierdziłem, że nie mam nawet krzty wyrzutów sumienia z jakiegokolwiek powodu. Żalem napełniała mnie jedynie smutna pewność,

że nie mogę wypić tyle alkoholu, na ile miałbym ochotę. „Łatwo jest zstąpić do piekieł”.

Pan Henderson wstał.

– Za niecałe dwie godziny cumujemy. Muszę jeszcze policzyć parę drobiazgów, zanim agent przybędzie na pokład. Dziękuję za miłe towarzystwo.

– To ja dziękuję! *Tusind tak!* Czy tak się to mówi?

Uśmiechnął się i odszedł. Siedziałem tam jeszcze przez chwilę pogrążony w myślach. Dwie godziny do cumowania, potem trzy w porcie. Jak mam wykorzystać tę sposobność? Pójść do amerykańskiego konsula? I co mu powiedzieć? Drogi panie konsulu, nie jestem tym, za kogo mnie uważają, właśnie przypadkowo znalazłem ten milion dolarów…

To śmieszne!

Nie powiedzieć nic nikomu, przywłaszczyć sobie ten milion, z forsą pod pachą zejść ze statku i odlecieć najbliższym sterowcem do Patagonii?

To niemożliwe. Zasady moralne mnie opuściły (widać nigdy nie miałem zbyt silnych), nadal jednak mierziło mnie pospolite złodziejstwo. Jest to czyn nie tylko zły, lecz również odzierający człowieka z godności. Szkoda tylko, że noszę ubrania Grahama.

Zabierz te trzy tysiące, które ci się „należą”, zejdź na ląd, zaczekaj, aż statek odpłynie, a potem wracaj do Ameryki tak, jak zdołasz! Głupi pomysł! Wylądujesz w tropikalnym mamrze, a twój kretyński gest w niczym nie pomoże Grahamowi. Nie masz wyboru, ty tępaku. Musisz zostać na pokładzie i czekać na Grahama, który się nie zjawi. Być może jednak nadejdzie jakaś wiadomość przez telegraf bez drutu lub coś w tym stylu. Czekaj, kretynie, aż statek odpłynie. Kiedy to się stanie, podziękuj Bogu za

to, że możesz wrócić do Jego kraju, podczas gdy Graham podziękuje Mu za swój bilet na *Admirała Moffetta*. Ciekawe, jak mu się podoba nazwisko „Hergensheimer”. Założę się, że bardziej niż mnie „Graham”. Hergensheimer to brzmi dumnie.

Podniosłem się i poczłapałem na drugi koniec pokładu. Następnie wszedłem dwa pokłady wyżej, do biblioteki. Nie było w niej nikogo oprócz kobiety rozwiązującej krzyżówkę. Oboje nie chcieliśmy, żeby ktoś nam przeszkadzał, było nam więc dobrze razem.

Większość szafek była zamknięta, a bibliotekarz nieobecny. Dostrzegłem jednak podniszczoną encyklopedię. To lektura w sam raz na początek.

Po dwóch godzinach przerwał mi ryk syreny wskazujący, że za chwilę przybijamy do brzegu. Mój umysł był pełen zdumiewających konceptów i jeszcze bardziej zdumiewających faktów. Nie zdążyłem jeszcze tego przetrawić. Po pierwsze, w tym świecie William Jennings Bryan nigdy nie został prezydentem. W roku 1896 wybrano zamiast niego McKinleya, który pełnił funkcję przez dwie kadencje, po czym został zastąpiony przez jakiegoś faceta o nazwisku Roosevelt.

Żaden z dwudziestowiecznych prezydentów nie był mi znany. Ponadto zamiast trwającego ponad sto lat pokoju, który zawdzięczaliśmy naszej tradycyjnej neutralności, Stany Zjednoczone wielokrotnie brały udział w wojnie poza swoimi granicami: w 1899, 1912–1917, 1932 (z Japonią!), 1950–1952, 1980–1984 i tak dalej aż do bieżącego roku, czy raczej tego, w którym wydano encyklopedię. „Królewski Skald” nie podawał, by aktualnie toczyła się jakaś wojna.

Za szybą na jednej z zamkniętych półek dostrzegłem trochę książek historycznych. Jeżeli za trzy godziny nadal będę na pokładzie, to podczas

długiej podróży do Ameryki muszę przeczytać wszystkie takie pozycje, które znajdę w bibliotece.

Znajomość nazwisk prezydentów oraz dat wojen nie była wszakże najpilniejszą sprawą. O takich rzeczach nie rozmawia się na co dzień. Przede wszystkim musiałem dowiedzieć się, jak w tym świecie ludzie żyją, rozmawiają, zachowują się, jedzą, piją, bawią się, modlą i kochają i czym różni się on od mojego świata. W przeciwnym razie moja ignorancja może wywołać niepożądane skutki – od niepotrzebnego zakłopotania aż do katastrofy. Zanim się tego wszystkiego nauczę, muszę się pilnować, aby mówić jak najmniej, a słuchać jak najwięcej.

Miałem kiedyś sąsiada, którego cała znajomość historii ograniczała się do dwóch dat: 1492 i 1776, a nawet co do nich nie był pewien, która oznacza jakie wydarzenie. Jego ignorancja w innych dziedzinach była równie wielka, niemniej zarabiał znakomicie jako przedsiębiorca drogowy. Aby funkcjonować jako istota społeczna i ekonomiczna, nie potrzeba szerokiej wiedzy… dopóki wie się, przy jakich okazjach należy wysmarować sobie pępek niebieskim błotem. Jednakże nieznajomość lokalnych zwyczajów może się skończyć linczem.

Zastanawiałem się, jak sobie radzi Graham. Przyszło mi do głowy, że jego sytuacja jest o wiele groźniejsza od mojej… jeśli założyć (co chyba należało uczynić), że po prostu zamieniliśmy się miejscami. Ja ze swoim wychowaniem mogłem tu uchodzić za ekscentryka, lecz sposób, w jaki on został wychowany, może mu przysporzyć poważnych kłopotów w moim świecie. Wystarczy rzucona mimochodem uwaga lub niewinny gest, aby wylądował w dybach. Albo jeszcze gorzej.

Najgroźniejsza jednak dla niego może się okazać próba podjęcia mojej roli we wszystkich aspektach – o ile się na to zdecyduje. Powiem tak: po roku małżeństwa podarowałem Abigail na urodziny eleganckie wydanie

Poskromienia złośnicy. Nawet nie podejrzewała, iż miała to być aluzja. Była tak przekonana o własnej doskonałości, że nie przyszło jej do głowy, iż w głębi serca zrównałem ją z Katarzyną. Jeśli Graham zajmie moje miejsce jako jej mąż, ich stosunki z pewnością staną się interesujące dla obu stron.

Nie skazałbym nikogo świadomie na związek z Abigail, ponieważ jednak nie pytano mnie o zdanie, nie zamierzałem wylewać krokodylich łez. (Jak to jest być w łóżku z kobietą, która używa na określenie tego wyłącznie słów „obowiązek małżeński”?)

Miałem przed sobą dwudziestotomową encyklopedię – miliony słów zawierające wszystkie ważniejsze dane o tym świecie, z którymi pilnie musiałem się zapoznać. Jak zrobić to najszybciej? Od czego zacząć? Niepotrzebna mi grecka sztuka, egipska historia czy geologia. Co jednak muszę koniecznie znać?

Zatem, co najpierw zwróciło moją uwagę w tym świecie? Sam statek. Jego staroświecki wygląd kontrastujący ze smukłą linią MV *Konge Knut*. A gdy znalazłeś się na pokładzie, brak telefonu w twojej – Grahama – kabinie. Brak wind dla pasażerów. Liczne drobiazgi przywodzące na myśl luksusy z czasów twojego dziadka.

Sprawdźmy więc, co piszą pod hasłem „Statki” – tom osiemnasty. Tak jest! Trzy strony ilustracji, wszystkie sprawiające wrażenie, jakby pochodziły z końca dziewiętnastego wieku. SS *Britannia* – największy i najszybszy liniowiec na północnym Atlantyku. Zabiera dwa tysiące pasażerów, a rozwija tylko szesnaście węzłów! Ponadto wygląda staroświecko.

Spróbujmy przeczytać hasło „Transport”… No, no! Nie jesteśmy zbyt zdziwieni, prawda? Ani słowa o sterowcach. Sprawdźmy to w skorowidzu. Sterowiec – nic, statek powietrzny – zero, aeronautyka – patrz „Balony”.

Proszę bardzo, ładny artykuł na temat baloniarstwa! Bracia Montgolfier i inni śmiali pionierzy. Jest nawet opowieść o odważnym i tragicznym ataku Salomona Andréego na biegun północny. Jednakże graf von Zeppelin albo nigdy nie istniał, albo nigdy nie zajął się aeronautyką.

Być może po zakończeniu wojny secesyjnej wrócił do Niemiec i nie znalazł tam atmosfery sprzyjającej idei podróży powietrznych, jaka panowała w Ohio w moim świecie. Tak czy inaczej, w tym świecie podróże powietrzne nie istnieją. Alex, gdybyś musiał tu pozostać, czy spodobałoby się tobie „wynalezienie” sterowca? Stałbyś się pionierem i magnatem finansowym. Byłbyś sławny i bogaty.

Skąd ci przyszło do głowy, że potrafiłbyś tego dokonać?

No wiesz! Miałem wszystkiego dwanaście lat, gdy po raz pierwszy leciałem sterowcem! Wiem o nich wszystko! Mógłbym narysować plany od ręki…

Czyżby? Narysuj mi plany ultralekkiego silnika Diesla, nie więcej niż jeden funt na konia mechanicznego. Wymień stopy, których należy użyć, podaj sposób ich obróbki, przedstaw schematy dla poszczególnych faz działania, wymień niezbędne rodzaje paliwa i smaru oraz wskaż źródła, z których je uzyskać…

Wszystko to jest do zrobienia!

Tak, ale czy *ty* potrafisz to zrobić? Nawet jeśli wiesz, że to możliwe? Przypominasz sobie, dlaczego zrezygnowałeś ze studiów technicznych i uznałeś, że masz powołanie kapłańskie? Religioznawstwo porównawcze, homiletyka, krytyka tekstu, apologetyka, hebrajski, łacina, greka – to

wszystko można wykuć na blaszkę. Ale do przedmiotów technicznych trzeba mieć łeb.

Chcesz powiedzieć, że jestem głupi?

Czy właziłbyś do tego dołu z ogniem, gdybyś miał na tyle rozumu, żeby się wymigać?

Dlaczego więc mnie nie powstrzymałeś?

Powstrzymać ciebie? A od kiedy to mnie słuchasz? Przestań się wymigiwać. Jaką ocenę miałeś z termodynamiki?

No dobrze! Załóżmy, że nie mogę tego dokonać sam…

Brawo!

Odchrzań się, dobrze? Świadomość, że czegoś można dokonać, to dwie trzecie roboty. Mógłbym zostać kierownikiem badań, stanąć na czele grupy młodych, zdolnych inżynierów. Oni zajmą się szczegółami. Moim wkładem będzie wyjątkowa w tym świecie wiedza o tym, jak sterowiec wygląda i w jaki sposób działa. Pasuje?

To właściwy podział pracy. Twój opis sterowca i ich zdolności. To mogłoby się udać, ale nie szybko i nie tanim kosztem. W jaki sposób zamierzasz to sfinansować?

Hmm, sprzedając udziały?

Pamiętasz, jak pewnego lata sprzedawałeś odkurzacze?

No więc… jest jeszcze ten milion dolarów.

No, no, niełądnie!

– Panie Graham?

Wyrwany ze swych ambitnych marzeń spojrzałem na jedną z urzędniczek z biura ochmistrza.

– Słucham.

Wręczyła mi kopertę.

– Od pana Hendersona. Mówił, że powinien pan wiedzieć, o co chodzi.

– Dziękuję.

Na kartce było napisane: „Drogi panie Graham. Jest tutaj trzech facetów, którzy twierdzą, że są z panem umówieni. Nie podoba mi się ich wygląd ani słownictwo. W tym porcie kręci się masa podejrzanych typów. Jeśli nie umawiał się pan z nimi lub nie chce się z nimi spotkać, niech pan powie tej dziewczynie, by oświadczyła, że nie mogła pana odnaleźć. Wtedy powiem im, że zszedł pan na brzeg. A.P. H.”.

Przez długą, nieprzyjemną chwilę wahałem się pomiędzy ciekawością a ostrożnością. Nie chcieli spotkać się ze mną, tylko z Grahamem. Czegokolwiek mogli od niego chcieć, nie byłem w stanie im tego zapewnić.

Wiesz dobrze, czego chcą!

Tak przypuszczam. Ale jeśli nawet mają kwit podpisany przez Świętego Piotra, nie mogę oddać im – ani nikomu innemu – tego kretyńskiego miliona. Wiesz o tym dobrze.

Jasne, że wiem. Chciałem się jedynie upewnić, że ty o tym wiesz. No dobrze, skoro pod żadnym pozorem nie możesz oddać trójce nieznajomych zawartości skrzynki Grahama, to po co się z nimi spotykać?

Dlatego, że muszę się *dowiedzieć*! A teraz się przymknij!

Zwróciłem się do urzędniczki:

– Proszę powiedzieć panu Hendersonowi, że zaraz przyjdę. Dziękuję za fatygę.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Hmm… panie Graham, widziałam, jak pan przechodził przez ogień. Był pan wspaniały!

– Byłem zwyczajnym kretynem. Mimo to dziękuję pani.

Stanąłem przy zejściówce i przyjrzałem się trzem czekającym na mnie typom. Wyglądali tak, jakby dobrano ich specjalnie, aby sprawiali groźne

wrażenie. Jeden – przerośnięty drab o wzroście około sześciu stóp i ośmiu cali. Jego ręce, stopy, szczęka i uszy stanowiły jaskrawy przypadek akromegalii. Drugi – konus – mniej więcej jedna czwarta rozmiarów pierwszego. Trzeci – niepozorny typ o martwym spojrzeniu.

Jeden od bicia, drugi od myślenia, a trzeci od mokrej roboty. A może mam nadpobudliwą wyobraźnię?

Każdy rozsądny facet wycofałby się po cichu i gdzieś zamelinował.

Widać nie jestem rozsądny.

Rozdział VI

„Jedzmy i pijmy, bo jutro pomrzemy!”

Księga Izajasza 22,13

Zszedłem po schodach, nie spoglądając na trzech typków, i podszedłem prosto do lady. Pan Henderson był na swoim miejscu.

– Tych trzech gości. Zna ich pan? – powiedział cicho.

– Nie, nie znam ich. Zapytam, czego chcą. Niech pan jednak ma nas na oku, dobrze?

– Zgoda!

Odwróciłem się i spróbowałem przejść obok uroczej trójki. Inteligent odezwał się ostro:

– Dokąd idziesz, Graham? Stój!

Nie zatrzymałem się.

– Zamknij się, idioto! – warknąłem. – Chcesz wszystko popsuć?

Osiłek stanął mi na drodze, wznosząc się nade mną jak wieżowiec.

Odezwałem się kątem ust, naśladując styl więzienny:

– Przestań urządzać sceny i zabierz stąd tych małpoludów! Musimy porozmawiać.

– Jasne, że porozmawiamy. *Ici!* Tu i teraz.

– Ty skończony kretynie – powiedziałem, rozglądając się nerwowo. – Nie tutaj. Szpicle. Pluskwy. Chodź ze mną. Ale Mutt i Jeff muszą zaczekać na nabrzeżu.

– *Non!*

– Boże, zmiłuj się! Słuchaj uważnie – szepnąłem. – Powiedz tym bydlakom, żeby zeszli ze statku i zaczekali przy trapie. Następnie my dwaj udamy się na pokład spacerowy, gdzie będziemy mogli porozmawiać bez świadków. W przeciwnym razie nic z tego! Osobiście powiem samemu szefowi, że spaprałeś sprawę. Kapujesz? *Natychmiast!* Albo wracaj i powiedz im, że nic z tego.

Zawahał się, po czym powiedział szybko po francusku coś, czego nie zrozumiałem, ponieważ moja francuszczyzna ograniczała się do zwrotów w rodzaju *La plume de ma tante*. Goryl zdawał się mieć niejakie wątpliwości, lecz rewolwerowiec wzruszył tylko ramionami i skierował się w stronę trapu.

– Szybko! Nie ma czasu! – rzuciłem do konusa. – Statek zaraz odpływa!

Ruszyłem na rufę, nie odwracając się. Narzuciłem szybkie tempo, musiał więc podążyć za mną, jeśli nie chciał stracić mnie z oczu. Byłem o tyle wyższy od niego, o ile małpolud był wyższy ode mnie. Musiał truchtać, aby dotrzymać mi kroku.

Wciąż szedłem na rufę, na pokład spacerowy. Minąłem bar, kierując się w stronę basenu.

Ponieważ statek stał w porcie, basen był, jak się tego spodziewałem, pusty. Jak zwykle wywieszono tablicę ZAMKNIĘTE NA CZAS POSTOJU STATKU W PORCIE oraz ogrodzono pływalnię za pomocą liny, wody jednak nie spuszczono. Przekroczyłem linę i stanąłem plecami do basenu. Gdy konus spróbował za mną pójść, wyciągnąłem rękę.

– Zostań tam – powiedziałem.

Zatrzymał się.

– Teraz możemy porozmawiać – stwierdziłem. – Co masz na swoje usprawiedliwienie? Niech to lepiej zabrzmi przekonywająco. Co chciałeś

osiągnąć, przyprowadzając ze sobą tego goryla? I to na duński statek! Pan B. będzie na ciebie bardzo, bardzo zły. Jak się nazywasz?

– Mniejsza o to. Gdzie pakunek?

– Jaki pakunek?

Zaczął coś bełkotać w gniewie, lecz przerwałem mu:

– Dość tego! Nie robi to na mnie wrażenia. Ten statek zaraz odpływa. Masz tylko kilka minut, aby wytłumaczyć mi, czego chcesz, i przekonać mnie, że powinienem ci to dać. Jeśli myślisz, że zdołasz mnie sterroryzować, to możesz od razu wrócić do swojego szefa i powiedzieć mu, że ci się nie udało. No, gadaj! Czego chcesz?

– Chcę dostać pakunek!

Westchnąłem.

– Mój drogi, głupi przyjacielu, powtarzasz się jak zdarta płyta. Już to słyszałem. Co to za pakunek i co w nim jest?

Zawahał się.

– Pieniądze.

– To ciekawe. A ile?

Tym razem wahał się dwa razy dłużej. Wreszcie ja sam przerwałem milczenie:

– Jeśli nie wiesz, ile ich jest, dam ci dwa franki na piwo i powiem „Do widzenia”. Czy o to ci chodzi? O dwa franki?

Tak chudy człowieczek nie powinien mieć kłopotów z wysokim ciśnieniem. W końcu zdołał wykrztusić:

– Amerykańskie dolary. Cały milion.

Roześmiałem mu się w twarz.

– Skąd ci przyszło do głowy, że mam aż tyle? A nawet gdybym miał, dlaczego miałbym ci je dać? Skąd mam wiedzieć, że to ty masz je przejąć?

– Oszalałeś czy co? Wiesz, kim jestem.

– Udowodnij to. Twoje oczy wyglądają dziwnie i głos też jakby nie jest ten sam. Myślę, że jesteś podstawiony.

– Podstawiony?

– Że się podszywasz! Jesteś oszustem.

Powiedział coś gniewnym tonem, chyba po francusku. Z pewnością nie były to komplementy. Przekopawszy swą pamięć, powtórzyłem dokładnie i z odpowiednią intonacją usłyszaną wczoraj przy kolacji uwagę, po której mąż wypowiadającej ją damy stwierdził, że nie powinna się tak denerwować. Nie była ona odpowiednia do sytuacji, jednakże zamierzałem go po prostu rozgniewać.

Najwyraźniej udało mi się. Gdy uniósł rękę, złapałem go za nadgarstek, potknąłem się celowo i wpadłem tyłem do basenu, pociągając go za sobą.

– Ratunku! – krzyknąłem.

Wpadliśmy z pluskiem do wody. Schwyciłem go mocno i wspiąłem się po jego ciele, spychając go w dół.

– Ratunku! On chce mnie utopić!

Ponownie znaleźliśmy się pod wodą, walcząc ze sobą. Wzywałem pomocy za każdym razem, gdy udało mi się wystawić głowę na powierzchnię. W chwili, gdy pomoc nadeszła, moje ciało nagle zwiotczało.

Leżałem bezwładnie, dopóki nie zaczęli mnie reanimować metodą usta-usta. W tym momencie parsknąłem i otworzyłem oczy.

– Gdzie jestem?

– Wraca do siebie. Nic mu nie będzie – powiedział ktoś.

Rozejrzałem się. Leżałem na plecach w pobliżu basenu.

Ktoś musiał ratować mnie w naprawdę fachowy sposób, ponieważ moja ręka o mało nie została wyrwana ze stawu. Poza tym czułem się dobrze.

– Gdzie on jest? – zapytałem. – Ten facet, który mnie wepchnął.

– Uciekł.

Rozpoznawszy głos, obróciłem głowę. Mój przyjaciel pan Henderson, ochmistrz.

– Naprawdę?

To załatwiało sprawę. Mój znajomy o twarzy szczura wylazł z basenu, gdy mnie z niego wyciągano, i czmychnął ze statku. Zanim skończono przywracać mnie do życia, Wredniak i jego dwóch goryli zdążyli się ulotnić.

Pan Henderson kazał mi leżeć bez ruchu, dopóki nie przybędzie lekarz okrętowy. Ten osłuchał mnie i oznajmił, że nic mi nie dolega. Powiedziałem im kilka drobnych kłamstw, parę półprawd oraz jeden raz udzieliłem wymijającej odpowiedzi. Tymczasem usunięto już trap i po chwili głośna syrena oznajmiła, że odbiliśmy od brzegu.

Nie uważałem za konieczne wspominać komukolwiek, że w szkole grałem w piłkę wodną.

Następne dni były doprawdy słodkie. Najsłodsze winogrona rosną w końcu na stokach czynnego wulkanu.

Udało mi się poznać (powtórnie?) ludzi, z którymi siedziałem przy stole, i najwyraźniej nikt nie zauważył, że jestem obcy. Zdołałem poznać ich nazwiska, uważnie słuchając, jak zwracają się do siebie, i zapamiętałem je. Wszyscy byli dla mnie bardzo uprzejmi. Nie tylko byłem „najstarszy” – dokumenty wskazywały, że jestem na pokładzie od początku podróży – lecz również uważany przynajmniej za znakomitość, jeśli nie za bohatera, ponieważ przeszedłem przez ogień.

Nie korzystałem z basenu. Nie byłem pewien, jakie umiejętności pływackie miał Graham, a że zostałem „uratowany”, nie chciałem okazywać takich, które stałyby w sprzeczności z akcją ratunkową. Poza tym, choć przyzwyczaiłem się już do stopnia nagości, który w poprzednim życiu byłby dla mnie gorszący (a nawet go polubiłem), nie wydawało mi się, abym mógł czuć się swobodnie, przebywając całkiem nago w towarzystwie.

Przestałem się przejmować tajemnicą Wredniaka i jego towarzyszy, ponieważ nie mogłem w tej sprawie nic zrobić.

Tak samo postąpiłem ze wszechogarniającą tajemnicą tego, kim jestem i w jaki sposób się tu znalazłem. Nie mogłem nic na to poradzić, więc nie przejmowałem się tym więcej. Po zastanowieniu zdałem sobie sprawę, że jestem w identycznej sytuacji jak każdy z żyjących: nie wiemy, kim jesteśmy, skąd się wzięliśmy ani jaki to wszystko ma cel. Mój dylemat nie był odmienny, jedynie świeższy.

Jedna rzecz (być może jedyna), której nauczyłem się w seminarium, to patrzeć ze spokojem na tajemnicę życia, nie przejmując się tym, iż nie potrafię jej rozwiązać. Uczciwi kapłani i kaznodzieje nie mogą znaleźć pociechy w religii, lecz muszą się zadowolić skromniejszą nagrodą, jaką przynosi filozofia. Nigdy nie interesowałem się metafizyką, nauczyłem się jednak nie trapić problemami, których nie jestem w stanie rozwiązać.

Wiele czasu spędzałem w bibliotece lub też czytając na pokładzie. Dowiedziałem się dużo o tym świecie i zaczynałem czuć się tu jak w domu. Szczęśliwe dni, które mijały jak złoty sen dzieciństwa.

Codziennie też spotykałem Margrethe.

Czułem się jak chłopiec przeżywający pierwszy atak szczenięcej miłości.

To był niezwykły romans. Nie mogliśmy mówić o miłości, czy może ja nie mogłem, a ona nie chciała. Codziennie była moją służącą (podobnie jak

innych pasażerów)… i moją „matką” (też podobnie jak innych? Nie sądzę… ale nie mogę być pewien). Nasze stosunki były bliskie, lecz nie intymne. Jedynie w tych krótkich chwilach, gdy „płaciłem” jej za zawiązanie krawata, stawała się moją cudowną i niezwykle namiętną kochanką. Tylko jednak wtedy.

Później byłem znów „panem Grahamem”. Odnosiła się do mnie ciepło i przyjaźnie, lecz nie w sposób poufały. Chętnie rozmawiała ze mną, stojąc przy otwartych drzwiach i powtarzając mi najnowsze plotki ze statku. Zawsze jednak zachowywała się jak wspaniale wyszkolona służąca. Przepraszam, jak wspaniale wyszkolony członek załogi skierowany do pełnienia posług osobistych. Każdego dnia dowiadywałem się o niej nieco więcej i nie znajdowałem w niej żadnych wad.

Dzień zaczynał się dla mnie od jej wytęsknionej obecności. Z reguły, gdy szedłem na śniadanie, udawało mi się spotkać ją w korytarzu lub przynajmniej dostrzec przez uchylone drzwi pokoju, który sprzątała… Zwykłe „Dzień dobry, Margrethe” i „Dzień dobry, panie Graham”. Lecz słońce nie wschodziło, dopóki się nie przywitaliśmy.

W ciągu dnia widywałem ją od czasu do czasu. Punkt szczytowy stanowił zawsze wspaniały rytuał, który odbywaliśmy po zawiązaniu mojego krawata.

Widywałem ją też przelotnie po kolacji. Zaraz po jej zakończeniu wracałem na kilka minut do kabiny, aby się odświeżyć przed wieczornymi rozrywkami – przedstawieniem, koncertem czy partyjką – lub po prostu powrotem do biblioteki. Margrethe była zawsze gdzieś na prawej burcie, w korytarzu pokładu C. Rozścielała łóżka, sprzątała łazienki i tak dalej, słowem, przygotowywała na noc kabiny swych pasażerów. Ponownie witałem się z nią, a następnie czekałem w kabinie (niezależnie, czy uporządkowała ją już, czy nie). Po chwili przychodziła pościelić mi łóżko

albo po prostu zapytać: „Czy będzie pan jeszcze dzisiaj czegoś potrzebował?”.

Nieodmiennie uśmiechałem się, odpowiadając: „Dziękuję ci, Margrethe. Nic mi nie trzeba”. Wtedy mówiła: „Dobranoc”, i życzyła mi przyjemnych snów. To był koniec dnia, niezależnie od tego, co jeszcze robiłem, zanim udałem się na spoczynek.

Rzecz jasna, odczuwałem pokusę – za każdym razem! – aby powiedzieć: „Wiesz, czego potrzebuję!”. Nie mogłem jednak tego zrobić. Po pierwsze, byłem żonaty. Co prawda moja żona (czy raczej ja) została gdzieś w innym świecie, ale nic nie zwalnia od świętego sakramentu małżeństwa (chyba że grób). Po drugie, ona miała romans (jeśli rzeczywiście miała) z Grahamem, pod którego się podszywałem. Nie mogłem jej odmówić tego wieczornego pocałunku (nie jestem doskonały jak aniołowie!), ale jeżeli chciałem być uczciwy wobec mojej ukochanej, nie mogłem posunąć się dalej. Po trzecie, prawy mężczyzna nie może zaoferować obiektowi swojej miłości niczego mniej niż sakrament małżeński… a tego nie mogłem uczynić zarówno ze względów prawnych, jak i moralnych.

Te słodkie dni były więc wypełnione również goryczą. Każdy przybliżał mnie do nieuniknionej chwili, gdy będę musiał rozstać się z Margrethe, aby – niemal na pewno – nigdy już jej nie zobaczyć.

Nie mogłem jej nawet powiedzieć, jaka to będzie dla mnie strata.

Moja miłość nie była jednak tak altruistyczna, abym miał nadzieję, że rozstanie jej nie zasmuci. Jak obrzydliwie samolubny nastolatek pragnąłem, aby tęskniła za mną równie mocno, jak ja za nią. Szczenięca miłość, bez dwóch zdań! Na swe usprawiedliwienie mogę powiedzieć jedynie, że znałem dotąd wyłącznie „miłość” kobiety, która kochała Jezusa tak bardzo, że brakowało już jej uczuć dla istot z krwi i kości.

Nigdy nie żeńcie się z kobietą, która modli się zbyt wiele.

Po dziesięciu dniach od wyjścia z Papeete, gdy Meksyk był już niemal za horyzontem, ta niepewna idylla dobiegła końca.

Od kilku dni Margrethe stawała się coraz bardziej milcząca. Nie mogłem czynić jej wymówek, ponieważ nie zdarzyło się nic, na co mógłbym wskazać palcem, a już z pewnością nic, na co mógłbym się skarżyć.

Tego wieczora jednak, gdy zawiązywała mi krawat, nastąpiło przesilenie.

Jak zwykle uśmiechnąłem się do niej, podziękowałem jej i pocałowałem ją. Nagle przerwałem, trzymając ją w ramionach, i zapytałem:

– Co się stało? Wiem, że potrafisz całować lepiej. Czy brzydko pachnie mi z ust?

– Panie Graham, sądzę, że powinniśmy tego zaprzestać – odpowiedziała spokojnie.

– Panie Graham? Co takiego ci zrobiłem, Margrethe?

– Nic pan nie zrobił!

– W takim razie… Kochanie, czemu płaczesz?

– Przepraszam. Nie chciałam.

Wyjąłem chusteczkę, otarłem jej łzy i powiedziałem łagodnym tonem:

– Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić. Jeśli uczyniłem coś niewłaściwego, musisz mi o tym powiedzieć, abym mógł się poprawić.

– Jeśli pan tego nie wie, nie wiem, jak panu to wytłumaczyć.

– Nie możesz spróbować? Proszę cię! (Czy to nie jedno z tych cyklicznych zaburzeń emocjonalnych, do których kobiety bywają skłonne?)

– Hmm… Panie Graham, wiedziałam, że to nie może trwać dłużej niż ta podróż, i, proszę mi wierzyć, nie liczyłam na nic więcej. To chyba znaczy dla mnie więcej niż dla pana. Nie myślałam jednak, że zakończy to pan tak po prostu, bez żadnego wytłumaczenia, wcześniej, niż to konieczne.

– Margrethe… ja nie rozumiem.

– Rozumie pan!

– Naprawdę nie.

– Musi pan rozumieć. Upłynęło jedenaście dni. Każdego wieczora pytałam pana i za każdym razem odtrącał mnie pan. Panie Graham, czy już nigdy nie poprosi pan, żebym przyszła później?

– Och! A więc o to ci chodzi! Margrethe…

– Słucham pana.

– Nie jestem „panem Grahamem”.

– Słucham?

– Nazywam się Hergensheimer. Minęło dokładnie jedenaście dni od chwili, gdy ujrzałem cię po raz pierwszy. Przykro mi. Potwornie przykro. Taka jednak jest prawda.

Rozdział VII

„A teraz popatrzcie na mnie:
więc w żywe oczy kłamałbym?”

Księga Hioba 6,28

Margrethe jest osłodą mojego życia, a także dobrze wychowaną dorosłą osobą. Nie straciła oddechu, nie próbowała się ze mną sprzeczać ani też nie powiedziała: „O nie!” lub „Nie wierzę w to!”. Usłyszawszy moje słowa, znieruchomiała, odczekała chwilę, po czym oznajmiła:

– Nie rozumiem.

– Ja też tego nie rozumiem – odparłem. – Coś się wydarzyło, kiedy szedłem przez ten dół z ogniem. Świat się zmienił. Ten statek – uderzyłem pobliską gródź – nie jest statkiem, na którym płynąłem uprzednio. Ludzie mówią na mnie „Graham”… podczas gdy dobrze wiem, że nazywam się Alexander Hergensheimer. Nie chodzi jednak tylko o mnie i o ten statek. Cały świat się zmienił. Inna jest historia, inne są kraje. Nie ma tu sterowców.

– Alec, co to takiego sterowiec?

– Hmm. Lata jak balon. Właściwie to jest balon, ale leci bardzo szybko, ponad sto węzłów.

Zastanowiła się nad tym poważnie.

– Wydaje mi się, że bałabym się nim lecieć.

– Nie ma powodu. To najlepszy sposób podróżowania. Przyleciałem tu sterowcem *Graf von Zeppelin* należącym do North American Airlines. W tym świecie jednak nie ma sterowców. Ten fakt ostatecznie przekonał mnie, że znajduję się w innym świecie i że nie jest to tylko skomplikowany dowcip, który ktoś mi zrobił. Transport powietrzny jest tak ważnym elementem ekonomii świata, który znam, że jego brak zmienia właściwie wszystko. Na przykład… Słuchaj, czy ty mi wierzysz?

Odpowiedziała powoli i z namysłem:

– Wierzę, że mówisz prawdę, tak jak ją widzisz. Ale ja widzę ją zupełnie inaczej.

– Wiem. Dlatego to takie trudne… Słuchaj, jeśli się nie pośpieszysz, spóźnisz się na kolację, prawda?

– To nieważne.

– Nie, to jest ważne. Nie możesz chodzić głodna tylko dlatego, że popełniłem głupi błąd i zraniłem twoje uczucia. A jeśli ja nie przyjdę, Inga wyśle kogoś, by sprawdził, czy jestem chory, śpię czy co tam jeszcze. Widziałem, jak robiła to, gdy któryś z gości nie przyszedł do stołu. Margrethe, moja kochana! Pragnąłem ci to powiedzieć, czekałem, aby ci to powiedzieć, i chciałem ci to powiedzieć, a teraz mogę i muszę to uczynić. Nie mogę jednak tego zrobić w ciągu pięciu minut, na stojąco. Czy kiedy pościelisz już łóżka na noc, poświęcisz trochę czasu, aby mnie wysłuchać?

– Alec, zawsze poświęcę tobie tyle czasu, ile tylko będziesz chciał.

– Dobrze. Zejdź na kolację! Ja też się pokażę, przynajmniej na chwilę, żeby Inga się nie czepiała, i spotkamy się tutaj, gdy pościelisz łóżka. Pasuje?

Zamyśliła się głęboko.

– Pasuje. Alec… pocałujesz mnie jeszcze?

W ten sposób przekonałem się, że mi uwierzyła. Lub przynajmniej chciała uwierzyć. Przestałem się martwić. Zjadłem nawet całą kolację, chociaż nazbyt pośpiesznie.

Czekała już na mnie, gdy wróciłem. Kiedy wszedłem do kabiny, wstała. Wziąłem ją w ramiona, cmoknąłem w nos, po czym złapałem za łokcie i posadziłem na koi. Następnie sam usiadłem na jedynym krześle.

– Najdroższa, czy myślisz, że zwariowałem?

– Alec, nie mam pojęcia, co mam myszleć.

(Tak jest, powiedziała „myszleć”. W rzadkich chwilach, pod wpływem nagłych emocji, Margrethe traciła zdolność wymowy miękkich spółgłosek. Poza tym jej akcent był znacznie lepszy od mojego akcentu z Midwestu, szorstkiego jak zardzewiała piła).

– Wiem – zgodziłem się. – Miałem ten sam problem. Można na to patrzeć tylko na dwa sposoby. Albo coś niewiarygodnego zdarzyło się w chwili, gdy przechodziłem przez ogień, coś, co zmieniło cały mój świat, albo jestem szalony jak kot po walerianie. Spędziłem całe dni na sprawdzaniu faktów i… świat rzeczywiście się zmienił. Nie chodzi tylko o sterowce. Nie ma kajzera Wilhelma IV, a jego miejsce zajmuje jakiś głupi prezydent Schmidt. Jest jeszcze masa podobnych rzeczy.

– Nie powiedziałabym, że Herr Schmidt jest „głupi”. Jest całkiem niezły jak na niemieckiego prezydenta.

– W tym problem, kochanie. Mnie każdy prezydent Niemiec wydaje się głupi, ponieważ w moim świecie Niemcy są jedną z ostatnich monarchii absolutnych na Zachodzie. Nawet car nie dysponuje taką władzą.

– To właśnie chciałam ci powiedzieć, Alec. Nie ma ani kajzera, ani cara. Wielki książę moskiewski jest monarchą konstytucyjnym i nie rości już

sobie praw do zwierzchnictwa nad pozostałymi krajami słowiańskimi.

– Margrethe, oboje mówimy to samo. Świat, w którym się wychowałem, zniknął. Muszę teraz poznać nowy świat, który nie jest całkowicie odmienny. Geografia chyba się nie zmieniła, także część historii. Wygląda na to, że oba światy były identyczne niemal do początku dwudziestego stulecia. Powiedzmy, do roku 1890. Około stu lat temu wydarzyło się coś dziwnego, co spowodowało ich oddzielenie… a około dwunastu dni temu coś równie dziwnego przytrafiło się mnie i zostałem przeniesiony do tego świata. – Uśmiechnąłem się do niej. – Nie żałuję tego jednak. Wiesz dlaczego? Ponieważ spotkałem tutaj *ciebie*!

– Dziękuję ci. Dla mnie też jest ważne, że ty tu jesteś.

– A zatem wierzysz mi. Tak jak ja musiałem uwierzyć w to. Przestałem już właściwie się tym przejmować. Martwi mnie tylko jedno: Co się stało z Alekiem Grahamem? Czy zajął moje miejsce w moim świecie? A jeśli nie, to co?

Nie odpowiedziała mi od razu, a kiedy to uczyniła, jej odpowiedź wydawała się nie na temat.

– Alec, czy zechciałbyś zdjąć spodnie?

– Co powiedziałaś, Margrethe?

– Proszę cię. Nie żartuję ani nie próbuję cię uwieść. Muszę coś zobaczyć. Proszę cię, opuść spodnie.

– Nie rozumiem… No dobrze. – Przymknąłem się i zrobiłem to, o co mnie prosiła, choć w stroju wieczorowym nie było to łatwe. Musiałem zdjąć marynarkę i pas smokingowy, zanim odsłoniłem szelki na tyle, aby móc je ściągnąć z ramion. Następnie zacząłem z niechęcią rozpinać guziki rozporka. (Kolejny minus tego zacofanego świata. Nie było zamków błyskawicznych. Nigdy ich nie doceniałem, dopóki mi ich nie zabrakło).

Odetchnąłem głęboko i opuściłem spodnie o kilka cali.

– Wystarczy?

– Jeszcze trochę. Odwróć się, proszę.

Zrobiłem to, o co mnie prosiła. Poczułem jej dłonie, delikatne i nienatarczywe, na prawym pośladku. Uniosła koniec koszuli i opuściła nieco majtki.

Po chwili obie części garderoby wróciły na miejsce.

– To wystarczy. Dziękuję ci.

Włożyłem koszulę w spodnie i zapiąłem rozporek, po czym nałożyłem szelki i sięgnąłem po pas.

– Chwileczkę, Alec – powiedziała.

– Co? Myślałem, że skończyłaś.

– Tak. Nie musisz już jednak wkładać stroju wieczorowego. Przygotuję ci domowe spodnie i koszulę. Chyba że chcesz wrócić do sali klubowej?

– Nie, o ile ty zostaniesz tu ze mną.

– Zostanę. Musimy porozmawiać.

Szybko wyjęła domowe spodnie i sportową koszulę i położyła je na łóżku.

– Przepraszam cię na chwilę – powiedziała, wchodząc do łazienki.

Nie wiem, czy musiała z niej skorzystać, czy nie, lecz wiedziała, że wygodniej mi będzie się przebrać w kabinie niż w ciasnej łazience. Przebrany poczułem się lepiej. Koszula ze sztywnym gorsem i pas smokingowy są wygodniejsze niż kaftan bezpieczeństwa, ale tylko nieznacznie.

Wyszła z łazienki i natychmiast schowała do szafy wszystko, co zdjąłem, oprócz koszuli i kołnierzyka. Wyjęła z koszuli spinki, a z kołnierzyka guziki i odłożyła je na bok, po czym wrzuciła koszulę do torby na brudną bieliznę. Zastanawiałem się, co powiedziałaby Abigail, patrząc na te żonine

czynności. Uważała ona, że nie należy mnie rozpuszczać… i nie rozpuszczała.

– O co ci chodziło, Margrethe?

– Musiałam coś sprawdzić. Alec, zastanawiałeś się, co się stało z Alekiem Grahamem. Znam już odpowiedź.

– Tak?

– On jest tutaj. Ty nim jesteś.

– Dowiedziałaś się tego, patrząc na kilka cali kwadratowych moich pleców? – spytałem w końcu. – Co tam znalazłaś, Margrethe? Znamię w kształcie truskawki, które pozwoli rozpoznać zaginionego spadkobiercę?

– Nie, Alec. Twój „Krzyż Południa”.

– Moje co?

– Proszę cię, Alec. Miałam nadzieję, że to przywróci ci pamięć. Widziałam to już pierwszej nocy, gdy – zawahała się, ale po chwili spojrzała mi prosto w oczy – kochaliśmy się. Zapaliłeś światło, a potem obróciłeś się na brzuch, żeby zobaczyć, która godzina. Wtedy zauważyłam znamiona na twoim prawym pośladku. Zwróciłam uwagę na wzór, jaki tworzą. Żartowaliśmy na ten temat. Powiedziałeś, że to twój Krzyż Południa, dzięki któremu wiesz, która strona jest która. – Zaczerwieniła się lekko, wciąż jednak spoglądała mi prosto w oczy. – Ja również pokazałam ci kilka znamion. Alec, przykro mi, że tego nie pamiętasz. Uwierz mi, proszę. Byliśmy już wtedy na tyle blisko ze sobą, że mogliśmy żartować z takich rzeczy bez obawy, że uznasz mnie za zbyt śmiałą lub nieuprzejmą.

– Margrethe, nie wyobrażam sobie, żebyś w jakiejkolwiek sytuacji mogła być zbyt śmiała lub nieuprzejma. Przykładasz zbyt wielką wagę do przypadkowego układu znamion. Mam ich pełno na całym ciele. Nie dziwi

mnie, że kilka z nich z tyłu, gdzie trudno mi je dostrzec, układa się w kształt krzyża. Ani to, że Graham miał podobne.

– Nie podobne. Identyczne.

– Cóż… istnieje znacznie lepszy sposób, żeby to sprawdzić. W biurku leży mój portfel, to znaczy Grahama. Jest w nim prawo jazdy. Jego prawo jazdy. A w nim odcisk jego kciuka. Nie sprawdzałem tego, ponieważ nie miałem najmniejszych wątpliwości, że on to Graham, a ja to Hergensheimer, i że nie jesteśmy tą samą osobą. Niemniej jednak można to sprawdzić. Wyjmij je, kochanie. Przekonaj się sama. Odcisnę kciuk na lustrze w łazience. Porównaj oba odciski. Wtedy się upewnisz.

– Alec, ja jestem pewna. To ty w to nie wierzysz, więc sprawdź sam.

Propozycja Margrethe brzmiała rozsądnie. Zgodziłem się z nią.

Wyjąłem prawo jazdy Grahama, po czym odcisnąłem swój kciuk na lustrze w łazience po potarciu go o nos, gdzie skóra jest znacznie bardziej natłuszczona niż na opuszkach. Stwierdziwszy, że odcisk na szkle nie jest zbyt wyraźny, wysypałem na dłoń trochę talku i zdmuchnąłem go w stronę lustra.

Jeszcze gorzej. Proszek, którego używają detektywi, musi być znacznie drobniejszy niż talk stosowany do golenia. A może po prostu nie umiałem się nim posługiwać. Zrobiłem następny odcisk, tym razem bez proszku, i spojrzałem na oba, na swój prawy kciuk i na odcisk na prawie jazdy. Sprawdziłem, czy to istotnie odcisk prawego kciuka. Tak było.

– Margrethe! Chodź, popatrz na to, proszę!

Weszła do łazienki.

– Spójrz na nie – powiedziałem. – Na wszystkie cztery. Mój kciuk i trzy odciski. Na wszystkich jest wzór w kształcie łuku, ale to samo dotyczy połowy odcisków na świecie. Założę się z tobą, że twój kciuk też ma wzór w kształcie łuku. Potrafisz uczciwie odpowiedzieć na pytanie, czy to są

odciski tego samego kciuka? Albo może mojego lewego? Mogli się przecież pomylić.

– Nie potrafię, Alec. Nie znam się na tym.

– No tak. Myślę, że nawet ekspert nie zdołałby tego dokonać w tym oświetleniu. Musimy to odłożyć do rana. Potrzebne nam jasne światło słońca na pokładzie. Będą też potrzebne biały, lśniący papier, szkło powiększające i tusz do stempli. Założę się, że pan Henderson posiada te wszystkie rzeczy. Możemy to zrobić jutro?

– Z pewnością. Mnie ten test jest niepotrzebny, Alec. Moje serce udzieliło mi odpowiedzi. I twój „Krzyż Południa”. Straciłeś pamięć, ale wciąż jesteś sobą… i któregoś dnia wszystko sobie przypomnisz.

– To nie takie proste, kochanie. Ja *wiem*, że nie jestem Grahamem. Margrethe, czy wiesz cokolwiek o jego interesach? Albo znasz powód, dla którego podróżował tym statkiem?

– Czy muszę mówić „on”? Nie pytałam cię o twoje sprawy, Alec, a ty nigdy mi nic nie mówiłeś.

– Tak, sądzę, że powinnaś mówić „on”, przynajmniej dopóki nie porównamy odcisków kciuka. Czy był żonaty?

– Tego również mi nie powiedział, a ja nie pytałam.

– Ale dałaś do zrozumienia… nie, powiedziałaś wprost, że „kochałaś się” z tym mężczyzną, za którego mnie uważasz, i że byłaś z nim w łóżku.

– Alec, robisz mi wyrzuty?

– Nie, nie, nie! (Ale robiłem i ona o tym wiedziała). To twoja sprawa, z kim chodzisz do łóżka. Muszę ci jednak powiedzieć, że *ja* jestem żonaty.

– Alec, nie usiłowałam skłonić cię do małżeństwa – odparła z wyrzutem.

– Raczej Grahama. Mnie tu nie było.

– Niech będzie, że Grahama. Nie miałam zamiaru go usidlić. Kochaliśmy się, ku obopólnemu szczęściu. Żadne z nas nie wspominało o małżeństwie.

– Posłuchaj! Przepraszam, że w ogóle poruszyłem tę sprawę. Wydawało mi się, że ma to pewien związek z całą zagadką, to wszystko. Margrethe, czy uwierzysz mi, jeśli ci powiem, że prędzej odciąłbym sobie rękę albo wyłupił oko i odrzucił od siebie, niż skrzywdził cię w jakikolwiek sposób?

– Dziękuję ci, Alec. Wierzę ci.

– Jezus powiedział jedynie: „Idź i nie grzesz więcej”. Nie sądzisz chyba, że mógłbym uznać, iż mam prawo być surowszym sędzią niż on. Nie chciałem cię osądzać, szukałem tylko informacji na temat Grahama. Zwłaszcza jego interesów. Hmm. Czy podejrzewałaś kiedykolwiek, że mógłby być zamieszany w jakieś nielegalne sprawy?

Uśmiechnęła się blado.

– Nawet gdybym kiedykolwiek podejrzewała coś takiego, moja lojalność wobec „niego” jest taka, że nigdy nie powiedziałabym tego. I nie powiem ci nic więcej, skoro twierdzisz, że nie jesteś nim.

– Poddaję się. – Uśmiechnąłem się nieśmiało. Czy mogę jej powiedzieć o skrzynce? Tak jest, nawet muszę. Muszę być z nią szczery i przekonać ją, że podobna szczerość z jej strony nie będzie oznaczać nielojalności wobec „mnie” (Grahama). – Margrethe, nie pytałem cię z czystej ciekawości ani nie chciałem się pakować w nie swoje sprawy. Mam też inne kłopoty i potrzebuję twojej rady.

Tym razem to ona była zdumiona.

– Alec… ja rzadko udzielam rad. Nie lubię tego robić.

– Wyjaśnię ci, na czym polega mój problem. Nie musisz mi nic radzić… ale może zdołasz mi pomóc w jego analizie.

Opowiedziałem jej szybko o tym przeklętym milionie dolarów.

– Margrethe, czy znasz jakiś zgodny z prawem powód, dla którego uczciwy człowiek mógłby mieć przy sobie milion dolarów w gotówce? Czeki podróżne, listy kredytowe, weksle, nawet obligacje na okaziciela…

ale gotówka? Powiedziałbym, że jest to równie niewiarygodne jak to, co przytrafiło mi się w tym dole pełnym ognia. Potrafisz spojrzeć na to inaczej? Z jakiego *uczciwego* powodu człowiek mógłby wziąć ze sobą tyle gotówki, wyruszając w taką podróż jak ta?

– Nie chcę nikogo osądzać.

– Nie wymagam tego od ciebie. Chcę tylko, żebyś wytężyła wyobraźnię i powiedziała mi, dlaczego ktoś miałby mieć przy sobie milion dolarów w gotówce. Czy możesz mi podać jakiś powód? Tak nieprawdopodobny, jak zechcesz… ale powód.

– Powodów mogło być wiele.

– Czy możesz wymienić choć jeden?

Czekałem przez chwilę, lecz Margrethe milczała. W końcu westchnąłem i powiedziałem:

– Ja też nie. Widzę, rzecz jasna, mnóstwo nielegalnych powodów, gdyż tak zwane „gorące” pieniądze niemal zawsze są przewożone w gotówce. To tak oczywiste, że większość rządów, myślę, że nawet wszystkie, zakłada, iż każda większa ilość gotówki, którą obraca się bez pośrednictwa banku lub rządu, pochodzi z przestępstwa… dopóki nie udowodni się, że jest inaczej. Nęka mnie też jeszcze bardziej przygnębiająca myśl, że są to fałszywe pieniądze. Powiedz, proszę, co powinienem z nimi zrobić. Te pieniądze nie należą do mnie. Nie mogę zabrać ich ze statku. Z tego samego powodu nie mogę ich zostawić. Nie mogę nawet wyrzucić ich za burtę. Cóż więc mam zrobić?

To nie było pytanie retoryczne. Musiałem znaleźć odpowiedź, która pozwoli mi uniknąć wylądowania w ciupie za coś, co zrobił Graham. Jak dotąd przyszło mi tylko do głowy, by zwrócić się do jedynej władzy na statku, czyli kapitana, zdać mu sprawę ze swoich kłopotów i poprosić, aby przejął opiekę nad tym kłopotliwym milionem dolarów.

Niedorzeczny pomysł. To doprowadziłoby jedynie do następnego zestawu niekorzystnych rozwiązań, różniących się w zależności od tego, czy kapitan uwierzyłby mi, czy też nie, czy sam był uczciwy i – być może – również innych czynników. Ale prócz rozmowy z kapitanem nie mogłem sobie wyobrazić scenariusza, który zakończyłby się dla mnie w innym miejscu niż więzienie lub szpital psychiatryczny.

Najprostszym wyjściem z sytuacji byłoby wyrzucić to paskudztwo za burtę!

Ten pomysł wzbudził we mnie sprzeciw z powodów moralnych. Złamałem w życiu kilka przykazań i nagiąłem kilka innych, lecz uczciwość w sprawach finansowych zawsze przychodziła mi bez trudności. Co prawda ostatnio mój kręgosłup moralny nie wydawał się tak mocny, jak sądziłem, niemniej nie odczuwałem pokusy, aby ukraść ten milion, nawet jeśli tylko po to, żeby go wyrzucić.

Istniała też jednak poważniejsza przyczyna moich obiekcji. Czy znacie kogoś, kto mając w ręku milion dolarów, mógłby się zdobyć na to, aby je zniszczyć?

Może i znacie, ale ja nie. Mógłbym oddać te pieniądze kapitanowi w mgnieniu oka, ale zniszczyć bym ich nie potrafił.

A może przemycić je na brzeg? Alex, gdy tylko wyjmiesz je z tej skrzynki, będzie to znaczyło, że je ukradłeś. Czy zgodzisz się zniszczyć swój szacunek do siebie za milion dolarów? Za dziesięć milionów? Za pięć dolarów?

– No więc, Margrethe?

– Alec, wydaje mi się, że rozwiązanie jest oczywiste.

– Tak?

– Starałeś się rozwiązać swoje problemy w niewłaściwej kolejności. Najpierw musisz odzyskać pamięć. Wtedy dowiesz się, dlaczego masz ze sobą te pieniądze. Okaże się, że jest to jakiś niewinny i całkowicie logiczny powód. – Uśmiechnęła się. – Znam cię lepiej, niż ty siebie. Jesteś dobrym człowiekiem, Alec. Nie jesteś przestępcą.

Rozjątrzyła mnie swą postawą i zarazem wprawiła w dumę z powodu zdania, jakie miała o mnie. Niemniej gniew okazał się silniejszy.

– A niech to! Kochanie, ja *nie* straciłem pamięci. Nie jestem Alec Graham. Jestem Alexander Hergensheimer. Tak się nazywam od urodzenia. Pamiętam wszystko wyraźnie. Chcesz wiedzieć, jak się nazywała moja nauczycielka w drugiej klasie? Panna Andrews. Albo jak doszło do tego, że po raz pierwszy poleciałem sterowcem, gdy miałem dwanaście lat? Naprawdę pochodzę ze świata, w którym sterowce przelatują nad każdym z oceanów, a nawet nad biegunem północnym, w którym Niemcy są monarchią, Unia Północnoamerykańska cieszyła się stuletnim okresem pokoju i dobrobytu, a statek, na którym się znajdujemy, byłby uważany za tak przestarzały, kiepsko wyposażony i powolny, że nikt nie chciałby na nim pływać. Prosiłem cię o pomoc, nie o konsultację psychiatryczną. Jeżeli uważasz, że zwariowałem, powiedz to… i zmienimy temat.

– Nie chciałam cię zdenerwować.

– Najdroższa! Nie zdenerwowałaś mnie. Po prostu wyładowałem na tobie swój niepokój i frustrację. Nie powinienem był tak postąpić. Przepraszam cię. Naprawdę jednak mam kłopoty i powtarzanie mi, że winna jest moja pamięć, nie rozwiąże ich, nawet gdyby było to prawdą. Kłopoty pozostaną. Niepotrzebnie cię objechałem. Margrethe, jesteś wszystkim, co mam… w tym obcym i niekiedy przerażającym świecie. Przepraszam!

Ześliznęła się z koi.

– Nie ma za co, Alec. Jednak dalsza dyskusja nie ma teraz sensu. Jutro… jutro obejrzymy dokładnie ten odcisk kciuka w pełnym słońcu. Wtedy się przekonasz. Być może wywoła to natychmiastowy powrót twojej pamięci.

– Albo natychmiastowe załamanie twojego uporu, najwspanialsza z dziewcząt.

Uśmiechnęła się.

– Zobaczymy. Jutro. A teraz wydaje mi się, że powinnam się już położyć. Doszliśmy do punktu, w którym oboje powtarzamy te same argumenty… i nawzajem wyprowadzamy się z równowagi. Nie chcę tego, Alec. To wszystko psuje.

Odwróciła się i skierowała w stronę drzwi, nie oferując nawet pocałunku na dobranoc.

– Margrethe!

– Tak, Alec?

– Wróć tu i pocałuj mnie.

– Czy powinnam, Alec? Jesteś żonaty.

– Hmm… na miłość boską, pocałunek to nie to samo co cudzołóstwo.

Potrząsnęła głową ze smutną miną.

– Są pocałunki i pocałunki, Alec. Nie mogłabym cię pocałować tak, jak robiliśmy to dotąd, gdybym nie była gotowa z zadowoleniem posunąć się dalej i kochać się z tobą. Dla mnie byłaby to całkowicie niewinna rzecz, która dałaby mi szczęście, ale dla ciebie byłoby to cudzołóstwo. Sam mówiłeś, co powiedział Chrystus kobiecie przyłapanej na cudzołóstwie. Ja nie popełniłam grzechu… i nie chciałabym, żebyś ty popełnił go przeze mnie.

Ponownie odwróciła się w stronę wyjścia.

– Margrethe!

– Tak, Alec?

– Pytałaś, czy zamierzam jeszcze kiedyś poprosić cię, abyś przyszła później. Proszę cię o to teraz. Tego wieczoru. Czy przyjdziesz później?

– Grzech, Alec. Dla ciebie to byłby grzech… i z tego powodu zgrzeszyłabym także ja, gdyż wiedziałabym, co na ten temat sądzisz.

– Grzech? Nie jestem pewien, czym jest grzech. Wiem natomiast, że cię potrzebuję… i sądzę, że ty również mnie potrzebujesz.

– Dobranoc, Alec.

Wyszła szybko z kabiny.

Po dłuższej chwili umyłem zęby i twarz, po czym uznałem, że mógłby mi pomóc jeszcze jeden prysznic. Nastawiłem letnią wodę i wydawało się, że nieco mnie to uspokoiło. Gdy jednak położyłem się do łóżka, leżałem w ciemności, nie mogąc zasnąć, pogrążony w czymś, co nazywam myśleniem, choć tak naprawdę była to chyba gonitwa myśli.

Wspominałem wszystkie poważniejsze błędy, które popełniłem w życiu, jeden po drugim, odkurzając je i oglądając w pełnym świetle, aż doszedłem do dzisiejszego wieczoru. Zrobiłem z siebie niewiarygodnie głupiego, trudnego, zarozumiałego, niezdarnego osła i postępując tak, zraniłem i upokorzyłem najlepszą i najsłodszą kobietę, jaką kiedykolwiek znałem.

Kiedy zdarzy mi się popełnić tak ciężką gafę, potrafię całą noc spędzić na bezużytecznym samobiczowaniu. Ta ostatnia gafa powinna mi zapewnić udrękę bezsenności przez kilka dobrych nocy.

Po dłuższym czasie, dobrze po północy, obudził mnie odgłos klucza w zamku. Szukałem na oślep wyłącznika. Gdy go znalazłem, Margrethe zdążyła już zdjąć szlafrok i wskoczyć do mojego łóżka. Wyłączyłem światło.

Była ciepła, gładka, drżąca i zapłakana. Objąłem ją delikatnie, starając się ją uspokoić. Nie mówiła nic. Ja również nie. Padło już zbyt wiele słów i większość z nich wypowiedziałem ja. Teraz nadszedł czas na to, aby się przytulić, trzymać w objęciach i przemawiać bez słów.

W końcu przestała drżeć. Jej oddech uspokoił się. Po chwili westchnęła i powiedziała cicho:

– Nie mogłam cię tak zostawić.

– Kocham cię, Margrethe.

– Och! Ja kocham cię tak mocno, aż boli mnie serce.

Wydaje mi się, że w momencie zderzenia oboje spaliśmy. Nie chciałem spać, lecz po raz pierwszy od przejścia przez ogień poczułem się odprężony i spokojny i oczy zamknęły mi się same.

Najpierw nastąpił niewiarygodny wstrząs, który o mało nie strącił nas z koi. Następnie rozległ się trzask tak ostry, że niemal popękały nam bębenki. Zapaliłem lampę przy koi i ujrzałem, że kadłub statku na wysokości podłogi został wgnieciony.

Zabrzmiała syrena alarmowa, która zwiększyła i tak ogłuszający hałas. Stalowa burta wgięła się, po czym pękła, gdy coś brudnobiałego i lodowatego wtargnęło do środka. W tej samej chwili zgasło światło.

Zerwałem się z koi na oślep, ciągnąc Margrethe. Statek przechylił się ciężko na lewą burtę, sprawiając, że ześlizgnęliśmy się tam, gdzie pokład stykał się z wewnętrzną grodzią. Uderzyłem o klamkę i złapałem ją prawą ręką, lewą przytrzymując dziewczynę. Statek przetoczył się z powrotem na prawą burtę. Wiatr i woda wtargnęły przez otwór w kadłubie. Usłyszeliśmy to i poczuliśmy, choć nie mogliśmy nic zobaczyć. Statek wyrównał, lecz po chwili znów przechylił się w lewo. Klamka wyrwała mi się.

Muszę zrekonstruować to, co wydarzyło się później – ciemno choć oko wykol, rozumiecie, i ogłuszający hałas. Spadaliśmy – nie wypuściłem dziewczyny z rąk – aż wreszcie znaleźliśmy się w wodzie.

Najwyraźniej gdy statek przechylił się ponownie na prawą burtę, wypadliśmy przez otwór w kadłubie. Ale jest to tylko rekonstrukcja – wiem jedynie, że wpadliśmy razem do wody, zanurzając się raczej głęboko.

Wynurzyliśmy się – obejmowałem Margrethe lewą ręką, niemal jak ratownik. Zaczerpnąwszy powietrza, rozejrzałem się, po czym znów poszliśmy pod wodę. Statek płynął tuż obok nas. Wiał zimny wiatr. Słychać było głośne dudnienie. W pobliżu widać było jakiś wysoki i ciemny kształt. Ale to sam statek wzbudzał mój strach, a raczej jego śruba. Kabina C109 znajdowała się w pobliżu dziobu, jeśli jednak nie zdołamy oddalić się od tonącego statku, i to jak najszybciej, zostaniemy posiekani przez śrubę na hamburgery. Objąłem mocno Margrethe i starałem się odpłynąć jak najdalej, tłukąc nogami ze wszystkich sił. Poczułem z ogromną ulgą, że oddalamy się od niebezpieczeństwa… i uderzyłem mocno głową w jakiś ciemny przedmiot.

Rozdział VIII

„I wzięli Jonasza, i wrzucili go w morze,
a ono przestało się srożyć”.

Księga Jonasza 1,15

Było mi wygodnie i nie chciałem się budzić, ale doskwierał mi lekki, pulsujący ból głowy i, chcąc nie chcąc, przebudziłem się. Potrząsnąłem głową, pragnąc uwolnić się od tego pulsowania, i mój nos napełnił się wodą. Parsknąłem, wydmuchując ją.

– Alec? – rozległ się w pobliżu głos Margrethe.

Leżałem na plecach w wodzie o temperaturze ciała. Sądząc po smaku, była to słona woda. Dookoła panowała ciemność.

Powróciłem do macicy, o ile to możliwe przed śmiercią. A może to była już śmierć?

– Margrethe?

– Och! Och, Alec, co za ulga! Spałeś tak długo. Jak się czujesz?

Sprawdziłem się dokładnie. Policzyłem to i tamto. Poruszyłem tym i owym. Stwierdziłem, że unoszę się na plecach pomiędzy nogami Margrethe, która, również spoczywając na plecach, trzyma moją głowę w jednej z typowych ratujących życie pozycji, które zaleca Czerwony Krzyż. Poruszała nogami jak w żabce, nie tyle płynąc naprzód, ile utrzymując nas na powierzchni.

– Chyba dobrze. Co z tobą?

– Czuję się świetnie, najdroższy! Najważniejsze, że odzyskałeś przytomność.

– Co się stało?

– Uderzyłeś głową o górę.

– O górę?

– O górę lodową.

(Górę lodową? Usiłowałem sobie przypomnieć, co się wydarzyło).

– Jaką górę lodową?

– Tę, o którą rozbił się statek.

Część wydarzeń powróciła do mojego zmąconego umysłu, ale nadal nie układały się one w jasny obraz. Potężny trzask, jakby statek wpadł na rafę. Potem wpadliśmy do wody, uciekaliśmy przed śrubą… i uderzyłem o coś głową.

– Margrethe, jesteśmy w tropikach, tak daleko na południe jak Hawaje. Skąd się tu wzięła góra lodowa?

– Nie wiem, Alec.

– Ale… – chciałem powiedzieć „niemożliwe”, lecz zdałem sobie sprawę, że w moich ustach to słowo brzmi głupio – ta woda jest zbyt ciepła na góry lodowe. Posłuchaj, nie musisz się tak męczyć. W słonej wodzie pływam jak gąbka.

– Zgoda. Pozwól jednak, żebym cię trzymała. O mały włos nie straciłam cię z oczu w tych ciemnościach. Boję się, że mogłoby się to zdarzyć ponownie. Gdy wypadliśmy ze statku, woda była zimna. Teraz jest ciepła, więc musieliśmy się oddalić od góry lodowej.

– Jasne, trzymaj się blisko mnie. Też nie chcę cię zgubić.

Tak, gdy wpadliśmy do wody, była ona zimna. Pamiętałem to. A przynajmniej wydawała się zimna w porównaniu z naszym ciepłym, przytulnym łóżkiem. Wiatr również był lodowaty.

– Co się stało z górą?

– Alec, nie wiem. Wpadliśmy do wody razem. Chwyciłeś mnie i odpłynąłeś ze mną od statku. Jestem pewna, że to nas uratowało. Było jednak ciemno jak w grudniową noc, wiał silny wiatr i w tej ciemności wyrżnąłeś głową w lód. Wtedy właśnie o mały włos bym cię zgubiła. Straciłeś przytomność, najdroższy, i wypuściłeś mnie z rąk. Zanurzyłam się i nałykałam wody, a gdy wypłynęłam na powierzchnię i wyplułam ją, nigdzie nie mogłam cię znaleźć. Alec, nigdy w życiu nie byłam tak wystraszona. Nigdzie cię nie było. Nie mogłam cię dostrzec. Wyciągałam ręce we wszystkie strony, lecz nie zdołałam cię dosięgnąć. Wołałam cię, a ty nie odpowiadałeś.

– Przepraszam.

– Nie powinnam była wpaść w panikę. Ale pomyślałam, że utonąłeś. Albo właśnie toniesz, a ja nie mogę ci pomóc. Lecz machając na oślep rękami, dotknęłam cię, chwyciłam mocno i znów wszystko było dobrze… dopóki nie okazało się, że mi nie odpowiadasz. Stwierdziłam jednak, że twoje serce bije pewnie i mocno, więc ostatecznie wszystko wróci do normy. Objęłam cię od tyłu, utrzymując twoją twarz nad powierzchnią. Po dłuższym czasie obudziłeś się… i teraz wszystko jest w porządku.

– Wcale nie wpadłaś w panikę. Zginąłbym, gdyby tak się stało. Niewielu ludzi potrafiłoby dokonać tego co ty.

– Och, to nic nadzwyczajnego. Przez dwa sezony letnie pracowałam jako ratownik na plaży na północ od Kopenhagi. W piątki udzielałam lekcji. Przychodziło mnóstwo dzieciaków.

– Lekcje nie nauczą zachowania zimnej krwi, i to w takich egipskich ciemnościach. Nie bądź taka skromna. Co się stało ze statkiem? I z górą lodową?

– Alec, tego też nie wiem. Dopóki cię nie znalazłam i nie upewniłam się, że nic ci nie jest, nie miałam czasu się rozejrzeć. Gdy już to zrobiłam, ujrzałam to, co teraz. Nic, oprócz ciemności.

– Ciekaw jestem, czy statek zatonął. Oberwał przecież solidnie. Nie było wybuchu? Nic nie słyszałaś?

– Nie słyszałam eksplozji. Tylko wiatr i odgłosy zderzenia, które z pewnością też usłyszałeś, a potem, gdy znaleźliśmy się w wodzie, kilka rozpaczliwych krzyków. Nawet jeśli zatonął, nie widziałam tego, lecz… Alec, jakieś pół godziny już płynę z głową opartą o poduszkę lub materac. Czy to znaczy, że statek zatonął? To resztki unoszące się na wodzie?

– Niekoniecznie, ale to nie napawa optymizmem. Dlaczego opierasz o to głowę?

– Dlatego, że to się może przydać. Jeśli to jedna z poduszek z pokładu lub materac z basenu, jest wypełniona kapokiem i może służyć jako tratwa ratunkowa.

– O to właśnie mi chodzi. Jeśli to jest lżejsze od wody, dlaczego opierasz tylko o to głowę, zamiast wdrapać się na to?

– Dlatego, że nie mogłam tego zrobić, nie wypuszczając cię z objęć.

– Och, Margrethe, gdy wydostaniemy się z tej kabały, czy zechcesz łaskawie dać mi szybkiego kopniaka? Jestem już przytomny. Możemy sprawdzić, co to takiego. Systemem Braille’a.

– Zgoda. Boję się jednak cię puścić, skoro nic nie widzę.

– Kochanie, ja również nie chciałbym cię zgubić. No dobrze, zróbmy tak. Trzymaj mnie jedną ręką, a drugą sięgnij w tamtą stronę. Złap się mocno tej poduszki, czy cokolwiek to jest. Potem ja odwrócę się i trzymając cię, przesunę się wzdłuż twojej ręki do tej poduszki. Wtedy oboje zobaczymy, czy raczej poczujemy, co znaleźliśmy i jaki możemy z tego zrobić użytek.

Nie była to poduszka czy nawet materac z koi, lecz (sądząc z dotyku) wielki materac do opalania – przynajmniej sześć stóp szerokości i jeszcze więcej długości. Wystarczająco duży dla dwojga ludzi, czy nawet trojga, jeśli byliby blisko zaprzyjaźnieni. Niemal równie dobry jak łódź ratunkowa! Ba, lepszy, na tym materacu bowiem była Margrethe! Przypomniał mi się wulgarny poemat, który krążył potajemnie po seminarium: „Dzban wina, bochen chleba i ty…”.

Wejście na materac wiotki jak rosówka, gdy wokół jest ciemno jak w samym środku stosu węgla, nie jest po prostu trudne – jest wręcz niemożliwe. Dokonaliśmy niemożliwego dzięki temu, że złapałem się materaca z całej siły obiema rękami, a Margrethe wpełzła po mnie. Potem podała mi rękę i ja się wdrapałem. Gdy jednak oparłem się na łokciu, pośliznąłem się i ponownie plusnąłem do wody. Kierując się głosem Margrethe, wpadłem w ciemności na materac i po raz drugi, powoli i ostrożnie, wczołgałem się na niego. Stwierdziliśmy, że najlepiej wykorzystać całą powierzchnię i wyporność materaca, leżąc na plecach z rozpostartymi rękami i nogami, jak na rysunku Leonarda da Vinci, dzięki czemu rozłożymy ciężar ciała na maksymalnej powierzchni.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – zapytałem.

– Świetnie!

– Potrzebujesz czegoś?

– Niczego, co można tu dostać. Jest mi wygodnie, jestem spokojna i ty jesteś ze mną.

– Ja też tak czuję. Gdybyś jednak mogła otrzymać to, czego pragniesz, to co byś wybrała?

– Hmm… lody z gorącą polewą karmelową.

Zastanowiłem się nad tym.

– Nie. Czekoladowe lody z pianką cukrową i wisienką na wierzchu. I do tego filiżankę kawy.

– Czekolady! Ja jednak wolę lody z gorącą polewą karmelową. Polubiłam je w Ameryce. My, Duńczycy, potrafimy zrobić z lodów masę smakołyków, ale polanie lodowatego deseru gorącym sosem nigdy nie przyszło nam do głowy. Lody z gorącą polewą karmelową. Najlepiej od razu podwójne.

– Zgoda. Postawię ci podwójne, jeśli tego pragniesz. Jestem hojnym facetem, daję słowo, a poza tym uratowałaś mi życie.

Poklepała moją dłoń.

– Alec, jesteś taki zabawny. Jestem szczęśliwa. Jak myślisz, wyjdziemy z tego z życiem?

– Nie mam pojęcia, kochanie. Ironia losu polega na tym, że ostatecznie nikomu nie udaje się ujść z życiem. Obiecuję ci jednak, że zrobię wszystko, żeby postawić ci te lody.

Obudziliśmy się, gdy było już jasno. Tak jest, zasnąłem i wiem, że Margrethe również spała, gdyż obudziłem się chwilę przed nią. Słuchałem spokojnie jej cichego pochrapywania, dopóki nie ujrzałem, że otworzyła oczy. Nie spodziewałem się, że zdołam zasnąć, teraz jednak nie dziwię się, że zasnęliśmy – idealne łóżko, idealna cisza, idealna temperatura, my oboje bardzo zmęczeni… i brak czegokolwiek, czym warto by się przejmować, ponieważ nie mogliśmy zrobić nic, zupełnie nic, by poprawić naszą sytuację, zanim nadejdzie świt. Mam wrażenie, że zasypiając, pomyślałem: „Tak jest, Margrethe miała rację. Lody z gorącą polewą karmelową są lepsze niż czekoladowe z pianką cukrową”. Pamiętam, że śniły mi się takie właśnie lody – pseudokoszmar, w którym nabierałem na łyżeczkę duży

kawałek… i unosiłem ją do ust, aby stwierdzić, że jest pusta. Myślę, że to właśnie mnie obudziło.

Margrethe zwróciła głowę w moją stronę i uśmiechnęła się. Wyglądała jak szesnastolatka, i to niebiańskiej urody. („Piersi twe jak dwoje koźląt, bliźniąt gazeli. Cała piękna jesteś, przyjaciółko moja, i nie ma w tobie skazy”).

– Dzień dobry, piękna.

Zachichotała.

– Dzień dobry, książę z bajki. Czy dobrze spałeś?

– Szczerze mówiąc, Margrethe, nie spałem tak dobrze od miesiąca. To dziwne. Jedyne, czego mi brak, to śniadania podanego do łóżka.

– Natychmiast, proszę pana! Już pędzę!

– Pójdę z tobą. Nie powinienem był wspominać o jedzeniu. Zadowolę się pocałunkiem. Myślisz, że zdołamy się pocałować, nie wpadając do wody?

– Chyba tak. Zachowajmy jednak ostrożność. Zwróć twarz w moim kierunku, nie ruszając się z miejsca.

Był to raczej symboliczny pocałunek, a nie jeden ze specjałów Margrethe. Byliśmy bardzo ostrożni, nie chcąc naruszać niepewnej równowagi naszej prowizorycznej tratwy. Martwiło nas wszakże – przynajmniej mnie – coś ważniejszego niż groźba wpadnięcia do oceanu. Zdecydowałem się poruszyć tę sprawę, abyśmy mogli martwić się razem.

– Margrethe, zgodnie z mapą, która wisiała przy wejściu do jadalni, znajdowaliśmy się niedaleko wybrzeża Meksyku, w pobliżu Mazatlánu. O której godzinie zatonął statek? O ile zatonął. Pytałem o godzinę zderzenia.

– Nie wiem.

– Ja też nie. Jestem pewien, że było po północy. *Konge Knut* miał przybić do brzegu o ósmej rano. Tak więc brzeg może się znajdować w odległości

stu mil na wschód, ale równie dobrze być bardzo blisko. Tam są góry. Może zdołamy je dostrzec, gdy się przejaśni. Wczoraj się rozchmurzyło, dzisiaj chyba będzie podobnie. Kochanie, jak sobie radzisz z pływaniem długodystansowym? Jeżeli zobaczymy góry, spróbujesz dopłynąć do brzegu?

Minęła dłuższa chwila, zanim odpowiedziała:

– Alec, jeśli chcesz, możemy zaryzykować.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– To prawda. Wydaje mi się, że w ciepłej wodzie morskiej mogłabym tego dokonać. Przepłynęłam kiedyś Duży Bełt w wodzie zimniejszej niż ta. Ale w Bełcie, Alec, nie ma rekinów. Tutaj są. Sama widziałam.

Westchnąłem głośno.

– Cieszę się, że to powiedziałaś. Nie chciałem sam o tym wspominać. Kochanie, sądzę, że musimy pozostać na miejscu i zachować spokój. Nie zwracać na siebie uwagi. Mogę sobie darować śniadanie, zwłaszcza śniadanie rekina.

– Z głodu nie umiera się tak szybko.

– Nie umrzemy z głodu. Gdybyś mogła wybierać, na co byś się zdecydowała? Śmierć z głodu? Od porażenia słonecznego? W paszczy rekina? Z pragnienia? We wszystkich historiach o rozbitkach albo o Robinsonie Crusoe, które czytałem, bohater miał jakieś narzędzia. Ja nie mam nawet wykałaczki. Przepraszam, mam ciebie. To zwiększa moje szanse. Jak sądzisz, Margrethe, co powinniśmy zrobić?

– Myślę, że zostaniemy uratowani.

Również tak sądziłem, ale z powodów, o których nie chciałem wspominać Margrethe.

– Miło mi to usłyszeć. Dlaczego jednak tak sądzisz?

– Alec, czy byłeś kiedyś w Mazatlánie?

– Nie.

– To wielki port rybacki. Zarówno podczas połowów użytkowych, jak i sportowych już od świtu setki łodzi wyruszają w morze. Największe i najszybsze z nich odpływają na wiele kilometrów od brzegu. Jeśli poczekamy dostatecznie długo, znajdą nas.

– Chciałaś powiedzieć, że mogą nas znaleźć. Ocean jest bardzo rozległy. Masz jednak rację. Próba dopłynięcia do brzegu byłaby samobójstwem. Naszą jedyną szansą jest czekać cierpliwie.

– Będą nas szukać, Alec.

– Tak sądzisz? Dlaczego?

– Jeśli *Konge Knut* nie zatonął, to kapitan wie, kiedy i gdzie wypadliśmy za burtę. Gdy dopłyną do portu, mniej więcej w tej chwili, zarządzi poszukiwania. Jeśli zaś statek zatonął, będą szukać w całym rejonie rozbitków.

– Brzmi to logicznie. (Miałem na ten temat inne zdanie, które nawet w najmniejszym stopniu nie było logiczne).

– Naszym celem jest utrzymać się przy życiu, dopóki nas nie znajdą, broniąc się najlepiej jak potrafimy przed rekinami, pragnieniem i porażeniem słonecznym. Wszystko to oznacza, że musimy pozostać bez ruchu. Przez cały czas, zupełnie bez ruchu. Poza jednym wyjątkiem: uważam, że powinniśmy od czasu do czasu przewracać się na drugi bok, gdy wzejdzie słońce, aby równomiernie rozłożyć poparzenia.

– I modlić się o pochmurną pogodę. Masz we wszystkim rację. Być może nie powinniśmy też rozmawiać. To zmniejszy pragnienie, co?

Milczała tak długo, że pomyślałem, iż postanowiła posłuchać mojej rady.

W końcu powiedziała:

– Kochanie, możemy zginąć.

– Wiem o tym.

– Jeśli mamy umrzeć, wolałabym słyszeć twój głos. Chcę też, teraz, gdy już mogę to zrobić, powiedzieć ci, że cię kocham! I nie zrezygnuję z tego, by żyć kilka minut dłużej.

– Tak, moja kochana. Tak.

Mimo tej decyzji rozmawialiśmy niewiele. Wystarczało mi to, że trzymam ją za rękę. Jej najwyraźniej również.

Po długim czasie – jakichś trzech godzinach – usłyszałem głos Margrethe.

– Coś się stało?

– Alec! Popatrz tam!

Spojrzałem w kierunku, który wskazała palcem. Teraz z kolei ja powinienem był wydać okrzyk zdziwienia, byłem jednak przygotowany na coś podobnego. Wysoko ponad nami, podobna do szybującego ptaka, lecz znacznie większa i będąca niewątpliwie dziełem rąk ludzkich, krążyła maszyna latająca w kształcie krzyża…

Wiedziałem, że maszyny latającej nie sposób skonstruować. Na politechnice zaznajomiłem się z powszechnie znanym dowodem matematycznym profesora Simona Newcomba na to, że podejmowane przez profesora Langleya i innych próby zbudowania aerodyny zdolnej unieść w powietrze człowieka były skazane na niepowodzenie i bezużyteczne, ponieważ teoria skali dowodziła, iż żadna taka maszyna o rozmiarach pozwalających pomieścić człowieka nie byłaby w stanie unieść silnika cieplnego o mocy wystarczającej, aby poderwać ją z ziemi… nie wspominając już o pasażerze.

W ten sposób nauka wydała ostateczny wyrok na to szaleństwo. Dzięki dowodowi profesora Newcomba zaprzestano marnowania publicznych

środków na pogoń za senną marą. Zostały one przeznaczone na badania nad sterowcami, co przyniosło ogromny sukces.

W ciągu kilku ostatnich dni dowiedziałem się jednak wielu nowych rzeczy o tym, co jest „niemożliwe”. Gdy więc autentyczna maszyna latająca pojawiła się na niebie, nie byłem zbytnio zaskoczony.

Wydaje mi się, że Margrethe wstrzymywała oddech, dopóki maszyna nie przeleciała nad nami i nie skierowała się w stronę horyzontu. Przytrafiło mi się coś podobnego, ale po chwili zmusiłem się, aby oddychać spokojnie. Maszyna była niezwykle piękna – srebrna, gładka i szybka. Nie mogłem ocenić jej wielkości, lecz jeśli te czarne plamy na jej boku były oknami, musiała być olbrzymia. Nie zdołałem dostrzec, co ją napędza.

– Alec… czy to sterowiec?

– Nie. Przynajmniej nie to miałem na myśli, gdy ci opowiadałem o sterowcach. Nazwałbym to „maszyną latającą”. To wszystko, co mogę rzec. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Mogę ci już jednak powiedzieć jedno… coś bardzo ważnego.

– Tak?

– Wiem, że nie zginiemy… i wiem teraz również, dlaczego statek musiał zatonąć.

– Dlaczego, Alec?

– Żebym nie porównał tych odcisków kciuka.

Rozdział IX

„Bo byłem głodny, a daliście Mi jeść,
byłem spragniony, a daliście Mi pić,
byłem przybyszem, a przyjęliście Mnie”.

Ewangelia według św. Mateusza 25,35

Albo, by wyrazić się ściślej, góra lodowa znalazła się w tym miejscu i zderzyła się ze statkiem, żebym nie porównał odcisku swojego kciuka z odciskiem kciuka Grahama w jego prawie jazdy. Możliwe, że statek nie zatonął. To nie było konieczne.

Margrethe nie odrzekła nic, dodałem więc spokojnie:

– No proszę, kochanie, powiedz to! Wyduś to z siebie! Nie mam nic przeciwko temu. Jestem wariatem. Paranoikiem.

– Alec, nie powiedziałam tego. Nawet nie pomyślałam. Nigdy by mi to do głowy nie przyszło.

– Nie, nie powiedziałaś. Ale tym razem nie można wszystkiego zwalić na „utratę pamięci”. O ile, rzecz jasna, oboje widzieliśmy to samo. Powiedz, co widziałaś.

– Widziałam niezwykły przedmiot na niebie. I słyszałam go. Powiedziałeś, że to maszyna latająca.

– No cóż, myślę, że tak to się powinno nazywać. Ale jeśli tak sobie życzysz, możesz to nazwać… hmm… „gumpeżaglem”. To coś nowego i niezwykłego. Jak wygląda „gumpeżagiel”? Opisz mi go.

– To był przedmiot poruszający się po niebie. Przyleciał stamtąd, potem przeleciał bezpośrednio nad nami i zniknął tam (wskazała palcem w kierunku północnym). Był mniej więcej kształtu krzyża. Krucyfiksu. Poprzeczny fragment miał wypukłości, chyba cztery. Na przednim końcu były oczy, jak u wieloryba, a na tylnym płetwy, też jak u wieloryba. Wieloryb ze skrzydłami, tak to wyglądało. Alec, lecący wieloryb!

– Myślisz, że to było żywe?

– Hmm. Nie wiem. Chyba nie. Nie wiem, co myśleć.

– Nie sądzę, żeby to było żywe. Myślę, że to maszyna. Maszyna latająca. Łódź ze skrzydłami. Ale czy to maszyna, czy latający wieloryb, widziałaś w życiu coś takiego?

– Alec, to było tak niezwykłe, że wciąż trudno mi uwierzyć, iż to widziałam.

– Wiem o tym. Ty jednak dostrzegłaś to pierwsza i wskazałaś mi, a więc nie wmówiłem ci, że to widzisz.

– Nie zrobiłbyś czegoś takiego.

– Nie, nie zrobiłbym. Ale cieszę się, że to ty dostrzegłaś to pierwsza, kochana dziewczyno. To znaczy, że to istnieje naprawdę i nie jest jedynie wytworem mojego chorego mózgu. Ten przedmiot nie pochodzi ze świata, który znasz… mogę ci też przysiąc, że nie jest to jeden ze sterowców, o których ci mówiłem, i że nie pochodzi ze świata, w którym się wychowałem. Znaleźliśmy się więc w nowym, trzecim świecie. – Westchnąłem. – Za pierwszym razem musiałem zobaczyć pasażerski dwudziestotysięcznik, aby się przekonać, że znalazłem się w innym świecie. Tym razem jeden rzut oka na coś, co po prostu nie mogło istnieć w moim świecie, wystarczył, abym dowiedział się, że znowu mi to zrobili. Zamienili światy, gdy byłem nieprzytomny. Tak mi się przynajmniej zdaje. Tak czy inaczej, sądzę, że zrobili to, żebym nie porównał tych odcisków

kciuka. Paranoja. Urojenie, że cały świat spiskuje przeciwko tobie. Z tym, że to nie jest urojenie. – Spojrzałem jej w oczy. – Jak myślisz?

– Alec… czy to możliwe, że zdawało się nam obojgu? Może to delirium? Mamy za sobą ciężkie przejścia. Ty uderzyłeś się w głowę, ja również mogłam się uderzyć podczas zderzenia z górą lodową.

– Margrethe, w delirium nie moglibyśmy mieć identycznych halucynacji. Gdybyś po obudzeniu stwierdziła, że zniknąłem, byłoby to potwierdzeniem twojej hipotezy. Ale ja nie zniknąłem. Jestem tu z tobą. Poza tym należałoby jeszcze wyjaśnić, skąd się wzięła góra lodowa tak daleko na południu. Paranoja to prostsze wyjaśnienie. Jednak ten spisek jest skierowany przeciwko mnie. Ty zostałaś w niego zamieszana wyłącznie nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Przykro mi. (Wcale nie było mi przykro. Tratwa na środku oceanu nie jest miejscem dla samotnego człowieka. Ale razem z Margrethe czułem się tam jak w raju).

– Nadal myślę, że wspólna halucynacja jest… *Alec, ona wraca!* – zawołała, wskazując palcem.

Z początku nie widziałem nic, potem jednak zobaczyłem. Punkt, który przybliżając się, przybrał kształt krzyża. Kształt, który rozpoznałem jako „maszynę latającą”. Obserwowałem, jak się zbliża.

– Margrethe, to z pewnością zawróciło. Musiało nas dostrzec. Czy musieli. Albo musiał. Wszystko jedno.

– Możliwe.

Maszyna się zbliżała, zauważyłem, a ja widziałem, że nie przeleci nad nami, lecz raczej przemknie na prawo od nas.

– To nie ta sama – oświadczyła nagle Margrethe.

– Nie jest to również latający wieloryb, chyba że w tych okolicach latające wieloryby mają pod bokami szerokie czerwone pasy.

– To nie jest wieloryb. To znaczy, chciałam powiedzieć, że to nie jest żywe. Masz rację, Alec, to maszyna. Kochanie, rzeczywiście myślisz, że w środku są ludzie? To mnie przeraża.

– Myślę, że byłbym bardziej przerażony, gdyby w środku nie było ludzi. (Przypomniałem sobie tłumaczone z niemieckiego fantastyczne opowiadanie opisujące świat zamieszkany wyłącznie przez automatyczne maszyny. To nie była przyjemna opowieść). W gruncie rzeczy to dobra wiadomość. Oboje wiemy teraz, że pierwsza maszyna nie była snem ani halucynacją. To potwierdza ostatecznie fakt, że znajdujemy się w innym świecie. Z tego wynika, że zostaniemy uratowani.

– Nie rozumiem związku – odpowiedziała niepewnym głosem.

– To dlatego, że wciąż nie chcesz uznać mnie za paranoika. Dziękuję ci za to, kochanie, ale to jest najprostsza hipoteza. Gdyby ten dowcipniś, który zaaranżował całą sprawę, zamierzał mnie zabić, miał okazję to zrobić przy zderzeniu z górą lodową. Albo wcześniej, w dole pełnym ognia. On jednak nie zamierza mnie zabić, przynajmniej na razie. Bawi się ze mną w kotka i myszkę. Tak więc zostanę uratowany. Ty również, ponieważ jesteśmy razem. Byłaś ze mną, gdy statek zderzył się z górą lodową – twój pech! Jesteś ze mną teraz, a więc zostaniesz uratowana – twoje szczęście! Nie odrzucaj prawdy, kochanie! Miałem kilka dni na to, aby przyzwyczaić się do tej myśli, i stwierdziłem, że można to zrobić, jeśli podejść do tego na luzie. Paranoja wyraża najbardziej racjonalny stosunek do świata opartego na spisku.

– Ale świat nie powinien być urządzony w ten sposób.

– Słowo „powinien” nie ma tu nic do rzeczy, najdroższa. Podstawą filozofii jest akceptacja świata takiego, jaki jest, a nie próby dopasowania go do kształtu, jaki, naszym zdaniem, powinien mieć. O kurczę! – dodałem.

– Nie przewracaj się na drugą stronę! Nie chcesz chyba stać się kąskiem dla rekina teraz, gdy mamy dowód na to, że zostaniemy uratowani.

Przez prawie godzinę nie wydarzyło się nic oprócz tego, że dostrzegliśmy dwa wspaniałe marliny. Chmury rozpierzchły się i zacząłem się niepokoić, czy ratunek nadejdzie szybko. Byli mi chyba winni przynajmniej to, żeby uchronić mnie przed poparzeniem trzeciego stopnia. Margrethe mogła znieść nieco większą dawkę słońca niż ja – była blondynką, lecz ciało miała opalone na kolor ciepłej grzanki. Wyglądała ślicznie! Ja jednak byłem biały jak pomocnik młynarza, z wyjątkiem twarzy i rąk, i po całym dniu na tropikalnym słońcu wylądowałbym w szpitalu. Albo i gorzej.

Na wschodnim horyzoncie majaczyły teraz niewyraźne szare kształty, które mogły być górami. Tak przynajmniej sobie powtarzałem, choć niewiele można dostrzec, gdy oczy masz zaledwie siedem cali nad powierzchnią wody. Jeśli rzeczywiście były to góry lub wzgórza, ląd znajdował się niedaleko. W każdej chwili mogliśmy dostrzec łodzie z Mazatlánu… o ile Mazatlán istniał w tym świecie. O ile…

Nagle pojawiła się następna maszyna latająca. Przypominała ona dwie poprzednie tylko w niewielkim stopniu. Tamte leciały równolegle do wybrzeża – pierwsza zjawiła się z południa, a druga z północy. Ta natomiast przyleciała wprost od brzegu, kierując się ogólnie na zachód, choć zygzakiem.

Przeleciała na północ od nas, a potem zawróciła, zataczając wokół nas krąg. Leciała na tyle nisko, iż dostrzegłem, że w środku rzeczywiście są ludzie. Było ich chyba dwóch.

Trudno opisać jej kształt. Wyobraźcie sobie wielki latawiec skrzyniowy – około czterdziestu stóp długości i czterech szerokości – z odstępem około

trzech stóp pomiędzy obiema powierzchniami nośnymi. Wyobraźcie sobie też, że latawiec ten umieszczono pod kątem prostym do przedmiotu przypominającego łódź czy raczej kajak Esquimau, lecz większego, znacznie większego – mniej więcej tej samej wielkości co latawiec. Poniżej tego wszystkiego znajdowały się jeszcze dwa mniejsze kajakowate przedmioty, równoległe do większego. Na jednym z końców tego spłaszczonego „cygara” umieszczony był silnik (jak stwierdziłem później), a przed nim powietrzna śruba przypominająca śrubę statku. To również zauważyłem później.

Gdy po raz pierwszy ujrzałem tę niewiarygodną konstrukcję, śruba powietrzna obracała się tak szybko, że po prostu nie sposób było jej dostrzec. Można ją jednak było usłyszeć. Ogłuszający hałas wywoływany przez tę machinę nie ustawał ani na chwilę.

Maszyna skręciła w naszą stronę i pochyliła dziób tak, że kierowała się prosto na nas. Wyglądała zupełnie jak pelikan nurkujący, aby schwytać rybę.

My byliśmy tą rybą. To było przerażające. Przynajmniej dla mnie, Margrethe bowiem nawet nie pisnęła. Niemniej ścisnęła bardzo mocno moje palce. Fakt, że nie byliśmy rybami i że maszyna nie mogła nas zjeść ani nie miałaby ochoty tego zrobić, wcale nie zmniejszył grozy sytuacji.

Pomimo strachu (lub może z jego powodu) widziałem teraz, że cała konstrukcja jest przynajmniej dwa razy większa, niż mi się wydawało, gdy po raz pierwszy ujrzałem latającą maszynę wysoko na niebie. Prowadziło ją dwóch szoferów siedzących obok siebie za oknem w przedniej części. Jeśli chodzi o silnik, okazało się, że są dwa, umieszczone pomiędzy skrzydłami „latawca”, jeden na prawo, drugi na lewo od szoferów.

Dosłownie w ostatniej chwili maszyna uniosła się jak koń skaczący przez przeszkodę i przeleciała tuż nad nami. Towarzyszący jej podmuch o mało

nie strącił nas z tratwy. Wskutek hałasu zaczęło dzwonić mi w uszach.

Maszyna wzbiła się nieco i zawróciła w naszą stronę, kierując się jednak teraz nieznacznie w bok. Bliźniacze dolne kajaki dotknęły wody, zostawiając na niej imponujący ślad przypominający ogon komety. Następnie cała konstrukcja zwolniła, zatrzymała się i tkwiła na wodzie, nie tonąc!

Śruby powietrzne poruszały się teraz bardzo wolno, tak że mogłem ujrzeć je z bliska… i podziwiać pomysłowość inżynierów, którzy je skonstruowali. Przypuszczam, że nie były tak wydajne jak otunelowane śruby powietrzne używane w naszych sterowcach, lecz stanowiły eleganckie rozwiązanie problemu tam, gdzie otunelowanie byłoby utrudnione lub wręcz niemożliwe. Z drugiej strony jednak te piekielnie hałaśliwe silniki! Nie potrafiłem zrozumieć, jak inżynierowie mogli się z tym pogodzić. Jak mawiał jeden z moich profesorów (zanim termodynamika przekonała mnie, że mam powołanie do stanu duchownego), hałas jest zawsze skutkiem ubocznym niedostatecznej wydajności. Prawidłowo skonstruowany silnik jest cichy jak grób.

Maszyna zawróciła ponownie, kierując się w naszą stronę, tym razem wolniuteńko. Szoferzy poprowadzili ją tak, że niemal zatrzymała się w odległości kilku stóp od nas. Jeden z nich wypełznął z pomieszczenia znajdującego się za oknem i złapał lewą ręką jeden z pionowych prętów łączących obie powierzchnie latawca. W drugiej ręce trzymał zwój liny. Gdy maszyna mijała nas, rzucił linę w naszą stronę. Złapałem ją i zacisnąłem na niej rękę. Nie wpadłem do wody, ponieważ Margrethe z kolei złapała mnie.

Podałem jej linę.

– Pozwól, żeby cię wciągnął do środka. Ja wejdę do wody i podążę za tobą.

– Nie!

– Co znaczy „Nie”? Nie czas teraz się sprzeczać. Zrób to!

– Alec, bądź cicho! On chce nam coś powiedzieć.

Zamknąłem usta, cokolwiek obrażony. Margrethe słuchała uważnie. (Nie miało sensu, żebym ja słuchał, co mówi szofer. Mój hiszpański ograniczał się do *Gracias* i *Por favor*. Zamiast tego przeczytałem litery na boku maszyny: EL GUARDACOSTAS REAL DE MÉXICO).

– Alec, on mówi, żebyśmy uważali na rekiny.

– O kurczę!

– No właśnie. Mamy pozostać na miejscu. On będzie delikatnie ciągnął za linę. Chyba chce nas wprowadzić do maszyny tak, żebyśmy nie musieli wchodzić do wody.

– To mi się podoba!

Spróbowaliśmy tego dokonać, lecz nie udało się. Zaczął wiać silniejszy wiatr, który wywierał większy wpływ na maszynę latającą niż na nas. Nasiąknięty wodą materac był praktycznie nie do ruszenia. Jego powierzchnia żaglowa równała się niemal zeru. Zamiast więc wciągnąć nas do maszyny, mężczyzna zmuszony był coraz bardziej popuszczać linę, aby nie wciągnąć nas do wody.

Zawołał coś. Margrethe odpowiedziała mu. Wymienili jeszcze kilka okrzyków, po czym Margrethe zwróciła się do mnie:

– Mówi, żebyśmy puścili linę. Ruszą i ponownie zawrócą, tym razem prosto na nas, ale bardzo powoli. Gdy będą najbliżej, musimy spróbować wdrapać się do *aeroplano*. Do tej maszyny.

– Zgoda.

Maszyna oddaliła się, ślizgając się po powierzchni, po czym zawróciła w naszą stronę. Podczas oczekiwania nie nudziliśmy się. Płetwa grzbietowa wielkiego rekina dostarczała nam rozrywki. Nie zaatakował nas.

Najwyraźniej nie myślał (myślał?), że nadajemy się do jedzenia. Przypuszczalnie widział tylko dolną część materaca.

Maszyna latająca skierowała się prosto na nas jak monstrualna ważka ślizgająca się po wodzie.

– Kochanie, gdy będzie nas mijać, spróbuj się złapać najbliższego pręta – powiedziałem. – Popchnę cię, a potem ruszę za tobą.

– Nie, Alec.

– Co znaczy „Nie”? – zdenerwowałem się. Margrethe była wspaniałą towarzyszką, lecz bywała uparta w najmniej odpowiednich momentach.

– Nie możesz mnie popchnąć. Nie masz punktu oparcia. Nie możesz wstać ani nawet usiąść. Hmm, spróbuj się wgramolić z prawej strony, a ja z lewej. Jeśli któreś z nas chybi, wraca na materac, i to szybko. *Aeroplano* zawróci po raz kolejny.

– Ale…

– Tak kazał nam postąpić!

Nie było już czasu – maszyna była tuż-tuż. Jej „nogi” czy belki łączące dwa dolne kształty z kadłubem minęły materac, jedna tuż obok mnie, druga w zasięgu Margrethe.

– Teraz! – krzyknęła.

Skoczyłem w swoją stronę i chwyciłem się belki. Moja prawa ręka o mało nie została wyrwana ze stawu, lecz wspinałem się uparcie jak małpa. Złapałem obiema rękami podwozie, oparłem stopę na poziomym kajaku i odwróciłem głowę. Ujrzałem rękę sięgającą w stronę Margrethe, która wdrapała się na kajak. Została wciągnięta na skrzydło latawca i zniknęła. Ponownie rozpocząłem wspinaczkę. Nagle przelewitowałem aż na skrzydło. Normalnie nie potrafię lewitować, lecz tym razem zdopingował mnie widok brudnobiałej płetwy, za dużej na jakąkolwiek przyzwoitą rybę, przecinającej wodę w pobliżu mojej stopy.

Znalazłem się tuż obok małej kabiny, z której kierowano tym niezwykłym pojazdem. Drugi z mężczyzn (nie ten, który wyszedł na zewnątrz, aby nam pomóc) wystawił głowę przez okno, uśmiechnął się do mnie, sięgnął ręką do tyłu i otworzył niewielkie drzwi. Wpełznąłem do środka głową naprzód. Margrethe już tam była.

Wewnątrz znajdowały się cztery fotele, dwa na przedzie, gdzie siedzieli szoferzy, i dwa z tyłu, przeznaczone dla nas.

Szofer siedzący po mojej stronie rozejrzał się i powiedział coś, gapiąc się – widziałem to! – na Margrethe. To prawda, że była naga, ale to nie była jej wina i dżentelmen nie powinien się na nią gapić.

– Mówi – wyjaśniła Margrethe – że musimy zapiąć pasy. Chyba chodzi mu o to… – Mocowała się ze sprzączką umieszczoną na końcu pasa, którego drugi koniec był przytwierdzony do kadłuba.

Stwierdziłem, że siedzę na takiej samej sprzączce, która wbija się w mój poparzony słońcem grzbiet. Nie spostrzegłem jej dotąd. Zbyt wiele rzeczy zwracało moją uwagę. (Dlaczego nie trzymał gał przy sobie! Byłem gotów wrzasnąć na niego. To, że przed chwilą uratował jej życie – i moje – narażając własne, nie miało w tym momencie znaczenia. Byłem po prostu coraz bardziej wściekły, że wykorzystywał bezbronną kobietę).

Zająłem się skubanym pasem, starając się nie patrzeć na tego typa. Mężczyzna powiedział coś do swego towarzysza, a ten zgodził się z nim entuzjastycznie. Margrethe przerwała dyskusję.

– Co oni gadają? – zapytałem.

– Ten biedak chce mi odstąpić własną koszulę. Sprzeciwiłam się… ale nie na tyle mocno, żeby temu zapobiec. To bardzo szlachetne z ich strony i, choć nie jestem przeczulona na tym punkcie, czuję się lepiej, gdy – przebywając w towarzystwie nieznajomych – mam coś na grzbiecie. –

Posłuchała jeszcze chwilę i dodała: – Spierają się, któremu z nich przypadnie ten zaszczyt.

Zamknąłem gębę na kłódkę. Przeprosiłem ich w myślach. Założę się, że nawet rzymski papież rzucił w swym życiu ukradkowe spojrzenie, raz czy dwa razy.

Najwyraźniej mężczyzna siedzący po prawej odniósł zwycięstwo w tym sporze. Zaczął wiercić się w swym fotelu – nie mógł wstać – aż wreszcie ściągnął koszulę i podał ją Margrethe.

– *Señorita. Por favor*. – I dodał coś jeszcze, co wykraczało poza moją znajomość języka.

Margrethe odpowiedziała mu z godnością i wdziękiem, a potem, wciąż rozmawiając z nim, wcisnęła się w koszulę, która okryła ją w znacznej części. Zwróciła się w moją stronę.

– Kochanie, dowódca to Teniente Anibal Sanz Garcia, a jego pomocnik to Sargento Roberto Dominguez Jones, obaj z Królewskiej Meksykańskiej Straży Przybrzeżnej. Zarówno porucznik, jak i sierżant chcieli odstąpić mi koszulę, ale sierżant wygrał grę w palce, dostałam więc ją od niego.

– To bardzo szlachetnie z jego strony. Spytaj ich, czy mają w tej maszynie coś, co ja mógłbym włożyć!

– Spróbuję.

Wypowiedziała kilka zdań. Usłyszałem własne nazwisko. Następnie przeszła na angielski.

– Panowie, mam zaszczyt przedstawić mojego męża. Oto señor Alexandro Graham Hergensheimer.

Wróciła do hiszpańskiego. Po chwili uzyskała odpowiedź.

– Porucznik jest zrozpaczony, lecz nie mogą ci nic zaoferować. Przysięga jednak na cześć swojej matki, że coś się dla ciebie znajdzie, gdy tylko dotrzemy do kwatery głównej Straży Przybrzeżnej w Mazatlánie. Teraz

nalega, żebyśmy zapięli mocno pasy, gdyż za chwilę wzbijemy się w powietrze. Alec, boję się!

– Niepotrzebnie. Będę cię trzymał za rękę.

Sierżant Dominguez odwrócił się ponownie w naszą stronę, trzymając w ręku manierkę.

– *Agua?*

– Na Boga, tak! – krzyknęła Margrethe. – *Sí, sí, sí!*

Nigdy woda nie smakowała mi tak bardzo.

Gdy zwróciliśmy manierkę, porucznik rozejrzał się, uśmiechnął szeroko, skierował kciuk w górę w geście starym jak Koloseum i zrobił coś, co przyśpieszyło pracę silników maszyny. Dotąd pracowały wolniutko, ale teraz przyśpieszyły ze wściekłym hałasem. Pilot skierował maszynę pod wiatr.

Od rana wiała bryza, lecz teraz na szczytach fal zaczęła się pokazywać biała piana. Porucznik jeszcze bardziej zwiększył obroty silników, które pracowały z niewiarygodną gwałtownością, i ruszyliśmy naprzód, obijając się o powierzchnię wody, a w środku wszystko dygotało.

Nagle zaczęliśmy uderzać z niewiarygodną siłą w mniej więcej co dziesiątą falę, chyba próbując wzlecieć. Nie rozumiem, dlaczego maszyna się nie rozbiła. Wtem znaleźliśmy się dwadzieścia stóp nad powierzchnią. Wstrząsy ustały, lecz wibracja i hałas trwały nadal. Wzbiliśmy się ostro w górę, a potem zawróciliśmy i ponownie zaczęliśmy opadać. O mały włos nie zwymiotowałem całej, tak cennej, wody.

Tuż pod nami rozpościerała się lita ściana oceanu. Porucznik odwrócił głowę i krzyknął coś do nas.

Chciałem mu powiedzieć, żeby patrzył, gdzie leci, ale ugryzłem się w język.

– Co on powiedział?

– Mówi, żebyśmy spojrzeli tam, gdzie wskaże palcem. *El tiburón blanco grande*: wielki biały rekin, który o mało nas nie pożarł.

(Mógłbym sobie darować ten widok). W istocie w samym środku ściany wody widać było szare widmo zaopatrzone w płetwę przecinającą fale. Gdy już byłem pewien, że uderzymy prosto w szczyt tej płetwy, ściana odchyliła się w bok, jakaś siła wtłoczyła moje pośladki w siedzenie, w uszach mi zaszumiało i po raz drugi udało mi się nie zwymiotować na naszego gospodarza tylko dzięki żelaznej sile woli. Maszyna wyrównała lot i nagle podróż stała się niemal wygodna, pomijając łoskot silników i wibrację.

Latanie sterowcem jest jednak znacznie przyjemniejsze.

Gdy tylko znaleźliśmy się w powietrzu, dostrzegliśmy pofałdowane wzgórza rozciągające się za linią brzegu, tak trudne do zauważenia z naszej tratwy. Ujrzeliśmy także cały wachlarz pięknych plaż oraz miasto, ku któremu się kierowaliśmy. Sierżant spojrzał w tamtą stronę, wskazał na miasto i wymamrotał coś.

– Co on mówi?

– Sierżant Roberto powiedział, że przylecimy akurat na obiad. Użył słowa *almuerzo*, ale dodał, że dla nas będzie to śniadanie – *desayuno*.

Mój żołądek postanowił nagle uspokoić się na chwilę.

– Powiedz mu, że nie musi gotować tego konia. Zjem go na surowo.

Margrethe przetłumaczyła. Obaj mężczyźni roześmiali się. Po chwili porucznik obniżył lot i przystąpił do lądowania na wodzie, cały czas oglądając się przez ramię i rozmawiając z Margrethe, która nie przestawała się uśmiechać, ale wbijała paznokcie w moją prawą dłoń.

Wylądowaliśmy. Nikt nie stracił życia. Sądzę jednak, że sterowce są znacznie bezpieczniejsze.

Obiad! Wszystko szło ku lepszemu.

Rozdział X

„W pocie więc oblicza twego
będziesz musiał zdobywać pożywienie,
póki nie wrócisz do ziemi,
z której zostałeś wzięty”.

Księga Rodzaju 3,19

Pół godziny po tym, jak maszyna latająca wylądowała z pluskiem w porcie Mazatlán, Margrethe i ja usiedliśmy z sierżantem Dominguezem w kantynie Straży Przybrzeżnej. Spóźniliśmy się na południowy posiłek, lecz obsłużono nas. Otrzymałem też ubranie lub coś w tym rodzaju – spodnie robocze z grubego perkalu. Różnica między nagością a parą spodni jest jednak o wiele większa niż różnica między tanimi spodniami roboczymi a najpiękniejszym futrem z gronostaja. Spróbujcie, a się przekonacie.

Do miejsca, gdzie przycumowała maszyna latająca, podpłynęła mała łódź. Musiałem przejść przez nabrzeże, przy którym wylądowaliśmy, do budynku kwatery głównej i zaczekać, aż znajdą się dla mnie jakieś spodnie. Bez przerwy gapili się na mnie jacyś ludzie, a wśród nich kobiety. Wiem teraz, jak się czuje człowiek w dybach. Coś okropnego! Nie czułem się tak zawstydzony od czasu pewnego niefortunnego incydentu w szkółce niedzielnej, gdy miałem pięć lat.

Miałem to już jednak za sobą. Przed nami stało jedzenie i picie. Czułem się nadzwyczaj szczęśliwy – przynajmniej w tej chwili. Jedzenie nie było

takie, do jakiego przywykłem, lecz niezależnie od tego, kim był ten, kto powiedział, że głód jest najlepszą przyprawą, miał on rację. Obiad smakował wyśmienicie. Cienkie placki z mąki kukurydzianej maczane w sosie, smażona fasola, gorący gulasz, waza pełna małych, żółtych pomidorów i kawa, mocna, czarna i gorzka – czegóż więcej może pragnąć człowiek? Żaden smakosz nie napawał się nigdy swoim posiłkiem tak jak ja wtedy.

(Z początku czułem się nieco dotknięty tym, że jedliśmy w kantynie dla żołnierzy, zamiast udać się z porucznikiem Sanzem tam, gdzie jedli oficerowie. Znacznie później ktoś wytłumaczył mi, że cierpiałem na złudzenie typowe dla cywilów. Cywil, który nie ma doświadczenia wojskowego, uważa się nieświadomie za równego pod względem statusu społecznego oficerom, nigdy szeregowcom. Po zastanowieniu okazuje się, że ta opinia jest absurdalna, chociaż niemal powszechna… Może nie wszędzie, ale z pewnością w Ameryce, gdzie każdy uważa się za „równie dobrego jak wszyscy, a lepszego niż większość”).

Sierżant Dominguez odzyskał swą koszulę. Podczas gdy szukano dla mnie spodni, kobieta – chyba posługaczka, gdyż w Meksykańskiej Straży Przybrzeżnej kobiety nie służyły – została wysłana po strój dla Margrethe. Wkrótce przyniesiono jaskrawą bluzkę i spódnicę z bawełny. Był to prosty i niewątpliwie tani kostium, lecz Margrethe wyglądała w nim pięknie.

Jak dotąd nie mieliśmy butów. Ale to nieważne – było ciepło i sucho, więc buty mogły zaczekać. Byliśmy syci, ubrani i bezpieczni. Ta gorąca gościnność sprawiła, iż w przypływie wdzięczności uznałem, że Meksykanie to najlepsi ludzie na Ziemi.

Wypiwszy drugi kubek kawy, powiedziałem:

– Kochanie, w jaki sposób możemy przeprosić ich i wyjść tak, by nie poczytano nam tego za nieuprzejmość? Myślę, że powinniśmy jak

najszybciej odnaleźć amerykańskiego konsula.

– Musimy wrócić do kwatery głównej.

– Dalsze biurokratyczne formalności?

– Sądzę, że można to tak określić. Chyba chcą się dowiedzieć, jak znaleźliśmy się w miejscu, gdzie nas uratowano. Trzeba przyznać, że nasza opowieść brzmi dziwnie.

– Chyba masz rację.

Nasza pierwsza rozmowa z komendantem nie przyniosła zadowalających rezultatów. Gdybym był sam, nazwałby mnie chyba kłamcą, trudno jednak prawdziwemu samcowi, przepełnionemu męską dumą, mówić w ten sposób do Margrethe.

Problem stanowił *Konge Knut*, statek, który ani nie zatonął, ani nie zawinął do portu, gdyż po prostu nigdy nie istniał. Zdziwiłem się tylko troszeczkę. Gdyby zamienił się w żaglowiec z pełnym takielunkiem albo kwinkweremę, nie zdziwiłbym się w ogóle. Spodziewałem się jednak, że jakiś statek o tej samej nazwie istnieje i w tym świecie. Sądziłem, iż wymagają tego zasady gry. Okazało się wszakże, iż nie pojąłem tych zasad, o ile w ogóle istniały jakiekolwiek.

Margrethe wskazała mi jeszcze jeden fakt – Mazatlán nie był tym samym miastem, w którym przebywała uprzednio. Miejscowość była znacznie mniejsza i w ogóle nie była ośrodkiem turystycznym. Nie istniało w porcie długie nabrzeże, do którego mógłby przybić *Konge Knut*.

Mam wrażenie, że to właśnie, na równi z latającymi maszynami, przekonało ją, że moja „paranoja” stanowi w gruncie rzeczy najprawdopodobniejszą hipotezę. Przebywała już w Mazatlánie. Nabrzeże portowe było długie i murowane. Teraz zniknęło. To nią wstrząsnęło.

Nie wywarliśmy na komendancie korzystnego wrażenia. Spędził więcej czasu na rozmowie z porucznikiem Sanzem niż z nami. Wydawał się

z niego niezadowolony.

Wchodził tu w grę jeszcze jeden czynnik, którego wówczas nie rozumiałem i do dzisiaj nie rozumiem w stu procentach. Zwierzchnik Sanza był „kapitanem” (*capitán*) i komendant był „kapitanem”. Nie byli jednak sobie równi stopniem*.

Straż Przybrzeżna używała stopni marynarki wojennej. Lecz ci, którzy używali maszyn latających, stosowali stopnie armii lądowej. Sądzę, że ta drobna różnica miała przyczyny historyczne. Tak czy inaczej, istniało między nimi napięcie i kapitan marynarki z czterema belkami nie był skłonny wierzyć we wszystko, co mówił mu oficer służący na maszynach latających.

Porucznik Sanz sprowadził dwoje nagich rozbitków, którzy opowiedzieli absurdalną historię. Czterobelkowiec był skłonny winić Sanza z powodu jej niewiarygodności.

Sanz nie dał się zastraszyć. Myślę, że nie darzył respektem oficera, który nigdy nie znalazł się wyżej nad powierzchnią wody niż bocianie gniazdo. (Odbywszy podróż w jego piekielnej maszynie, rozumiałem, dlaczego nie był skłonny zginać karku przed byle marynarzem. Nawet wśród pilotów sterowców, których znałem, istniała podobna tendencja do dzielenia wszystkich ludzi na dwie kategorie – latających i nielatających).

Po chwili, niezdolny zachwiać Sanzem i Margrethe oraz porozumieć się ze mną bez pośrednictwa tej ostatniej, komendant wzruszył ramionami i wydał rozkaz, który pozwolił nam spożyć obiad. Sądziłem, że na tym koniec. Teraz jednak wracaliśmy na przesłuchanie.

Druga rozmowa z komendantem trwała krótko. Powiedział nam, że o czwartej po południu przyjmie nas sędzia zajmujący się sprawami imigracyjnymi. Nie było tu osobnego urzędu do spraw imigrantów.

Tymczasem możemy zaznajomić się z listą należności. Sposób, w jaki pokryjemy dług, będzie można uzgodnić z sędzią.

Margrethe przyjęła od niego kartkę ze zdziwioną miną. Zapytałem, co powiedział komendant. Przetłumaczyła mi to. Spojrzałem na rachunek.

Ponad osiem tysięcy peso!

Nie potrzeba było dogłębnej znajomości hiszpańskiego, aby odczytać rachunek. Niemal wszystkie słowa brzmiały podobnie do angielskich. *Tres horas* to trzy godziny. Mieliśmy zapłacić za trzy godziny korzystania z *aeroplano* – to słowo usłyszałem już wcześniej od Margrethe. Oznaczało ono ich maszynę latającą. Obciążono nas również opłatą za trzy godziny pracy porucznika Sanza i sierżanta Domingueza. Ta pozycja była pomnożona przez współczynnik, który, jak uznałem, musiał oznaczać „pracę w powietrzu” lub coś w tym rodzaju. Dodano też cenę paliwa dla *aeroplano* oraz koszty jego obsługi. Spodnie to *pantalones*, uwzględniono więc opłatę za parę, którą miałem na sobie. *Falda* to spódniczka, a *camisa* to bluzka. Strój Margrethe zdecydowanie nie był tani. Jeden punkt mnie zaskoczył, nie ze względu na cenę, lecz na to, że w ogóle się tam znalazł, sądziłem bowiem, że jesteśmy gośćmi – dwa obiady po dwanaście peso każdy. Była tam nawet oddzielna opłata za czas, jaki zajęliśmy komendantowi.

Zacząłem pytać, ile to jest osiem tysięcy peso w przeliczeniu na dolary, lecz przerwałem, zdawszy sobie sprawę, że nie mam najmniejszego pojęcia, jaką siłę nabywczą ma dolar w tym nowym świecie, w który zostaliśmy rzuceni.

Margrethe zapytała o ten rachunek porucznika Sanza, który wyglądał na zawstydzonego. Było sporo wymówek i wymachiwania rękami. Wysłuchawszy go, powiedziała:

– Alec, to nie jest pomysł Anibala ani nawet komendanta. Taryfy opłat za te usługi – ratunek na pełnym morzu, korzystanie z *aeroplano* i tak dalej – zostały ustalone przez *el Distrito Real*, czyli Dystrykt Królewski. To chyba to samo co Mexico City. Porucznik Sanz zdradził mi, że władze centralne wywierają obecnie silny nacisk, aby wszystkie służby publiczne były samofinansujące. Powiedział, że gdyby komendant nie obciążył nas opłatą za uratowanie, a inspektor królewski dowiedziałby się o tym, cała suma zostałaby potrącona z pensji komendanta wraz z karą w takiej wysokości, jaką królewska komisja uznałaby za stosowną. Anibal pragnie, byś wiedział, że jest zrozpaczony tą pożałowania godną sytuacją. Gdyby to on był właścicielem *aeroplano*, potraktowałby nas jak gości. Zawsze będzie odnosił się do ciebie jak do brata, a mnie traktował jak siostrę.

– Powiedz mu, że odwzajemniam wszystkie jego uczucia, i zrób to w sposób równie kwiecisty jak on.

– Zrobię. Roberto chciałby, żeby jego też uwzględnić.

– Sierżantowi też to przekaż. Dowiedz się jednak, gdzie i jak można znaleźć amerykańskiego konsula. Mamy kłopoty.

Porucznikowi Anibalowi Sanzowi nakazano, aby przypilnował, byśmy stawili się w sądzie punktualnie o czwartej. Następnie pozwolono nam odejść. Sanz powierzył sierżantowi Robertowi zadanie odprowadzenia nas do konsula i z powrotem, wyraził żal, że obowiązki nie pozwalają mu odprowadzić nas osobiście, po czym trzasnął obcasami, nachylił się nad ręką Margrethe i pocałował ją. Widać było, że tym prostym gestem zyskał u niej bardzo wiele. Była wyraźnie zadowolona. Niestety w Kansas nie uczą takich grzeczności. Moja strata!

Mazatlán leży na półwyspie. Stacja Straży Przybrzeżnej znajduje się niedaleko jego południowego brzegu. Tuż obok wznosi się latarnia morska. (Najwyższa na świecie – imponująca!) Konsulat amerykański ma siedzibę w odległości mili – po drugiej stronie miasta, na północnym brzegu. Należy przejść całą Avenida Miguel Alemán. Bardzo przyjemna trasa, w połowie drogi ozdobiona śliczną fontanną.

Lecz Margrethe i ja byliśmy boso.

Sierżant Dominguez nie zaproponował jazdy taksówką, ja zaś nie mogłem sobie na to pozwolić.

Z początku bose nogi nam nie przeszkadzały. Na bulwarze widać było wiele bosych stóp i przecież nie wszystkie należały do dzieci. (Nie byłem też jedynym mężczyzną z nagą piersią). W dzieciństwie traktowałem chodzenie boso jako luksus i przywilej. Chodziłem bez butów całe lato i wkładałem je z najwyższą niechęcią, gdy zaczynała się szkoła. Już po przejściu pierwszej przecznicy zacząłem się jednak zastanawiać, z jakiego powodu w dzieciństwie tak się zawsze cieszyłem na chodzenie boso. Chwilę później powiedziałem Margrethe, żeby poprosiła sierżanta Roberta, aby zwolnił kroku i pozwolił mi iść w jak najgłębszym cieniu, gdyż ten skubany chodnik parzy mi stopy. (Margrethe, która nie skarżyła się w ogóle, nie zrobiła tego. Byłem tym nieco podenerwowany. Jej anielski hart ducha służył mi za wzór, któremu wszakże trudno było sprostać).

Od tej chwili poświęciłem się całkowicie użalaniu się nad moimi biednymi, nieszczęsnymi, delikatnymi, różowymi stopami. Litowałem się nad sobą, zadając sobie pytanie, po co w ogóle opuszczałem kraj Pana Boga.

„Płakałem, że nie mam butów, dopóki nie ujrzałem człowieka, który nie miał nóg”. Nie wiem, kto powiedział to po raz pierwszy, ale słusznie uważa się ten wiersz za część naszego dziedzictwa kulturowego.

To właśnie przytrafiło się mnie.

Niemal w połowie drogi, tam gdzie Avenida Miguel Alemán krzyżuje się z Calle Aquiles Serdán przy fontannie, napotkaliśmy ulicznego żebraka. Spojrzał na nas w górę i uśmiechnął się, trzymając w ręku kilka ołówków. Mówię, że spojrzał w górę, ponieważ jechał na małym wózku. Nie miał nóg.

Sierżant Roberto zawołał go po imieniu i rzucił mu monetę. Żebrak chwycił ją zębami, schował do kieszeni, krzyknął: *Gracias!* i skierował uwagę na mnie.

– Margrethe, powiedz mu, proszę, że nie mam ani grosza – powiedziałem szybko.

– Dobrze, Alec.

Przykucnęła, aby porozmawiać z nim twarzą w twarz. Po chwili wstała.

– Pepe kazał ci powtórzyć, że nic nie szkodzi. Złapie cię któregoś dnia, gdy będziesz bogaty.

– Powiedz mu, że na pewno go wtedy znajdę, daję słowo.

Zrobiła to. Pepe uśmiechnął się do mnie, przekazał całusa Margrethe i zasalutował sierżantowi i mnie. Ruszyliśmy w dalszą drogę.

Przestałem rozczulać się nad swoimi stopami. Pepe zmusił mnie do spojrzenia na moją sytuację w innym świetle. Odkąd się dowiedziałem, że rząd meksykański nie uważa ratowania mnie za przywilej, lecz każe sobie za to zapłacić, nie przestawałem litować się nad sobą. Czułem się wykorzystany i oszukany. Cały czas mamrotałem pod nosem, że moi rodacy, którzy twierdzili, że wszyscy Meksykanie to pijawki żyjące z naciągania jankeskich turystów, mieli całkowitą rację. Rzecz jasna nie Roberto i porucznik, ale cała reszta! Leniwe pasożyty, wszyscy co do jednego, wyciągające swe łapska po każdy jankeski dolar!

Tak jak Pepe.

Przywołałem w myśli wszystkich Meksykanów, których napotkałem tego dnia, każdego, którego mogłem sobie przypomnieć, i poprosiłem ich o wybaczenie za swą pogardę. Meksykanie byli po prostu naszymi towarzyszami w tej długiej podróży z ciemności w wieczną noc. Niektórzy dźwigali swe brzemię z godnością, inni nie. Byli też tacy, którzy dźwigali bardzo ciężkie brzemię z odwagą godną pozazdroszczenia.

Jak Pepe!

Wczoraj żyłem w luksusie, dziś byłem zadłużonym bankrutem. Zachowałem jednak zdrowie, miałem rozum, dwie ręce… i Margrethe. Moje brzemię było lekkie i powinienem dźwigać je z radością.

Dzięki ci, Pepe!

Ponad drzwiami konsulatu powiewała mała amerykańska flaga. Na drzwiach znajdowało się godło z brązu. Pociągnąłem za sznur dzwonka.

Po dłuższej chwili drzwi uchyliły się lekko i kobiecy głos kazał nam zjeżdżać. (Nie potrzebowałem tłumaczenia. Było oczywiste, co chciała powiedzieć). Drzwi zaczęły się zamykać. Sierżant Roberto gwizdnął głośno i zawołał coś. Szpara poszerzyła się. Zaczęła się rozmowa. Margrethe oznajmiła:

– Powiedział jej, żeby przekazała don Ambrosiowi, że przyszło dwoje amerykańskich obywateli, którzy muszą spotkać się z nim natychmiast, ponieważ o czwartej mają stawić się w sądzie.

Znów musieliśmy czekać. Po jakichś dwudziestu minutach służąca wpuściła nas i zaprowadziła do mrocznego biura. Przyszedł konsul, spiorunował mnie wzrokiem i zapytał, jakim prawem odważyłem się przerwać mu sjestę.

W tej samej chwili ujrzał Margrethe i natychmiast zmienił nutę. Do niej zwrócił się słowami: „Czym mogę pani służyć? Czy zaszczyci pani mój skromny dom, przyjmując kieliszek wina lub filiżankę kawy?”.

Z bosymi stopami i ubrana w krzykliwy kostium Margrethe wciąż wyglądała jak dama. Ja natomiast byłem lumpem. Nie pytajcie dlaczego. Tak było i już. Na mężczyzn działało to silniej, ale kobiety również nie były odporne. Spróbujcie to wytłumaczyć, a stwierdzicie, że przychodzą wam do głowy takie słowa, jak „królewski”, „szlachetny”, „arystokratyczny” czy „dobre maniery wyssane z mlekiem matki”, które wyklęto w opanowanej przez demokratyczne ideały Ameryce. Pytanie, czy to mówi coś o Margrethe, czy też o demokratycznych ideałach, pozostawiam nierozstrzygnięte, polecając nauczycielom jako ćwiczenie dla uczniów.

Don Ambrosio był pompatycznym zerem, lecz przyjemnie było go spotkać, gdyż posługiwał się językiem amerykańskim – nie angielskim, ale prawdziwym amerykańskim. Urodził się w Brownsville w Teksasie. Byłem pewien, że jego rodzice przybyli z Meksyku. Dzięki poparciu rodaków zdołał zamienić swój talent polityczny na wygodną synekurę polegającą na tłumaczeniu *gringos* zabłąkanym w kraju Montezumy, że nie mogą otrzymać tego, czego rozpaczliwie potrzebują.

To właśnie po dłuższym czasie oznajmił nam.

Pozwoliłem Margrethe prowadzić rozmowę, ponieważ radziła sobie znacznie lepiej niż ja. Mówiła o nas jako o panu i pani Graham. Po drodze zgodziliśmy się, że będziemy używać tego nazwiska. Gdy zostaliśmy uratowani, użyła formy „Graham Hergensheimer”. Wytłumaczyła mi później, że zrobiła to, abym miał wybór. Mogłem wybrać nazwisko Hergensheimer, twierdząc po prostu, że słuchaczowi coś się pomyliło i że podane nazwisko brzmiało „Hergensheimer Graham”. Nie? W takim razie ja musiałem się pomylić. Przepraszam.

Zdecydowałem się pozostać przy formie „Graham Hergensheimer” i w związku z tym używałem nazwiska Graham, aby ułatwić sprawy. Dla Margrethe zawsze byłem Grahamem, sam również przez prawie dwa

tygodnie używałem tego nazwiska. Zanim wyszliśmy z konsulatu, wypowiedziałem jeszcze tuzin kłamstw w celu uwiarygodnienia mojej opowieści. Nie chciałem niepotrzebnych komplikacji. „Pan i pani Graham" było najprostszym rozwiązaniem. (Drobna uwaga teologiczna: Wiele osób sądzi, że dziesięcioro przykazań zakazuje kłamstwa. Nic podobnego! Zakaz dotyczy mówienia fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu twemu – to specyficzna, ściśle określona i godna pogardy forma kłamstwa. Żadne zdanie w Biblii nie zakazuje natomiast zwykłego mówienia nieprawdy. Wielu teologów sądzi, że żadna ze stworzonych przez ludzi form organizacji społecznej nie mogłaby wytrzymać ciśnienia absolutnej szczerości. Jeśli sądzicie, że ich obawy są bezpodstawne, spróbujcie powiedzieć znajomym całą prawdę na temat tego, co sądzicie o ich potomstwie – o ile się odważycie).

Po niezliczonych powtórzeniach (w trakcie których *Konge Knut* skurczył się i stał się naszym prywatnym jachtem) don Ambrosio powiedział mi:

– To nic nie da, panie Graham. Nie mogę wydać panu nawet tymczasowego dokumentu w miejsce utraconego paszportu, gdyż nie przedstawił pan choćby cienia dowodu, że jest obywatelem amerykańskim.

– Don Ambrosio, zdumiewa mnie pan – odparłem. – Wiem, że pani Graham ma lekki akcent. Mówiliśmy panu, że urodziła się w Danii. Czy jednak naprawdę sądzi pan, że ktoś urodzony z dala od Midwestu mógłby mieć taki akcent jak ja?

Wzruszył ramionami w typowo latynoski sposób.

– Nie jestem specjalistą od akcentów. Na moje uszy mógł pan mówić w dzieciństwie z jednym z twardych akcentów brytyjskich, a potem poświęcić się karierze scenicznej. Wszyscy wiedzą, że dobry aktor potrafi naśladować każdy akcent, którego wymaga jego rola. Angielska Republika Ludowa ucieka się w dzisiejszych czasach do najbardziej wymyślnych

metod, aby przemycić swych agentów do Stanów. Może pan równie dobrze pochodzić z Lincoln w Anglii, a nie z okolic Lincoln w Nebrasce.

– Czy naprawdę pan w to wierzy?

– W co ja wierzę, nie należy do sprawy. Faktem jest natomiast, że nie podpiszę dokumentu stwierdzającego, że jest pan obywatelem amerykańskim, gdyż nie mogę tego stwierdzić. Przykro mi. Czy jest coś więcej, co mógłbym dla pana zrobić?

(Jak możesz zrobić „więcej”, skoro do tej pory nie zrobiłeś nic?)

– Być może mógłby nam pan doradzić.

– Być może. Nie jestem prawnikiem.

Pokazałem mu naszą kopię rachunku, wyjaśniając, o co chodzi.

– Czy to jest zgodne z prawem i czy nie żądają zbyt wiele?

Obejrzał rachunek.

– Z pewnością jest to zgodne zarówno z ich prawem, jak i z naszym. Zbyt wiele? Czy nie powiedział pan, że uratowali wam życie?

– Nie ma co do tego wątpliwości. Istniała oczywiście niewielka szansa, że odnalazłaby nas łódź rybacka, jednak to Straż Przybrzeżna znalazła nas i uratowała.

– Czy pańskie życie – życie was obojga – jest warte mniej niż osiem tysięcy peso? Zapewniam pana, że moje jest warte znacznie więcej.

– Nie o to chodzi, sir. Nie mamy pieniędzy, ani centa. Straciliśmy wszystko, gdy łódź zatonęła.

– Więc poślijcie po pieniądze. Pójdę wam na rękę i zgodzę się, aby przysłano je na adres konsulatu.

– Dziękuję panu. To jednak potrwa. Co mamy zrobić tymczasem? Powiedziano nam, że ten sędzia zażąda zapłaty gotówką, i to natychmiast.

– Och, nie jest tak źle. To prawda, że nie pozwalają tu na ogłoszenie bankructwa, jak u nas, a poza tym mają dość staroświeckie regulacje

dotyczące więzienia za długi. Nie korzystają jednak z tego prawa, tylko nim grożą. Zamiast tego sąd przypilnuje, żebyście dostali pracę, która pozwoli wam spłacić wasze długi. Don Clemente jest wyrozumiałym sędzią. Nie zrobi wam krzywdy.

To było wszystko, co powiedział, nie licząc kwiecistych nonsensów pod adresem Margrethe. Odnaleźliśmy sierżanta Roberta, który przebywał w towarzystwie służącej i kucharza, po czym ruszyliśmy w stronę sądu.

Don Clemente (sędzia Ibañez) był tak sympatyczny, jak zapowiedział don Ambrosio. A skoro od razu poinformowaliśmy kancelarię, że uznajemy nasz dług, ale nie mamy pieniędzy, aby go spłacić, procesu nie było. Posadzono nas po prostu w niemal pustej sali sądowej i kazano zaczekać, aż sędzia załatwi wszystkie sprawy w rejestrze. Z niektórymi uporał się szybko. Były to drobne wykroczenia karane grzywną, sprawy o długi lub przesłuchania przed mającym się dopiero odbyć procesem. Nie rozumiałem wiele z tego, co się dzieje, gdyż na szepty w sali sądowej reagowano z niechęcią i Margrethe nie mogła mi nic powiedzieć. Don Clemente z pewnością jednak nie wyglądał na sędziego ferującego drakońskie wyroki.

Gdy rozstrzygnięto już wszystkie sprawy, kancelista wezwał nas wraz z innymi „przestępcami” – głównie wieśniakami zalegającymi ze spłatą długów lub grzywien – do opuszczenia sali. Ustawiono nas w rzędzie na niskiej platformie naprzeciw grupy ludzi. Margrethe zapytała, co to takiego, i odpowiedziano jej: *La subasta*.

– Co to znaczy? – zapytałem.

– Nie jestem pewna, Alec. Nie znam tego słowa.

Szybko poczyniono ustalenia co do pozostałych. Odniosłem wrażenie, że większość z nich była już tu przedtem. Po chwili z grupy stojącej przed platformą pozostał tylko jeden człowiek, a na platformie wyłącznie my. Mężczyzna ten wyglądał na zamożnego. Uśmiechnął się i powiedział coś do mnie.

– Co on mówi? – zapytałem.

– Spytał, czy potrafisz myć naczynia. Odpowiedziałam mu, że nie mówisz po hiszpańsku.

– Powiedz mu, że oczywiście potrafię myć naczynia, choć nie jest to praca, o której marzę.

Pięć minut później nasz dług został spłacony gotówką wręczoną kanceliście, my zaś zyskaliśmy *patrona*. Był nim señor Jaime Valera Guzman. Płacił on Margrethe sześćdziesiąt peso dziennie, a mnie trzydzieści. Koszty sądowe wyniosły dwa i pół tysiąca peso. Do tego doszedł koszt dwóch pozwoleń na pracę dla przyjezdnych, plus znaczki z tytułu podatku wojennego. Kancelista obliczył całkowitą kwotę naszego zadłużenia, po czym podzielił ją przez naszą dzienną płacę. Po zaledwie stu dwudziestu jeden dniach – czterech miesiącach – nasz dług u *patrona* zostanie spłacony. Oczywiście pod warunkiem, że przez cały ten czas nie wydamy ani grosza. Urzędnik wskazał nam też drogę do zakładu naszego *patrona* – Restaurante Pancho Villa. *Patrón* zdążył już odjechać swoim samochodem. *Patrones* jeżdżą samochodami, *peones* chodzą pieszo.

* W marynarce amerykańskiej – w przeciwieństwie do armii – stopień „kapitan” równa się naszemu stopniowi komandor i jest odpowiednikiem pułkownika – przyp. tłum.

Rozdział XI

„I tak służył Jakub za Rachelę przez siedem lat,
a wydały mu się one jak dni kilka,
bo bardzo miłował Rachelę”.

Księga Rodzaju 29,20

Zmywając naczynia, zabawiałem się niekiedy obliczaniem, jak wysoki ich stos zdążyłem umyć, odkąd rozpocząłem pracę u naszego *patrona*, don Jaimego. Potrzeba było dwudziestu talerzy używanych w kawiarni Pancho Villa, aby utworzyć stos o wysokości jednej stopy. Zdecydowałem arbitralnie, że filiżanka i spodek czy dwie szklanki stanowią równoważnik jednego talerza, ponieważ te naczynia trudno ustawić w stos. I tak dalej.

Wielka latarnia morska w Mazatlánie ma pięćset piętnaście stóp wysokości, tylko czterdzieści mniej niż Obelisk Waszyngtona. Pamiętam dzień, w którym ukończyłem swą pierwszą „latarnię morską”. Parę dni wcześniej powiedziałem Margrethe, że zbliżam się do celu i spodziewam się osiągnąć go w czwartek lub w piątek rano.

Zrobiwszy to w czwartek po południu, wyłoniłem się z zaplecza, stanąłem w drzwiach pomiędzy kuchnią i salą jadalną i widząc Margrethe, uniosłem ręce nad głowę, zaciskając dłonie jak pięściarz.

Margrethe przerwała pracę – przyjmowała właśnie zamówienie od całej rodziny – i zaczęła bić mi brawo. Z tego powodu musiała wyjaśnić gościom całą sprawę, co skończyło się tym, że po kilku minutach wdepnęła na zaplecze i wręczyła mi dziesięciopesowy banknot w dowód uznania od ojca

owej rodziny. Poprosiłem ją, żeby podziękowała mu ode mnie i przekazała, że rozpocząłem właśnie drugą „latarnię morską”, którą zadedykuję jemu i jego bliskim.

To z kolei doprowadziło do tego, że señora Valera przysłała swojego męża, don Jaimego, aby sprawdził, dlaczego Margrethe marnuje czas na wygłupy, zamiast zająć się robotą… co spowodowało, iż don Jaime spytał mnie, jak wysoki napiwek dostałem, i wręczył mi taką samą kwotę.

Señora nie miała powodów, żeby się skarżyć. Margrethe nie tylko była jej najlepszą kelnerką, lecz również jedyną, która znała dwa języki. Tego samego dnia, którego rozpoczęliśmy pracę u państwa Valera, wezwano malarza szyldów, a ten wykonał rzucający się w oczy napis: ENGLIS SPOKE HERE. Od tej pory, oprócz tego, że musiała być na wezwanie wszystkich klientów mówiących po angielsku, Margrethe pisała również menu w tym języku (na których ceny były o jakieś czterdzieści procent wyższe niż w menu po hiszpańsku).

Don Jaime nie był złym szefem. Wesoły i – w sumie – dobry dla swych pracowników, gdy przepracowaliśmy już u niego prawie miesiąc, wyznał mi, że nie zakupiłby mojego kontraktu, gdyby nie fakt, że sędzia nie pozwolił na rozdzielenie mnie i Margrethe, jako że byliśmy małżeństwem. (W przeciwnym razie zostałbym parobkiem, pracowałbym w polu i jedynie rzadko mógłbym się widywać z żoną – jak powiedział nam don Ambrosio, don Clemente był wyrozumiałym sędzią).

Powiedziałem mu, że cieszę się, iż transakcja wiązana obejmowała także mnie, fakt jednak, że pragnął wynająć Margrethe, dowodził, że zna się na rzeczy.

Przyznał mi rację. Od kilku tygodni chodził na środowe aukcje pracowników w poszukiwaniu dwujęzycznej kobiety lub dziewczyny, którą można by wyszkolić na kelnerkę. Zakontraktował również mnie, aby móc

zatrudnić Margrethe, ale chciał mi powiedzieć, iż nie żałuje tego, ponieważ nigdy nie widział zaplecza tak czystego, talerzy tak niepokalanych, a srebrnej zastawy tak lśniącej.

Zapewniłem go, że to dla mnie zaszczyt móc podtrzymać honor i prestiż Restaurante Pancho Villa i jej sławnego *patrona* – el don Jaimego.

W rzeczy samej na zapleczu panował taki brud, że gdy przejąłem nad nim opiekę, sądziłem, iż podłoga jest pokryta ziemią. Tak też było – można tam było sadzić ziemniaki! Lecz pod blisko półcalową warstwą brudu znajdował się lity beton. Wyczyściłem podłogę i utrzymywałem ją w czystości – wciąż byłem boso. Zażądałem też, aby dano mi proszek na karaluchy. Każdego dnia zabijałem te owady i szorowałem podłogę. Każdego wieczoru, na chwilę przed zakończeniem pracy, rozsypywałem proszek przeciwko karaluchom. Nie można (jak sądzę) odnieść nad nimi zwycięstwa, można wszakże stoczyć z nimi bitwę, zmusić do odwrotu, a następnie utrzymać tak uzyskaną równowagę sił.

Jeśli chodzi o jakość zmywania, nie mogła ona być niska, gdyż moja matka panicznie obawiała się brudu i, jako członek licznej rodziny, zmywałem i wycierałem naczynia pod jej nadzorem pomiędzy siódmym a trzynastym rokiem życia, kiedy to zostałem oddelegowany do roznoszenia gazet, co nie zostawiało mi czasu na zmywanie.

Fakt, że potrafiłem dobrze zmywać, nie oznaczał, że uwielbiałem to robić. Zmywanie naczyń nudziło mnie w dzieciństwie i nudziło jako dorosłego.

Dlaczego więc robiłem to, zamiast po prostu uciec?

Czy to nie oczywiste? Zmywanie naczyń trzymało mnie przy Margrethe. Ucieczka mogła być dobrym rozwiązaniem dla niektórych dłużników – nie sądzę, aby poświęcono wiele sił na tropienie tych spośród nich, którzy zniknęli pewnej ciemnej nocy – nie była ona jednak możliwa dla pary

małżeńskiej złożonej z wpadającej w oko blondynki w kraju, gdzie każda blondynka wpada w oko, oraz mężczyzny nieumiejącego mówić po hiszpańsku.

Choć oboje pracowaliśmy ciężko – od jedenastej do jedenastej każdego dnia oprócz wtorku, minus teoretycznie dwie godziny na sjestę i po pół na obiad i kolację – pozostałe dwanaście godzin doby oraz całe wtorki mieliśmy wyłącznie dla siebie.

Nawet w Niagara Falls nie moglibyśmy spędzić piękniejszego miesiąca miodowego. Mieliśmy mały pokój na poddaszu, z tyłu budynku restauracyjnego. Było w nim gorąco, lecz nie spędzaliśmy tam wiele czasu w ciągu dnia. O jedenastej w nocy można w nim było wytrzymać, niezależnie od tego, jak gorąco było w dzień. W Mazatlánie mieszkania osób o naszym statusie społecznym (równym zeru!) nie miały kanalizacji. My jednak mieszkaliśmy i pracowaliśmy w budynku restauracji, gdzie znajdowało się WC, które dzieliliśmy z pozostałymi pracownikami w godzinach pracy i z nikim innym przez pozostałych dwanaście godzin. (Był też wychodek w podwórzu, z którego korzystałem niekiedy w godzinach pracy. Nie sądzę, żeby Margrethe kiedykolwiek to robiła). Mogliśmy również używać prysznica znajdującego się na parterze, tuż obok toalety dla pracowników. Zmywanie naczyń pochłaniało tak wiele wody, że restauracja musiała posiadać olbrzymi bojler. Señora Valera czyniła nam regularnie wyrzuty, że zużywamy zbyt wiele gorącej wody (Gaz kosztuje!). Wysłuchiwaliśmy tego w milczeniu i nadal zużywaliśmy jej tyle, ile było potrzeba.

Nasz *patrón* zobowiązał się wobec państwa zapewnić nam wyżywienie i dach nad głową (jak również ubranie, o czym jednak dowiedziałem się zbyt późno). Dlatego też spaliśmy i jedliśmy na miejscu – może nie to, co szef kuchni polecał, ale wystarczająco dobrze.

„Lepsze jest trochę jarzyn z miłością niż tłusty wół z nienawiścią”. Mieliśmy tylko siebie i to nam wystarczało.

Margrethe, która czasami dostawała napiwki, zwłaszcza od *gringos*, zaoszczędziła trochę gotówki. Wydawaliśmy z tego tak mało, jak to tylko możliwe. Margrethe kupiła dla nas jedynie po parze butów, gdyż odkładała pieniądze z myślą o dniu, gdy zostaniemy zwolnieni z naszej służby i będziemy mogli udać się na północ. Nie miałem złudzeń, że leżące na północy państwo będzie tym samym, w którym się urodziłem… był to jednak jego najbliższy odpowiednik w tym świecie. Mówiono tam po angielsku i byłem pewien, że tamtejsza kultura będzie bardziej zbliżona do tej, którą znaliśmy.

Napiwki dla Margrethe już pierwszego tygodnia doprowadziły do spięć z señorą Valerą. Mimo że zgodnie z prawem don Jaime był naszym *patronem*, to ona była właścicielką restauracji. Tak powiedziała nam kucharka Amanda. Jaime Valera był tu kiedyś głównym kelnerem i ożenił się z córką właściciela, dzięki czemu na stałe został *maître d’hôtel*. Gdy jego teść umarł, w oczach sąsiadów stał się właścicielem zakładu. Ale to jego żona trzymała klucz od kasy. (Powinienem być może dodać, że tytułowaliśmy go „don Jaime”, gdyż był naszym *patronem*, pospólstwo jednak nie nazywało go tak. Ten tytuł nie daje się przetłumaczyć na angielski, lecz właściciel restauracji to nie „don”, podczas gdy na przykład sędzia ma prawo do tego tytułu). Gdy señora odkryła, że Margrethe dostaje napiwki, kazała je sobie oddawać, twierdząc, że pod koniec tygodnia otrzyma swoją działkę.

Margrethe przyszła z tym prosto do mnie.

– Alec, co mam zrobić? Napiwki były głównym źródłem mojego dochodu na *Konge Knut* i nikt mi się nie kazał nimi dzielić. Czy ona ma prawo mi to nakazać?

Powiedziałem jej, żeby nie oddawała napiwków señorze, lecz przekazała jej, że porozmawiamy z nią o tym po skończeniu pracy.

Sytuacja *peona* ma jeden plus – nie mogą cię wylać z roboty, gdy pokłócisz się z szefem. To znaczy, rzecz jasna, można było nas wywalić, ale państwo Valera straciliby przez to około dziesięciu tysięcy peso, które w nas zainwestowali.

Pod koniec dnia wiedziałem już dokładnie, co mam powiedzieć i w jaki sposób mam to zrobić… to jest w jaki sposób Margrethe ma to zrobić, ponieważ musiał upłynąć jeszcze miesiąc, zanim wchłonąłem dostateczną dawkę hiszpańskiego, aby prowadzić choć podstawową konwersację.

– Drodzy państwo, nie rozumiemy tego zakazu przyjmowania podarunków. Chcemy spotkać się z sędzią, aby zapytać go, czy nasz kontrakt tego wymaga.

Tak jak się spodziewałem, nie mieli ochoty na rozmowę z sędzią na ten temat. Mieli prawo do pracy Margrethe, ale nie do pieniędzy wręczanych jej przez osoby trzecie.

To nie zamknęło sprawy. Señora Valera była tak rozgniewana, że byle kelnerka odważyła się jej przeciwstawić, iż wywiesiła napis: NO PROPINAS – ŻADNYCH NAPIWKÓW, a podobne umieściła w menu.

Peones nie mogą strajkować. W restauracji pracowało jednak jeszcze pięć kelnerek, z których dwie były córkami Amandy. Tego samego dnia, gdy señora Valera zakazała napiwków, stwierdziła, że ma już tylko jedną kelnerkę – Margrethe – i nikogo do pracy w kuchni. Poddała się, ale jestem pewien, że nigdy nam tego nie wybaczyła.

Don Jaime traktował nas jak swoich pracowników, jego żona jak niewolników. Wbrew staremu powiedzeniu o „niewolnikach na pensji” różnica jest olbrzymia. Oboje staraliśmy się być lojalnymi pracownikami,

spłacając jednocześnie swój dług, ale absolutnie nie zgadzaliśmy się zostać niewolnikami. I dlatego podpadliśmy señorze Valerze.

Wkrótce po sporze o napiwki Margrethe doszła do wniosku, że señora myszkuje w naszej sypialni. Jeśli tak było, nie mieliśmy sposobu, aby ją powstrzymać. W drzwiach nie było zamka i gdy byliśmy zajęci pracą, mogła wejść do pokoju bez obawy, że zostanie nakryta.

Zastanawiałem się nad założeniem pułapek, lecz Margrethe sprzeciwiła się temu. Od tej pory po prostu trzymała pieniądze przy sobie. Najlepszym dowodem na to, co myśleliśmy o naszej chlebodawczyni, było to, iż Margrethe uznała za konieczne zabezpieczyć się, aby nas nie okradała.

Nie pozwoliliśmy jednak señorze Valerze zmącić naszego szczęścia. Nie pozwoliliśmy też, aby nasz cokolwiek wątpliwy status „małżeństwa” popsuł nam nieco nietypowy miesiąc miodowy. Oczywiście popsułbym go sam, ponieważ zawsze miałem tę diabelską skłonność do roztrząsania spraw, których nie potrafiłem pojąć, lecz Margrethe jako osoba znacznie praktyczniejsza ode mnie po prostu mi na to nie pozwoliła. Starałem się usprawiedliwić przed nią nasz związek, wskazując, że to nie Pismo Święte zabrania poligamii, lecz jedynie współczesne prawa i zwyczaje, ale ucięła moje wywody, mówiąc, że nie obchodzi jej, ile żon i konkubin miał król Salomon, i że nie traktuje jego ani żadnej innej postaci ze Starego Testamentu jako wzorca dla siebie. Jeśli nie chciałem z nią żyć, miałem to powiedzieć głośno, i to już!

Przymknąłem się. Niektóre problemy lepiej zostawić w spokoju, zamiast roztrząsać je za pomocą słów. Współczesna moda, aby wszystkie sprawy „przedyskutować”, równie często przynosi nowe problemy, jak rozwiązanie.

Jednak jej pogarda dla autorytetu Biblii w sprawie, czy jednemu mężczyźnie wolno mieć dwie żony, była tak ostra, że musiałem ją o to

zapytać – nie o poligamię, gdyż unikałem tej drażliwej kwestii, lecz o to, jaki jest jej stosunek do autorytetu Pisma Świętego w ogóle. Wytłumaczyłem jej, że Kościół, w którym się wychowałem, wierzył w dosłowną interpretację – „cała Biblia, nie wybrane fragmenty”. Pismo było słowem Bożym i należało traktować je dosłownie… choć wiedziałem, iż inne Kościoły sądziły, że należy przestrzegać raczej ducha niż litery, a niektóre z nich były tak liberalne, że ledwie zwracały uwagę na Biblię. Wszystkie one wszakże uważały się za chrześcijańskie.

– Margrethe, kochana, jako zastępca sekretarza towarzystwa Kościoły Zjednoczone na rzecz Obyczajności byłem w codziennym kontakcie z członkami wszystkich protestanckich sekt w kraju, a niekiedy stykałem się z księżmi katolickimi, dyskutując z nimi o sprawach, w których mogliśmy podjąć wspólne działania. Dowiedziałem się, że mój Kościół nie ma monopolu na cnotę. Można nie mieć żadnego pojęcia o zasadach wiary, a mimo to być porządnym obywatelem i dobrym chrześcijaninem. – Zachichotałem, przypominając sobie pewne wydarzenie, i ciągnąłem: – Albo na odwrót. Jeden z moich katolickich przyjaciół, ojciec Mahaffey, powiedział mi, że nawet ja mogę się prześliznąć do nieba, ponieważ dobry Bóg w swej nieskończonej mądrości przyjął poprawki na ignorancję i przewrotność protestantów.

Ta rozmowa odbyła się we wtorek, nasz dzień wolny od pracy, jedyny dzień w tygodniu, gdy restauracja była nieczynna. W związku z tym znaleźliśmy się na szczycie el Cerro de la Nevería – Wzgórza Lodówki – gdzie urządziliśmy sobie piknik. Właśnie kończyliśmy obiad. Wzgórze leżało w centrum miasta, blisko Pancho Villa, lecz było sielankową oazą. Tubylcy nadal przestrzegali hiszpańskiego zwyczaju zamieniania wzgórz w parki, zamiast budować na nich domy.

Byliśmy w tym miejscu szczęśliwi…

– Moja droga, nigdy nie zamierzałem cię zwabić na łono mojego Kościoła. Chcę jednak dowiedzieć się o tobie jak najwięcej. Nie wiem dokładnie, jakie Kościoły działają w Danii. Chyba głównie luterański, ale czy Dania ma Kościół państwowy, jak niektóre inne kraje w Europie? W każdym razie powiedz mi, do jakiego Kościoła należysz, czy jest on fundamentalistyczny, czy liberalny i jakie w ogóle masz zdanie na ten temat. Pamiętaj, co powiedział ojciec Mahaffey. Zgadzam się z nim. Nie uważam, aby mój Kościół był jedyną bramą do nieba.

Leżałem na wznak. Margrethe siedziała, obejmując podkurczone kolana, i patrzyła w kierunku zachodnim, na morze. Z tego powodu twarz miała odwróconą ode mnie. Nie odpowiedziała.

– Kochanie, słyszałaś mnie? – powtórzyłem po chwili cicho.

– Słyszałam.

Ponownie odczekałem chwilę i dodałem:

– Jeśli uważasz, że wtrącam się w nie swoje sprawy, przepraszam cię i wycofuję pytanie.

– Nie uważam tak. Wiedziałam, że któregoś dnia będę musiała odpowiedzieć ci na to pytanie. Alec, ja nie jestem chrześcijanką. – Puściła kolana, odwróciła się w moją stronę i spojrzała mi w oczy. – Możemy się rozwieść z równą łatwością, jak się pobraliśmy. Po prostu musisz mi to oświadczyć. Nie będę się sprzeciwiać, spokojnie odejdę. Jednak, Alec, gdy powiedziałeś mi, że mnie kochasz, a potem oświadczyłeś, że w oczach Boga jesteśmy małżeństwem, nie pytałeś mnie o wyznanie.

– Margrethe.

– Słucham, Alec.

– Wypluj te słowa i proś mnie o wybaczenie.

– Mogłabym je wypluć, ale prosić o wybaczenie nie będę. Byłam gotowa w każdej chwili powiedzieć ci prawdę, ale ty nie pytałeś.

– Wypluj te słowa o rozwodzie i proś o wybaczenie za to, że sądziłaś, iż rozwiódłbym się z tobą z jakiejkolwiek przyczyny. Jeśli będziesz niedobra, mogę cię zbić, ale nigdy cię nie opuszczę: na dobre i złe, w zdrowiu i w chorobie, teraz i na zawsze. Kobieto, kocham cię! Wbij to sobie do głowy.

Nagle znalazła się w moich ramionach, płacząc dopiero drugi raz od chwili, kiedy się poznaliśmy. Mogłem zrobić tylko jedno – pocałować ją.

Usłyszałem za sobą głośny okrzyk. Odwróciłem głowę. Mieliśmy szczyt wzgórza wyłącznie dla siebie, gdyż dla większości ludzi był to dzień pracy. Stwierdziłem jednak, że przygląda się nam dwójka uliczników, i to tak młodych, że ich płeć trudno było określić. Jeden z nich, ujrzawszy, że patrzę na niego, ponownie krzyknął, po czym wydał głośne dźwięki naśladujące pocałunek.

– Odwal się! – zawołałem. – Zjeżdżaj stąd! *Vaya con Dios!* Czy to właśnie chciałem powiedzieć, Marga?

Odezwała się do nich i zmyli się, chichocząc głośno. Potrzebna mi była ta chwila przerwy. Powiedziałem Margrethe to, co było konieczne, aby ją uspokoić po jej odważnej, lecz lekkomyślnej wypowiedzi. Niemniej jej wyznanie wstrząsnęło mną do głębi. Zacząłem mówić, ale uznałem, że powiedziałem już wystarczająco dużo jak na jeden dzień. Margrethe również milczała. Po chwili cisza stała się nie do wytrzymania. Miałem wrażenie, że sprawy nie mogą pozostać bez wyjaśnienia, gdyż przypomina to za bardzo balansowanie na krawędzi przepaści.

– Więc jaka jest twoja wiara, najdroższa? Judaizm? Przypominam sobie teraz, że w Danii są Żydzi. Nie wszyscy Duńczycy to luteranie.

– Jest trochę Żydów, ale zaledwie jeden na tysiąc mieszkańców. Nie, Alec. Hmm… istnieją starsi bogowie.

– Starsi niż Jehowa? To niemożliwe.

Margrethe, co dla niej typowe, nie odpowiedziała. Kiedy się ze mną nie zgadzała, z reguły nie mówiła nic. Wygrywanie sporów najwyraźniej jej nie interesowało, co różniło ją od 99 procent rasy ludzkiej… której wielu członków woli się raczej narazić na wszelkie nieszczęścia, niż doznać porażki w dyskusji.

Musiałem przez to odgrywać rolę obydwu stron w dialogu, aby nie wygasł on z braku paliwa.

– Odwołuję to. Nie należało mówić „niemożliwe”. Opierałem się na powszechnie akceptowanej chronologii, jaką podał biskup Ussher. Jeśli przyjąć jego argumentację, to świat został stworzony pięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem lat temu, w październiku. Oczywiście to datowanie nie jest częścią Pisma Świętego. Hales podaje inne dane, chyba siedem tysięcy czterysta pięć lat. Lepiej pamiętam liczby, gdy je zapiszę. Inni uczeni uzyskali nieco odmienne wyniki. Wszyscy oni jednak zgadzają się, że cztery czy pięć tysięcy lat przed Chrystusem miało miejsce niepowtarzalne wydarzenie – stworzenie świata. Jehowa stworzył świat i czas. Czas nie może istnieć samoistnie. Jak z tego wynika, nikt i nic, w tym również żaden bóg, nie może być starszy niż Jehowa, ponieważ to Jehowa stworzył czas. Rozumiesz?

– Powinnam była siedzieć cicho.

– Kochanie, chciałem tylko poprowadzić intelektualną dyskusję. Nigdy nie zamierzałem, nie zamierzam ani nie będę zamierzał cię urazić. Powiedziałem tylko, że tak wyglądają sprawy zgodnie z ortodoksyjnym systemem datowania. Najwyraźniej wy używacie innego. Zechcesz mnie z nim zaznajomić? I nie będziesz naskakiwać na biednego starego Aleca za każdym razem, gdy otworzy usta? Nie zapominaj, że zostałem wykształcony na duchownego w Kościele, który kładzie wielki nacisk na kaznodziejstwo. Dyskusja jest dla mnie czymś równie naturalnym jak

pływanie dla ryby. Teraz jednak ty wygłoś kazanie, a ja posłucham! Opowiedz mi o tych starszych bogach!

– Znasz ich. Najstarszemu i największemu z nich oddajemy cześć jutro. Jest mu poświęcony środkowy dzień tygodnia.

– Dzisiaj jest wtorek, jutro – środa! Wotan! Czy to on jest twoim bogiem?

– Odyn. Wotan to niemieckie zniekształcenie nordyckiego słowa. Ojciec Odyn i jego dwóch braci stworzyli świat. Na początku nie było nic, pustka. Reszta tego przypomina Księgę Rodzaju. Są nawet Adam i Ewa, ale nazywają się Ask i Embla.

– Może to *jest* Księga Rodzaju, Margrethe.

– Co masz na myśli, Alec?

– Biblia jest słowem Bożym, zwłaszcza jej angielskie tłumaczenie znane jako Biblia Króla Jakuba, ponieważ każde słowo tego tłumaczenia było ustalane za pomocą modlitw i starań największych uczonych na świecie. Przy każdej różnicy zdań zwracano się do Boga za pośrednictwem modlitwy. Dlatego Biblia Króla Jakuba *jest* słowem Bożym. Nigdzie jednak nie napisano, że to jedyne słowo Boże. Święte księgi innych narodów, napisane w innych czasach i w innych językach, również mogą być natchnione… o ile można je pogodzić z Biblią. Z tego, co mi powiedziałaś, można, prawda?

– Och, jedynie w sprawie stworzenia świata oraz Adama i Ewy, Alec. Chronologia nie zgadza się absolutnie. Powiedziałeś, że świat został stworzony około sześciu tysięcy lat temu?

– Mniej więcej. Hales podaje dłuższy okres. W Biblii nie ma dat. Daty to współczesny wymysł.

– Nawet ten dłuższy okres – Halesa? – jest o wiele za krótki. Pasowałoby raczej sto tysięcy lat.

Zacząłem protestować – ostatecznie nie wszystko można przełknąć – przypomniałem sobie jednak o swoim postanowieniu, żeby nie mówić nic, co mogłoby spowodować, że Margrethe zamilknie.

– Mów dalej, kochanie. Czy wasze księgi religijne opowiadają, co się wydarzyło przez te wszystkie tysiąclecia?

– Niemal wszystko z tego nastąpiło przed wynalezieniem pisma. Niektóre fragmenty zachowały się w epickich poematach wykonywanych przez skaldów. Ale nawet one powstały dopiero wtedy, gdy ludzie zaczęli tworzyć plemiona i Odyn nauczył ich śpiewu. Najdłuższy okres stanowiły rządy lodowych olbrzymów, gdy ludzie byli jedynie dzikimi zwierzętami, na które polowano dla zabawy. Jednak największa różnica w chronologii, Alec, polega na tym, że w Biblii czas biegnie od dnia stworzenia do dnia sądu. Potem jest milenium – Królestwo Boże na Ziemi – a następnie walka na niebie i koniec świata. Później będą już tylko Nowe Jeruzalem i wieczność. Czas się zatrzyma. Mam rację?

– W zasadzie tak. Zawodowy eschatolog powiedziałby, że to zanadto uproszczone, ale podstawowe fakty podałaś prawidłowo. Szczegóły znajdziesz w proroctwach… a właściwie w Apokalipsie Świętego Jana. Wielu proroków było świadkami wydarzeń ostatecznych, lecz jedynie Święty Jan podaje pełną opowieść… gdyż objawił mu ją sam Chrystus, aby zapewnić, że wybrani nie pozwolą się zwieść fałszywym prorokom. Stworzenie, upadek, długie stulecia prób i walki, potem ostatnia bitwa, sąd ostateczny i Królestwo Boże. A co mówi twoja wiara, kochanie?

– Ostatnia bitwa nazywa się u nas ragnarök, nie Armagedon…

– Nie sądzę, żeby terminologia miała znaczenie.

– Proszę cię, kochanie. Nazwa nie jest ważna, ale to, co się ma stać, już tak. Wasz sąd ostateczny ma oddzielić owce od kozłów. Zbawieni dostąpią wiecznego szczęścia, a potępieni wiecznych męczarni. Zgadza się?

– Tak, z tym, że w imię naukowej ścisłości należy przypomnieć, iż według niektórych autorytetów szczęście będzie wieczne, a w swej miłości do świata Bóg dopuści, by nawet potępieni dostąpili w końcu zbawienia. Żadna dusza nie jest potępiona na wieki. Niektórzy teologowie traktują to jako herezję, do mnie to jednak przemawia. Nigdy nie lubiłem myśli o wiecznym potępieniu. Jestem sentymentalny, najdroższa.

– Wiem o tym, Alec. Za to cię kocham. Stara religia powinna ci się spodobać, bo nie ma w niej wiecznego potępienia.

– Nie ma?

– Nie. Podczas ragnaröku świat, który znamy, zostanie zniszczony. Ale na tym nie koniec. Po długim czasie, czasie gojenia ran, powstanie nowy wszechświat, lepszy i czystszy, wolny od zła tego świata. On również będzie trwał przez niezliczone tysiąclecia… aż po raz kolejny siły zła i chłodu zetrą się z siłami dobra i światła… i znowu nastąpi czas odpoczynku, a po nim nowe stworzenie świata i kolejna szansa dla ludzi. Nic się nigdy nie kończy, nic nie jest doskonałe, lecz za każdym razem ludzkość otrzymuje nową szansę, aby poradzić sobie lepiej niż poprzednio, i tak będzie się działo bez końca.

– Czy w to właśnie wierzysz, Margrethe?

– Łatwiej mi wierzyć w to niż w samozadowolenie zbawionych i rozpaczliwy los potępionych w religii chrześcijańskiej. Jehowa jest uważany za wszechmogącego. Jeśli to prawda, to wszystkie nieszczęsne potępione dusze znalazły się w piekle, gdyż Jehowa zaplanował to w najdrobniejszych szczegółach. Czyż nie?

Zawahałem się. Logiczne pogodzenie wszechmocy, wszechwiedzy i wszechdobroci to najtrudniejszy problem w całej teologii, na którym nawet jezuici połamali sobie zęby.

– Margrethe, niektóre tajemnice Wszechmocnego niezmiernie trudno wyjaśnić. My, śmiertelnicy, musimy pogodzić się z wolą Ojca, nawet jeśli nie zawsze rozumiemy jego intencje.

– Czy niemowlę rozumie boskie intencje, gdy jego głowa jest roztrzaskiwana o skały? Czy idzie prosto do piekła, dziękując Bogu za jego nieskończoną mądrość i dobroć?

– Margrethe! O czym ty, u licha, mówisz?

– Mówię o tych fragmentach Starego Testamentu, w których Jehowa wydaje bezpośredni rozkaz zabijania małych dzieci, dodając niekiedy, że mają być one roztrzaskane o skały. Weź na przykład ten psalm, który się zaczyna od słów: „Nad rzekami Babilonu”. Albo zobacz słowa Jehowy w Księdze Ozeasza: „Dzieci ich będą zmiażdżone, a niewiasty ciężarne rozprute”. A jest jeszcze opowieść o Elizeuszu i niedźwiedziach. Alec, czy w swym sercu wierzysz, że twój Bóg rozkazał niedźwiedziom rozszarpać małe dzieci tylko za to, że śmiały się z łysej głowy starca?

Czekała, aż się odezwę. Ja również czekałem.

– Czy opowieść o niedźwiedziach i czterdziestu dwojgu dzieciach jest dosłownym słowem Bożym? – zapytała po chwili.

– Oczywiście, że tak! Nie twierdzę jednak, że rozumiem je w pełni. Margrethe, jeśli pragniesz zrozumieć wszystkie dzieła Pana, módl się do niego, aby cię oświecił, zamiast nastawać na mnie z tego powodu.

– Nie zamierzałam na ciebie nastawać, Alec. Przepraszam!

– Nie trzeba. Nigdy nie rozumiałem tej historii o niedźwiedziach, ale to nie osłabiło mojej wiary. Być może to parabola. Posłuchaj, kochanie, czy wasz Ojciec Odyn nie zgotował sam dość krwawej historii?

– Nie na tę skalę. Jehowa niszczył miasto za miastem: mężczyzn, kobiety i dzieci, a nawet niemowlęta. Odyn zabijał tylko w walce, i to

przeciwników równie potężnych jak on. Najważniejsze jednak jest to, że Ojciec Odyn *nie jest* wszechmocny i *nie utrzymuje*, że jest wszechwiedzący.

(Teologia, która ominęła najtwardszy orzech do zgryzienia. Ale jak można nazywać go „Bogiem", jeśli nie jest wszechmocny?)

– Alec, kochanie, nie chciałam atakować twojej wiary – ciągnęła Margrethe. – Nie sprawia mi to przyjemności i nigdy nie pragnęłam tego robić. Mam nadzieję, że nic podobnego nigdy już się nie zdarzy. Ale zapytałeś mnie prosto z mostu, czy uznaję autorytet Pisma Świętego, rozumiejąc pod tym określeniem swoją Biblię. Muszę ci odpowiedzieć równie bezpośrednio. Nie uznaję. Jehowa czy Jahwe ze Starego Testamentu wydaje mi się sadystycznym, bezwzględnym, okrutnym mordercą. Nie potrafię pojąć, jak można go utożsamić z łagodnym Chrystusem z Nowego Testamentu, nawet poprzez mistyczną Trójcę.

Chciałem jej odpowiedzieć, lecz nie przestawała mówić:

– Najdroższy, zanim porzucimy ten temat, muszę ci wyjaśnić jeszcze coś, nad czym się zastanawiałam. Czy twoja religia potrafi wytłumaczyć to, co się z nami stało? Raz ze mną, dwa razy z tobą… tę zmianę światów?

(Ja również nieustannie o tym myślałem!)

– Muszę przyznać, że nie. Żałuję, że nie mam pod ręką Biblii, aby poszukać w niej wyjaśnienia. Szukałem go jednak w pamięci i nie znalazłem niczego, co mogłoby mnie na to przygotować. – Westchnąłem. – To nieprzyjemne uczucie, ale… – uśmiechnąłem się do niej – Boża opatrzność dała mi ciebie. Żaden kraj, w którym jest Margrethe, nie jest dla mnie obcy.

– Mój drogi, zapytałam cię o to, ponieważ stara religia potrafi to wyjaśnić.

– *Co takiego?!*

– To nie jest pocieszające wyjaśnienie. Na początku tego cyklu Loki został pokonany. Słyszałeś o Lokim?

– Co nieco. To chuligan.

– „Chuligan” to zbyt łagodne określenie. On jest zły. Przez tysiąclecia był uwięziony, przykuty do wielkiej skały. Alec, przed końcem każdego cyklu historii ludzkości dzieje się to samo. Loki uwalnia się z więzów… i następuje chaos. – Spojrzała na mnie z wielkim smutkiem. – Alec, przykro mi… ale sądzę, że Loki jest na wolności. Wszystkie znaki na to wskazują. Teraz *wszystko* może się zdarzyć. Wkroczyliśmy w okres zmierzchu bogów. Nadchodzi ragnarök. Nasz świat się kończy.

Rozdział XII

„W owej godzinie nastąpiło wielkie trzęsienie ziemi
i runęła dziesiąta część miasta,
i skutkiem trzęsienia ziemi zginęło siedem tysięcy osób.
A pozostali ulegli przerażeniu
i oddali chwałę Bogu nieba”.

Apokalipsa św. Jana 11,13

Umyłem następną „latarnię morską” talerzy, zastanawiając się nad tym, co powiedziała mi Margrethe tego pięknego popołudnia na Wzgórzu Lodówki… nigdy jednak już nie wspomniałem jej o tej sprawie. Ona również nie wspomniała. Margrethe nigdy się o nic nie spierała, jeśli tylko mogła zachować milczenie.

Czy wierzyłem w jej teorię o Lokim i ragnaröku? Oczywiście, że nie! Nie miałem nic przeciwko temu, żeby określać Armagedon mianem „ragnarök”. Jezus, Joszua czy Jesu; Maria, Miriam, Maryam czy Mary; Jehowa czy Jahwe – wszystkie słowa i symbole są równie dobre, dopóki mówiący i słuchający zgadzają się co do ich znaczenia. Ale Loki? Miałbym uwierzyć, że mityczny półbóg ciemnych, barbarzyńskich narodów spowodował zaburzenia w całym wszechświecie? No, nie!

Jestem nowoczesnym człowiekiem z otwartą głową… lecz nie tak pustą, żeby hulał w niej wiatr. Gdzieś w Piśmie Świętym jest racjonalne wytłumaczenie zaburzeń, które nas spotkały. Nie muszę go szukać w fantastycznych opowieściach dawno wymarłych pogan. Żałowałem, że

nie mam pod ręką Biblii. Och, z pewnością w odległej o trzy przecznice bazylice znalazłbym katolickie Biblie… po łacinie lub hiszpańsku. Potrzebna mi była jednak Biblia Króla Jakuba. Z pewnością gdzieś w mieście można było znaleźć jej egzemplarze, ale nie wiedziałem gdzie. Po raz pierwszy w życiu zacząłem żałować, że nie mam absolutnej pamięci Paula Kaznodziei (wielebnego Paula Baloniusa), który wędrował przez stany Środkowego Zachodu w połowie ubiegłego stulecia, głosząc słowo Boże, lecz nie mając ze sobą Księgi. Mówiono, że brat Paul potrafił bezbłędnie przytoczyć z pamięci każdy werset, gdy podano mu księgę i numer rozdziału oraz wersetu. Lub też na odwrót – usłyszawszy tekst, podać księgę, z której pochodził, wraz z numerem rozdziału i wersetu.

Urodziłem się za późno, aby go spotkać, nigdy więc nie widziałem, jak to robi, lecz pamięć absolutna to cenny dar, którego Bóg udziela zbyt rzadko. Nie mam powodu wątpić, że brat Paul ją posiadał. Zmarł on nagle, w okolicznościach tajemniczych i – być może – grzesznych. Jak mawiał mój profesor misjonarstwa, należy zachowywać wielką ostrożność podczas modłów sam na sam z zamężną kobietą.

Nie mam takiego daru. Potrafię zacytować z pamięci kilka pierwszych rozdziałów Księgi Rodzaju, kilka psalmów, historię Bożego Narodzenia według Łukasza i parę innych fragmentów. Aby jednak rozwiązać swój problem, musiałbym przestudiować dokładnie wszystkich proroków, a zwłaszcza proroctwo znane jako Apokalipsa Świętego Jana.

Czyżby nadchodził Armagedon? Czy powtórne przyjście Chrystusa nastąpi już wkrótce? Czy usłyszę na własne uszy dźwięk trąby?

Ekscytująca myśl, której nie można łatwo odrzucić. Wiele milionów dożyje tego wielkiego dnia i jednym z tego licznego zastępu mógłby być Alexander Hergensheimer. Czy naprawdę usłyszę Jego głos, zobaczę, jak zmarli powstają, a potem „będę porwany w powietrze, na obłoki, naprzeciw

Pana”, po czym „zawsze będę z Panem”, jak jest obiecane? To najbardziej poruszający fragment w Wielkiej Księdze!

Nie mogłem, rzecz jasna, być pewien, że znajdę się pomiędzy zbawionymi w owym wielkim dniu, nawet gdybym miał go dożyć. Fakt, że byłem wyświęconym kapłanem Ewangelii, wcale nie musiał zwiększać moich szans. Kapłani zdają sobie sprawę z tej smutnej prawdy (jeśli są uczciwi wobec siebie), lecz świeckim często się wydaje, że duchowieństwo ma fory.

Nieprawda! Duchowny nie może się tłumaczyć. Nie może twierdzić, iż „nie wiedział, że rewolwer był nabity”, prosić o łaskę, powołując się na swą młodość i niedoświadczenie, zasłaniać się nieznajomością prawa ani używać wielu innych usprawiedliwień, dzięki którym człowiek świecki może osiągnąć zbawienie, nawet jeśli nie jest całkowicie doskonały moralnie.

Wiedząc to, byłem zmuszony przyznać, że ostatnie czyny nie zwiększają mych szans na to, że znajdę się pomiędzy zbawionymi. Byłem, rzecz jasna, ponownie narodzony. Niektórym wydaje się, że jest to coś, co zdobywa się raz na zawsze, jak świadectwo ukończenia college’u. Nie licz na to, brachu! Wiedziałem aż za dobrze, że popełniłem ostatnio mnóstwo grzechów: pycha, nieumiarkowanie, chciwość, wszeteczeństwo, cudzołóstwo, zwątpienie i inne. Co gorsza, nie odczuwałem skruchy z powodu najcięższych z nich. Jeśli księgi wykażą, że Margrethe nie zostanie zbawiona i nie pójdzie do nieba, to ja również nie miałbym ochoty tam pójść. Wybacz mi, Boże, ale taka jest prawda.

Niepokoiłem się o nieśmiertelną duszę Margrethe. Nie mogła ona powołać się na drugą szansę przysługującą wszystkim duszom urodzonym przed

Chrystusem. Była urodzona w Kościele luterańskim, który nie był moim Kościołem, lecz stanowił jego fundament, podobnie jak wszystkich innych Kościołów protestanckich. Był on pierwszym owocem edyktu wormackiego.

Margrethe mogła dostąpić zbawienia tylko poprzez wyrzeczenie się swojej herezji oraz powtórne narodziny. Musiała to wszakże zrobić sama. Nie mogłem dokonać tego za nią. Jedyne, co mogłem uczynić, to naciskać na nią, aby pomyślała o swoim zbawieniu. Musiałem to jednak robić bardzo ostrożnie. Nie można skłonić motyla, aby usiadł ci na dłoni, potrząsając mieczem. Margrethe nie była poganką, która nigdy nie słyszała o Chrystusie i którą należało tylko oświecić. Nie, ona urodziła się w wierze chrześcijańskiej i w pełni świadomie ją odrzuciła. Potrafiła cytować Pismo równie łatwo jak ja. W swoim czasie studiowała Księgę z wielką pilnością, znacznie większą, niż z reguły czynią to laicy. Nie spytałem nigdy, przy jakiej okazji to robiła, lecz sądzę, że zainteresowała się słowem Bożym, gdy zaczęła się zastanawiać nad porzuceniem wiary chrześcijańskiej. Margrethe była tak poważną i *dobrą* osobą, iż byłem pewien, że nie podjęłaby tak drastycznego kroku bez długiego i głębokiego zastanowienia.

Jak pilny był ten problem? Czy miałem trzydzieści lat, w ciągu których mógłbym poznać jej sposób myślenia i opracować najlepszą metodę? A może Armagedon był tak blisko, że nawet jeden dzień zwłoki mógł ją skazać na wieczne potępienie?

Pogański ragnarök i chrześcijański Armagedon miały jedną cechę wspólną: przed wielką bitwą pojawią się wszelkiego rodzaju znaki i cuda. Czy widzieliśmy je wokół nas? Margrethe sądziła, że tak. Co do mnie, to koncepcja, że te zmiany światów zapowiadają Armagedon, odpowiadała mi bardziej niż jej alternatywa, to jest, że cierpię na paranoję. Czy statek mógł zatonąć, a cały świat się zmienić tylko po to, aby przeszkodzić mi

w porównaniu odcisków kciuka? W swoim czasie tak myślałem, ale teraz… daj spokój, nie jesteś aż taki ważny.

(A może jestem?)

Nigdy nie byłem milenarystą. Zdaję sobie sprawę, jak często występuje w Biblii liczba tysiąc, zwłaszcza w proroctwach, nigdy jednak nie wierzyłem, że Wszechmocny kieruje się w swej działalności takimi czynnikami jak koniec tysiąclecia – czy inne okrągłe daty – tylko w tym celu, aby sprawić przyjemność numerologom.

Z drugiej strony wiedziałem, że wiele tysięcy rozsądnych i pobożnych ludzi przywiązuje wielką wagę do zbliżającego się końca drugiego tysiąclecia, oczekując sądu ostatecznego, Armagedonu i wszystkiego, co się z tym wiąże. Utrzymują oni, że znaleźli na to dowody w Biblii oraz ich potwierdzenie w wymiarach Wielkiej Piramidy i rozmaitych apokryfach. Ale różnią się między sobą zdaniem na temat tego, kiedy nastąpi koniec tysiąclecia. Rok 2000 czy 2001? Czy też dokładną datę stanowi godzina piętnasta czasu jerozolimskiego siódmego kwietnia roku 2030? O ile uczeni rzeczywiście określili dokładnie moment ukrzyżowania oraz trzęsienia ziemi, które nastąpiło w momencie Jego śmierci. A może powinien być to Wielki Piątek roku 2030 według kalendarza księżycowego? To nie jest taka sobie różnica zdań, biorąc pod uwagę to, jaką datę staramy się określić.

Jeśli jednak za punkt, od którego należy liczyć tysiąclecia, przyjmiemy moment narodzin Chrystusa, a nie jego ukrzyżowania, staje się oczywiste, że ani naiwna data 2000, ani nieco mniej naiwna 2001 nie mogą być właściwe, *ponieważ Jezus narodził się w Betlejem, w dzień Bożego Narodzenia w roku 5 przed naszą erą*.

Każdy wykształcony człowiek to wie, ale niemal nikt się nad tym nie zastanawia.

W jaki sposób data największego wydarzenia w historii – narodzin naszego Pana – mogła zostać błędnie określona, i to aż o pięć lat? To niewiarygodne!

Wyjaśnienie jest proste. Pewien mnich w szóstym stuleciu pomylił się w rachunkach. Nasz system datowania – „od narodzin Chrystusa” – wszedł do użytku dopiero kilka stuleci po tym fakcie. Każdy, kto próbował kiedyś odczytać na kamieniu węgielnym datę napisaną cyframi rzymskimi, może zrozumieć pomyłkę brata Dionizjusza Małego. W szóstym stuleciu było tak mało ludzi, którzy w ogóle umieli czytać, że błąd pozostał niewykryty przez wiele lat, a potem było już za późno, aby zmienić wszystkie zapisy. W ten sposób doszło do absurdalnej sytuacji, że Chrystus urodził się pięć lat przed narodzeniem Chrystusa – sprzeczność tę można wyjaśnić tylko w ten sposób, że pierwsze stwierdzenie odnosi się do faktu, a drugie do sprzecznego z faktami kalendarza.

Przez dwa tysiące lat pomyłka naszego mnicha nie miała wielkiego znaczenia. Teraz wszakże było inaczej. Jeśli bowiem milenaryści mają rację, to końca świata należy oczekiwać *w dniu Bożego Narodzenia w tym roku*.

Zauważcie, proszę, że nie powiedziałem „25 grudnia”. Dzień i miesiąc narodzin Chrystusa są nieznane. Mateusz podaje, że królem był Herod. Łukasz twierdzi, że cezarem był August, a gubernatorem Syrii Cyreniusz. Wszyscy wiemy, że Józef i Maria wyruszyli z Nazaretu do Betlejem, aby wziąć udział w spisie i zapłacić podatek. Nie ma żadnych innych danych ani w Piśmie Świętym, ani w rzymskich archiwach państwowych.

Sami widzicie. Zgodnie z teorią milenarystów dzień sądu może nastąpić za trzydzieści pięć lat… albo dziś po południu! Gdyby nie Margrethe, ta

niepewność nie spędzałaby mi snu z powiek. Jak jednak mogłem spać, gdy moja ukochana mogła w każdej chwili zostać wtrącona do czeluści piekielnych, aby cierpieć tam przez całą wieczność?

Co zrobilibyście na moim miejscu?

Wyobraźcie sobie, jak stałem boso na śliskiej podłodze, zmywając naczynia, aby spłacić swój dług, pogrążony w głębokich myślach o sprawach ostatecznych. Śmieszny widok! Ale przecież zmywanie naczyń nie wymaga wiele uwagi. Czułem się lepiej, gdy mój umysł miał coś twardego do zgryzienia.

Czasem porównywałem swój obecny żałosny stan z uprzednią świetnością, zastanawiając się, czy kiedykolwiek znajdę w tym labiryncie drogę powrotną do miejsca, z którego pochodziłem.

Czy w ogóle pragnąłem wracać? Czekała tam na mnie Abigail i choć Stary Testament zezwalał na wielożeństwo, czterdzieści sześć stanów było innego zdania. Zostało to ustalone raz na zawsze, gdy artyleria Unii zniszczyła świątynię Antychrysta w Salt Lake City i te ich niemoralne „rodziny” zostały rozwiązane i wygnane pod nadzorem armii.

Wyrzeczenie się Margrethe na rzecz Abigail stanowiłoby zbyt wysoką cenę za odzyskanie wpływowej pozycji, którą do niedawna miałem. Niemniej moja praca przynosiła mi zadowolenie. Odczuwałem głęboką satysfakcję z osiągnięć, które się z nią wiązały. To był nasz najlepszy rok od czasu założenia fundacji – mam na myśli towarzystwo non profit Kościoły Zjednoczone na rzecz Obyczajności. Określenie „non profit” nie oznacza, że taka organizacja nie jest w stanie wypłacać odpowiednich pensji, a nawet premii. Spędzałem właśnie zasłużony urlop po roku pracy, podczas którego zebraliśmy najwięcej funduszy w historii, głównie dzięki mnie, gdyż do

moich obowiązków jako zastępcy dyrektora należało przede wszystkim pilnowanie, aby nasze kasy były wypełnione po brzegi. Jeszcze większą satysfakcję sprawiała mi jednak praca w winnicy, ponieważ zbieranie funduszy nie znaczyłoby nic, gdyby nasze działania w sprawach ducha spełzły na niczym.

W ubiegłym roku udało nam się osiągnąć następujące cele:

a) Prawo federalne czyniące z aborcji przestępstwo zagrożone karą śmierci.

b) Prawo federalne czyniące produkcję, sprzedaż, posiadanie, import, przewóz lub korzystanie z jakichkolwiek środków bądź urządzeń antykoncepcyjnych przestępstwem zagrożonym karą więzienia nie krótszą niż rok i jeden dzień, lecz nie dłuższą niż dwadzieścia lat za każde przestępstwo, i eliminujące zakłamane tłumaczenie „Wyłącznie w celu zapobiegania chorobom".

c) Prawo federalne, które, choć nie delegalizowało hazardu, poddawało go kontroli władz federalnych i wyłącznie im przyznawało prawo wydawania licencji. Krok po kroku. Osiągnąwszy to, będziemy mogli stopniowo unieszkodliwić te dwie jaskinie grzechu – Nevadę i New Jersey – metodą „dziel i rządź!".

d) Decyzja Sądu Najwyższego w sprawie, w której występowaliśmy jako *amicus curiae*, orzekająca, że kryteria uznawane w typowej lub statystycznie przeciętnej społeczności mają zastosowanie we wszystkich miastach i stanach. (Sprawa Tomkins przeciwko Związkowi Kolporterów Prasy).

e) Poważny postęp na naszej drodze do uznania tytoniu za środek na receptę poprzez manewr taktyczny polegający na wyłączeniu ze sprawy tabaki i tytoniu do żucia dzięki wprowadzeniu definicji „Substancje używane do palenia i wdychania".

f) Postęp osiągnięty na naszych dorocznych spotkaniach modlitewnych w wielu sprawach, którymi byłem zainteresowany. Jedną z nich był pomysł odebrania zwolnienia podatkowego wszystkim szkołom prywatnym niezwiązanym z którymś z Kościołów chrześcijańskich. Nie ustalono jeszcze planów w tej sprawie ze względu na kłopotliwy problem szkół katolickich. Czy powinniśmy rozciągnąć swój parasol również nad nimi, czy też to już czas na przejście do ataku? Pytanie, czy katolicy są sojusznikami, czy wrogami, jest zawsze bardzo trudne dla tych z nas, którzy znajdują się na linii frontu.

Przynajmniej tak samo trudna była kwestia żydowska. Czy możliwe jest jej humanitarne rozwiązanie? Jeśli nie, to co należy zrobić? Czy powinniśmy pójść na całość? Takie sprawy omawiano wyłącznie *przy drzwiach zamkniętych*.

Inną jeszcze sprawą był mój ulubiony projekt: Dołożyć astronomom! Niewielu laików zdaje sobie sprawę, jakie numery mogą oni wykręcić. Po raz pierwszy zauważyłem to jeszcze na politechnice, gdzie przerabiałem kurs astronomii opisowej, aby sprostać wymaganiom rozszerzenia programu. Dajcie astronomowi większy teleskop i pozwólcie mu działać bez nadzoru, a natychmiast zacznie rozgłaszać jakieś niezdrowe, nieprzemyślane domysły mające podważyć odwieczne prawdy Księgi Rodzaju.

Jest tylko jeden sposób na zwalczanie takich nonsensów: uderzyć ich po kieszeni! Zmienić definicję „celów edukacji” tak, aby przestała obejmować te kosztowne, chybione inwestycje – obserwatoria astronomiczne. Na liście instytucji zwolnionych z podatków pozostawić jedynie Obserwatorium Marynarki Wojennej, zmniejszyć jego personel i ograniczyć działalność do spraw ściśle związanych z nawigacją. (Niektóre z najbardziej bluźnierczych

i wywrotowych teorii zostały stworzone przez etatowych urzędników państwowych, którzy mieli za mało do roboty).

Z działalności tych tak zwanych „uczonych” rzadko wynika coś dobrego, ale astronomowie są z nich wszystkich najgorsi.

Następną często poruszaną podczas naszych dorocznych spotkań sprawą, na którą, jak sądzę, nie warto marnować czasu ani pieniędzy, jest kwestia „praw wyborczych dla kobiet”. Te rozhisteryzowane baby, które nazywają siebie „sufrażystkami”, nie stanowią żadnego zagrożenia. Nigdy nie zdołają odnieść sukcesu, a zwracanie na nie uwagi przydaje im tylko znaczenia w ich oczach. Nie powinno się ich wsadzać do pudła ani zakuwać w dyby. Nie wolno robić z nich męczenniczek! Należy je ignorować.

Sporo jeszcze innych interesujących i godnych przemyślenia kwestii zdejmowałem z porządku dnia na sesjach, które moderowałem, umieszczając je na liście „Może za rok”. Były to:

– oddzielne szkoły dla chłopców i dziewcząt;
– przywrócenie kary śmierci za czary i satanizm;
– Alaska jako rozwiązanie kwestii murzyńskiej;
– poddanie prostytucji kontroli władz federalnych;
– homoseksualizm – co jest rozwiązaniem? Karanie? Zabieg chirurgiczny? Coś innego?

Jest całe mnóstwo dobrych spraw zwracających uwagę stróżów moralności publicznej. Zawsze jednak pozostaje pytanie, które z nich skierować do realizacji ku większej chwale Bożej.

Wszystkie te kwestie, choć fascynujące, mogły znaleźć się na zawsze poza moim zasięgiem. Pomywacz, który dopiero uczy się lokalnego języka (i z pewnością mówi niegramatycznie!), nie może posiadać żadnych wpływów politycznych. Przestałem się więc przejmować tymi sprawami i skoncentrowałem na moich rzeczywistych problemach – herezji

Margrethe i (bardziej naglącym, lecz mniej ważnym) uzyskaniu legalnego zwolnienia z peonażu i wyruszeniu na północ.

Pracowaliśmy już ponad sto dni, gdy poprosiłem don Jaimego, aby pomógł mi ustalić dokładną datę końca naszego kontraktu. Innymi słowy, powiedziałem mu w uprzejmy sposób: „Drogi szefie, gdy nadejdzie odpowiedni dzień, zwiejemy stąd w te pędy. Proszę się z tym liczyć”.

Spodziewałem się, że czas służby wyniesie sto dwadzieścia jeden dni. Gdy don Jaime podał liczbę sto pięćdziesiąt osiem, byłem tak wstrząśnięty, że niemal zapomniałem hiszpańskiego.

Jeszcze ponad sześć tygodni! A ja liczyłem na to, że będziemy wolni za tydzień!

Zaprotestowałem, wskazując, że suma naszego długu, określona przez sąd i podzielona przez wartość naszej pracy wskazaną na aukcji (sześćdziesiąt peso dziennie dla Margrethe, połowa tego dla mnie), dawała sto dwadzieścia jeden dni… z których odsłużyliśmy już sto piętnaście.

Nie sto piętnaście, lecz dziewięćdziesiąt dziewięć. Wręczył mi kalendarz i kazał policzyć. Dopiero wtedy odkryłem, że nasze piękne wtorki nie są wliczane w czas służby. Tak przynajmniej twierdził nasz *patrón*.

– Poza tym, Alexandro – dodał – zapomniałeś doliczyć oprocentowanie niezapłaconej sumy, nie pomnożyłeś jej przez współczynnik inflacji, nie doliczyłeś podatków ani nawet opłaty dla Matki Boskiej Bolesnej. Jeśli zachorujesz, będę musiał opłacić twoje leczenie, czyż nie?

(To prawda. Choć nie zastanowiłem się nad tym, istotnie uważałem, że *patrón* ma obowiązki względem swoich *peones*).

– Don Jaime, w dniu, w którym nabył pan nasze kontrakty, kancelista obliczył nam ich długość. Powiedział sto dwadzieścia jeden dni!

– Proszę więc pójść do niego w tej sprawie. – Don Jaime odwrócił się do mnie plecami.

To mnie otrzeźwiło. Don Jaime wydawał się równie chętny rozpatrzeć tę sprawę w sądzie, jak był temu niechętny w sprawie napiwków Margrethe. To oznaczało, że zawarł już tak wiele podobnych kontraktów, iż znał dokładnie ich zasady i nie obawiał się, że sędzia lub jego kancelista mogliby rozstrzygnąć tę sprawę nie po jego myśli.

Nie udało mi się porozmawiać o tym z Margrethe na osobności przed nastaniem nocy.

– Marga, jak mogłem się tak pomylić? Byłem pewien, że kancelista obliczył to dla nas, zanim kazał nam podpisać dokument. Sto dwadzieścia jeden dni, prawda?

Nie odpowiedziała od razu. Nalegałem.

– Czy nie tak mi powiedziałaś?

– Alec, mimo to, że myślę zwykle po angielsku lub ostatnio po hiszpańsku, kiedy muszę coś policzyć, robię to po duńsku. Sześćdziesiąt to po duńsku *tres*, tak samo jak trzy po hiszpańsku. Widzisz, jak łatwo się pomylić? Nie wiem teraz, czy powiedziałam ci *ciento y veintiuno*, czy też *ciento y sesentiuno*, ponieważ zapamiętuję liczby po duńsku, nie po angielsku czy hiszpańsku. Myślałam, że sam to podzieliłeś.

– Och, zrobiłem to. Z pewnością kancelista nie powiedział „sto dwadzieścia jeden”. O ile pamiętam, nie wyrzekł ani słowa po angielsku, a ja wtedy w ogóle nie znałem hiszpańskiego. Señor Muñoz wyjaśnił to tobie, a ty przetłumaczyłaś to mnie. Potem sprawdziłem sam obliczenia i wydawało mi się, że to się zgadza z tym, co on powiedział. Albo co ty powiedziałaś. No, kurczę, nie wiem!

– Zapomnijmy więc o tym, dopóki nie będzie okazji zapytać señora Muñoza.

– Marga, czy nie przejęłaś się, usłyszawszy, że będziemy musieli tyrać w tej norze pięć dodatkowych tygodni?

– Tak, ale nie zanadto, Alec. Całe życie musiałam pracować. Praca na statku była cięższa niż w szkole… mogłam jednak podróżować i zwiedzać egzotyczne okolice. Praca kelnerki tutaj jest nieco cięższa niż sprzątanie kajut na *Konge Knut*, lecz ty jesteś ze mną i to aż za wielka rekompensata. Chcę pojechać z tobą do twojej ojczyzny… ale to nie jest moja ojczyzna, nie śpieszy mi się więc do wyjazdu tak jak tobie. Dla mnie, dzisiaj, moja ojczyzna jest tam, gdzie ty.

– Kochanie, jesteś tak rozsądna, logiczna i kulturalna, że czasami doprowadzasz mnie do szału.

– Alec, nie chciałam cię denerwować. Chodziło mi tylko o to, żebyśmy przestali się tym martwić, dopóki nie zapytamy o to señora Muñoza. Chodź, pomasuję ci plecy, żebyś się uspokoił.

– Przekonałaś mnie, moja pani! Domagam się jednak przywileju pomasowania wpierw twoich biednych, zmęczonych stóp.

Zrobiliśmy i jedno, i drugie. „A rajem dla mnie ta pusta kraina”.

Żebracy nie mogą wybrzydzać. Wstałem następnego dnia wcześnie i udałem się do gońca, który powiedział mi, że kancelista nie przyjdzie, dopóki sąd nie zacznie urzędować. Umówiłem się więc połowicznie na godzinę zamknięcia sądu we wtorek. „Połowicznie” dlatego, że my musieliśmy się stawić, señor Muñoz zaś nie. (Jednakże, Deus volens, będzie obecny).

We wtorek poszliśmy więc jak zwykle na piknik, ponieważ nie mogliśmy liczyć na spotkanie z señorem Muñozem wcześniej niż o szesnastej. Byliśmy ubrani świątecznie, to znaczy włożyliśmy buty, wzięliśmy oboje rano kąpiel, a ja ogoliłem się i włożyłem swe najlepsze ubranie – znoszone przez don Jaimego, lecz świeże i czyste – a nie zniszczone portki robocze od Straży Przybrzeżnej, które nosiłem w pracy. Margrethe włożyła

kolorowy strój, który otrzymała pierwszego dnia naszego pobytu w Mazatlánie.

Oboje staraliśmy się nie spocić ani nie zakurzyć zbytnio. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego uważaliśmy, że to ważne. Z jakiegoś powodu sądziliśmy jednak, że do sądu wypada się udać w jak najlepszym stroju.

Jak zwykle przeszliśmy obok fontanny, aby spotkać się z naszym przyjacielem Pepem, nim zawróciliśmy w kierunku wzgórza. Pozdrowił nas jak przyjaciół i wymieniliśmy kwieciste uprzejmości, które brzmią tak dobrze po hiszpańsku, a których niemal nigdy nie słyszy się po angielsku. Te cotygodniowe spotkania stały się ważnym elementem naszego życia towarzyskiego. Dowiedzieliśmy się o nim więcej – od Amandy, nie od niego – i mój szacunek do tego człowieka znacznie wzrósł. Pepe nie urodził się bez nóg (jak niegdyś sądziłem). Był kiedyś szoferem prowadzącym ciężarówki przez góry do Durango i dalej. Potem doszło do wypadku. Pepe spędził dwa dni uwięziony pod swą maszyną, zanim go odnaleziono. Przywieziono go do Matki Boskiej Bolesnej w stanie, jak się zdawało, beznadziejnym.

Był jednak silniejszy, niż sądzili lekarze. Po czterech miesiącach, gdy wypisano go ze szpitala, ktoś zorganizował zbiórkę, aby kupić mu wózek, wydano mu licencję żebraka, a on zajął swoje miejsce przy fontannie – przyjaciel ulicznic i donów, uśmiechający się wesoło prosto w twarz swojemu losowi.

Gdy po dłuższej rozmowie i tradycyjnych pytaniach o zdrowie, powodzenie oraz wspólnych znajomych pożegnaliśmy się, wręczyłem mu jedno peso.

Oddał mi banknot.

– Dwadzieścia pięć centavos, przyjacielu. Nie masz drobnych? Czy mam ci wydać resztę?

– Pepe, mój przyjacielu, chcieliśmy ofiarować tobie ten drobny podarunek.

– Nie, nie, nie. Z turystów wyciskam flaki i proszę o więcej. Od was, przyjacielu, wezmę dwadzieścia pięć centavos.

Nie sprzeczałem się z nim. W Meksyku człowiek musi mieć swoją godność. W przeciwnym razie zginie.

El Cerro de la Nevería ma sto metrów wysokości. Wdrapywaliśmy się na nie bardzo powoli. Celowo opóźniałem marsz, ponieważ nie chciałem w żaden sposób przeciążać Margrethe. Byłem niemal pewien, sądząc z różnych znaków, że jest przy nadziei. Nie uważała jednak za stosowne pomówić o tym ze mną, a ja, rzecz jasna, nie poruszyłem pierwszy tego tematu.

Znaleźliśmy nasze ulubione miejsce, gdzie mogliśmy się schronić w cieniu niewielkiego drzewa, a jednocześnie podziwiać pełną panoramę – trzysta sześćdziesiąt stopni – od Zatoki Kalifornijskiej na północnym zachodzie, poprzez Pacyfik na zachodzie i coś, co mogło być, lecz niekoniecznie było, chmurami nad szczytem górskim na Półwyspie Kalifornijskim dwieście mil stąd. Na południowym zachodzie, patrząc wzdłuż naszego półwyspu, widać było Cerro Vigía (Wzgórze Czat) oraz piękną Playa de las Olas Altas pomiędzy nami a nim. Dalej leżało Cerro Creston, na którym wznosiła się wielka latarnia morska – Faro – dominująca nad całym przylądkiem. W kierunku południowym, po drugiej stronie miasta, widać było lądowisko Straży Przybrzeżnej. Na wschodzie i północnym wschodzie były góry, za którymi kryło się odległe o sto pięćdziesiąt mil Durango… dzisiaj jednak powietrze było tak czyste, iż wydawało się, że moglibyśmy dotknąć ich szczytów.

Mazatlán rozciągał się pod nami jak makieta. Nawet bazylika wyglądała z góry jak model na planie architektonicznym, a nie imponujący kościół. Po raz n-ty zadałem sobie pytanie, dlaczego katolicy ze swymi (z reguły) pogrążonymi w nędzy kongregacjami mogą budować takie piękne kościoły, podczas gdy protestanccy wierni muszą się tak męczyć z zebraniem funduszy na skromniejsze budowle.

– Popatrz, Alec! – zawołała Margrethe. – Anibal i Roberto mają nowy *aeroplano*! – Wskazała palcem w tamtym kierunku.

Rzeczywiście, na przystani Straży Przybrzeżnej tkwiły dwa *aeroplanos*. Jednym była olbrzymia groteskowa ważka, która nas uratowała, a drugim nowa maszyna, która wyglądała zupełnie inaczej. Z początku myślałem, że jest ona pogrążona w wodzie, ponieważ brakowało pływaków, za pomocą których znana już nam konstrukcja utrzymywała się na powierzchni.

Po chwili zdałem sobie sprawę, że nowa maszyna jest w dosłownym tego słowa znaczeniu łodzią latającą. Sam kadłub *aeroplano* był konstrukcją wodoszczelną – pływakiem czy też łodzią. Silniki tej maszyny umieszczone były ponad skrzydłami. Nie byłem pewien, czy te radykalne zmiany wzbudzają moje zaufanie. Solidna prostota maszyny, w której lecieliśmy, bardziej mi odpowiadała.

– Alec, wpadnijmy do nich w następny wtorek.

– Zgoda.

– Czy myślisz, że Anibal pozwoliłby nam przelecieć się nowym *aeroplano*?

– Nie, jeśli komendant się dowie. – Nie dodałem, że ta nowomodna machina nie wydaje mi się bezpieczna. Margrethe zawsze była nieustraszona. – Wpadniemy jednak do nich i poprosimy, żeby nam go pokazali. Porucznik Anibal się ucieszy, Roberto również. Zjedzmy coś.

– Ty świniaczku – odpowiedziała.

Wyciągnęła *servilletę* i zaczęła wykładać na nią jedzenie z koszyka, który przyniosłem. Wtorki dawały Margrethe okazję do urozmaicenia znakomitej meksykańskiej kuchni Amandy własną – duńską i międzynarodową. Dziś zdecydowała się przygotować znakomite duńskie kanapki, tak lubiane przez wszystkich Duńczyków oraz każdego, kto miał okazję ich spróbować. Amanda pozwalała Margrethe robić w kuchni wszystko, na co ta miała ochotę, a señora Valera nie wtrącała się. Nigdy nie wchodziła do kuchni, co było wynikiem jakiegoś „rozejmu" zawartego, nim dołączyliśmy do personelu. Amanda była kobietą o twardym charakterze.

Na dzisiejszych kanapkach dominowały smaczne, delikatne krewetki, z których słynie Mazatlán, stanowiły one jednak tylko zakąskę. Przypominam sobie szynkę, indyka, kruchy boczek, majonez, trzy gatunki sera, różne marynowane jarzyny, małe papryki, niezidentyfikowane ryby, cienkie plasterki wołowiny, świeże pomidory, pastę pomidorową, trzy rodzaje sałaty i coś, co chyba było mocno zesmażonym bakłażanem. Dzięki Bogu wszakże nie trzeba znać nazwy potrawy, aby zjeść ją z przyjemnością, pochłonąłem więc z zadowoleniem wszystko, co Margrethe położyła przede mną, nie przejmując się tym, czy wiem, co jem.

Godzinę później bekałem już tylko, udając, że tego nie robię.

– Margrethe, czy mówiłem ci dzisiaj, że cię kocham?

– Tak, ale już jakiś czas temu.

– Kocham cię. Jesteś nie tylko piękna i ślicznie zbudowana, lecz jesteś również świetną kucharką.

– Dziękuję panu bardzo.

– Czy pragniesz, aby podziwiać cię także za twoje walory intelektualne?

– Niekoniecznie. Nie.

– Jak sobie życzysz. Jeśli zmienisz zdanie, nie zapomnij mnie powiadomić. Przestań się męczyć z tymi resztkami. Posprzątam później.

Połóż się przy mnie i wytłumacz mi, dlaczego wciąż ze mną jesteś. Chyba nie za to, jak gotuję? Może dlatego, że najlepiej zmywam naczynia na całym zachodnim wybrzeżu Meksyku?

– Tak jest – odpowiedziała i zabrała się do sprzątania. Nie skończyła, dopóki nie zapanował idealny porządek, a wszystko, co pozostało, znalazło się w koszyku, gotowe na powrót do Amandy. Następnie położyła się przy mnie, podkładając mi rękę pod szyję.

Nagle poderwała głowę:

– Co to?

– O co…

Wtem usłyszałem. Odległy, coraz głośniejszy huk, niczym pociągu towarowego nadciągającego zza zakrętu. Jednakże najbliższa linia kolejowa – z Chihuahua do Guadalajary – leżała daleko, poza półwyspem.

Huk był coraz głośniejszy. Ziemia zaczęła się kołysać.

Margrethe usiadła.

– Alec, boję się.

– Nie bój się, kochanie. Jestem przy tobie.

Przytuliłem ją z całej siły. Matka Ziemia trzęsła się pod nami, podskakując i opadając, a huk narastał niewiarygodnie.

Jeśli kiedykolwiek przeżyliście trzęsienie ziemi, choćby małe, wiecie, co czuliśmy, lepiej, niż mogą to wyrazić moje słowa. Jeśli zaś nigdy wam się to nie przydarzyło, nie uwierzycie mi, i jest to tym bardziej pewne, im dokładniej je opiszę.

Podczas trzęsienia ziemi najgorsze jest to, że nie ma nic pewnego, czego można by się złapać… lecz najbardziej zdumiewający jest hałas, piekielny rumor wszelkiego rodzaju – trzask miażdżonych pod waszymi stopami skał,

ostre zgrzyty rozrywanych budynków, krzyki przerażonych ludzi, jęki rannych i zagubionych, wycie i skomlenie zwierząt dotkniętych kataklizmem, którego nie są w stanie pojąć.

I nic z tego nie cichnie.

Wszystko to trwało nieskończenie długo. Potem dotarło do nas jądro kataklizmu i całe miasto runęło w gruzy.

Usłyszałem to. Niewyobrażalny hałas stał się nagle dwukrotnie głośniejszy. Zdołałem unieść się na łokciu i rozejrzeć. Kopuła bazyliki zapadła się jak bańka mydlana.

– Och, Marga, popatrz! Nie, nie patrz! To straszne!

Uniosła się lekko z bezradną miną, nic nie mówiąc. Wciąż obejmowałem ją jedną ręką. Spojrzałem wzdłuż półwyspu w stronę Cerro Vigía i latarni morskiej, która zaczęła się pochylać.

Na moich oczach pękła w połowie wysokości, a potem wolniutko i z godnością runęła na ziemię.

Za miastem udało mi się dostrzec dwa zakotwiczone *aeroplanos* Straży Przybrzeżnej. Tańczyły jak oszalałe. Nagle jedno ze skrzydeł nowej maszyny zanurzyło się. Nakryła je woda. W tej chwili zakryła je wznosząca się nad miastem chmura pyłu z tysięcy ton strzaskanych murów.

Spojrzałem w stronę restauracji. Dostrzegłem ją: EL RESTAURANTE PANCHO VILLA. Gdy patrzyłem, ściana, na której umieszczony był szyld, runęła na ulicę. Pył wzniósł się, pokrywając miejsce, gdzie stała.

– Margrethe! Już po niej! Po restauracji Pancho Villa. – Wskazałem palcem w tamtym kierunku.

– Nic nie widzę.

– Już po niej, mówię ci! Runęła! Dzięki Bogu, że nie było tam dziś Amandy i dziewczyn!

– Tak. Alec, czy to się nigdy nie skończy?!

Skończyło się nagle – znacznie gwałtowniej, niż się zaczęło. Pył zniknął w cudowny sposób. Ucichły huk, wycie zwierząt oraz krzyki rannych i umierających.

Latarnia morska znalazła się z powrotem na swoim miejscu.

Spojrzałem w lewo, gdzie uprzednio stały *aeroplanos*. Nie było tam nic. Nawet pali, do których powinny być przywiązane. Popatrzyłem na miasto – pełny spokój. Bazylika stała piękna i nienaruszona. Rozejrzałem się za szyldem Pancho Villa, lecz nie mogłem go znaleźć. Na rogu, który był chyba tym właściwym, stał jakiś budynek, lecz jego kształt był nieco inny. Również okna były inne.

– Marg… gdzie jest restauracja?

– Nie wiem. Alec, co się dzieje?

– Znowu nam to zrobili – powiedziałem z goryczą. – Zmieniacze światów. Trzęsienie ziemi się skończyło, ale to nie jest to samo miasto, w którym byliśmy. Wygląda podobnie, ale to inne miasto.

Miałem rację tylko w połowie. Zanim zdecydowaliśmy się ruszyć na dół, huk zaczął się od nowa. Potem kołysanie ziemi… i gwałtownie narastający hałas oraz nagłe wstrząsy, później zaś *to* miasto także zostało zniszczone. Po raz drugi ujrzałem, jak nasza wyniosła latarnia morska pochyla się i pada. Jeszcze raz kościół zapadł się do środka. Ponownie wzbiły się obłoki dymu, a wraz z nimi wzniosły się krzyki ludzkie i wycie zwierząt.

Podniosłem ku niebu pięść i potrząsnąłem nią.

– Do diabła z tym! *Stop!* Dwa razy to przesada!

Nie uderzył we mnie żaden grom.

Rozdział XIII

„Widziałem wszelkie sprawy, jakie się dzieją pod słońcem.
A oto: wszystko to marność i pogoń za wiatrem”.

Księga Koheleta 1,14

Pominę milczeniem następne trzy dni, ponieważ w tym czasie nie wydarzyło się nic dobrego. „Na ulicach były krew i pył”. Ocalali, ci spośród nas, którzy nie byli ranni, otępiali z żalu, oszołomieni czy też pogrążeni w histerii do tego stopnia, że niezdolni do akcji – krótko mówiąc, nieliczni – pracowali na gruzowiskach, starając się odnaleźć żywe istoty pod cegłami, kamieniami i tynkiem. Jak wiele można jednak dokonać gołymi rękoma wobec niezliczonych ton skały?

Cóż można zrobić, gdy dokopujesz się do celu i stwierdzasz, że jest już za późno, że było już za późno, gdy zacząłeś kopać? Usłyszeliśmy odgłos przypominający miauczenie kota, kopaliśmy więc z największą ostrożnością, starając się nie wywierać żadnego nacisku na to, co znajdowało się pod spodem, uważając, aby kamienie, które usuwaliśmy, nie poruszyły niczego, co mogłoby doprowadzić do większych szkód. W końcu odnaleźliśmy źródło dźwięku – zmarłe przed chwilą niemowlę. Miednica złamana, jedna strona głowy zmiażdżona. „Szczęśliwy, kto schwyci i rozbije o skałę twoje dzieci”. Odwróciłem głowę i zwymiotowałem. Już nigdy nie przeczytam psalmu 137.

Tę noc spędziliśmy u podnóża Wzgórza Lodówki. Gdy słońce zaszło, siłą rzeczy zaniechaliśmy naszych starań. Nie tylko ciemność uniemożliwiała pracę, lecz rozpoczynał się również szaber. Żywiłem głębokie przekonanie, że każdy szabrownik jest potencjalnym gwałcicielem i mordercą. Byłem gotowy zginąć za Margrethe, gdyby zaistniała taka potrzeba, nie miałem jednak ochoty na bohaterską, ale daremną śmierć w konfrontacji z tym, czego można było uniknąć.

Następnego dnia wczesnym popołudniem przybyła meksykańska armia. Nie dokonaliśmy do tego czasu niczego użytecznego – wciąż przerzucaliśmy gruzy. Lepiej nie wspominać, co znaleźliśmy. Żołnierze położyli kres nawet temu. Wszyscy cywile zostali zapędzeni w górę półwyspu, z dala od zniszczonego miasta, na stację kolejową po drugiej stronie rzeki. Tam czekaliśmy – świeżo owdowiali mężczyźni i kobiety, zagubione dzieci, ranni na prowizorycznych noszach, ranni zdolni do chodzenia oraz pewna liczba ludzi bez obrażeń na ciele, za to z pustym spojrzeniem i niezdolnych mówić. Margrethe i ja należeliśmy do grupy szczęśliwców. Byliśmy jedynie głodni, spragnieni, brudni i od stóp do głów pokryci siniakami na skutek tego, że podczas trzęsienia ziemi leżeliśmy.

Przepraszam – podczas dwóch trzęsień ziemi.

Czy ktoś jeszcze przeżył *dwa* kataklizmy?

Nie mogłem się zdecydować, by zapytać kogokolwiek. Chyba byłem jedynym człowiekiem, który doświadczał podobnych zmian świata, nie licząc Margrethe, która dwukrotnie przybyła ze mną, ponieważ w kluczowym momencie trzymałem ją w objęciach. Czy istniały też inne ofiary? Czy na pokładzie *Konge Knut* byli też inni, którzy trzymali gębę na

kłódkę równie starannie jak ja? Jak mam o to zapytać? Przepraszam, amigo, ale czy to jest to samo miasto, co wczoraj?

Po dwóch godzinach oczekiwania na stację kolejową przyjechał wojskowy wóz z wodą – blaszany kubek wody dla każdego i żołnierz z bagnetem pilnujący porządku w kolejce. Tuż przed zachodem słońca wóz przybył po raz drugi z większą ilością wody oraz bochenkami chleba. Margrethe i ja otrzymaliśmy na spółkę ćwierć bochenka. W tej samej chwili na stację wjechał pociąg i żołnierze zaczęli równocześnie upychać do niego ludzi oraz wyładowywać zapasy. Marga i ja mieliśmy szczęście – wepchnięto nas do wagonu osobowego, podczas gdy większość jechała w towarowych. Pociąg ruszył w kierunku północnym. Nie pytano nas, czy właśnie w tamtą stronę chcemy się udać, ani też nie żądano opłaty za bilet. Ewakuowano cały Mazatlán. Pozostawiono go we władaniu szczurów i zmarłych, dopóki system wodociągowy nie zostanie odbudowany. Nie ma sensu opisywać podróży. Pociąg jechał, a my to znosiliśmy. Linia kolejowa oddalała się od brzegu w Guaymas, kierując się wprost na północ przez Sonorę do Arizony. Krajobraz był piękny, nie byliśmy jednak w stanie go podziwiać. Spaliśmy, jak najdłużej się dało. A przez resztę czasu udawaliśmy, że śpimy. Za każdym razem, gdy pociąg się zatrzymywał, niektórzy pasażerowie opuszczali go… o ile policja nie zapędziła ich z powrotem. Gdy dojechaliśmy do Nogales w stanie Sonora, pociąg opróżnił się w połowie. Pozostali najwyraźniej wybierali się do Nogales w stanie Arizona. My, rzecz jasna, też.

Do przejścia granicznego dotarliśmy wczesnym popołudniem trzeciego dnia po trzęsieniu.

Zaprowadzono nas do budynku stojącego tuż za linią graniczną i mężczyzna w mundurze przemówił do nas po hiszpańsku:

– Witajcie, amigos! Stany Zjednoczone są szczęśliwe, że mogą pomóc swoim sąsiadom w godzinie próby. Amerykański Urząd Imigracyjny uprościł swe procedury, abyśmy mogli szybko zająć się wami wszystkimi. Najpierw zostaniecie odwszeni. Później zostaną wam wydane zielone karty, abyście mogli podjąć pracę na całym terytorium Stanów. Gdy tylko opuścicie obóz, będą na was czekać agenci pośrednictwa pracy. Jak również kuchnia wydająca zupę! Jeśli jesteście głodni, możecie zjeść swój pierwszy posiłek tutaj na koszt Wuja Sama. Witajcie w *los Estados Unidos*!

Kilku ludzi chciało zadać jakieś pytania, lecz Margrethe i ja skierowaliśmy się prosto ku drzwiom odwszalni. Miałem pretensję o nazwę, jaką nadano tym rutynowym zabiegom sanitarnym. Wymóg odwszenia równa się stwierdzeniu, że jesteś zawszony. Z pewnością byliśmy brudni i odziani w łachmany, a ja miałem trzydniowy zarost. Ale zaraz zawszeni?

Cóż, może nawet byliśmy! Czy po całym dniu grzebania w ruinach i dwóch dniach spędzonych bez mycia w zatłoczonym wagonie kolejowym, który nie był już zbyt czysty w momencie, gdy do niego wsiadaliśmy, mogłem z całą pewnością stwierdzić, że jestem wolny od robactwa?

Odwszenie nie było takie straszne. Składało się głównie z branego pod nadzorem prysznica, któremu towarzyszyły zachęty w języku hiszpańskim, aby natrzeć dokładnie miękkim mydłem odkażającym owłosione części ciała. Również moje ubranie poddano jakiejś formie odkażania czy okadzenia – chyba w autoklawie.

Potem musiałem czekać, zupełnie nago, dwadzieścia minut, aby je odzyskać. Z każdą minutą byłem coraz bardziej rozgniewany.

Ale gdy tylko odzyskałem ubranie, gniew ustąpił. Zdałem sobie sprawę, że nikt nie szykanował mnie celowo. Każda improwizowana procedura postępowania z tłumem w kryzysowej sytuacji niemal zawsze wywiera

destrukcyjny wpływ na ludzkie poczucie godności. (Meksykańscy uchodźcy najwyraźniej czuli się obrażeni. Słyszałem ich szemranie).

Później musiałem znowu czekać, na Margrethe.

Wyszła z pomieszczenia dla kobiet, dostrzegła mnie, uśmiechnęła się i nagle wszystko wydało mi się piękne. Jak to możliwe, że wychodząc z odwszalni, wyglądała jak wyjęta z pudełka?

Podeszła do mnie i powiedziała:

– Musiałeś na mnie czekać, kochanie? Przepraszam. Zauważyłam tam deskę do prasowania i skorzystałam z okazji, aby wyprasować sukienkę. Po wyjęciu z pralki wyglądała fatalnie.

– Nie przeszkadza mi czekanie – zełgałem. – Jesteś piękna. (To nie łgarstwo!) Idziemy na obiad? Obawiam się, że dają tu tylko zupę.

– Czy nie musimy wpierw załatwić jakichś formalności?

– Och, myślę, że możemy najpierw zjeść zupę. Niepotrzebne nam zielone karty. One są dla obywateli meksykańskich. Muszę im tylko opowiedzieć o naszych zaginionych paszportach.

Przemyślałem dokładnie całą sprawę i wyjaśniłem wszystko Margrethe podczas podróży pociągiem. Miałem zamiar opowiedzieć im następującą historię: Byliśmy turystami, którzy zatrzymali się w Hotel de las Olas Altas, tuż przy plaży. Odpoczywaliśmy na niej, kiedy nadeszło trzęsienie ziemi. Straciliśmy ubrania, paszporty, pieniądze i wszystko inne w chwili, gdy nasz hotel został zniszczony. Mieliśmy szczęście, że uszliśmy z życiem. Ubrania, które mieliśmy na sobie, dał nam Meksykański Czerwony Krzyż.

Ta opowieść miała dwie zalety: Hotel de las Olas Altas istotnie został zniszczony, a pozostałych szczegółów nie było można łatwo sprawdzić.

Stwierdziłem, że musimy jednak stanąć w kolejce po zieloną kartę, aby dostać się do kuchni. W końcu dotarliśmy do biurka i siedzący przy nim mężczyzna wręczył mi niewypełniony druk, mówiąc po hiszpańsku:

– Proszę wpisać nazwisko, potem imię i adres. Jeśli pański dom został zniszczony, proszę to napisać i podać inny adres: kuzyna, ojca, księdza czy kogokolwiek, czyj dom ocalał.

Zacząłem wygłaszać swą mowę. Urzędnik spojrzał na mnie i powiedział:

– Amigo, zatrzymujesz kolejkę.

– Ale – odparłem – zielona karta nie jest mi potrzebna. Jestem obywatelem amerykańskim, który powrócił z zagranicy, i staram się wyjaśnić, dlaczego ja i moja żona nie mamy paszportów.

Zaczął bębnić palcami po blacie.

– Niech pan posłucha – rzekł. – Pański akcent wskazuje, że jest pan rodowitym Amerykaninem, nie mogę jednak nic zrobić w sprawie pańskiego utraconego paszportu. W kolejce czeka jeszcze trzystu pięćdziesięciu uchodźców, a niedługo nadjedzie następny pociąg. Nie pójdę spać przed drugą w nocy. Dlaczego nie wyświadczy pan nam obu przysługi i nie przyjmie tej zielonej karty? Ona pana nie otruje, a pozwoli przekroczyć granicę. Jutro może się pan użerać o swój paszport z Departamentem Stanu, ale nie ze mną, zgoda?

Jestem głupi, ale nie uparty. Przystałem na to. Jako swój meksykański adres podałem adres don Jaimego. Uważałem, że jest mi winny przynajmniej tyle. Miało to tę zaletę, że jego adres znajdował się w innym wszechświecie.

Zupa była taka, jakiej można się było spodziewać po instytucji dobroczynnej. Była to jednak kuchnia *gringos*, której nie kosztowałem od miesięcy, a poza tym byliśmy głodni. Na deser zjadłem jabłko Stark Delicious, rzeczywiście pyszne. Jeszcze przed zachodem słońca wyszliśmy na ulice Nogales – wolni, nakarmieni i umyci. Poza tym w sposób mniej lub

bardziej legalny znaleźliśmy się na terytorium Stanów Zjednoczonych. Byliśmy w sytuacji o co najmniej tysiąc procent pomyślniejszej niż tych dwoje nagich rozbitków podjętych z oceanu siedemnaście tygodni temu.

Wciąż jednak byliśmy sierotami bez pieniędzy, miejsca na spoczynek ani ubrań, nie licząc tego, co mieliśmy na sobie. Ponadto mój trzydniowy zarost oraz ubranie, które przeszło przez autoklaw, czy co to tam było, sprawiały, że wyglądałem jak ostatni łazęga.

Szczególnie doskwierał nam brak pieniędzy, choć mieliśmy te, które Margrethe odłożyła z napiwków. Ale na banknotach był napis „Reino" zamiast „República", a na monetach widniały niewłaściwe podobizny. Niektóre monety mogły zawierać wystarczającą ilość srebra, aby posiadać pewną wartość rynkową, ale jeśli nawet, nie było sposobu, aby je natychmiast sprzedać. Gdybyśmy natomiast spróbowali zapłacić gdzieś tymi pieniędzmi, mogłoby to wpędzić nas w nie lada kłopoty.

Ile na tym straciliśmy? Nie istnieją międzywszechświatowe przeliczniki kursu walut. Można określić wartość tych banknotów, porównując siłę nabywczą – tyle tuzinów jajek, tyle kilogramów cukru – ale szkoda zachodu! Niezależnie od tego, ile posiadaliśmy gotówki, straciliśmy wszystko.

Natrafiłem już na podobną przeszkodę podczas pobytu w Mazatlánie. W chwilach wolnych od obowiązków króla pomywaczy spróbowałem wysłać listy do:

a) szefa Alexandra Hergensheimera, wielebnego Dandy'ego Danny'ego Dovera, doktora teologii, dyrektora Kościołów Zjednoczonych na rzecz Obyczajności;

b) prawników Aleca Grahama w Dallas.

Na żaden z tych listów nie otrzymałem odpowiedzi. Żaden też nie został odesłany. Spodziewałem się tego, ponieważ ani Alec, ani Alexander nie

pochodzili ze świata maszyn latających – *aeroplanos*.

Spróbuję napisać do obu ponownie, lecz nie łudzę się, że otrzymam jakąkolwiek odpowiedź. Wiedziałem już bowiem, że ten świat wydałby się obcy zarówno Grahamowi, jak i Hergensheimerowi. Skąd? Zanim dotarliśmy do Nogales, nic właściwie nie wydało mi się osobliwe. Tutaj jednak, w poczekalni, stał (trzymajcie się mocno) *telewizor*. Duża, solidna skrzynka z okienkiem po jednej stronie, w którym poruszały się obrazy ludzi… a ze skrzynki dobiegały ich rozmowy.

Albo znacie ten wynalazek i jesteście do niego przyzwyczajeni, albo też mieszkacie w świecie, gdzie go nie znają… i nie uwierzycie mi. Uczcie się wiary ode mnie, gdyż musiałem uwierzyć w rzeczy niewiarygodne. *Istnieje* taki wynalazek, podobnie jak świat, w którym jest on czymś równie pospolitym jak rower. Nazywa się telewizor, lecz czasem mówi się o nim TV, wideo lub nawet „ogłupiacz”.

Gdybyście poznali niektóre zastosowania tego cudownego urządzenia, to ostatnie określenie nie wydałoby się wam dziwne.

Jeśli kiedykolwiek znajdziecie się bez grosza przy duszy w nieznanym mieście, nie mając się do kogo zwrócić, a nie chcecie udać się na posterunek policji i boicie się rozboju, istnieje tylko jedno miejsce, gdzie możecie pójść po pomoc. Można je zwykle znaleźć w dzielnicy nędzy i występku.

Armia Zbawienia.

Gdy tylko dostałem w swoje ręce książkę telefoniczną, odszukanie adresu Armii Zbawienia zajęło mi ledwie chwilkę (choć rozpoznanie telefonu już troszkę potrwało; ostrzeżenie dla podróżników

międzyświatowych – drobne zmiany mogą bardziej zbić z tropu niż wielkie różnice).

Po dwudziestu minutach i lekkim błądzeniu Margrethe i ja dotarliśmy do misji. Na chodniku przed wejściem stała czteroosobowa orkiestra: waltornia, wielki bęben i dwa tamburyny. Wokół nich gromadził się tłum. Ćwiczyli *Opokę wieków*. Szło im nieźle, choć przydałby się baryton. Odczuwałem pokusę, aby się do nich przyłączyć, lecz kilka wystaw sklepowych przed misją Margrethe zatrzymała się, chwytając mnie za rękaw.

– Alec… czy musimy to robić?

– Hej? Co się stało, kochanie? Myślałem, że to ustaliliśmy.

– Nie. Po prostu oznajmiłeś mi to.

– Hmm… może i tak było. Nie chcesz pójść do Armii Zbawienia?

Zaczerpnęła głęboko powietrza i w końcu wydusiła to z siebie:

– Alec… nie byłam w kościele, odkąd… odkąd wyrzekłam się wiary luterańskiej. Iść teraz do kościoła… Myślę, że to byłby grzech.

(Dobry Boże, co mam począć z tym dzieciakiem? Porzuciła wiarę nie dlatego, że jest poganką… lecz dlatego, że jej zasady są jeszcze surowsze niż twoje. Proszę cię o przewodnictwo, i to piorunem!)

– Kochanie, jeśli uważasz, że to grzech, nie zrobimy tego. Powiedz mi jednak, co mamy począć. Nie mam już pomysłów.

– Och… Alec, czy nie ma innych instytucji, do których może się zwrócić człowiek w potrzebie?

– Ależ są! W tak dużym mieście Kościół katolicki na pewno ma więcej niż jedno schronisko. Znajdą się też misje protestanckie. Prawdopodobnie również żydowska. Ponadto…

– Miałam na myśli niezwiązane z Kościołem.

– Rozumiem. Margrethe, wiemy oboje, że to nie jest naprawdę moja ojczyzna. O obowiązujących tu zasadach wiesz zapewne równie dużo jak ja. Mogą tu istnieć schroniska dla bezdomnych całkowicie niezwiązane z Kościołem, nie jestem jednak tego pewien. Kościoły z reguły monopolizują tę działalność, ponieważ nikt inny nie chce się tym zajmować. Gdyby było wcześnie rano, a nie późno wieczorem, spróbowałbym znaleźć unię dobroczynną, fundusz społeczny czy coś podobnego i przyjrzeć się, co tam rozdają. Może by się coś znalazło. Ale teraz… przychodzi mi do głowy jedynie odszukanie policjanta i poproszenie go o pomoc… a mogę ci z góry powiedzieć, co zrobi gliniarz w tej części miasta, gdy mu powiesz, że nie masz gdzie spać. Skieruje cię prosto do tej misji.

– W Kopenhadze, Sztokholmie czy Oslo poszłabym prosto na posterunek. Wystarczy poprosić o nocleg i załatwione.

– Muszę ci przypomnieć, że to nie Dania, Szwecja czy Norwegia. Tutaj mogliby nas przenocować… mnie z pijakami, a ciebie wśród prostytutek. Rano moglibyśmy zostać oskarżeni o włóczęgostwo, bądź też o coś innego. Nie jestem pewien.

– Czy Ameryka naprawdę jest taka zła?

– Nie wiem, kochanie. To nie jest moja Ameryka. Wolę jednak tego nie sprawdzać na własnej skórze. Najdroższa… czy jeśli zapracuję na to, co nam dadzą, będziemy mogli przenocować w Armii Zbawienia, nie wywołując u ciebie poczucia grzechu?

Zastanowiła się nad tym poważnie. Największą wadą Margrethe był całkowity brak poczucia humoru. Dobry charakter – na mur. Cudowna towarzyszka – tak jest. Poczucie humoru? „Życie jest poważną sprawą…”

– Alec, jeśli da się to tak załatwić, mogę tam wejść. Ja również będę pracować.

– To zbyteczne, kochanie. Jest tu zapotrzebowanie na moją specjalność. Gdy skończą dzisiaj karmić wyrzutków, pozostanie im wielki stos brudnych naczyń… a masz przed sobą mistrza wagi ciężkiej całego Meksyku i *los Estados Unidos* w ich zmywaniu.

Zmywałem więc naczynia. Pomogłem też rozdać śpiewniki z hymnami oraz zorganizować wieczorne nabożeństwo. Udało mi się także pożyczyć maszynkę do golenia wraz z żyletką od brata Eddiego McCaw, który był tu adiutantem. Opowiedziałem mu, w jaki sposób się tu znaleźliśmy.

Przebywaliśmy na wakacjach na Riwierze Meksykańskiej. Opalaliśmy się na plaży, gdy nastąpiło trzęsienie ziemi… cały szereg kłamstw, które przygotowałem dla Urzędu Imigracyjnego i których nie miałem okazji wygłosić.

– Straciliśmy wszystko. Pieniądze, czeki podróżne, paszporty, ubrania, bilety do domu. Dosłownie wszystko. Ale i tak można powiedzieć, że mieliśmy szczęście. Uszliśmy z życiem.

– Pan miał was w Swych ramionach. Mówisz, że ponownie się narodziłeś?

– Wiele lat temu.

– Naszym zbłąkanym owcom dobrze zrobi, jeśli będą się mogły otrzeć o ciebie. Gdy przyjdzie czas na świadectwo, opowiesz im o tym? Jesteś tu pierwszym naocznym świadkiem. Oczywiście poczuliśmy to tutaj, ale tylko naczynia się zakołysały.

– Z chęcią dam świadectwo prawdzie.

– Cieszę się. Chodź, dam ci tę maszynkę.

Złożyłem więc świadectwo, przedstawiając im wierny i straszliwy opis trzęsienia ziemi, choć nie był on równie przerażający jak prawda – mam

nadzieję, że nigdy już nie zobaczę szczura ani martwego dziecka – po czym podziękowałem publicznie Panu za to, że Margrethe i ja nie zostaliśmy ranni. Stwierdziłem, że była to moja najszczersza modlitwa od lat.

Wielebny Eddie poprosił tę salę pełną cuchnących wyrzutków, aby połączyła się z nim w modlitwie dziękczynnej za to, że brat i siostra Graham zostali ocaleni. Była to dobra, podnosząca na duchu modlitwa, w której znalazło się wszystko, poczynając od Jonasza, a kończąc na setnej owcy. Wywołała ona dobiegające zewsząd okrzyki „Amen!”. Pewien stary pijaczek podszedł do mnie i oświadczył, że dostrzegł wreszcie Bożą łaskę i miłosierdzie i jest gotów poświęcić swe życie Chrystusowi. Brat Eddie odmówił nad nim modlitwę, po czym zaprosił innych, aby również wystąpili. Dwóch uczyniło to. Brat Eddie był urodzonym kaznodzieją. Dostrzegł w naszej opowieści temat wieczornego kazania i wykorzystał go, opierając się na cytacie z Łukasza 15,10 oraz Mateusza 6,19. Nie wiem, czy miał przygotowane kazanie oparte na tych wersetach. Prawdopodobnie nie, gdyż każdy kaznodzieja wart tego miana może mówić w nieskończoność, opierając się na którymkolwiek z nich. Tak czy inaczej, wykazał się refleksem i wykorzystał w pełni naszą nieprzewidzianą obecność.

Był z nas zadowolony i jestem pewien, że z tego właśnie powodu, gdy wychodziliśmy po kolacji po nabożeństwie, powiedział, że choć oczywiście nie mają osobnych pokojów dla par małżeńskich, te bowiem rzadko goszczą w misji, zanosi się na to, że siostra Graham będzie spać sama w dormitorium sióstr, więc mógłbym się przespać tam zamiast razem z mężczyznami. Nie ma podwójnych łóżek, tylko piętrowe prycze – niestety! Przynajmniej jednak bylibyśmy w tym samym pokoju.

Podziękowałem i udaliśmy się uszczęśliwieni do łóżka. Dwoje ludzi może dzielić bardzo wąskie łóżko, jeśli naprawdę pragnie spać razem.

Następnego ranka Margrethe przygotowała śniadanie dla wyrzutków. Poszła do kuchni i zgłosiła się na ochotnika. Musiała zrobić wszystko sama, ponieważ etatowa kucharka nie przygotowywała śniadania – tradycyjnie robił to ten, komu akurat przypadł dyżur. Śniadanie nie wymagało dyplomu sztuki kulinarnej: owsianka, chleb, margaryna, małe pomarańcze (z odrzutu?) i kawa. Zostawiłem ją samą, aby pozmywała naczynia, każąc jej czekać, aż wrócę.

Udałem się do miasta i znalazłem pracę.

Poprzedniego wieczoru podczas zmywania naczyń dowiedziałem się z telegrafu bez drutu (zwanego tutaj „radiem”), że w Stanach Zjednoczonych panuje bezrobocie w zakresie wystarczającym, aby wywołać problemy polityczne i społeczne.

Na Południowym Zachodzie zawsze można znaleźć pracę w gospodarstwie rolnym, ale już wczoraj uchyliłem się od jej przyjęcia. Nie dlatego, że jestem zbyt dumny, by wykonywać taką robotę. Pomagałem przy żniwach wiele lat, odkąd urosłem na tyle, żeby unieść widły. Nie mogłem jednak pozwolić, żeby Margrethe pracowała w polu.

Nie miałem nadziei, że znajdę pracę jako duchowny. Nie powiedziałem nawet bratu Eddiemu, że jestem wyświęcony. Wśród kaznodziejów panuje bezrobocie. Oczywiście zawsze można znaleźć puste ambony, lecz takie, z których nie wyżyłaby nawet mysz kościelna. Miałem wszakże drugi zawód.

Pomywacz.

Bez względu na to, jak wielu ludzi jest bezrobotnych, nigdy nie brakuje pracy przy zmywaniu naczyń. Wczoraj, po drodze z przejścia granicznego do misji Armii Zbawienia, dostrzegłem aż trzy restauracje z wywieszkami „Potrzebny pomywacz”. Zwróciłem na nie uwagę, gdyż podczas długiej

podróży z Mazatlánu zdążyłem pojąć, że nie znajdę żadnego innego zatrudnienia.

W tym świecie nie byłem wyświęconym kapłanem. Nie mogłem też nim się stać, ponieważ nie miałem świadectwa ukończenia seminarium czy szkoły teologicznej, a nawet poparcia jakiejś prymitywnej sekty, która nie dba o dyplomy, polegając jedynie na inspiracji Ducha Świętego.

Z pewnością nie byłem inżynierem.

Nie mogłem też zdobyć pracy jako nauczyciel, nawet tych przedmiotów, które dobrze znałem, ponieważ nie byłem już w stanie przedstawić żadnych dyplomów, a nawet świadectwa ukończenia szkoły powszechnej.

Ogólnie rzecz biorąc, nie nadawałem się na sprzedawcę. To prawda, że wykazałem się nieoczekiwanym talentem podczas profesjonalnej zbiórki pieniędzy… tutaj jednak nie miałem w tej dziedzinie żadnych osiągnięć ani koniecznej reputacji. Mogłem je któregoś dnia zdobyć, lecz pieniądze były nam potrzebne *dzisiaj*.

Co więc zostawało? Przejrzałem ogłoszenia oferujące pracę w egzemplarzu nogaleskiego „Timesa”, który ktoś pozostawił w misji.

Nie byłem doradcą podatkowym. Nie byłem żadnego rodzaju mechanikiem. Nie wiedziałem, co to takiego programista, ale nim nie byłem. Nie byłem też niczym „komputerowym”. Nie byłem pielęgniarką ani specjalistą od opieki nad chorymi.

Mógłbym wyliczać w nieskończoność to, czym nie byłem i nie mogłem się stać w ciągu jednej nocy, lecz nie ma to sensu. Jedyną rzeczą, którą mogłem robić, aby utrzymać Margrethe i siebie, zanim ocenimy ten nowy świat i poznamy jego ścieżki, było to, co musiałem robić jako *peon*. Kompetentny i godny zaufania pomywacz nigdy nie głoduje (może za to umrzeć z nudów).

Pierwszy lokal, który odwiedziłem, pachniał nieprzyjemnie, a jego kuchnia była brudna. Nie zatrzymałem się tam długo. Drugi był hotelem dużej sieci zatrudniającym przy zmywaniu kilka osób. Szef spojrzał na mnie i powiedział:

– To robota dla Meksykańców. Nie spodoba ci się tutaj.

Próbowałem się sprzeciwić, lecz nie dał mi dojść do głosu.

Trzeci lokal był w sam raz – restauracja tylko trochę większa niż Pancho Villa, z czystą kuchnią i szefem nie bardziej skwaszonym niż inni.

Ostrzegł mnie:

– Płacimy tu płacę minimalną. Nie ma podwyżek. Jeden posiłek dziennie na koszt firmy. Jak zobaczę, że coś gwizdnąłeś, choćby wykałaczkę, natychmiast wylatujesz. I nie dam ci drugiej szansy. Pracujesz w takich godzinach, jakie ustalę. Mogę je zmieniać tak, jak mi będzie pasowało. W tej chwili jesteś mi potrzebny od południa do czwartej i od szóstej do dziesiątej, pięć dni w tygodniu. Możesz też pracować sześć dni, ale bez dodatku za godziny nadliczbowe. Dostaniesz go, jeśli będę cię potrzebował przez więcej niż osiem godzin dziennie lub czterdzieści osiem tygodniowo.

– Pasuje.

– Zgoda. Pokaż mi swoją kartę ubezpieczenia społecznego.

Wręczyłem mu zieloną kartę, lecz oddał mi ją.

– Mam ci płacić dwanaście i pół dolara za godzinę na podstawie tego? Nie jesteś Meksykańcem. Chcesz, żebym miał kłopoty z władzą? Skąd to masz?

Zaśpiewałem mu całą piosenkę, którą przygotowałem dla Urzędu Imigracyjnego.

– Straciłem wszystko. Nie mogę nawet zadzwonić, żeby przysłali mi pieniądze. Muszę dotrzeć do domu, zanim będę mógł pobrać cokolwiek

z konta.

– Mógłbyś się zwrócić do opieki społecznej.

– Proszę pana, mam na to za dużo cholernej dumy. (Nie wiem, jak to zrobić, i nie potrafię nawet udowodnić, że ja to ja. Proszę mnie nie przepytywać, tylko pozwolić mi zmywać naczynia).

– Przyjemnie to usłyszeć. „Cholerna duma”. Szkoda, że w tym kraju nie ma więcej takich ludzi jak ty. Idź do Biura Ubezpieczeń i poproś, żeby wydali ci nową kartę. Zrobią to, nawet jeśli nie pamiętasz numeru starej. Potem wróć tutaj i weź się do roboty. Hmm. Wciągnę cię już na listę płac. Musisz jednak wrócić i odpracować pełen dzień, zanim ci zapłacę.

– To mi odpowiada. Gdzie znajdę Biuro Ubezpieczeń?

Tak więc udałem się do budynku władz federalnych i powtórzyłem te same kłamstwa, przyozdabiając je tylko w miarę potrzeby.

Poważnie wyglądająca młoda dama, która wydała mi kartę, uparła się, aby udzielić mi wykładu na temat ubezpieczeń społecznych i sposobu, w jaki one działają. Najwyraźniej wykuła to na pamięć. Założę się, że nigdy nie miała „klienta” (tak mnie nazwała), który słuchałby z równą uwagą. Wszystko to było dla mnie nowe.

Podałem nazwisko „Alec L. Graham”. Nie była to świadoma decyzja. Używałem tego nazwiska od tygodni i odpowiedziałem odruchowo. Nie bardzo mogłem potem powiedzieć: „Przepraszam panią, ale naprawdę nazywam się Hergensheimer”.

Zacząłem pracę. W czasie przerwy między czwartą i szóstą poszedłem do misji i dowiedziałem się, że Margrethe również znalazła zatrudnienie. Miała pracować tylko czasowo, przez trzy tygodnie, lecz były to trzy tygodnie w najtrudniejszym okresie. Kucharka misji nie miała urlopu od ponad roku i chciała właśnie pojechać do Flagstaff, aby odwiedzić córkę,

która niedawno urodziła dziecko. Margrethe dostała więc na ten czas jej pracę, a wraz z nią jej sypialnię.

Brat i siostra Graham byli w znakomitej sytuacji… na razie.

Rozdział XIV

„A dalej widziałem pod słońcem,
że to nie chyżym bieg się udaje
i nie waleczni w walce zwyciężają.
Tak samo nie mędrcom chleb się dostaje w udziale
ani rozumnym bogactwo,
ani też nie uczeni cieszą się względami.
Bo czas i przypadek rządzi wszystkim”.

Księga Koheleta 9,11

Wytłumaczcie mi, błagam, dlaczego zmywanie naczyń nie stało się źródłem nowej szkoły filozoficznej. Warunki wydają się przecież idealne do pogrążenia się w rozkosznych próbach rozgryzienia tego, co niezgłębione. Praca dostarcza zajęcia ciału, nie wymagając niemal niczego od mózgu. Każdego dnia miałem osiem godzin, podczas których mogłem poszukiwać odpowiedzi na pytania.

Jakie pytania? *Wszystkie*. Pięć miesięcy temu byłem zamożnym i szanowanym specjalistą w najbardziej godnym szacunku ze wszystkich zawodów w świecie, który doskonale rozumiałem… albo tak mi się zdawało. Dziś nie miałem nic i nie byłem pewien niczego.

Przepraszam – miałem Margrethe. Bogactwo wystarczające każdemu mężczyźnie. Nie zamieniłbym jej na wszystkie skarby Wschodu. Ale Margrethe oznaczała też zobowiązanie, którego wciąż nie wypełniłem. Wziąłem ją za żonę wobec Boga… lecz nie mogłem jej utrzymać.

Miałem co prawda pracę, lecz w gruncie rzeczy Margrethe utrzymywała się sama.

Gdy pan Cowgirl zatrudnił mnie, nie zniechęciło mnie ostrzeżenie o „minimalnej płacy bez podwyżek”. Dwanaście dolarów i pięćdziesiąt centów za godzinę wydało mi się olbrzymią sumą. Wielu żonatych mężczyzn w Wichicie (*mojej* Wichicie w innym wszechświecie) utrzymywało rodzinę za dwanaście i pół dolara na *tydzień*. Nie zdawałem sobie jednak sprawy, że tutaj za dwanaście i pół dolara nie kupię nawet kanapki z tuńczykiem w restauracji, w której pracowałem. A nie był to wcale elegancki lokal. W gruncie rzeczy był raczej tani. Łatwiej przystosowałbym się do ekonomii tego dziwnego, choć znajomego świata, gdyby jego waluta nosiła inną nazwę – szylingi, szekle, sole, cokolwiek, byle nie dolary. Wychowałem się w przeświadczeniu, że jeden dolar to znacząca suma. Trudno mi było pojąć, że sto dolarów na dzień to pensja nędzarza. Dwanaście i pół za godzinę, sto dziennie, pięćset na tydzień, dwadzieścia sześć tysięcy na rok – pensja nędzarza? Posłuchajcie uważnie. W świecie, w którym się wychowałem, byłoby to bogactwo przewyższające marzenia każdego skąpca.

Przyzwyczajenie się do cen i płac wyrażonych w dolarach, które nie były naprawdę dolarami, stanowiło tylko jeden z najbardziej pospolitych aspektów nieznanej ekonomii. Podstawowym problemem było to, jak dać sobie radę, jak się utrzymać na powierzchni, jak utrzymać siebie i żonę (oraz dzieci, z których jedno, jeśli się nie myliłem, było już w drodze) w świecie, w którym nie miałem żadnego dyplomu, przygotowania zawodowego, przyjaciół, referencji czy też osiągnięć, na które mógłbym się powołać. Alec, co, na Boga, potrafisz robić… poza zmywaniem naczyń?!

Mógłbym z łatwością umyć stos naczyń wysokości latarni morskiej, zastanawiając się nad tym jednym pytaniem. *Musiałem* znaleźć na nie

odpowiedź. Dzisiaj zmywałem naczynia z zadowoleniem… lecz wkrótce będę musiał znaleźć coś lepszego ze względu na ukochaną. Płaca minimalna nie wystarczała.

Wreszcie dotarliśmy do sprawy numer jeden: Drogi Panie Boże Jehowo, co oznaczają te wszystkie znaki, które zesłałeś na mnie, swojego sługę?

Nadchodzi chwila, w której najwierniejszy wyznawca musi podnieść się z kolan i przeprowadzić ze swym Panem Bogiem szczerą, poważną rozmowę. Panie, *powiedz* mi, w co mam wierzyć! Czy to zwodnicze znaki i cuda, przed którymi ostrzegałeś, zesłane przez Antychrysta, aby sprowadzić wybranych na manowce?

Czy też to prawdziwe znaki dni ostatnich? Czy usłyszymy Twój głos?

A może jestem tak szalony jak Nabuchodonozor i wszystkie te zjawiska stanowią jedynie opary mojego zmęczonego umysłu?

Jeśli jedno z tych zdań jest prawdziwe, dwa pozostałe muszą być fałszywe. Jak mam się przekonać które? Panie Boże Zastępów, czym Cię obraziłem?

Wracając pewnej nocy do misji, dostrzegłem wielką tablicę, którą można było potraktować jako bezpośrednią odpowiedź na moje modlitwy: MILIONY DZIŚ ŻYJĄCYCH NIGDY NIE UMRĄ. Niósł ją mężczyzna, któremu towarzyszyło dziecko rozdające ulotki.

Postanowiłem ich nie brać. Widziałem już to hasło wiele razy, ale od dawna starałem się unikać Świadków Jehowy. Są tak uparci i twardogłowi, że nie sposób z nimi współpracować, a Kościoły Zjednoczone na rzecz Obyczajności były z konieczności związkiem o charakterze ekumenicznym.

Podczas zbierania funduszy czy akcji politycznych należy unikać sporów o drobne punkty doktryny (co, rzecz jasna, nie oznacza tolerowania herezji). Teologowie rozszczepiający włos na czworo są niczym wyrok śmierci dla sprawnie działającej organizacji. Jak można włączyć do codziennej pracy w winnicy Pańskiej sektę, która twierdzi, że jedynie ona zna prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, a wszyscy, którzy sądzą inaczej, są heretykami skazanymi na ogień piekielny?

To niemożliwe. Dlatego też nie przyjęliśmy ich do naszej organizacji. Niemniej… być może tym razem mieli rację.

To zaś wiedzie mnie do najważniejszego z pytań: Jak mam zaprowadzić Margrethe z powrotem do Pana, zanim usłyszymy trąbę i Jego głos? Ale „jak” jest tu zależne od „kiedy”. Milenarystyczni teologowie różnią się znacznie poglądami na temat nadejścia dnia, w którym zabrzmi trąba.

Osobiście wolę polegać na metodzie naukowej. Na każdą sporną kwestię zawsze jest jedna pewna odpowiedź: Sprawdź to w Księdze. Tak też zrobiłem. Mieszkając w misji Armii Zbawienia, z łatwością mogłem pożyczyć egzemplarz Biblii. Przeglądałem ją raz za razem… i zrozumiałem, dlaczego milenaryści nie mogli się zgodzić co do dat.

Biblia jest dosłownym słowem Bożym, nie miejcie co do tego wątpliwości. Bóg jednak nigdy nie obiecywał, że będzie ono łatwe do odczytania.

Raz za razem nasz Pan i Jego wcielony syn Jezus z Nazaretu, Mesjasz, obiecują swym uczniom, że ich pokolenie (to jest pierwszy wiek naszej ery) ujrzy Jego ponowne przyjście. W innych miejscach, również wiele razy, obiecuje On, że powróci, gdy upłynie tysiąc lat… lub dwa tysiące… albo

jakiś inny czas, gdy Ewangelia zostanie już ogłoszona wszystkim ludziom, w każdym kraju na świecie.

Które z tych twierdzeń jest prawdą?

Wszystkie, jeśli odczytać je we właściwy sposób. Jezus naprawdę powrócił za życia pokolenia swych dwunastu uczniów. Zrobił to w dniu pierwszej Wielkiejnocy – swego zmartwychwstania. To był jego pierwszy powrót – absolutnie niezbędny – który udowodnił wszystkim, że istotnie był On Synem Bożym i samym Bogiem. Po tysiącu lat wrócił ponownie, lecz w swym nieskończonym miłosierdziu postanowił, że jego dzieciom zostanie przyznany kolejny okres łaski i próby, zamiast wtrącić natychmiast grzeszników w ognistą czeluść piekieł.

Trudno odczytać tę datę. To zrozumiałe, ponieważ nasz Pan nie chciał zachęcać grzeszników do trwania w grzechu, oznajmiając im, że dzień sądu został odroczony. Pewne jest jednak, jasno określone i niewątpliwe, że pragnie on, aby wszystkie jego dzieci żyły tak, jakby każdy dzień, godzina czy mgnienie oka mogły być ostatnimi. Kiedy nadejdzie kres naszego czasu? Kiedy usłyszymy głos i dźwięk trąby? Kiedy nadejdzie dzień sądu? *Teraz!* Nikt nie zostanie uprzedzony. Nie będzie czasu na nawrócenie na łożu śmierci. Musisz żyć w stanie łaski… albo, gdy nadejdzie chwila, zostaniesz wrzucony do jeziora ognia, aby cierpieć tam katusze przez wieki wieków.

Takie jest słowo Pańskie.

Dla mnie było ono zwiastunem zagłady. Nie był mi dany okres łaski, w którym mógłbym doprowadzić Margrethe z powrotem do owczarni… ponieważ głos może zabrzmieć nawet dzisiaj.

Co robić? Co robić?

Dla śmiertelnika stojącego wobec problemu, który go przerasta, istnieje tylko jedno rozwiązanie: zwrócić się do Pana poprzez modlitwę. Tak też

robiłem, raz za razem. Modlitwa zawsze spotyka się z odpowiedzią. Należy wszakże rozpoznać tę odpowiedź… która może nie być tym, czego oczekiwałeś.

Tymczasem jednak trzeba oddać cesarzowi to, co cesarskie.

Rzecz jasna zdecydowałem się pracować sześć dni w tygodniu zamiast pięciu (31 200 dolarów rocznie!), ponieważ potrzebny był mi każdy szekel, który mogłem zaoszczędzić. Margrethe brakowało wszystkiego! Mnie również. Przede wszystkim potrzebne nam były buty. Te, które mieliśmy na nogach podczas katastrofy w Mazatlánie, były dobre… dla tamtejszych wieśniaków. Zdarliśmy je podczas dwóch dni odkopywania gruzów po trzęsieniu ziemi, a potem nadal je nosiliśmy. Nadawały się już tylko na śmietnik. Potrzebowaliśmy więc butów – przynajmniej dwóch par na głowę: jednej do pracy i jednej na niedzielne wyjście.

Potrzebowaliśmy też wielu innych rzeczy. Nie wiem dokładnie, co jest niezbędne kobiecie, lecz jej potrzeby są bardziej skomplikowane niż męskie. Musiałem wręczyć Margrethe pieniądze i zachęcić ją, by kupiła to, czego jej trzeba. Sam mogłem jakoś przebimbać z jedną parą butów i ogrodniczkami (aby oszczędzać jedyne porządne ubranie). Niemniej kupiłem maszynkę do golenia i ostrzygłem się w szkole fryzjerskiej opodal misji, gdzie strzyżenie kosztowało tylko dwa dolary, jeśli klient zgadzał się, żeby obsłużył go początkujący uczeń. Ja nie miałem nic przeciwko temu. Margrethe obejrzała moją fryzurę i oświadczyła, że równie dobrze mogła ostrzyc mnie sama, przez co zaoszczędzilibyśmy dwa dolary. Następnie wzięła nożyczki i poprawiła to, co zrobiło to beztalencie. Od tej pory nigdy już nie wydałem pieniędzy na golibrodów.

Zaoszczędzenie dwóch dolarów nie zrównoważyłoby jednak poważniejszych strat, jakie ponieśliśmy. Gdy pan Cowgirl najął mnie, myślałem, że dostanę sto dolarów za każdy dzień pracy.

Nie płacił mi tyle, co wszakże nie znaczy, że mnie oszukał. Pozwólcie, że wam to wyjaśnię.

Pierwszego dnia ukończyłem pracę zmęczony, lecz szczęśliwy. Szczęśliwszy niż kiedykolwiek od trzęsienia ziemi. Poczucie szczęścia ma charakter względny. Udałem się do kasy, gdzie pan Cowgirl prowadził swoje rachunki. U Rona było już zamknięte. Spojrzał na mnie.

– Jak poszło, Alec?

– Bardzo dobrze.

– Luke mówił mi, że sobie radzisz.

Luke był olbrzymim Negrem – głównym kucharzem i teoretycznie moim szefem. W praktyce jego nadzór ograniczał się do tego, że pokazał mi, gdzie co jest, i upewnił się, że wiem, co robić.

– Miło mi to słyszeć. Luke jest dobrym kucharzem.

Posiłek regeneracyjny, który zjadłem o czwartej w charakterze śniadania, należał już wtedy do starożytnej historii. Luke wyjaśnił mi, że pomoc kuchenna może zamówić wszystko z jadłospisu oprócz steku i kotleta i że jeśli wybiorę gulasz lub klopsy, mogę prosić do woli o dokładkę.

Wybrałem klopsy, ponieważ kuchnia wyglądała czysto i dobrze pachniała. Można powiedzieć znacznie więcej o kucharzu, patrząc na jego klopsy niż na sposób, w jaki smaży stek. Zjadłem dwie porcje klopsów, bez ketchupu.

Luke nie pożałował mi też ciasta z wiśniami i dołożył do niego pełną łyżkę lodów waniliowych, które mi się nie należały, gdyż miało to być jedno z dwojga, a nie jedno i drugie.

– Luke rzadko mówi dobrze o białych chłopakach – ciągnął mój pracodawca – a o Meksykańcach nigdy. Musisz więc naprawdę sobie radzić.

– Mam nadzieję.

Zaczynałem się już lekko niecierpliwić. Wszyscy jesteśmy dziećmi bożymi, lecz był to pierwszy przypadek w moim życiu, gdy opinia Negra o mojej pracy miała jakiekolwiek znaczenie. Chciałem tylko otrzymać swoje pieniądze i pośpieszyć do Margrethe do domu… to jest do misji Armii Zbawienia.

Pan Cowgirl złożył ręce i przebierał palcami.

– Chcesz dostać pieniądze, prawda?

Opanowałem zniecierpliwienie.

– Tak.

– Alec, wolę płacić pomywaczom raz na tydzień.

Byłem zrozpaczony. Z pewnością było to widać na mojej twarzy.

– Nie zrozum mnie źle – dodał. – Masz płacone od godziny, możesz więc dostawać pieniądze codziennie pod koniec pracy, jeśli sobie życzysz.

– Tak, życzę sobie. Potrzebne mi pieniądze.

– Pozwól mi skończyć. Wolę płacić pomywaczom raz w tygodniu, dlatego że jeśli płacę takiemu pod koniec dnia, kupuje sobie dzban wińska i znika na parę dni, a kiedy wraca, chce, żeby go znowu przyjąć do pracy. Jest na mnie wściekły i chce iść na skargę do Urzędu Zatrudnienia. Najśmieszniejsze jest to, że często przyjmuję go z powrotem – na jeden dzień – ponieważ łachmyta, którego wziąłem na jego miejsce, zrobił właśnie to samo. Z Meksykańcami to się na ogół nie zdarza, gdyż chcą zaoszczędzić i wysłać pieniądze do domu, nie spotkałem jednak jeszcze takiego, który potrafiłby zmywać naczynia tak, żeby zadowolić Luke’a… a sam Luke jest mi bardziej potrzebny niż jakikolwiek pomywacz. Jeśli

chodzi o asfaltów, Luke zwykle wie z góry, który z nich się sprawdzi, a ci dobrzy są znacznie lepsi od białych chłopaków, z tym, że zawsze chcą dostać awans i jeśli nie mianuję takiego pomocnikiem kucharza, kierownikiem spiżarni albo kimś w tym rodzaju, przechodzą do tego, kto to zrobi. Zawsze jest z nimi problem. Jeżeli znajdę pomywacza, który przepracuje u mnie tydzień, można powiedzieć, że mam szczęście. Jeśli przepracuje dwa tygodnie, to już prawdziwe święto. Miałem kiedyś takiego, który przepracował cały miesiąc, ale to się zdarza tylko raz w życiu.

– Ja przepracuję pełne trzy tygodnie – zapewniłem go. – Czy mogę otrzymać pieniądze?

– Nie poganiaj mnie. Jeśli zgodzisz się na wypłatę co tydzień, dodam ci dolara za godzinę. To o czterdzieści dolarów na tydzień więcej. Co o tym sądzisz?

(Nie, czterdzieści osiem, powiedziałem sobie. Prawie 34 000 dolarów rocznie za zmywanie naczyń. Bomba!)

– Czterdzieści osiem, nie czterdzieści – odparłem. – Będę pracował sześć dni w tygodniu. Potrzebuję pieniędzy.

– Zgoda. Będę ci więc płacił co tydzień.

– Chwileczkę. Czy nie możemy zacząć tego od jutra? Potrzebuję trochę gotówki już teraz. Moja żona i ja nie mamy nic. Dosłownie nic. Mam tylko ubranie, które mam na sobie, nic poza tym. Moja żona też. Mogę wytrzymać w nim jeszcze kilka dni, ale kobieta po prostu musi kupić sobie pewne rzeczy.

Wzruszył ramionami.

– Jak sobie życzysz. Ale dzisiaj nie dostaniesz dodatkowego dolara za godzinę i jeśli jutro spóźnisz się choć minutę, uznam, że odsypiasz wczorajsze, i z powrotem wystawię ogłoszenie.

– Nie jestem pijakiem, panie Cowgirl.

– Zobaczymy!

Odwrócił się do swojej maszyny liczącej i zrobił coś z jej klawiaturą. Nie wiem co, ponieważ nie rozumiałem, jak ona działa. Ta maszyna w niczym nie przypominała arytrometru. Miała klawisze, podobnie jak maszyna do pisania, lecz nad nimi znajdował się ekran, na którym w magiczny sposób pojawiały się cyfry i litery.

Maszyna zadzwoniła i zafurkotała. Pan Cowgirl sięgnął do środka, wyjął kartkę i wręczył mi ją.

– Proszę bardzo.

Wziąłem ją i przyjrzałem się jej. Ponownie poczułem rozpacz. Był to kawałek tektury szerokości około trzech cali i długości siedmiu, w którym wycięte były liczne drobne otwory. Znajdował się na nim nadruk stwierdzający, że Bank Komercyjny w Nogales ma na polecenie U Rona wypłacić Alecowi L. Grahamowi… nie, nie sto dolarów.

Pięćdziesiąt jeden dolarów i dwadzieścia siedem centów.

– Coś się nie zgadza? – zapytał.

– Hmm. Myślałem, że dostanę dwanaście i pół za godzinę.

– Tyle ci płacę. Osiem godzin razy płaca minimalna. Możesz sam sprawdzić obliczenia. Nie liczyłem tego w pamięci. To IBM 1990 z firmowym oprogramowaniem Paymaster Plus… IBM oferuje dziesięć tysięcy dolarów każdemu, kto udowodni, że ten model komputera z tym oprogramowaniem kiedykolwiek pomylił się przy wystawianiu czeku. Popatrz sam. Płaca brutto sto dolarów. Wszystkie potrącenia są wyszczególnione. Możesz policzyć to sam i porównać wynik. Nie miej pretensji do mnie. Ja nie wymyśliłem tych przepisów. Podobają mi się jeszcze mniej niż tobie. Czy wiesz, że każdy pomywacz, który do mnie przychodzi, obywatel amerykański czy meksykański, żąda, bym mu zapłacił w gotówce, zapominając o potrąceniach? Czy wiesz, jaką grzywnę

mi wlepią, jeśli mnie na tym złapią? Albo co się stanie, jeśli mnie na tym złapią po raz drugi? Nie patrz tak na mnie. Zwróć się z tym do rządu.

– Po prostu tego nie rozumiem. To wszystko dla mnie nowe rzeczy. Może mi pan wyjaśnić, co oznaczają te wszystkie potrącenia? Tutaj, na przykład, jest napisane „Adm.”.

– To „opłata administracyjna”. Nie pytaj mnie jednak, dlaczego muszę ją wnosić, gdyż ja prowadzę wszystkie swoje księgi i z pewnością nie dostaję za to ani grosza.

Spróbowałem odszukać na wykazie określenia pozostałych potrąceń. „Ub. Społ.” oznaczało „ubezpieczenia społeczne”. Młoda dama wyjaśniła mi dziś rano, co to takiego… lecz odpowiedziałem jej, że choć to z pewnością znakomity pomysł, muszę się powstrzymać od skorzystania z niego, ponieważ chwilowo mnie na to nie stać. Skróty „Ub. Med.”, „Ub. Szp.” i „Ub. Dent.” można było łatwo zrozumieć, ale na nie również nie mogłem sobie pozwolić. Co to wszakże było „PL217”? Wykaz odsyłał mnie po prostu do odpowiedniej daty i strony w „Dz. U.”. A co mogły oznaczać „Dep. Ośw.” i „UNESCO”?

I czym, na Boga, był „podatek dochodowy”?

– Wciąż tego nie rozumiem. To wszystko jest dla mnie nowe.

– Alec, nie jesteś jedynym, który tego nie rozumie. Ale dlaczego mówisz, że to dla ciebie nowe? To ciągnie się od twoich narodzin… a nawet od czasów twojego ojca i dziadka.

– Przepraszam, ale co to jest „podatek dochodowy”?

Zamrugał.

– Jesteś pewien, że nie powinieneś się zwrócić do psychiatry?

– Co to psychiatra?

Westchnął.

– Czuję, że to ja go potrzebuję. Posłuchaj, Alec. Weź ten czek. Dyskutuj na ten temat z rządem, nie ze mną. Wydaje mi się, że mówisz poważnie. Możliwe, że zostałeś uderzony w głowę podczas tego trzęsienia. Ja muszę iść do domu i wziąć Miltown. Weź, proszę, ten czek!

– W porządku. Nie znam jednak nikogo, kto wypłaciłby mi gotówkę.

– Nie ma sprawy. Przepisz go z powrotem na mnie, a ja ci ją wypłacę. Zostaw jednak sobie odcinek kontrolny, bo Urząd Skarbowy zawsze sprawdza je wszystkie, zanim zwróci ci ewentualną nadpłatę.

Tego również nie rozumiałem, lecz zachowałem odcinek kontrolny.

Pomimo szoku, jaki przeżyłem, gdy dowiedziałem się, że niemal połowa mojej płacy zniknęła, nim zdążyłem jej dotknąć, nasza sytuacja znacznie się poprawiła. Margrethe i ja zarabialiśmy tygodniowo ponad czterysta dolarów, których nie musieliśmy wydawać na utrzymanie, lecz mogliśmy za nie kupić ubranie i inne niezbędne rzeczy. Teoretycznie Margrethe zarabiała tyle samo co kucharka, którą zastąpiła, czyli dwadzieścia dwa dolary za godzinę razy dwadzieścia cztery godziny tygodniowo, to jest pięćset dwadzieścia osiem dolarów na tydzień, lecz potrącano jej z pensji to samo co mnie, w związku z czym jej płaca netto wynosiła niecałe dwieście dziewięćdziesiąt dolarów na tydzień. Także w teorii, gdyż w praktyce potrącano jej pięćdziesiąt cztery dolary tygodniowo za pokój. Uznałem, że to tanio, gdy dowiedziałem się, ile kosztują pokoje do wynajęcia. Więcej niż tanio. Musieliśmy też płacić sto pięć dolarów tygodniowo za posiłki. Brat McCaw początkowo żądał stu czterdziestu. Twierdził, że może nam pokazać w swoich księgach, iż pani Owens, etatowa kucharka, miała zawsze potrącane dziesięć dolarów dziennie… a więc we dwoje powinniśmy płacić sto czterdzieści za tydzień. Zgodziłem się, że nie jest to

drogo (widziałem ceny w menu U Rona)… ale tylko w teorii. Ja jednak miałem jeść główny posiłek w pracy, przystaliśmy więc na dziesięć dolarów dziennie od Margi i połowę tego ode mnie.

Przy płacy brutto pięćset dwadzieścia osiem dolarów na tydzień Margrethe miała zatem dostawać na rękę sto trzydzieści jeden.

O ile rzeczywiście je otrzyma. Podobnie jak większość Kościołów Armia Zbawienia z trudem wiązała koniec z końcem i niekiedy te końcówki okazywały się zbyt krótkie.

Mimo to z każdym tygodniem żyło nam się lepiej. Pod koniec pierwszego kupiliśmy nowe buty dla Margrethe – pierwszej jakości i całkiem szykowne. Kosztowały tylko 279,90. Sklep J.C. Penneya przecenił je z 350 dolarów.

Oczywiście Margrethe suszyła mi głowę, że powinniśmy najpierw kupić buty dla mnie. Wskazałem jej, że mamy jeszcze ponad sto dolarów, więc za tydzień będziemy mogli to zrobić. Poprosiłem, aby zatrzymała tę sumę, żebym jej nie roztrwonił. Wyraziła zgodę uroczystym tonem.

W następny poniedziałek kupiliśmy buty dla mnie – nawet tańsze, z demobilu – dobre, mocne, wygodne buty, które wytrzymają dłużej niż cokolwiek, co mogliśmy dostać w normalnym sklepie. (Zatroszczę się o eleganckie obuwie, gdy zaspokoję już pilniejsze potrzeby. Nędza potrafi zmienić hierarchię wartości człowieka jak nic innego na świecie). Następnie udaliśmy się do sklepu z używaną odzieżą i kupiliśmy sukienkę oraz letni kostium dla Margrethe, a także drelichowe portki dla mnie. Margrethe chciała kupić mi więcej ubrań – mieliśmy jeszcze prawie sześćdziesiąt dolarów – lecz sprzeciwiłem się temu.

– Dlaczego nie, Alec? Potrzebujesz ubrań tak samo jak ja… a mimo to wydaliśmy prawie wszystko, co zaoszczędziłeś, *na mnie*. To niesprawiedliwe.

– Wydaliśmy pieniądze na to, co było potrzebne – odparłem. – Jeśli pani Owens wróci na czas, za tydzień stracisz pracę i będziemy musieli wyruszyć w drogę. Sądzę, że powinniśmy stąd wyjechać, więc zaoszczędźmy, ile się da, na bilet autobusowy.

– Wyjechać dokąd, kochanie?

– Do Kansas. Ten świat jest nam obcy, lecz jest również znajomy: ten sam język, geografia i część historii. Tu jestem tylko pomywaczem i nie mogę zarobić tyle, aby cię utrzymać, mam jednak silne przeczucie, że Kansas w tym świecie będzie bardzo podobne do tego, w którym się urodziłem, i że poradzę tam sobie lepiej.

– Jak sobie życzysz, kochanie.

Misja leżała niemal milę od miejsca mojej pracy, tak więc podczas przerwy między czwartą a szóstą, zamiast chodzić do „domu”, spędzałem czas po posiłku w lokalnej bibliotece, zbierając informacje. Było to, wraz z gazetami pozostawianymi niekiedy przez klientów, główne źródło mojej reedukacji.

W tym świecie pan William Jennings Bryan był prezydentem i dzięki jego dobroczynnemu wpływowi uniknęliśmy wplątania się w wielką wojnę europejską. Po wojnie zaproponował on swoje usługi przy negocjacjach pokojowych. Traktat filadelfijski przywrócił Europę w przybliżeniu do stanu sprzed roku 1913.

Nie znałem żadnego z prezydentów, którzy nastąpili po Bryanie, ani z mojego świata, ani ze świata Margrethe. Roześmiałem się głośno, gdy po raz pierwszy natrafiłem na tytuł obecnego: Jego Arcychrześcijańska Wysokość John Edward Drugi, dziedziczny prezydent Stanów

Zjednoczonych i Kanady, Książę Hyannisportu, Comte de Québec, Obrońca Wiary, Opiekun Ubogich, Wielki Marszałek Sił Pokojowych.

Popatrzyłem na zdjęcie przedstawiające go podczas wmurowywania kamienia węgielnego w Albercie. Był to wysoki, przystojny, barczysty facet w ozdobnym mundurze. Na piersi miał tyle orderów, że o mało nie przygięły go do ziemi. Przyjrzałem się jego twarzy i zadałem sobie pytanie: „Czy kupiłbyś od tego gościa używany samochód?”.

Im więcej jednak o tym myślałem, tym logiczniejsze się to wydawało. Amerykanie przez całe dwa i ćwierć wieku swojej historii jako niezależnego państwa tęsknili za monarchią, od której się uwolnili. Roztkliwiali się nad europejskimi koronowanymi głowami przy lada okazji. Najbogatsi z nich przy każdej sposobności wydawali swe córki za członków rodzin królewskich, nawet za gruzińskich książąt, choć „książę” w Gruzji to po prostu wieśniak posiadający największą stertę nawozu w okolicy.

Nie wiem, skąd wytrzasnęli tego królewskiego bubka. Być może posłali po niego do Estorilu lub nawet sprowadzili go z Bałkanów. Jak zauważył jeden z moich wykładowców historii, nigdy nie brakuje bezrobotnych pretendentów do tronu, którzy szukają pracy. Sam dobrze wiedziałem, że kiedy człowiek jest bezrobotny, nie może być zbyt wybredny. Wmurowywanie kamieni węgielnych nie może być nudniejsze niż zmywanie naczyń, ale godziny pracy są chyba dłuższe. Tak przynajmniej sądzę – nigdy nie byłem królem. Nie jestem pewien, czy przyjąłbym taką robotę, gdyby mi ją zaproponowano. Ma ona zbyt wiele wad, nie tylko nienormowane godziny.

Z drugiej strony…

Odrzucenie korony, o której wiesz, że ci jej nie zaproponują, to z samego założenia kwaśne winogrona. Wsłuchawszy się w głos swego serca,

uznałem, iż byłbym chyba w stanie przekonać sam siebie, że powinienem zdobyć się na to poświęcenie dla dobra ludzkości. Modliłbym się tak długo, aż doszedłbym do wniosku, że Pan pragnie, bym przyjął to brzemię.

Nie jestem bynajmniej cyniczny. Wiem, jak łatwo ludzie potrafią przekonać sami siebie, że Pan pragnie, by uczynili to, co przez cały czas chcieli zrobić. Nie jestem pod tym względem lepszy od swoich braci.

Najbardziej jednak zaskoczyło mnie to, że Kanada była z nami zjednoczona. Większość Amerykanów nie wie, dlaczego Kanadyjczycy nas nie lubią (ja również nie), ale tak właśnie jest. Na samą myśl, że mogliby się zgodzić na zjednoczenie z nami, mózg się lasuje.

Podszedłem do biurka i poprosiłem bibliotekarkę o najnowsze wydanie historii Stanów Zjednoczonych. Ale gdy tylko zacząłem je czytać, zauważyłem na zegarze ściennym, że zbliża się czwarta… musiałem więc oddać książkę i popędzić do roboty. Nie mogłem jej wypożyczyć, gdyż nie było mnie na razie stać na zapłacenie kaucji, której wymagano od przyjezdnych.

Ważniejsze od politycznych były jednak różnice techniczne i kulturowe. Niemal od razu zrozumiałem, że ten świat jest pod względem naukowym i technicznym bardziej zaawansowany niż mój. Wystarczył mi do tego widok urządzenia zwanego „telewizorem”.

Nie udało mi się zrozumieć, na jakiej zasadzie działa to ustrojstwo. Starałem się dowiedzieć tego w bibliotece, lecz natychmiast nadziałem się na przedmiot zwany „elektroniką”. (Nie „elektryką”, lecz „elektroniką”). Postanowiłem więc dowiedzieć się czegoś o elektronice i natknąłem się na całkowicie zdumiewający matematyczny bełkot. Odkąd termodynamika spowodowała, iż uznałem, że mam powołanie kapłańskie, nie napotkałem tak skomplikowanych i napuszonych równań. Nie sądzę, żeby w Rolla Tech

potrafiono zgłębić te banialuki. Przynajmniej nie w tym Rolla Tech, w którym studiowałem.

Lecz o przewadze technicznej tego świata świadczyła nie tylko telewizja, ale również wiele innych wynalazków, takich jak światła na skrzyżowaniach. Niewątpliwie znacie miasta tak zatłoczone, że nie sposób w nich przejść przez szeroką ulicę bez pomocy policjanta. Niewątpliwie nieraz byliście zdenerwowani, gdy policjant kierujący ruchem zatrzymywał was, aby przepuścić jakąś bardzo ważną miejscową osobistość lub podobną szychę. Czy potraficie sobie wyobrazić sytuację, w której intensywnym ruchem ulicznym kieruje się *bez udziału policjantów* – po prostu za pomocą kolorowych świateł?

Wierzcie mi lub nie, lecz tak właśnie było w Nogales.

Działa to w następujący sposób:

Na każdym z ruchliwych skrzyżowań umieszczacie co najmniej dwanaście świateł – cztery razy po trzy. Każda taka seria skierowana jest w jednym z głównych kierunków i osłonięta tak, że z innych nie można jej zobaczyć. W każdej serii jest jedno czerwone światło, jedno zielone i jedno żółte. Są to światła elektryczne, na tyle jasne, aby było je widać z mniej więcej mili, nawet w jasnym słońcu. Nie są to łuki elektryczne, lecz bardzo silne lampy Edisona – to istotne, ponieważ trzeba je co chwila włączać i wyłączać i muszą pracować niezawodnie dwadzieścia cztery godziny na dobę przez wiele dni z rzędu.

Te światła umieszczane są wysoko na słupach telegraficznych lub zawieszane nad skrzyżowaniami, tak że automobiliści czy cykliści mogą je widzieć z daleka. Gdy światło zielone świeci w kierunku, powiedzmy, północnym i południowym, we wschodnim i zachodnim świeci czerwone. Ruch odbywa się wtedy w kierunku północnym i południowym, natomiast ci, którzy jadą na wschód lub zachód, muszą stać i czekać, *zupełnie jakby*

policjant zagwizdał i ruchem ręki uruchomił strumień pojazdów w kierunku północnym i południowym, a wstrzymał jazdę we wschodnim i zachodnim.

Czy to jasne? Światła zastępują znaki dawane przez policjanta. Żółte światła pełnią tę samą funkcję co gwizdek – ostrzegają, że za chwilę sytuacja się zmieni.

Co z tego jednak za zysk? Przecież ktoś, prawdopodobnie policjant, musi przełączać światła w miarę potrzeby. To proste – są one przełączane *automatycznie* na odległość (nawet wielu mil!) na centralnej tablicy rozdzielczej.

W całym tym systemie odkryłem jeszcze wiele cudów, na przykład elektryczne urządzenia liczące, które określają, jak długo powinny świecić się poszczególne światła, aby ruch odbywał się jak najsprawniej, specjalne światła dla skręcających w lewo lub dla pieszych… największy cud to jednak to, że ludzie *przestrzegają* tych świateł.

Pomyślcie! Nigdzie w pobliżu nie ma policjanta, a ludzie słuchają ślepego i głuchego urządzenia tak, *jakby nim było*. Czy ludzie są tu tak potulni i posłuszni, że można im tak łatwo rozkazywać? Nie. Zastanawiałem się nad tym, aż znalazłem w bibliotece odpowiednie dane statystyczne. W tym świecie przestępczość z użyciem przemocy jest zjawiskiem częstszym niż w moim. Czy to te dziwne światła to powodują? Nie sądzę. Wydaje się, że ludzie, choć skłonni do przemocy wobec siebie, przestrzegają tych świateł ulicznych z czystego rozsądku. Być może.

Tak czy inaczej, to bardzo dziwne.

Kolejna uderzająca różnica techniczna dotyczy komunikacji powietrznej. Nie ma tu przyzwoitych, czystych, bezpiecznych i cichych sterowców z mojego świata. Nie, nie! Tutejsze maszyny przypominają raczej *aeroplanos* z meksykańskiego świata, w którym Margrethe i ja pracowaliśmy w pocie czoła, aby spłacić nasz dług, zanim wielkie

trzęsienie ziemi zniszczyło Mazatlán. Są one jednak znacznie większe, szybsze, bardziej hałaśliwe i latają znacznie wyżej, niż znane nam *aeroplanos*, wydaje się więc, że są czymś zupełnie innym. Może rzeczywiście tak jest, ponieważ nazywają je „odrzutowcami”. Czy możecie sobie wyobrazić wehikuł latający osiem mil nad ziemią? Albo wielki pojazd poruszający się szybciej niż dźwięk? Albo też ryk tak głośny, że bolą od niego zęby?

Nazywają to „postępem”. Osobiście tęsknię jednak za komfortem i gracją LTA *Graf von Zeppelin*, bo nie sposób skryć się przed tymi lewiatanami. Kilka razy w ciągu dnia jeden z nich przelatuje z rykiem nad misją, zniżając lot, aby opaść na lądowisko na północ od miasta. Ten hałas przeszkadza mi i powoduje, że Margrethe robi się nerwowa.

Niemniej większość nowych urządzeń naprawdę oznacza postęp – lepsze wodociągi, lepsze oświetlenie w mieszkaniach i na ulicach, lepsze drogi, lepsze budynki i wiele urządzeń czyniących pracę mniej uciążliwą i bardziej wydajną. Nie byłem nigdy jednym z tych pomyleńców, którzy wzywają do powrotu do natury i głoszą pogardę dla techniki. Mam więcej powodów niż większość ludzi, aby odczuwać respekt dla sztuki inżynierskiej. Większość tych, którzy nią gardzą, umarłaby z głodu, gdyby infrastruktura techniczna zniknęła.

Spędziliśmy w Nogales niespełna trzy tygodnie, zanim mogłem w końcu zrealizować to, o czym śniłem od niemal pięciu miesięcy… i do czego przygotowywałem się od przybycia do Nogales (lecz musiałem zaczekać, aż będzie mnie na to stać). Na realizację swego planu wybrałem poniedziałek, ponieważ był to mój dzień wolny od pracy. Powiedziałem Margrethe, aby włożyła nowe ubranie, bo zabieram ją na poczęstunek. Ja również włożyłem swój jedyny garnitur, nowe buty i czystą koszulę… oraz ogoliłem się, wykąpałem i przyciąłem paznokcie.

To był wspaniały dzień – słoneczny, ale niezbyt gorący. Oboje byliśmy szczęśliwi, gdyż po pierwsze, pani Owens napisała do brata McCaw, że – jeśli to możliwe – chciałaby zostać jeszcze tydzień, a po drugie, mieliśmy już dosyć pieniędzy na bilety autobusowe do Wichity, choć nic poza tym. Jednak wiadomość od pani Owens oznaczała, że zdołamy uciułać jeszcze czterysta dolarów, dzięki czemu będziemy mogli kupić po drodze coś do jedzenia, a nawet zostanie nam troszeczkę, gdy przybędziemy na miejsce.

Zabrałem Margrethe do lokalu, który odkryłem, gdy szukałem pracy jako pomywacz – miłej staroświeckiej lodziarni tuż obok dzielnicy występku.

Stanęliśmy przed lodziarnią.

– Najwspanialsza z dziewcząt, czy widzisz ten lokal? Pamiętasz rozmowę, jaką odbyliśmy na Pacyfiku, unosząc się na materacu do opalania i w gruncie rzeczy nie spodziewając się, że pożyjemy długo? Przynajmniej ja się tego nie spodziewałem.

– Kochany, jak mogłabym zapomnieć?

– Spytałem cię, o co byś poprosiła, gdybyś mogła otrzymać wszystko, czego zapragniesz. Pamiętasz, co mi odpowiedziałaś?

– Oczywiście! Lody z gorącą polewą karmelową.

– Tak jest! Dzisiaj jest twoje święto, kochanie. Za chwilę dostaniesz te lody.

– Och, Alec!

– Tylko nie becz! Nie znoszę płaczących kobiet. Możesz też dostać mrożoną czekoladę albo lody z wiórkami kokosowymi. Czego tylko twoje serce zapragnie. Zanim jednak cię tu przyprowadziłem, upewniłem się, że zawsze mają lody z gorącą polewą karmelową.

– Nie możemy sobie na to pozwolić. Powinniśmy oszczędzać na podróż.

– *Możemy*. Jedna porcja kosztuje pięć dolarów. Dwie dziesięć. Zamierzam też się szarpnąć i dać kelnerce dolara napiwku. Nie samym

chlebem żyje człowiek. Kobieta to też człowiek. Chodź, kobieto!

Do stolika zaprowadziła nas ładna kelnerka (ale nie tak ładna jak moja jedyna). Posadziłem Margrethe tyłem do ulicy, odsuwając jej krzesło, a potem usiadłem naprzeciw.

– Jestem Tammy – przedstawiła się kelnerka, wręczając nam menu. – Co chcielibyście państwo zamówić w ten śliczny dzień?

– Menu nam niepotrzebne – odparłem. – Dwa razy lody z gorącą polewą karmelową.

Tammy zamyśliła się.

– Będziecie musieli poczekać parę minut. Chyba trzeba będzie podgrzać sos.

– Parę minut? Nic nie szkodzi. Czekaliśmy znacznie dłużej.

Kelnerka uśmiechnęła się i odeszła. Spojrzałem na Margę.

– Czekaliśmy *znacznie* dłużej, prawda?

– Alec, jesteś sentymentalny. To jeden z powodów, dla których cię kocham.

– Jestem sentymentalnym durniem i w tej chwili ślina mi cieknie na myśl o lodach. Chciałem ci jednak pokazać tę lodziarnię również z innego powodu. Marga, chciałabyś zostać właścicielką podobnego lokalu? To znaczy wspólnie bylibyśmy właścicielami. Ty byłabyś szefową, a ja pomywaczem, odźwiernym, pomocnikiem, wykidajłą i czym jeszcze byłoby trzeba.

Zamyśliła się głęboko.

– Mówisz poważnie?

– Jak najbardziej. Oczywiście nie teraz. Musimy najpierw zaoszczędzić trochę pieniędzy. Nie będzie nam trzeba wiele. Miły, malutki lokalik. Pomaluję go sam na jasne, wesołe kolory. Dystrybutor napojów

gazowanych i ograniczone menu. Hot dogi, hamburgery, duńskie kanapki i to wszystko. Może jeszcze zupy. Puszkowe zupy nie stanowią problemu.

Margrethe była oburzona.

– Tylko nie puszkowe. Potrafię ugotować prawdziwą zupę… tańszą i lepszą niż jakiekolwiek z puszki.

– Zdaję się na twoją specjalistyczną opinię. W Kansas jest przynajmniej pół tuzina miasteczek uniwersyteckich, gdzie taki lokal byłby bardzo potrzebny. Może udałoby się znaleźć jakąś rodzinną firmę, popracować rok dla właścicieli, a potem ich spłacić. Zmienilibyśmy nazwę na Lody z gorącą polewą karmelową albo Kanapki Margi.

– Lepiej Lody z gorącą polewą karmelową. Alec, naprawdę sądzisz, że mogłoby nam się to udać?

Pochyliłem się w jej stronę i wziąłem ją za rękę.

– Jestem tego pewien, kochanie. I wcale nie musielibyśmy zapracowywać się na śmierć. – Potrząsnąłem głową. – To światło na skrzyżowaniu świeci mi prosto w oczy.

– Wiem. Przy każdej zmianie świateł widzę, jak odbijają ci się w oku. Chcesz się zamienić miejscami? Mnie to nie przeszkadza.

– Mnie też nie. Działa tylko lekko hipnotycznie. – Spojrzałem na stolik, a potem przeniosłem wzrok z powrotem na światło. – O, zgasło!

Margrethe obejrzała się za siebie.

– Nie widzę go. Gdzie jest?

– Hmm… kurczę, zniknęło. Na to wygląda.

Tuż obok rozległ się męski głos:

– No to co zamawiacie? Wino czy piwo? Nie mamy koncesji na nic mocniejszego.

Spojrzałem w bok i zobaczyłem kelnera.

– Gdzie Tammy?

– Co za Tammy?

Westchnąłem głęboko, starając się spowolnić bicie serca, i powiedziałem:

– Przepraszam pana. Nie powinienem tu przychodzić. Właśnie zauważyłem, że zostawiłem portfel w domu. – Podniosłem się z miejsca. – Chodźmy, kochanie!

Margrethe wyszła za mną, milcząc, z otwartymi szeroko oczyma. Na zewnątrz rozejrzałem się, próbując ustalić, co się zmieniło. Był to całkiem przyzwoity lokal jak na pijalnię piwa. Nie była to jednak nasza miła lodziarnia.

Ani nasz świat!

Rozdział XV

„Nie chwal się dniem jutrzejszym,
bo nie wiesz, co dzień ci przyniesie”.

Księga Przysłów 27,1

Na zewnątrz, nie zastanawiając się, skierowałem się w stronę misji Armii Zbawienia. Margrethe milczała, uczepiwszy się mojego ramienia. Powinienem odczuwać strach, lecz zamiast tego byłem wściekły.

– Niech ich diabli porwą! – mruknąłem po chwili.

– Kogo, Alec?

– Nie wiem. To właśnie najgorsze. Tego, kto nam to zrobił. Może to twój przyjaciel Loki.

– On nie jest moim przyjacielem, tak jak Szatan nie jest twoim. Boję się i obawiam tego, co Loki robi z naszym światem.

– Ja się nie boję. Jestem wściekły. Loki, Szatan czy ktokolwiek, tego już za wiele. To nie ma sensu. Dlaczego nie mogli zaczekać trzydziestu minut? Mieliśmy te lody w zasięgu ręki… i zabrali nam je! Marga, to nieuczciwe! To czyste, niczym niezłagodzone okrucieństwo! Absurd dorównujący wyrywaniu skrzydeł muchom. Kimkolwiek oni są, gardzę nimi!

Zamiast kontynuować bezużyteczną rozmowę o sprawach, na które nie mieliśmy wpływu, Margrethe zapytała:

– Kochanie, dokąd idziemy?

– Co? – Stanąłem jak wryty. – Jak to dokąd? Do misji.

– Czy aby nie zgubiliśmy drogi?

– No jas… – przerwałem i rozejrzałem się. – Nie wiem. – Szedłem przed siebie zupełnie automatycznie, skupiony na swoim gniewie. Teraz stwierdziłem, że nie rozpoznaję żadnych punktów orientacyjnych. – Mam wrażenie, że zabłądziłem.

– Ja na pewno.

Odnalezienie drogi zajęło nam pół godziny. Okolica wydawała się znajoma, lecz nic nie było dokładnie takie, jak przedtem. Znalazłem miejsce, gdzie powinna się mieścić restauracja U Rona, lecz jej tam nie było. W końcu policjant wskazał nam drogę do misji… która znajdowała się teraz w innym budynku. Ku mojemu zdziwieniu spotkaliśmy tam brata McCaw, ten jednak nie poznał nas, a jego nazwisko brzmiało obecnie McNabb. Odeszliśmy stamtąd z taką dozą godności, z jaką to było możliwe, to jest niewielką.

Podążyliśmy wolniutko drogą, którą przyszliśmy. Nie było gdzie się śpieszyć.

– Marga, znaleźliśmy się w tym samym punkcie co trzy tygodnie temu. Mamy lepsze buty, to wszystko. Nasze kieszenie są pełne pieniędzy, ale nie mają tu one żadnej wartości… gdybyśmy spróbowali je wydać, zapewnilibyśmy sobie spokojny wypoczynek za kratkami.

– Masz chyba rację, kochanie.

– Tu na rogu jest bank. Zamiast próbować je wydać, mógłbym po prostu wejść do środka i zapytać, czy te pieniądze są cokolwiek warte.

– To chyba nie może zaszkodzić, prawda?

– Nie powinno. Ale nasz przyjaciel Loki może jeszcze wyciąć nam dodatkowy numer. Hmm. Musimy się dowiedzieć. Poczekaj… Weź

wszystko poza jednym banknotem. Jeśli mnie aresztują, udawaj, że mnie nie znasz.

– Nie!

– Co znaczy „Nie”? Nie ma sensu, żebyśmy oboje poszli do pudła.

Milczała z upartą miną. Jak można się spierać z kobietą, która się nie odzywa?

Westchnąłem.

– Posłuchaj, kochanie. Poza tym przychodzi mi do głowy tylko praca przy zmywaniu naczyń. Może brat McNabb pozwoli nam dzisiaj przespać się w misji.

– Ja też mogę poszukać pracy. Potrafię zmywać naczynia, gotować i wiele innych rzeczy.

– Zobaczymy. Chodź ze mną, Marga. Najwyżej wsadzą nas oboje. Chyba jednak wymyśliłem sposób, aby tego uniknąć.

Zmiąłem jeden z banknotów i oderwałem jego róg. Następnie weszliśmy razem do banku. Trzymałem banknot w ręku, jak gdybym przed chwilą go znalazł. Nie podszedłem z nim do kasy, lecz do balustrady, za którą siedzieli urzędnicy bankowi.

Przechyliłem się przez balustradę i odezwałem do najbliższego z nich, na którego biurku stała tabliczka informująca, że jest zastępcą kierownika.

– Przepraszam pana bardzo! Chciałem o coś zapytać.

Wyglądał na zniecierpliwionego, ale nie okazał tego w słowach.

– Proszę bardzo. O co chodzi?

– Czy to prawdziwe pieniądze, rekwizyt teatralny czy coś innego?

Spojrzał na banknot, po czym przyjrzał mu się uważniej.

– Ciekawe. Skąd pan to ma?

– Moja żona znalazła to na chodniku. Czy to prawdziwe pieniądze?

– Oczywiście, że nie. Kto słyszał o banknocie dwudziestodolarowym? To chyba rekwizyt albo jakiś gadżet reklamowy.

– A więc nie ma żadnej wartości?

– Jest wart tyle, ile papier, na którym go wydrukowano, to wszystko. Nie można chyba nawet nazwać go falsyfikatem, ponieważ nie próbowano upodobnić go do prawdziwego banknotu. Niemniej inspektorzy Departamentu Skarbu będą chcieli go obejrzeć.

– W porządku. Może się pan nim zaopiekować?

– Tak. Będą jednak chcieli porozmawiać też z panem. Niech pan poda nazwisko i adres. I żony też, skoro to ona go znalazła.

– Niech mi pan wyda pokwitowanie.

Podałem nazwisko „pan i pani Hergensheimer” oraz adres (lecz nie nazwę) U Rona. Następnie z poważną miną przyjąłem pokwitowanie.

Gdy znaleźliśmy się na chodniku, stwierdziłem:

– No cóż, nie jest gorzej, niż się spodziewaliśmy. Pora się rozejrzeć za jakimiś brudnymi naczyniami.

– Alec…

– Słucham, kochanie?

– Mieliśmy pojechać do Kansas.

– Mieliśmy. Ale nasze pieniądze na bilety to teraz zwykła makulatura. Będę musiał zarobić nowe. Potrafię tego dokonać. Udało mi się raz, uda i drugi.

– Alec, pojedźmy do Kansas teraz.

I pół godziny później szliśmy na północ brzegiem autostrady do Tucson. Machałem ręką na wszystkie mijające nas samochody w nadziei, że któryś nas zabierze.

Skorzystaliśmy aż z trzech okazji, aby dotrzeć do Tucson. Stamtąd równie dobrze mogliśmy udać się na wschód, do El Paso, jak podążać dalej autostradą 89, która skręca na zachód, zanim skieruje się na północ, do Phoenix. Przypadek zdecydował, że pierwszy wóz, jaki złapaliśmy w Tucson, jechał na północ.

Udało się nam złapać go na postoju dla ciężarówek przy skrzyżowaniu autostrad 89 i 80. Muszę przyznać, że kierowca podwiózł nas ze względu na urodę Margrethe. Gdybym był sam, mógłbym tam tkwić wieki. Mógłbym równie dobrze powiedzieć, że cała nasza podróż zależała od urody i wdzięku Margrethe w takim samym stopniu jak od mojej gotowości do wykonywania każdej uczciwej pracy, niezależnie od tego, jak byłaby ona trudna, ciężka czy brudna.

Ciężko mi było się z tym pogodzić. Wciąż przychodziły mi do głowy ponure myśli o żonie Potifara czy historia o Zuzannie i starcach. Zauważyłem, że Margrethe zaczyna mnie drażnić, choć jej jedyną winą było to, że była jak zwykle ciepła, sympatyczna i pełna wdzięku. Niewiele brakowało, bym jej powiedział, żeby przestała się uśmiechać i spoglądać na obcych mężczyzn. Najmocniej odczułem tę pokusę tego pierwszego dnia o zachodzie słońca, gdy kierowca zatrzymał się na postoju przy autostradzie, gdzie znajdowały się restauracja i stacja benzynowa.

– Zamówię dwa piwa i smażoną polędwicę – oznajmił szofer. – Co dla ciebie, Maggie? Może krwisty befsztyk, maleńka? Tutaj dosłownie przepędzają tylko krowę przez kuchnię.

Uśmiechnęła się do niego.

– Dziękuję ci, Steve, ale nie jestem głodna.

Moja ukochana mówiła nieprawdę. Wiedziała o tym i ja o tym wiedziałem. A byłem pewien, że Steve również o tym wiedział. Naszym ostatnim posiłkiem było śniadanie w misji – jedenaście godzin i jeden

wszechświat temu. Chciałem umyć naczynia w zamian za posiłek na postoju dla ciężarówek w Tucson, lecz odmówiono mi raczej stanowczo. Wszystkim, co spożyliśmy przez cały dzień, była woda z hydrantu.

– Możesz to powiedzieć babci, Maggie. Byliśmy w drodze wiele godzin. Musisz być głodna.

Odezwałem się szybko, bo nie chciałem, aby Margrethe powtarzała nieprawdę, co zrobiła, byłem pewien, z mojego powodu.

– Chciała powiedzieć, Steve, że nie przyjmuje zaproszeń na obiad od obcych mężczyzn. To ja powinienem zapewnić jej obiad. Dziękuję ci jednak za to w jej imieniu, a oboje dziękujemy ci za podwiezienie. Jesteśmy bardzo wdzięczni.

Wciąż siedzieliśmy w kabinie jego ciężarówki, Margrethe pośrodku.

– Alec, ty myślisz, że chcę się dobrać do majtek Maggie, co?

Odpowiedziałem mu sztywnym tonem, że nic podobnego nie przyszło mi do głowy, niemniej odniosłem wrażenie, że cały czas usiłuje zrobić właśnie to. Czułem się urażony nie tylko jego prostackimi awansami, lecz również wulgarnym językiem, którym się posługiwał. Nauczyłem się już jednak, że w innych wszechświatach niekoniecznie przestrzegano zasad uprzejmego wysławiania się obowiązujących w świecie, w którym się wychowałem.

– Tak jest, właśnie tak myślisz – rzekł. – Nie urodziłem się wczoraj. Spędziłem kupę czasu w drodze i wybito mi z głowy masę złudzeń. Myślisz, że chcę przerżnąć twoją kobietę, bo każdy chłop, który ją zobaczy, próbuje się do niej dobrać. Pozwól, synku, że coś ci powiem. Nigdy nie pukam do domu, w którym nikogo nie ma. A potrafię to poznać. Maggie nie pójdzie na żadne numery, sprawdziłem to już dawno. Gratuluję ci. Nie tak łatwo znaleźć wierną kobietę. Mam rację?

– Tak, z pewnością – zgodziłem się z niechęcią.

– To nie strosz piórek. Zabierasz żonę na obiad. Podziękowałeś mi już za podwiezienie, ale dlaczego nie wyrazisz swej wdzięczności, zapraszając mnie na obiad, żebym nie musiał jeść sam?

Miałem nadzieję, że zdołam ukryć przerażenie i że szoferak nie spostrzegł mojego wahania.

– Jasne, Steve. Jesteśmy ci coś winni. Poczekaj chwilę. Załatwię, co trzeba.

Zacząłem wysiadać.

– Alec, nie kłamiesz lepiej niż Maggie.

– Słucham?

– Myślisz, że jestem ślepy? Jesteś bez grosza. Albo, jeśli niezupełnie, to masz tak mało, że nie możesz kupić mi polędwicy ani nawet zakąski.

– To prawda – odpowiedziałem z godnością. – Chciałem załatwić co trzeba z kierownikiem restauracji. Mam zamiar pozmywać naczynia w zamian za trzy obiady.

– Tak też myślałem. Gdybyście byli po prostu spłukani, podróżowalibyście greyhoundem i mieli jakiś bagaż. Gdybyście byli porządnie spłukani, ale jeszcze niezagrożeni głodem, jechalibyście autostopem, żeby oszczędzić na żarcie, ale też mielibyście jakiś bagaż: torbę albo chociaż tłumoczek. Nie macie jednak nic… a na sobie wyjściowe ubrania. Na pustyni, na miłość boską! To wyraźnie wskazuje na katastrofę.

Zachowałem milczenie.

– Posłuchaj – ciągnął – być może właściciel tego lokalu pozwoliłby ci pozmywać naczynia. Ale najpewniej zapyla u niego trójka Meksów, a tylko dzisiejszego dnia przegonił trzech następnych. Tą właśnie drogą udają się na północ *turistas*, którzy przemknęli się przez dziury w ogrodzeniu. I tak zresztą nie mogę czekać, aż pozmywasz naczynia. Muszę jeszcze dziś

dopchać się z tym pudłem kupę mil na północ. Zrobimy interes. Ty zaprosisz mnie na obiad, a ja ci pożyczę forsę.

– To kiepski interes.

– Guzik prawda. Dobry. Bankierzy mówią na to „pożyczka na podstawie zaufania”. Najlepszy interes, jaki może być. Kiedyś, za rok albo za dwadzieścia, spotkasz inną młodą parę, głodną i bez grosza. Kupisz im wtedy obiad na tych samych zasadach i w ten sposób mnie spłacisz. Kapujesz?

– Spłacę cię siedmiokrotnie!

– Jeden raz wystarczy. Potem rób to dla własnej przyjemności. Chodźmy coś zjeść.

Restauracja Rimrock Restop była porządna, lecz niezbyt elegancka, podobnie jak U Rona w innym wszechświecie. Był tam zarówno bufet, jak i stoliki. Steve zaprowadził nas do stolika i po chwili podeszła do niego stosunkowo młoda i ładna kelnerka.

– Cześć, Steve! Kopę lat!

– Cześć, malutka! Jak twój test ciążowy?

– Ujemny. A co z twoim badaniem krwi? – Uśmiechnęła się do mnie i do Margrethe. – Cześć, ludziska! Czego sobie życzycie?

Miałem dość czasu, aby się przyjrzeć menu – rzecz jasna, najpierw jego prawej stronie. Na widok cen przeżyłem szok. Wróciły one do skali obowiązującej w świecie, który znałem najlepiej. Hamburgery za dziesięć centów, kawa za pięć, obiady za siedemdziesiąt pięć do dziewięćdziesięciu – to były ceny, które rozumiałem.

Spojrzałem na nie ponownie i powiedziałem:

– Proszę supercheeseburgera, średnio wypieczonego.

– W porządku, stary. A co dla ciebie, kochanie?

Margrethe poprosiła o mniej wypieczonego supercheeseburgera.

– Steve? – zapytała kelnerka.

– To będą trzy piwa Coors i trzy smażone polędwice, jedna krwista, druga półkrwista, trzecia wypieczona. Do tego normalne śmieci. Pieczone ziemniaki, smażone obiecanki, co tam macie. Sałata. Gorące bułki. To, co zawsze. Deser później. Kawa.

– Się robi.

– Poznaj moich przyjaciół. Maggie, to jest Hazel. To jest Alec, mąż Maggie.

– Ty szczęściarzu! Cześć, Maggie, miło cię poznać. Szkoda tylko, że jesteś w takim towarzystwie. Czy Steve usiłował ci coś sprzedać?

– Nie.

– Całe szczęście. Nic od niego nie kupuj, nic nie podpisuj, o nic się z nim nie zakładaj. Ciesz się, że masz już męża. On ma żony w trzech stanach.

– W czterech – poprawił ją Steve.

– Już w czterech? Gratulacje. Maggie, damska toaleta jest za kuchnią. Mężczyźni muszą chodzić na zewnątrz.

Oddaliła się szybko, szeleszcząc sukienką.

– To fajna kobitka – stwierdził Steve. – Wiesz, co mówią o kelnerkach, zwłaszcza w takich lokalach jak ten. No więc Hazel to chyba jedyna dziwa przy tej autostradzie, która *nie bierze* za to forsy. Chodź, Alec.

Podprowadził mnie w kierunku męskiej toalety. Zanim dotarło do mnie, co powiedział, było już za późno, żeby czynić mu wymówki za to, że odezwał się w ten sposób w obecności damy. Musiałem też przyznać, że Margrethe nie poczuła się obrażona. Po prostu potraktowała to jako użyteczną informację, a nawet pochwałę Hazel. Myślę, że najwięcej

kłopotów przy zmianie światów sprawiały mi nie ekonomia, obyczaje czy technika, lecz język i związane z nim zakazy.

Gdy wróciliśmy, czekało na nas piwo, a wraz z nim odświeżona Margrethe.

Steve wzniósł toast.

– *Skoal!*

– *Skaal!* – odpowiedzieliśmy chórem.

Pociągnąłem łyk, a potem jeszcze kilka. Tego właśnie było mi trzeba po długim dniu spędzonym na pustynnej autostradzie. Mój upadek moralny na SS *Konge Knut* obejmował też ponowne zawarcie znajomości z piwem, którego nie brałem do ust od czasu studiów na politechnice, a i wtedy piłem raczej niewiele, gdyż brakowało mi pieniędzy na nałogi. Miałem wrażenie, że piwo było świetne, lecz nie tak dobre jak duński Tuborg podawany na statku. Czy wiecie, że Biblia nie zawiera ani jednego słowa potępiającego piwo? W gruncie rzeczy słowo „piwo” oznacza w Biblii fontannę lub studnię.

Steki były znakomite.

Pod wpływem piwa i dobrego jedzenia zacząłem nagle wyjaśniać Steve’owi, jak doszło do tego, że byliśmy zdani na łaskę nieznajomych… nie mówiąc mu nic istotnego.

Wtem Margrethe odezwała się:

– Alec, powiedz mu!

– Uważasz, że powinienem?

– Uważam, że ma prawo wiedzieć. Poza tym ufam mu.

– Jak chcesz. Steve, jesteśmy przybyszami z innego świata.

Nie roześmiał się ani nawet nie uśmiechnął. Wyglądał na zainteresowanego. Po chwili zapytał:

– Przylecieliście w latającym talerzu?

– Nie. Mam na myśli inny wszechświat, nie po prostu inną planetę. Wydaje się, że to ta sama planeta. Dziś rano Margrethe i ja znajdowaliśmy się w stanie zwanym Arizona, w mieście zwanym Nogales. Nagle wszystko się zmieniło. Nogales skurczyło się i nic nie było takie jak wcześniej. Arizona wygląda chyba tak samo, choć nie znam zbyt dobrze tego stanu.

– Terytorium.

– Słucham?

– Arizona to terytorium, nie stan. Jej obywatele nie zgodzili się na przyjęcie statusu stanu.

– Aha. W moim świecie było podobnie. To miało coś wspólnego z podatkami. My jednak nie przybyliśmy z mojego świata. Ani ze świata Margi… – Przerwałem. – Nie opowiadam tego zbyt dobrze. – Spojrzałem na Margrethe. – Może ty mogłabyś to wytłumaczyć?

– Nie mogę tego wytłumaczyć – odparła – bo sama tego nie rozumiem. Jednak to prawda, Steve. Pochodzę z jednego świata, Alec z innego, żyliśmy w innym, a dziś rano znajdowaliśmy się w jeszcze innym. Teraz trafiliśmy tutaj. Dlatego nie mamy pieniędzy. To znaczy mamy pieniądze, ale nie są to pieniądze z tego świata.

– Nie moglibyście omawiać tych światów po kolei? – zapytał Steve. – Straciłem orientację.

– Ona opuściła dwa światy – powiedziałem.

– Nie, kochanie, trzy. Zapomniałeś chyba o świecie góry lodowej.

– Nie, ten policzyłem… Steve, przepraszam cię. Spróbuję wymienić je po kolei. To nie jest łatwe. Dziś rano poszliśmy do lodziarni w Nogales, ponieważ chciałem kupić Margrethe lody z gorącą polewą karmelową. Usiedliśmy naprzeciwko siebie przy stoliku, tak jak teraz. Światła na skrzyżowaniu świeciły mi prosto w oczy.

– Co ci świeciło w oczy?

– Światła uliczne: czerwone, zielone i żółte. Dzięki temu zauważyłem, że znowu znaleźliśmy się w innym świecie. Tutaj nie ma świateł ulicznych, przynajmniej ja ich nie widziałem. Ruch uliczny regulują policjanci. Lecz w świecie, w którym obudziliśmy się dziś rano, kierowano ruchem za pomocą świateł ulicznych.

– Dla mnie równie dobrze mogliby używać magicznej różdżki. Co to ma wspólnego z lodami dla Maggie?

– Gdy nasz statek się rozbił i unosiliśmy się na oceanie, Margrethe zażyczyła sobie takich lodów. Dzisiaj po raz pierwszy miałem okazję zaprosić ją na te lody. Kiedy światła zniknęły, zrozumiałem, że znów przenieśliśmy się do innego świata, a to znaczyło, że moje pieniądze nie mają wartości. Nie mogłem więc kupić jej lodów. Ani obiadu. Nie miałem pieniędzy, przynajmniej takich, za jakie można coś kupić. Rozumiesz?

– Chyba zgubiłeś mnie trzy zakręty temu. Co się stało z twoimi pieniędzmi?

– Och. – Pogrzebałem w kieszeni, wyciągnąłem z niej nasze pilnie strzeżone pieniądze na bilet, wyjąłem banknot dwudziestodolarowy i wręczyłem go Steve’owi. – Nic się z nimi nie stało. Popatrz na to.

Obejrzał uważnie banknot.

– „Legalny środek płatniczy”. To brzmi w porządku. Ale co to za typek na portrecie? I kiedy zaczęli emitować banknoty dwudziestodolarowe?

– W twoim świecie zapewne nigdy. Na portrecie jest William Jennings Bryan, prezydent Stanów Zjednoczonych w latach 1913–1921.

– W szkole imienia Horace’a Manna w Akron o nim nie uczyli. Pierwszy raz o nim słyszę.

– Według mojej szkoły wybrano go w roku 1896, nie szesnaście lat później. W świecie Margrethe pan Bryan też nigdy nie był prezydentem. Hej, Margrethe, to może być twój świat!

– Dlaczego tak sądzisz, kochanie?

– Może tak, a może nie. W drodze z Nogales nie zauważyłem lądowiska ani żadnych znaków wskazujących do niego drogę. Właśnie sobie też przypomniałem, że przez cały dzień nie widziałem i nie słyszałem odrzutowca ani żadnej maszyny latającej? A ty?

– Nie, ja też nie. Nie myślałam jednak o nich. Jestem prawie pewna, że nic nie przelatywało w pobliżu – dodała.

– No widzisz! A może to mój świat? Steve, jak tu wygląda rozwój aeronautyki?

– Aero-czego?

– Maszyny latające. Odrzutowce. Aeroplany wszelkich rodzajów. I sterowce. Macie sterowce?

– Żadna z tych nazw nic mi nie mówi. Masz na myśli prawdziwe latanie w powietrzu, jak ptak?

– Tak!

– Nic z tych rzeczy. Absolutnie. A może chodzi ci o balony? Widziałem kiedyś balon.

– Nie chodzi o balony. Właściwie sterowiec to rodzaj balonu. Ale jest podłużny, nie okrągły… podobny do cygara. Napędzają go silniki, takie jak w twojej ciężarówce. Może rozwinąć sto mil na godzinę albo więcej. Zwykle lata wysoko: tysiąc albo dwa tysiące stóp nad ziemią. Wyżej, gdy przelatuje nad górami.

Po raz pierwszy Steve okazał raczej zdumienie niż zainteresowanie.

– Boże wszechmogący! Naprawdę *widziałeś* coś takiego?

– Latałem nimi. Wiele razy. Pierwszy raz, gdy miałem zaledwie dwanaście lat. Kończyłeś szkołę w Akron? W moim świecie Akron słynie jako miasto, gdzie buduje się największe, najszybsze i najlepsze sterowce.

Steve potrząsnął głową.

– Coraz lepiej. Muszę się napić piwa. To najlepsza opowieść w moim życiu. Maggie, ty też widziałaś te sterowce? Latałaś nimi?

– Nie. W moim świecie ich nie ma. Leciałam jednak maszyną latającą. *Aeroplano*. Tylko raz. Bałam się, ale to było strasznie podniecające. Chętnie spróbowałabym jeszcze raz.

– Nie wątpię. Co do mnie, myślę, że narobiłbym w portki ze strachu, ale chciałbym się czymś takim przelecieć, choćbym nawet miał zginąć. Wiecie co, zaczynam wam wierzyć. Mówicie tak przekonująco. I jeszcze te pieniądze. Jeśli to są pieniądze.

– Są – upierałem się. – To pieniądze z innego świata. Przyjrzyj się im dokładnie, Steve. To na pewno nie są banknoty z twojego świata. Nie są to również rekwizyty. Komu chciałoby się robić takie piękne sztychy na rekwizytach? Artysta, który je wykonał, robił to z myślą o prawdziwych pieniądzach… a mimo to nawet nominał jest nieprawidłowy. To zauważyłeś najpierw. Poczekaj chwilę. – Sięgnąłem do następnej kieszeni. – O! Jest! – Wyjąłem banknot dziesięciopesowy z Królestwa Meksyku.

Spaliłem większość bezużytecznych pieniędzy, które nagromadziliśmy przed trzęsieniem ziemi – napiwki Margrethe z Pancho Villa – lecz zostawiłem kilka sztuk na pamiątkę.

– Popatrz też na to. Znasz hiszpański?

– Nie za bardzo. Najwyżej teksaski. Łamany hiszpański. – Obejrzał banknot. – Wygląda na dobry.

– Przyjrzyj się dokładnie! – powiedziała Margrethe. – Tutaj jest napisane *Reino*. Czy nie powinno być *República*? A może w twoim świecie Meksyk jest królestwem?

– Jest republiką… a ja byłem jednym z tych, którzy pomogli w utrzymaniu tego stanu rzeczy. Kiedy służyłem w marines, nadzorowaliśmy tam wybory. To zdumiewające, jak garstka uzbrojonych po

zęby marines może wpłynąć na uczciwość wyborów. No, kochani, przekonaliście mnie. Meksyk nie jest królestwem i autostopowicze, którzy nie mają nawet na obiad, nie powinni mieć banknotów, z których wynika, że nim jest. Może zwariowałem, ale jestem gotów to łyknąć. Jakie jest wytłumaczenie tego wszystkiego?

– Chciałbym to wiedzieć, Steve – powiedziałem poważnym głosem. – Najprostsze wyjaśnienie jest takie, że zwariowałem i wszystko to jest złudzeniem: ty, ja, Marga, ta restauracja, ten świat. Wszystko to wytwory mojego chorego mózgu.

– Jeśli chcesz, możesz sobie być złudzeniem, ale odczep się ode mnie i od Maggie. Znasz jakieś inne wytłumaczenie?

– Hmm… to zależy. Czytujesz Biblię, Steve?

– No więc i tak, i nie. Często na trasie leżę w łóżku, nie mogąc zasnąć, i nie mam nic do czytania poza Biblią gedeonitów. Więc czasami ją czytam.

– Czy przypominasz sobie Mateusza 24,24?

– Co? A powinienem to znać?

Zacytowałem to dla niego.

– To jedna z możliwości, Steve. Te zmiany mogą być znakami zesłanymi przez diabła, aby nas sprowadzić na manowce. Z drugiej strony mogą one zapowiadać koniec świata i nadejście królestwa Chrystusa. Posłuchaj, co mówi słowo Pańskie: „Zaraz też po ucisku owych dni słońce się zaćmi i księżyc nie da swego blasku; gwiazdy zaczną padać z nieba i moce niebios zostaną wstrząśnięte. Wówczas ukaże się na niebie znak Syna Człowieczego, i wtedy będą narzekać wszystkie narody ziemi; i ujrzą Syna Człowieczego, przychodzącego na obłokach niebieskich z wielką mocą i chwałą. Pośle On swoich aniołów z trąbą o głosie potężnym, i zgromadzą Jego wybranych z czterech stron świata, od jednego krańca nieba aż do drugiego”. Do tego wszystko się sprowadza, Steve. Być może są to

fałszywe znaki ucisku przed końcem świata, a może te cuda zwiastują paruzję, nadejście Chrystusa. Tak czy inaczej, zbliżamy się do końca świata. Czy narodziłeś się ponownie?

– Hmm. Nie mogę tego potwierdzić. Zostałem ochrzczony, dawno temu, kiedy byłem za młody, aby mieć coś do powiedzenia w tej sprawie. Nie chodzę jednak do kościoła, czasem tylko, na ślub czy pogrzeb kogoś znajomego. Nawet jeśli moje grzechy zostały kiedyś zmyte, to teraz jestem już trochę przybrudzony. Nie sądzę, żebym miał szanse.

– Jestem pewien, że nie masz, Steve. Posłuchaj. Nadchodzi koniec świata. Już wkrótce wróci Chrystus. Najpilniejsze, co ty – i każdy! – musisz zrobić, to udać się ze swymi kłopotami do Jezusa, obmyć się w Jego krwi i ponownie się w Nim narodzić. Nie będzie żadnego ostrzeżenia. Trąba zabrzmi i albo znajdziesz się w ramionach Jezusa, bezpieczny i szczęśliwy na wieki, albo zostaniesz wrzucony do ognia i siarki, aby tam cierpieć całą wieczność. Musisz być przygotowany.

– Kurczę! Alec, czy myślałeś kiedykolwiek o zostaniu kaznodzieją?

– Kiedyś myślałem.

– Powinieneś zrobić więcej, niż myśleć. Powinieneś nim zostać. Powiedziałeś to tak, jakbyś wierzył w każde słowo.

– Bo wierzę.

– Tak też myślałem. W dowód uznania dla ciebie porządnie się nad tym zastanowię. Mam jednak nadzieję, że nie urządzą dnia sądu dzisiaj, bo muszę dowieźć swój ładunek na miejsce. Hazel! Przynieś mi rachunek, kochanie! Muszę się zabierać ze swoim pudłem.

Trzy steki z dodatkami kosztowały 3,90. Sześć piw dodało do rachunku sześćdziesiąt centów. Steve zapłacił złotą pięciodolarówką – monetą, której nie widziałem nigdy poza kolekcją numizmatyczną. Miałem ochotę się jej przyjrzeć, ale nie potrafiłem wymyślić żadnego powodu.

Hazel przyjrzała się monecie.

– Rzadko dostajemy tu złoto – zauważyła. – Głównie srebro i trochę papieru, choć szef nie lubi papierowych pieniędzy. Jesteś pewien, że chcesz to wydać, Steve?

– Znalazłem zaginioną kopalnię złota.

– Jak sobie życzysz. I tak nie zostanę twoją piątą żoną.

– Miałem na myśli jedynie tymczasowy związek.

– To też odpada. Nie za złotą pięciodolarówkę. – Pogrzebała w kieszeni i wyjęła srebrną półdolarówkę. – Oto twoja reszta, mój drogi.

Odepchnął ją w jej stronę.

– Co możesz zrobić za pięćdziesiąt centów?

Podniosła monetę i schowała ją do kieszeni.

– Napluć ci w oko. Dziękuję. Dobranoc wam. Fajnie, że do nas wpadliście.

Podczas mniej więcej trzydziestu pięciu mil drogi do Flagstaff Steve zadawał nam pytania na temat światów, które poznaliśmy, ale niczego nie komentował. Mówił tylko tyle, ile było potrzeba, aby zachęcić nas do rozmowy. Zainteresował go zwłaszcza mój opis sterowców, odrzutowców i *aeroplanos*, lecz również inne szczegóły techniczne go fascynowały. Telewizja wydała mu się znacznie bardziej niewiarygodna niż maszyny latające… mnie zresztą też. Jednak Margrethe zapewniła go, że widziała telewizor na własne oczy, a ją trudno posądzić o kłamstwo. Mnie można wziąć za oszusta, ale nie Margrethe. Jej głos i sposób bycia są niezwykle przekonujące.

We Flagstaff, tuż przed autostradą 66, Steve zjechał na pobocze i zatrzymał samochód, nie wyłączając silnika.

– To koniec – powiedział – jeśli uparliście się jechać na wschód. Gdybyście chcieli udać się na północ, z chęcią was podwiozę.

– Musimy się dostać do Kansas, Steve – odparłem.

– Wiem o tym. Prowadzi tam wiele dróg, ale sześćdziesiątka szóstka jest najlepsza… choć naprawdę nie mam pojęcia, po co ktokolwiek miałby jechać do Kansas. To tamto skrzyżowanie, przed nami. Trzymajcie się prawej strony i idźcie prosto przed siebie. Nie możecie go nie zauważyć. Uważajcie tylko na szyny. Kolej do Santa Fe. Gdzie macie zamiar dziś spać?

– Nie mamy żadnych planów. Będziemy iść, dopóki nie złapiemy następnej okazji. Jeśli nic nie złapiemy, a zrobimy się senni, prześpimy się przy drodze. Jest ciepło.

– Alec, posłuchaj rady wuja. Nie będziesz dziś spał na pustyni. Teraz jest ciepło, ale rano zrobi się piekielnie zimno. Może tego nie zauważyłeś, ale przez całą drogę z Phoenix wspinaliśmy się coraz wyżej. Jeśli nie załatwią cię jaszczurki gila, zrobią to pchły piaskowe. Musicie wynająć pokój.

– Steve, nie mogę tego zrobić.

– Pan o was zadba. Wierzysz w to, prawda?

– Tak – odpowiedziałem sztywno – wierzę. (Pomaga on jednak tym, którzy pomagają sobie sami).

– Pozwól mu więc na to. Maggie, zgadzasz się z Alekiem co do tego całego końca świata?

– Z pewnością nie mogę się nie zgodzić!

– Hmm. Alec, naprawdę się nad tym zastanowię… a zacznę jeszcze dziś od czytania Biblii gedeonitów. Na tę imprezę nie chciałbym się spóźnić. Idźcie wzdłuż autostrady, szukając miejsca z wywieszką „pokoje do wynajęcia”. Nie „motel” czy „gospoda”, ani słowa o materacach Simmonsa lub łazienkach do własnego użytku, po prostu „pokoje”. Jeśli zażądają

więcej niż dwa dolary, odejdźcie. Targujcie się, a może dostaniecie pokój za dolara.

Nie słuchałem go uważnie, ponieważ byłem coraz bardziej zły. Jak się mieliśmy targować? Wiedział, że nie mam ani grosza. Czyżby mi nie uwierzył?

– A więc do widzenia – ciągnął Steve. – Alec, czy mógłbyś otworzyć drzwi? Nie chcę wysiadać z samochodu.

– Już się robi. – Otworzyłem drzwi i wysiadłem, po czym przypomniałem sobie o dobrych manierach. – Steve, pragnę ci podziękować za wszystko. Obiad, piwo i podwiezienie. Niech Bóg nad tobą czuwa i ma cię w swojej opiece.

– Dziękuję. Poczekaj chwilę. – Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej wizytówkę. – To moja wizytówka. Właściwie to adres córki. Kiedy dotrzesz do Kansas, wyślij pocztówkę, żebym wiedział, jak się wam powiodło.

– Zrobię to.

Wziąłem wizytówkę i wyciągnąłem rękę, aby pomóc wysiąść Margrethe.

Steve powstrzymał ją.

– Maggie! Nie pocałujesz starego Steve’a na pożegnanie?

– No jasne, Steve!

Obróciła się na siedzeniu, kierując twarzą w jego stronę.

– To dobrze. Alec, lepiej się odwróć.

Nie zrobiłem tego, lecz próbowałem nie zwracać na to uwagi, choć jednocześnie spoglądałem na nich kątem oka.

Gdyby potrwało to pół sekundy dłużej, wyciągnąłbym ją z tej kabiny własnoręcznie. Trzeba jednak przyznać, że Steve nie zmuszał Margrethe do niczego. Całowała go z własnej woli, i to tak, jak żadna zamężna kobieta nie powinna całować obcego mężczyzny.

Wytrzymałem to.

Wreszcie się skończyło. Pomogłem jej wysiąść i zatrzasnąłem za nią drzwi. Steve zawołał: „Pa, pa, dzieciaki!”, i jego ciężarówka ruszyła w drogę. Nabierając prędkości, zatrąbił jeszcze dwukrotnie.

– Alec, jesteś na mnie zły – stwierdziła Margrethe.

– Nie. Zaskoczony. Nawet zszokowany. Rozczarowany. Zasmucony.

– Odczep się ode mnie!

– Co?

– Steve podwiózł nas dwieście pięćdziesiąt mil. Kupił nam porządny obiad i nie wyśmiał nas, gdy opowiedzieliśmy mu niedorzeczną historię, a ty kręcisz nosem i robisz świętoszkowate miny, ponieważ pocałowałam go, żeby okazać mu, że doceniam to, co zrobił dla mnie i dla mojego męża. Nie pozwalam ci na to, słyszysz?!

– Chciałem tylko…

– Przestań! Nie chcę żadnych wyjaśnień. Jesteś w błędzie! Teraz to ja jestem zła i nie uspokoję się, dopóki nie przyznasz mi racji! Przemyśl to dobrze!

Odwróciła się i pomaszerowała prędko w stronę skrzyżowania autostrad 66 i 89.

Popędziłem za nią.

– Margrethe!

Nie odpowiedziała, tylko przyśpieszyła kroku.

– Margrethe!

Wbiła wzrok przed siebie.

– Margrethe, kochanie! Nie miałem racji. Przepraszam cię.

Zatrzymała się nagle, odwróciła i zarzuciła mi ramiona na szyję. Zaczęła płakać.

– Och, Alec! Tak cię kocham, choć taki z ciebie ćwok!

Nie odpowiedziałem od razu, gdyż usta miałem zajęte całowaniem. W końcu rzekłem:

– Też cię kocham. Co to jest ćwok?

– To właśnie ty.

– Hmm… w takim razie jestem twoim ćwokiem i musisz ze mną zostać. Nie odchodź już ode mnie.

– Nie zrobię tego. Już nigdy.

Wróciliśmy do tego, co robiliśmy przed chwilą.

Ostatecznie odsunąłem się od niej na tyle, aby móc szepnąć:

– Nie mamy gdzie się przespać, a nigdy tego nie potrzebowałem tak jak teraz.

– Alec, sprawdź swoje kieszenie.

– Co?

– Kiedy Steve mnie całował, szepnął mi, abym ci kazała sprawdzić kieszenie, i powiedział: „Pan o was zadba”.

Znalazłem ją w lewej kieszeni. Złota dziesięciodolarówka. Nigdy przedtem nie miałem w ręku takiej monety. Była ciepła i ciężka.

Rozdział XVI

„»Czyż u Boga człowiek jest niewinny,
Czy u Stwórcy śmiertelnik jest czysty«”?

Księga Hioba 4,17

„Wskazania dajcie – zamilknę,
i wyjaśnijcie, w czym błądzę”.

Księga Hioba 6,4

W drogerii położonej w centrum Flagstaff zamieniłem tę dziesięciodolarówkę na dziewięć srebrnych dolarów, dziewięćdziesiąt pięć centów oraz kostkę mydła Ivory, na którą namówiła mnie Margrethe.

– Alec, drogeria to nie bank. Mogą nie chcieć rozmienić ci pieniędzy, jeśli nic nie kupisz. Potrzebne nam mydło. Muszę uprać naszą bieliznę, musimy się też wykąpać… a podejrzewam, że na takiej taniej kwaterze, jaką polecał nam Steve, może nie być ani kawałeczka mydła.

Miała całkowitą rację. Sprzedawca uniósł brwi na widok dziesięciodolarówki, lecz nic nie powiedział. Wziął monetę, uderzył nią o szklaną powierzchnię lady, aby posłuchać dźwięku, następnie sięgnął za kasę, wyciągnął małą buteleczkę i poddał monetę próbie za pomocą kwasu.

Powstrzymałem się od komentarza. W milczeniu odliczył dziewięć srebrnych dolarów, pół- i ćwierćdolarówkę oraz dwie dziesięciocentówki. Zamiast schować je natychmiast do kieszeni, poddałem wszystkie kolejno

temu samemu testowi, korzystając z jego lady. Następnie oddałem mu jedną z dolarowych monet.

On też tego nie skomentował – słyszał głuchy odgłos wydany przez tę rzekomo srebrną monetę. Odjął dolara od stanu w kasie, wręczył mi następną monetę, która brzęczała jak dzwon, schował fałszywą gdzieś na dnie szuflady i odwrócił się do mnie plecami.

Na granicy miasta, w połowie drogi do Winony, znaleźliśmy lokal na tyle nędzny, byśmy mogli sobie pozwolić na nocleg. Margrethe zaczęła się targować po hiszpańsku. Gospodarz zażądał pięciu dolarów. Margrethe wezwała Najświętszą Panienkę i troje innych świętych na świadków tego, co chcą z nią zrobić, po czym zaoferowała pięć peso.

Nie rozumiałem tego manewru. Wiedziałem, że nie ma żadnych meksykańskich pieniędzy. Nie zamierzała chyba zaoferować mu tych „królewskich” peso, które wciąż miałem?

Nie dowiedziałem się tego jednak, ponieważ gospodarz zaproponował w odpowiedzi trzy dolary, i na tym stoi, señora, Bóg mi świadkiem…

Ostatecznie ustalili cenę na półtora dolara. Następnie Marga wypożyczyła czystą pościel i koc za kolejne pięćdziesiąt centów i zapłaciła za wszystko dwoma srebrnymi dolarami, chcąc jeszcze czystych poduszek i poszewek. Dostała je, lecz *patrón* zażądał dopłaty. Marga wręczyła mu dziesięciocentówkę. Mężczyzna ukłonił się głęboko i zapewnił nas, że jego dom należy do nas.

Następnego ranka o siódmej wyruszyliśmy w drogę wypoczęci, czyści, zadowoleni i głodni. Pół godziny później znaleźliśmy się w Winonie, jeszcze bardziej głodni. Wrzuciliśmy coś na ruszt w barku zainstalowanym w przyczepie – cała sterta placków dziesięć centów, kawa pięć, przy czym drugi kubek za darmo, masło i syrop bez ograniczeń.

Margrethe tak się opchała plackami, że nie zdołała zjeść wszystkiego. Zamieniliśmy więc talerze i dokończyłem to, co zostawiła.

Wywieszka na ścianie głosiła: PŁACIĆ GOTÓWKĄ PRZY ODBIORZE. BEZ NAPIWKÓW. CZY JESTEŚCIE GOTOWI NA DZIEŃ SĄDU? Kucharz, który był też kelnerem (i, jak sądzę, właścicielem), miał pod ręką egzemplarz „Strażnicy".

– Bracie, czy masz jakieś wieści o tym, kiedy oczekiwać dnia sądu? – zapytałem go.

– Nie żartuj sobie z tego. Wieczność w czeluści piekielnej to bardzo długo.

– Nie żartuję – odpowiedziałem. – Sądząc ze znaków, myślę, że jesteśmy już w siedmioletnim okresie zapowiedzianym w jedenastym rozdziale Apokalipsy, wersety drugi i trzeci. Nie wiem jednak, jak daleko się w nim pogrążyliśmy.

– Jesteśmy już w jego drugiej połowie – oświadczył. – Dwaj świadkowie prorokują i pojawił się Antychryst. Czy jesteś w stanie łaski? Jeśli nie, lepiej załatw to migiem.

– Ty także bądź gotów – odparłem. – Nie znasz dnia ani godziny, gdy nadejdzie Syn Człowieczy.

– Lepiej w to uwierz!

– Wierzę. Dziękuję za pyszne śniadanie.

– To nieistotne. Niech Pan ma cię w Swojej opiece.

– Dziękuję. Niech cię błogosławi i czuwa nad tobą.

Wyszliśmy i skierowaliśmy się ponownie na wschód.

– Jak się czuje moje kochanie?

– Najedzona i szczęśliwa.

– Ja też. Szczególnie uszczęśliwiło mnie coś, co zrobiłaś w nocy.

– Mnie też. Jak zawsze, mój kochany. Za każdym razem.

– Hmm. To fakt. Mnie też zawsze. Chodziło mi jednak o to, co powiedziałaś przedtem, gdy Steve zapytał, czy zgadzasz się ze mną co do dnia sądu, i odpowiedziałaś, że tak. Marga, nie potrafię ci wyjaśnić, jak bardzo mnie martwiło, że nie chciałaś powrócić w ramiona Jezusa. Dzień sądu się zbliża. Nie znamy nawet godziny. Byłem zmartwiony. Nadal się martwię. Najwyraźniej jednak zaczynasz ponownie dostrzegać światło, choć nie rozmawiałaś jeszcze o tym ze mną.

Przeszliśmy chyba ze dwadzieścia kroków, a Margrethe nie odzywała się. W końcu powiedziała cicho:

– Ukochany, zażegnałabym twoje obawy, gdybym mogła. Niestety to niemożliwe.

– Słucham? Nie rozumiem. Wytłumacz mi to, proszę.

– Nie powiedziałam Steve’owi, że się z tobą zgadzam, lecz że nie mogę się nie zgodzić.

– Ależ to jest to samo!

– Nie, kochanie. Nie powiedziałam mu, choć to szczera prawda, że *nigdy* nie będę publicznie spierać się ze swoim mężem o cokolwiek. Jeśli się z tobą nie zgadzam, powiem ci to na osobności. Nie przy Stevie czy kimkolwiek innym.

Zastanawiałem się nad tym chwilę, powstrzymując się od kilku nasuwających się komentarzy. Na koniec powiedziałem:

– Dziękuję ci, Margrethe.

– Kochanie, robię to w takim samym stopniu dla zachowania swojej godności jak twojej. Całe życie brzydziłam się widokiem męża i żony niezgadzających się ze sobą – spierających się – kłócących publicznie. Jeśli powiesz, że słońce pokryte jest małymi, jasnozielonymi szczeniakami, nie zaprzeczę temu publicznie.

– Ależ tak właśnie jest!

– Słucham? – Zatrzymała się i spojrzała na mnie zaskoczona.

– Moja droga Margo. Masz zadowalającą odpowiedź na każde pytanie. Jeśli kiedykolwiek zobaczę jasnozielone szczeniaki na powierzchni słońca, będę pamiętał, by powiadomić cię o tym na osobności, żeby nie zmuszać cię do podjęcia kłopotliwej decyzji przy świadkach. Kocham cię. Wyczytałem zbyt wiele z tego, co powiedziałaś Steve'owi, ponieważ naprawdę się o ciebie martwię.

Wzięła mnie za rękę i przez pewien czas szliśmy w milczeniu.

– Alec?

– Słucham, kochanie.

– Nie chcę cię martwić. Jeśli nie mam racji i pójdziesz do chrześcijańskiego nieba, chciałabym pójść tam z tobą. Jeśli oznacza to powrót do wiary w Jezusa – a wydaje się, że tak jest – to tego właśnie pragnę. Spróbuję tego dokonać, nie mogę jednak nic obiecać, gdyż wiara nie zależy tylko od woli. Niemniej spróbuję.

Zatrzymałem się, aby ją pocałować, co rozbawiło ludzi w przejeżdżającym samochodzie.

– Kochanie, nie mogę cię prosić o więcej. Czy pomodlimy się razem?

– Alec, wolałabym nie. Pozwól mi pomodlić się samej. Na pewno to zrobię. Powiem ci, gdy nadejdzie czas na wspólną modlitwę.

Po chwili para ranczerów zatrzymała się, aby nas podwieźć. Wysadzili nas w Winslow, nie zadając żadnych pytań. My również nie udzielaliśmy im żadnych informacji, co było swojego rodzaju rekordem.

Winslow jest znacznie większe niż Winona. Jak na warunki pustynne to już porządne miasto – liczy chyba z siedem tysięcy mieszkańców. Mogliśmy tam zrobić coś, co pośrednio sugerował nam Steve i co omówiliśmy poprzedniej nocy.

Steve miał rację. Nie byliśmy odpowiednio ubrani na pustynię. Nie mieliśmy jednak wyboru, gdyż w takim stroju zaskoczyła nas zmiana światów. Ale nie widziałem na pustyni nikogo, kto miałby na sobie garnitur. Nie widziałem też białych kobiet ubranych w suknie. Meksykanki i Indianki nosiły spódnice, lecz kobiety anglosaskie ubrane były w spodnie lub szorty – dżinsy, luźne spodnie, spodnie do jazdy konnej czy coś w tym rodzaju. Rzadko spódnice, nigdy suknie…

Ponadto nasze stroje nie były odpowiednie nawet do miasta. Wyglądały niemodnie, jak sprzed stu lat. Nie pytajcie mnie dlaczego. Nie znam się na modzie, zwłaszcza kobiecej. Mój garnitur był elegancki i drogi, gdy miał go na sobie mój *patrón*: don Jaime w Mazatlánie w innym świecie… lecz mając go na grzbiecie na pustyni w Arizonie w tym świecie, wyglądałem jak łachmyta.

W Winslow znaleźliśmy sklep, jakiego nam było trzeba. „UŻYWANE CIUCHY – milion okazji – tylko za gotówkę, bez gwarancji, bez zwrotów. Wszystkie używane ubrania sterylizowane przed sprzedażą”. Powyżej umieszczono ten sam napis w języku hiszpańskim.

Po godzinie, długim przebieraniu się i intensywnym targowaniu przez Margrethe zaopatrzyliśmy się w stroje odpowiednie na pustynię. Ja miałem na sobie spodnie khaki i taką samą koszulę oraz słomiany kapelusz w lekko kowbojskim stylu. Margrethe była ubrana bardziej skąpo – szorty miała równocześnie krótkie i obcisłe, aż do nieprzyzwoitości, natomiast górna część jej stroju składała się z czegoś, co było mniej niż gorsetem, a nieco więcej niż biustonoszem. Nazywało się to „bluzka bez pleców”.

Gdy ujrzałem Margę tak ubraną, szepnąłem do niej:

– Z pewnością nie pozwolę ci pokazać się publicznie w tym bezwstydnym kostiumie.

Odpowiedziała mi:

– Kochanie, nie zachowuj się od rana jak ćwok. Jest za gorąco.

– Nie żartuję. Zabraniam ci to kupić!

– Alec, nie przypominam sobie, żebym cię prosiła o pozwolenie.

– Sprzeciwiasz mi się?

Westchnęła.

– Być może. Nie chcę tego robić. Czy kupiłeś maszynkę do golenia?

– Wiesz, że tak!

– Mam dla ciebie majtki i skarpetki. Potrzebujesz czegoś jeszcze?

– Nie. Margrethe, przestań zmieniać temat.

– Kochanie, powiedziałam już, że nie zamierzam się z tobą kłócić w miejscu publicznym. W tym kostiumie jest też spódnica. Chciałam ją przymierzyć. Pozwól mi to zrobić i zapłacić rachunek. Potem wyjdziemy i porozmawiamy na osobności.

Kipiąc ze złości, zrobiłem to, co chciała. Muszę zresztą przyznać, że dzięki jej handlowym zdolnościom wyszliśmy ze sklepu z większą ilością pieniędzy, niż weszliśmy. Jak to możliwe? Garnitur mojego *patrona* don Jaimego, który na mnie wyglądał tak śmiesznie, na właścicielu sklepu leżał jak ulał. W gruncie rzeczy właściciel był nawet podobny do don Jaimego. Zgodził się dać mi w zamian wszystko, co mi było potrzebne – koszulę khaki, spodnie i słomiany kapelusz. Margrethe zażądała jednak dopłaty. Domagała się pięciu dolarów, otrzymała dwa.

Gdy zapłaciła rachunek, dowiedziałem się, że użyła podobnej magii, pozbywając się swego niepotrzebnego już kostiumu. Wkroczyliśmy do sklepu, mając 7,55 dolara, wyszliśmy z 8,80… oraz ubraniami na pustynię dla nas dwojga, grzebieniem (do wspólnego użytku), szczoteczką do zębów (podobnie), plecakiem, maszynką do golenia oraz minimum bielizny i skarpetek. Ubrania były używane, lecz podobno wysterylizowane.

Nie jestem biegły w taktyce, zwłaszcza w stosunkach z kobietami. Wyszliśmy na otwartą przestrzeń, gdzie mogliśmy porozmawiać swobodnie, i nawet nie zdawałem sobie sprawy, że już zostałem pokonany. Nie zatrzymując się ani na chwilę, Margrethe oświadczyła:

– Słucham, kochanie. Chciałeś o czymś porozmawiać.

– Hmm. Jak włożysz spódnicę, ten kostium jest do przyjęcia. Ostatecznie. Nie wolno ci jednak pokazywać się publicznie w tych szortach. Jasne?

– Mam zamiar nosić same szorty, kiedy będzie upalnie. Tak jak teraz.

– Margrethe, powiedziałem ci…

Rozpięła spódnicę i zaczęła ją zdejmować.

– Znowu mi się sprzeciwiasz!

Złożyła ją w kostkę i spytała:

– Czy mogę ją schować do plecaka?

– Jesteś świadomie nieposłuszna!

– Ależ, Alec, nie muszę być ci posłuszna ani ty mnie.

– Ale… posłuchaj, kochanie, bądź rozsądna. Wiesz, że zwykle nie wydaję ci rozkazów. Jednak żona musi być posłuszna mężowi. Czy jesteś moją żoną?

– Powiedziałeś mi, że nią jestem, więc pozostanę nią, dopóki mi nie powiesz, że jest inaczej.

– A więc twoim obowiązkiem jest mnie słuchać.

– Nie, Alec.

– Przecież to podstawowy obowiązek żony!

– Nie zgadzam się z tym.

– Ależ… to szaleństwo! Chcesz mnie opuścić?

– Nie. Chyba, żebyś się ze mną rozwiódł.

– Nie uznaję rozwodów. Rozwody są złe i sprzeczne z Pismem.

Nie odpowiedziała.

– Margrethe, *proszę cię*, włóż spódnicę!

– Niemal mnie przekonałeś, najdroższy – odpowiedziała cicho. – Czy potrafisz mi wytłumaczyć, dlaczego tego pragniesz?

– Jak to dlaczego? Te szorty, noszone bez spódnicy, są nieprzyzwoite.

– Nie rozumiem, w jaki sposób fragment stroju może być nieprzyzwoity, Alec. Tylko osoba może się taka okazać. Czy chcesz powiedzieć, że jestem nieprzyzwoita?

– Hmm… przekręcasz moje słowa. Gdy masz na sobie te szorty – bez spódnicy – w miejscu publicznym, odsłaniasz tak wiele ciała, że jest to nieprzyzwoite. W tej chwili idziesz szosą z całkowicie odsłoniętymi nogami… Ci ludzie w samochodzie, który minął nas przed chwilą, gapili się na ciebie!

– Fajnie. Mam nadzieję, że się im podobało.

– *Co?*

– Powiedziałeś mi, że jestem piękna. Możliwe jednak, że twój sąd nie jest miarodajny. Mam nadzieję, że mój widok sprawia przyjemność również innym ludziom.

– Bądź poważna, Margrethe. Mówimy o twoich nagich członkach. Nagich.

– Powiedziałeś, że moje nogi są nagie. To prawda. Wolę, żeby takie były, kiedy jest ciepło. Dlaczego tak się krzywisz, kochanie? Czy mam brzydkie nogi?

(„Cała piękna jesteś, przyjaciółko moja, i nie ma w tobie skazy”).

– Masz piękne nogi, kochanie. Powtarzałem ci to wielokrotnie. Nie chcę jednak dzielić się z innymi twoim pięknem.

– Nie ubędzie go od tego. Wróćmy jednak do tematu, Alec. Tłumaczyłeś mi, że moje nogi są nieprzyzwoite. Nie wiem, w jaki sposób zamierzasz

mnie o tym przekonać. Sądzę, że to niemożliwe.

– Ależ, Margrethe, nagość jest nieprzyzwoita z samej swojej natury. Prowokuje lubieżne myśli.

– Naprawdę? Czy widok moich nóg powoduje u ciebie erekcję?

– *Margrethe!*

– Alec, nie bądź ćwokiem. Zadałam proste pytanie.

– Nieodpowiednie pytanie.

Westchnęła.

– Nie rozumiem, dlaczego to pytanie ma być nieodpowiednie w rozmowie pomiędzy mężem a żoną. Nigdy nie przyznam, że moje nogi są nieprzyzwoite. Albo nagość. Bywałam już naga w obliczu setek ludzi…

– Margrethe!

Wyglądała na zaskoczoną.

– Musisz o tym wiedzieć.

– Nie wiedziałem i słysząc to, przeżyłem szok.

– Doprawdy? Wiesz przecież, jak dobrze pływam.

– Co to ma do rzeczy? Przecież ja też dobrze pływam. Nie robię tego jednak nago. Mam kostium kąpielowy. (Przypomniałem sobie nagle basen na *Konge Knut*. Rzecz jasna moja ukochana była przyzwyczajona do pływania nago. Zostałem wyprowadzony w pole).

– Och, prawda. Widziałam takie kostiumy w Mazatlánie. I w Hiszpanii. Lecz, kochanie, znów zboczyliśmy z tematu. Problem jest szerszy niż to, czy gołe nogi są nieprzyzwoite albo czy powinnam była pocałować Steve’a na pożegnanie, a nawet czy powinnam być ci posłuszna. Pragniesz uczynić ze mnie coś, czym nie jestem. Chcę być twoją żoną przez wiele lat, przez całe życie… mam też nadzieję pójść z tobą do nieba, jeśli takie jest twoje przeznaczenie. Lecz, kochanie, nie jestem dzieciakiem ani

niewolnicą. Chcę żyć z tobą w zgodzie, gdyż jestem twoją żoną, ale nie będę wykonywać twoich poleceń tylko z tego powodu.

Chciałbym móc powiedzieć, że olśniłem ją swoją błyskotliwą ripostą. Mógłbym to powiedzieć, lecz nie byłaby to prawda. Starałem się właśnie wymyślić jakąś odpowiedź, gdy samochód, który nas minął, zwolnił nagle. Usłyszałem gwizd, jakim niektórzy zaczepiają piękne kobiety. Pojazd zatrzymał się i cofnął.

– Podwieźć was? – usłyszeliśmy.

– Jasne! – odkrzyknęła Margrethe i popędziła w stronę pojazdu. Byłem zmuszony uczynić to samo.

Była to bagażówka. Za kierownicą siedziała kobieta, obok niej mężczyzna. Oboje byli w moim wieku lub nieco starsi. Mężczyzna sięgnął za siebie i otworzył drzwi.

– Właźcie!

Podsadziłem Margrethe, wsiadłem za nią i zatrzasnąłem drzwi.

– Zmieścicie się? – zapytał mężczyzna. – Jeśli nie, zwalcie te śmieci na podłogę. Nigdy nie siadamy na tylnym siedzeniu, więc to wszystko się tam gromadzi. Jesteśmy Clyde i Bessie Grubb.

– On jest Grubb. Ja jestem po prostu dobrze odżywiona – dodała kobieta.

– Powinniście się teraz roześmiać. Ja już to słyszałem.

Był rzeczywiście gruby. Jeden z tych muskularnych mężczyzn o solidnych kościach, którzy w wieku szkolnym są atletycznie zbudowani, a potem przybierają na wadze. Jego żona opisała ich poprawnie. Sama nie była gruba, lecz miała lekką nadwagę.

– Bardzo nam miło. Jesteśmy Alec i Margrethe Graham. Dziękujemy wam, żeście się zatrzymali.

– Te uprzejmości są zbyteczne, Alec – powiedziała kobieta. – Dokąd jedziecie?

– Bessie, proszę cię, uważaj na drogę.

– Clyde, jeśli nie odpowiada ci sposób, w jaki prowadzę tego grata, możemy się przesiąść.

– Nie, nie. Radzisz sobie świetnie.

– Więc się przymknij albo skorzystam z reguły K. Tak, Alec?

– Jedziemy do Kansas.

– O kurczę! Nie wybieramy się tak daleko. W Chambers skręcamy na północ. To ledwie około dziewięćdziesięciu mil. No ale podwieziemy was przynajmniej tyle. Co macie zamiar robić w Kansas?

(Co miałem zamiar robić w Kansas? Otworzyć lodziarnię… przywieść moją ukochaną żonę z powrotem do owczarni… przygotować się do dnia sądu).

– Zmywać naczynia.

– Mój mąż jest zbyt skromny – powiedziała cicho Margrethe. – Mamy zamiar otworzyć małą restaurację. Jednak na naszej drodze do tego celu z pewnością znajdzie się zmywanie naczyń. Lub jakakolwiek inna praca.

Wyjaśniłem im, co się z nami stało, zmieniając niektóre fakty i pomijając to, w co nie mogliby uwierzyć.

– Restauracja została zniszczona, nasi meksykańscy wspólnicy zginęli. Straciliśmy wszystko. Wspomniałem o zmywaniu naczyń, ponieważ jest to jedyna praca, którą można dostać niemal zawsze. Mogę się jednak podjąć prawie wszystkiego.

– Alec, tak podchodząc do sprawy, staniesz na nogi szybciej, niż sobie wyobrażasz – odparł Clyde.

– Straciliśmy trochę pieniędzy, to wszystko. Nie jesteśmy zbyt starzy, aby zacząć od nowa. (Mój Boże, czy wstrzymasz się z dniem sądu na tyle, abym zdążył tego dokonać? Bądź wola Twoja, amen).

Margrethe uścisnęła mi rękę. Clyde zauważył to. Obrócił się na siedzeniu, kierując twarzą w stronę żony oraz naszą.

– Uda ci się – stwierdził. – Z taką żoną jak twoja musi ci się udać.

– Mam nadzieję. Dziękuję.

Wiedziałem, po co zwrócił się w naszą stronę. Aby się pogapić na Margrethe. Chciałem mu powiedzieć, żeby trzymał gały przy sobie, lecz w tej sytuacji nie mogłem tego zrobić. Poza tym było oczywiste, że państwo Grubb nie widzieli niczego złego w stroju mojej ukochanej. Pani Grubb była ubrana tak samo, z tym, że skąpiej. Muszę przyznać, że choć nie była tak olśniewającą pięknością jak Margrethe, była całkiem niebrzydka.

Na Pustyni Pstrej zatrzymaliśmy się i wysiedliśmy, aby popatrzeć na to niewiarygodne piękno natury. Widziałem już ją kiedyś, ale Margrethe była tu po raz pierwszy. Z wrażenia po prostu ją zatkało. Clyde powiedział mi, że zawsze się tu zatrzymują, choć przejeżdżali już tędy setki razy.

Przepraszam: Widziałem już ją kiedyś, ale w innym świecie. Pustynia Pstra była dowodem na to, co podejrzewałem. To nie Matka Ziemia podlegała tym szaleńczym zmianom, lecz jedynie człowiek i jego dzieła, a nawet one tylko w części. Ale jedyne nasuwające się wytłumaczenie tego faktu prowadziło prosto do paranoi. W żadnym razie nie wolno było się jej poddać. Musiałem się opiekować Margrethe.

Clyde kupił nam hot dogi i coś do picia. Nie zgodził się, żebym za to zapłacił. Gdy wróciliśmy do samochodu, zasiadł za kierownicą i zaprosił Margrethe na przednie siedzenie. Nie byłem z tego zadowolony, ale nie mogłem tego okazać, gdyż Bessie natychmiast powiedziała:

– Biedny Alec! Posadzili go ze starą babą! Nie przejmuj się, kochanie. Jeszcze tylko dwadzieścia trzy mile do zakrętu do Chambers… lub

niespełna dwadzieścia trzy minuty, biorąc pod uwagę, w jaki sposób Clyde prowadzi.

Tym razem Clyde'owi zajęło to trzydzieści minut. Zaczekał jednak, aby się upewnić, że złapaliśmy okazję do Gallup.

Dotarliśmy tam na długo przed zachodem słońca. A choć mieliśmy w kieszeni 8,80 dolara, pomyślałem, że czas się rozejrzeć za brudnymi naczyniami. W Gallup jest niemal tyle samo moteli i gospód, co Indian, i niemal połowa tych przybytków posiada restauracje. Sprawdziłem trzynaście z nich, zanim natrafiłem na taką, gdzie potrzebowano moich usług.

Czternaście dni później znaleźliśmy się w Oklahoma City. Jeśli wydaje się wam, że to długo, macie rację. Posuwaliśmy się naprzód w tempie niespełna pięćdziesięciu mil dziennie. Ale w tym czasie tyle się wydarzyło. Czułem, że moja paranoja się pogłębia.

Przeskakiwaliśmy z jednego świata do drugiego raz za razem, i to zawsze w takim momencie, w którym wywoływało to największe komplikacje.

Czy widzieliście kiedyś, jak kot bawi się z myszą? Mysz nie ma żadnych szans. Jeśli ma choć tyle rozumu, ile dobry Bóg dał myszom, wie o tym dobrze. A jednak nie poddaje się… i kot ponownie ją chwyta, zawsze.

Byłem taką myszą. Albo też oboje byliśmy myszami, ponieważ Margrethe była ze mną… i była to jedyna rzecz, która ratowała mnie przed załamaniem. Nie skarżyła się ani nie poddawała, więc ja również nie mogłem się poddać.

I tak doszedłem do wniosku, że choć papierowe pieniądze nie mają po zmianie światów żadnej wartości, złote i srebrne monety powinny zachować przynajmniej wartość kruszcu. Zbierałem je więc wszędzie, gdzie tylko mogłem, oszczędzałem i odmawiałem przyjmowania reszty w banknotach.

Bystry z ciebie chłopak, Alec. Naprawdę masz łeb.

Trzeciego dnia pobytu w Gallup przespaliśmy się z Margą w pokoju, za który zapłaciliśmy zmywaniem naczyń (ja) i sprzątaniem (Margrethe). Nie mieliśmy zamiaru spać. Chcieliśmy tylko odpocząć trochę przed posiłkiem. To był długi, ciężki dzień. Położyliśmy się na kapie na łóżku.

Zdążyłem się ledwie trochę odprężyć, gdy poczułem, że coś twardego ciśnie mnie w plecy. Podniosłem się lekko i stwierdziłem, że wszystkie zaoszczędzone dolary wypadły mi z kieszeni, gdy przewróciłem się na drugi bok. Wyjąłem więc rękę spod głowy Margi, sięgnąłem po pieniądze, przeliczyłem je, dodałem świeżo zdobyte drobne i położyłem wszystkie na stoliku przy łóżku w odległości stopy od mojej głowy. Następnie wróciłem do pozycji horyzontalnej, wsunąłem rękę pod głowę Margi i zasnąłem.

Gdy się obudziłem, panowały całkowite ciemności. Senność opuściła mnie natychmiast. Margrethe wciąż pochrapywała cicho, leżąc na moim ramieniu. Potrząsnąłem nią.

– Kochanie. Obudź się!

– Chrrrf.

– Jest już późno. Spóźnimy się na kolację.

Obudziła się natychmiast.

– Mógłbyś włączyć lampę?

Przesunąłem ręką po stoliku i omal nie wypadłem z łóżka.

– Nie mogę znaleźć tego paskudztwa. Jest ciemno jak w stosie węgla. Poczekaj sekundę, zapalę górne światło.

Wstałem ostrożnie, skierowałem się w stronę drzwi, potknąłem się o krzesło, nie znalazłem drzwi, poszukałem ich po omacku i wreszcie znalazłem. Pomacałem ręką i natrafiłem na włącznik. Światło na suficie zapaliło się.

Przez długą, straszną chwilę żadne z nas się nie odzywało. Potem, całkowicie bezcelowo, stwierdziłem:

– Znowu to zrobili.

Pokój cechował się charakterystyczną anonimowością wszystkich kwater w tanich motelach. Niemniej różnił się w szczegółach od tego, w którym położyliśmy się spać.

Nasze z trudem zdobyte srebrne dolary zniknęły. Podobnie jak wszystko poza ubraniami, które mieliśmy na sobie – plecak, czyste skarpetki, zapasowa bielizna, grzebień, maszynka do golenia, dosłownie wszystko. Sprawdziłem to, aby się upewnić.

– No i co teraz, Marga?

– Cokolwiek pan rozkaże.

– Hmm. Nie sądzę, żeby poznali mnie w kuchni. Może jednak pozwolą mi pozmywać naczynia.

– Mogą też potrzebować kelnerki.

Drzwi zamykały się na zatrzask, a ja nie miałem klucza, toteż zostawiłem je lekko uchylone. Prowadziły bezpośrednio na zewnątrz. Po drugiej stronie parkingu na rogu budynku znajdował się pokój z podświetlonym napisem REJESTRACJA. Wszystko wyglądało normalnie, z tym, że różniło się nieco od motelu, w którym uprzednio pracowaliśmy. Tam rejestracja znajdowała się od frontu budynku centralnego, którego resztę stanowiła kawiarnia.

Tak jest, spóźniliśmy się na kolację.

I na śniadanie. W tym motelu nie było kawiarni.

– No więc, Marga?

– W którą stronę do Kansas?

– Chyba w tę. Możemy zrobić dwie rzeczy: wrócić do pokoju, położyć się jak należy do łóżka i przespać do rana albo też wyjść na autostradę

i spróbować złapać okazję. Po ciemku.

– Alec, ja widzę tylko *jedno* wyjście. Jeśli wrócimy do środka, obudzimy się rano głodniejsi, ale nie w lepszej sytuacji. Może w gorszej, jeśli złapią nas śpiących w pokoju, za który nie zapłaciliśmy…

– Umyłem całą kupę naczyń!

– Nie tutaj. Tutaj mogą wezwać policję.

Ruszyliśmy w drogę.

Był to typowy przykład prześladowań, jakie cierpieliśmy w drodze do Kansas. Tak jest, powiedziałem „prześladowań”. Jeśli paranoja polega na przekonaniu, że cały świat spiskuje przeciwko tobie, to byłem paranoikiem. Była to jednak „zdrowa” paranoja (jeśli wybaczycie mi tę sprzeczność) albo cierpiałem na urojenia tak monumentalne, że należałoby mnie natychmiast zamknąć i poddać leczeniu.

Być może tak było. W takim przypadku jednak Margrethe również była częścią moich urojeń. Nie mogłem pogodzić się z tą myślą. Nie mogło to też być *folie à deux*, gdyż Margrethe byłaby normalna w każdym możliwym świecie.

Minęło południe, nim znaleźliśmy coś do jedzenia. Zaczynałem już dopatrywać się duchów tam, gdzie normalny człowiek dostrzegłby tylko drobne wiry powietrzne. Mój kapelusz został za siedmioma górami i słońce Nowego Meksyku padające mi na głowę nie pomagało w najmniejszym stopniu.

Samochód wiozący ludzi z pobliskiej budowy podrzucił nas do Grants. Zanim nas tam zostawili, zafundowali nam obiad. Być może jestem chory umysłowo, ale na pewno nie głupi – zawdzięczaliśmy tę podróż i posiłek temu, że Margrethe w nieprzyzwoicie obcisłych szortach przyciąga

spojrzenia mężczyzn. To dało mi wiele do myślenia, podczas gdy pochłaniałem (z przyjemnością!) obiad, który nam postawili. Zachowałem jednak swoje przemyślenia dla siebie.

Gdy opuścili nas, zapytałem:

– Na wschód?

– Tak. Najpierw jednak chciałabym zajrzeć do biblioteki publicznej. O ile ją tu mają.

– Oczywiście!

Gdy znajdowaliśmy się w świecie naszego przyjaciela Steve'a, brak jakichkolwiek środków transportu powietrznego wzbudził u mnie podejrzenie, iż świat ten może być tym samym, w którym urodziła się Margrethe, a w związku z tym również ojczyzną „Aleca Grahama". W Gallup sprawdziliśmy to w bibliotece publicznej. Przestudiowałem w encyklopedii historię amerykańską, a Marga duńską. Stwierdzenie, że nie jesteśmy w jej świecie, zajęło nam zaledwie pięć minut. Dowiedziałem się, że Bryan został wybrany w 1896 roku, lecz zmarł w trakcie pełnienia urzędu i zastąpił go wiceprezydent Arthur Sewall. To mi wystarczyło. Potem przejrzałem tylko szybko prezydentów i wojny, o których nigdy nie słyszałem.

Margrethe zakończyła swe badania z nosem zmarszczonym z oburzenia. Gdy wyszliśmy na zewnątrz, gdzie nie musieliśmy już mówić szeptem, zapytałem, co ją tak zmartwiło.

– To nie twój świat, kochanie. Sprawdziłem to.

– Jasne, że nie!

– Mieliśmy tylko jedną negatywną wskazówkę. Może istnieć wiele światów, w których nie ma żadnego rodzaju aeronautyki.

– Całe szczęście, że to nie mój świat! Alec, tutaj *Dania jest częścią Szwecji*! Czy to nie straszne?

Szczerze mówiąc, nie rozumiałem jej uczuć. Oba kraje są skandynawskie i bardzo podobne do siebie… tak mi się przynajmniej zdawało.

– Przykro mi, kochanie. Nie wiem wiele o tych sprawach. (Byłem raz w Sztokholmie i podobało mi się tam. To jednak nie był odpowiedni moment, żeby jej o tym wspominać).

– W tej głupiej książce napisali, że stolicą jest Sztokholm, a królem Karol XVI. Alec, on nawet nie pochodzi z rodziny królewskiej! I to ma być *mój* król!

– Ależ, kochanie, to nie jest twój król. To nawet nie twój świat.

– Wiem o tym. Alec? Gdybyśmy musieli tu pozostać, gdyby to już był koniec zmian, czy mogłabym uzyskać naturalizację?

– Myślę, że tak.

Westchnęła.

– Nie chciałabym być Szwedką.

Nie odezwałem się. W pewnych sprawach nie byłem w stanie jej pomóc.

W Grants ponownie udaliśmy się do biblioteki publicznej, aby sprawdzić, co przyniosła światu najnowsza zmiana. Ponieważ nie widzieliśmy żadnych *aeroplanos* ani sterowców, ponownie wydało nam się możliwe, że znajdujemy się w świecie Margrethe. Tym razem zacząłem od hasła „aeronautyka” i nie znalazłem sterowców, lecz maszyny latające… wynalezione przez doktora Alberta Santosa-Dumonta z Brazylii na początku bieżącego stulecia. Nazwisko wynalazcy zdumiało mnie, gdyż w moim świecie był on pionierem budowy sterowców ustępującym jedynie grafowi von Zeppelin. Najwyraźniej jednak aerodyny doktora były prymitywne w porównaniu z odrzutowcami lub nawet *aeroplanos*. Wiadomości te wskazywały, że wynalazek ów to raczej ciekawostka, a nie

urządzenie powszechnego użytku. Zostawiłem ten temat i przerzuciłem się na historię Ameryki. Na początek sprawdziłem Williama Jenningsa Bryana.

Nie znalazłem go w ogóle. No cóż, wiedziałem już, że to nie mój świat.

Marga była za to cała uśmiechnięta. Nie mogła się doczekać, aż wyjdziemy na zewnątrz, żeby mi wszystko powiedzieć.

– W tym świecie Skandynawia jest jednym wielkim państwem… i Kopenhaga jest jego stolicą!

– To fajnie!

– Syn królowej Małgorzaty, książę Fryderyk, został ukoronowany jako Eryk Gustaw… niewątpliwie, aby sprawić przyjemność cudzoziemcom. Pochodzi jednak z duńskiej rodziny królewskiej i jest Duńczykiem z krwi i kości. Tak właśnie powinno być!

Próbowałem jej okazać, że ja również się cieszę. Nie mieliśmy centa przy duszy, nie wiedzieliśmy, gdzie dziś będziemy spać, tymczasem Margrethe cieszyła się jak dziecko w Boże Narodzenie… z czegoś, co jak sądziłem, nie miało żadnego znaczenia.

Korzystając z dwóch okazji, dotarliśmy do Albuquerque. Uznałem, że rozsądnie będzie zostać tam przez jakiś czas – to duże miasto – nawet gdybyśmy musieli znowu zdać się na Armię Zbawienia. Szybko jednak znalazłem pracę przy zmywaniu naczyń w kawiarni miejscowego Holiday Inn, a Margrethe zatrudniła się w tym samym lokalu jako kelnerka.

Pracowaliśmy tam niespełna dwie godziny, gdy Margrethe przyszła na zaplecze i wsunęła mi coś do kieszeni na biodrze, podczas gdy stałem pochylony nad zlewem.

– Prezent dla ciebie, najdroższy!

Odwróciłem się do niej.

– Cześć, cudowna!

Sprawdziłem kieszeń. Była w niej podróżna maszynka do golenia z odkręcaną rączką, która po złożeniu mieściła się w wodoszczelnym pudełku mniejszym niż kieszonkowa Biblia i przeznaczonym do noszenia w kieszeni.

– Ukradłaś to?

– Niezupełnie. Kupiłam w kiosku w hallu za napiwki. Kochanie, chcę, żebyś się ogolił, jak tylko będziesz miał wolną chwilę.

– Pozwól, że ci to wyjaśnię, laleczko. Ciebie przyjęto do pracy ze względu na wygląd, a mnie ze względu na mocne plecy, słaby rozum i potulne usposobienie. Nie obchodzi ich, jak wyglądam.

– Ale mnie obchodzi!

– Każde twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. A teraz zostaw mnie. Spowalniasz produkcję.

Nocą Margrethe wyjaśniła mi, dlaczego kupiła w pierwszej kolejności maszynkę do golenia.

– Kochanie, to nie tylko dlatego, że lubię, jak masz wygoloną twarz i krótkie włosy, choć tak jest! Te sztuczki Lokiego nie ustają i za każdym razem musimy natychmiast znaleźć pracę, żeby mieć co jeść. Powiedziałeś, że nikogo nie obchodzi, jak wygląda pomywacz… ale ja myślę, że świeży i czysty wygląd pomaga w znalezieniu *każdej* pracy, a już z pewnością nie może zaszkodzić. Jest jednak jeszcze jeden powód. W wyniku tych zmian chodziłeś nieogolony raz, dwa… mogę się doliczyć pięciu razy, w tym raz przeszło trzy dni. Najdroższy, gdy jesteś świeżo ogolony, wyglądasz na dumnego i szczęśliwego. Wtedy ja również czuję, że jestem szczęśliwa.

Margrethe zrobiła dla mnie coś w rodzaju pasa na pieniądze – kieszeń z materiału umocowaną na taśmę. Chciała, żebym nosił to nawet w łóżku.

– Kochanie, w momencie zmiany straciliśmy wszystko, czego nie mieliśmy przy sobie. Chcę, żebyś wkładał do tego maszynkę do golenia

i monety, gdy będziesz się kładł do łóżka.

– Nie wierzę, żeby można tak łatwo przechytrzyć Szatana.

– Być może nie, lecz spróbujmy. Podczas każdej zmiany zachowujemy ubranie, które mamy na sobie, i wszystko, co mamy w kieszeniach. Takie są chyba zasady.

– Chaos nie przestrzega żadnych zasad.

– Może to nie jest chaos. Alec, jeśli nie chcesz nosić tego w łóżku, to czy pozwolisz, żebym ja to robiła?

– Och, założę to. To jednak nie powstrzyma Szatana, jeśli naprawdę zechce nam to odebrać. W gruncie rzeczy nie przejmuję się tym. Raz już wrzucił nas nagich, jak nas Pan Bóg stworzył, do Pacyfiku i udało nam się przeżyć, pamiętasz? Martwi mnie co innego, Marga. Czy zauważyłaś, że za każdym razem w momencie zmiany dotykaliśmy się? Przynajmniej rękoma?

– Zauważyłam.

– Zmiana zachodzi w mgnieniu oka. Co się stanie, jeśli nie będziemy się trzymać w objęciach? Jeśli nawet nie będziemy się dotykać? Powiedz mi.

Milczała tak długo, iż zrozumiałem, że nie ma zamiaru odpowiedzieć.

– Aha – powiedziałem. – Też tak sądzę. Nie możemy jednak cały czas być bliźniętami syjamskimi. Moja ukochana, moja jedyna, Szatan, Loki, czy jakkolwiek nazywa się zły duch, który robi z nami te rzeczy, może nas rozdzielić w każdej chwili, po prostu przeprowadzając zmianę, gdy się nie dotykamy.

– Alec?

– Słucham, kochanie?

– Loki mógł nam to zrobić w każdej chwili już dawno, a jednak to się nie stało.

– Może się stać w każdej sekundzie.

– Tak. Albo nigdy.

Ruszyliśmy w dalszą drogę, dręczeni przez kolejne zmiany. Środki ostrożności podjęte przez Margrethe wydawały się skuteczne – w przypadku jednej ze zmian nawet zbyt skuteczne. O mały włos trafiłbym do więzienia za nielegalne posiadanie srebrnych monet. Lecz szybka zmiana (najszybsza, jaką przeżyliśmy) uwolniła nas od oskarżenia, dowodów rzeczowych i świadka, który wniósł skargę. Znaleźliśmy się w nieznanej sali sądowej, z której szybko nas wyproszono ze względu na brak przepustek.

Maszynka do golenia wszakże ocalała. Żaden gliniarz ani szeryf nie miał ochoty jej skonfiskować.

Wędrowaliśmy, korzystając z naszej tradycyjnej metody (mój kciuk i śliczne nogi Margrethe. Już dawno doszedłem do wniosku, że muszę się pogodzić z tym, czego nie mogę zmienić). Zostaliśmy wysadzeni w ładnej okolicy – chyba w Teksasie – przez kierowcę ciężarówki, który skręcił z autostrady 66 w boczną drogę wiodącą na północ.

Opuściliśmy już pustynię. Wokół nas wznosiły się niskie zielone wzgórza. Pogoda była piękna, lecz my byliśmy zmęczeni, głodni, spoceni i brudni, gdyż nasi prześladowcy – Szatan, czy ktokolwiek to był – przeszli samych siebie: trzy zmiany w ciągu trzydziestu sześciu godzin.

Jednego dnia dwukrotnie zdobyłem pracę przy zmywaniu naczyń w tym samym mieście, pod tym samym adresem… i nie otrzymałem ani grosza. Trudno jest dostać wypłatę od właściciela restauracji Samotny Kowboj, która na twych oczach zmienia się w smażalnię U Vivian. To samo wydarzyło się trzy godziny później, gdy U Vivian zamieniła się w komis samochodowy.

Jedyną dobrą stroną tych szokujących przeżyć było to, że dzięki niewiarygodnemu szczęściu (a może czyjemuś zamysłowi?) Margrethe za każdym razem była przy mnie. W pierwszym wypadku przyszła po mnie i czekała, aż szef obliczy mój czas pracy, a w drugim pracowała ze mną.

Kolejna zmiana pozbawiła nas noclegu, za który Margrethe zapłaciła już swoją pracą.

I właśnie dlatego byliśmy zmęczeni, głodni i brudni, a moja paranoja osiągnęła nowe szczyty.

Po przejściu kilkuset jardów natrafiliśmy na mały, śliczny strumyk – widok, który w Teksasie jest najmilszą z niespodzianek.

Zatrzymaliśmy się na zawieszonej ponad nim kładce.

– Margrethe, czy chciałabyś w nim pobrodzić?

– Kochanie, mam zamiar zrobić więcej. Wykąpię się w nim.

– Hmm… przejdźmy pod płotem, pięćdziesiąt albo siedemdziesiąt pięć jardów wzdłuż strumienia. Nie sądzę, żeby ktoś mógł nas tam zauważyć z drogi.

– Kochanie, jeśli mają ochotę, mogą się zebrać i bić mi brawo. Mam zamiar się wykąpać i… woda wygląda na czystą. Czy można jej się napić bez ryzyka?

– W górę od drogi? Na pewno. Narażaliśmy się na większe ryzyko każdego dnia od chwili spotkania z górą lodową. Gdybyśmy jeszcze mieli coś do jedzenia… na przykład te twoje lody. A może wolałabyś jajecznicę?

Podniosłem dolny drut ogrodzenia, aby mogła się pod nim przeczołgać.

– Nie wystarczy ci baton Oh Henry?

– Wolałbym Milky Way, jeśli to możliwe.

– Obawiam się, że mamy tylko Oh Henry.

Podniosła drut nade mną.

– Lepiej przestańmy mówić o jedzeniu, którego nie mamy. – Przeszedłem pod ogrodzeniem, wyprostowałem się i dodałem: – Jestem gotów zjeść skunksa na surowo.

– Mamy jedzenie, mój drogi. Mam przy sobie jeden baton Oh Henry.

Zatrzymałem się natychmiast.

– Kobieto, jeśli to żart, zbiję cię.

– Nie żartuję.

– W Teksasie prawo zezwala na pouczanie żony za pomocą kija nie grubszego od kciuka. – Uniosłem kciuk. – Czy widzisz gdzieś odpowiedni kij?

– Znajdę go.

– Skąd masz ten baton?

– Z tej gospody, w której pan Facelli poczęstował nas kawą i pączkami.

Pan Facelli był kierowcą, który wiózł nas w samym środku nocy, tuż przed ciężarówką, z której przed chwilą wysiedliśmy. Dwa małe pączki oraz cukier i śmietanka do kawy stanowiły jedyne kalorie, które spożyliśmy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

– Bicie może poczekać. Kobieto, jeśli go ukradłaś, powiedz mi o tym później. Naprawdę masz prawdziwy, pożywny baton Oh Henry? A może mam atak gorączki?

– Alec, naprawdę myślisz, że ukradłabym baton? Kupiłam go w automacie, gdy poszedłeś z panem Facellim do toalety.

– W jaki sposób? Nie mamy pieniędzy z tego świata.

– Zgadza się. Ale miałam w torebce dziesięciocentówkę sprzed dwóch zmian. Oczywiście to nie była dobra dziesięciocentówka, ale nie sądziłam, żeby stało się coś złego, jeśli maszyna ją przyjmie. I przyjęła. Schowałam jednak baton, zanim wróciliście… ponieważ nie miałam trzech dziesięciocentówek i nie mogłabym poczęstować pana Facellego. Czy

myślisz, że to było oszustwo – dodała niespokojnie – z tą dziesięciocentówką?

– To drobiazg, którego nie zamierzam roztrząsać… pod warunkiem że podzielisz się ze mną owocem swej zbrodni. Co uczyni mnie współwinnym. Hmm… najpierw jedzenie czy kąpiel?

Zaczęliśmy od jedzenia. Była to prawdziwa uczta, którą popiliśmy smakowitą wodą ze strumienia. Następnie wykąpaliśmy się, śmiejąc się i pluskając. Zapamiętałem to jako jeden z najszczęśliwszych momentów mojego życia. Margrethe miała w torbie również mydło, a moja koszula posłużyła jako ręcznik. Najpierw wytarłem nią Margrethe, a później siebie. Suche ciepłe powietrze dopełniło dzieła.

To, co wydarzyło się chwilę później, było nieuniknione. Nigdy w życiu nie kochałem się na powietrzu, tym bardziej w dzień. Gdyby ktoś mnie o to zapytał, odpowiedziałbym, że byłoby to dla mnie psychicznie niemożliwe. Miałbym zbyt wiele zahamowań ze względu na nieprzyzwoitość tej sytuacji.

A teraz jestem szczęśliwy, że mogę wam powiedzieć, iż choć zdawałem sobie sprawę z sytuacji, nie przejmowałem się wcale i nieźle sobie poradziłem… być może dzięki niepohamowanemu, zaraźliwemu entuzjazmowi Margrethe.

Podobnie, nigdy przedtem nie spałem nago na trawie. Sądzę, że spaliśmy około godziny.

Gdy się obudziliśmy, Margrethe uparła się, że mnie ogoli. Trudno byłoby mi zrobić to samemu ze względu na brak lustra, ona jednak mogła to zrobić i zrobiła ze zwykłą sprawnością. Staliśmy po kolana w wodzie. Własnoręcznie pokryłem twarz mydlinami. Ona mnie goliła, a ja uzupełniałem w miarę potrzeby zapas piany.

– No – powiedziała wreszcie, całując mnie na koniec. – Może być. Opłucz się teraz. Nie zapomnij o uszach. Zaraz przyniosę ręcznik. To znaczy koszulę.

Wdrapała się na brzeg, kiedy ja pochyliłem się i opłukałem twarz.

– Alec…

– Nie słyszę cię przez tę wodę.

– Chodź tu, kochanie!

Wyprostowałem się, wytarłem oczy i rozejrzałem się. Wszystko, co mieliśmy, zniknęło… poza moją maszynką do golenia.

Rozdział XVII

„Pójdę na wschód: tam Go nie ma;
na zachód – nie mogę Go dostrzec.
Na lewo sieje zniszczenie – nie widzę,
Na prawo się kryje – nie dojrzę”.

Księga Hioba 23,8-9

Co zrobiłeś z mydłem? – spytała Margrethe.

Odetchnąłem głęboko i wypuściłem głośno powietrze.

– Czy dobrze cię usłyszałem? Pytasz mnie, co zrobiłem z mydłem?

– A co twoim zdaniem powinnam powiedzieć?

– Hmm… nie wiem. Ale na pewno nie to. Zdarzył się cud… a ty pytasz mnie o kawałek mydła.

– Alec, cud, który powtarza się raz za razem, nie jest już cudem, lecz utrapieniem. Co za dużo, to niezdrowo. Miałam ochotę krzyczeć albo się rozpłakać, więc zapytałam cię o mydło.

Sam byłem na progu histerii. To, co powiedziała, podziałało na mnie jak kubeł zimnej wody. Margrethe, która przechodziła przez góry lodowe i trzęsienia ziemi jak gdyby nigdy nic… miała ochotę krzyczeć?

– Przepraszam cię, kochanie. Miałem je w ręku, gdy mnie goliłaś. Gdy obmywałem twarz, już go nie miałem. Musiałem je położyć na brzegu. Nie przypominam sobie. Czy to ma znaczenie?

– Chyba nie. Ale ta kostka mydła, której użyliśmy tylko raz, stanowiłaby połowę naszego majątku. Drugą połową jest twoja maszynka. Być może

położyłeś ją na brzegu, lecz nigdzie jej nie widzę.

– A więc zniknęła. Marga, mamy ważniejsze sprawy do załatwienia, nim zdążymy się pobrudzić na tyle, żeby znów potrzebować mydła. Jedzenie, ubranie, dach nad głową – wdrapałem się na brzeg – buty. Nie mamy nawet *butów*. Co teraz zrobimy?

Zamurowało mnie. Gdyby tu była ściana płaczu, poszedłbym pod nią popłakać.

– Spokojnie, kochanie, tylko spokojnie.

– Czy mogę chociaż trochę pojęczeć?

Podeszła do mnie, wzięła mnie w ramiona i pocałowała.

– Możesz jęczeć, ile chcesz, kochanie. Pojęcz za nas oboje. Potem postanowimy, co zrobić.

Nie potrafię być przygnębiony, kiedy Margrethe trzyma mnie w ramionach.

– Masz jakieś pomysły? Przychodzi mi do głowy jedynie powrót na autostradę i próba złapania okazji… co w stanie, w jakim jesteśmy, nie pociąga mnie szczególnie. Nie mamy nawet listka figowego. Czy widzisz gdzieś drzewo figowe?

– Czy w Teksasie są drzewa figowe?

– W Teksasie jest wszystko. No to co robimy?

– Wracamy na autostradę i idziemy dalej piechotą.

– Na bosaka? A nie lepiej stać, wymachując kciukiem? Nie zajdziemy daleko na bosaka. Mam delikatne stopy.

– Stwardnieją ci. Alec, *musimy* iść dalej. To konieczne dla naszego morale. Inaczej czeka nas śmierć. Jestem tego pewna.

Po dziesięciu minutach szliśmy powoli autostradą na wschód. Nie była to jednak ta autostrada, z której zeszliśmy. Były na niej cztery pasma zamiast dwóch, z szerokim, pokrytym nawierzchnią poboczem. Płot oznaczający

granicę drogi nie składał się już z trzech rzędów drutu kolczastego, lecz ze stalowych płyt sięgających na wysokość mojej głowy. Byłoby nam bardzo trudno dostać się na drogę, gdyby nie strumień. Zanurzając się pod wodę i wstrzymując oddech, zdołaliśmy przecisnąć się pod płotem.

Wskutek tego znowu staliśmy się mokrzy (i to bez koszuli-ręcznika), lecz ciepłe powietrze zaradziło temu w kilka minut.

Na tej autostradzie ruch był znacznie większy niż na poprzedniej. Było więcej zarówno ciężarówek, jak i pojazdów, które wyglądały na osobowe. Wszystkie jechały *szybko*. Nie potrafiłem ocenić prędkości, lecz miałem wrażenie, że poruszają się przynajmniej dwa razy szybciej niż jakiekolwiek znane mi pojazdy naziemne. Być może równie szybko jak transoceaniczne sterowce. Widzieliśmy wielkie pojazdy, które musiały być ciężarówkami, ale przypominały raczej wagony towarowe. Były nawet dłuższe. Gdy jednak przyjrzałem im się bliżej, stwierdziłem, iż każdy składa się z co najmniej trzech połączonych pojazdów. Odkryłem to, gdy spróbowałem policzyć koła. Szesnaście na pojazd? Sześć dodatkowych kół w czymś w rodzaju lokomotywy z przodu, razem pięćdziesiąt cztery. Czy to możliwe? Te lewiatany poruszały się bezszelestnie, jeśli nie liczyć świstu powietrza oraz szumu opon trących o nawierzchnię. Mój profesor dynamiki z pewnością by to pochwalił.

Po najbliższym paśmie poruszały się mniejsze pojazdy, które uznałem za samochody osobowe, choć nie mogłem dostrzec nikogo w środku. Tam, gdzie powinny być okna, znajdowało się coś, co przypominało lustra lub wypolerowaną stal. Pojazdy te były długie i niskie, o kształtach opływowych jak sterowiec. Teraz dopiero zauważyłem, że nie była to jedna autostrada, lecz *dwie*. Na bliższym nam paśmie odbywał się ruch w kierunku wschodnim, a na drugim – w odległości co najmniej stu jardów – pojazdy jechały na zachód. Jeszcze dalej stał widoczny tylko od czasu do

czasu płot stanowiący północną granicę najszerszej autostrady, jaką kiedykolwiek widziałem.

Maszerowaliśmy z trudem brzegiem pobocza. Zacząłem mieć wątpliwości co do szansy złapania okazji. Nawet gdyby szofer mógł nas dostrzec (co nie było pewne), jak zdąży zatrzymać się na tyle szybko, aby zabrać autostopowicza? Niemniej machałem ręką na każdy przejeżdżający samochód. Zachowałem swe wątpliwości dla siebie. Gdy maszerowaliśmy już przerażająco długo, samochód, który właśnie nas minął, zjechał na pobocze, zatrzymał się co najmniej ćwierć mili przed nami i cofnął w naszą stronę z prędkością, którą uważałbym za zbyt wielką przy jeździe do przodu. Pośpiesznie usunęliśmy się na bok.

Zatrzymał się tuż przy nas, a lustrzana powierzchnia szerokości jarda i nie mniejszej wysokości uniosła się jak drzwi do schronu burzowego. Ujrzeliśmy wnętrze kabiny dla pasażerów. Prowadzący spojrzał na nas i uśmiechnął się.

– Nie mogę w to uwierzyć!

Spróbowałem również się uśmiechnąć.

– Sam w to nie wierzę. A jednak to fakt. Czy mógłby pan nas podwieźć?

– Niewykluczone. – Obejrzał Margrethe od stóp do głów. – Hej, niezła z ciebie laleczka! Co się stało?

– Zgubiliśmy się – odparła Margrethe.

– To widać! Jak jednak daliście radę zgubić też ubranie? Porwano was, czy co? Nieważne, to może zaczekać. Jestem Jerry Farnsworth.

– Alec i Margrethe Graham – odparłem.

– Miło was poznać. Hmm, nie wyglądacie na uzbrojonych, jeśli nie liczyć tego przedmiotu w ręku pani Graham. Cóż to takiego?

Wyciągnęła rękę.

– Maszynka do golenia.

Wziął ją, obejrzał i zwrócił Margrethe.

– Niech mnie diabli. Rzeczywiście. Ostatni raz widziałem coś takiego, kiedy byłem jeszcze za młody, żeby się golić. No cóż, nie wiem, w jaki sposób moglibyście mnie tym sterroryzować. Właźcie. Alec, usiądź na tylnym siedzeniu. Twoja siostra usiądzie przy mnie.

Podniósł się dalszy fragment kadłuba.

– Dziękuję – odpowiedziałem, myśląc gorzko, że żebracy nie mogą wybrzydzać. – Marga to nie moja siostra, lecz żona.

– Ty szczęściarzu! Nie masz nic przeciwko temu, żeby usiadła przy mnie?

– Jasne, że nie.

– Nawet gumowy dzwon zadźwięczałby pod wpływem tego tonu. Kochanie, lepiej się przesiądź do tyłu.

– Poprosił mnie pan, żebym usiadła z przodu, a mój mąż głośno się zgodził.

Margrethe wśliznęła się na przednie siedzenie. Otworzyłem usta i zamknąłem je, stwierdziwszy, że nie mam nic do powiedzenia. Wdrapałem się na tylne siedzenie i zauważyłem, że samochód jest większy w środku niż na zewnątrz. Siedzenie było przestronne i wygodne. Drzwi zamknęły się. „Lustra” stały się oknami.

– Muszę wprowadzić go z powrotem do ruchu – oświadczył nasz gospodarz – więc nie szarpcie się z polem bezpieczeństwa. Czasami ten powozik wierzga jak święty byk… sześć g albo więcej. Nie, chwila. Dokąd jedziecie? – Spojrzał na Margrethe.

– Do Kansas, panie Farnsworth.

– Mów mi Jerry, kochanie. Na golasa?

– Nie mamy ubrań, proszę pana. Straciliśmy je.

– Panie Farnsworth, Jerry, jesteśmy w rozpaczliwym położeniu – dodałem. – Straciliśmy wszystko. Tak, jedziemy do Kansas, ale najpierw musimy skombinować gdzieś ubrania, nie wiem gdzie, może w Czerwonym Krzyżu. Muszę też znaleźć pracę i zarobić trochę pieniędzy. Potem wyruszymy do Kansas.

– Rozumiem. Tak mi się zdaje. Przynajmniej część. Jak chcecie się tam dostać?

– Miałem zamiar jechać prosto do Oklahoma City, a potem skierować się na północ, trzymając głównych autostrad, ponieważ jedziemy autostopem.

– Alec, naprawdę się zgubiłeś. Widzisz ten płot? Czy wiesz, jaka kara grozi piechurom złapanym na ogrodzonym nim obszarze?

– Nie, nie wiem.

– Błogosławiona ignorancja. Lepiej trzymaj się małych bocznych dróg, gdzie autostop jest nadal dozwolony, a przynajmniej tolerowany. Jeśli jedziecie do Oke City, mogę was podwieźć. Trzymajcie się.

Zrobił coś z tablicą rozdzielczą przed sobą. Nie chwycił kierownicy, ponieważ nie było tam kierownicy, a jedynie dwa uchwyty. Samochód zawibrował lekko, po czym skoczył w bok. Poczułem się, jakbym wpadł w miękką papkę. Skóra zaświerzbiła mnie pod wpływem ładunków elektrycznych. Samochód kołysał się jak łódka na wzburzonym morzu, lecz ta „miękka papka” chroniła mnie przed potłuczeniami. Nagle wszystko się uspokoiło. Pozostała jedynie słaba wibracja. Krajobraz za oknem popędził do tyłu.

– A teraz – rzekł pan Farnsworth – opowiedzcie mi wszystko.

– Margrethe?

– Oczywiście, najdroższy. Musisz to zrobić.

– Jerry… pochodzimy z innego świata.

– No nie! – jęknął. – Tylko nie następny latający talerz. To już czwarty w tym tygodniu! Czy to chcesz mi powiedzieć?

– Nie, nie. Nigdy nie widziałem latającego talerza. Jesteśmy z Ziemi… ale innej. Podróżowaliśmy autostopem autostradą sześćdziesiąt sześć, starając się dotrzeć do Kansas…

– Poczekaj chwilę. Powiedziałeś „sześćdziesiąt sześć”?

– Oczywiście.

– Tak nazywano tę drogę, zanim została przebudowana. Nie używa się już innej nazwy niż „międzystanowa czterdzieści” od… hmm… ponad czterdziestu lat, może pięćdziesięciu. Hej, może jesteście podróżnikami w czasie?

– Który teraz jest rok? – zapytałem.

– Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty czwarty.

– U nas też. Środa, osiemnasty maja. Przynajmniej tak było dziś rano, przed zmianą.

– Nadal tak jest. Ale… posłuchaj, tak do niczego nie dojdziemy. Zacznij od początku, jakikolwiek był, i opowiedz mi, jak znaleźliście się na drodze, zupełnie nadzy.

Opowiedziałem mu.

W końcu odezwał się:

– Ten dół z ogniem. Nie poparzyłeś się w nim?

– Jeden mały pęcherzyk.

– Tylko tyle? Myślę, że mógłbyś bezpiecznie pójść do piekła.

– Posłuchaj, Jerry. Ludzie naprawdę chodzą po rozżarzonych węglach.

– Wiem o tym. Widziałem to na Nowej Gwinei. Nigdy jednak nie miałem ochoty spróbować samemu. Ta góra lodowa… coś mnie tu dziwi. Jak to

możliwe, że góra lodowa uderzyła w *burtę* statku? Taka góra zawsze tkwi nieruchomo w wodzie. Rzecz jasna statek może na nią wpaść, ale tylko *dziobem*. Mam rację?

– Margrethe?

– Nie wiem, Alec. Wydaje mi się, że Jerry ma rację. Niemniej to się zdarzyło.

– Jerry, ja też nie wiem jak. Byliśmy w kabinie w przedniej części statku. Być może cały dziób został zmiażdżony. Jeśli jednak Marga nie wie, jak to się stało, ja z pewnością nie mogę nic tu dodać, ponieważ wyrżnąłem się w łeb i zgasłem jak świeczka. Marga utrzymała mnie na powierzchni wody, mówiłem ci.

Farnsworth spojrzał na mnie w zamyśleniu. Odwrócił swoje siedzenie tak, aby w czasie mojej opowieści siedzieć twarzą do nas. Pokazał Margrethe, jak odblokować fotel, aby i ona mogła się obrócić, dzięki czemu zasiedliśmy wszyscy troje w intymnym kręgu, stykając się niemal kolanami. Farnsworth siedział tyłem do kierunku, w którym jechaliśmy.

– Alec, co się stało z tym Hergensheimerem?

– Może nie wyraziłem się jasno, ale i dla mnie to również nie jest w pełni jasne. To *Graham* zniknął. *Ja* jestem Hergensheimer. Gdy przeszedłem przez ogień i znalazłem się w innym świecie, zająłem w nim miejsce Grahama, jak już mówiłem. Wszyscy zwracali się do mnie jak do niego i najwyraźniej sądzili, że nim jestem. Sam Graham zniknął. Myślę, że można powiedzieć, że mi się udało… ale znalazłem się tysiące mil od domu, bez pieniędzy i bez biletu, a nikt nigdy nie słyszał o Alexandrze Hergensheimerze. – Wzruszyłem ramionami, rozpościerając bezradnie ręce. – Zgrzeszyłem. Nosiłem jego ubranie. Jadłem przy jego stole. Odpowiadałem, gdy zwracano się do mnie jego nazwiskiem.

– Wciąż tego nie kapuję. Może jesteś na tyle podobny do Grahama, żeby oszukać niemal wszystkich… ale twoja żona powinna dostrzec różnicę. Margie?

Margrethe spojrzała mi w oczy ze smutkiem i miłością i odpowiedziała zdecydowanie:

– Jerry, mój mąż cierpi na dziwny przypadek amnezji. On jest Alekiem Grahamem. Alexander Hergensheimer nie istnieje. Nigdy go nie było.

Zaniemówiłem. To prawda, że Margrethe i ja nie rozmawialiśmy o tym od tygodni, a ona nigdy nie przyznała jasno, że nie jestem Alekiem Grahamem. Dowiedziałem się znowu (który to już raz!), że nie można wygrać sporu z Margrethe. Ilekroć wydawało mi się, że to osiągnąłem, tylekroć okazywało się, że moja żona po prostu zamknęła usta.

Farnsworth zwrócił się do mnie:

– Może to z powodu uderzenia w głowę, Alec?

– Posłuchaj, to uderzenie to nie było nic poważnego. Parę minut nieświadomości i na tym koniec. Nie mam żadnych luk w pamięci. Poza tym zdarzyło się to dwa tygodnie *po* przejściu przez ogień. Jerry, moja żona jest wspaniałą kobietą… ale nie mogę się z nią zgodzić w tej sprawie. Ona chce wierzyć, że jestem Alekiem Grahamem, ponieważ zakochała się w nim, zanim jeszcze mnie spotkała. Wierzy w to, ponieważ chce w to wierzyć. A jednak, rzecz jasna, wiem, kim jestem: Hergensheimerem. Przyznaję, że amnezja może mieć pewne dziwaczne skutki… ale istniała jedna wskazówka, której nie mogłem sfałszować i która mówi jednoznacznie, że ja, Alexander Hergensheimer, nie jestem Alekiem Grahamem. – Poklepałem się po brzuchu. – Oto dowód. Mówiłem ci, że nosiłem ubranie Grahama. Ale nie pasowało ono na mnie doskonale. Gdy przechodziłem przez ogień, byłem raczej ciężki. Miałem nadwagę. Za dużo tutaj. – Ponownie poklepałem się po brzuchu. – Ubrania Grahama były za

ciasne w pasie. Musiałem wypuszczać powietrze i wstrzymywać oddech, aby wcisnąć się w każdą parę jego spodni. To nie mogło się zdarzyć w mgnieniu oka, podczas przejścia przez ogień. Nie ma wątpliwości. Dwa tygodnie dobrego jedzenia na statku wycieczkowym uwypukliło ten brzuszek… dowód na to, że nie jestem Alekiem Grahamem.

Margrethe nie tylko milczała – jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Lecz Farnsworth nalegał:

– Margie?

– Alec, zanim przeszedłeś przez ogień, miałeś dokładnie te same kłopoty ze swoim ubraniem. Z tego samego powodu. Zbyt wielki z ciebie łakomczuch. – Uśmiechnęła się. – Przykro mi, że się z tobą nie zgadzam, kochany, ale cieszę się bardzo, że ty to ty.

– Alec, wielu mężczyzn przeszłoby przez ogień, aby sprawić, żeby kobieta spojrzała na nich w ten sposób choćby raz – stwierdził Jerry. – Posłuchaj, kiedy już dotrzesz do Kansas, zgłoś się do psychiatry. Musisz wyjść z tej amnezji. Nikt nie może wmówić kobiecie, że jest jej mężem. Jeśli mieszkała z nim, spała, robiła mu lewatywy i słuchała jego dowcipów, zamiana jest niemożliwa, niezależnie od tego, jak bardzo sobowtór go przypomina. Nawet bliźniak jednojajowy nigdy tego nie dokona. Jest tyle drobnych szczegółów, o których żona wie, a obcy nigdy ich nie widzą.

– Marga, powiedz mu – rzekłem.

– Jerry, mój mąż chciał powiedzieć, że muszę, częściowo, sama obalić twoje twierdzenia. W tym czasie nie znałam jeszcze Aleca tak dobrze, jak żona zna męża. Nie byłam wtedy jego żoną, lecz kochanką, i to dopiero od kilku dni. – Uśmiechnęła się. – W zasadzie jednak masz rację. Rozpoznałam go.

Farnsworth zmarszczył brwi.

– Znowu straciłem orientację. Mówimy albo o jednym mężczyźnie, albo o dwóch. Ten Alexander Hergensheimer… Alec, opowiedz mi o nim.

– Jestem protestanckim duchownym, Jerry, wyświęconym w Chrześcijańskim Kościele Jedynej Prawdy – Bracia Apokalipsy. Potocznie nazywają nas Bractwem Apokalipsy. Urodziłem się na farmie mojego dziadka w pobliżu Wichity dwudziestego drugiego maja…

– Hej, to w tym tygodniu masz urodziny! – zauważył Jerry.

Marga przysłuchiwała się uważnie.

– Rzeczywiście. Byłem zbyt zajęty, aby o tym pomyśleć… w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym. Moi rodzice i dziadkowie nie żyją. Mój najstarszy brat nadal pracuje na rodzinnej farmie…

– To dlatego jedziesz do Kansas? Żeby odnaleźć brata?

– Nie. Ta farma jest w innym świecie. Tam, gdzie się wychowałem.

– W takim razie po co tam jedziesz?

Minęło trochę czasu, zanim odpowiedziałem.

– Nie mam na to logicznej odpowiedzi. Być może to instynkt powrotu do gniazda. Albo coś takiego jak u koni, które wracają do płonącej stajni. Nie wiem, Jerry. Muszę jednak tam wrócić i spróbować odszukać moje korzenie.

– To powód, który mogę zrozumieć. Wal dalej!

Opowiedziałem mu o swojej nauce, nie ukrywając faktu, że zawaliłem studia inżynierskie. Opowiedziałem mu, jak przeniosłem się do seminarium, zostałem wyświęcony i związałem się z towarzystwem Kościoły Zjednoczone na rzecz Obyczajności. Nie wspomniałem o Abigail ani o tym, że nie odniosłem wielkich sukcesów w swej owczarni, głównie (moim zdaniem) ze względu na to, że Abigail pogardzała ludźmi, a moi parafianie nie lubili jej. Nie sposób zawrzeć w krótkiej biografii wszystkich szczegółów, pozostaje jednak faktem, iż nie mogłem wspomnieć o Abigail,

nie podając w wątpliwość prawomocności mojego związku z Margrethe… a tego nie mogłem uczynić.

– To mniej więcej wszystko. Gdybyśmy byli w moim rodzinnym świecie, mógłbyś zadzwonić do dyrekcji naszego towarzystwa w Kansas City i sprawdzić to. Ostatni rok przyniósł nam wiele sukcesów, mogłem więc udać się na urlop. Poleciałem sterowcem *Graf von Zeppelin* należącym do North American Airlines z Kansas City do San Francisco, a następnie do Hilo i na Tahiti, gdzie wsiadłem na pokład MV *Konge Knut*. I to byłby już koniec, ponieważ resztę już znasz.

– To brzmi autentycznie. Czy zostałeś ponownie narodzony?

– No jasne! Obawiam się, że w tej chwili nie znajduję się w stanie łaski… pracuję jednak nad tym. Bracie, żyjemy w dniach ostatnich. Sprawa jest pilna. Czy *ty* zostałeś powtórnie narodzony?

– Porozmawiamy o tym później. Jak brzmi druga zasada termodynamiki?

Skrzywiłem się.

– Entropia zawsze wzrasta. Na tym się rozłożyłem.

– A teraz opowiedz mi o Alecu Grahamie.

– Niewiele mogę o nim powiedzieć. Z paszportu wynikało, że urodził się w Teksasie. Jako adres podał kancelarię adwokacką w Dallas. O resztę lepiej spytaj Margrethe. Ona go znała. Ja nie. (Nie wspomniałem o tym kłopotliwym milionie dolarów. Nie potrafiłem tego wyjaśnić, więc przemilczałem to… a Marga wiedziała o tym tylko ode mnie. Nigdy nie widziała tych pieniędzy na oczy).

– Margie? Co możesz nam powiedzieć o Alecu Grahamie?

Minęło trochę czasu, zanim się odezwała.

– Obawiam się, że nie mogę dodać nic do tego, co powiedział mój mąż.

– Ejże! Rozczarowałaś mnie. Twój mąż podał szczegółowy opis doktora Jekylla. Nie potrafisz opisać nam pana Hyde’a? Jak dotąd nie wiemy nic.

Adres w Dallas i na tym koniec.

– Panie Farnsworth, jestem pewna, że nigdy nie był pan stewardesą na statku pasażerskim…

– Nigdy w życiu. Byłem jednak stewardem na frachtowcu. Dwa rejsy we wczesnej młodości.

– Więc może pan to zrozumieć. Stewardesa wie mnóstwo rzeczy o swoich pasażerach. Wie, jak często się kąpią. Jak często zmieniają bieliznę. Zna ich zapach… każdy ma jakiś zapach: niektórzy ładny, inni nie. Wie, jakie książki czytają, jeśli je czytają. Z reguły wie, czy są prawdziwymi dżentelmenami – uczciwymi, hojnymi, miłymi i uprzejmymi. Wie wszystko, co trzeba wiedzieć, aby ocenić wartość człowieka. Może jednak nie mieć pojęcia o zawodzie pasażera, nie wiedzieć, z jakiego miasta pochodzi i jakie ma wykształcenie, i nie znać wielu innych szczegółów, które znałby jego przyjaciel. W dniu przejścia przez ogień byłam stewardesą Aleca Grahama już od czterech tygodni. Przez ostatnie dwa z tych tygodni byłam jego kochanką i byłam w nim zakochana po uszy. Po przejściu przez ogień musiało upłynąć wiele dni, zanim jego amnezja pozwoliła na wznowienie naszych intymnych kontaktów. Ale potem doszło do tego i znów byłam szczęśliwa. Jestem jego żoną od czterech miesięcy, które, mimo licznych przeciwieństw, były najszczęśliwszym okresem mojego życia. Nadal tak jest i mam nadzieję, że zawsze już będzie. To wszystko, co wiem o moim mężu Alecu Grahamie.

Uśmiechnęła się do mnie. Oczy zaszły jej łzami. Poczułem, że moje również.

Jerry westchnął i potrząsnął głową.

– Tu potrzeba by Salomona, a ja nim nie jestem. Wierzę w obie wasze opowieści, ale jedna wersja musi być fałszywa. Nic nie szkodzi. Moja żona i ja praktykujemy muzułmańską gościnność. Nauczyłem się tego podczas

ostatniej wojny. Czy skorzystacie z naszej gościnności na noc lub dwie? Lepiej odpowiedzcie „tak”.

Marga spojrzała na mnie.

– Tak! – zawołałem.

– Świetnie. Sprawdźmy teraz, czy głowa domu jest na miejscu.

Odwrócił się z powrotem do tablicy rozdzielczej, dotknął czegoś i po paru chwilach zapaliło się światło i rozległ pojedynczy sygnał. Jego twarz rozchmurzyła się.

– Księżno, to twój ulubiony mąż – oznajmił.

– Och, Ronny, to już tyle czasu.

– Nie, nie. Zgaduj jeszcze raz.

– Albert? Tony? George, Andy, Jim…

– Został ci jeszcze jeden strzał. Mam towarzystwo.

– Tak, Jerry?

– Zostaną na obiad i na noc. Być może dłużej.

– Tak jest, kochanie. Ilu ich jest, jakiej płci i kiedy będziecie w domu?

– Poczekaj. Zapytam Huberta.

Ponownie czegoś dotknął.

– Hubert mówi, że za dwadzieścia siedem minut. Dwoje gości. Ten, który siedzi przy mnie, ma może dwadzieścia trzy lata, długie, faliste blond włosy, ciemnoniebieskie oczy, około pięciu stóp siedmiu cali wzrostu i waży około stu dwudziestu funtów. Innych danych nie sprawdzałem, ale są mniej więcej takie jak u naszej córki. Płeć żeńska. Tego jestem pewien, ponieważ nie ma na sobie absolutnie nic.

– Tak jest, kochanie. Wydrapię jej oczy. Rzecz jasna po tym, jak poczęstuję ją obiadem.

– Świetnie. Jest niegroźna, ponieważ jej mąż jest z nią i przygląda się jej bardzo uważnie. Czy powiedziałem ci, że on też jest nagi?

– Nie powiedziałeś. To bardzo interesujące.

– Chcesz poznać również jego wymiary? A jeśli tak, to w spoczynku czy we wzwodzie?

– Mój drogi, jesteś stary świntuch. Mówię to z przyjemnością, ale przestań zawstydzać swoich gości.

– W mojej metodzie jest szaleństwo, księżno. Są nadzy, bo nie mają nic do ubrania. Podejrzewam jednak, że łatwo ich zawstydzić. Wyjdź więc nam na spotkanie z ubraniem. Znasz już jej wymiary poza… Margie, pokaż mi stopę. – Margrethe bez dyskusji uniosła stopę. Pomacał ją. – Para twoich sandałów będzie w sam raz. Dla niego *zapatos*. Moje.

– A inne jego wymiary? Tylko bez wygłupów.

– Jest mniej więcej mojego wzrostu i podobnej szerokości w ramionach, ale ja jestem co najmniej o dwadzieścia funtów cięższy. Daj więc coś z moich szczuplejszych rzeczy. Jeśli Sybil znowu naspraszała swoich młodych barbarzyńców, użyj, proszę, wszelkich środków, aby trzymać ich z dala od bramy. To są dobrze wychowani ludzie. Przedstawimy ich, gdy się już ubiorą.

– Niech tak się stanie, mój kapitanie. Pora jednak, żebyś przedstawił ich mnie.

– *Mea culpa*. Kochanie, to Margrethe Graham, żona Aleca Grahama.

– Cześć, Margrethe. Witaj w naszym domu.

– Dziękuję, pani Farnsworth.

– Katherine, kochanie. Albo Kate.

– Katherine, nie sposób powiedzieć, jak bardzo nam pomogliście… w tej strasznej sytuacji!

Moja ukochana zaczęła płakać. Po chwili przerwała.

– A to mój mąż, Alec Graham.

– Bardzo mi miło, pani Farnsworth. Dziękuję pani.

– Alec, sprowadź tu zaraz tę dziewczynę. Chcę się z nią przywitać. Z tobą też.

Jerry wtrącił się:

– Hubert mówi dwadzieścia dwie minuty, księżno.

– *Hasta la vista*. Rozłącz się. Muszę się wziąć do roboty.

– Koniec.

Jerry ponownie odwrócił swój fotel.

– Kate znajdzie dla ciebie coś ładnego, Margie… choć w twoim przypadku to chyba jest regułą. Zmarzłaś? Przez to gadanie w ogóle o tym zapomniałem. Utrzymuję w wozie niską temperaturę, żeby mi było wygodnie w ubraniu, ale Hubert w każdej chwili może to zmienić.

– Pochodzę z wikingów, Jerry. Nigdy nie marznę. W większości pomieszczeń jest dla mnie zbyt ciepło.

– A co z tobą, Alec?

– Wytrzymam – odparłem.

Było to tylko drobne kłamstwo.

– Myślę… – zaczął Jerry, gdy niebiosa rozstąpiły się i rozbłysło niewyobrażalnie jasne światło, jaśniejsze od słońca.

Schwycił mnie nagły żal, gdy pojąłem, że nie udało mi się poprowadzić mojej ukochanej z powrotem ku łasce.

Rozdział XVIII

„Szatan na to do Pana:
»Czyż za darmo Hiob czci Boga?«”

Księga Hioba 1,9

„Czy dosięgniesz głębin Boga,
dotrzesz do granic Wszechmocnego?”

Księga Hioba 11,7

Czekałem na głos z mieszanymi uczuciami. Czy pragnąłem zostać uniesiony? Czy byłem gotów znaleźć się w kochających ramionach Jezusa? Tak, Panie. Tak! Bez Margrethe? O nie! Więc pragniesz zostać wrzucony do czeluści? Tak… nie, ale… Zdecyduj się!

Pan Farnsworth spojrzał w górę.

– Poleciał, skubaniec!

Spojrzałem przez dach samochodu. Wprost nad nami znajdowało się drugie słońce. W miarę jak na nie patrzyłem, zdawało się kurczyć i świecić coraz słabiej.

Pan Farnsworth nie milknął:

– Rychło w czas! Wczoraj było opóźnienie, minęliśmy okno i musieliśmy zaczynać od nowa. Kiedy siedzisz na stanowisku i wodór atomowy paruje, odpuszczenie nawet jednej orbity może zeżreć cały twój zysk. Żeby chociaż wczoraj naprawdę skisło, ale nie. To była całkiem bezsensowna kontrola zlecona przez jakiegoś dupka z Nasa. Tego się można było spodziewać.

Zdawało się, że mówi po angielsku.

– Panie Farnsworth, Jerry, co to było? – zapytała Margrethe bez tchu.

– Hę? Nigdy nie widzieliście odpalenia?

– Nie wiem nawet, co to jest odpalenie.

– Hmm… no tak. Margie, fakt, że ty i Alec pochodzicie z innego świata czy światów, nie przebił się jeszcze przez moją czaszkę. W waszym świecie nie ma astronautyki?

– Nie jestem pewna, o co ci chodzi, ale chyba nie.

Byłem niemal pewien, że wiem, co miał na myśli, wtrąciłem się więc.

– Jerry, mówisz o lotach na Księżyc, prawda? Jak u Juliusza Verne’a?

– Tak. Mniej więcej.

– Więc to był statek kosmiczny? Lecący na Księżyc? Niech mnie diabli!

Bluźnierstwo wymknęło mi się mimochodem.

– Spokojnie. To nie był statek kosmiczny, tylko bezzałogowa rakieta towarowa. Nie leciała na Lunę, ale na niską orbitę okołoziemską. Później wraca, spada w okolicy Galveston, stamtąd przewożą ją do North Texas Port, skąd w przyszłym tygodniu odpalą ją ponownie. Niemniej część jej towarów dotrze do Luna City albo do Tycho Under… a niektóre może nawet do planetoid. Jasne?

– Hmm. Niezupełnie.

– No więc podczas drugiej kadencji Kennedy’ego…

– Kogo?

– Johna F. Kennedy’ego, prezydenta w latach tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt jeden do tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt dziewięć.

– Przykro mi, ale będę musiał po raz kolejny nauczyć się historii. Jerry, największą trudnością dla wędrującego pomiędzy światami nie jest nieznana technika, jak telewizja czy odrzutowce, a nawet podróże kosmiczne, lecz nieznana historia.

– Gdy dotrzemy do domu, znajdę dla ciebie książki o historii Ameryki i historii lotów kosmicznych. Jest ich tam pełno. Siedzę po uszy w przemyśle kosmicznym. Już jako dzieciak budowałem modele rakiet. W tej chwili oprócz Diana Freight Lines mam też akcje Jacob's Ladder i Beanstalk. Na razie to zamrożone pieniądze, ale… – Musiał dostrzec wyraz mojej twarzy. – Przepraszam. Przejrzysz książki, które dla ciebie wygrzebię, to porozmawiamy.

Farnsworth spojrzał ponownie na swą tablicę rozdzielczą, wcisnął coś, przyjrzał się jej po raz drugi i znowu coś wcisnął.

– Hubert mówi, że usłyszymy odgłos za trzy minuty i dwadzieścia jeden sekund – oznajmił.

Gdy odgłos dotarł do nas, poczułem rozczarowanie. Oczekiwałem huku dorównującego tej niewiarygodnej jasności. Zamiast tego usłyszałem łoskot, który ciągnął się i ciągnął, aż wreszcie ucichł bez wyraźnego końca.

Po kilku minutach nasz samochód zatoczył wielki krąg w prawo, po czym zjechał do tunelu pod autostradą, z którego wyjechał na drugą, mniejszą. Jechaliśmy (jak zauważyłem, była to autostrada 83) mniej więcej pięć minut, a potem usłyszeliśmy powtarzający się urywany sygnał, któremu towarzyszył błysk światła.

– Słyszę cię – powiedział pan Farnsworth. – Wstrzymaj się sekundkę.

Obrócił fotel w przód i ujął dwa uchwyty.

Przez następne kilka minut działy się rzeczy interesujące. Przypomniało mi się coś, co powiedział mędrzec z Hannibal: „Gdyby nie był to zaszczyt, wolałbym iść na piechotę". Pan Farnsworth uważał najwyraźniej, że uniknięcie zderzenia o więcej niż milimetr jest niesportowe. Raz za razem „miękka papka" ratowała nas od potłuczenia lub nawet połamania kości. W pewnej chwili rozległo się głośne „Bi-bi-bi-bip!", lecz Farnsworth warknął w odpowiedzi:

– Przymknij się. Pilnuj własnego nosa, ja przypilnuję swojego. – Po czym po raz kolejny cudem uniknął zderzenia.

Skręciliśmy w wąską drogę, jak sądziłem prywatną, ponieważ wjeżdżało się na nią pod łukiem, na którym widniał napis: USTRONIE FARNSWORTHA. Podjechaliśmy nieco pod górę. Na szczycie, skryta wśród drzew, znajdowała się wysoka brama, która usunęła się, gdy się do niej zbliżyliśmy.

Tam spotkaliśmy Katie Farnsworth.

Jeśli przeczytaliście już tak długi fragment tego pamiętnika, wiecie, że jestem zakochany w swojej żonie. To fakt niezmienny jak prędkość światła, jak miłość Boga Ojca. Dowiedzcie się więc teraz, iż odkryłem, że mogę kochać inną osobę, kobietę, nie umniejszając w niczym mojej miłości do Margrethe, nie pragnąc odebrać jej prawowitemu małżonkowi ani nawet nie pragnąc jej posiąść. Przynajmniej niezbyt mocno.

Poznając ją, zrozumiałem, że pięć stóp i dwa cale to najlepszy wzrost dla kobiety, czterdzieści lat to najwspanialszy wiek, a sto dziesięć funtów to najodpowiedniejsza waga, podobnie jak kontralt jest dla kobiety najwłaściwszym głosem. Fakt, że moja ukochana nie posiadała żadnej z tych cech, nie był istotny. Katie Farnsworth sprawia, że są one najodpowiedniejsze dla niej, ponieważ jest zadowolona z tego, co ma.

Już na starcie zdumiała mnie najbardziej wielkodusznym przejawem gościnności, jaki kiedykolwiek spotkałem.

Wiedziała od męża, że nie mamy nic na sobie. Wiedziała także, iż jego zdaniem jesteśmy z tego powodu zawstydzeni. Przyniosła więc dla nas ubrania.

A sama była naga.

Nie, to nieprawda. *Ja* byłem nagi, ona była nieubrana. Nie, to też nieodpowiednie określenie. Obnażona? Odsłonięta? Odkryta?

Nie – była ubrana we własne piękno, jak Pramatka Ewa przed upadkiem. W jej wydaniu wydawało się to tak całkowicie na miejscu, iż zadałem sobie pytanie, jak kiedykolwiek mogłem ulec złudzeniu, że brak ubrania równa się obsceniczności.

Drzwi w kształcie muszli otworzyły się. Wyszedłem na zewnątrz i pomogłem wysiąść Margrethe. Pani Farnsworth upuściła na ziemię to, co przyniosła, objęła moją żonę i pocałowała ją.

– Margrethe. Witaj, kochanie.

Moja najdroższa objęła ją i ponownie zaczęła pociągać nosem.

Następnie pani Farnsworth wyciągnęła rękę do mnie.

– Pana też witam, panie Graham. Alec.

Ująłem jej dłoń, lecz nie uścisnąłem jej, tylko pochyliłem się nad nią, trzymając delikatnie jak cenny przedmiot z porcelany. Miałem wrażenie, że powinienem ją ucałować, ale nikt mnie nie nauczył, jak to się robi.

Pani Farnsworth przyniosła dla Margrethe letnią sukienkę w kolorze jej oczu. Styl tego stroju przywodził na myśl Arkadię z mitów. Można było sobie wyobrazić, że nosiła ją leśna nimfa. Była zawieszona na lewym ramieniu, po prawej stronie rozcięta aż do dołu, lecz w pasie miała sporą zakładkę. Ten prosty ubiór po obu stronach kończył się długą szarfą. Jeden z jej końców można było przeciągnąć przez sprzączkę, co pozwalało owinąć oba wokół talii Margi, a następnie zawiązać je na jej prawym boku.

Przyszło mi do głowy, że to strój, który pasuje na każdego. Mógł być noszony jako luźny lub obcisły, niezależnie od figury, lecz od tego, jak go zawiązano. Katie przygotowała też dla Margi niebieskie sandały pasujące kolorem do sukienki. Dla mnie przyniosła meksykańskie sandały – *zapatos* – otwarte obuwie z kawałków rzemieni. Mogły one – podobnie jak suknia

Margi – pasować niemal na każdego, zależnie od tego, jak je zawiązano. Wręczyła mi też spodnie i koszulę na pierwszy rzut oka podobne do tych, które nabyliśmy w Winslow w „Używanych ciuchach”. Były one jednak szyte na zamówienie, i to z czystej wełny, a nie produkowane masowo z taniej bawełny. Miała też skarpetki, które dopasowały się do moich stóp, oraz szorty z dzianiny, chyba odpowiednich rozmiarów.

Gdy już nas odziała, na trawie wciąż spoczywało ubranie – należące do niej. Zrozumiałem wtedy, że podeszła do bramy ubrana, rozebrała się i czekała na nas „ubrana” podobnie jak my.

To się nazywa uprzejmość.

Ubrawszy się, weszliśmy wszyscy do samochodu. Pan Farnsworth odczekał chwilę, zanim ruszył.

– Katie, nasi goście to chrześcijanie.

Pani Farnsworth wyglądała na zachwyconą.

– Och, to bardzo interesujące!

– Tak też myślałem. Alec? Zapamiętaj sobie. W tej okolicy nie ma wielu chrześcijan. Przy mnie i Katie możesz mówić swobodnie… ale gdy w pobliżu będzie ktoś inny, byłoby lepiej, gdybyś nie wyrażał głośno swoich przekonań. Rozumiesz?

– Hmm… Obawiam się, że nie.

W głowie mi się kręciło. Odczuwałem też dzwonienie w uszach.

– No więc… chrześcijaństwo nie jest tu zabronione. W Teksasie panuje swoboda religijna. Niemniej chrześcijanie nie są tu lubiani i ich religia ma z reguły charakter podziemny. Hmm… jeśli chcecie się skontaktować ze współwyznawcami, to myślę, że moglibyśmy odszukać katakumby. Jak sądzisz, Katie?

– Och, na pewno można by znaleźć kogoś, kto ma dojście. Mogę wybadać grunt.

– Tylko jeśli Alec sobie tego życzy, kochanie. Alec, nie grozi ci ukamienowanie. To nie jest jakaś zacofana wiocha. Nie zagraża ci poważne niebezpieczeństwo, nie chciałbym jednak, żebyś spotkał się z dyskryminacją lub obelgami.

– Sybil – powiedziała Katie Farnsworth.

– Ojej! Tak jest. Alec, nasza córka to dobra dziewczyna i jest na tyle kulturalna, na ile można tego oczekiwać od nastolatki. Jest jednak początkującą czarownicą, świeżo nawróconą na Starą Wiarę, i zarówno jako neofitka, jak i nastolatka traktuje to śmiertelnie poważnie. Nie będzie nieuprzejma dla gości, bo Katie dobrze ją wychowała, a poza tym wie, że obdarłbym ją żywcem ze skóry. Niemniej oddałbyś mi przysługę, gdybyś nie narażał jej na zbyt wielki stres. Jak z pewnością wiesz, każdy nastolatek to gotowa wybuchnąć w każdej chwili bomba zegarowa.

– Będziemy bardzo ostrożni – oświadczyła Margrethe w moim imieniu. – Czy ta „Stara Wiara” to kult Odyna?

Poczułem dreszcz… Tego zaczynało już być za dużo. Ale nasz gospodarz zaprzeczył:

– Nie sądzę, aby tak było. Możesz zapytać Sybil, jeśli jesteś gotowa narazić się na zagadanie na śmierć. Będzie próbowała cię nawrócić. Jest bardzo zaangażowana.

Katie Farnsworth dodała:

– Nigdy nie słyszałam, żeby Sybil wspominała o Odynie. Najczęściej mówi o Bogini. Czy druidzi nie wierzyli w Odyna? Naprawdę nie wiem. Obawiam się, że Sybil uważa nas za tak beznadziejnie zacofanych, że nawet nie zada sobie trudu, aby rozmawiać z nami o teologii.

– Więc my też o niej nie mówmy – odezwał się Jerry, włączając silnik.

Rezydencja Farnsworthów była długa, niska i pełna zakamarków. Czuło się w niej posmak rozleniwiającego dostatku. Jerry zawiózł nas pod swoje

porte-cochère. Wysiedliśmy. Poklepał dach samochodu tak, jak klepie się konia, a pojazd odjechał sam i skrył się za rogiem budynku. Weszliśmy do środka.

Nie będę opisywał ich domu, choć był piękny i urządzony bogato, jak to w Teksasie, ponieważ jego wygląd zmieniał się zbyt często, aby warto było to robić. Większość tego, co widzieliśmy, stanowiły – jak mówił Jerry – „hologramy". Jak mógłbym je opisać? Utrwalone sny? Trójwymiarowe obrazy? Powiem tak – krzesła były prawdziwe. Podobnie blaty stołów. Co do reszty sprzętów w tym domu, lepiej było dotykać ich ostrożnie, aby się upewnić, czy są rzeczywiste, gdyż mogły być równie piękne jak tęcza… i równie niematerialne.

Nie wiem, w jaki sposób wytwarzano te zjawy. Mam wrażenie, że w tym świecie obowiązywały nieco inne prawa fizyki niż w Kansas w czasach mojej młodości.

Katie zaprowadziła nas do pomieszczenia, które Jerry nazywał „pokojem rodzinnym". Jerry stanął jak wryty.

– To cholerne hinduskie kurestwo!

Był to wielki pokój, którego sufit – jak się zdawało – znajdował się na wysokości niemożliwej w piętrowym domu wiejskim. Każda ściana, łuk, alkowa, architraw i belka były pokryte rzeźbami. I to jakimi! Zaczerwieniłem się. Najwyraźniej skopiowano je z tej osławionej jaskini świątynnej w południowych Indiach, w której wszystkie możliwe perwersje są ukazane w bezwstydny i obsceniczny sposób.

– Przepraszam, kochanie! – powiedziała Katie. – Dzieciaki tu tańczyły.

Pobiegła w lewo, wtopiła się w jedną z grup rzeźb i zniknęła.

– Czego sobie życzysz, Geraldzie?

– Hmm. Remington numer dwa.

– Proszę bardzo.

W jednej chwili obsceniczne rzeźby zniknęły, a sufit obniżył się nagle, zmieniając w sklepienie z drewnianych belek. Jedna ze ścian stała się oknem, za którym rozciągał się widok na góry przywodzące na myśl Utah, nie Teksas. Na przeciwległej ścianie znajdował się teraz wielki kominek, w którym buzował ogień, meble przyjęły styl nazywany niekiedy „misyjnym”, a podłoga była wyłożona kamieniami pokrytymi indiańskimi narzutami.

– Tak lepiej. Dziękuję ci, Katherine. Siadajcie, przyjaciele. Znajdźcie sobie miejsce i przycupnijcie!

Wybrałem miejsce, unikając krzesła, które w sposób oczywisty należało do pana domu – było masywne i obite skórą. Katie i Marga usiadły razem na kanapie, a Jerry na swoim krześle.

– Kochanie, czego się napijesz? – spytał.

– Campari z wodą sodową.

– Jesteś baba. A ty, Margie?

– Dla mnie też campari z wodą sodową.

– Dwie baby. A ty, Alec?

– To samo co dla pań.

– Synu, mogę to znieść u słabej płci, ale nie u dorosłego mężczyzny. Proszę o drugi strzał.

– Hmm. Szkocka z wodą sodową.

– Kazałbym cię wybatożyć, ale nie mam batoga. Masz jeszcze jedną szansę.

– Hmm… burbon bez niczego?

– Jesteś uratowany. Jack Daniel’s. Woda osobno. Przedwczoraj jakiś facet w Dallas usiłował zamówić *irlandzką* whisky! Wygnali go natychmiast z miasta, ale potem przeprosili. Okazało się, że był Jankesem i nie wiedział, co czyni.

Przez cały czas gospodarz uderzał palcami w mały stolik znajdujący się u jego łokcia. Przerwał to nerwowe bębnienie i nagle na stole przy moim krześle pojawił się spory kieliszek brązowego płynu i kubek wody. Zauważyłem, że pozostali goście również zostali obsłużeni. Jerry uniósł szklankę.

– *Salud!* Za Konfederację!

Gdy wypiliśmy, zapytał:

– Katherine, wiesz, gdzie się ukrywa ta nasza hultajka?

– Zdaje się, że wszyscy są na basenie, kochanie.

– Aha.

Jerry ponownie zabębnił nerwowo palcami. Nagle tuż przed nim pojawiła się nie wiadomo skąd młoda kobieta siedząca na wyłaniającej się z nicości trampolinie. Padały na nią jasne promienie słońca, choć w pokoju, w którym przebywaliśmy, panował chłodny półmrok. Jej skórę pokrywały kropelki wody. Była zwrócona twarzą w stronę Jerry’ego i, co za tym idzie, plecami do mnie.

– Cześć, wstrętny bachorze.

– Cześć, tatusiu. Cmok, cmok.

– W świński tyłek. Kiedy ostatni raz cię zlałem?

– W moje dziewiąte urodziny. Kiedy podpaliłam dom cioci Minnie. Co zrobiłam tym razem?

– Na piękny, złoty, prosty penis Pana wszechrzeczy! Co chciałaś osiągnąć, włączając ten ordynarny, wulgarny, pornograficzny program w pokoju rodzinnym?

– Nie chrzań, drogi tatusiu. Widziałam twoje książki.

– Nie jest ważne, co mam w prywatnej bibliotece. Odpowiedz na pytanie.

– Zapomniałam go wyłączyć, tato. Przepraszam.

– To samo powiedziała krowa pani Murphy. Ale pożar nie zgasł. Posłuchaj, kochanie, wiesz, że możesz używać sprzętu, kiedy tylko zechcesz. Gdy jednak skończysz, musisz zostawić wszystko tak, jak było przedtem. Albo, jeśli nie potrafisz tego zrobić, nastaw go na zero.

– Wiem, tato. Po prostu zapomniałam.

– Przestań się tak niespokojnie kręcić. Jeszcze nie skończyłem. Na wielkie mosiężne jaja Kościeja, gdzie zdobyłaś ten program?

– Na uczelni. To materiał szkoleniowy do mojego kursu jogi tantrycznej.

– Jogi tantrycznej? Z twoimi biodrami taki kurs ci niepotrzebny. Czy twoja matka wie o tym?

Katherine wtrąciła się spokojnie:

– Sama ją do tego namawiałam, kochanie. Jak wiemy, Sybil jest zdolna. Ale sam talent nie wystarczy. Potrzebna jej nauka.

– Taak? Nigdy nie spieram się z twoją matką na ten temat, wycofuję się więc na z góry upatrzone pozycje. Ta taśma. Skąd ją zdobyłaś? Znasz obowiązujące przepisy dotyczące praw autorskich? Oboje pamiętamy rwetes, który się podniósł w sprawie taśmy Jefferson Starship…

– Tato, jesteś gorszy od słonia. Czy ty nigdy niczego nie zapominasz?

– Nigdy. Ponadto ostrzegam cię, że wszystko, co powiesz, może zostać zapisane i wykorzystane przeciwko tobie w innym czasie i miejscu. A więc słucham.

– Żądam widzenia z moim adwokatem!

– A więc to *pirackie* nagranie!

– Chciałbyś! Mógłbyś się wtedy napawać swoim sukcesem! Przykro mi, tato, ale zapłaciłam pełną cenę katalogową, gotówką, i biblioteka uniwersytecka przegrała to dla mnie. Widzisz, cwaniaczku?

– Zobaczymy, kto jest cwaniaczkiem. Wyrzuciłaś pieniądze w błoto.

– Nie zgadzam się. To mi się podoba.

– Mnie też. Wyrzuciłaś w błoto swoje pieniądze, bo wystarczyło poprosić mnie o tę taśmę.

– Co?!

– Mam cię! Z początku myślałem, że dorobiłaś wytrych do zamków w moim gabinecie albo rzuciłaś na nie zaklęcie. Miło usłyszeć, że po prostu okazałaś się rozrzutna. Ile cię to wyniosło?

– Hmm… czterdzieści dziewięć pięćdziesiąt. To cena ulgowa, dla studentów.

– Chyba nienajgorzej. Ja dałem sześćdziesiąt pięć. Jeśli jednak ta suma znajdzie się na rachunku semestralnym, potrącę ci ją z kieszonkowego. Jeszcze jedno, śliweczko, sprowadziłem dziś do domu dwoje sympatycznych gości: damę i dżentelmena. Weszliśmy do salonu, czy też do tego, co uprzednio było salonem, i ta para dobrze wychowanych ludzi stanęła twarzą w twarz z całą Kamasutrą w jaskrawych kolorach. Co ty na to?

– *Nie chciałam* tego zrobić.

– Więc zapomnijmy o tym. Pamiętaj jednak, że nieuprzejmie jest narażać ludzi na szok, zwłaszcza gości. Następnym razem bądź bardziej ostrożna. Przyjdziesz na obiad?

– Tak, jeśli będę mogła wyjść wcześniej i lecieć, lecieć, lecieć. Na randkę, tato.

– O której wrócisz do domu?

– Nie wrócę. Będzie całonocne zebranie. Próba przed nocą Kupały. Trzynaście czarownic.

Westchnął.

– Przypuszczam, że powinienem dziękować Trzem Parkom, że bierzesz pigułki.

– Pigułki! Też coś! Nikt nie zachodzi w ciążę na sabacie. Wszyscy to wiedzą.

– Wszyscy oprócz mnie. Cóż, złóżmy dzięki za to, że raczysz zjeść z nami obiad.

Nagle dziewczyna krzyknęła, spadając z trampoliny. Obraz podążył za nią w dół.

Wpadła z pluskiem do basenu, po czym wynurzyła się, parskając.

– Tato! Popchnąłeś mnie!

– Jak możesz mówić coś takiego? – odparł oburzony.

Nagle żywy obraz zniknął.

Katie Farnsworth odezwała się lekkim tonem:

– Gerald wciąż usiłuje zdominować swoją córkę. Rzecz jasna, nie ma szans. Powinien zaciągnąć ją do łóżka i w ten sposób wyładować swe kazirodcze żądze. Ale oboje są na to zbyt pruderyjni.

– Kobieto, przypomnij mi, żebym cię zbił.

– Tak, najdroższy. Nie musiałbyś jej zmuszać. Wyraź tylko jasno swe intencje, a wybuchnie łzami i odda ci się. A potem będziecie mieli najlepszą zabawę w życiu. Nie sądzisz, Margrethe?

– Chyba masz rację.

Byłem już wtedy zbyt oszołomiony, aby słowa Margrethe mogły mnie zgorszyć.

Obiad był rozkoszą dla smakosza i wielką towarzyską konfuzją.

Podano go w jadalni, to jest w tym samym salonie ozdobionym innymi „hologramami”. Sufit znajdował się wyżej, okna były wysokie i w równych odstępach, a zasłony sięgały do podłogi. Z okien rozciągał się widok na starannie utrzymany ogród.

Jeden z mebli sam wjechał do środka – wcale nie „hologram”, przynajmniej nie w całości. Był to stół bankietowy, który (o ile się nie mylę) był równocześnie spiżarnią, piecem, lodówką i całym wyposażeniem kuchni. Tak przynajmniej mi się wydawało. Ale jestem gotów wycofać się z tego wniosku. Mogę tylko powiedzieć, że nigdzie nie widziałem służącego ani też nie dostrzegłem, żeby nasza gospodyni robiła cokolwiek. Niemniej mąż pogratulował jej udanych potraw, i to zasłużenie. Zrobiliśmy to samo.

Jerry miał trochę pracy. Pokroił mięso na porcje (żeberka, kawał wystarczająco wielki dla drużyny zgłodniałych harcerzy). Nakładał też wszystko na talerze, siedząc na swoim miejscu. Gdy tylko talerz został napełniony, odjeżdżał gładko do osoby, dla której go przeznaczono – jak kolejka na szynach. Nie było tu jednak lokomotywy ani szyn. Maszyneria ukryta za pomocą „hologramów”? Tak sądzę, jest to jednak tylko zastąpienie jednej zagadki drugą.

(Dowiedziałem się później, że szykowna teksaska rezydencja w tym świecie posiadałaby służących ustawionych tak, aby rzucali się w oczy. Jednakże Jerry i Katie mieli proste upodobania).

Przy stole siedziało nas sześcioro. Na jednym jego końcu siedział Jerry, na drugim Katie. Margrethe usiadła po prawej stronie Jerry’ego, a jego córka Sybil po lewej. Ja usadowiłem się po prawej stronie gospodyni, a naprzeciwko mnie siedział chłopak Sybil. Sybil siedziała na prawo ode mnie.

Młody człowiek nazywał się Roderick Lyman Culverson III. Moje nazwisko nie dotarło do niego. Zawsze uważałem, że samiec naszego gatunku powinien być, w większości przypadków, wychowywany w beczce i karmiony przez otwór szpuntowy. Następnie, w wieku osiemnastu lat,

powinno się podjąć poważną decyzję – czy wypuścić go z beczki, czy też zabić szpunt na stałe.

Młody Culverson nie dostarczył mi powodów do zmiany tej opinii. Osobiście głosowałbym w tym przypadku za zabiciem szpuntu. Na początku Sybil wyjaśniła nam dobitnie, że studiują oboje w tym samym college'u. Wyglądało jednak na to, że Farnsworthowie znają go równie słabo, jak my. Katie zapytała go:

– Roderick, czy ty też jesteś początkującym czarownikiem?

Zrobił kwaśną minę, jakby poczuł jakiś przykry zapach, lecz Sybil uratowała go przed koniecznością odpowiadania na tak prostackie pytanie.

– Mamo, Rod już dawno otrzymał swój athame!

– Przepraszam, popełniłam gafę – odpowiedziała spokojnie. – Czy to dyplom, który dają wam na ukończenie kursu?

– Nie, mamo, to święty nóż stosowany podczas rytuałów. Można go używać do…

– Sybil! Tu są poganie! – Culverson spojrzał groźnie na dziewczynę, a potem skierował wzrok na mnie. Zadałem sobie pytanie, jak wyglądałby z podbitym okiem, lecz starałem się bardzo, aby nie można było odczytać moich myśli z wyrazu twarzy.

– A więc jesteś już dyplomowanym czarnoksiężnikiem, Rod? – zapytał Jerry.

– Tato! – wtrąciła się ponownie Sybil. – Używa się słowa…

– Przymknij się, śliweczko. Potrafisz odpowiedzieć mi sam, Rod?

– Tego słowa używają tylko ignoranci…

– Hola! Kiedy czegoś nie wiem, poszukuję na ten temat informacji, tak jak teraz. Ale nikt, kto siedzi za moim stołem, nie będzie mnie nazywał ignorantem. Czy potrafisz mi odpowiedzieć bez toczenia piany?

Nozdrza Culversona zadrżały, opanował się jednak i oświadczył:

– Odpowiednimi nazwami na określenie adeptów Sztuki są słowa „czarownik” i „czarownica”. „Czarodziej” jest dopuszczalnym terminem, lecz nie jest on ścisły, ponieważ oznacza „maga”, a nie wszyscy magowie są czarownikami i nie wszystkie czarownice uprawiają magię. „Czarnoksiężnik” jest uważany za określenie nie tylko nieścisłe, lecz również obraźliwe, gdyż wiąże się z kultem diabła, z czym Sztuka nie ma nic wspólnego. Ponadto oznaczało pierwotnie „tego, który łamie przysięgę”, a czarownik przysiąg nie łamie. Jeśli zaś to zrobi, nawet wobec pogan, może zostać wyrzucony. Tak więc nie jestem „dyplomowanym czarnoksiężnikiem”. Poprawnym określeniem mojego obecnego statusu są słowa „dyplomowany mistrz Sztuki”, czyli czarownik.

– Teraz rozumiem! Dziękuję ci i proszę o wybaczenie za użycie wobec ciebie słowa „czarnoksiężnik”… – Jerry umilkł.

Po dłuższej chwili Culverson odezwał się pośpiesznie:

– Och, tak! Ja również pana przepraszam!

– Dziękuję. Do twoich uwag na temat etymologii pragnąłbym dodać, że czarownicę nazywamy też „wiedźmą”, które to określenie pochodzi od słowa „wiedza”, czyli „mądrość”. To słowo używane tylko w rodzaju żeńskim, co może tłumaczyć, dlaczego większość czarownic to kobiety, jak również wskazywać na to, że nasi przodkowie wiedzieli coś, o czym my nie wiemy. Ponadto nazwa „Sztuka” jest skrótem słów „Sztuka Mądrości”. Czy mam rację?

– Co? Och, jasne! Mądrość. O to właśnie chodzi w Starej Wierze.

– Dobrze. Posłuchaj mnie uważnie, synu. Mądrość polega również na tym, żeby nie popadać w gniew bez potrzeby. Prawo nie zwraca uwagi na drobiazgi i człowiek mądry postępuje podobnie. Mam na myśli takie drobiazgi jak ten, że młoda dziewczyna tłumaczy niewiernym, co to jest

athame, co nie jest znowu taką wiedzą tajemną, a stary dureń używa niewłaściwego określenia. Rozumiesz?

Jerry ponownie odczekał dłuższy moment, po czym powtórzył cicho:

– Pytałem, czy mnie zrozumiałeś.

Culverson odetchnął głęboko.

– Tak jest. Mądry człowiek nie zwraca uwagi na drobiazgi.

– W porządku. Czy zjesz jeszcze kawałek pieczeni?

Culverson umilkł na pewien czas. Podobnie jak ja i Sybil. Katie, Jerry i Margrethe podtrzymywali rozmowę, ignorując fakt, że jeden z gości został przed chwilą publicznie zbesztany. W końcu Sybil zapytała:

– Tato, czy chcecie z mamą, żebym wzięła udział w piątkowym nabożeństwie ku czci ognia?

– Trudno powiedzieć, że chcemy – odparł Jerry. – Wybrałaś już przecież swój Kościół. Można co najwyżej powiedzieć: „mamy nadzieję”.

– Sybil, dzisiaj wydaje ci się, że niepotrzebny ci żaden inny Kościół poza twoim zgromadzeniem czarownic – dodała Katie – ale to może się zmienić… i, o ile wiem, Stara Wiara nie zabrania swoim wyznawcom brać udziału w obrzędach innych religii.

– To skutek stuleci, tysiącleci prześladowań, pani Farnsworth – wtrącił Culverson. – Nasze prawa nadal mówią, że każdy wyznawca musi należeć do jakiegoś powszechnie akceptowanego Kościoła. W dzisiejszych czasach nie staramy się już jednak nikogo do tego zmuszać.

– Rozumiem – powiedziała Katie. – Dziękuję ci, Roderick. Sybil, ponieważ twój nowy Kościół zachęca do członkostwa w innych, byłoby nieźle, gdybyś chodziła na nabożeństwa w miarę regularnie, po prostu ze względu na opinię. To może ci się jeszcze przydać.

– No właśnie – zgodził się jej ojciec. – Chodzi o opinię. Czy przyszło ci kiedykolwiek do głowy, córeczko, iż to, że twój tata jest niezłomną podporą kongregacji z książeczką czekową zawsze pod ręką, i to, że sprzedaje więcej cadillaców niż jakikolwiek inny pośrednik w Teksasie, mogą mieć coś wspólnego?

– Tato, to brzmi całkiem bezwstydnie.

– Zgadza się. W ten sposób sprzedaje się cadillaki. Nie używaj też nazwy „kult ognia”. Wiesz, że jest niewłaściwa. Oddajemy cześć nie płomieniowi, lecz temu, co on reprezentuje.

Sybil zmięła serwetkę. Przez chwilę wyglądała na zakłopotaną trzynastolatkę, a nie na dojrzałą kobietę, co sugerowało jej ciało.

– W tym właśnie problem, tato. Od urodzenia płomień oznaczał dla mnie oczyszczanie, uzdrawianie i niekończące się życie, dopóki nie zaczęłam studiować Sztuki. Jej historii. Tato, dla czarownicy… ogień oznacza sposób, w jaki nas zabijają!

Byłem tak wstrząśnięty, że niemal przestałem oddychać. Mam wrażenie, że nie dotarło do mnie naprawdę, na poziomie emocjonalnym, że tych dwoje – niesympatyczny, lecz niczym niewyróżniający się wyrostek i młoda, rozkoszna dziewczyna… córka Katie i Jerry’ego, naszych niezrównanych dobrych Samarytan – było *czarownikami*!

Tak, tak. Znam to. Księga Wyjścia dwadzieścia dwa, werset siedemnasty: „Nie pozwolisz żyć czarownicy”. Równie uroczysty nakaz, co dziesięcioro przykazań danych Mojżeszowi bezpośrednio przez Boga w obecności wszystkich dzieci Izraela…

Co więc robię, dzieląc się chlebem z czarownikami?

Nazwijcie mnie tchórzem. Nie wstałem, aby ich potępić.

Siedziałem spokojnie.

– Och, kochanie! To było dawno temu, w Średniowieczu. Nie dzisiaj, nie tu i nie teraz – stwierdziła Katie.

Culverson odparł:

– Pani Farnsworth, każdy z nas wie, że polowania na czarownice mogą się w każdej chwili zacząć od nowa. Wystarczy nawet jeden rok złych plonów. Poza tym Salem wcale nie wydarzyło się tak dawno temu. Ani tak daleko. Chrześcijanie jeszcze nie wymarli – ciągnął. – Gdyby tylko mogli, znowu podpaliliby stosy. Jak w Salem.

To była wspaniała okazja do tego, aby trzymać gębę na kłódkę. Zamiast tego palnąłem:

– W Salem nie spalono żadnej czarownicy.

Spojrzał na mnie.

– A co ty możesz o tym wiedzieć?

– Palono je w Europie, nie u nas. W Salem czarownice powieszono, oprócz jednej, którą sprasowano na śmierć. (Nigdy nie powinni byli używać ognia. Pan Bóg nakazał nam, byśmy nie pozwolili im żyć, a nie skazywali na śmierć w męczarniach).

Spojrzał na mnie ponownie.

– No i co z tego? Uważasz, że to było słuszne?

– Nic takiego nie powiedziałem! (Wybacz mi, dobry Boże!)

– Nakazuję przerwać tę dyskusję! – wtrącił się Jerry. – Nie będziemy więcej poruszać tego tematu przy stole. Sybil, nie musisz brać udziału w nabożeństwie, jeśli cię to denerwuje lub przypomina ci o tragicznych wydarzeniach. Skoro już mowa o wieszaniu, to co zrobimy z tym obrońcą Dallas Cowboys?

Po dwóch godzinach Jerry Farnsworth i ja ponownie zasiedliśmy w tym samym pokoju. Tym razem był to Remington numer trzy – za oknami śnieżna burza, od czasu do czasu zimny powiew nad podłogą. W pewnej

chwili usłyszałem odległe wycie wilka. Ogień w kominku był czystą przyjemnością. Farnsworth nalał nam kawy i podał brandy w kieliszkach tak wielkich, że mogłyby w nich pływać złote rybki.

– Słyszałeś o szlachetnej brandy – powiedział – jak Napoleon czy Carlos Primero. To jest królewska brandy. Tak królewska, że ma hemofilię.

Zakrztusiłem się. Nie spodobał mi się ten żart. Wciąż miałem mdłości wywołane myślą o czarownicach. Umierających czarownicach. Wierzgających piętami w powietrzu lub tańczących w płomieniach. Wszystkie miały słodką twarz Sybil. Czy Biblia podaje gdzieś definicję „czarownicy”? Czy to możliwe, że ci współcześni adepci Sztuki byli czymś zupełnie innym niż to, co Jehowa rozumiał pod słowem „czarownica”?

Nie wykręcaj się, Alec! Załóżmy, że „czarownica” w Księdze Wyjścia oznacza dokładnie to samo co w dzisiejszym Teksasie. Jesteś sędzią, a ona przyznała się do winy. *Czy potrafisz skazać nastoletnią córkę Katie na śmierć przez powieszenie?* Czy uruchomisz zapadnię? Nie wykręcaj się, chłopcze. Wykręcałeś się całe życie.

Poncjusz Piłat umył ręce.

Nie skażę czarownicy na śmierć! Wybacz mi, Panie. Nie mogę tego uczynić.

– Za sukces twojego przedsięwzięcia – powiedział Jerry – twojego i Margie. Pij to powoli. W ten sposób nie upijesz się. To tylko uspokoi twoje nerwy i wzmocni twój rozum. No więc, Alec, powiedz mi teraz, dlaczego spodziewasz się końca świata.

Przez następną godzinę wymieniłem mu wszystkie dowody, podkreślając, że nie tylko jedno, lecz wiele proroctw zgadzało się co do znaków: Apokalipsa, Daniel, Ezechiel, Izajasz, Paweł w listach do Tesaloniczan i do Koryntian oraz sam Jezus we wszystkich czterech Ewangeliach po kolei.

Ku mojemu zdziwieniu Jerry miał egzemplarz Biblii. Wybrałem cytaty łatwe do zrozumienia dla laika. Zapisałem mu rozdziały i wersety, aby mógł przestudiować je później. Oczywiście Pierwszy List do Tesaloniczan 4,15-17 i dwudziesty czwarty rozdział Ewangelii według Świętego Mateusza – wszystkie pięćdziesiąt jeden wersetów, następnie te same proroctwa u Łukasza, w tym 21,32 z jego wzmianką o „tym pokoleniu", co wielu wprowadziło w błąd. W rzeczywistości Chrystus powiedział, że pokolenie, które ujrzy zapowiedziane znaki, dożyje chwili Jego powrotu, usłyszy głos i doświadczy dnia sądu. Sens jest jasny, jeśli przeczyta się *całość*. Błędy wzięły się stąd, że wybierano jedynie fragmenty, pomijając resztę. Przypowieść o drzewie figowym wyjaśnia tę sprawę.

Wybrałem także dla niego w Izajaszu, Danielu i innych księgach proroctwa starotestamentowe odpowiadające proroctwom Nowego Testamentu. Wręczyłem mu tę listę proroctw z naleganiem, aby przestudiował je dokładnie, a jeśli napotka jakieś trudności, przeczytał po prostu więcej. A przede wszystkim zwrócił się do Boga.

– Proście, a będzie wam dane! Szukajcie, a znajdziecie!

– Mogę się zgodzić z jednym, Alec – powiedział. – Wydarzenia ostatnich miesięcy przywodzą mi na myśl Armagedon. Może do niego dojść nawet jutro wieczorem. Równie dobrze mógłby to być koniec świata i sąd ostateczny, gdyż tym razem nie będzie co zbierać. – Zrobił smutną minę. – Kiedyś martwiłem się, w jakim świecie będzie dorastać Sybil. Teraz się martwię, czy w ogóle dorośnie.

– Jerry, zajmij się tym! Odnajdź drogę do łaski! A potem powiedź do niej swoją żonę i córkę! Nie potrzebujesz mnie ani nikogo oprócz Jezusa. On powiedział: „Oto stoję u drzwi i kołaczę: jeśli kto posłyszy mój głos i drzwi otworzy, wejdę do niego". Apokalipsa 3,20.

– Ty wierzysz.

– Tak.

– Alec, też chciałbym w to uwierzyć. Przyniosłoby mi to pociechę, biorąc pod uwagę wszystko, co się dzieje na świecie. Nie widzę jednak dowodów w snach dawno zmarłych proroków. Można z nich odczytać, co się chce. Teologia nie przynosi żadnego pożytku. Jest jak szukanie w ciemnej piwnicy o północy czarnego kota, którego tam nie ma. Teologowie potrafią wmówić sobie wszystko. Och, w moim Kościele też, ale przynajmniej są uczciwymi panteistami. Każdy, kto potrafi oddawać cześć Trójcy, twierdząc, że jego religia jest monoteistyczna, jest w stanie uwierzyć w cokolwiek, jeśli tylko będzie miał czas wymyślić odpowiednie uzasadnienie. Wybacz mi szczerość.

– Jerry, w sprawach religii szczerość jest niezbędna. „Ja wiem: Wybawca mój żyje, na ziemi wystąpi jako ostatni”. To znowu Hiob, rozdział dziewiętnasty. On jest także twoim Wybawcą, Jerry. Modlę się, abyś Go odnalazł.

– Obawiam się, że to mało prawdopodobne.

Jerry wstał z krzesła.

– Nie odnalazłeś Go dotąd. Nie poddawaj się! Będę się modlił za ciebie.

– Dziękuję ci za to i za twoje wysiłki. Jak buty?

– Całkiem wygodne.

– Jeśli nadal chcesz jutro ruszyć w drogę, musisz mieć buty, od których nie nabawisz się odcisków w drodze do Kansas. Czy jesteś pewien, że tego chcesz?

– Tak. Podobnie jak tego, że musimy was opuścić. Gdybyśmy zostali jeszcze dzień, rozpuścilibyście nas tak, że nie wyruszylibyśmy już nigdy.

(Nie powiedziałem mu jednak, że czarostwo i kult ognia wyprowadziły mnie z równowagi do tego stopnia, że musiałem wyjechać. Nie mogłem go winić za swoją słabość).

– Chodź, zaprowadzę cię do sypialni. Tylko cicho. Margrethe mogła już zasnąć. Chyba że nasze panie zasiedziały się jeszcze dłużej niż my.

Przy drzwiach sypialni wyciągnął do mnie rękę.

– Na wypadek, gdybyś ty miał rację, a ja był w błędzie, przyznaj, że ty również możesz się potknąć.

– To prawda. Nie jestem w stanie łaski, jeszcze nie. Muszę nad tym popracować.

– Cóż, życzę ci szczęścia… Gdybyś jednak się potknął, wpadniesz do mnie w piekle, co?

Odniosłem wrażenie, że Jerry mówi zupełnie poważnie.

– Nie wiem, czy wolno to robić.

– Postaraj się. Ja zrobię to samo. Obiecuję ci – uśmiechnął się – piekielne przyjęcie. Naprawdę gorące!

Odpowiedziałem mu uśmiechem.

– Trzymam cię za słowo.

Po raz kolejny moja ukochana zasnęła, nie rozbierając się. Uśmiechnąłem się do niej bezgłośnie i położyłem przy niej, kładąc jej głowę na moim ramieniu. Zamierzałem pozwolić jej obudzić się powoli, a potem rozebrać biedactwo i położyć do łóżka. Tymczasem musiałem rozważyć tysiące – no, może dziesiątki – myśli.

Po chwili dotarło do mnie, że robi się jasno. A potem stwierdziłem, że leżymy na czymś nierównym i drapiącym. Gdy zrobiło się jaśniej, zauważyłem, że znajdujemy się w stodole, rozciągnięci na belach siana.

Rozdział XIX

„Achab odpowiedział na to Eliaszowi:
»Już znalazłeś mnie, mój wrogu?«
Wówczas rzekł: »Znalazłem, bo zaprzedałeś się,
żeby czynić to, co jest złe w oczach Pana«”.

Pierwsza Księga Królewska 21,20

Ostatnie dziewięćdziesiąt mil autostradą 66 z Clinton do Oklahoma City pokonaliśmy, prąc nieustępliwie naprzód i nie zwracając uwagi na fakt, że byliśmy znowu bez grosza i nie mieliśmy co jeść ani gdzie spać.

Widzieliśmy sterowiec.

To, rzecz jasna, zmieniało wszystko. Od miesięcy byłem nikim wywodzącym się znikąd, pozbawionym pieniędzy, niepotrafiącym niczego poza zmywaniem naczyń, słowem, włóczęgą. Lecz w moim rodzinnym świecie – dobrze płatna praca, otoczona szacunkiem pozycja społeczna, solidne konto w banku. Nareszcie koniec tego piekielnego wałęsania się po różnych światach.

Wjeżdżaliśmy do Clinton późnym rankiem, podwiezieni przez farmera wiozącego do miasta swoje towary. Usłyszałem, jak Margrethe westchnęła głośno. Spojrzałem w tę samą stronę co ona. Tak jest. Srebrny, gładki i piękny. Nie zdołałem odczytać nazwy, lecz dostrzegłem znak Eastern Airlines.

– Ekspres z Dallas do Denver – oznajmił farmer, wyciągając zegarek z kieszeni ogrodniczek. – Spóźnił się sześć minut. To dziwne.

Starałem się ukryć podniecenie.

– Czy w Clinton jest lotnisko?

– Nie, nie. Najbliższe jest w Oklahoma City. Chcesz zostawić autostop i polecieć?

– Byłoby fajnie.

– No, jasne. Lepsze to niż robota na farmie.

Podtrzymywałem banalną rozmowę aż do chwili, gdy kilka minut później wysadził nas w pobliżu rynku. Ale gdy zostaliśmy sami z Margrethe, nie mogłem już dłużej zapanować nad sobą i zacząłem ją całować. Natychmiast jednak się powstrzymałem. Oklahoma jest równie moralna jak Kansas. W większości miejscowości istnieją surowe prawa zabraniające publicznego obłapiania się.

Zastanawiałem się, jak ciężko będzie mi powtórnie się przystosować po wielotygodniowym pobycie w licznych światach, z których żaden nie posiadał surowych zasad moralnych mojego świata rodzinnego. Trudno będzie uniknąć kłopotów, ponieważ (przyznajmy to!) przyzwyczaiłem się do całowania swojej żony w miejscach publicznych oraz do innych zachowań, które same w sobie są niewinne, lecz w moralnych społecznościach nigdy otwarcie się ich nie demonstruje. I, co ważniejsze, czy zdołam uchronić przed kłopotami moją ukochaną. Ja się tu urodziłem i zdołam wrócić do tutejszych obyczajów… lecz Marga była równie uczuciowa jak młody owczarek collie i nie wstydziła się w najmniejszym stopniu okazywania tego.

– Przepraszam, kochanie – powiedziałem. – Chciałem cię pocałować, nie mogę jednak tego zrobić.

– Dlaczego?

– Hmm. Nie mogę całować cię w miejscu publicznym. Nie tutaj. Tylko na osobności… No wiesz, „jeśli wejdziesz między wrony”. Ale to

nieważne. Kochanie, jesteśmy w domu! To jest w moim domu, ale teraz również twoim. Widziałaś sterowiec.

– To naprawdę był sterowiec?

– Niewątpliwie… To najpiękniejszy widok, jaki widziałem od miesięcy. Z tym, że… za wcześnie jeszcze się cieszyć. Wiemy, że niektóre z tych światów są do siebie bardzo podobne pod wieloma względami. Myślę, że istnieje pewna możliwość, iż jest to świat ze sterowcami… lecz nie mój. Nie wierzę w to oczywiście, ale nie cieszmy się przedwcześnie. (Nie zauważyłem, że Margrethe w ogóle się nie ucieszyła).

– W jaki sposób możesz stwierdzić, czy to twój świat?

– Możemy zrobić tak jak przedtem: sprawdzić to w bibliotece publicznej. Jest jednak szybszy i lepszy sposób. Chciałbym odszukać biuro telefoniczne Bella. Zapytam o nie w tym sklepie spożywczym.

Chciałem odnaleźć biuro, a nie zwykłą budkę telefoniczną, ponieważ, nim zadzwonię, zamierzałem sprawdzić w książce telefonicznej, czy to naprawdę mój świat. Tak! W biurze mieli książki z całej Oklahomy, jak również z ważniejszych miast w innych stanach, wliczając w to najlepiej mi znaną książkę telefoniczną Kansas City.

– Margrethe, spójrz! – Wskazałem jej palcem numer Centralnego Biura Kościołów Zjednoczonych na rzecz Obyczajności.

– Widzę.

– Czy to nie wspaniałe? Czy nie masz ochoty tańczyć i śpiewać?

– Bardzo się cieszę ze względu na ciebie, Alec.

(Zabrzmiało to jak: „Czy on nie wygląda jak żywy? I tyle tych pięknych kwiatów”).

Byliśmy sami w pomieszczeniu, gdzie znajdowały się książki telefoniczne, szepnąłem więc do niej zaniepokojony:

– Co się stało, kochanie? To szczęśliwe wydarzenie. Nie widzisz tego? Gdy tylko zdołam się dodzwonić, zdobędziemy pieniądze. Koniec z czarną robotą. Nie będziemy się już martwić o to, co będziemy jeść ani gdzie spać. Pojedziemy prosto do domu pulmanem. Nie, polecimy sterowcem! Spodoba ci się, na pewno! To będzie nasz miesiąc miodowy, kochanie. Przedtem nie mogliśmy sobie na to pozwolić.

– Nie możesz mnie zabrać do Kansas City.

– Dlaczego?

– Alec… tam jest twoja żona.

Uwierzcie mi, gdy wam mówię, że nie pomyślałem o Abigail ani razu przez wiele, wiele tygodni. Byłem przekonany, że nigdy już jej nie zobaczę (powrót do świata rodzinnego był zupełną niespodzianką), a poza tym miałem teraz żonę, najlepszą, jakiej tylko można pragnąć – Margrethe.

Ciekaw jestem, czy zwłoki przeżywają podobny szok, gdy uderzają w nie pierwsze grudy ziemi.

Zdołałem jednak przyjść do siebie. W pewnej mierze.

– Marga, posłuchaj, co zrobimy. Tak, mamy problem, ale możemy go rozwiązać. Rzecz jasna, pojedziesz ze mną do Kansas City! Musisz to zrobić. Lecz na miejscu, ze względu na Abigail, znajdę dla ciebie jakieś ciche miejsce, w którym będziesz mogła się ukryć, zanim załatwię sprawy. (Załatwię? Abigail wywoła piekielną awanturę). Najpierw muszę się dostać do swoich pieniędzy. Potem udać się do adwokata. (Rozwód? W stanie, gdzie istnieje tylko jeden powód rozwodu i przyznaje się go wyłącznie poszkodowanej stronie? Margrethe w roli tej drugiej kobiety? To niemożliwe. Czy pozwoliłbym, żeby zakuto ją w dyby? Wygnano publicznie z miasta, gdyby Abigail tego zażądała? Nieważne już, co stanie się ze mną, nieważne, że Abigail obdarłaby mnie z ostatniego centa. Nie mogę dopuścić, żeby Margrethe nosiła szkarłatną literę, jak tego wymagają

prawa mojego świata. Nie!) Potem pojedziemy do Danii. (Nie, rozwód nie wchodzi w rachubę).

– Naprawdę?

– Oczywiście. Kochanie, jesteś moją żoną, teraz i na zawsze. Nie mogę zostawić cię tutaj, dopóki nie załatwię spraw w Kansas City. Mogłoby dojść do kolejnej zmiany i utraciłbym cię. Nie możemy jednak pojechać do Danii, póki nie dostanę swoich pieniędzy. Jasne? (A co, jeśli Abigail wybrała wszystko z mojego konta?)

– Zgoda, Alec. Pojedziemy do Kansas City.

(To częściowo rozwiązywało sprawy. Lecz wciąż istniała Abigail. Nie szkodzi. Spalę za sobą ten most w chwili, gdy do niego dotrę).

Pół minuty później stanąłem przed następnym problemem.

Z pewnością telefonistka zamówi dla mnie rozmowę długodystansową na koszt odbiorcy. Kansas City? Opłata wstępna za rozmowę z Kansas City – zarówno w Kansas, jak i w Missouri – wynosiła dwadzieścia pięć centów. Proszę wrzucić monetę w chwili, gdy panu powiem. Budka druga.

Wszedłem do budki i zacząłem grzebać w kieszeni w poszukiwaniu monet. Wyłożyłem je wszystkie.

Dwudziestocentówka.

Dwa trzypensowe miedziaki.

Kanadyjska dwudziestopięciocentówka z podobizną królowej. (Królowej?)

Półdolarówka.

Trzy pięciocentówki, mniejsze od naszych.

Na żadnej z tych monet nie widniało znajome motto Unii Północnoamerykańskiej „Bóg jest naszą twierdzą”.

Spojrzałem na tę zbieraninę, usiłując ustalić, kiedy nastąpiła ostatnia zmiana. Niewątpliwie po mojej ostatniej wypłacie, która była wczoraj po

południu, zanim jednak złapaliśmy okazję dzisiaj po śniadaniu. Gdy spaliśmy? Nie straciliśmy ubrań ani pieniędzy. Wyczuwałem nawet maszynkę do golenia w kieszeni na piersi. Nieważne – wszelkie próby zrozumienia szczegółów tych zmian prowadziły nieuchronnie do szaleństwa. Zmiana się odbyła. Znalazłem się w swoim rodzinnym świecie… i z tego powodu nie miałem pieniędzy. Przynajmniej oficjalnie uznawanych.

Z braku czegoś lepszego ta kanadyjska dwudziestopięciocentówka zaczęła mi się straszliwie podobać. Nie próbowałem sobie wmówić, że siódme przykazanie nie ma zastosowania do wielkich korporacji. Zamiast tego obiecałem sobie, że spłacę ten dług. Wziąłem monetę i podniosłem słuchawkę.

– Proszę podać numer.

– Zamawiam rozmowę do Kościołów Zjednoczonych na rzecz Obyczajności w Kansas City, stan Kansas. Numer – linia państwowa 1224J. Na koszt odbiorcy. Mogę mówić z każdym, kto podniesie słuchawkę.

– Proszę wrzucić monetę.

Wrzuciłem kanadyjską dwudziestopięciocentówkę i wstrzymałem oddech. Usłyszałem, jak wleciała do środka – brzdęk-brzdęk-brzdęk. Centrala odezwała się:

– Dziękuję. Proszę czekać i nie odwieszać słuchawki.

Czekałem. I czekałem. I czekałem.

– Telefon do Kansas City? Kościoły Zjednoczone na rzecz Obyczajności odpowiedziały, że nie przyjmują rozmów na koszt odbiorcy.

– Chwileczkę. Proszę im powiedzieć, że dzwoni wielebny Alexander Hergensheimer.

– Dziękuję. Proszę wrzucić dwadzieścia pięć centów.

– Halo! Nic nie uzyskałem za pierwszą monetę. Za szybko przerwaliście rozmowę.

– My jej nie przerwaliśmy. To w Kansas City odwiesili słuchawkę.

– Proszę więc zadzwonić po raz drugi i powiedzieć im, żeby tym razem tego nie robili.

– Tak jest. Proszę wrzucić dwadzieścia pięć centów.

– Czy sądzi pani, że zamawiałbym rozmowę na koszt odbiorcy, gdybym miał przy sobie masę drobnych? Proszę się z nimi połączyć i powiedzieć, kim jestem. Wielebny Alexander Hergensheimer, zastępca dyrektora.

– Proszę czekać.

Znowu więc czekałem. I czekałem.

– Wielebny? Rozmówca w Kansas City kazał panu powiedzieć, że nie przyjmą rozmów na koszt odbiorcy nawet – cytuję – od samego Jezusa Chrystusa.

– Nie wolno tak mówić przez telefon. Ani przy żadnej innej okazji.

– Zgadzam się. To jeszcze nie koniec. Ten ktoś kazał panu powtórzyć, że nigdy o panu nie słyszał.

– Ten… – Zamknąłem usta. Nie potrafiłbym wyrazić swoich uczuć w sposób nieuwłaczający godności osoby duchownej.

– W istocie. Spytałam go o nazwisko, ale odwiesił słuchawkę.

– Młody człowiek? Stary? Bas, tenor, baryton?

– Chłopięcy sopran. Odniosłam wrażenie, że to chłopiec na posyłki odbierający telefony w czasie przerwy obiadowej.

– Rozumiem. W każdym razie dziękuję, że się pani trudziła, moim zdaniem bardziej, niż wymagały tego pani obowiązki.

– Cała przyjemność po mojej stronie, wielebny.

Wyszedłem z budynku wściekły na siebie. Nie wyjaśniłem tego Margrethe, dopóki nie oddaliliśmy się na bezpieczną odległość.

– Wpadłem we własne sidła, kochanie. To ja wydałem polecenie, żeby nie przyjmować rozmów na koszt odbiorcy. Analiza połączeń przekonała mnie ponad wszelką wątpliwość, że takie telefony nigdy nie przynosiły korzyści naszemu towarzystwu. W dziewięciu przypadkach na dziesięć były to prośby o pieniądze, a my nie jesteśmy instytucją dobroczynną. Zbieramy pieniądze, a nie rozdajemy je. Dziesiątym rozmówcą był zawsze ktoś, kto chciał nam narobić kłopotów, albo stuknięty. Wprowadziłem więc to zarządzenie… i wymusiłem jego przestrzeganie. Skutki były widoczne natychmiast. Zaoszczędziłem setki dolarów rocznie na samych rachunkach telefonicznych. – Uśmiechnąłem się z wysiłkiem. – Nigdy nie myślałem, że wpadnę we własne sidła.

– Co teraz zamierzasz, Alec?

– Teraz? Udać się na autostradę 66 i zacząć machać kciukiem. Chciałbym, żebyśmy przed piątą dotarli do Oklahoma City. Powinno być łatwo. To niezbyt daleko.

– Tak jest, sir. Czy wolno zapytać, dlaczego przed piątą?

– Zawsze możesz pytać o wszystko i doskonale o tym wiesz, więc przestań udawać Cierpliwą Gryzeldę. Chodzisz osowiała, odkąd zobaczyliśmy ten sterowiec. Powód jest taki, że w Oklahoma City znajduje się okręgowe biuro Kościołów Zjednoczonych na rzecz Obyczajności i chcę tam dotrzeć przed jego zamknięciem. Zobaczysz, jakie królewskie przyjęcie nam tam zgotują, maleńka! Dostańmy się do Oke City i nasze kłopoty się skończą.

Całe popołudnie przypominało mi brodzenie przez sorgo. Styczniowe. Nie mieliśmy trudności ze złapaniem okazji, lecz podwożono nas jedynie po kawałku. Poruszaliśmy się ze średnią prędkością dwudziestu mil na

godzinę po autostradzie, po której można było jechać sześćdziesiąt. Straciliśmy pięćdziesiąt pięć minut na dobrą sprawę – darmowy posiłek. Po raz enty kierowca kupił nam coś do jedzenia, gdy sam jadł obiad… tylko dlatego, że chyba żaden prawdziwy mężczyzna nie mógłby zjeść posiłku, nie zapraszając Margrethe, aby zjadła z nim, jeśli znalazła się w jego towarzystwie. (Sam dostaję jeść tylko dlatego, że jestem jej własnością. Ale nie skarżę się na to).

Zjedliśmy obiad w dwadzieścia minut, po czym kierowca zmarnował pół godziny i niezliczone dwudziestopięciocentówki na grę w bilard elektryczny… podczas gdy ja stałem obok, zaciskając zęby, a Margrethe stanęła tuż przy nim, bijąc brawo i piszcząc z zachwytu, gdy uzyskał dobry wynik. Lecz jej wyczucie jest niezawodne. Dzięki temu podwiózł nas do Oklahoma City, a następnie przejechał przez sam środek miasta, choć mógł skorzystać z obwodnicy, i o czwartej dwadzieścia wysadził na skrzyżowaniu trzydziestej szóstej i Lincolna, tylko dwie przecznice od naszego biura.

Przeszedłem ten dystans, pogwizdując.

– Uśmiechnij się, kochanie – powiedziałem. – Za miesiąc, albo wcześniej, zjemy obiad w Tivoli.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Tyle mi o tym opowiadałaś, że nie mogę się doczekać. Oto i nasz budynek.

Nasze biuro mieści się na piętrze. Zrobiło mi się ciepło na sam widok drzwi, na których szybie widniał napis:

KOŚCIOŁY ZJEDNOCZONE NA RZECZ OBYCZAJNOŚCI

– Ty pierwsza, najdroższa! – Szarpnąłem klamkę, aby otworzyć przed nią drzwi.

Były zamknięte.

Zacząłem w nie walić, potem dostrzegłem dzwonek i nacisnąłem go. Następnie zacząłem pukać i dzwonić na zmianę. I od nowa. W korytarzu pojawił się Negr niosący kubeł i szczotkę. Gdy chciał nas minąć, zawołałem:

– Hej, wuju! Masz klucz do tego pokoju?

– Nic z tego, szefie. Nie ma tam nikogusieńko. Jak zawsze zamknęli o czwartej i poszli.

– Rozumiem. Dziękuję.

– Nie ma sprawy, szefie.

Znalazłszy się ponownie na ulicy, uśmiechnąłem się głupkowato do Margrethe.

– Królewskie przyjęcie. Zamykają o czwartej. Kiedy kota nie ma, myszy harcują. Daję słowo, że polecą głowy. Nie przychodzi mi już na myśl żaden inny banał pasujący do tej sytuacji. Chyba, że taki: Żebracy nie mogą wybrzydzać. Czy zechcesz spać dziś w parku, moja pani? Noc będzie ciepła, nie zapowiadają deszczu. Bez dopłaty za pchły piaskowe i komary.

Spaliśmy na polu golfowym w parku Lincolna, na trawie przypominającej żywy jedwab pełen pcheł piaskowych.

Mimo to przespaliśmy całą noc. Wstaliśmy rano, gdy pojawili się pierwsi gracze, i zeszliśmy z pola nieco tylko przybrudzeni.

Po umyciu się w publicznej umywalni w parku spotkaliśmy się ponownie, czystsi i odświeżeni, ja dopiero co ogolony, a oboje opici darmową wodą zamiast śniadania. Odczuwałem ogólną wesołość.

Było zbyt wcześnie, aby ci samozwańczy playboye z biura przyszli już do roboty, gdy więc napotkaliśmy policjanta, zapytałem go, gdzie jest

biblioteka publiczna, po czym dodałem:

– Przy okazji, gdzie tu jest port lotniczy?

– Co takiego?

– No, lądowisko sterowców.

Gliniarz zwrócił się w stronę Margrethe.

– Proszę pani, czy coś z nim nie tak?

Pół godziny później poczułem, że faktycznie coś ze mną nie tak – gdy sprawdziłem listę instytucji mieszczących się w budynku, który odwiedziliśmy poprzedniego południa. Nie byłem jednak zdziwiony, gdy stwierdziłem, że Kościołów Zjednoczonych na rzecz Obyczajności na niej nie ma. Aby się upewnić, udałem się na piętro. W tym pomieszczeniu znajdowała się obecnie firma ubezpieczeniowa.

– No tak, kochanie. Chodźmy do biblioteki publicznej. Dowiemy się, jaki jest ten nowy świat.

– Tak, Alec. – Margrethe odzyskała dobry humor. – Przykro mi, kochanie, że jesteś rozczarowany… ale ja odczuwam ulgę. Tak strasznie bałam się samej myśli o spotkaniu z twoją żoną.

– To ci nie grozi. W żadnym razie. Daję słowo. Hmm, też odczułem ulgę. Poza tym jestem głodny.

Przeszliśmy jeszcze kilka kroków.

– Alec, nie gniewaj się.

– Najwyżej mogę cię zdzielić w zęby. O co chodzi?

– Mam pięć dwudziestopięciocentówek. Ważnych.

– W takim momencie powinienem zapytać: „Córko, czy dobrze się prowadziłaś w Filadelfii?”. No gadaj. Kogo zabiłaś? Czy dużo było krwi?

– Wczoraj. Przy tym bilardzie. Za każdym razem, gdy Harry wygrywał, dawał mi jedną monetę. „Na szczęście”, mówił.

Postanowiłem jej nie zbić. Rzecz jasna, to nie były „ważne” monety, okazały się jednak wystarczająco do nich podobne, aby pasować do automatów. Minęliśmy tani lokal, jeden z tych, gdzie zawsze pełno jest automatów z żywnością. Tu też tak było. Ceny były potwornie wysokie – pięćdziesiąt centów za małą, zleżałą kanapkę, dwadzieścia pięć za kawałek czekolady. Ale było to lepsze niż część śniadań, jakie spożywaliśmy podczas wędrówki. Nie można też było tego nazwać kradzieżą, ponieważ dwudziestopięciocentówki z mojego świata były z prawdziwego srebra. Następnie udaliśmy się do biblioteki publicznej, aby ustalić, w jakim świecie się znaleźliśmy.

Dowiedzieliśmy się szybko.

W świecie Margi.

Rozdział XX

„Ucieka występny, choć go nikt nie goni,
lecz prawy jest ufny jak młody lew”.

Księga Przysłów 28,1

Margrethe była równie podekscytowana jak ja poprzedniego dnia. Kipiała radością. Uśmiechała się nieustannie. Wyglądała jak szesnastolatka. Rozejrzałem się za bezpiecznym miejscem – gdzieś za półkami z książkami czy gdzieś – w którym mógłbym ją pocałować bez obawy, że nas nakryją. Potem przypomniałem sobie, że to świat Margrethe, w którym takie rzeczy nikogo nie obchodziły… złapałem ją więc tam, gdzie stała, i ucałowałem jak należy.

Po czym zafasowałem połajankę od bibliotekarki.

Nie, nie za to, co zrobiłem, lecz za towarzyszący temu hałas. Publiczne pocałunki nie uchodziły w tej bibliotece za naruszenie przyzwoitości. Nic dziwnego. Podczas gdy obiecywałem solennie, że będę już cicho, i przepraszałem za naruszenie spokoju, zauważyłem napis nad półką tuż przy biurku bibliotekarki:

„Nowości. PORNOGRAFIA EDUKACYJNA – wiek od 6 do 12”.

Po piętnastu minutach ponownie machałem kciukiem, tym razem na autostradzie 77 prowadzącej do Dallas.

Dlaczego Dallas? Kancelaria adwokacka O’Hara, Rigsbee, Crumpacker i Rigsbee.

Gdy tylko wyszliśmy z biblioteki, Marga zaczęła mówić podnieconym głosem, że będzie mogła teraz położyć kres naszym kłopotom dzięki swojemu kontu w banku w Kopenhadze.

– Zaczekaj minutkę, kochanie – powiedziałem. – Gdzie twoja książeczka czekowa? I dokument stwierdzający tożsamość?

Jak się okazało, Margrethe mogła pobrać pieniądze ze swego konta w Danii po kilku dniach – oceniając rzecz bardzo optymistycznie – lub kilku tygodniach – patrząc realnie… a nawet ten dłuższy okres wymagał wydania pokaźnej sumy na kablogramy. Telefon przez Atlantyk? Marga nie sądziła, żeby istniało coś takiego. (A nawet gdyby tak było, najprawdopodobniej kablogramy były tańsze i pewniejsze).

Nawet po załatwieniu wszystkich formalności mogło się okazać, że trzeba będzie przesłać pieniądze pocztą z Europy – w świecie, gdzie nie istniała poczta lotnicza.

Tak więc skierowaliśmy się do Dallas. Zapewniłem Margę, że w najgorszym razie adwokaci Aleca Grahama udzielą mu pożyczki wystarczającej na to, abyśmy mogli znaleźć sobie jakieś miejsce, a przy odrobinie szczęścia może uda się nam podjąć większą sumę.

(Mogli też nie rozpoznać we mnie Aleca Grahama i udowodnić, że nim nie byłem – za pomocą odcisków palców, podpisu czy czegokolwiek – i w ten sposób pochować na zawsze ducha „Aleca Grahama” w słodkiej, lecz zmąconej głowie Margrethe. O tym jej jednak nie wspomniałem).

Z Oklahoma City do Dallas jest dwieście mil. Przybyliśmy tam o drugiej, złapawszy na skrzyżowaniu autostrad 66 i 77 okazję, która zawiozła nas do samej teksaskiej metropolii.

Wysadzono nas na skrzyżowaniu autostrad 77 i 80 koło Trinity River, skąd udaliśmy się na piechotę do Budynku Smitha. Zajęło nam to pół godziny.

Recepcjonistka w apartamencie 7000 przypominała jedną z tych aktorek występujących w przedstawieniach, na walkę z którymi nasze towarzystwo wydaje tak wiele pieniędzy. Miała coś na sobie, nie było tego jednak zbyt wiele, a jej makijaż należał do tych, które Marga określała jako „stylowe". Była młoda i ładna, a ja, w swej świeżo nabytej tolerancji, napawałem się tym grzesznym widokiem.

Uśmiechnęła się, mówiąc:

– W czym mogę wam pomóc?

– To dobry dzień na grę w golfa. Który ze wspólników został w biurze?

– Obawiam się, że tylko pan Crumpacker.

– Z nim właśnie chciałem się widzieć.

– Kogo mam zapowiedzieć?

(Pierwsze potknięcie. A może to ona się potknęła?)

– Nie poznaje mnie pani?

– Niestety nie. A powinnam?

– Od jak dawna pani tu pracuje?

– Trochę dłużej niż trzy miesiące.

– To wszystko tłumaczy. Proszę powiedzieć Crumpackerowi, że przyszedł Alec Graham.

Nie mogłem usłyszeć, co powiedział Crumpacker, obserwowałem jednak jej oczy. Mam wrażenie, że źrenice jej się rozszerzyły. Jestem tego nawet pewien.

– Pan Crumpacker pana przyjmie – oznajmiła tylko, po czym zwróciła się do Margrethe: – Czy mogę dać pani jakieś czasopisma do poczytania, podczas gdy będzie pani czekać? A może chce pani skręta?

– Ona pójdzie ze mną.

– Ale…

– Chodź, Marga! – Skierowałem się szybko w stronę gabinetów.

Drzwi Crumpackera łatwo było odnaleźć, ponieważ dobiegało zza nich głośne utyskiwanie, które jednak ustało, gdy otworzyłem je przed Margrethe. Kiedy wszedłem do środka, Crumpacker oświadczył:

– Pani będzie musiała zaczekać na zewnątrz.

– Nie – sprzeciwiłem się, zamykając za sobą drzwi. – Pani Graham zostanie ze mną.

– Pani Graham? – zapytał zdumiony.

– Zdziwiłeś się, prawda? Od czasu, gdy się ostatnio widzieliśmy, zdążyłem się ożenić. Kochanie, to Sam Crumpacker, jeden z moich adwokatów (jego imię odczytałem z napisu na drzwiach).

– Jak się pan miewa, panie Crumpacker?

– Hmm. Miło mi panią poznać, pani Graham. Gratuluję. Tobie też, Alec. Zawsze miałeś dobre oko do panienek.

– Dziękuję – odparłem. – Usiądź, Marga!

– Chwileczkę, kochani! Pani Graham nie może tu zostać! Naprawdę nie może! Wiesz o tym przecież.

– Nic nie wiem o niczym podobnym. Tym razem mam zamiar mieć świadka.

Nie, nie byłem pewien, że jest oszustem. Ale nauczyłem się już dawno w kontaktach z członkami ciał ustawodawczych, że każdy, kto chce rozmawiać z tobą bez świadków, jest podejrzany. Dlatego Kościoły Zjednoczone na rzecz Obyczajności miały na wszystko świadków i zawsze działały w granicach prawa. W ten sposób było taniej.

Marga usiadła. Zrobiłem to samo. Crumpacker, który zerwał się z miejsca, gdy weszliśmy, stał nadal. Jego usta poruszały się nerwowo.

– Powinienem wezwać prokuratora federalnego.

– Proszę bardzo – zgodziłem się. – Tu jest telefon. Zadzwoń do niego. Spotkajmy się z nim obaj. Opowiedzmy mu wszystko. Przy świadkach.

Zaprośmy dziennikarzy. Wszystkich, nie tylko tych, których macie w kieszeni.

(Co wiedziałem? Nic. Kiedy jednak musisz blefować, zawsze rób to z rozmachem. Bałem się. Ten szczur mógł się odwrócić i walczyć jak zapędzona do kąta mysz, i to wściekła).

– Powinienem to zrobić.

– No, jazda! Podajmy wszystkie nazwiska. Powiedzmy, kto co zrobił i ile za to dostał. Chcę, żeby wszystko wyszło na jaw… zanim ktoś nasypie mi cyjanku do zupy.

– Nie mów takich rzeczy.

– A kto ma je mówić, jeśli nie ja? Kto wypchnął mnie za burtę? No, kto?

– Czemu patrzysz na mnie?

– Nie, Sam, nie uważam, że ty to zrobiłeś. Ciebie tam nie było. Mógł to być jednak jeden z twoich synów chrzestnych, co? – Uśmiechnąłem się do niego najszerszym z moich porozumiewawczych uśmiechów. – Tylko żartowałem, Sam. To niemożliwe, żeby mój stary przyjaciel chciał mnie zabić. Ale możesz mi pomóc i udzielić pewnych wyjaśnień. Sam, zostać wypchniętym za burtę na drugim końcu świata nie należy do przyjemności. Jesteś mi coś winien.

(Nie, nadal nic nie wiedziałem… nic poza oczywistym faktem, że stał przede mną człowiek o nieczystym sumieniu – należało więc go przycisnąć).

– Alec, nie róbmy niczego pośpiesznie.

– Mnie się nie śpieszy. Potrzebne mi są jednak wyjaśnienia. I pieniądze.

– Alec, daję ci słowo honoru, że wiem tylko, że gdy ten skandynawski statek zawinął do Portland, ciebie nie było na pokładzie. I, na miłość boską, musiałem jechać do Oregonu, żeby być świadkiem otwarcia twojej skrytki.

Okazało się, że w środku jest tylko sto tysięcy, a reszta zniknęła. Kto zabrał forsę, Alec? Kto to zrobił?

Wbił we mnie wzrok. Miałem nadzieję, że nie może nic odczytać z mojej twarzy. Niemniej ugodził mnie celnie. Czy to mogła być prawda? Ten krętacz potrafił kłamać jak najęty. Czy mój przyjaciel ochmistrz, sam albo na spółkę z kapitanem, obrabował moją skrytkę?

Jeśli to tylko możliwe, zawsze należy wybrać prostszą hipotezę.

Bardziej prawdopodobne wydawało się, że ten człowiek jest kłamcą, niż że ochmistrz był złodziejem. Było też prawdopodobne – nie, pewne – że kapitan musiałby być obecny przy tym, jak pan Henderson włamuje się do skrytki zaginionego pasażera. Jeżeli tych dwóch odpowiedzialnych oficerów, mających do stracenia pozycję zawodową i reputację, mimo to zmówiło się, aby mnie okraść, to po co zostawili w skrytce sto tysięcy dolarów? Dlaczego nie zabrać wszystkiego i nie twierdzić, że nie mają pojęcia, co było w środku… tak jak powinno być? Coś tu śmierdziało.

– Czego, jak twierdzisz, brakowało?

– Co? – Spojrzał na Margrethe. – Hmm, do diabła z tym. Powinno być dziewięćset kawałków więcej. To pieniądze, których nie przekazałeś na Tahiti.

– A kto tak powiedział?

– Co? Alec, nie pogarszaj sprawy. Pan Z. tak powiedział. Usiłowałeś utopić jego inkasenta.

Spojrzałem na niego i roześmiałem się.

– Chodzi ci o tych tropikalnych gangsterów? Chcieli zgarnąć cały szmal bez przedstawienia się, nie mówiąc już o pokwitowaniu. Powiedziałem im zdecydowane „nie”. Wtedy ich mózg wysłał swojego goryla, żeby mnie wrzucił do basenu. Hmm. Teraz to rozumiem, Sam. Sprawdź, kto wszedł na pokład *Konge Knut* w Papeete.

– Po co?

– To będzie twój człowiek. Nie tylko zwinął szmal, lecz również wypchnął mnie za burtę. Kiedy się dowiesz, kto to, nie zawracaj sobie głowy prośbą o ekstradycję. Podaj mi tylko jego nazwisko. Resztę załatwię osobiście.

– Do diabła, chcemy dostać ten milion.

– Myślicie, że uda się wam go odzyskać? Wylądował w łapach pana Z… a wy nie macie pokwitowania. Mnie zaś prośba o pokwitowanie przysporzyła wiele zmartwień. Nie bądź naiwny, Sam. Dziewięćset tysięcy przepadło. Ale nie moja prowizja. Dawaj sto kawałków. I to zaraz.

– *Co takiego?* Prokurator federalny w Portland zatrzymał je w charakterze dowodu.

– Sam, mój chłopcze, nie ucz ojca robić dzieci. Dowodu w jakiej sprawie? Kto jest podejrzany? Kto oskarżony? O jakie przestępstwo? Czy oskarżono mnie o to, że ukradłem coś z własnej skrytki? Jakie przestępstwo popełniono?

– Jak to jakie? Ktoś ukradł te dziewięćset kawałków!

– Doprawdy? A kto wniósł skargę? Kto potwierdzi, że w tej skrytce było dziewięćset tysięcy? Ja na pewno nikomu o tym nie powiedziałem. *A więc kto?* Podnieś słuchawkę, Sam, zadzwoń do prokuratora federalnego w Portland i zapytaj go, na jakiej podstawie zatrzymał te pieniądze. Kto wniósł skargę? Dojdźmy do sedna sprawy. Łap za słuchawkę, Sam. Jeśli ten federalny błazen ma moją forsę, zamierzam ją z niego wydusić.

– Masz wielką chętkę na rozmowy z prokuratorami! Dziwnie to brzmi w *twoich* ustach.

– Być może przeszedłem ostry atak uczciwości, Sam. To, że nie chcesz zadzwonić do Portland, powiedziało mi wszystko, co chciałem wiedzieć. Wezwano cię tam, abyś mnie reprezentował jako mój prawnik.

Amerykański pasażer wypadł za burtę na zagranicznym statku. To jasne, że natychmiast skontaktowali się z jego adwokatem, aby spisać stan posiadania zaginionego. Potem przekazali wszystko adwokatowi, a ten wręczył im pokwitowanie. Sam, co zrobiłeś z moim ubraniem?

– Jak to co? Oddałem na Czerwony Krzyż.

– Co proszę?

– Oczywiście po tym, jak prokurator mi je wydał.

– To ciekawe. Prokurator federalny zatrzymuje pieniądze, choć nikt nie wniósł skargi, że jakiekolwiek zginęły… ale wypuszcza z rąk ubranie, *gdy jedynym wchodzącym w grę przestępstwem jest morderstwo!*

– *Co takiego?*

– Ze mną w roli ofiary. Kto mnie wypchnął i kto mu za to zapłacił? Sam, obaj wiemy, gdzie są te pieniądze. – Podniosłem się z krzesła i wskazałem palcem. – W tym sejfie. Logicznie rzecz biorąc, muszą tu być. Nie zaniósłbyś ich do banku, gdyż to pozostawiłoby ślad. Nie schowałbyś ich też w domu, bo twoja żona mogłaby je znaleźć. A już z pewnością nie podzieliłbyś się ze wspólnikami. Sam, otwórz sejf. Chcę zobaczyć, czy w środku jest sto tysięcy… lub milion.

– Kompletnie zwariowałeś!

– Wezwijmy prokuratora! On będzie naszym świadkiem.

Rozwścieczyłem go tak, że zaniemówił. Ręce zaczęły mu drżeć. To niebezpieczne tak bardzo rozgniewać niskiego człowieka, a ja byłem od niego wyższy o sześć cali, mając przy tym odpowiednią przewagę w wadze i innych wymiarach. Nie rzuciłby się na mnie osobiście – był przecież prawnikiem – musiałbym jednak mieć się na baczności, przechodząc przez bramy i w innych sytuacjach. Pora spróbować go uspokoić.

– Oj, Sam, nie bierz tego tak poważnie. Przycisnąłeś mnie mocno, musiałem więc ci się odwzajemnić. Jeden dobry Bóg zna motywy

postępowania prokuratorów. Ten cwaniaczek na pewno zdążył już ukraść całą sumę w przekonaniu, że nie żyję, a więc nie będę się skarżył. Pojadę zatem do Portland i przycisnę go.

– Czeka tam na ciebie nakaz.

– Czyżby? W jakiej sprawie?

– Uwiedzenia z obietnicą małżeństwa. Jakaś dziewczyna z załogi statku.

Miał na tyle przyzwoitości, aby spojrzeć na Margrethe, szukając wybaczenia.

– Przepraszam, pani Graham, ale pani mąż mnie o to pytał.

– Nie ma sprawy – odrzekła dziarsko.

– Mam powodzenie, nie? Jak ona wygląda? Jest ładna? Jak się nazywa?

– Nie widziałem jej. Nie było jej na miejscu. Jakieś szwedzkie nazwisko. Chwileczkę. Już wiem: Gunderson. Margaret S. Gunderson.

Margrethe, serdecznie jej dziękuję, nawet nie pisnęła, mimo że nazwano ją Szwedką. Oświadczyłem zdumionym głosem:

– Jestem oskarżony o uwiedzenie tej kobiety… na pokładzie zagranicznego statku gdzieś na morzach południowych. W Portland czeka na mnie nakaz. Sam, co z ciebie za adwokat? Jak mogłeś pozwolić, aby wydano nakaz aresztowania twojego klienta pod takim zarzutem?

– Jestem bystrym adwokatem. Sam powiedziałeś, że nie sposób odgadnąć motywów postępowania prokuratorów. Wyjmują im mózgi z czaszek z chwilą mianowania na to stanowisko. To po prostu nie było na tyle ważne, aby o tym rozmawiać. Wszyscy uważaliśmy, że i tak nie żyjesz. Po prostu dbam o twoje interesy. Ostrzegłem cię, żebyś się w to nie wpakował. Daj mi trochę czasu na zatuszowanie sprawy. Potem będziesz mógł pojechać do Portland.

– To brzmi rozsądnie. W tym stanie nie wisi nade mną żadne oskarżenie, prawda?

– Nie. Właściwie i tak, i nie. Wiesz, jak jest. Zapewniliśmy ich, że już nie wrócisz, zgodzili się więc przymknąć oko na twój wyjazd. Ty jednak wróciłeś. Alec, nie możesz sobie pozwolić, żeby cię tu widziano. Ani nigdzie w Teksasie. A nawet nigdzie w Stanach. Wieści rozchodzą się szybko. Mogą odgrzebać te stare zarzuty.

– Byłem niewinny!

Wzruszył ramionami.

– Alec, wszyscy moi klienci są niewinni. Mówię z tobą po ojcowsku, w twoim interesie. Zjeżdżaj z Dallas. Najlepiej, gdybyś dotarł aż do Paragwaju.

– Jak mam to zrobić? Jestem bez grosza, Sam. Muszę mieć choć trochę szmalu.

– Czy kiedykolwiek cię zawiodłem?

Wyciągnął portfel, odliczył pięć banknotów studolarowych i położył je przede mną. Spojrzałem na nie.

– Co to ma być? Napiwek? – Wziąłem pieniądze i schowałem do kieszeni. – To nie wystarczy nawet na podróż do Brownsville. Daj mi prawdziwe pieniądze.

– Przyjdź jutro.

– Bez takich numerów, Sam. Otwórz ten sejf i daj mi trochę prawdziwych pieniędzy albo pójdę do tego prokuratora i będę śpiewał jak ptaszek! Kiedy mnie zwolni – a zrobi to na pewno, federalni prokuratorzy uwielbiają świadków koronnych, bez nich nigdy nie wygraliby żadnej sprawy – pojadę do Oregonu i zgarnę te sto kawałków.

– Alec, czy ty mi grozisz?

– Ty chcesz wykręcić numer mnie, a ja tobie. Sam, potrzebny mi samochód. Nie żaden zdezelowany ford, ale cadillac. Nie musi być nowy, byleby był w przyzwoitym stanie, czysty i z dobrym silnikiem. Cadillac,

kilka tysiączków i już o północy będziemy w Laredo, a rano w Monterrey. Zadzwonię do ciebie z Mexico City i podam ci adres. Jeśli naprawdę chcesz, żebym wyjechał na stałe do Paragwaju, prześlij mi na to pieniądze.

Nie udało mi się osiągnąć wszystkiego, co chciałem, zadowoliłem się więc używanym pontiakiem i wyszedłem, mając w kieszeni sześć tysięcy dolarów gotówką. Crumpacker powiedział, abym się udał do wskazanego komisu i wziął to, co mi dadzą. Miał tam zadzwonić i załatwić sprawę. Zgodził się także zatelefonować do Hyatta i zamówić dla nas apartament dla nowożeńców. Miałem się zgłosić do niego nazajutrz o dziesiątej rano.

Nie wyraziłem ochoty, aby wstać tak wcześnie.

– Najwyżej o jedenastej. To nasz miesiąc miodowy.

Sam roześmiał się, poklepał mnie po plecach i zgodził się.

Znalazłszy się na korytarzu, skierowaliśmy się w stronę wind, lecz zamiast wsiąść do jednej z nich, poszedłem dziesięć stóp dalej i otworzyłem przed Margrethe drzwi wyjścia ewakuacyjnego. Poszła za mną bez komentarza, gdy tylko jednak znaleźliśmy się na klatce schodowej, gdzie nikt nie mógł nas usłyszeć, powiedziała:

– Alec, ten człowiek nie jest twoim przyjacielem.

– Istotnie.

– Boję się o ciebie.

– Ja też się boję o siebie.

– Bardzo się boję. Boję się o twoje życie.

– Kochanie, też się lękam o swoje życie. I o twoje. Jesteś w niebezpieczeństwie tak długo, jak długo przebywasz ze mną.

– Nie porzucę cię!

– Wiem o tym. Bez względu na wszystko będziemy dzielić swój los.

– Tak jest. Jakie mamy plany?

– Jedziemy do Kansas.

– Wspaniale. A więc nie zawieziesz nas tym samochodem do Meksyku?

– Kochanie, ja nawet nie umiem prowadzić.

Wyszliśmy w podziemnym garażu i ruszyliśmy rampą prowadzącą na boczną ulicę. Następnie oddaliliśmy się o kilka przecznic od Budynku Smitha i złapaliśmy taksówkę, która zawiozła nas do Texas and Pacific Station, gdzie z postoju wzięliśmy kolejną taksówkę i pojechaliśmy do Fort Worth, dwadzieścia pięć mil na zachód. Margrethe przez cały czas zachowywała się bardzo cicho. Nie pytałem jej, o czym myśli, ponieważ wiedziałem to: nikogo nie uszczęśliwia wiadomość, że osoba, w której się zakochał, jest zamieszana w jakąś aferę śmierdzącą gangsterstwem i ciemnymi interesami. Złożyłem sobie solenną obietnicę, że nigdy nie wspomnę o tej sprawie ani słowem.

W Fort Worth kazałem taksiarzowi, żeby wysadził nas na ulicy, na której są najbardziej eleganckie sklepy, pozwalając, aby sam ją wybrał. Następnie oświadczyłem Mardze:

– Kochanie, zamierzam ci kupić ciężki złoty łańcuch.

– Na Boga, kochany! Nie potrzebuję czegoś takiego.

– Oboje tego potrzebujemy. Marga, kiedy po raz pierwszy byłem w tym świecie z tobą – na *Konge Knut* – dowiedziałem się, że tutaj dolar jest słabą walutą, bez pokrycia w złocie. Każda z cen, które dzisiaj widziałem, potwierdza to. Jeśli więc nadejdzie kolejna zmiana – a nie można tego wykluczyć – nawet monety z tego świata, dziesięcio- i dwudziestopięciocentówki oraz półdolarówki, nie będą miały żadnej wartości, ponieważ nie są srebrne. Jeśli zaś chodzi o banknoty, które

dostałem od Crumpackera, to makulatura! Chyba, że zamieniłbym te pieniądze na coś innego. Zacznijmy od tego złotego łańcucha. Od tej chwili będziesz nosiła go na sobie w łóżku i w kąpieli, chyba że zawiesisz go na mojej szyi.

– Rozumiem.

– Kupimy trochę ciężkiej złotej biżuterii dla nas obojga. Spróbuję też znaleźć jakiegoś handlarza monet i kupić nieco srebrnych dolarów, a może i złotych. Moim celem jest pozbycie się większości tych banknotów w ciągu następnej godziny. Zostawimy sobie tylko pieniądze na bilet autobusowy do Wichity, która znajduje się trzysta pięćdziesiąt mil na północ od tego miejsca. Zniesiesz całonocną podróż autobusem? Chciałbym, żebyśmy opuścili Teksas.

– Oczywiście! Och, kochanie, ja też pragnę wyjechać z Teksasu! Doprawdy, wciąż się boję.

– Doprawdy, nie ty jedna.

– Ale…

– Ale co, kochanie? Czemu wyglądasz tak smutno?

– Alec, nie kąpałam się od *czterech dni*.

Znaleźliśmy jubilera i sklep z monetami. Wydałem mniej więcej połowę tych tak zwanych pieniędzy, zostawiając resztę na bilety autobusowe i inne wydatki w tym świecie, takie jak obiad, który zjedliśmy tuż przed zamknięciem sklepów. Hamburger spożyty w Gainesville wydawał się nam już straszliwie odległy w czasie i przestrzeni. Następnie ustaliłem, że autobus w kierunku północnym – Oklahoma City, Wichita, Salina – odchodzi o dziesiątej wieczorem. Kupiłem bilety, dopłacając do każdego po dolarze za miejscówkę. Później roztrwoniłem resztę pieniędzy jak pijany

marynarz. Zamówiliśmy pokój w hotelu naprzeciwko dworca autobusowego, wiedząc, że opuścimy go za dwie godziny.

Opłaciło się. Gorąca kąpiel dla obojga, po kolei. Jedno z nas było w pełni ubrane i trzymało ubranie drugiego, biżuterię i wszystkie pieniądze, podczas gdy drugie było nagie i mokre. Nie zapomnieliśmy też o maszynce do golenia, która stała się talizmanem pozwalającym przechytrzyć Lokiego wraz z jego podstępnymi sztuczkami.

Potem włożyliśmy oboje nową, czystą bieliznę, którą nabyliśmy w przelocie podczas zamieniania naszych papierowych pieniędzy na walutę.

Miałem nadzieję, że wystarczy czasu na miłość, ale nic z tego. Gdy ubrałem się i wysuszyłem, musieliśmy się już wymeldować, aby zdążyć na autobus. Nic nie szkodzi. Będą jeszcze inne okazje. Wgramoliliśmy się do autobusu i rozłożyliśmy siedzenia. Marga położyła głowę na moim ramieniu. Gdy autobus ruszył na północ, zasnęliśmy.

Po jakimś czasie obudziły mnie wyboje. Siedzieliśmy tuż za kierowcą, pochyliłem się więc do przodu i zapytałem:

– Czy to objazd?

Nie przypominałem sobie, żebyśmy mijali jakiś wyboisty odcinek, jadąc tą samą drogą na południe około dwunastu godzin temu.

– Nie – odparł. – Po prostu jesteśmy już w Oklahomie. W tym stanie nie ma wielu dróg bitych. Trochę w pobliżu Oke City i jeszcze kawałek pomiędzy nim a Guthrie.

Nasza rozmowa obudziła Margrethe, która uniosła głowę.

– Co się stało, kochanie?

– Nic. Po prostu Loki sobie z nas żartuje. Połóż się.

Rozdział XXI

„»Ci przyodziani w białe szaty
kim są i skąd przybyli?«
I powiedziałem do niego:
»Panie, ty wiesz«,
I rzekł do mnie:
»To ci, którzy przychodzą z wielkiego ucisku
i opłukali swe szaty,
i w krwi Baranka je wybielili.
Dlatego są przed tronem Boga
i w Jego świątyni cześć Mu oddają we dnie i w nocy«”.

Apokalipsa św. Jana 7,13-15

Trzymałem w rękach lejce powozu. Nie czułem się dobrze. Dzień był gorący. Kurz wzbijany przez końskie kopyta przylepiał się do pokrytej potem skóry. Much było pełno. Nie było czuć nawet najlżejszego powiewu. Znajdowaliśmy się gdzieś w pobliżu narożnika Missouri, Kansas i Oklahomy, nie byłem jednak pewien gdzie. Nie widziałem mapy od wielu dni. Na drogach nie było tu drogowskazów dla automobilistów, gdyż nie było automobilistów.

Ostatnie dwa tygodnie (w przybliżeniu, straciłem bowiem rachunek dni) były niekończącymi się męczarniami Syzyfa. Ciągle napotykaliśmy nowe absurdalne przeszkody. Chcesz sprzedać srebrne dolary lokalnemu kupcowi w zamian za miejscowe banknoty? Żaden problem. Robiłem to wiele razy. Nie zawsze jednak dawało to cokolwiek. Pewnego razu zamieniłem srebro

na banknoty, zamówiliśmy obiad i bach, kolejna zmiana światów, a my nadal jesteśmy głodni. Innym razem oszukano mnie w bezczelny sposób, a gdy się poskarżyłem, usłyszałem:

– Chłopie, posiadanie takich monet jest zabronione i ty o tym wiesz. Mimo to chcę ci za nie coś dać, ponieważ cię lubię. Weźmiesz te pieniądze czy mam spełnić swój obywatelski obowiązek?

Wziąłem pieniądze. Banknoty, które nam dał za pięć uncji srebra, nie wystarczały na zakup obiadu dla mnie i Margi w stylowym lokalu Stołownia mamuśki. Było to w uroczej miejscowości zwanej (sądząc z napisu na jej skraju):

DZIESIĘCIORO PRZYKAZAŃ
Czysta miejscowość.
Negry, żydki, papiści
wynocha!

Także się wynieśliśmy. Próba pokonania dwustu mil dzielących Oklahoma City od Joplin w Missouri zajęła nam całe dwa tygodnie. Zostałem zmuszony do rezygnacji z pomysłu ominięcia Kansas City. Nadal nie miałem zamiaru przebywać dłużej w samym mieście lub w jego okolicach, licząc się z tym, że nagła zmiana światów może nas wpakować w objęcia Abigail. W Oklahoma City dowiedziałem się jednak, że najszybsza i w gruncie rzeczy jedyna sensowna trasa do Wichity prowadzi przez Kansas City, choć trzeba znacznie nadłożyć drogi. Cofnęliśmy się do epoki pojazdów konnych.

Gdy wziąć pod uwagę wiek Ziemi – od chwili stworzenia w roku 4004 przed Chrystusem aż do roku Pańskiego 1994, co daje 5998 lat (powiedzmy 6000) – to w stosunku do tego czasu 80 czy 90 lat nie wydaje się długim

okresem. Tylko tyle lat upłynęło w moim świecie od ery pojazdów konnych. Mój ojciec urodził się w tamtych czasach (1909), a mój dziadek ze strony ojca nie tylko nigdy nie miał automobilu, ale nawet nie chciał do niego wsiąść. Twierdził, że to wynalazek diabła, i cytował na dowód wersety z Ezechiela. Być może miał rację.

Lecz epoka pojazdów konnych ma swoje wady. Niektóre są oczywiste – brak kanalizacji, klimatyzacji czy nowoczesnej medycyny. Dla nas jednak najgorszą była ta, która nie wydaje się oczywista – tam, gdzie nie ma samochodów i ciężarówek, nie ma praktycznie autostopu. Och, czasami jakiś farmer podwiezie cię swoim wozem, lecz różnica prędkości między krokiem ludzkim a końskim nie jest zbyt wielka. Jechaliśmy, gdy to było możliwe, lecz tak czy inaczej piętnaście mil dziennie stanowiło dobry wynik, a nawet zbyt dobry, gdyż nie pozostawiało czasu, aby zapracować na posiłek i miejsce do spania.

Istnieje taki stary paradoks – Achilles i żółw – w którym odległość do twojego celu zmniejsza się z każdym krokiem o połowę. Pytanie brzmi: Ile czasu potrzeba, aby osiągnąć cel? Odpowiedź? Nie można tego dokonać.

W podobny sposób „posuwaliśmy się” z Oklahoma City do Joplin.

Moją frustrację pogłębiał jeszcze jeden czynnik. Byłem coraz mocniej przekonany, że naprawdę przeżywamy dni ostatnie i że w każdej chwili możemy oczekiwać powrotu Jezusa i dnia sądu, tymczasem moja ukochana, moja niezbędna, nie powróciła jeszcze w ramiona Jezusa. Powstrzymywałem się od naciskania jej w tej sprawie, choć uszanowanie jej życzenia, aby mogła sama podjąć decyzję, wymagało całej mojej siły woli. Martwiłem się o nią tak, że nie mogłem spać.

Ogarnęło mnie też lekkie szaleństwo (oprócz paranoicznego przeświadczenia, że te zmiany światów są wymierzone we mnie osobiście), które polegało na tym, że nabrałem głębokiego, choć niczym

nieuzasadnionego przekonania, iż ukończenie tej podróży ma zasadnicze znaczenie dla bezpieczeństwa nieśmiertelnej duszy mojej ukochanej. Pozwól nam tylko dotrzeć do Kansas, mój Boże, a będę się modlił nieustannie, aż ją nawrócę i przywiodę do łaski. O Panie, Boże Izraela, przyznaj mi tę łaskę!

Nadal poszukiwałem pracy przy zmywaniu naczyń (lub innej), choć mieliśmy wciąż srebro i złoto, które mogliśmy wymieniać na miejscowe pieniądze. Motele jednak zniknęły bez śladu, hoteli było niewiele, a liczba i rozmiary restauracji zmniejszyły się zgodnie z wymogami systemu, w którym niewielu ludzi podróżowało i wszystkie niemal posiłki spożywano w domu.

Łatwiej było znaleźć pracę przy czyszczeniu stajni publicznych niż w restauracji. Wolałem zmywanie naczyń od uprzątania nawozu, zwłaszcza że miałem tylko jedną parę butów, ale trzymałem się zasady, że przyjmę każdą uczciwą pracę, byle tylko posuwać się naprzód.

Możecie się dziwić, dlaczego nie przerzuciliśmy się na wskakiwanie do pociągów towarowych w biegu. Po pierwsze, nie wiedziałem, jak to się robi, ponieważ nigdy sam tego nie robiłem. Co jednak ważniejsze, nie mogłem zapewnić bezpieczeństwa Mardze. Skok do pędzącego wagonu wiąże się zawsze z pewnym ryzykiem, ale większe niebezpieczeństwo mogło jej grozić ze strony ludzi – kolejowych gliniarzy, włóczęgów, trampów, rabusiów i innych łachmytów. Nie ma sensu rozprawiać o tych strasznych zagrożeniach, gdy trzymałem Margę z dala od linii kolejowych i panującej tam dżungli.

Nadal się wszakże martwiłem. Choć przestrzegałem ściśle jej prośby, aby nie wywierać na nią presji, zacząłem każdego wieczoru modlić się na głos, padając na kolana. Wreszcie, ku mojej wielkiej radości, moja ukochana uklękła i przyłączyła się do mnie. Nie modliła się na głos i ja również

przestałem to robić, ograniczając się jedynie do końcowego „W imię Jezusa, amen”. Nadal na ten temat nie rozmawialiśmy.

Wylądowałem z lejcami tego powozu w ręku (Boże, co za upał! – Idzie na cyklon – powiedziałaby babcia Hergensheimer) na skutek podjęcia pracy przy czyszczeniu stajni publicznej. Jak zwykle rzuciłem ją po pierwszym dniu, mówiąc mojemu tymczasowemu pracodawcy, że muszę jechać z żoną do Joplin, ponieważ jej matka zachorowała. Oświadczył mi wtedy, że ma powóz, który musi zostać zwrócony w najbliższym mieście leżącym w tamtym kierunku.

Chodziło mu o to, że ma już za dużo wozów i szkap, własnych i cudzych, w związku z czym nie może czekać, aż nadarzy się okazja zwrócenia go przez wynajęcie jadącemu w tamtym kierunku handlarzowi.

Zaoferowałem się, że zwrócę go za tę samą śmiesznie niską sumę, jaką zapłacił mi za całodzienne uprzątanie nawozu, lecz odpowiedział, że to on wyświadcza mi przysługę, gdyż musimy z żoną dostać się do Joplin.

Miał rację, a poza tym był w lepszej pozycji, więc wyraziłem zgodę. Lecz jego żona dała nam obiad, podobnie jak śniadanie, po tym jak przespaliśmy się w ich szopie.

Tak więc mimo pogody i rozlicznych frustracji, prowadząc ten powóz, nie czułem się zbyt nieszczęśliwy. Z każdym dniem zbliżaliśmy się do Joplin, a moja ukochana zaczęła się modlić. Wszystko zaczynało chyba zmierzać ku lepszemu.

Dotarliśmy właśnie na skraj tego miasta (Lowell? Racine? Niestety nie pamiętam), gdy napotkaliśmy coś wprost z czasów mojego dzieciństwa: publiczny mityng, staroświeckie zgromadzenie religijne. Po lewej stronie drogi znajdował się cmentarz. Był dobrze utrzymany, lecz trawa zaczynała

na nim wysychać. Po prawej stronie, na pastwisku, rozbity był namiot, w którym odbywało się zgromadzenie. Zastanawiałem się, czy to połączenie cmentarza z mityngiem biblijnym było przypadkowe, czy też miało celowy charakter. Gdyby brał w tym udział wielebny Danny, wiedziałbym, że było to celowe. Większość ludzi na widok nagrobków nie może powstrzymać się od myśli o życiu pozagrobowym.

W pobliżu namiotu stały długie rzędy wozów. Za nimi znajdowała się prowizoryczna zagroda. Po drugiej stronie namiotu rozstawiono zbite z desek stoły, na których widziałem resztki obiadu. To był wielki mityng biblijny, który zaczął się rankiem i – po przerwie obiadowej – miał być kontynuowany po południu, z przerwą na kolację, a zakończony niewątpliwie dopiero wtedy, gdy kaznodzieja uzna, że tego dnia nie uda mu się już zbawić żadnej duszy.

(Mam w pogardzie nowoczesnych wielkomiejskich kaznodziejów z ich pięciominutowymi „inspirującymi wypowiedziami”. Podobno Billy Sunday potrafił kazać przez siedem godzin o szklance wody, a następnie powtórzyć to samo wieczorem i kolejnego dnia. Nic dziwnego, że pogańskie kulty plenią się jak chwasty!)

W pobliżu namiotu stał kryty wóz zaprzężony w dwa konie. Na jego boku wymalowano napis „Brat »Bible« Barnaby”. Z przodu, na rozpiętym na linach płótnie, widniał szyld:

Ta stara religia!
Brat „Bible” Barnaby.
Uzdrawianie na każdym mityngu.
Dziesiąta rano – druga – siódma.
Codziennie od niedzieli 5 czerwca aż do
DNIA SĄDU!!!

Zawołałem na szkapę i ściągnąłem lejce, aby jej przekazać, że chcę się zatrzymać.

– Kochanie! Spójrz na to!

Margrethe przeczytała szyld, powstrzymując się od komentarza.

– Podziwiam jego odwagę – stwierdziłem. – Brat Barnaby stawia swą reputację na to, że dzień sądu nastąpi przed czasem zbierania pszenicy, który może w tym roku nadejść wcześnie ze względu na upał.

– Ale ty też sądzisz, że dzień sądu jest blisko.

– Tak, lecz nie postawiłbym na to swej zawodowej reputacji… jedynie nieśmiertelną duszę i nadzieję na pójście do nieba. Marga, każdy badacz Biblii odczytuje proroctwa nieco inaczej. Lub zupełnie inaczej. Większość współczesnych premilenarystów nie oczekuje dnia sądu wcześniej niż w roku dwutysięcznym. Chciałbym się dowiedzieć, jak rozumuje brat Barnaby. Może coś znalazł. Masz coś przeciwko temu, żebyśmy zostali na godzinkę?

– Zostaniemy tak długo, jak sobie tego życzysz. Ale… chcesz, żebym poszła tam z tobą? Czy muszę?

– Hmm… (Tak, kochanie, z pewnością chcę, żebyś ze mną poszła). Czy wolałabyś zaczekać w powozie?

Jej milczenie stanowiło wystarczającą odpowiedź.

– Rozumiem. Marga, nie chcę cię do niczego zmuszać. Jest tylko jedna sprawa… Od kilku tygodni nie rozstawaliśmy się, chyba że było to absolutnie konieczne. Wiesz, z jakiego powodu. Zmiany nadchodzą niemal codziennie. Nie chciałbym, żeby jedna z nich zaskoczyła nas w chwili, gdy ty będziesz siedzieć tutaj, a ja w środku, daleko od ciebie. Hmm, moglibyśmy stanąć na zewnątrz. Widzę, że zwijają ściany.

Wyprostowała ramiona.

– Byłam niemądra. Nie, Alec, wejdziemy do środka. Masz rację, muszę cię trzymać za rękę. Zmiany nadchodzą szybko. Nie mogę cię prosić, żebyś nie szedł na mityng twych współwyznawców.

– Dziękuję, Marga.

– I, Alec… naprawdę *spróbuję*!

– Dziękuję ci. Dziękuję bardzo! Amen!

– Nie musisz mi dziękować. Jeśli pójdziesz do swojego nieba, chcę tam iść z tobą!

– Wejdźmy do środka, kochanie.

Postawiłem powóz na samym końcu szeregu i zaprowadziłem kobyłę do zagrody. Marga poszła za mną. Wracając do namiotu, usłyszałem głosy śpiewające:

> …jasne światło tu!
> Zapal jasne światło tu!
> Ktoś daleko jest od portu,
> możesz wskazać drogę mu!

Dołączyłem się do nich:

– Zapal jasne światło tu!

Od razu poczułem się dobrze.

Ich orkiestra składała się z fisharmonii oraz puzonu. Ten ostatni zaskoczył mnie, było to jednak miłe zaskoczenie. Żaden inny instrument nie da sobie rady z *Miastem świętym* tak jak puzon, a do *Syn Boży wyrusza na wojnę* jest on niemal niezbędny. Kongregację wspomagał w śpiewie chór ubrany w białe anielskie szaty. Musiał on zostać zebrany dorywczo, gdyż

szaty wykonano domowym sposobem z prześcieradeł. Jednak braki profesjonalizmu jego członkowie nadrabiali entuzjazmem. Muzyka kościelna nie musi być dobra, pod warunkiem że jest autentyczna… i głośna. Przez środek prowadziła ścieżka szerokości sześciu stóp wysypana trocinami. Po obu jej stronach stały ławki. Kończyła się przy odgradzającej prezbiterium poręczy z desek o wymiarach dwa na cztery cale. Wyraziłem nadzieję na otrzymanie miejsc w pierwszych rzędach, więc kościelny poprowadził nas przejściem. Było tam tłoczno, ale kazał ludziom się ścisnąć i zdobyliśmy miejsca w drugim rzędzie, tuż przy wyjściu – ja na zewnątrz. Tak jest, z tyłu były jeszcze miejsca, lecz żaden kaznodzieja nie lubi ludzi – a jest ich legion! – którzy siedzą sobie z tyłu, podczas gdy są jeszcze miejsca z przodu.

Gdy muzyka przestała grać, brat Barnaby wstał, podszedł do pulpitu i położył rękę na Biblii.

– Wszystko jest w Księdze – powiedział cicho, niemal szeptem.

Wśród wiernych zapanowała śmiertelna cisza.

Zrobił krok naprzód i rozejrzał się.

– Kto cię kocha?

– Jezus mnie kocha!

– Głośniej, niech cię usłyszy.

– JEZUS MNIE KOCHA!

– Skąd to wiesz?

– TO JEST W KSIĘDZE!

Do mojej świadomości doszła woń, której nie czułem już od dawna. Mój profesor homiletyki zwrócił nam pewnego razu uwagę na ćwiczeniach, że kongregacja, którą ogarnął religijny ferwor, wydziela silną i charakterystyczną woń (on użył słowa „smród”) składającą się z zapachu potu oraz hormonów, zarówno męskich, jak i żeńskich.

– Moi mili – powiedział nam – jeśli wasi wierni pachną zbyt słodko, to znaczy, że do nich nie docieracie. Musicie wydusić z nich poty. Jeżeli nie popłynie z nich woń piżma, jak z kocura w rui, możecie dać sobie z tym spokój i przejść do papistów. Ekstaza religijna jest najsilniejszą z ludzkich emocji. Gdy się pojawi, można wyczuć jej zapach!

Brat Barnaby potrafił tego dokonać.

(Muszę przyznać, że mnie się to nigdy nie udało. Dlatego właśnie skończyłem jako organizator i zajmujący się zbiórkami pieniędzy).

– Tak jest, to jest w Księdze. Biblia jest słowem Bożym. Nie tylko niektóre kawałki, lecz każde jej słowo. Nie w sensie przenośnym, lecz dosłownym. Poznacie prawdę i prawda was wyzwoli. Przeczytam wam teraz fragment z Księgi: „Sam bowiem Pan zstąpi z nieba na hasło i na głos archanioła, i na głos trąby Bożej, a zmarli w Chrystusie powstaną pierwsi”. To ostatnie zdanie to wspaniała wiadomość, bracia i siostry. „Zmarli w Chrystusie powstaną pierwsi”. Co nam to mówi? Nie, że zmarli powstaną pierwsi, lecz że uczynią to *zmarli w Chrystusie*. Ci, którzy zostali skąpani we krwi Baranka, powtórnie narodzeni w Jezusie, a potem zmarli w stanie łaski *przed* Jego drugim przyjściem, nie zostaną zapomniani. Będą *pierwsi*. Ich groby otworzą się, zostaną w cudowny sposób przywróceni do życia, zdrowia i fizycznej doskonałości i poprowadzą paradę do nieba, gdzie zamieszkają w szczęściu pod wielkim białym tronem na wieki!

– Alleluja! – rozległ się okrzyk.

– Niech cię Bóg błogosławi, siostro. Ach, to wspaniała wiadomość! Wszyscy zmarli w Chrystusie, co do jednego! Siostra Ellen, zabrana od swej rodziny okrutną ręką raka, zmarła z imieniem Jezusa na ustach, osobiście poprowadzi procesję! Ukochana żona Asy, która zmarła przy porodzie, lecz w stanie łaski, również tam będzie! Wszyscy wasi bliscy, którzy zmarli w Chrystusie, zbiorą się razem i ujrzycie ich w niebie. Brat

Ben, który żył w grzechu, lecz odnalazł Boga w swym okopie, zanim trafiła go nieprzyjacielska kula, także tam będzie… i to jest szczególnie dobra wiadomość, gdyż mówi nam, że Boga można odnaleźć wszędzie. Jezus jest obecny nie tylko w kościołach. W gruncie rzeczy istnieją nowomodne kościoły, gdzie Jego imię słyszy się nader rzadko…

– Powtórz to jeszcze raz!

– Powtórzę. Bóg jest wszędzie, może was jednak usłyszeć tylko wtedy, gdy przemówicie do niego. Łatwiej o to, gdy orzecie pole lub klęczycie przy łóżku, niż gdy modlicie się w jakiejś bogato zdobionej katedrze w otoczeniu wymalowanych i wyperfumowanych dewotów. On jest tu z nami *w tej chwili* i obiecuje wam: „Oto stoję u drzwi i kołaczę: jeśli kto posłyszy mój głos i drzwi otworzy, wejdę do niego i będę z nim wieczerzał, a on ze Mną”. Oto jego obietnica, najmilsi, w prostych słowach. Żadnych niejasności, żadnych wymyślnych „interpretacji”, żadnych tak zwanych przenośnych sensów. Sam Chrystus czeka na was, jeśli tylko go zaprosicie. A jeśli to zrobicie, jeśli powtórnie narodzicie się w Jezusie, jeśli zmyje On wasze grzechy i osiągniecie stan łaski… co wtedy? Przeczytałem wam pierwszą część obietnicy, którą Bóg złożył wiernym. Usłyszycie głos i wielką trąbę zapowiadającą jego przybycie, tak jak obiecał, i zmarli w Chrystusie powstaną. Ich wyschnięte kości podniosą się z grobu i pokryją żywym, zdrowym ciałem. I co wtedy? Posłuchajcie słów Pana: „Potem my, żywi i pozostawieni…” – to o nas, bracia i siostry. Bóg mówi o *nas*. „Potem my, żywi i pozostawieni, wraz z nimi będziemy porwani w powietrze, na obłoki naprzeciw Pana, i w ten sposób zawsze będziemy z Panem”. Zawsze! Zawsze! Z Panem w niebiosach!

– Alleluja!

– Błogosław, Boże!

– Amen! Amen!

(Stwierdziłem, że jestem jednym z tych, którzy powtarzają „Amen!”)

– Trzeba jednak zapłacić za to cenę. Nie ma darmowych biletów do nieba. Co się wydarzy, jeśli *nie poprosicie* Jezusa o pomoc? Jeśli zignorujecie jego ofertę obmycia się z grzechów i ponownego narodzenia we krwi Baranka? Co wtedy? No? Odpowiedzcie!

Wierni milczeli. Słychać było jedynie ciężkie oddechy. Nagle z tyłu zabrzmiał niepewnie jakiś głos:

– Piekło.

– Piekło! Potępienie! Nie tylko przez krótki okres, lecz przez całą wieczność! Nie jakiś tam mistyczny, alegoryczny płomień, który przypali jedynie wasz spokój ducha i parzy nie mocniej niż sztuczne ognie 4 lipca. To prawdziwy gorejący ogień, tak prawdziwy jak to. – Brat Barnaby walnął w pulpit tak mocno, że hałas dał się słyszeć w całym namiocie. – To taki ogień jak ten, w którym piec rozgrzewa się do czerwoności, a potem do białości. To ty będziesz w tym ogniu, grzeszniku! Straszliwy ból będzie trwał i trwał, i nigdy nie ustąpi! Nigdy! Nie ma dla ciebie nadziei. Nie ma po co prosić o drugą szansę. *Miałeś* już swoją drugą szansę… i milionową też. Nawet więcej. Przez dwa tysiące lat słodki Jezus prosił cię, *błagał*, abyś przyjął od niego to, za co zginął w męczarniach na krzyżu. Gdy znajdziesz się już w ognistej czeluści, płonąc i usiłując wykasłać siarkę – zwykłą, ordynarną siarkę: płonącą i cuchnącą – która spali twe płuca i pokryje pęcherzami twą grzeszną skórę, gdy więc będziesz się piekł głęboko w czeluści za twoje grzechy, nie próbuj jęczeć, że bardzo cię to boli i że nie wiedziałeś, że to będzie tak. Jezus wie wszystko o bólu. On umarł na krzyżu. Umarł *za ciebie*. Nie chciałeś jednak go wysłuchać i teraz jęczysz głęboko w czeluści. I tam już *pozostaniesz*, cierpiąc w płomieniach przez całą wieczność! Twoich jęków nie sposób usłyszeć z czeluści, ponieważ zagłuszają je wrzaski miliardów innych grzeszników!

Brat Barnaby ściszył głos, jak podczas zwykłej rozmowy, zadając pytanie:

– Czy chcecie płonąć w czeluści?

– Nie!

– Nigdy!

– Zbaw nas, Jezu!

– Jezus was zbawi, jeśli go o to poprosicie. Ci, którzy umarli w Chrystusie, już są zbawieni. Czytaliśmy o nich. Ci, którzy dożyją chwili jego powrotu, będą zbawieni, jeśli zostaną powtórnie narodzeni i zachowają ten stan łaski. On obiecał nam, że powróci i że Szatan zostanie skuty łańcuchami na tysiąc lat, podczas gdy On zaprowadzi tutaj, na Ziemi, rządy pokoju i sprawiedliwości. To jest milenium, ludzie, to wielki dzień, który nadchodzi. Po upływie tysiąca lat Szatan zostanie uwolniony na czas ostatniej bitwy. Walka toczyć się będzie na niebie. Archanioł Michał będzie generałem naszej strony. Poprowadzi on Bożych aniołów przeciwko smokowi – Szatanowi – i jego zastępom upadłych aniołów. I Szatan poniesie klęskę za tysiąc lat od tej chwili i nigdy więcej nie ujrzą go już pod słońcem. To jednak stanie się dopiero za tysiąc lat, moi drodzy. Ujrzycie to na własne oczy… jeśli przyjmiecie Jezusa i zostaniecie ponownie narodzeni, nim zabrzmi trąba i obwieści jego powrót. Kiedy to się stanie? Już niedługo! Co mówi Księga? W Biblii Bóg mówi wam, nie jeden raz, lecz wiele razy – u Izajasza, Daniela, Ezechiela, we wszystkich czterech Ewangeliach – że *nie będziecie* znać dokładnej godziny jego powrotu. Dlaczego? Dlatego, żebyście nie mogli schować śmieci pod dywan! Gdyby powiedział wam, że przybędzie na Nowy Rok w roku dwutysięcznym, znaleźliby się tacy, którzy spędziliby najbliższe pięć i pół roku, grzesząc z występnymi kobietami, oddając cześć obcym bogom, łamiąc wszystkie dziesięcioro przykazań… aż nagle, gdzieś w okolicy Bożego Narodzenia

roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego, ujrzelibyśmy ich w kościele żałujących głośno za grzechy i usiłujących załatwić sobie zbawienie. Nic z tego, cwaniaczki! Żadnych chachmęctw! Cena jest jednakowa dla wszystkich. Głos i dźwięk trąby mogą się rozlec za kilka miesięcy… albo też usłyszycie je, zanim skończę to zdanie. Musicie być przygotowani, że koniec świata nadejdzie w każdej chwili! Wiemy jednak, że nastąpi on wkrótce! Skąd? Ponownie z Księgi. Znaki i cuda. Pierwszy, bez którego pozostałe nie mogłyby się wydarzyć, to powrót dzieci Izraela do Ziemi Obiecanej. Sprawdźcie to u Ezechiela, u Mateusza i w dzisiejszych gazetach. Mieli odbudować świątynię… i zrobili to, mur, beton. Piszą o tym w „Kansas City Star”. Są też inne znaki i cuda wszelkiego rodzaju, ale przede wszystkim dni ucisku, którym poddawane są dusze ludzkie, klęski i nieszczęścia na miarę tych, jakie dotknęły Hioba. Czy istnieją lepsze słowa na określenie dwudziestego stulecia niż „dni ucisku”? Wojny, terroryści, zamachy, pożary i epidemie. I znowu wojny. Nigdy w historii ludzkość nie musiała wycierpieć tak wiele. Wytrzymajcie to jednak, podobnie jak Hiob, a na końcu czekać was będą szczęście i wiekuisty pokój. Pokój boży, który jest poza wszelkim pojmowaniem. Bóg wyciąga do was rękę. On was kocha. On was zbawi.

Brat Barnaby przestał mówić i wytarł czoło wielką chustką, która była już cała mokra. Chór (być może na jego znak) zaczął śpiewać: „Zbierzemy się nad rzeką, nad piękną, piękną rzeką, płynącą pod Boży tron”, a po chwili przeszedł w: „Stoję tutaj grzechu pełen…”.

Brat Barnaby opadł na kolano i wyciągnął ręce w naszą stronę.

– Odpowiedzcie Mu, proszę! Chodźcie, przyjmijcie Jezusa, pozwólcie Mu zebrać was w jego ramionach…

Chór nadal śpiewał cicho:

„…lecz przelałeś za mnie krew
I kazałeś przyjść do Ciebie.
O, Baranku, przyjdę, wiedz”.

I wtedy zstąpił Duch Święty.

Poczułem, jak ogarnia mnie On, i radość Jezusa wypełniła moje serce. Podniosłem się i stanąłem w przejściu. Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że jest ze mną Margrethe. Odwróciłem się i dostrzegłem, że wpatruje się we mnie. Jej twarz przybrała słodki i bardzo poważny wyraz.

– Chodź, kochanie – szepnąłem i poprowadziłem ją. Razem udaliśmy się wysypaną trocinami ścieżką do Boga.

Przy poręczy stali już inni. Znalazłem dla nas miejsce, odstawiłem na bok kilka krukwi i uklęknąłem, opierając prawą dłoń i czoło o poręcz. W lewej wciąż trzymałem rękę Margi. Modliłem się do Jezusa, aby obmył nas z naszych grzechów i przyjął w swe ramiona.

Jeden z pomocników brata Barnaby’ego szepnął mi do ucha:

– Co z tobą, bracie?

– Wszystko w porządku – odparłem szczęśliwym głosem. – Z moją żoną też. Pomóż komuś, kto tego wymaga.

– Niech cię Bóg błogosławi, bracie.

Pomocnik odszedł. Nieopodal jedna z sióstr wiła się i przemawiała różnymi językami. Zatrzymał się przy niej, aby udzielić jej pomocy.

Ponownie pochyliłem głowę, lecz nagle do mojej świadomości dotarły rżenie i głośne piski przerażonych koni oraz łopotanie i wstrząsy płóciennego dachu nad naszymi głowami. Spojrzałem w górę i dostrzegłem poszerzające się rozdarcie. Potem płótno pękło. Ziemia zadrżała pod naszymi stopami. Niebo pociemniało. Dźwięk trąby przeszył mnie do szpiku kości. Jej głos rozbrzmiewał tak donośnie jak nigdy dotąd żaden

dźwięk, był pełen radości i triumfu. Pomogłem Margrethe wstać i uśmiechnąłem się do niej:

– To *teraz*, kochanie!

Zostaliśmy uniesieni. Trąba powietrzna, kansaskie tornado, złapała nas i zaczęła ciskać nami we wszystkie strony. Uniosło mnie daleko od Margi. Próbowałem zbliżyć się do niej, lecz daremnie. W trąbie powietrznej nie można pływać. Lecisz tam, gdzie cię ona zaniesie. Wiedziałem jednak, że Mardze nic nie grozi.

Huragan odwrócił mnie do góry nogami i trzymał w tej pozycji dłuższy czas na wysokości około dwustu stóp. Konie wyrwały się z zagrody. Niektórzy ludzie, którzy nie zostali porwani, kręcili się po okolicy. Trąba powietrzna odwróciła mnie ponownie, tak że patrzyłem teraz w kierunku cmentarza.

Groby zaczęły się otwierać.

Rozdział XXII

„Ku uciesze porannych gwiazd,
ku radości wszystkich synów Bożych”.

Księga Hioba 38,7

Wiatr rzucał mną w różne strony. Nie widziałem już grobów. Gdy huragan odwrócił mnie ponownie twarzą ku ziemi, nie sposób było dostrzec gruntu. W dole widać było jedynie kotłujący się obłok, rozświetlony od wewnątrz potężnym światłem – bursztynowym, szafranowym, szaroniebieskim i złocistozielonym. Nadal poszukiwałem Margrethe, lecz tylko nieliczni ludzie przelatywali w pobliżu i nie było jej wśród nich. Nie szkodzi. Bóg nad nią czuwa. Jej chwilowa nieobecność nie przerażała mnie. Jedyną istotną przeszkodę pokonaliśmy razem.

Zastanowiłem się nad tym. Jak niewiele brakowało! Przypuśćmy, że ta stara kobyła zgubiłaby podkowę i wskutek tego dotarlibyśmy do miejsca, w którym odbywał się mityng, godzinę później. Spóźnilibyśmy się wówczas. Ostatnia trąba zabrzmiałaby, gdy bylibyśmy w drodze, i żadne z nas nie znalazłoby się w stanie łaski. Zamiast zostać uniesieni w zachwyceniu, poszlibyśmy na sąd nieoczyszczeni z grzechów, a następnie prosto do piekła.

Czy wierzę w predestynację?

To trudne pytanie. Przejdźmy do takich, na które umiem odpowiedzieć. Nie potrafię określić, jak długo unosiłem się nad tymi obłokami. Od czasu

do czasu dostrzegałem innych ludzi, żaden jednak nie zbliżył się tak bardzo, abym mógł z nim pomówić. Zaczynałem się zastanawiać, kiedy ujrzę Pana Jezusa. Obiecał On wyraźnie, że spotka się z nami „na obłokach”.

Musiałem sam sobie powiedzieć, że zachowuję się jak małe dziecko, które domaga się, żeby mama zrobiła coś natychmiast, i w odpowiedzi słyszy: „Cierpliwości, kochanie! Jeszcze nie teraz”.

Czas boży i ludzki nie są tym samym. Tak mówi Biblia. W dzień sądu Jezus musiał być bardzo zajęty. Nie miałem pojęcia, jakie mogą być jego obowiązki. Prawda, znałem jeden z nich. Przypomniały mi o tym te otwierające się groby. Ci, którzy zmarli w Chrystusie (miliony? miliardy? więcej?), mieli spotkać naszego Ojca, który jest w niebie, *pierwsi* i rzecz jasna, Pan Jezus będzie z nimi na tej wspaniałej uroczystości. Obiecał im to.

Po odgadnięciu przyczyny zwłoki odprężyłem się. Byłem gotów zaczekać w kolejce na spotkanie z Jezusem… a gdy go już spotkam, poproszę, aby połączył mnie z Margrethe.

Nie martwiłem się już ani nie śpieszyłem nigdzie. Było mi przyjemnie. Nie odczuwałem ciepła ani zimna. Głodu ani pragnienia. Unosiłem się bez wysiłku, jak obłok. Zacząłem odczuwać szczęście, które nam obiecano. Zasnąłem.

Nie wiem, jak długo spałem. Z pewnością długo. Byłem straszliwie zmęczony. Ostatnie trzy tygodnie kosztowały mnie wiele. Dotknąwszy ręką twarzy, stwierdziłem, że spałem co najmniej kilka dni. Mój zarost osiągnął stan wskazujący na dwudniowe przynajmniej zaniedbanie. Dotknąłem kieszeni na piersi. Tkwiła w niej moja wierna Gillette, prezent od Margi. Nie miałem jednak mydła, wody ani lusterka. Zdenerwowało mnie to. Obudził mnie dźwięk trąbki (nie wielkiej trąby, lecz zapewne zwykłej trąbki w rękach dyżurnego anioła). Nie trzeba mi było tłumaczyć, iż znaczyło to: „Pobudka! Teraz wasza kolej!”.

W istocie tak było. Gdy więc wezwano nas do nieba, stawiłem się tam z dwudniowym zarostem. Ale wstyd!

Anioły kierowały ruchem niczym policjanci na skrzyżowaniu, ustawiając nas tak, jak sobie tego życzyły. Wiedziałem, że to anioły, gdyż miały skrzydła, białe szaty i imponujące rozmiary. Jeden, który przeleciał obok mnie, miał dziewięć lub dziesięć stóp wzrostu. Nie poruszał skrzydłami w czasie lotu. (Dowiedziałem się później, że skrzydła były noszone jedynie ze względów ceremonialnych lub jako oznaka rangi). Stwierdziłem, że mogę się przemieszczać zgodnie ze wskazaniami tych policjantów. Przedtem nie panowałem nad swoim ruchem, teraz mogłem podążać w dowolnym kierunku, posługując się wyłącznie swą wolą.

Anioły ustawiły nas w rzędach ciągnących się przez wiele mil (setki? tysiące?), po czym sformowały kolumny szerokości dwunastu rzędów i wysokości dwunastu warstw. O ile nie pomyliłem się w rachunku, byłem czwarty w swoim szeregu w trzeciej warstwie od dołu. W rzędzie zajmowałem w przybliżeniu dwusetne miejsce – policzyłem to przed ostatecznym sformowaniem – nie mogłem jednak stwierdzić, jak daleko ów rząd się za mną ciągnął.

Następnie polecieliśmy przed Boży tron.

Najpierw wszakże anioł zajął w powietrzu pozycję w odległości około pięćdziesięciu jardów od naszej lewej flanki. Jego głos był dobrze słyszalny:

– Słuchajcie! Odbędziecie przemarsz w tej formacji. Nie zmieniajcie swej pozycji. Orientujcie się na stworzenie ze swej lewej oraz stworzenie pod wami i przed wami. Zachowujcie odległość dziesięciu łokci pomiędzy szeregami i warstwami, a pięciu, od łokcia do łokcia, w szeregu. Nie tłoczyć się, nie wyłamywać z szeregów i nie zwalniać, gdy będziemy przelatywać przed tronem. Każdy, kto złamie dyscyplinę, zostanie

przesunięty na tył rzędu, a ostrzegam was, że Syn może już wtedy odejść i defiladę będzie odbierał jedynie Piotr, Paweł lub jakiś inny święty. Są pytania?

– Ile to jest łokieć?

– Dwa łokcie to jard. Czy jest w tej kohorcie jakieś stworzenie, które nie wie, ile to jest jard?

Nikt się nie odezwał.

– Jeszcze jakieś pytania? – spytał anioł.

Kobieta znajdująca się nade mną po lewej zawołała:

– Tak! Moja córka nie wzięła ze sobą lekarstwa na kaszel, więc je zabrałam. Czy mógłby pan jej to przekazać?

– Stworzenie, przyjmij, proszę, moje zapewnienie, że wszelki kaszel, który twoja córka miałaby w niebie, musiałby mieć charakter psychosomatyczny.

– Ale jej lekarz powiedział…

– Na razie cisza! Ruszajmy z tą paradą. Specjalne prośby można będzie przedstawić po przybyciu do nieba.

Było jeszcze wiele innych pytań, przeważnie głupich, co potwierdzało opinię, którą od lat zachowywałem dla siebie: pobożność nie musi iść w parze ze zdrowym rozsądkiem.

Ponownie zabrzmiała trąba.

– *Naprzód!* – krzyknął przywódca naszej kohorty. Kilka sekund później rozległ się pojedynczy ton trąby. – *Lot!* – krzyknął anioł.

Ruszyliśmy naprzód.

(Zauważcie, że mówię na tego anioła „on”, ponieważ wydawało się, że jest płci męskiej. O innych, które wyglądały na kobiety, mówię „ona”. Nigdy jednak nie potrafiłem określić dokładnie płci anioła. O ile w ogóle

anioły ją mają. Myślę, że są obojnakami, ale nie miałem okazji tego sprawdzić. Ani odwagi zapytać).

(Oto jeszcze jedno z pytań, które mnie dręczą: Jezus miał braci i siostry. Czy Najświętsza Panienka nadal jest dziewicą? O to też nigdy nie miałem odwagi zapytać).

Dostrzegliśmy Jego tron już z odległości wielu mil. To nie był wielki biały tron Boga Ojca znajdujący się w niebie, lecz polowy tron ustawiony dla Jezusa specjalnie na tę okazję. Mimo to wyglądał wspaniale. Wyrzeźbiono go z jednego diamentu. Jego niezliczone fasetki przechwytywały wewnętrzną światłość Jezusa i odbijały ją w fontannie ognia i lodu we wszystkich kierunkach. To właśnie widziałem najlepiej, gdyż twarz Jezusa świeci tak oślepiająco, że bez okularów przeciwsłonecznych nie sposób dostrzec jego rysów. Nic nie szkodzi. Wiadomo, Kto to był. Nie sposób było się pomylić. Wszechogarniający lęk przepełnił mnie, gdy znajdowaliśmy się jeszcze w odległości dwudziestu pięciu mil. Mimo wysiłków moich profesorów teologii dopiero wtedy po raz pierwszy w życiu zrozumiałem (poczułem) to specyficzne uczucie, które w Biblii określane jest przez dwa używane łącznie słowa – miłość i strach. Miłowałem Istotę siedzącą na tronie i lękałem się Jej. Teraz pojąłem, dlaczego Piotr i Jakub porzucili swe sieci i podążyli za Nim.

Rzecz jasna, nie wystąpiłem do Niego ze swą prośbą, gdy przelatywaliśmy obok Niego (w odległości około stu jardów). Podczas życia na Ziemi modliłem się do Jezusa, używając Jego imienia tysiące razy, gdy jednak ujrzałem Go naprawdę, przypomniałem sobie natychmiast, że anioł, który był naszym przewodnikiem, obiecał nam, że będziemy mieli okazję przedstawić osobiste prośby, gdy znajdziemy się w niebie. Już niedługo. Tymczasem przyjemnie było pomyśleć, że Margrethe znajduje się gdzieś w tej defiladzie i ogląda Pana Jezusa na Jego tronie… a gdybym się

nie wtrącił, mogłaby Go nigdy nie ujrzeć. Wraz z ekstatycznym zachwytem, który mnie ogarnął, gdy spojrzałem w Jego oślepiające światło, doświadczyłem też znajomej tkliwości.

Kilka mil za tronem kolumna skręciła w górę i w prawo. Oddaliliśmy się najpierw od Ziemi, a potem od Układu Słonecznego. Kierowaliśmy się prosto do nieba z coraz większą prędkością.

Czy wiecie, że Ziemia przybiera kształt półksiężyca, gdy spojrzeć na nią z oddali? Zastanowiłem się, czy jacyś płaskoziemcy zdołali osiągnąć łaskę zachwycenia. Nie wydawało się to prawdopodobne, lecz chyba można pogodzić z wiarą w Chrystusa przesądy ignorantów. Niektóre zabobony są absolutnie zabronione – na przykład astrologia i darwinizm – lecz, o ile wiem, ta bzdura o płaskiej Ziemi do nich nie należy. Jeśli byli wśród nas jacyś wyznawcy tego przesądu, jak musieli się czuć teraz, gdy oglądając się za siebie, *widzieli*, że Ziemia jest okrągła jak piłka tenisowa?

(A może Bóg w swym miłosierdziu pozwolił, aby ujrzeli ją płaską? Czy śmiertelnik może kiedykolwiek zrozumieć punkt widzenia Boga?)

Wydawało się, że podróż w okolice nieba zajęła nam dwie godziny. Napisałem „wydawało się”, ponieważ mógł to być dowolny odcinek czasu. Nie mieliśmy żadnej ludzkiej skali porównawczej, aby to ocenić. Podobnie wydawało mi się, że cały okres zachwycenia trwał około dwóch dni… później jednak znalazłem dowody wskazujące na to, iż mogło upłynąć siedem lat, przynajmniej według jednej z rachub. Miary czasu i przestrzeni stają się nader niejednoznaczne, gdy braknie nam naszych zegarów i mierników.

Gdy zbliżaliśmy się do Miasta Świętego, przewodnicy kazali nam zwolnić, a potem oprowadzili nas wokoło, zanim weszliśmy do środka

przez jedną z bram.

To nie była taka sobie wycieczka. Nowe Jeruzalem (Niebo, Miasto Święte, stolica Jehowy) jest zbudowane na planie kwadratu, jak Dystrykt Kolumbii, lecz jest znacznie większe. Każdy z boków ma długość 1320 mil, a obwód wynosi 5280, co oznacza powierzchnię miliona siedmiuset czterdziestu dwóch tysięcy czterystu mil kwadratowych.

Takie miasta jak Los Angeles czy Nowy Jork wydają się przy nim maleńkie. W samej rzeczy, Miasto Święte zajmuje powierzchnię ponad sześć razy większą niż Teksas! Mimo to jest zatłoczone. Jednakże po nas ma tu już przybyć tylko niewielu.

Miasto jest, rzecz jasna, otoczone murami, które mają dwieście szesnaście stóp wysokości i tyle samo grubości. Na ich szczycie znajduje się dwanaście pasm ruchu, lecz żadnych barier. Strach tamtędy chodzić. Bram jest dwanaście, po trzy w każdej ścianie. To słynne bramy z perły (rzeczywiście). Są one zawsze otwarte. Powiedziano nam, że nie zostaną zamknięte aż do czasu ostatniej bitwy.

Mury zbudowane są z mieniącego się jaspisu, lecz pod nimi znajduje się podstawa z dwunastu poziomych warstw, które olśniewają jeszcze bardziej niż sam mur – szafir, chalcedon, szmaragd, sardonyks, chryzolit, beryl, topaz, ametyst… mogłem o kilku zapomnieć. Nowe Jeruzalem jest tak wspaniałe, że trudno człowiekowi ogarnąć jego piękno… a już z pewnością od razu.

Gdy zakończyliśmy podróż wokół Miasta Świętego, przewodnik naszej kohorty ustawił nas w szereg jak sterowce na O’Hare i kazał nam czekać, aż otrzyma sygnał, że jedna z bram jest wolna. Miałem nadzieję dostrzec choć przez moment Świętego Piotra, ale nic z tego. Jego biuro mieści się przy głównej bramie – Bramie Judy – podczas gdy my weszliśmy z drugiej

strony, przez Bramę Asera, gdzie zarejestrowały nas anioły upoważnione do tego przez Świętego Piotra.

Mimo że korzystano ze wszystkich dwunastu bram i przy każdej znajdowały się tuziny urzędników upoważnionych przez Świętego Piotra, a poza tym nie poddawano nas kontroli (ponieważ wszyscy, jako uniesieni w zachwyceniu, mieliśmy zagwarantowane zbawienie), musieliśmy stać długo w kolejce tylko po to, aby nas zarejestrowano, przydzielono nam tymczasowe dokumenty, tymczasowe zakwaterowanie oraz miejsce w stołówce…

(W stołówce?)

Tak, miałem niejakie wątpliwości. Zapytałem więc anioła, który załatwiał te sprawy. Spojrzał (spojrzała) na mnie.

– Posiłki są nieobowiązkowe. Brak jedzenia i picia nie ma tutaj znaczenia. Jednak wielu stworzeniom, a także niektórym aniołom sprawia przyjemność jedzenie, zwłaszcza w towarzystwie. Jak więc sobie życzysz.

– Dziękuję. Jeszcze sprawa zakwaterowania. To pojedynczy pokój. Chciałbym otrzymać dwuosobowy. Dla mnie i dla mojej żony…

– Chciałeś powiedzieć: byłej żony. W niebie nikt się nie żeni ani nie wychodzi za mąż.

– Co? Czy to znaczy, że nie możemy mieszkać razem?

– Bynajmniej, lecz musicie oboje złożyć prośbę w Urzędzie Zakwaterowania. Zgłoście się do Biura Zamian. Nie zapomnijcie oboje wziąć świadectwa zameldowania.

– W tym tkwi problem! Zostaliśmy rozdzieleni. Jak mam ją odnaleźć?

– To nie wchodzi w zakres moich obowiązków. Zapytaj o to w budce informacyjnej. Tymczasem zatrzymaj się w swoim jednoosobowym

apartamencie w Koszarach Gideona.

– Ale…

Westchnął (westchnęła?).

– Czy zdajesz sobie sprawę, ile tysięcy godzin już tu siedzę? Czy możesz sobie wyobrazić, jak trudno jest spełnić jednocześnie potrzeby milionów stworzeń, z których jedne są żywe i nigdy nie umarły, a inne świeżo zostały wcielone? Nigdy dotąd nie musieliśmy instalować wodociągów, by stworzenia obdarzone ciałem mogły załatwiać swe potrzeby. Potrafisz sobie wyobrazić, jaka to niewygoda? Gdy dzielnica jest już skanalizowana, natychmiast pojawiają się stworzenia, które używają kanalizacji, i wartość mieszkań w całym kwartale spada na łeb na szyję! Ale czy ktokolwiek chciał mnie słuchać? E tam! Zabierz swoje papiery, przejdź przez te drzwi, wybierz sobie szatę i aureolę – harfy nie są obowiązkowe – a potem podążaj zielonym szlakiem do Koszar Gideona.

– Nie!

Ujrzałem, jak jego (jej) wargi się poruszyły. Być może modlił się (modliła).

– Czy myślisz, że można się wałęsać po niebie, wyglądając tak jak ty? Jesteś zaniedbany. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do żywych stworzeń obdarzonych ciałem. Hmm… Eliasz był ostatnim, które sobie przypominam. Muszę dodać, że twój wygląd jest niemal równie podejrzany jak jego aparycja. Oprócz zrzucenia tych łachów i włożenia porządnej białej szaty zrobiłbym na twoim miejscu coś z łupieżem.

– Posłuchaj – odparłem w napięciu. – Nikt nie wie, ile musiałem przejść. Nikt oprócz Jezusa. Podczas gdy ty siedziałeś sobie w czystej białej szacie i z aureolą w niepokalanym mieście z ulicami ze złota, ja toczyłem bój z samym Szatanem. Wiem, że nie wyglądam zbyt porządnie, nie

przyszedłem tu jednak w takim stanie z własnej woli. Hmm, gdzie mogę znaleźć jakieś żyletki?

– Co takiego?

– Żyletki. Firmy Gillette, o dwóch ostrzach, albo takie jak te. Do tego. – Wyjąłem żyletkę z maszynki i pokazałem mu (jej). – Najlepiej z nierdzewnej stali.

– Tutaj wszystko jest nierdzewne. Ale cóż to, na wielkie nieba, jest?

– Maszynka do golenia. Pozwala usunąć z twarzy tę paskudną brodę.

– Doprawdy? Gdyby Pan w swej mądrości zapragnął, żeby jego stworzenia płci męskiej nie miały włosów na twarzy, stworzyłby je gładkimi. Pozwól, niech to wyrzucę! – Sięgnął (sięgnęła) po moją maszynkę.

Cofnąłem rękę.

– O nie, nic z tego! Gdzie jest ta budka informacyjna?

– W lewą stronę. Sześćset sześćdziesiąt mil stąd.

Prychnął (prychnęła).

Odwróciłem się wściekły. Biurokracja. Nawet w niebie. Nie zadawałem już więcej pytań, ponieważ dostrzegłem ukryty sens tego, co usłyszałem. Sześćset sześćdziesiąt mil to liczba, którą pamiętałem z naszej wycieczki – dokładna odległość od środkowej bramy wejściowej (jak Brama Asera, przy której się znajdowałem) do centrum nieba, to jest wielkiego białego tronu Pana Boga Jehowy, Boga Ojca. Anioł chciał (chciała) mi powiedzieć, niezbyt oględnie, że jeśli nie podoba mi się sposób, w jaki mnie traktują, mogę się udać ze skargą do samego Szefa, czyli, innymi słowy, usłyszałem: „Spływaj!”.

Zabrałem swoje dokumenty i odszedłem, rozglądając się za jakimś innym przedstawicielem władz.

Ten, kto zorganizował całą tę imprezę – Gabriel, Michał czy ktokolwiek inny – przewidział, że wkoło będzie się kręciło mnóstwo zaambarasowanych stworzeń dotkniętych kłopotami, do których rozwiązania system nie był przystosowany. Wśród tłumu znajdowały się więc liczne cheruby. Nie wyobrażajcie sobie czegoś z twórczości Michała Anioła lub Luki della Robbii, to nie były *bambinos* z dołeczkami na kolanach, lecz osoby półtorej stopy wyższe niż my, nowo przybyli. Wyglądały jak anioły, ale miały małe skrzydełka cherubów i tabliczkę z napisem PERSONEL.

A może to rzeczywiście były anioły. Nigdy nie byłem pewien, jakie są różnice pomiędzy aniołami, cherubinami, serafinami i tak dalej. Biblia uważa, że to tak oczywiste sprawy, iż nie ma potrzeby o nich mówić. Papiści wyróżniają *dziewięć* klas aniołów! Na jakiej podstawie? W Księdze tego nie ma!

Sam stwierdziłem, że w niebie istnieją tylko dwie klasy – anioły i ludzie. Anioły uważają się za coś lepszego i okazują ci to bez wahania. Istotnie mają wyższą pozycję, władzę i przywileje. Zbawieni są obywatelami drugiej kategorii. W całym protestantyzmie – a może i wśród papistów – istnieje wyobrażenie, że zbawiona dusza będzie praktycznie siedzieć na kolanach Boga. Nic z tych rzeczy! Gdy zostajesz zbawiony i idziesz do nieba, stwierdzasz natychmiast, że jesteś tu nowy i znajdujesz się na samym dole drabiny.

Zbawiona dusza w niebie ma mniej więcej taką pozycję społeczną jak Negr w Arkansas. I to właśnie o tym anioły przypominają ci na każdym kroku.

Nigdy nie spotkałem anioła, którego bym polubił.

Przyczyną tego są uczucia, jakie żywią one do nas. Spójrzmy na to z anielskiego punktu widzenia. Według Daniela w niebie mieszka sto

milionów aniołów. Przed zmartwychwstaniem i zachwyceniem niebo musiało być miłym, niezatłoczonym miejscem, w którym łatwo było o dobrą posadę. Trochę pracy w charakterze wysłannika, a trochę w chórze, od czasu do czasu jakiś rytuał. Jestem pewien, że aniołom się to podobało.

Wtem pojawił się wielki tłum imigrantów – wiele milionów (miliardów?). Niektórzy z nich nie wiedzą nawet, gdzie się można załatwić. Wszystkimi trzeba się opiekować. Po niezliczonych eonach błogiej egzystencji anioły nagle stwierdziły, że muszą pracować po godzinach, kierując czymś, co w praktyce jest jednym gigantycznym sierocińcem. Nic dziwnego, że nas nie lubią.

Mimo to… ja też ich nie lubię. Snoby!

Odnalazłem cherubina (anioła?) z tabliczką z napisem PERSONEL i zapytałem go o drogę do najbliższej budki informacyjnej.

– Sześć tysięcy furlongów wzdłuż bulwaru – odparł, wskazując kciukiem za plecy. – Stoi przy rzece wypływającej spod tronu.

Spojrzałem w tamtym kierunku. Z tej odległości Bóg Ojciec na swym tronie wyglądał jak wschodzące słońce.

– Sześć tysięcy furlongów to ponad sześćset mil. Czy nie ma żadnej budki w pobliżu?

– Stworzenie, to ma swój sens. Gdybyśmy umieścili budkę na każdym rogu, wokół wszystkich kręciłyby się tłumy, zadając głupie pytania. Urządzono to tak, żeby stworzeniu nie chciało się zadawać sobie aż takiego trudu, chyba że ma naprawdę ważne pytanie.

Logiczne. I wkurzające. Stwierdziłem, że ponownie opanowały mnie myśli, które są tu niestosowne. Zawsze wyobrażałem sobie, że niebo jest miejscem zapewniającym wszystkim błogostan, a nie pełnym tych samych

głupich przeszkód, jakie tak często spotykamy na Ziemi. Policzyłem do dziesięciu po angielsku, a potem po łacinie.

– Jak długo trzeba tam lecieć? Czy istnieje ograniczenie prędkości?

– Nie wyobrażasz sobie chyba, że będzie ci wolno tu *latać*?

– Czemu nie? Nie dalej jak dzisiaj przyleciałem tutaj, a potem obleciałem miasto.

– Tak ci się tylko zdawało. W rzeczywistości wszystkim kierował dowódca waszej kohorty. Stworzenie, pozwól, że udzielę ci rady, która oszczędzi ci kłopotów. Kiedy dostaniesz już skrzydła, jeśli w ogóle ci je dadzą, nie próbuj latać nad Miastem Świętym. Sprowadzą cię na ziemię tak szybko, że aż cię zęby zabolą, i odbiorą ci skrzydła.

– Dlaczego?

– Dlatego, że nie masz do tego uprawnień. Wy, nowi przybysze, ledwie się tu pokazaliście, a już myślicie, że to miejsce jest waszą własnością. Wyrzeźbilibyście swoje inicjały na samym tronie, gdyby pozwolono się wam do niego zbliżyć. Niech cię oświecę. W niebie obowiązuje tylko jedna zasada: RdP. Rozumiesz, co to znaczy?

– Nie – odparłem niezupełnie zgodnie z prawdą.

– Więc słuchaj i ucz się. Możesz zapomnieć o dziesięciorgu przykazań. Tutaj tylko dwa czy trzy z nich mają zastosowanie i przekonasz się, że nie zdołasz ich złamać, choćbyś nawet próbował. Złota reguła obowiązująca w całym niebie brzmi: „Ranga daje przywileje”. W tym eonie jesteś świeżym rekrutem w Armii Bożej, z najniższą rangą, jaka jest możliwa. I z najniższymi uprawnieniami. W gruncie rzeczy jedynym twoim uprawnieniem, jakie sobie przypominam, jest to, że masz prawo być tutaj. Pan w swej nieskończonej mądrości postanowił, że masz prawo wstępu do Miasta Świętego. Na tym jednak koniec. Bądź grzeczny, a pozwolą ci tu zostać. Wracając do zasad ruchu drogowego, o które pytałeś. Anioły, i tylko

anioły, latają nad Miastem Świętym. Gdy są na służbie i podczas uroczystości. Ty nie jesteś aniołem. Nie staniesz się nim, nawet jeśli dadzą ci skrzydła. Zwracam na to uwagę, ponieważ zaskakująco dużo z was stworzeń przybyło do nieba, żywiąc iluzję, że dostanie się tutaj automatycznie zmienia stworzenie w anioła. To niemożliwe. Stworzenia *nigdy* nie zostają aniołami. Niektóre zostają świętymi, choć zdarza się to rzadko. Aniołami nigdy.

Policzyłem wstecz od dziesięciu po hebrajsku.

– Chciałbym jednak dostać się do tej budki informacyjnej. Skoro nie wolno mi latać, jak mam to uczynić?

– Dlaczego nie spytałeś o to od razu? Pojedź autobusem.

Po jakimś czasie siedziałem w autobusie – rydwanie należącym do Przedsiębiorstwa Komunikacyjnego Miasta Świętego – który toczył się z turkotem w kierunku odległego tronu. Rydwan był otwarty, miał kształt łodzi. Wejście znajdowało się z tyłu. Nie dostrzegłem żadnego źródła napędu ani szofera czy konduktora. Pojazd zatrzymywał się na oznakowanych przystankach. W ten sposób udało mi się do niego wsiąść. Nie zdołałem ustalić, jak się go zatrzymuje.

Najwyraźniej mieszkańcy korzystali z tego środka lokomocji (z wyjątkiem ważnych osobistości, którym przysługiwały prywatne rydwany). Nawet anioły. Większość pasażerów stanowili ludzie odziani w konwencjonalną biel i noszący zwykłe aureole. Niektórzy mieli jednak kostiumy z różnych epok, a nad głowami większe i ładniejsze aureole. Zauważyłem, że anioły odnosiły się stosunkowo uprzejmie do stworzeń z ładniejszymi aureolami, lecz nie siadały pośród nich. Anioły zajmowały

miejsca z przodu pojazdu, ci uprzywilejowani ludzie w środku, a szara masa (wraz z niżej podpisanym) z tyłu.

Zapytałem jednego z pasażerów mojej rangi, ile czasu potrzeba, aby dotrzeć do tronu.

– Nie wiem – padła odpowiedź. – Nie wybieram się aż tak daleko.

Ta dusza miała wygląd kobiety w średnim wieku i sprawiała wrażenie przyjaznej, toteż postanowiłem nawiązać rozmowę w typowy sposób.

– To akcent z Kansas, prawda?

Uśmiechnęła się.

– Nie sądzę. Urodziłam się we Flandrii.

– Naprawdę? Mówi pani bardzo dobrze po angielsku.

– W ogóle nie znam angielskiego – odparła, potrząsając głową.

– Ale…

– Wiem o tym. Musiał pan przybyć niedawno. Niebo jest wolne od przekleństwa wieży Babel. Tutaj nigdy nie doszło do pomieszania języków. Na szczęście dla mnie, bo nie miałam do nich zdolności, co przed śmiercią stanowiło dla mnie nie lada utrapienie. Tu już tak nie jest. – Spojrzała na mnie z zainteresowaniem. – Czy można spytać, gdzie pan umarł i w jakim okresie?

– W ogóle nie umarłem – odrzekłem. – Zostałem uniesiony żywcem w zachwyceniu.

Jej oczy rozszerzyły się.

– Och, to wspaniale! Musi pan być bardzo święty.

– Nie wydaje mi się. Dlaczego tak pani sądzi?

– Zachwycenie nadejdzie – nadeszło? – bez uprzedzenia. Tak przynajmniej mnie uczono.

– To prawda.

– Tak więc bez uprzedzenia, bez czasu na spowiedź, bez kapłana, który by panu pomógł… był pan przygotowany! Równie wolny od grzechu jak Matka Boska. Poszedł pan prosto do nieba. *Musi* pan być świętym. Tak też pomyślałam, gdy dostrzegłam pański strój – dodała – ponieważ święci, a zwłaszcza męczennicy, często ubierają się tak samo jak na Ziemi. Widziałam, że nie nosi pan swojej aureoli świętego, ale to pańskie prawo. – Spojrzała na mnie z nagłym zawstydzeniem. – Zechce mnie pan pobłogosławić? Czyż nie pozwalam sobie na zbyt wiele?

– Siostro, nie jestem świętym.

– Nie udzieli mi pan swego błogosławieństwa?

(Drogi Jezu, jak mogło mi się to przytrafić?)

– Choć słyszałaś, że, o ile wiem i jak mi się wydaje, nie jestem świętym, nadal pragniesz, abym cię pobłogosławił?

– Jeśli raczysz… święty ojcze.

– Proszę bardzo. Odwróć się i opuść nieco głowę…

Zamiast tego odwróciła się całkowicie i opadła na kolana. Położyłem rękę na jej głowie.

– Prawem nadanym mi jako wyświęconemu kapłanowi jedynego prawdziwego powszechnego Kościoła Jezusa Chrystusa, Syna Boga Ojca, i mocą Ducha Świętego błogosławię tę oto siostrę w Chrystusie. Niech tak się stanie!

Usłyszałem wokół nas głosy powtarzające: „Amen!”.

Mieliśmy całkiem spore audytorium. Poczułem się zawstydzony. Nie byłem pewien, i nadal nie jestem, czy mam jakiekolwiek uprawnienia, aby udzielać błogosławieństw w samym niebie. Lecz ta miła kobieta prosiła mnie o to i nie mogłem jej odmówić. Spojrzała na mnie ze łzami w oczach.

– Wiedziałam to! Wiedziałam!

– Co takiego?

– Że jest pan świętym! Teraz ją pan ma!

– Co takiego mam? – spytałem, lecz wtedy wydarzył się drobny cud. Nagle ujrzałem siebie jakby z zewnątrz: pomięte i brudne spodnie khaki, wojskowa koszula z demobilu z ciemnymi plamami potu pod pachami i wypukłością w lewej kieszeni na piersi, gdzie tkwiła maszynka do golenia, a do tego trzydniowy zarost i dawno niestrzyżone włosy… a nad moją głową aureola wielkości wanny, lśniąca i mieniąca się iskrami.

– Wstań z klęczek – powiedziałem. – Wszyscy na nas patrzą!

– Tak, ojcze. Nie powinieneś siedzieć z tyłu – dodała.

– Sam będę o tym decydował, córko. Opowiedz mi teraz o sobie!

Gdy ponownie usiadła w fotelu, rozejrzałem się i dostrzegłem anioła, który siedział samotnie z przodu. Anioł skinął (skinęła) na mnie, abym podszedł do niego (niej).

Miałem już dosyć arogancji aniołów, więc zignorowałem ten gest. Wszyscy jednak to widzieli, choć udawali, że nie widzą, a moja pełna nabożności towarzyszka szepnęła do mnie podekscytowana:

– O święty, anioł chce z tobą mówić.

Poddałem się – po trosze dlatego, że było to łatwiejsze, a po trosze dlatego, że chciałem zadać aniołowi pytanie. Wstałem i przeszedłem do przedniej części rydwanu.

– Chciałeś czegoś ode mnie?

– Tak. Znasz zasady. Anioły z przodu, stworzenia z tyłu, święci pośrodku. Jeśli siedzisz z tyłu razem ze stworzeniami, uczysz je złych manier. W jaki sposób chcesz zachować swe przywileje świętego, jeśli będziesz łamać protokół? Niech to się już nie powtórzy!

Przyszło mi do głowy kilka odpowiedzi, z których żadna nie miała niebiańskiego charakteru. Zamiast tego bąknąłem:

– Czy mogę zadać pytanie?

– Proszę bardzo.

– Ile czasu upłynie, zanim ten autobus dotrze do rzeki wypływającej spod tronu?

– Po co o to pytasz? Masz przed sobą całą wieczność.

– Czy to znaczy, że nie wiesz czy nie chcesz mi powiedzieć?

– Siadaj na swoim miejscu! Natychmiast!

Wróciłem na tył rydwanu, próbując odnaleźć tam miejsce, lecz stworzenia przesunęły się tak, że nie miałem gdzie usiąść. Nikt nie odezwał się słowem. Unikali mojego wzroku, lecz było oczywiste, że nikt nie wspomoże mnie w przeciwstawieniu się autorytetowi anioła. Westchnąłem i usiadłem w środku, w samotnym splendorze, ponieważ byłem jedynym świętym w pojeździe. O ile rzeczywiście nim byłem.

Nie wiem, ile czasu upłynęło, zanim dotarliśmy do tronu. W niebie światło nigdy się nie zmienia, podobnie jak pogoda, a zegarka nie miałem. Była to po prostu długa, nudna podróż. Nudna? Tak jest.

Wspaniały pałac zbudowany z drogich kamieni to cudowny widok. Tuzin pałaców zbudowanych z drogich kamieni może stanowić tuzin cudownych widoków, każdy inny od poprzedniego. Ale sto mil zabudowanych takimi pałacami może cię skutecznie uśpić, a sześćset mil pałacowych wspaniałości to śmiertelna nuda. Zacząłem się rozglądać za komisem, śmietnikiem czy (najlepiej) kawałkiem otwartej zielonej przestrzeni.

Nowe Jeruzalem jest miastem cudownie pięknym. Jestem gotów to poświadczyć. Ta długa podróż nauczyła mnie jednak, jakie korzyści płyną z brzydoty.

Nigdy się nie dowiedziałem, kto zaprojektował Miasto Święte. Jest oczywiste, że Bóg musiał zatwierdzić projekt i plany budowy. Lecz Biblia

nigdzie nie wymienia architekta (architektów) ani budowniczego (budowniczych). Masoni mówią o Wielkim Architekcie, mając na myśli Jehowę, ale w Biblii nie znajdziecie o nim najmniejszej wzmianki. Pewnego razu zapytałem anioła, kto zaprojektował to miasto. Nie spojrzał na mnie z pogardą z powodu mej ignorancji ani mnie nie zbeształ. Wydawał się niezdolny do zrozumienia tego pytania. Sam wszakże nadal rozważam ten problem: Czy Bóg stworzył (zaplanował i zbudował) Miasto Święte osobiście, aż po najdrobniejsze zwieńczenie z klejnotów, czy też zlecił to zadanie swoim podwładnym?

Czyjkolwiek jednak jest to projekt, Miasto Święte ma, moim zdaniem, jedną wielką wadę – nie mówcie, że roszczenie sobie prawa do sądzenia Bożych planów to bluźnierstwo, ale uważam, że Pan o czymś zapomniał.

Nie ma tu biblioteki publicznej.

A nawet jedna bibliotekarka informacyjna, która potrafiłaby odpowiedzieć na wszelkie pytania, ważkie i nieistotne, byłaby w niebie bardziej przydatna niż kolejna kohorta aroganckich aniołów. W niebie należałoby zatrudnić wiele takich pań, gdyż pełnienie obowiązków bibliotekarki informacyjnej w Mieście Świętym wymagałoby usposobienia świętego i cierpliwości Hioba. Aby jednak mogły one uprawiać tu swój zawód, potrzebne by im były książki, katalogi czy karty biblioteczne. Gdyby dano im szansę, jestem pewien, że potrafiłyby sporządzić katalog książek. Ale skąd wziąć same książki? W niebie najwyraźniej nie funkcjonuje przemysł wydawniczy.

W niebie nie ma żadnego przemysłu. W niebie nie ma gospodarki. Gdy Jehowa zarządził po wygnaniu z raju, że my – potomkowie Adama – musimy zdobywać swój chleb w pocie czoła, stworzył podstawy ekonomii, które funkcjonowały następnie przez mniej więcej sześć tysięcy lat.

Ale tak było na Ziemi!

W niebie *nie musimy* się trudzić w pocie czoła, by spożywać chleb powszedni. W gruncie rzeczy nie potrzebujemy wcale chleba powszedniego. Nie można tu umrzeć z głodu. Nie można nawet naprawdę go poczuć – najwyżej do tego stopnia, żeby jedzenie sprawiało ci przyjemność, jeśli pragniesz się rozerwać, wstępując do jednej z licznych restauracji, jadłodajni czy barów. Najlepszy hamburger, jaki jadłem w życiu, trafił mi się w małym lokalu przy placu Tronowym na brzegach rzeki. Wybiegam jednak naprzód.

Kolejną wadą, moim zdaniem nie tak poważną, lecz również dokuczliwą, jest brak ogrodów. Nie ma ich wcale, jeśli nie liczyć gaju Drzewa Życia nad rzeką w pobliżu tronu oraz rzadkich, bardzo rzadkich ogrodów prywatnych rozsianych tu i ówdzie. Myślę, że wiem, dlaczego tak jest, i jeśli mam rację, czas temu zaradzić. Zanim dotarliśmy do nieba (uniesieni w zachwyceniu i zmartwychwstali zmarli w Chrystusie), mieszkańcami Miasta Świętego były niemal wyłącznie anioły, oprócz miliona może męczenników za wiarę, dzieci Izraela tak świętych, że udało im się tu dostać, mimo że nie poznały osobiście Chrystusa (a więc głównie sprzed roku 30), oraz pewnej grupy ludzi z nieoświeconych krajów – cnotliwych dusz, które nawet nie słyszały o Chrystusie.

Tak więc dziewięćdziesiąt dziewięć procent mieszkańców Miasta Świętego stanowiły anioły.

Anioły nie sprawiają wrażenia zainteresowanych ogrodnictwem. To się nawet zgadza. Nie wyobrażam sobie anioła, który (która) opadłby na kolana, aby osadzić dobrze roślinę w ziemi. Nie są one po prostu istotami lubiącymi brudzić sobie ręce, co jest konieczne, by wyhodować konkursowe róże.

Teraz, gdy ludzi jest przynajmniej dziesięć razy więcej niż aniołów, myślę, że wkrótce pojawią się ogrody, a wraz z nimi wykłady na temat

użyźniania gleby i tym podobne – cały niekończący się rytuał zapalonych ogrodników. Ludzie będą mieli na to wreszcie dosyć czasu.

Większość ludzi w niebie zajmuje się tym, na co ma ochotę, choć nikt ich do tego nie zmusza. Ta sympatyczna kobieta (Suzanne), która pragnęła, abym ją pobłogosławił, zajmowała się we Flandrii wyrabianiem koronek. Teraz uczy tego w szkole otwartej dla wszystkich zainteresowanych. Odniosłem wrażenie, iż dla większości ludzi podstawowym problemem związanym z wieczną szczęśliwością jest kwestia zabicia czasu. (Pytanie: Czy coś może się kryć w koncepcji reinkarnacji, tak często spotykanej w innych religiach, lecz tak zdecydowanie odrzucanej przez chrześcijaństwo? Czy zbawiona dusza może z czasem otrzymać nagrodę polegającą na skierowaniu jej z powrotem tam, gdzie coś się dzieje? Jeśli nie na Ziemię, to może gdzie indziej? Muszę dostać w swe ręce Biblię i przeprowadzić badania. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu w niebie nadzwyczaj trudno jest znaleźć Biblię).

Budka informacyjna znajdowała się dokładnie nad brzegiem Rzeki Wody Życia, która wypływa spod tronu Bożego i przepływa przez gaj Drzewa Życia. Tron wznosi się w górę z samego środka gaju, jednak znajdując się tak blisko podstawy, nie sposób widzieć go dokładnie. To tak, jakby spoglądać na najwyższy drapacz chmur w Nowym Jorku, stojąc na chodniku tuż przy nim. A nawet jeszcze bardziej. Rzecz jasna, nie można dostrzec twarzy Boga. Patrzy się tysiąc czterysta czterdzieści łokci pionowo w górę. Widzi się jedynie blask… i czuje obecność Ducha Bożego.

Budka informacyjna była tak oblężona, jak zapowiedział to spotkany przeze mnie cherubin. Pytający nie stali w kolejce, lecz tłoczyli się wokół. Było ich około stu kręgów. Spojrzałem na ten tłum, zadając sobie pytanie,

ile czasu upłynie, zanim się dopcham do celu. Czy można było dokonać tego inaczej niż za pomocą najbardziej brutalnych i chamskich metod – nadeptywania na odciski, rozpychania się łokciami i tym podobnych rzeczy, które sprawiają, że domy towarowe wydają się mężczyznom tak mało pociągające?

Stanąłem z tyłu i popatrzyłem na ten tłum, usiłując coś wymyślić. A może istniała jakaś inna metoda odnalezienia Margrethe bez potrzeby nadeptywania na odciski?

Stałem tam nadal, gdy podszedł do mnie cherubin z napisem PERSONEL.

– Święty, czy pragniesz się dostać do budki informacyjnej?

– Jasne, że tak!

– Chodź ze mną! Trzymaj się blisko!

Miał długą pałkę podobną do tych, jakich używa policja do rozpędzania demonstracji.

– Przejście! Przejście dla świętego! Rozejść się natychmiast!

W jednej chwili znalazłem się przy kontuarze budki informacyjnej. Nie sądzę, żeby ktokolwiek odniósł obrażenia, jeśli nie liczyć urażonych uczuć. Jestem przeciwny takiemu postępowaniu. Uważam, że wszyscy powinni być traktowani równo. Ale tam, gdzie zasadą jest „ranga daje przywileje”, bez porównania lepiej jest być choćby kapralem niż szeregowcem.

Zwróciłem się w stronę cherubina, aby mu podziękować, lecz zdążył już zniknąć.

– Czego sobie życzysz, święty? – usłyszałem głos. Anioł stojący za kontuarem spojrzał na mnie z góry.

Wyjaśniłem mu, że pragnę odszukać żonę. Zabębnił palcami po blacie.

– Z reguły nie świadczymy podobnych usług. Jest taka prowadzona przez stworzenia spółdzielnia „Znajdź swych przyjaciół i ukochanych”, która się

tym zajmuje.

– Gdzie się ona mieści?

– W pobliżu Bramy Asera.

– *Co?* Przed chwilą stamtąd przyjechałem. Przez tę bramę dostałem się do nieba.

– Trzeba było spytać anioła, który cię rejestrował. Przybyłeś niedawno?

– Całkiem niedawno. Zostałem uniesiony w zachwyceniu. Pytałem anioła, ale mnie spławił. Kazał mi on, ona… ten anioł udać się tutaj.

– Hmm. Pokaż mi swoje papiery!

Pokazałem mu je. Anioł przejrzał je powoli i uważnie, po czym zawołał drugiego, który przerwał pracę i wszystkiemu się przyglądał.

– Tirl! Popatrz na to!

Z kolei drugi anioł przejrzał moje dokumenty, przytaknął z zamyśloną miną, odłożył papiery i spojrzał na mnie, potrząsając smutno głową.

– Coś nie gra? – zapytałem.

– Nie, święty. Miałeś po prostu pecha zostać obsłużonym, jeśli można użyć tego słowa, przez anioła, który nie pomógłby nawet najbliższemu przyjacielowi, gdyby miał jakichkolwiek przyjaciół. Ale dziwi mnie, że ona obeszła się w ten sposób ze świętym.

– Nie miałem jeszcze wtedy tej aureoli.

– To wyjaśnia sprawę. Pobrałeś ją później?

– Nie pobrałem jej. Pojawiła się w cudowny sposób podczas podróży z Bramy Asera.

– Rozumiem, święty. Masz prawo złożyć skargę na Khromitycinel. Z drugiej strony mógłbym skorzystać z tego nadajnika, aby zadać pytanie w twoim imieniu.

– Myślę, że tak będzie lepiej.

– Ja też. Na dłuższą metę. Dla ciebie. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Rozumiem.

– Zanim jednak połączę się z tą spółdzielnią, upewnijmy się w urzędzie Świętego Piotra, czy twoja żona w ogóle tu przybyła. Kiedy umarła?

– Nie umarła. Została uniesiona w zachwyceniu, podobnie jak ja.

– Aha. To znaczy, że łatwo będzie to sprawdzić. Nie będzie trzeba grzebać w starych archiwach. Pełne nazwisko, wiek, płeć, jeśli ją ma, miejsce i data… nie, tego nie potrzeba. Na początek pełne nazwisko.

– Margrethe Svensdatter Gunderson.

– Lepiej to przeliteruj.

Tak też zrobiłem.

– Na razie to wystarczy. O ile w biurze Piotra znają ortografię. Nie możesz zaczekać tutaj. Nie mamy poczekalni. Tam, po drugiej stronie, jest mała restauracja. Widzisz szyld?

– Święta Krowa?

– Tak jest. Mają tam dobrą kuchnię, o ile jesz. Zaczekaj tam. Powiadomimy cię.

– Dziękuję!

– Do usług – spojrzała ponownie na moje papiery, zanim mi je oddała – Święty Aleksandrze Hergensheimer.

Święta Krowa wyglądała najbardziej swojsko ze wszystkiego, co widziałem od chwili zachwycenia. Był to mały, schludny lokal, który mógłby się znajdować w Saint Louis czy Denver. Wszedłem do środka. Wysoki Negr, którego kucharska czapa wystawała nad aureolę, stał nad rusztem odwrócony do mnie tyłem. Usiadłem za barem i chrząknąłem znacząco.

– Zaczekaj momencik. – Dokończył robotę i odwrócił się. – Czym mogę… Proszę bardzo! Co panu przygotować, święty? Proszę tylko podać

nazwę!

– Luke! Cieszę się, że cię widzę!

Przyjrzał mi się.

– Czy my się znamy?

– Nie pamiętasz mnie? Pracowałem u ciebie. U Rona w Nogales. Alec. Zmywałem naczynia.

Przyjrzał mi się ponownie i westchnął głęboko.

– Naprawdę cię nie poznałem… Święty Alecu.

– Dla przyjaciół jestem Alec. To jakaś pomyłka w administracji, Luke. Kiedy się połapią, zmienią mi tę odświętną ozdobę na zwykłą aureolę.

– Śmiem wątpić, Święty Alecu. W niebie nie zdarzają się pomyłki. Hej! Albert! Stań za ladą! Mój przyjaciel Święty Alec i ja posiedzimy razem w jadalni. Albert to mój szef kuchni.

Ścisnąłem dłoń małemu, tłustemu człowieczkowi, który wyglądał jak karykatura francuskiego kucharza. Oprócz aureoli miał na głowie kapelusz *Cordon Bleu*. Następnie Luke i ja przeszliśmy przez boczne drzwi do małej jadalni i usiedliśmy przy stole. Wkrótce dołączyła do nas kelnerka i wtedy przeżyłem następny szok.

– Hazel, chcę, żebyś poznała mojego starego kumpla, Świętego Aleca – oznajmił Luke. – Prowadziliśmy razem interes. Hazel jest kelnerką w Świętej Krowie.

– Zmywałem u Luke’a naczynia – wyjaśniłem jej. – Hazel, jak cudownie cię spotkać!

Wstałem, aby uścisnąć jej dłoń, lecz zmieniłem zdanie i objąłem ją.

Uśmiechnęła się do mnie. Nie wyglądała na zaskoczoną.

– Witaj, Alec! Teraz Święty Alec! To mnie nie dziwi.

– Mnie dziwi. To pomyłka.

– W niebie nie zdarzają się pomyłki. Gdzie Margie? Nadal żyje na Ziemi?

– Nie. – Wyjaśniłem jej, w jakich okolicznościach zostaliśmy rozdzieleni. – Tak więc czekam tu na wiadomość.

– Na pewno ją znajdziesz.

Obdarzyła mnie pośpiesznym, lecz ciepłym pocałunkiem, co przypomniało mi o moim czterodniowym zaroście. Posadziłem ją na krześle, po czym sam usiadłem z dwojgiem przyjaciół.

– Na pewno odnajdziesz ją szybko, ponieważ obiecano nam to i obietnica ta jest ściśle realizowana. Połączenie się w niebie z tymi, których kochamy. „Zbierzemy się nad rzeką”… rzeczywiście jest tu rzeka, zaraz za naszymi drzwiami. Steve… Święty Alecu, pamiętasz Steve’a? Był z tobą i Margie, gdy się spotkaliśmy.

– Jak mógłbym go zapomnieć? Kupił nam obiad i dał nam złotą dziesięciodolarówkę, gdy byliśmy spłukani. Jak mógłbym go nie pamiętać!

– Cieszę się, że to mówisz… ponieważ Steve uważa, że zawdzięcza tobie swe nawrócenie, powtórne narodziny, dzięki którym dostał się do nieba. Rozumiesz, Steve poległ na równinie Megiddo, a i ja zginęłam na wojnie, hmm, około pięciu lat po tym, jak was spotkaliśmy.

– *Pięciu lat?*

– Tak. Zabili mnie zaraz na początku wojny. Steve dotrwał aż do Armagedonu…

– Hazel… minęło niewiele ponad miesiąc, odkąd Steve kupił nam ten obiad w Rimrock.

– To logiczne. Zostałeś uniesiony w zachwyceniu, które zapoczątkowało wojnę. Spędziłeś więc lata wojny w powietrzu, co sprawia, że Steve i ja dotarliśmy tu przed tobą, chociaż ty wyruszyłeś wcześniej. Możesz podyskutować o tym ze Steve’em. On za chwilę wróci. Muszę dodać, że

jestem teraz jego konkubiną. Byłabym żoną, ale tu nikt się nie żeni ani nie wychodzi za mąż. W każdym razie Steve wrócił do armii, gdy wybuchła wojna, i dosłużył się stopnia kapitana, zanim go zabili. Jego jednostka wylądowała w Hajfie i Steve zginął, walcząc za Pana w samym szczycie Armagedonu. Jestem z niego naprawdę dumna.

– I słusznie. Luke, ty też zginąłeś na wojnie?

Luke uśmiechnął się szeroko.

– Nie, Święty Alecu. Powiesili mnie.

– Nie żartuj!

– Nie żartuję. Powiesili mnie i już. Pamiętasz, jak rzuciłeś pracę u mnie?

– Nie rzuciłem pracy. Zdarzył się cud. W ten sposób poznałem Hazel i Steve'a.

– Hmm… wiesz o cudach więcej niż ja. W każdym razie potrzebny był nam szybko następny pomywacz i musieliśmy przyjąć Meksykańca. Człowieku, to był dopiero kawał sukinsyna. Wyciągnął na mnie nóż. Jego błąd. Tylko wariat wyciąga nóż na kucharza w jego kuchni! On mnie skaleczył lekko, ja go skaleczyłem na amen. Ława przysięgłych musiała się składać z jego kuzynów. Ponadto prokurator oświadczył, że pora dać przykład. Nic nie szkodzi. Byłem ochrzczony już dawno. Kapelan więzienny pomógł mi narodzić się ponownie. Stojąc na zapadni, z pętlą na szyi, wygłosiłem kazanie, a potem krzyknąłem: „Już można! Wyślijcie mnie do Jezusa! Alleluja!". I tak zrobili. To był najszczęśliwszy dzień w moim życiu.

Albert wsadził głowę do środka.

– Święty Alecu, szuka cię jakiś anioł.

– Już idę!

Anioł czekał przed wejściem, ponieważ był wyższy od drzwi, a nie miał ochoty się schylać.

– Święty Aleksander Hergensheimer? – zapytał.

– To ja.

– Pytałeś o stworzenie zwane Margrethe Svensdatter Gunderson. Odpowiedź brzmi: Obiekt nie został uniesiony w zachwyceniu ani nie pojawił się w żadnym z późniejszych transportów. Tego stworzenia – Margrethe Svensdatter Gunderson – nie ma w niebie i nie oczekuje się jego przybycia. To wszystko.

Rozdział XXIII

„Ciebie błagam o pomoc. Bez echa.
Stałem, a nie zważałeś na mnie”.

Księga Hioba 30,20

Rzecz jasna wylądowałem w końcu w biurze Świętego Piotra przy Bramie Judy… przemierzywszy wcześniej całe niebo. Zgodnie z radą Hazel wróciłem najpierw do Bramy Asera i sprawdziłem osobiście w spółdzielni „Znajdź swych przyjaciół i ukochanych”.

– Święty Alecu – powiedziała – anioły nie udzielają błędnych informacji, a źródła, z których korzystają, zawsze są dokładne. Mogły jednak sprawdzić nie w tych źródłach, co trzeba, i – moim zdaniem – nie robiły tego tak dokładnie, jak zrobiłbyś to ty sam. Wiesz, jakie są anioły. Margie mogła być zapisana pod panieńskim nazwiskiem.

– To właśnie im podałem!

– Och. Myślałam, że kazałeś im odszukać „Margie Graham”.

– Nie. Czy powinienem wrócić i to zrobić?

– Na razie nie. A kiedy to zrobisz – jeśli będzie to konieczne – nie wracaj do tej budki informacyjnej, lecz udaj się prosto do biura Świętego Piotra. Tam będziesz miał do czynienia z ludźmi, nie z aniołami.

– O to właśnie mi chodzi!

– Tak. Najpierw jednak spróbuj w tej spółdzielni. To nie jest biurokratyczna instytucja. Została założona przez ochotników, ludzi,

którym naprawdę na tym zależy. To dzięki nim Steve odnalazł mnie po swojej śmierci. Nie znał mojego nazwiska, zresztą nie używałam go od lat. Nie znał też daty ani miejsca mojej śmierci. Mimo to pewna starsza dama w spółdzielni sprawdzała po kolei wszystkie kobiety o imieniu Hazel, aż Steve powiedział: „Bingo!”. Gdyby sprawdził tylko w Głównym Biurze Ewidencji – u Świętego Piotra – odpowiedzieliby mu: „Niewystarczające dane, brak identyfikacji”. – Hazel uśmiechnęła się. – W tej spółdzielni są ludzie z wyobraźnią. Zetknęli mnie z Lukiem, choć za życia się nie znaliśmy. Gdy zmęczyłam się już wałęsaniem bez celu, doszłam do wniosku, że chciałabym prowadzić małą restaurację. To najlepszy sposób na poznawanie ludzi i zaprzyjaźnianie się z nimi. Zgłosiłam się więc do spółdzielni, a oni nastawili swe komputery na hasło „kucharz” i po wielu nieudanych próbach poznaliśmy się z Lukiem, weszliśmy w spółkę i założyliśmy Świętą Krowę. W podobny sposób zdobyliśmy Alberta.

Hazel, podobnie jak Katie Farnsworth, jest kobietą, której sama obecność wywiera uzdrawiający wpływ na otoczenie. Ma jednak oprócz tego praktyczne podejście, tak jak mój skarb. Zaproponowała, że upierze moje brudne ubranie, i pożyczyła mi szaty Steve’a, dopóki moje nie wyschną. Znalazła lusterko i kostkę mydła, co pozwoliło mi wreszcie zgolić pięciodniowy (siedmioletni?) zarost. Moja jedyna żyletka przypominała raczej tępą piłę niż ostry nóż, lecz pół godziny cierpliwego ostrzenia o wnętrze szklanki (nauczyłem się tej sztuczki w seminarium) doprowadziło ją do stanu tymczasowej używalności.

Teraz jednak musiałem się porządnie ogolić, choć robiłem to – czy próbowałem zrobić – kilka godzin temu. Nie wiem, jak długo trwała moja wędrówka, lecz wiem, że goliłem się cztery razy… stosując zimną wodę, dwukrotnie bez mydła, a raz systemem Braille’a – bez lustra. Chociaż zainstalowano tu wodociągi na użytek istot cielesnych… nie odpowiadały

one *amerykańskim standardom*. Nic w tym dziwnego, gdyż aniołom wodociągi nie są potrzebne, a większość istot cielesnych miała niewielkie, lub zgoła żadne, doświadczenie w tej sprawie.

Ludzie pracujący w spółdzielni okazali się tak gorliwi, jak opowiadała Hazel (nie sądzę, by moja wymyślna aureola miała z tym cokolwiek wspólnego), nie odnaleźli jednak niczego, co dałoby mi wskazówki w sprawie miejsca pobytu Margrethe, mimo że sprawdzali cierpliwie w komputerze każdą kombinację, jaką zdołałem wymyślić.

Podziękowałem im i pobłogosławiłem ich, po czym skierowałem się ku Bramie Judy znajdującej się na drugim krańcu nieba, w odległości tysiąca trzystu dwudziestu mil. Zatrzymałem się tylko raz, przy placu Tronowym, na jeden z nieboburgerów Luke'a i filiżankę najlepszej kawy w Nowym Jeruzalem. Otrzymałem też kilka słów zachęty od Hazel, a następnie ruszyłem w dalszą drogę znacznie pokrzepiony na ciele i duchu.

Niebiańskie Główne Biuro Ewidencji zajmuje dwa gigantyczne pałace po prawej stronie od bramy. Pierwszy i mniejszy z nich obsługuje ludzi przybyłych przed narodzeniem Chrystusa, drugi tych, którzy przybyli później. Tam też, na drugim piętrze, mieści się oficjalne biuro Świętego Piotra. Udałem się prosto do niego.

Na wielkich dwuskrzydłowych drzwiach widniała tabliczka „ŚWIĘTY PIOTR – Proszę wchodzić".

Tak też uczyniłem. Nie znalazłem się jednak w jego biurze, lecz w poczekalni tak wielkiej, że pomieściłaby dworzec Grand Central. Przeszedłem przez obrotowe drzwi, które otwierały się po wyciągnięciu z otworu kartki z numerem. Mechaniczny głos oświadczył: „Dziękuję. Proszę usiąść i czekać na wezwanie!".

Na mojej kartce widniał numer 2013. W poczekalni było tłoczno. Rozglądając się za wolnym miejscem, doszedłem do wniosku, że będę się musiał raz jeszcze ogolić, zanim mnie wezwą.

Wciąż szukałem miejsca, gdy podbiegła do mnie zakonnica, dygnęła prędko i zapytała:

– Mogę w czymś pomóc, święty?

Nie wiedziałem aż tyle o strojach noszonych przez katolickie zakony, aby móc rozpoznać, do którego z nich należała, ale była ubrana w sposób „typowy" – długi czarny habit sięgający do kostek i nadgarstków, biały, wykrochmalony welon przebiegający od piersi przez szyję aż po uszy, zakrywający całą resztę czarny kaptur, który nadawał jej sylwetkę sfinksa, *wielki* różaniec zwisający z szyi… a poza tym spokojna twarz o nieokreślonym wieku i przekrzywione binokle.

No i, rzecz jasna, aureola.

Największe wrażenie wywarł na mnie wszakże fakt, że w ogóle się tu znalazła. Pierwszy raz widziałem dowód na to, że papiści również mogą zostać zbawieni. W seminarium spieraliśmy się o to do późnej nocy… choć oficjalna doktryna mojego Kościoła głosiła, że oczywiście mogą, pod warunkiem że wierzą w to samo co my i zostaną powtórnie narodzeni w Jezusie. Zapisałem sobie w pamięci, aby zapytać ją, w jakich okolicznościach doszło do jej powtórnych narodzin. Byłem pewien, że będzie to fascynująca historia.

– Dziękuję, siostro – odpowiedziałem. – To bardzo uprzejme z twojej strony. Istotnie, możesz mi pomóc. Przynajmniej mam taką nadzieję. Jestem Alexander Hergensheimer. Próbuję odnaleźć żonę. To odpowiednie miejsce, prawda? Jestem tu po raz pierwszy.

– Tak, Święty Aleksandrze, to odpowiednie miejsce. Zdaje się jednak, że chciałeś rozmawiać ze Świętym Piotrem?

– Chciałbym mu złożyć wyrazy szacunku. O ile nie jest zbyt zajęty.

– Jestem pewna, że zechce się z tobą spotkać, święty ojcze. Zaraz powiem o tym siostrze przełożonej.

Wzięła krzyż swojego różańca, szepnęła coś (jak mi się zdaje), po czym spojrzała na mnie.

– Czy to się pisze H, E, R, G, E, N, S, H, E, I, M, E, R, Święty Aleksandrze?

– Tak, siostro.

Znowu powiedziała coś do swego różańca. Następnie oświadczyła:

– Siostra Marie Charles jest sekretarką Świętego Piotra. Ja jestem jej asystentką. – Uśmiechnęła się. – Siostra Mary Rose.

– Cieszę się, że cię poznałem, siostro Mary Rose. Opowiedz mi o sobie. Z jakiego jesteś zakonu?

– Jestem dominikanką, święty ojcze. Za życia zarządzałam szpitalem we Frankfurcie. W niebie, gdzie pielęgniarki nie są już potrzebne, pracuję tutaj, ponieważ lubię spotykać się z ludźmi. Czy zechcesz udać się za mną?

Tłum rozstąpił się przed nami jak wody Morza Czerwonego, nie wiem, czy z szacunku do zakonnicy, czy do mojej paradnej aureoli. Być może i tego, i tego. Mary Rose zaprowadziła mnie do zwykłych bocznych drzwi. Od razu znalazłem się w gabinecie jej przełożonej, siostry Marie Charles. Była to wysoka, równie wysoka jak ja zakonnica. Była też przystojna czy raczej należałoby powiedzieć „piękna”. Wyglądała na młodszą od swojej asystentki… choć tak naprawdę trudno określić wiek zakonnicy. Siedziała za wielkim biurkiem, na którym leżało mnóstwo szpargałów. A na samej krawędzi blatu stała staroświecka maszyna do pisania firmy Underwood.

Zakonnica zerwała się z miejsca i spojrzała na mnie, wykonując dziwaczny dyg.

– Witaj, Święty Aleksandrze! To dla nas wielki zaszczyt. Święty Piotr zaraz przyjdzie. Zechce pan usiąść? Czego się pan napije? Wina? Coca-coli?

– A wiesz, chętnie bym się napił coca-coli. Nie miałem jej w ustach od czasu, gdy byłem na Ziemi.

– Coca-cola? Już się robi. – Uśmiechnęła się. – Powiem panu w sekrecie, że to jedyny nałóg Świętego Piotra. Dlatego zawsze mamy tu zimną coca-colę.

Nad jej biurkiem rozległ się dobiegający znikąd głos – mocny, dźwięczny baryton, jaki charakteryzuje dobrych kaznodziejów – podobny do głosu „Bible" Barnaby'ego, niech jego imię będzie błogosławione.

– Słyszałem wszystko, Charlie. Niech wypije tę colę ze mną. Jestem teraz wolny.

– Czy znowu pan podsłuchiwał, szefie?

– Nie twój interes, mała! Przynieś też jedną dla mnie!

Gdy wpuszczono mnie do środka, Święty Piotr podchodził już do drzwi z wyciągniętą ręką. Jak mnie uczono na historii Kościoła, miał około dziewięćdziesięciu lat, gdy umarł czy też został stracony (ukrzyżowany?) przez Rzymian, o ile rzeczywiście tak było. Kapłaństwo zawsze było niebezpiecznym zajęciem, lecz w czasach Piotra było równie ryzykowne jak zawód sierżanta marines.

Ten człowiek wyglądał na silnego i dobrze zachowanego sześćdziesięciolatka. Najwyżej siedemdziesięciolatka. Widać było, że większą część życia spędził na powietrzu – miał trwałą opaleniznę i blizny wywołane przez słońce. Jego włosy i broda były długie. Wyglądały, jakby nigdy ich nie strzygł. Gdzieniegdzie przetykały je nitki siwizny, lecz nie bieli. Ponadto (ku mojemu zdziwieniu) wydawało się, że był niegdyś rudy.

Był dobrze umięśniony, ramiona miał szerokie, a ręce, jak stwierdziłem, gdy uścisnął mi dłoń, stwardniałe.

Ubrany był w sandały i brązowy płaszcz z surowej wełny. Na głowie miał taką samą jak ja aureolę oraz maluchną czapeczkę spoczywającą w samym środku jego wspaniałego owłosienia.

Spodobał mi się na pierwszy rzut oka.

Zaprowadził mnie do wygodnego krzesła stojącego przy biurku i poprosił, bym spoczął, zanim sam usiadł. Siostra Marie Charles przyszła natychmiast, niosąc na tacce dwie cole w znajomych butelkach i nie tak znajome (nie widziałem ich od lat) szklanki do coca-coli w kształcie tulipana i ze znakiem firmowym. Zastanawiałem się przez chwilę, kto ma koncesję na niebo i jak załatwia się tu podobne sprawy.

– Dziękuję, Charlie – powiedział. – Nie łącz żadnych rozmów!

– Nawet…?

– Nie wygłupiaj się! No, jazda! – Zwrócił się do mnie: – Aleksandrze, staram się przywitać osobiście każdego nowo przybyłego świętego. Z jakiegoś powodu musiałem cię jednak przeoczyć.

– Przybyłem w środku tłumu, Święty Piotrze. W ciżbie tych wszystkich z zachwycenia. I nie tędy, lecz przez Bramę Asera.

– To wszystko tłumaczy. To był ciężki dzień. Wciąż jeszcze nie wyszliśmy na prostą. Mimo to święty powinien zostać doprowadzony do bramy głównej… przez dwadzieścia cztery anioły z dwiema trąbami. Będę musiał tego dopilnować.

– Szczerze mówiąc, Święty Piotrze – wypaliłem – nie sądzę, żebym był świętym. Nie mogę jednak pozbyć się tej fikuśnej aureoli.

Święty Piotr potrząsnął głową.

– Jesteś nim bez dwóch zdań. Nie pozwól, żeby dręczyły cię co do tego wątpliwości. Nikt *nigdy* nie wie, że jest świętym. Każdemu trzeba o tym

napomknąć. W tym tkwi paradoks świętości, że ten, kto uważa się za świętego, nigdy nim nie jest. Po prawdzie, gdy po przybyciu moim tutaj wręczono mi klucze i powiedziano, że mam tu rządzić, nie uwierzyłem. Myślałem, że Pan kpi sobie ze mnie w rewanżu za kilka numerów, które wyciąłem mu w czasach, gdy pałętaliśmy się wokół Morza Galilejskiego. Ale nie! On naprawdę mi to zrobił. Rabbi Szymon bar Jona, stary rybak, zniknął i odtąd jestem Świętym Piotrem. Tak samo ty jesteś Świętym Aleksandrem, czy chcesz tego, czy nie. Z czasem ci się to spodoba. – Dotknął grubej teczki leżącej na biurku. – Przeczytałem twoje akta. Nie ma wątpliwości co do twojej świętości. Gdy już je przejrzałem, przypomniałem sobie twój proces. Tomasz z Akwinu wystąpił jako *advocatus diaboli*. Po procesie podszedł do mnie i przyznał, że jego atak był tylko *pro forma* i że nigdy nie miał wątpliwości, iż zasługujesz na ten tytuł. Powiedz mi, czy przy tym pierwszym cudzie, próbie ognia, wiara choć na chwilę cię opuściła?

– Chyba tak. Zrobił mi się pęcherz.

Święty Piotr żachnął się.

– Tylko jeden pęcherz! I ty sądzisz, że nie powinieneś być świętym! Synu, gdyby Święta Joanna miała taką wiarę jak ty, ugasiłaby ten ogień, w którym ją umęczono. Słyszałem o…

– Przybyła żona Świętego Aleksandra – rozległ się głos siostry Marie Charles.

– Wprowadź ją! Później ci o tym opowiem – powiedział Święty Piotr.

Niemal go nie słyszałem. Serce waliło mi z wrażenia.

Drzwi otworzyły się… i do pokoju weszła Abigail.

Nie wiem, jak opisać kilka następnych minut. Potworne rozczarowanie połączone z zakłopotaniem będzie chyba najlepszym określeniem.

Abigail spojrzała na mnie i powiedziała surowo:

– Alexander, dlaczego, na Boga, nosisz tę niedorzeczną aureolę? Zdejmij ją natychmiast!

Święty Piotr zagrzmiał:

– Córko, nie jesteś na Ziemi. Jesteś w moim prywatnym gabinecie. Zabraniam ci mówić w ten sposób do Świętego Aleksandra.

Abigail zwróciła wzrok w jego stronę i pociągnęła nosem.

– *Jego* nazywasz świętym? Matka nie uczyła cię, że jak się rozmawia z damą, to trzeba wstać? Czy może świętych takie drobiazgi nie obowiązują?

– Wstaję tylko wtedy, kiedy rozmawiam z *damą*. Córko, masz się do mnie zwracać z szacunkiem. Również do męża będziesz się zwracać z szacunkiem, jaki żona jest winna mężowi.

– On nie jest moim mężem!

– Słucham? – Święty Piotr spojrzał na mnie, a potem z powrotem na nią. – Jak to możliwe?

– Jezus powiedział: „Gdy bowiem powstaną z martwych, nie będą się ani żenić, ani za mąż wychodzić, ale będą jak aniołowie w niebie”. Proszę bardzo! To samo powtórzył u Marka. Dwanaście, dwadzieścia trzy.

– Tak – zgodził się Święty Piotr. – Sam to słyszałem. Powiedział to saduceuszom. Zgodnie z tym prawem nie jesteś już jego żoną.

– *Tak!* Alleluja! Całe lata czekałam, żeby się uwolnić od tego żłoba, nie popełniając grzechu!

– Nie jestem pewien tego ostatniego. Niemniej fakt, że nie jesteś już jego żoną, nie zwalnia cię z obowiązku uprzejmego odnoszenia się do tego

świętego, który był twoim mężem. – Piotr ponownie zwrócił się w moją stronę. – Czy chcesz, żeby tu została?

– Ja? Nie, nie! Zaszła pomyłka.

– Na to wygląda. Córko, możesz odejść!

– Chwileczkę! Skoro przebyłam taki szmat drogi, skorzystam z okazji, żeby powiedzieć kilka rzeczy! To skandaliczne zachowanie, które tu zaobserwowałam! Bez najmniejszego poczucia przyzwoitości…

– Córko, kazałem ci odejść. Wyjdziesz na własnych nogach czy też mam wezwać dwóch krzepkich aniołów, żeby cię stąd wyrzucili?

– O właśnie! Miałam zamiar powiedzieć…

– *Nic już nie powiesz!*

– Mam takie samo prawo do wyrażenia swej opinii jak każdy.

– Nie w moim gabinecie! Siostro Marie Charles!

– Słucham!

– Czy pamiętasz jeszcze coś z tego dżudo, którego się nauczyłaś, gdy pracowałaś w policji w Detroit?

– Tak jest!

– Zabierz stąd tego babsztyla!

Wysoka zakonnica uśmiechnęła się, zacierając ręce. To, co zaszło później, wydarzyło się tak błyskawicznie, że nie jestem w stanie tego opisać. Abigail wprost wyfrunęła z gabinetu Świętego Piotra.

Święty Piotr usiadł, westchnął i sięgnął po swą szklankę z coca-colą.

– Ta kobieta zmogłaby nawet cierpliwość Hioba. Jak długo byłeś z nią żonaty?

– Hmm. Nieco ponad tysiąc lat.

– Rozumiem. Po co po nią posłałeś?

– Nie posyłałem po nią. To jest, nie chciałem tego zrobić – zacząłem się tłumaczyć.

– No jasne! – przerwał mi. – Dlaczego od razu nie powiedziałeś, że szukasz swojej konkubiny? Wprowadziłeś w błąd Mary Rose. Tak jest, wiem, o kogo ci chodzi: o tę „zaftig sziksa”, która przewija się przez całą późniejszą część twojego dossier. Bardzo miła dziewczyna, jak mi się zdaje. Czy to jej szukasz?

– Niewątpliwie. W dniu, w którym zabrzmiały głos i trąba, porwało nas w górę razem. Ale trąba powietrzna, prawdziwe kansaskie tornado, była tak gwałtowna, że zostaliśmy rozdzieleni.

– Szukałeś jej już wcześniej. Wpłynęło pytanie z budki informacyjnej nad rzeką.

– To prawda.

– Aleksandrze, to zapytanie jest ostatnim punktem twojego dossier. Mogę im kazać, by powtórzyli poszukiwania… ale mogę ci z góry powiedzieć, że w ten sposób zdobędziesz tylko potwierdzenie. Odpowiedź będzie ta sama. Tu jej nie ma. – Wstał i podszedł do mnie, aby położyć rękę na moim ramieniu. – Widziałem tę tragedię niezliczone mnóstwo razy. Zakochana para, pewna, że spędzi ze sobą wieczność. Jedno przychodzi tutaj, drugie nie. Cóż mogę ci poradzić? Chciałbym ci jakoś pomóc, ale nie mogę.

– Święty Piotrze, musiała zajść pomyłka!

Nie odpowiedział.

– Posłuchaj mnie! Wiem to! Byliśmy obok siebie, klęczeliśmy przy prezbiterium i modliliśmy się… i na chwilę przed nadejściem trąby i głosu Duch Święty zstąpił na nas. Znaleźliśmy się w stanie doskonałej łaski i zostaliśmy porwani razem. Spytaj Go! Spytaj! On cię wysłucha.

Piotr westchnął ponownie.

– On wysłucha każdego, ale czy odpowie? Spróbuję jednak zapytać.

Wziął słuchawkę telefonu, który wyglądał tak staroświecko, że mógłby go zbudować sam Alexander Graham Bell.

– Charlie, połącz mnie z Upiorkiem. Dobra, zaczekam. Cześć! Mówi Piotrek z bramy głównej. Czy słyszałeś, żeby przybył ktoś nowy? Nie? Ja też nie. Posłuchaj, jest sprawa. Cofnij się, proszę, do dnia głosu i trąby, gdy w imię Dzieciątka porwałeś żywcem wszystkie wcielone dusze, które znajdowały się w tej chwili w stanie łaski. Umieść się przy drodze w Lowell w stanie Kansas, to Ameryka Północna, na mityngu pod namiotem. Jesteś tam? A więc, jak twierdzi niejaki Alexander Hergensheimer, obecnie kanonizowany, przynajmniej na kilka femtosekund przed dźwiękiem trąby zstąpiłeś na niego i jego ukochaną konkubinę Margrethe. Zgodnie z opisem ma ona około trzech i pół łokcia wzrostu, blondynka, piegowata, osiemdziesiąt mina… Och, tak? Za późno, co? Tego się obawiałem. Powiem mu to.

Przerwałem mu, szepcząc niecierpliwie:

– Zapytaj go, gdzie ona jest.

– Szefie, Święty Aleksander jest pogrążony w rozpaczy. Chce wiedzieć, gdzie ona jest. Tak, powiem mu. – Święty Piotr odłożył słuchawkę. – Nie ma jej w niebie ani na Ziemi. Sam możesz wydedukować odpowiedź. Przykro mi.

Muszę przyznać, że Święty Piotr okazał mi nieskończoną cierpliwość. Zapewniał mnie, że mogę porozmawiać z każdym z Trójcy… lecz przypomniał, że pytając Ducha Świętego, zapytaliśmy wszystkich trzech jednocześnie. Sprawdził po raz kolejny listę uniesionych w zachwyceniu, pochodzących z otwartych grobów oraz wciąż uzupełnianą listę tych, którzy przybyli od tego czasu, ale też powiedział, że żaden komputer nie może zaprzeczyć nieomylnej odpowiedzi samego Boga przemawiającego

w osobie Ducha Świętego… co zrozumiałem i z czym się zgodziłem, choć wciąż domagałem się nowych poszukiwań.

– A może na Ziemi? – zapytałem. – Czy może jeszcze żyć? Może jest w Kopenhadze?

– Aleksandrze, On jest równie wszechwiedzący na Ziemi, jak w niebie – odrzekł Piotr. – Czy tego nie rozumiesz?

Westchnąłem głęboko.

– Widzę, że starałem się nie przyjąć do wiadomości tego, co oczywiste. No dobrze, jak się stąd dostać do piekła?

– Alec, nie mów tak!

– Niech mnie diabli, jeśli nie będę! Piotrze, wieczność bez niej nie oznacza wiecznego szczęścia, lecz wieczną nudę, samotność i żal. Myślisz, że ta cholerna paradna aureola coś dla mnie znaczy, gdy wiem – tak jest, przekonałeś mnie – że moja ukochana płonie w czeluści? Nie prosiłem o wiele. Chciałem tylko, żeby było mi wolno być przy niej. Byłem gotów zmywać naczynia przez całą wieczność, byle tylko widzieć jej uśmiech, słyszeć jej głos, czuć jej dotyk! Spławili ją stąd przez czystą formalność! Wiesz o tym dobrze! Anioły, te źle wychowane snoby, mieszkają tu, choć nie kiwnęły nawet palcem, żeby na to zasłużyć, a moja Marga, jedyna, która zasługuje na miano prawdziwego anioła, zostaje odrzucona i wysłana do piekła na wieczne męczarnie z powodu dziecinnego drobiazgu! Możesz powiedzieć Ojcu, Jego miodoustemu Synowi i temu podstępnemu Duchowi, że mogą sobie wsadzić gdzieś to paradne Miasto Święte! Jeśli Margrethe musiała pójść do piekła, ja również chcę się tam znaleźć!

– Wybacz mu, Ojcze – rzekł Piotr. – Ogarnął go żal i nie wie, co mówi.

Uspokoiłem się trochę.

– Święty Piotrze, doskonale wiem, co mówię. Nie chcę tu zostać. Moja ukochana jest w piekle i też chcę się tam udać. *Muszę* się tam udać.

– Alec, zapomnisz o tym.

– Czy nie rozumiesz, że nie chcę o tym zapomnieć? Chcę być z moją ukochaną i dzielić jej los. Powiedziałeś mi, że ona jest w piekle…

– Nie. Powiedziałem ci tylko, że nie ma jej w niebie ani na Ziemi.

– Czy istnieje jeszcze jakieś czwarte miejsce? Otchłań czy coś takiego?

– Otchłań to mit. Nie słyszałem o żadnym czwartym miejscu.

– Chcę więc natychmiast opuścić niebo i przeszukać piekło. Jak mam to zrobić?

Piotr wzruszył ramionami.

– Cholera, nie zbywaj mnie! Od dnia, gdy przeszedłem przez ogień, nieustannie jestem zbywany! Czy jestem tu więźniem?

– Nie!

– Powiedz mi więc, jak pójść do piekła!

– Zgoda. Nie możesz jednak wziąć tej aureoli. Nie wpuszczą cię tam z nią.

– Nie prosiłem o nią. Chodźmy!

Niebawem stanąłem na krawędzi Bramy Judy, eskortowany przez dwa anioły. Piotr nie pożegnał się ze mną. Myślę, że był zdegustowany. Było mi przykro z tego powodu, bo bardzo go polubiłem. Nie mogłem jednak mu wytłumaczyć, że niebo bez Margrethe nie jest dla mnie niebem. Stanąłem nad krawędzią.

– Chcę, żebyście przekazali Świętemu Piotrowi, że…

Anioły nie zwróciły jednak uwagi na to, co mówiłem. Złapały mnie z obu stron i cisnęły w dół.

Spadałem.

I spadałem.

Rozdział XXIV

„Obym ja wiedział, gdzie można Go znaleźć,
jak dotrzeć do Jego stolicy?
Wszcząłbym przed Nim swą sprawę
i pełne dowodów miał usta”.

Księga Hioba 23,3-4

I spadałem nadal.

Jednym z najbardziej kłopotliwych aspektów wieczności jest dla człowieka współczesnego konieczność przystosowania się do nieokreśloności czasu. Bez zegarów, kalendarzy czy nawet cyklu dni i nocy, faz księżyca lub przepychu pór roku upływ czasu staje się subiektywny i odpowiedź na pytanie: „Która godzina?” – nie ma charakteru obiektywnego, lecz zależy od opinii pytanego.

Myślę, że spadałem dłużej niż dwadzieścia minut. Nie sądzę, żeby trwało to dwadzieścia lat.

Nie założyłbym się jednak ani o jedno, ani o drugie.

Nie było tam niczego, co można by zobaczyć, poza wnętrzem własnych oczu. Nie było nawet widać Miasta Świętego znikającego w oddali.

Na początku próbowałem dostarczyć sobie rozrywki przez ożywianie w pamięci najszczęśliwszych momentów mojego życia, stwierdziłem jednak, że ich wspomnienie zasmuca mnie. Pomyślałem więc o złych chwilach. To było jeszcze gorsze. Po chwili zasnąłem. Tak mi się przynajmniej zdawało. Jak możesz stwierdzić, czy śpisz, kiedy jesteś

totalnie odcięty od wszelkich wrażeń? Pamiętam, że czytałem, iż jeden z tych wścibskich „uczonych” zbudował coś, co nazwał „komorą deprywacji sensorycznej”. To, co udało mu się tam osiągnąć, przypominało pełen atrakcji cyrk w porównaniu z nader skromnymi wrażeniami, jakich dostarczało opadanie z nieba do piekła.

Pierwszą wskazówkę, że zbliżam się do piekła, stanowił smród. Zgniłe jaja. H_2S. Siarkowodór. Smród płonącej siarki. Nie można od tego umrzeć, lecz marne to pocieszenie, ponieważ ci, którzy czują tę woń, są już martwi. Przynajmniej z reguły. Ja nie jestem. Historia i literatura opowiadają o innych, którzy byli tu za życia: Dante, Eneasz, Ulisses, Orfeusz. Czy jednak wszystko to nie jest fikcją literacką?

Być może, wbrew tym wszystkim opowieściom, jestem pierwszym żywym człowiekiem, który zstępuje do piekieł? Jeśli nawet, to jak długo pozostanę przy życiu i w dobrym zdrowiu? Czy jedynie tyle, aby uderzyć w płonącą powierzchnię jeziora i z dźwiękiem „psst” zamienić się w szybko znikającą plamę tłuszczu? Czy nie pośpieszyłem się odrobinę z tym szlachetnym gestem? Szybko znikająca plama tłuszczu nie pomoże wiele Margrethe. Może trzeba było zostać w niebie i spróbować targów. Święty w pełnej aureoli pikietujący Boga przed Jego tronem mógłby Go skłonić do zmiany decyzji… a musiała to być Jego decyzja, ponieważ P.B. Jehowa był wszechmocny.

Trochę za późno na to wpadłeś, chłopcze! Widzisz już czerwoną poświatę odbijającą się w obłokach. To musi być wrząca lawa. Jak daleko jeszcze? Za blisko! Jak szybko spadam? Za szybko!

Dostrzegam, że sławetna czeluść jest kalderą niewiarygodnie olbrzymiego wulkanu. Jego ściany otaczają mnie ze wszystkich stron, całe mile nad moją głową, lecz płomienie i płynna lawa leżą jeszcze głęboko, daleko pode mną.

Ale zbliżają się szybko! Jak się ma dzisiaj twoja zdolność czynienia cudów, Święty Alecu? Z tamtego dołu pełnego ognia wyszedłeś z jednym tylko pęcherzem. Sądzisz, że dasz sobie radę z tym? To tylko różnica wielkości.

„Powoli i śliniąc główkę, słoń zdeflorował mrówkę". To też była różnica wielkości. Potrafisz sobie poradzić jak ten słoń? Święty Alecu, to nie była myśl godna świętego. Co się stało z twoją pobożnością? Może to wpływ tej grzesznej okolicy? Nieważne, nie musisz się już martwić grzesznymi myślami. Jest za późno, aby bać się grzechu. Nie grozi ci już pójście do piekła za twoje grzechy. Właśnie zstępujesz do piekła. Już *jesteś* w piekle. Za jakieś trzy sekundy zamienisz się w plamę tłuszczu. Żegnaj, Marga, moja jedyna! Przepraszam, że nigdy nie kupiłem ci tych lodów w polewie karmelowej. Szatanie, przyjmij mą duszę! Jezus to sprzedawczyk…

Złapali mnie w sieć jak motyla. Lecz motyl musiałby mieć skrzydła z azbestu, żeby można go uratować w taki sposób jak mnie. Spodnie zaczęły się na mnie tlić. Gdy znalazłem się na brzegu, wylali na mnie kubeł wody.

– Podpisz tylko ten kwit.

– Jaki kwit?

Usiadłem i spojrzałem w dół na płomienie.

– Ten.

Ktoś podetknął mi pod nos kartkę wraz z piórem.

– Dlaczego miałbym go podpisać?

– To konieczne. Zaświadcza, że uratowaliśmy cię z płonącej czeluści.

– Chcę się skontaktować z adwokatem. Bez niego niczego nie podpiszę.

Gdy poprzednim razem znalazłem się w podobnej sytuacji, kosztowało mnie to cztery miesiące zmywania naczyń. Nie mogłem sobie pozwolić na zmarnowanie czterech miesięcy. Musiałem natychmiast rozpocząć poszukiwania Margrethe.

– Nie bądź głupi. Chcesz, żeby cię z powrotem tam wrzucić?

– Daj spokój, Bert – odezwał się drugi głos. – Spróbuj powiedzieć mu prawdę.

(Bert? Ten pierwszy głos był znajomy!)

– Bert! Co ty tu robisz?

Mój kolega z lat chłopięcych, z którym mieliśmy podobne upodobania literackie. Verne i Wells, i Tom Swift – „chłam” jak mówił brat Draper.

Właściciel pierwszego głosu przyjrzał mi się bliżej.

– Niech się stanę w dupę jebanym pawianem! Śmierdziel Hergensheimer!

– We własnej osobie!

– Niech zgniję w piekle! Nie zmieniłeś się bardzo. Rod, rozciągaj sieć na nowo. To nie ta ryba. Śmierdziel, przez ciebie straciliśmy nagrodę. Mieliśmy złapać Świętego Aleksandra.

– Jakiego świętego?

– Aleksandra. To jakiś irlandzki świętoszek, który postanowił zrobić skok w bok. Bóg jeden wie, dlaczego nie przyleciał jumbo jetem. Tutaj, w czeluści, zwykle nie mamy takich dzianych klientów. Przez ciebie pewnie straciliśmy go. Władowałeś się nam w sieć, kiedy czekaliśmy na tego świętego… i powinieneś nam za to zapłacić.

– A co z tą piątką, którą byłeś mi winien?

– Chłopcze, ale ty masz pamięć! To podlega prawu o przedawnieniu.

– Pokaż mi to w piekielnej księdze ustaw. Poza tym przedawnienie nie ma tu zastosowania, ponieważ nie zareagowałeś na moje próby odzyskania

długu. Tak więc pięć dolców na procent kwartalny sześć przez… ile lat?

– Pogadamy o tym później, Śmierdziel. Muszę mieć oko na tego świętego.

– Bert.

– Później, Śmierdziel!

– Pamiętasz moje prawdziwe imię? To, które nadali mi starzy?

– Chyba tak… *Alexander!* O nie, Śmierdziel, to niemożliwe! Przecież o mało nie wywalili cię z tej prowincjonalnej szkółki biblijnej, do której poszedłeś, jak wylali cię z Rolla. – Na jego twarzy malowały się ból i niedowierzanie. – Życie nie może być aż tak niesprawiedliwe.

– Ścieżki Pana są niezbadane. Liczne są Jego cuda. Przed tobą stoi Święty Alexander, Bert. Czy chcesz, żebym cię pobłogosławił? Zamiast zapłaty, rzecz jasna.

– Przyjmujemy tylko gotówkę. Poza tym nie wierzę ci.

– A ja wierzę – stwierdził drugi z mężczyzn, na którego Bert mówił Rod. – Chciałbym, żebyś mnie pobłogosławił, ojcze. Nigdy jeszcze nie byłem błogosławiony przez świętego. Bert, na ekranach radarów nic już nie widać. Wiesz, że na dzisiejszą wachtę było zapowiedziane tylko jedno przybycie po torze balistycznym. To musi być Święty Alexander.

– To niemożliwe, Rod. Znam tego typka. Jeśli on jest świętym, to ja jestem różową małpą…

Z bezchmurnego nieba padła błyskawica. Gdy Bert się podniósł, ubranie zwisało na nim luźno. Nie potrzebował go zresztą, gdyż cały pokryty był różową sierścią.

Małpa spojrzała na mnie z oburzeniem.

– Czy w ten sposób traktuje się starego kumpla?

– Bert, ja tego nie zrobiłem. W każdym razie nie chciałem tego zrobić. Wokół mnie cuda po prostu się zdarzają. Nie robię ich celowo.

– Nie tłumacz się. Gdybym miał wściekliznę, ugryzłbym cię.

Po dwudziestu minutach siedzieliśmy w barze na brzegu jeziora, popijając piwo i czekając na cudotwórczynię, która uchodziła za specjalistkę od zmiany kształtu i wyglądu. Opowiedziałem im, dlaczego znalazłem się w piekle.

– Muszę ją więc odnaleźć. Najpierw trzeba sprawdzić w czeluści, jeśli jest tam. Sprawa jest naprawdę pilna.

– Tam jej nie ma – rzekł Rod.

– Hę? Mam nadzieję, że potrafisz tego dowieść. Skąd o tym wiesz?

– W czeluści nigdy nikogo nie ma. To tylko pic na wodę wymyślony dla zastraszenia plebsu. Rzecz jasna, masa prostaczków przybywa po torze balistycznym i pewien ich procent wpadał do czeluści, nim zarządca ustawił tę wartę, na której staliśmy z Bertem. Jednak upadek do czeluści nie czyni duszy żadnej krzywdy… poza tym, że napędza jej solidnego stracha. To parzy, jasne, więc dusza wyskakuje na zewnątrz jeszcze szybciej, niż wpadła, ale nie ponosi przy tym szkody. Kąpiel w ogniu leczy ją tylko z uczulenia, jeśli na nie cierpiała.

(Nikogo nie ma w czeluści! Nikt nie „cierpi katuszy we dnie i w nocy przez wieki wieków” – cóż to byłby za szok dla brata „Bible” Barnaby’ego… i wielu innych, którzy czerpali zyski ze straszenia ogniem piekielnym. Nie przybyłem tu jednak dyskutować o eschatologii z dwiema potępionymi duszami, lecz by odnaleźć Margę).

– Ten „zarządca”, o którym mówicie. Czy to eufemizm na określenie Złego?

Małpa – to znaczy Bert – pisnęła:

– Jeśli masz na myśli Szatana, nazwij go po imieniu!

– O niego mi chodziło.

– Nie. Zarządcą miasta jest pan Asmodeusz. Szatan nigdy nie kala się pracą. Po co miałby to robić? Jest właścicielem tej planety.

– To planeta?

– A co, myślałeś, że kometa? Spójrz przez okno. Najładniejsza planeta w tej galaktyce. I najlepiej utrzymana. Nie ma tu węży. Nie ma karaluchów. Nie ma pcheł piaskowych. Nie ma trującego bluszczu. Nie ma poborców podatkowych. Nie ma szczurów. Nie ma raka. Nie ma kaznodziejów. I jest tylko dwóch prawników.

– Zupełnie jak w niebie.

– Nie wiem, nigdy tam nie byłem. Mówisz, że właśnie stamtąd przybywasz, to nam opowiedz.

– Hmm… w niebie jest fajnie, pod warunkiem że jest się aniołem. To nie jest planeta, lecz sztuczna konstrukcja, jak Manhattan. Ale nie przybyłem tu zachwalać nieba, tylko odnaleźć Margę. Powinienem spotkać się z tym panem Asmodeuszem czy od razu zwrócić się do Szatana?

Małpa spróbowała zagwizdać, lecz pisnęła tylko jak mysz. Rod potrząsnął głową.

– Święty Alecu, zaskakujesz mnie nieustannie. Jestem tu od roku 1588 i nigdy nie widziałem właściciela na oczy. Nie przyszło mi nawet do głowy próbować dostać się do niego i nie wiem, jakie należy podjąć ku temu kroki. Co sądzisz, Bert?

– Sądzę, że napiłbym się jeszcze piwa.

– Gdzie ty je mieścisz? Odkąd uderzyła cię ta błyskawica, nie ma w tobie miejsca na jedną puszkę piwa, a co dopiero trzy.

– Nie twój interes. Zawołaj kelnera!

Poziom naszego dyskursu nie poprawiał się. Każde moje pytanie przynosiło w efekcie więcej pytań i żadnych odpowiedzi. Przybyła cudotwórczyni i zabrała Berta, posadziwszy go sobie na ramieniu. Bert jazgotał zawzięcie, targując się o cenę. Cudotwórczyni zażądała połowy jego majątku i zażyczyła sobie, by zanim ona weźmie się do pracy, Bert podpisał umowę własną krwią. On oferował dziesięć procent, przy czym chciał, żebym ja zapłacił połowę tej sumy.

Gdy oboje wyszli, Rod oświadczył, że pora znaleźć dla mnie lokum. Zaproponował, że zaprowadzi mnie do dobrego hotelu mieszczącego się w pobliżu.

Zwróciłem uwagę na fakt, że nie mam pieniędzy.

– Nic nie szkodzi, Święty Alecu. Wszyscy imigranci przybywają do nas bez grosza. American Express, Diners Club i Chase Manhattan rywalizują o szansę udzielenia im pierwszego kredytu, wiedząc, że ktokolwiek udzieli go imigrantowi, ma wszelkie szanse na to, że będzie on powierzał mu swe oszczędności przez całą wieczność i sześć tygodni.

– Muszą mnóstwo tracić, udzielając w ten sposób niezabezpieczonych kredytów.

– Wcale nie. Tu, w piekle, wszystkie długi są spłacane… prędzej czy później. Nie zapominaj, że tutaj dłużnik nie może nawet umrzeć, aby uniknąć spłaty. Zamelduj się po prostu na kredyt, nim załatwisz formalności z kimś z wielkiej trójki.

Sans Souci Sheraton mieści się przy placu naprzeciwko samego Pałacu. Rod zaprowadził mnie do rejestracji. Wypełniłem kartę meldunkową i poprosiłem o jednoosobowy pokój z łazienką. Recepcjonistka, mała diablica ze ślicznymi różkami, spojrzała na wypełnioną przeze mnie kartę. Jej oczy rozszerzyły się.

– *Święty* Alexander?

– Jestem Alexander Hergensheimer, tak jak napisałem. Czasami nazywają mnie Świętym Alexandrem, ale nie sądzę, żeby ten tytuł miał tu zastosowanie.

Przerzucała szybko dokumenty, nie słuchając tego, co mówię.

– Już mam, Wasza Świątobliwość. Oto rezerwacja pańskiego apartamentu.

– Co takiego? Nie potrzebuję apartamentu. Poza tym chyba mnie na niego nie stać.

– Na koszt kierownictwa, Wasza Świątobliwość.

Rozdział XXV

„…tak że miał siedemset żon-księżniczek
i trzysta żon drugorzędnych.
Jego żony uwiodły więc jego serce”.

1 Księga Królewska 11,3

„»Czyż u Boga człowiek jest niewinny,
czy u Stwórcy śmiertelnik jest czysty?«”

Księga Hioba 4,17

Na koszt kierownictwa! Jak to możliwe? Nikt nie wiedział, że mam tu przybyć, dopóki nie wywalili mnie przez Bramę Judy. Czy Święty Piotr miał gorącą linię do piekła? A może istniała jakaś potajemna współpraca z Nieprzyjacielem? Bracie, pomyśl, jaki skandal wywołałaby taka myśl na radzie biskupów u nas, na Ziemi!

Co ważniejsze: Po co to zrobiono? Nie miałem jednak czasu się nad tym zastanowić, gdyż diablica (chochlica?) zadzwoniła na chłopca hotelowego.

Okazał się on człowiekiem, a do tego bardzo atrakcyjnym młodzieńcem. Zaciekawiło mnie, w jakich okolicznościach umarł tak młodo i dlaczego nie dostał się do nieba. Nie był to jednak mój interes, nie spytałem więc go o to. Ale zauważyłem jedno: podczas gdy jego twarz przypominała mi reklamę papierosów Philip Morris, to gdy szedł przede mną, przyszła mi na myśl inna reklama papierosów – „Okrągłe, twarde i dobrze wypełnione”. Ten chłopak miał pośladki podobne do tych, o których pisali wierszem

hinduscy rozpustnicy. Czy to możliwe, że właśnie ten grzech zaprowadził go tutaj?

Gdy wszedłem do apartamentu, zapomniałem o tym natychmiast.

Salon był zbyt mały, aby grać w football, ale wystarczał do gry w tenisa. Meble każdy orientalny potentat z dobrze wyładowaną kabzą określiłby jako „odpowiednie”. We wnęce zwanej „spiżarnią” leżały zimne zakąski w ilości wystarczającej dla czterdziestu osób, jak również kilka gorących dań – pieczone prosię z jabłkiem w pysku, paw z wetkniętymi w kuper piórami i inne podobne przysmaki. Po drugiej stronie wnęki znajdował się dobrze zaopatrzony bar – nawet ochmistrz z *Konge Knut* byłby pod wrażeniem tego restauracyjnego przepychu.

Chłopiec hotelowy („Mów mi Pat”) kręcił się po pokoju, odsuwając zasłony, poprawiając okna, wymieniając termostaty, sprawdzając ręczniki – słowem, robiąc to wszystko, co zwykli czynić chłopcy hotelowi, by otrzymać suty napiwek. Zastanawiałem się, jak go dać. Czy istniał sposób, aby wpisano to na mój rachunek? Będę musiał o to zapytać. Udałem się do sypialni (to była dość długa podróż!) i zobaczyłem, że Pat jest w łazience. Rozbierał się. Spodnie ściągnął już do połowy, a nagie pośladki wypiął w moją stronę.

– Hej, chłopcze, nie trzeba! – zawołałem. – Dziękuję za dobre chęci… ale nie mam słabości do chłopców.

– Ja mam – padła odpowiedź. – Z tym, że nie jestem chłopcem.

Odwróciła się w moją stronę.

Miała rację. Zdecydowanie nie była chłopcem.

Stałem z rozdziawioną gębą, podczas gdy Pat ściągnęła resztę ubrania i wrzuciła do kosza.

– No! – powiedziała z uśmiechem. – Nareszcie wydostałam się z tego munduru! Nie zdejmowałam go od chwili, gdy zauważono cię na radarze.

Co się stało, Święty Alecu? Zatrzymałeś się po drodze na piwo?

– Hm… tak. Na dwa albo trzy piwa.

– Tak myślałam. Bert Kinsey był na warcie, prawda? Jeśli kiedyś jezioro wystąpi z brzegów i tę dzielnicę zaleje lawa, Bert, nim zacznie uciekać, wstąpi po drodze na piwo. Czemu jesteś zakłopotany? Powiedziałam coś niewłaściwego?

– Hmm… panienko, jesteś bardzo ładna, ale o dziewczynę również nie prosiłem.

Zbliżyła się do mnie, spojrzała w górę i pogłaskała mnie po policzku. Czułem jej oddech na brodzie. Wyczuwałem jej słodki zapach.

– Święty Alecu – odparła cicho – nie usiłuję cię uwieść. Rzecz jasna, jestem do wzięcia. Dziewczyna do towarzystwa, albo dwie czy trzy, jest wliczona w cenę wszystkich naszych luksusowych apartamentów. Potrafię jednak zrobić coś znacznie lepszego, niż przespać się z tobą. – Sięgnęła po ręcznik i owinęła go sobie wokół bioder.

– Kąpielowa *ichiban*, do usług! Prosę pana, cy pomasować plecy? – Odrzuciła ręcznik, uśmiechając się. – Jestem też barmanką pierwszej klasy. Czy podać Duńskiego Zombi?

– Kto ci powiedział, że go lubię?

Odwróciła się, aby otworzyć szafę.

– Wszyscy święci, których znałam, lubili go. Jak ci się to podoba? – Wyciągnęła szlafrok, który wyglądał, jakby utkano go z jasnoniebieskiej mgły.

– Śliczne. Ilu świętych poznałaś?

– Jednego. Ciebie… Nie, dwóch, ale tamten nie pijał Duńskiego Zombi. Przepraszam. Wygłupiałam się.

– Nic nie szkodzi. To może być cenna wskazówka. Czy tę informację przekazała ci duńska dziewczyna? Blondynka mniej więcej twojego

wzrostu i tuszy. Margrethe lub Marga. Niekiedy też Margie.

– Nie. Gdy przydzielono mnie do ciebie, dostałam ściągę z informacjami na twój temat. Ta Margie to twoja przyjaciółka?

– Więcej niż przyjaciółka. Ona jest powodem, dla którego jestem w piekle. Na piekle? W?

– Jak chcesz. Jestem raczej pewna, że nigdy nie spotkałam twojej Margie.

– W jaki sposób można tu kogoś odnaleźć? Księgi adresowe? Spisy wyborców? Coś takiego?

– Nigdy tu nie widziałam nic z tych rzeczy. W piekle nie ma prawie organizacji. Panuje tu anarchia, która tylko w niektórych kwestiach przeradza się w monarchię absolutną.

– Sądzisz, że mógłbym zapytać o to Szatana?

Zrobiła niepewną minę.

– O ile wiem, nie ma żadnego prawa, które by stwierdzało, że nie wolno ci napisać listu do Jego Piekielnej Wysokości. Z drugiej strony nie ma też prawa, które by mówiło, że On musi go przeczytać. Myślę, że któryś z sekretarzy otworzyłby go i przeczytał. Nie podejrzewam, by po prostu wrzucili list do jeziora. Raczej nie. Wejdziemy tu? – spytała. – Czy raczej chcesz już iść do łóżka?

– Hm… Myślę, że powinienem się wykąpać. Nawet na pewno.

– Fajnie! Nigdy jeszcze nie kąpałam świętego! Bomba!

– Wiesz, nie potrzebuję pomocy. Potrafię się sam wykąpać.

A jednak mnie wykąpała.

Zrobiła mi manicure. I pedicure, posykując ze złości nad stanem moich paznokci u nóg. „Skandal” to najłagodniejsze określenie, jakiego użyła.

Przystrzygła mi włosy. Gdy zapytałem ją o żyletki, wskazała szafkę w łazience, w której kryło się osiem czy dziewięć przyrządów do golenia.

– Polecam tę elektryczną maszynkę z trzema obrotowymi głowicami, lecz jeśli mi zaufasz, przekonasz się, że umiem się nieźle posługiwać zwykłą staromodną brzytwą.

– Szukałem tylko żyletek. Firmy Gillette.

– Nie znam takiej, ale są tu nowe maszynki, do których pasują wszystkie z tych żyletek.

– Nie. Wolę się trzymać własnej. Nierdzewne żyletki z dwoma ostrzami.

– Wilkinson Sword, podwójne, nietępiące się ostrza?

– Ewentualnie. O, są! „Gillette Stainless. Kup dwie paczki, jedną dostaniesz za darmo!”

– W porządku. Ogolę cię.

– Nie. Zrobię to sam.

Pół godziny później oparłem plecy o poduszki łóżka godnego królewskiego miesiąca miodowego. Przełknąłem już pyszną kanapkę Dagwooda, a w ręku trzymałem szklaneczkę z Duńskim Zombi. Miałem na sobie nowiutką brązowo-złotą jedwabną piżamę. Pat zdjęła przejrzysty peniuar barwy błękitnego dymu, który włożyła, gdy mnie wykąpała, i położyła się przy mnie, stawiając swojego drinka – Glenlivet z lodem – w zasięgu ręki.

(Powiedziałem do siebie: Posłuchaj, Marga, nie prosiłem o to. Tu jest tylko jedno łóżko, jest ono jednak duże, a ona się do mnie nie przystawia. Nie każesz mi jej stąd wykopać, prawda? To miła dziewczyna. Nie chciałbym urazić jej uczuć. Jestem zmęczony. Skończę tego drinka i idę spać).

Nie poszedłem spać tak szybko. Pat nie była w najmniejszym stopniu agresywna. Była jednak *bardzo* skłonna do współpracy. Zauważyłem, że jedna część mojego umysłu skoncentrowała się na tym, co miała ona do zaoferowania (mnóstwo!), a druga tłumaczyła Mardze, że to nic poważnego: Nie kocham jej. Kocham ciebie i tylko ciebie i zawsze będę cię kochał… ale nie mogłem zasnąć i…

Spaliśmy zaledwie chwilę, po czym obejrzeliśmy „holograficzny” film „tylko dla dorosłych”, jak określiła to Pat, i poznałem rzeczy, o których nawet nie słyszałem. Ale okazało się, że Pat je potrafi i może mnie nauczyć. Tym razem zatrzymałem się tylko na moment, aby powiedzieć Mardze, że uczę się ich z myślą o nas, a następnie skupiłem całą uwagę na nauce.

Potem znowu się zdrzemnęliśmy.

Po pewnym czasie Pat dotknęła mojego ramienia.

– Odwróć się do mnie, najdroższy, chcę ci spojrzeć w twarz. Tak myślałam. Alec, wiem, że w głowie ci tylko twoja dziewczyna. Dlatego tu jestem: żeby ułatwić ci sprawę. Nie mogę tego jednak zrobić bez twojej pomocy. Co ona takiego robiła, czego ja nie umiem? Czy może ma ten sławny gwint lewoskrętny? Albo coś innego? Powiedz mi albo opisz to. Mogę to zrobić albo udać, że robię, albo też posłać po kogoś. Proszę cię. Zaczynasz ranić moją zawodową dumę.

– Świetnie sobie radzisz. – Pogłaskałem ją po dłoni.

– Ciekawe. Może sprowadzić więcej takich dziewcząt jak ja, w różnych smakach? Zasypać cię cyckami? Czekoladowe, waniliowe, truskawkowe, tutti frutti. Tutti frutti, hmm… Może masz ochotę na przekładaniec z San Francisco albo jakiś inny numer z Sodomy i Gomory? Znam jednego chłopaka z Berkeley, który nie jest w stu procentach chłopakiem. Ma cudowną wyobraźnię. Współpracowałam z nim wiele razy. Może wezwać innych podobnych do siebie. Jest członkiem zarówno „Towarzystwa

Alesteira Crowleya”, jak i „Neronów, baronów i baleronów”. Jeśli masz ochotę na scenę grupową, Donny i ja zaprojektujemy ją tak, jak sobie życzysz, a Sans Souci zatroszczy się o odpowiednią aranżację. Ogród perski, pensjonat, harem turecki, obsceniczne rytuały w rytm tam-tamów, klasztor żeński… o, właśnie, czy mówiłam ci, co robiłam przed śmiercią?

– Nie byłem pewien, czy w ogóle umarłaś.

– Oczywiście. Nie jestem chochlicą udającą kobietę, lecz prawdziwą kobietą. Nie myśl sobie, że można dostać taką pracę, nie mając doświadczenia z ludźmi. Trzeba być człowiekiem do szpiku kości, aby zadowolić człowieka. Te gadki o nadzwyczajnych zdolnościach erotycznych sukubów to tylko ich trik reklamowy. Byłam zakonnicą, Alec, od lat młodości aż do śmierci. Większość tego czasu spędziłam na nauczaniu gramatyki i arytmetyki dzieci, które nie miały ochoty się tego uczyć. Szybko zrozumiałam, że nie mam powołania. Nie wiedziałam jednak, jak się stamtąd wydostać, więc zostałam. Około trzydziestki stwierdziłam, jak straszną pomyłkę popełniłam. Mój rozwój seksualny dobiegł końca, to znaczy dostałam chcicy, Święty Alecu, i z każdym rokiem moja żądza rosła. Najgorsze w moim położeniu było nie to, że doznawałam pokusy, ale że właściwie jej nie doznawałam, gdyż byłam gotowa skorzystać z każdej okazji. Ale gdzie tam! Mój spowiednik spojrzałby na mnie z pożądaniem, gdybym była chłopcem z chóru. Prawdę mówiąc, zdarzało mu się pochrapywać podczas moich spowiedzi. I nic dziwnego. Moje grzechy nudziły nawet mnie.

– Jakie to były grzechy, Pat?

– Nieczyste myśli, do których z reguły się nie przyznawałam. Ponieważ nie uzyskałam wybaczenia, poszły prosto do komputerów Świętego Piotra. Bluźniercze cudzołożne stosunki.

– Hę? Pat, masz niezłą wyobraźnię.

– Nie za bardzo. Tylko chcicę. Prawdopodobnie nie zdajesz sobie sprawy, jak ograniczona jest swoboda zakonnicy. Jest oblubienicą Chrystusa. Taki jest kontrakt. I dlatego nawet *myśli* o seksie czynią z niej cudzołożną żonę w najgorszym tego słowa znaczeniu.

– Kurczę! Pat, niedawno widziałem w niebie dwie zakonnice. Wyglądały na zdrowe sztuki, zwłaszcza jedna. A jednak się tam znalazły.

– Nie ma w tym sprzeczności. Większość zakonnic spowiada się regularnie i uzyskuje rozgrzeszenie. Zwykle też umierają na łonie rodziny z kapłanem lub spowiednikiem pod ręką. W ten sposób zakonnica otrzymuje ostatnie namaszczenie, wyspowiadana ze wszystkich grzechów, i wędruje prosto do nieba, czysta jak nowe mydełko. Ale nie ja! – Uśmiechnęła się. – Ja muszę pokutować za swoje grzechy i każda minuta tej kary napełnia mnie występną przyjemnością. Umarłam jako dziewica w tysiąc dziewięćset osiemnastym podczas wielkiej epidemii grypy. Zmarło wówczas tak wielu ludzi, że żaden ksiądz nie zdążył na czas, by naoliwić mnie na drogę do nieba. Dlatego wylądowałam tutaj. Po ukończeniu tysiącletniego okresu terminowania…

– Chwileczkę! Umarłaś w tysiąc dziewięćset osiemnastym?

– Tak. Wielka epidemia hiszpanki. Urodzona w roku 1878, zmarłam w 1918, dokładnie w dniu swych czterdziestych urodzin. Czy chcesz, żebym wyglądała na czterdziestkę? Mogę to zrobić.

– Nie. Wyglądasz w sam raz. Cudownie.

– Nie byłam pewna. Niektórzy mężczyźni… jest tu mnóstwo takich, co mieli chętkę na swoją mamusię, i większości nie udało się za życia tego dopiąć. To jedna z najłatwiejszych usług w moim repertuarze. Po prostu pozwalam ci zahipnotyzować się samemu. Ty dostarczasz danych. Dzięki temu uzyskuję wygląd i głos twojej matki. Zapach też. Wszystko. Z tym że – w przeciwieństwie do niej – jestem do wzięcia na różne sposoby…

– Patty, ja nawet *nie lubiłem* swojej matki!

– Och. Nie miałeś z tym kłopotów w dniu sądu?

– Nie. Zasady tego nie wymagają. W Księdze jest tylko napisane, że masz czcić ojca swego i matkę swoją. Ani słowa o kochaniu ich. Czciłem ją z zachowaniem pełnego protokołu. Miałem jej zdjęcie na biurku. Co tydzień pisałem list. Dzwoniłem do niej w dniu urodzin. Odwiedzałem, gdy pozwalały mi na to obowiązki. Wysłuchiwałem jej wiecznego wyrzekania i obrzydliwych plotek o przyjaciółkach. Nigdy się jej nie sprzeciwiałem. Płaciłem rachunki za szpital. Przyszedłem na pogrzeb. Ale nie płakałem. Ona nie lubiła mnie ani ja jej. Zapomnijmy o niej! Pat, zadałem ci pytanie, a ty zmieniłaś temat.

– Przepraszam, mój drogi. Hej, popatrz, co znalazłam!

– Nie zmieniaj znowu tematu. Potrzymaj go trochę w ręku, żeby się rozgrzał, i odpowiedz na moje pytanie. Mówiłaś coś o tysiącletnim okresie terminowania.

– Tak?

– Ale powiedziałaś też, że umarłaś w tysiąc dziewięćset osiemnastym. Ostatnia trąba zabrzmiała w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym. Wiem to na pewno. Byłem przy tym. To tylko siedemdziesiąt sześć lat od twojej śmierci. Mnie się wydaje, że ostatnia trąba zabrzmiała ledwie kilka dni temu, najwyżej miesiąc. Natrafiłem na fakty, które zdają się świadczyć o tym, że upłynęło siedem lat. To jednak nie to samo co ponad dziewięćset, prawie tysiąc. Nie jestem duchem. Mam żywe ciało. Nie jestem też Matuzalemem. (Do diabła, Margrethe rozłączona ze mną przez tysiąc lat? To niesprawiedliwe!)

– Och, Alec, w wieczności tysiąc lat nie oznacza określonego czasu. Po prostu długi okres. W tym przypadku wystarczająco długi, aby stwierdzić, czy posiadam talent i zamiłowanie do tego zawodu. Zajęło to trochę czasu

dlatego, że choć byłam wystarczająco pobudliwa – i tak już zostało, niemal każdy klient może mnie wysłać pod sufit, jak zauważyłeś – gdy tu przybyłam, nie wiedziałam nic o seksie. Zupełnie nic! Nauczyłam się jednak czego trzeba. Maria Magdalena wystawiła mi wysoką ocenę i zarekomendowała na stały kontrakt.

– Ona jest tutaj?

– Och. Zapraszają ją na gościnne wykłady. Na stałe zatrudniona jest w niebie.

– Czego może tam uczyć?

– Nie mam pojęcia, ale na pewno nie tego, co tutaj. Nie sądzę. Hmm, Alec, ona należy do Wiecznych Tytanów. Rządzi się własnymi prawami. Tym razem to ty zmieniłeś temat. Próbowałam ci wytłumaczyć, że nie wiem, jak długo terminowałam, ponieważ czas płynie tu tak, jak mu się każe. Jak długo byliśmy w łóżku?

– Hmm. Dosyć długo. Ale nie wystarczająco długo. Myślę, że jest około północy.

– Jeśli tak sobie życzysz. Czy chcesz, żebym weszła na górę?

Następnego ranka, kiedykolwiek to było, zjedliśmy z Pat śniadanie na balkonie wychodzącym na jezioro. Była ubrana w ulubiony kostium Margi – krótkie, obcisłe szorty i stanik, z którego jej piersi pragnęły wyrwać się na wolność. Nie wiem, skąd wzięła swój strój, lecz moje spodnie i koszula zostały w nocy wyprane i zacerowane, podobnie jak bielizna i skarpetki. W piekle wszędzie musi być pełno małych, zapracowanych chochlików. Zresztą w drugiej części nocy mogliby przegonić przez apartament stado gęsi, a i tak bym się nie obudził.

Spoglądałem na Pat siedzącą po przeciwnej stronie stołu, podziwiając jej zdrową harcerską urodę oraz nos pokryty piegami, i sam sobie się dziwiłem, że uważałem kiedyś seks za grzech. Seks może, rzecz jasna,

zawierać elementy grzeszne. We wszystkim, co robią ludzie, może się pojawić okrucieństwo i niesprawiedliwość. Jednak w samym seksie nie ma śladu grzechu. Przybyłem tu zmęczony, pełen niepewności i nieszczęśliwy, a Pat najpierw mnie uszczęśliwiła, a potem pomogła wypocząć, dzięki czemu wstałem tego pięknego ranka bardzo szczęśliwy.

Nie znaczy to, że zmniejszyło się moje pragnienie odnalezienia ciebie, Marga, moja jedyna. Ale będzie mi teraz znacznie łatwiej cię szukać.

Czy Margrethe mogłaby to zrozumieć?

No cóż, nigdy nie odniosłem wrażenia, że jest o mnie zazdrosna. A jak ja bym się czuł, gdyby wzięła sobie urlop, seksualny urlop, jak ja przed chwilą? To trudne pytanie. Lepiej zastanów się nad tym, chłopcze. Nosił wilk razy kilka, aż ponieśli i wilka!

Spojrzałem na jezioro. Oświetlony bijącą od płomieni czerwoną poświatą dym wzbijał się w górę… po obu stronach zaś rozciągał się zielony słoneczny krajobraz początku lata, a w oddali widać było pokryte śniegiem szczyty gór.

– Pat?

– Słucham, kochanie.

– Brzeg jeziora nie może leżeć dalej niż o furlong, nie czuję jednak woni siarki.

– Zauważ, w którą stronę wiatr wydyma te sztandary. Wszędzie w okolicy czeluści wiatr wieje w jej stronę. Nad nią powietrze wznosi się – i przy okazji spowalnia lot dusz przybywających po torze balistycznym – a następnie, po drugiej stronie globu, opada do znajdującej się tam zimnej czeluści, w której siarkowodór wchodzi w reakcję z tlenem, tworząc wodę i siarkę. Siarka odkłada się, a woda unosi pod postacią pary wodnej i wraca na powierzchnię. Dwie czeluście i cyrkulacja pomiędzy nimi regulują tu

pogodę, podobnie jak Księżyc czyni to na Ziemi, ale w łagodniejszy sposób.

– Nigdy nie byłem za mocny z nauk przyrodniczych… ale to mi się nie zgadza z prawami natury, jakich uczono mnie w szkole.

– Jasne, że nie. Tu jest inny szef. Rządzi tą planetą tak, jak mu pasuje.

Nawet gdybym mógł udzielić na to odpowiedzi, zagubiłaby się ona w łagodnym gongu, który zabrzmiał w apartamencie.

– Czy mam zareagować, proszę pana?

– Jasne, ale nie mów do mnie „pan”. Pewnie to tylko sprzątaczka, co?

– Nie, drogi Alecu, sprzątaczka przyjdzie dopiero wtedy, gdy zobaczą, że skończyliśmy. – Wstała, a po chwili wróciła, trzymając kopertę. – List dostarczony przez imperialnego kuriera. Do ciebie, kochanie!

– Do mnie?

Odebrałem go niepewnie i otworzyłem. Był zapieczętowany. Pieczęć przedstawiała konwencjonalnie wyobrażonego diabła, w kolorze czerwonym, z rogami, kopytami, ogonem i widłami, stojącego pośród płomieni.

Święty Alexander Hergensheimer
Sans Souci Sheraton
Stolica
Pozdrowienia

W odpowiedzi na pańską prośbę o audiencję u Jego Piekielnej Wysokości Szatana Mekratriga, Suwerena Piekła i jego kolonii, Pierwszego z Upadłych Tronów, Księcia Kłamstw, mam zaszczyt powiadomić pana, że Jego Wysokość życzy sobie, by poparł pan swą prośbę, dostarczając do naszego biura dokładny i szczery pamiętnik. Po spełnieniu tego warunku decyzja odnośnie do pańskiej prośby zostanie podjęta.

Do życzenia Jego Wysokości pozwalam sobie dodać własną radę: Jakakolwiek próba pominięcia, zatuszowania lub podkoloryzowania czegokolwiek celem zadowolenia Jego Wysokości z pewnością Go *nie zadowoli*.

Z wyrazami uznania
szczerze oddany
Belzebub
Sekretarz Jego Wysokości

Przeczytałem to na głos Pat. Przymrużyła oczy i gwizdnęła.

– Kochanie, weź się lepiej do roboty.

– Ale…

Papier stanął w płomieniach. Upuściłem go na brudne naczynia.

– Czy to tak zawsze?

– Nie wiem. Pierwszy raz widzę list od Głównego Szefa. Pierwszy raz też słyszę, by przyznano komuś warunkową audiencję.

– Pat, nie prosiłem o audiencję. Zamierzałem dzisiaj dowiedzieć się, jak to się robi. Nie wysłałem jednak żadnej prośby, a już otrzymałem odpowiedź.

– Musisz więc czym prędzej ją wysłać, żeby przywrócić równowagę. Pomogę ci, kochanie. Napiszę ją na maszynie.

Chochliki znowu musiały się tu kręcić. Zauważyłem, że w jednym z rogów wielkiego salonu zainstalowały dwa biurka. Na jednym był stos papieru oraz kubek z długopisami, na drugim bardziej skomplikowany zestaw. Pat podeszła prosto do tego drugiego.

– Kochanie, wydaje się, że nadal jestem do ciebie przydzielona, tym razem jako sekretarka. To najnowszy i najlepszy sprzęt Hewlett-Packarda. To będzie czysta przyjemność. A może sam umiesz pisać na maszynie?

– Obawiam się, że nie.

– Dobra, napisz to ręcznie. Potem to przepiszę… i poprawię ortografię i gramatykę. Zabierz się tylko do dzieła. Teraz już wiem, dlaczego wybrano

mnie do tej roboty. Nie ze względu na mój dziewczęcy uśmiech, kochanie. Dlatego, że umiem pisać na maszynie. Większość moich koleżanek tego nie potrafi. Wiele z nich zajęło się kurestwem, ponieważ stenografia i maszynopisanie były dla nich zbyt trudne. Dobra, bierzemy się do roboty! To nam zajmie wiele dni, może tygodni. Nie wiem dokładnie. Chcesz, żebym nadal tu spała?

– A ty nie chcesz?

– Kochanie, decyzja należy do klienta. Tak musi być.

– Chcę, żebyś została. (Marga! Zrozum mnie, proszę!)

– Dobrze, że to powiedziałeś. Inaczej bym się rozpłakała. Poza tym dobra sekretarka powinna zawsze przebywać w pobliżu szefa, na wypadek gdyby w nocy coś nieoczekiwanie stanęło na tapecie.

– Pat, to był stary dowcip już wtedy, gdy byłem w seminarium.

– Był już stary, zanim się urodziłeś, kochanie. Weźmy się do roboty!

Wyobraźcie sobie kartki kalendarza (którego nie posiadam) zrywane przez wiatr. Rękopis staje się coraz dłuższy i dłuższy, lecz Pat nalega, żeby radę księcia Belzebuba potraktować dosłownie. Sporządza ona dwie kopie wszystkiego, co piszę. Jedną chowa w biurku, a druga znika w nocy. Znowu chochliki! Pat mówi, że trzeba przyjąć, iż znikające kartki wędrują do Pałacu, przynajmniej na biurko księcia… więc to, co napisałem dotychczas, musi być zadowalające.

Codziennie przez niecałe dwie godziny Pat przepisuje to, co pisałem cały dzień. Przestałem się tak śpieszyć, odkąd otrzymałem odręczne pismo następującej treści:

> Za bardzo się przemęczasz. Więcej luzu! Zabierz ją do kina! Pójdźcie na piknik! Nie ma się czym przejmować!

B.

Kartka uległa samozniszczeniu, więc nabrałem pewności, że była autentyczna. Podporządkowałem się. Z przyjemnością. Nie zamierzam jednak tu opisywać „przybytków rozkoszy” szatańskiej stolicy.

Tego ranka osiągnąłem wreszcie ten dziwny punkt, w którym zacząłem pisać o tym, co działo się w tej właśnie chwili, i wręczyłem Pat ostatnią zapisaną stronę.

Niespełna godzinę po ukończeniu powyższego akapitu usłyszałem dźwięk gongu. Pat poszła do foyer. Po chwili wróciła. Objęła mnie.

– Musimy się pożegnać, kochanie! Już się nie zobaczymy!

– Co takiego?!

– Właśnie to, mój drogi. Dziś rano powiedzieli mi, że moja misja dobiegła końca. Muszę ci jednak coś wyznać. Dowiesz się, z pewnością się dowiesz, że składałam na ciebie codzienne raporty. Nie gniewaj się na mnie! To mój zawód. Jestem agentką Imperialnej Służby Bezpieczeństwa.

– Do diabła! Więc te wszystkie pocałunki i westchnienia były udawane?

– Nie udawałam ani razu. Gdy odnajdziesz swoją Margę, powiedz jej, proszę, że ma szczęście.

– Siostro Mary Patricio, czy to kolejne kłamstwo?

– Święty Alexandrze, nigdy cię nie okłamałam. Musiałam tylko przemilczeć pewne rzeczy, zanim wolno mi było o nich powiedzieć. – Odsunęła się ode mnie.

– Hej! Nie pocałujesz mnie na pożegnanie?

– Alec, gdybyś naprawdę chciał mnie pocałować, nie prosiłbyś o zgodę.

Nie prosiłem – zrobiłem to. Jeśli Pat udawała, była lepszą aktorką, niż podejrzewałem.

Dwa wielkie upadłe anioły czekały, aby zabrać mnie do Pałacu. Były doskonale uzbrojone i miały na sobie ciężkie zbroje. Pat zapakowała mój rękopis i powiedziała, że mam go zabrać. Skierowałem się ku wyjściu… i zatrzymałem się nagle.

– Moja maszynka!

– Sprawdź w kieszeni, kochanie!

– Hę? Jak się tam znalazła?

– Wiedziałam, że już nie wrócisz, kochanie.

Ponownie stwierdziłem, że w towarzystwie aniołów mogę latać. Przefrunąłem z mojego balkonu, wokół Sans Souci Sheraton, ponad placem, aż do balkonu na drugim piętrze Pałacu Szatana. Następnie przeleciałem kilka korytarzy, w górę po schodach o stopniach zbyt wysokich, aby były wygodne dla ludzi. Gdy się potknąłem, jeden ze strąconych aniołów podtrzymał mnie i pomógł mi wejść na szczyt, nic jednak przy tym nie powiedział – żaden z nich nie odezwał się słowem.

Wielkie mosiężne wrota, zdobione równie bogato jak drzwi Ghibertiego, otworzyły się. Wepchnięto mnie do środka.

I oto ujrzałem Go.

Mroczna, pełna dymu sala, uzbrojeni strażnicy z obu stron wysokiego tronu. Na nim siedziała Istota przynajmniej dwukrotnie wyższa niż człowiek… Istota wyglądająca jak konwencjonalne wyobrażenie diabła, jakie można zobaczyć na butelce Pluto czy puszce Diabelskiej szynki: rogi, ogon, lśniące oczy i widły zamiast berła. Jej ciemnoczerwona skóra lśniła

w blasku fajerek. Pod nią widać było naprężone mięśnie. Musiałem sobie przypomnieć, że Książę Kłamstw mógł wyglądać tak, jak tylko pragnął. Ten wygląd miał mnie zapewne zastraszyć.

Usłyszałem głos głęboki jak dźwięk syreny:

– Święty Alexandrze, możesz podejść!

Rozdział XXVI

„Stałem się bratem szakali
i sąsiadem młodych strusiów”.

Księga Hioba 30,29

Ruszyłem po schodach prowadzących ku tronowi. Również tu stopnie były zbyt wysokie i szerokie, a nie było teraz przy mnie nikogo, kto by mnie podtrzymał. Zostałem zmuszony do wpełzania po tych skubanych schodach, podczas gdy Szatan spoglądał na mnie z ironicznym uśmieszkiem.

Ze wszystkich stron rozbrzmiewała płynąca z niewidocznego źródła ponura muzyka, która przypominała Wagnera. Nie był to jednak żaden ze znanych mi utworów. Myślę, że była urozmaicona tymi poddźwiękowymi częstotliwościami, które sprawiają, że psy wyją, konie ponoszą, a ludzie zaczynają myśleć o ucieczce lub samobójstwie.

Schody nie chciały się skończyć.

Nie policzyłem stopni na początku wspinaczki, lecz wydawało się, że nie jest ich więcej niż trzydzieści. Wpełzałem na nie już od kilku minut, gdy zdałem sobie sprawę, że w ogóle nie zbliżam się do celu. Książę Kłamstw!

Stanąłem więc.

Po chwili usłyszałem grzmiący głos:

– Coś nie gra, Święty Alexandrze?

– Wszystko gra – odparłem – ponieważ w ten sposób Wasza Wysokość to zaplanował. Jeśli Wasza Wysokość naprawdę chce, żebym wszedł do Niego, to proszę wyłączyć to cwane urządzenie. Nie ma sensu, żebym bawił się w Syzyfa.

– Sądzisz, że jestem za to odpowiedzialny?

– Ja *wiem* o tym. To taka zabawa. W kotka i myszkę.

– Chcesz ze Mnie zrobić głupca w obecności Moich dworzan?

– Nie, Wasza Wysokość. Nie mogę zrobić z Waszej Wysokości głupca. Tylko Wasza Wysokość może tego dokonać.

– Czyżby? Czy wiesz, że mogę cię unicestwić w każdej chwili?

– Wasza Wysokość, byłem w mocy Waszej Wysokości, odkąd wkroczyłem do Jego królestwa. Czego sobie Wasza Wysokość życzy? Mam nadal włazić po tych schodach?

– Tak.

Tak też uczyniłem. Schody przestały się rozciągać, a stopnie skurczyły się do wygodnej szerokości siedmiu cali. Po kilku sekundach znalazłem się na tej samej wysokości co Szatan… to jest jego kopyta. To była stanowczo za mała odległość. Nie tylko Jego powierzchowność mnie przerażała – musiałem mocno się trzymać – lecz On również *śmierdział*! Cuchnął brudnymi kubłami na śmieci, zgniłym mięsem, skunksem i cywetą, siarką, zamkniętymi pokojami, gazem z chorych jelit – tym wszystkim, a także jeszcze gorszymi rzeczami. Powiedziałem sobie: Alexie Hergensheimerze, jeśli pozwolisz Mu na to, żeby sprowokował cię do wymiotów, możesz stracić wszelkie szanse na połączenie się z Margą, więc powstrzymaj się! Zapanuj nad sobą!

– Ten taboret jest dla ciebie – powiedział Szatan. – Usiądź!

Obok tronu stał taboret wystarczająco niski, aby zniszczyć godność każdego, kto na nim usiądzie. Uczyniłem to.

Szatan ujął maszynopis dłonią tak wielką, że kartki wyglądały w niej jak karty do gry.

– Przeczytałem to. Niezłe. Trochę przydługie, ale moi redaktorzy to poprawią. Lepsze obszerne sprawozdanie niż zbyt zwięzłe. Będzie też potrzebne zakończenie… napisane przez ciebie albo kogoś wynajętego. Raczej to drugie. Trzeba nadać temu więcej wyrazu. Powiedz mi, myślałeś kiedyś, żeby zostać pisarzem zamiast kaznodzieją?

– Chyba nie mam talentu.

– Co tam talent! Powinieneś *zobaczyć* to, co teraz wydają. Musisz jednak trochę podrasować sceny erotyczne. Dzisiejsza klientela żąda *ostrych* momentów. Ale mniejsza o to. Nie wezwałem cię tu, aby omawiać twój styl i jego niedostatki, lecz po to, aby przedstawić ci propozycję.

Milczałem. On też. Po chwili odezwał się:

– Nie jesteś ciekaw, co to za propozycja?

– Wasza Wysokość, oczywiście, że jestem ciekaw. Ale jeśli ludzkość w ogóle zdołała się czegokolwiek o Tobie dowiedzieć, to tego, że przy wszystkich układach z Waszą Wysokością należy zachowywać maksymalną ostrożność.

Fundamenty zatrzęsły się od Jego śmiechu.

– Biedny, mały człowieku, naprawdę myślałeś, że chcę się targować o twą mizerną duszę?

– Nie wiem, czego Wasza Wysokość chce. Nie jestem jednak tak bystry jak doktor Faust, a tym bardziej jak Daniel Webster. Powinienem więc mieć się na baczności.

– Nie pleć głupstw! Nie chcę twojej duszy. Nie ma teraz na nie zbytu. Jest ich za wiele, a jakość znacznie się obniżyła. Mogę je skupować po dziesięć centów za pęczek, jak rzodkiewki, ale nie robię tego, bo mam

przeładowane magazyny. Nie, Święty Alexandrze! Pragnę ci zaoferować pracę. I to w twoim zawodzie!

(Poczułem nagły niepokój. Gdzie tkwił podstęp? Alex, to szwindel! Bądź ostrożny! Czego On chce?)

– Wasza Wysokość potrzebuje pomywacza?

Ponownie rozległ się chichot, mniej więcej 4,2 w skali Richtera.

– Nie, nie, Święty Alexandrze! Mam na myśli twoje powołanie, a nie robotę, do której podjęcia zmusiła cię potrzeba chwili. Chcę cię wynająć, żebyś głędził ludziom o Ewangelii, wymachiwał im nad głowami Biblią. Pragnę, żebyś się wziął do roboty na Jezusowym odcinku, tak jak cię tego nauczono. Nie będziesz się musiał martwić o pieniądze. Żadnych zbiórek na tacę. Pensja będzie wysoka, a obowiązki lekkie. Co powiesz?

– Powiem, że Wasza Wysokość próbuje mnie nabrać.

– To niezbyt uprzejme z twojej strony. Żadnego nabierania, Święty Alexandrze. Będziesz mógł głosić to, co zechcesz, bez ograniczeń. Otrzymasz tytuł Mojego prywatnego kapelana oraz Prymasa Piekła. Będziesz mógł poświęcić resztę swojego czasu – tak wiele czy niewiele, jak sobie zażyczysz – na zbawienie potępionych dusz… a tych jest tu pod dostatkiem. Pensja do uzgodnienia… z tym, że nie niższa niż gaża obecnie pełniącego tę funkcję papieża Aleksandra VI, którego dusza słynie z notorycznej chciwości. Nie będziesz żył w biedzie, daję słowo. No więc? Co ty na to?

(Kto tu zwariował? Diabeł czy ja? A może to kolejny z tych koszmarów, które ostatnio mnie dręczyły?)

– Wasza Wysokość nie wymienił niczego, czego bym pragnął.

– Czyżby? Każdy potrzebuje pieniędzy. Jesteś spłukany. Nie będziesz mógł zostać w tym paradnym apartamencie ani dnia dłużej, jeśli nie znajdziesz roboty. – Stuknął ręką w maszynopis. – To może ci przynieść

trochę grosza, ale nie tak szybko. Nie wypłacę ci zaliczki, bo nie wiem, jak to się będzie sprzedawać. Na rynku jest aż nadto ekstrawaganckich historii w rodzaju: „Byłem więźniem złego króla”.

– Wasza Wysokość czytał mój pamiętnik i *wie*, czego pragnę.

– Hę? Przypomnij mi!

– Wasza Wysokość wie! Mojej ukochanej, Margrethe Svensdatter Gunderson.

Zrobił zdziwioną minę.

– Czy nie wysłałem ci memorandum na ten temat? W piekle jej nie ma.

Poczułem się jak pacjent, który trzymał głowę do góry aż do chwili, gdy nadszedł wynik biopsji… a potem nie może się pogodzić ze złą wiadomością.

– Jest Wasza Wysokość tego *pewien*?

– Oczywiście, że tak. Jak ci się zdaje, kto tu rządzi?

(Książę Kłamców, Książę Kłamstw!)

– Jak Wasza Wysokość może być pewien? Słyszałem, że nikt tu nie prowadzi rejestrów. Jest możliwe, że ktoś przebywa w piekle od lat, a Wasza Wysokość nigdy o nim nie słyszał.

– Jeśli tak słyszałeś, to źle słyszałeś. Posłuchaj, jeśli przyjmiesz moją ofertę, będziesz mógł sobie pozwolić na wynajęcie najlepszych detektywów w historii, od Sherlocka Holmesa po J. Edgara Hoovera, aby przeszukali dla ciebie całe piekło. To byłoby jednak marnowanie pieniędzy. Jej nie ma w Moim królestwie. Mówię ci to oficjalnie.

Zawahałem się. Piekło jest duże. Sam mógłbym je przeszukiwać całą wieczność i nigdy nie znalazłbym Margi. Jednak duża ilość pieniędzy (wiedziałem o tym dobrze) czyniła z trudnych rzeczy łatwe, a z niemożliwych jedynie trudne.

Niemniej, choć pewne rzeczy, które robiłem jako zastępca dyrektora w Kościołach Zjednoczonych na rzecz Obyczajności, mogły wzbudzać wątpliwości (niełatwo jest zrównoważyć budżet), nigdy jako wyświęcony kapłan nie sprzedałem się Naszemu Odwiecznemu Nieprzyjacielowi. Jak może kapłan Chrystusa zostać kapelanem Szatana? Marga, kochanie, *nie mogę tego zrobić*.

– Nie.

– Nie dosłyszałem cię. Dodam jeszcze coś na osłodę. Jeśli przyjmiesz moją propozycję, przydzielę ci na stałe moją czołową agentkę, siostrę Mary Patricię. Zostanie twoją niewolnicą… z tym drobnym zastrzeżeniem, że nie będziesz mógł jej sprzedać. Będziesz jednak mógł ją wynajmować, jeśli sobie zażyczysz. Co ty na to?

– Nie.

– No nie, no! Prosisz o jedną babkę, a ja ci daję lepszą. Nie możesz mi wmówić, że nie było ci z Pat przyjemnie. Mieszkałeś z nią długie tygodnie. Czy mam odtworzyć z taśmy trochę jęków i westchnień?

– Ty, nie powiem jaki, chamie!

– Nu, nu, nie obrażaj Mnie w Moim własnym domu. Ty wiesz, Ja wiem i wszyscy dobrze wiemy, że kobitki niewiele się od siebie różnią… może z wyjątkiem gotowania. W miejsce tej, którą gdzieś zapodziałeś, proponuję ci inną, nawet lepszą. Za rok podziękujesz Mi za to. Za dwa lata będziesz się dziwił, czemu tak wybrzydzałeś. Lepiej się zgódź, Święty Alexandrze. To najlepsza propozycja, jaką mogę ci złożyć. Mówię ci szczerze, ten Duński Zombi, o którego prosiłeś, nie znajduje się w piekle. No więc?

– *Nie!*

Szatan zabębnił palcami o oparcie fotela. Wyglądał na rozzłoszczonego.

– To twoje ostatnie słowo?

– Tak.

– A przypuśćmy, że zaoferowałbym ci posadę kapelana i twoją lodową dziewicę na dodatek?

– Powiedział Wasza Wysokość, że w piekle jej nie ma!

– Ale nie powiedziałem, że nie wiem, gdzie jest.

– Czy może się Wasza Wysokość do niej dostać?

– Odpowiedz na moje pytanie. Przyjmiesz posadę Mojego kapelana, jeśli w kontrakcie zawrę obietnicę oddania ci jej?

(Marga, Marga!)

– Nie.

– Sierżancie, proszę odesłać straż – powiedział Szatan rześkim głosem. – Ty pójdziesz ze mną!

– W lewo… zwrot! Naprzód… marsz!

Szatan wstał z tronu, obszedł go i udał się na tył, nie odzywając się do mnie ani słowem. Musiałem się śpieszyć, aby nadążyć za jego potężnymi krokami. Za tronem znajdował się długi, mroczny tunel. Gdy wydało mi się, że zaczął się ode mnie oddalać, zerwałem się do biegu. Jego sylwetka zaczęła się roztapiać w słabym świetle na końcu tunelu.

Nagle o mało nie nadepnąłem Mu na pięty. Nie oddalał się tak szybko, jak mi się zdawało, lecz zmieniał swą wielkość. A może ja to robiłem. Byliśmy teraz obaj mniej więcej tego samego wzrostu. Zatrzymałem się tuż za Nim, gdy dotarł do drzwi na końcu tunelu. Były one ledwie widoczne w słabej czerwonawej poświacie. Szatan dotknął czegoś przy drzwiach, a nad nimi zapaliło się białe światło. Otworzył drzwi i zwrócił się w moją stronę.

– Wejdź, Alec!

Serce zabiło mi żywiej. Zaczerpnąłem gwałtownie powietrza.

– Jerry! Jerry Farnsworth!

Rozdział XXVII

„Bo w wielkiej mądrości – wiele utrapienia,
a kto przysparza wiedzy – przysparza i cierpień”.

Księga Koheleta 1,18

„Hiob zabrał głos i tak mówił:
»Niech przepadnie dzień mego urodzenia
i noc, gdy powiedziano: Poczęty mężczyzna«”.

Księga Hioba 3,2-3

Zaćmiło mi się w oczach. W głowie zaczęło mi wirować. Kolana ugięły się pode mną.

– Hej, bez takich numerów! – powiedział Jerry ostro. Objął mnie w pasie, wciągnął do środka i zatrzasnął drzwi.

Podtrzymał mnie, abym nie upadł, a potem potrząsnął mną i plasnął mnie w twarz. Poruszyłem głową i odzyskałem oddech.

Usłyszałem głos Katie:

– Przyprowadź go tu, żeby mógł usiąść.

Wrócił mi wzrok.

– Nic mi nie jest. Po prostu na sekundę zwaliło mnie z nóg.

Rozejrzałem się. Znajdowaliśmy się w foyer domu Farnsworthów.

– Zemdlałeś i tyle. Nic w tym dziwnego. Przeżyłeś szok. Chodź do pokoju rodzinnego!

– Dobrze. Cześć, Katie! O kurczę, jak fajnie znów cię widzieć.

– Ciebie też, mój drogi.

Podeszła bliżej, objęła mnie i pocałowała. Po raz kolejny przekonałem się, że choć Marga jest moją jedyną, Katie jest kobietą w moim typie. Podobnie jak Pat. Marga, chciałbym, żebyś mogła poznać Pat. (Marga!)

Pokój rodzinny wydawał się opustoszały – niewykończone meble i brak okien oraz kominka.

– Katie, włącz nam, proszę, Remington numer dwa! – rzekł Jerry. – Ja przygotuję drinki.

– Tak, kochanie.

Gdy oboje zajęli się robotą, do pokoju wtargnęła Sybil, zarzuciła mi ręce na szyję (niemal zbijając mnie z nóg; ten dzieciak ma swoją masę) i obdarzyła mnie szybkim buziakiem, który nie przypominał błogosławieństwa Katie.

– Pan Graham! Był pan bomba! Oglądałam wszystko! Z siostrą Pat! Ona też myśli, że pan jest bomba!

Lewa ściana zamieniła się w okno z widokiem na góry. Na przeciwnej ścianie pojawił się kamienny kominek z buzującym płomieniem, który wyglądał tak samo jak poprzednim razem. Sufit był teraz niski, lecz meble i podłoga wyglądały tak, jak je zapamiętałem – Remington numer dwa.

Katie odwróciła się od tablicy rozdzielczej.

– Sybil, daj mu spokój, kochanie! Alec, usiądź wreszcie!

– Jak sobie życzysz. – Usiadłem. – Hmm… to Teksas czy piekło?

– Zależy, jak na to patrzeć – odrzekł Jerry.

– A co to za różnica? – spytała Sybil.

– Trudno wyczuć – odparła Katie. – Nie martw się tym teraz, Alec. Ja też cię podziwiałam. Dziewczęta mają rację. Jestem z ciebie dumna.

– On stanowi ciężki przypadek – wtrącił Jerry. – Nie wycisnąłem z niego ani grosika. Alec, ty uparty tępaku, przegrałem przez ciebie trzy zakłady.

Pojawiły się drinki. Jerry uniósł swoją szklankę.

– Twoje zdrowie!

– Za Aleca!

– Tak, jego zdrowie!

– Moje zdrowie – zgodziłem się i pociągnąłem wielki łyk Jacka Daniel'sa. – *Jerry, nie jesteś chyba*…

Uśmiechnął się do mnie. Szyte na miarę ubranie kowbojskie zniknęło. Buty zmieniły się w rozszczepione kopyta. Rogi wysunęły się spod Jego włosów. Skóra pokrywająca potężne mięśnie zalśniła oleistą czerwienią. Z Jego łona wystrzelił nieustraszenie w górę groteskowo wielki fallus!

– Myślę, że go przekonałeś, mój drogi – powiedziała cicho Katie. – A poza tym ta postać nie należy do Twych najładniejszych.

Konwencjonalne wyobrażenie diabła zniknęło, szybko zastąpione przez równie konwencjonalne wyobrażenie milionera z Teksasu.

– Tak lepiej – powiedziała Sybil. – Tato, dlaczego w ogóle używasz tego wyświechtanego wyobrażenia?

– To dobitny symbol. Jednak ta druga postać jest tutaj bardziej odpowiednia. Ty też powinnaś przywdziać teksaski strój.

– Koniecznie? Myślałam, że Patty przyzwyczaiła już pana Grahama do nagości.

– Jej nagości, nie twojej. Zrób to zaraz, bo usmażę cię na obiad!

– Tatusiu, jesteś oszustem. – Na Sybil, która nie ruszyła się z krzesła, pojawiły się nagle niebieskie dżinsy i stanik. – Zmęczyło mnie już udawanie nastolatki. Nie widzę sensu kontynuowania tej zabawy. Święty Alec wie już, że go nabieraliśmy.

– Sybil, mówisz za dużo.

– Mój drogi, ona może mieć rację – wtrąciła cicho Katie.

Jerry potrząsnął głową. Westchnąłem głośno i powiedziałem to, co musiałem powiedzieć:

– Tak, Jerry, wiem, że zostałem nabrany, i to przez tych, których uważałem za przyjaciół. Swoich i Margi. Czy to Ty kryłeś się za tym wszystkim? Kim więc ja jestem? Hiobem?

– I tak, i nie.

– Co to oznacza… Wasza Wysokość?

– Alec, nie musisz mnie tak tytułować. Spotkaliśmy się jako przyjaciele i mam nadzieję, że nimi pozostaniemy.

– Jak możemy być przyjaciółmi, jeżeli jestem Hiobem? Wasza Wysokość… *gdzie jest moja żona?*

– Sam chciałbym wiedzieć, Alec. W twoich pamiętnikach znalazłem pewne wskazówki, które pozwoliły Mi rozpocząć poszukiwania. Na razie jednak tego nie wiem. Musisz być cierpliwy!

– Hmm… do diabła, nie jestem cierpliwy! Jakie wskazówki? Wskaż mi trop! *Czy nie widzisz, że tracę rozum?!*

– Nie, nie widzę, ponieważ go nie tracisz. Przypiekałem cię tylko trochę. Naciskałem na ciebie tak, że powinieneś się załamać. Ale ty się nigdy nie załamujesz. Mimo to nie możesz Mi pomóc w poszukiwaniach, nie w tej chwili. Alec, nie zapominaj, że jesteś człowiekiem… a Ja nie! Mam moc, której nie potrafisz sobie wyobrazić. Ma ona jednak ograniczenia, których również nie potrafisz sobie wyobrazić. Siedź więc cicho i słuchaj! Jestem twoim przyjacielem. Jeśli w to nie wierzysz, możesz opuścić Mój dom i radzić sobie sam. Nad jeziorem zawsze można znaleźć pracę… jeśli jesteś w stanie wytrzymać odór siarki. Możesz szukać Margi na swój sposób. Nie jestem wam nic winien, ponieważ *nie byłem przyczyną waszych trudności*. Uwierz Mi!

– Hmm… *chciałbym* ci uwierzyć.

– Może uwierzysz Katie.

– Alec, Szatan rzecze prawdę – odezwała się Katie. – To nie On zesłał na ciebie to wszystko. Kochanie, zdarzyło ci się kiedyś, że zabandażowałeś rannego psa tylko po to, by nieszczęsne zwierzę w swej ignorancji zerwało bandaż, wyrządzając sobie jeszcze większą krzywdę?

– Tak. (Mój pies Brownie. Miałem dwanaście lat. Brownie zdechł).

– Nie postępuj tak jak ten pies. Zaufaj Jerry'emu! Jeśli ma ci pomóc, musi zrobić rzeczy, których nie potrafisz pojąć. Czy pouczałbyś neurochirurga podczas zabiegu albo popędzałbyś go?

Uśmiechnąłem się ze skruszoną miną i pogłaskałem ją po ręce.

– Będę grzeczny, Katie! Postaram się.

– Tak, postaraj się! Zrób to dla Margi!

– Dobrze. Hmm… Jerry, przyznaję, że jestem tylko człowiekiem i nie potrafię zrozumieć wszystkiego, czy mógłbyś jednak powiedzieć mi *cokolwiek*?

– Powiem ci tyle, ile będę mógł. Od czego mam zacząć?

– Gdy Cię zapytałem, czy jestem Hiobem, odpowiedziałeś „I tak, i nie". Co miałeś na myśli?

– W istocie jesteś nowym Hiobem. W przypadku tamtego byłem, muszę przyznać, jednym z czarnych charakterów. Tym razem tak nie jest. Nie jestem dumny z tego, jak postąpiłem z Hiobem, ani z tego, jak często pozwalałem Memu Bratu Jahwe na wmanewrowywanie Mnie w wykonywanie za Niego brudnej roboty… poczynając od Pramatki Ewy i jeszcze wcześniej, w sposób, którego nie mogę ci wyjaśnić. Poza tym zawsze uwielbiałem się zakładać o cokolwiek… i z tej słabości również nie jestem dumny. – Jerry spojrzał w ogień i zamyślił się głęboko. – Ewa była ładniutka. Gdy tylko wpadła mi w oko, zrozumiałem, że Jahwe wysmażył

wreszcie stworzenie godne Artysty. Później dowiedziałem się, że ściągnął większą część projektu…

– *Co takiego?* Ale…

– Nie przerywaj, człowieku. Większość waszych błędów – podsycanych przez Mojego Brata – wypływa z przekonania, że wasz Bóg jest jedyny i wszechpotężny. W gruncie rzeczy Mój Brat – i Ja, rzecz prosta – jesteśmy nie więcej niż kapralami w armii Wodza Naczelnego. Muszę też dodać, że Wielka Istota, o której myślę jako o Wodzu Naczelnym, Przewodniczącym, Największej Mocy, może być jedynie szeregowcem dla jakiejś wyższej Mocy, której nie potrafię pojąć. Za każdą tajemnicą kryje się następna tajemnica i tak w nieskończoność. Nie musisz jednak znać ostatecznych odpowiedzi – jeżeli takowe istnieją – i Ja również nie. Ty chcesz wiedzieć, co przytrafiło się tobie… i Margrethe. Jahwe przyszedł do Mnie, proponując taki sam zakład, jaki zawarliśmy o Hioba. Twierdził, że ma wyznawcę, który jest nawet bardziej uparty niż Hiob. Odmówiłem Mu. Zakład o Hioba nie był zbyt zabawny. Już na długo przed jego rozstrzygnięciem zmęczyło mnie dręczenie tego biednego szmondaka. Tym razem więc powiedziałem Bratu, żeby zabrał Swe zabawki gdzie indziej. Dopiero gdy ujrzałem ciebie i Margę maszerujących wzdłuż międzystanowej czterdzieści, nagich jak młode kociaki i równie bezradnych, zdałem sobie sprawę, że Jahwe znalazł innego partnera do Swych złośliwych igraszek. Przywiozłem więc was tu i zatrzymałem prawie tydzień, aby…

– *Słucham?* Tylko jedną noc!

– To mało ważne. Wystarczająco długo, aby doprowadzić was do porządku i wysłać w dalszą drogę… zaopatrzonych w kilka wskazówek, jak sobie radzić, choć w gruncie rzeczy radziliście sobie dobrze sami. Jesteś twardym sukinsynem, Alec, tak twardym, że aż postanowiłem odnaleźć tę

sukę, której synem jesteś. To była naprawdę twarda suka i krzyżówka tej lisicy z twym słodkim, łagodnym ojcem dała stworzenie zdolne sobie poradzić. Tak więc puściłem cię. Zawiadomiono mnie, że masz tu przybyć. Moi szpiedzy są wszędzie. Połowa personelu Mojego Brata to podwójni agenci.

– Święty Piotr?

– Hę? Nie, nie Piotrek. Piotrek to równy gość. Najdoskonalszy chrześcijanin w Niebie czy na Ziemi. Wyparł się swojego Szefa trzy razy i od tego czasu usiłuje odkupić tę winę. Jest absolutnie zachwycony, że wolno mu się zwracać poufale do Swojego Pana we wszystkich Jego trzech konwencjonalnych aspektach. Lubię Piotrka. Gdyby kiedykolwiek podpadł Mojemu Bratu, ma tu zapewnioną posadę. A więc zjawiłeś się w piekle. Przypominasz sobie zaproszenie, które wystosowałem do ciebie na taki wypadek?

(„…wpadniesz do mnie, co? Obiecuję ci piekielne przyjęcie”).

– Tak!

– Czy dotrzymałem słowa? Zastanów się, zanim odpowiesz. Siostra Pat słucha.

– Nie słucha – zaprzeczyła Katie. – Pat to dama. Nie tak, jak niektórzy. Kochanie, potrafię to skrócić. Alec chce się dowiedzieć, dlaczego go prześladowano, w jaki sposób to robiono i co może teraz w tej sprawie uczynić. Mam na myśli Margę. Alec, na pierwsze pytanie łatwo odpowiedzieć. Wybrano cię z tego samego powodu, dla którego pitbula wysyła się na arenę, aby został tam rozerwany na strzępy: dlatego, że Jahwe uważał, iż możesz wygrać. Odpowiedź na drugie pytanie jest równie łatwa. Miałeś rację, gdy sądziłeś, że cierpisz na paranoję. To nie oznacza, że jesteś wariatem. Rzeczywiście istniał spisek przeciwko tobie. Ilekroć zbliżałeś się do odpowiedzi, cała karuzela zaczynała się na nowo. Ten milion dolarów.

To był drobiazg. Ta forsa istniała tylko tak długo, aby cię wprawić w zakłopotanie. Myślę, że odpowiedziałam ci na wszystko oprócz tego, co możesz uczynić. Możesz uczynić tylko jedno: zaufać Jerry'emu. Może Mu się nie udać – to jest bardzo niebezpieczne – niemniej jednak spróbuje.

Spojrzałem na Katie z rosnącym respektem i pewnym niepokojem. Wspomniała o sprawach, o których nigdy nie mówiłem Jerry'emu.

– Katie, czy ty jesteś człowiekiem czy też jakimś, hmm, upadłym tronem albo czymś w tym rodzaju?

Zachichotała.

– Pierwszy raz ktoś podejrzewa mnie o coś takiego. Jestem aż za bardzo ludzka, kochany Alecu. Poza tym nie jestem dla ciebie obca. Wiesz o mnie mnóstwo.

– Jak to?

– Zastanów się. Kwiecień roku tysiąc czterysta czterdziestego szóstego przed narodzinami Jeszui z Nazaretu.

– Powinienem rozpoznać cię tylko na tej podstawie? Niestety nie potrafię!

– Spróbujmy więc w ten sposób: dokładnie czterdzieści lat po wyjściu dzieci Izraela z Egiptu.

– Podbój Kanaanu.

– No dalej! Księga Jozuego, rozdział drugi. Podaj moje imię i zawód. Powiedz, czy byłam matką, żoną czy panną?

(Jedna z najlepiej znanych opowieści w Biblii. To *ona*? *Rozmawiam z nią?*)

– Hmm… Rachab?

– Nierządnica z Jerycha. To ja. Ukryłam szpiegów generała Jozuego w swym domu… i dzięki temu uratowałam rodziców, braci i siostry przed masakrą. Teraz powiedz, że „dobrze się trzymam".

Sybil zachichotała złowieszczo.

– No proszę, spróbuj!

– Kurczę, Katie, dobrze się trzymasz! To już ponad trzy tysiące lat, niemal trzy tysiące czterysta. Prawie nie masz zmarszczek. W każdym razie niewiele.

– Niewiele! Nie dostaniesz śniadania, młody człowieku!

– Katie, jesteś piękna i wiesz o tym. Masz pierwsze miejsce, na równi z Margrethe.

– A czy przyjrzałeś się mnie? – odezwała się Sybil. – Też mam swoich fanów. Poza tym mama ma już przeszło cztery tysiące lat. Stara wiedźma.

– Nie, Sybil. Morze Czerwone rozstąpiło się w roku tysiąc czterysta dziewięćdziesiątym pierwszym przed Chrystusem. Dodaj do tego datę zachwycenia: rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty czwarty. I jeszcze siedem lat…

– Alec?

– Tak, Jerry?

– Sybil ma rację. Po prostu tego nie zauważyłeś. Upłynęła już połowa z tysiąca lat pokoju pomiędzy Armagedonem i walką na niebie. Mój Brat, w postaci Jezusa, rządzi teraz na Ziemi, a ja jestem związany łańcuchem i wtrącony do czeluści na cały ten okres.

– Nie wyglądasz mi na związanego. Czy mógłbym dostać jeszcze trochę Jacka Daniel’sa? Nie wiem, co mam myśleć.

– Jestem związany w wystarczającym stopniu. Nie mogę „wyjść, by omamić narody z czterech narożników ziemi”. Jahwe ma ją tylko dla siebie, na ten krótki czas, jaki pozostał, nim ją zniszczy. – Jerry wzruszył ramionami. – Odmówiłem wzięcia udziału w Armagedonie. Oświadczyłem Mu, że ma pod dostatkiem własnych czarnych charakterów do tej roboty. Alec, to Mój Brat pisze scenariusze. Ja mam zawsze walczyć zaciekle, jak

drużyna Harvardu, a na koniec przegrać. To się stało nudne. On zamierzał spuścić Mi kolejny łomot na koniec tego milenium po to tylko, aby wypełnić Swe proroctwa. To ta „walka na niebie", którą przewidział w tak zwanej Apokalipsie. Nie wybieram się na nią. Powiedziałem Swoim aniołom, że mogą wystawić legię cudzoziemską, jeśli mają ochotę. Ja się wstrzymam. Jaki sens ma bitwa, której wynik przepowiedziano na tysiąc lat przed dźwiękiem gwizdka?

Mówiąc to, patrzył na mnie uważnie. Nagle przerwał.

– Co cię gryzie?

– Jerry… jeśli upłynęło pięćset lat, odkąd straciłem Margrethe, nie ma żadnej nadziei, prawda?

– Hej! Do diabła, chłopcze, czy nie powiedziałem ci, żebyś nie próbował zrozumieć rzeczy, które są poza twoim pojmowaniem? Czy podjąłbym się tego, gdyby nie było nadziei?

– Jerry, uspokoiłam Aleca… a ty go znowu zdenerwowałeś – stwierdziła Katie.

– Przepraszam.

– To nie twoja wina, Alec, Jerry powiedział to bez ogródek, ale taka jest prawda. Gdybyś działał sam, nie miałbyś żadnej szansy. Jednak przy pomocy Jerry'ego możesz ją odnaleźć. Nie ma pewności, ale istnieje szansa. Czas nie ma tu znaczenia, pięćset lat czy pięć sekund. Nie musisz tego rozumieć, ale uwierz w to, proszę.

– Zgoda, uwierzę. W przeciwnym razie bowiem nie byłoby żadnej nadziei.

– *Jest* nadzieja. Musisz być tylko cierpliwy.

– Spróbuję. Ale myślę, że już nigdy nie będziemy mieli swojego małego lokalu w Kansas.

– Czemu nie? – wtrącił Jerry.

– Po pięciu stuleciach? Nie będą już nawet umieli odróżnić lodów z gorącą polewą karmelową od kozy z sosem curry. Obyczaje się zmieniają.

– To wynajdziesz lody na nowo i zrobisz furorę! Nie bądź pesymistą, synu!

– A zjadłbyś je teraz? – spytała Sybil.

– Nie powinien ich raczej mieszać z Jackiem Daniel’sem – ostrzegł Jerry.

– Dziękuję, Sybil… ale chyba rozpłakałbym się nad nimi. Kojarzą mi się z Margą.

– Lepiej się nie roztkliwiaj. Synu, płakanie nad kieliszkiem jest wystarczająco złe, ale płakanie nad lodami jest odrażające.

– Mam dokończyć opowieści z mojej pełnej skandali młodości czy też nikt mnie nie słucha?

– Słucham cię, Katie – odrzekłem. – A więc dobiłaś interesu z Jozuem.

– Z jego szpiegami. Alec, kochanie, muszę wyjaśnić pewną sprawę każdemu, kogo miłości i szacunku pragnę… mam na myśli ciebie. Pewni ludzie, którzy wiedzą, kim jestem – a jeszcze więcej tych, którzy nie wiedzą – uważają nierządnicę Rachab za zdrajczynię. Zdrada rodaków w czasie wojny i tak dalej. Otóż…

– Nigdy tak nie uważałem, Katie. Jehowa zarządził, że Jerycho ma upaść. W związku z tym nie mogłaś temu zapobiec. Zrobiłaś to, co zrobiłaś, żeby uratować ojca, matkę i resztę dzieciaków.

– Tak, ale jest w tym coś więcej, Alec. Patriotyzm to stosunkowo nowoczesny wynalazek. W tamtych czasach w kraju Kanaan jedynym znanym rodzajem wierności, poza wiernością własnej rodzinie, była osobista wierność wobec jakiegoś wodza – zwykle zwycięskiego wojownika – który kazał się tytułować „królem”. Alec, kurwa nie odczuwa – nie odczuwała – tego typu wierności.

– Tak? Katie, mimo że studiowałem w seminarium, nie potrafię wyobrazić sobie dokładnie, jak wyglądało życie w tamtych czasach. Nadal myślę o tym, jak by to było w Kansas.

– Różnice nie są wielkie. W tamtym czasie i miejscu kurwa była albo prostytutką świątynną, albo niewolnicą, albo prowadziła interes prywatny. Sama byłam wolną kobietą. No i co z tego? Kurwy nie buntują się przeciwko władzy, nie mają takich możliwości. Przychodzi oficer królewski i chce numer za darmo, a jeszcze coś do picia. Tak samo straż obywatelska – gliny. Tak samo różni politycy. Alec, prawdę mówiąc, miałam więcej numerów darmowych niż tych za pieniądze. Często otrzymywałam też premię w postaci podbitego oka. Nie, nie czułam się związana z Jerychem. Żydzi nie byli wcale okrutniejsi, za to znacznie czystsi!

– Katie, nie znam żadnych protestantów, którzy myśleliby źle o Rachab. Długo jednak zastanawiałem się nad pewnym szczegółem w jej – twojej – historii. Twój dom mieścił się na szczycie muru?

– Tak. To nie było wygodne, bo trzeba było wnosić wodę po tych wszystkich stopniach, ale korzystne dla interesu. Poza tym czynsz był niski. No i to, że mieszkałam na szczycie muru, pozwoliło mi uratować ludzi generała Jozuego. Wyszli przez okno za pomocą powrozu. Nie oddali mi go zresztą.

– Jak wysoki był ten mur?

– Słucham? Wiesz, nie mam pojęcia. *Wysoki*.

– Dwadzieścia łokci.

– Na pewno, Jerry?

– Byłem tam. To mnie interesowało ze względów zawodowych. Pierwszy przypadek wojny psychologicznej w połączeniu z bronią dźwiękową.

– Katie, pytam cię o wysokość, ponieważ w Księdze jest napisane, że zgromadziłaś w domu całą swą rodzinę, aby przeczekać tam czas oblężenia.

– No jasne. Siedem okropnych dni. Tego wymagała moja umowa ze szpiegami Izraelitów. To były tylko dwa małe pokoje, za ciasne dla trojga dorosłych i siedmiu dzieciaków. Zabrakło nam żarcia, zabrakło wody, dzieci płakały, a ojciec ciągle narzekał. Z radością brał ode mnie pieniądze. Potrzebował ich, bo miał siedmioro dzieci. Mimo to nie podobało mu się przebywanie pod tym samym dachem, pod którym zabawiałam klientów, a już szczególnie rozgoryczony był dlatego, że musiał spać na moim łóżku, moim stanowisku pracy. Mimo to on spał na nim, a ja na podłodze.

– Więc cała twoja rodzina była w domu, gdy mury się zawaliły.

– Oczywiście. Nie odważyliśmy się wyjść, dopóki nie przyszli po nas dwaj szpiedzy. Mój dom był oznaczony powrozem z purpurowych nici zwisającym u okna.

– Katie, twój dom był na murze, na wysokości trzydziestu stóp. Biblia podaje, że mury runęły na ziemię. Czy nikomu nic się nie stało?

– Nie… – Wyglądała na zdziwioną.

– Czy dom się zawalił?

– Nie. Alec, upłynęło wiele czasu. Pamiętam dźwięk trąb i okrzyk, a potem głośny rumor, z którym runęły mury. Ale mojemu domowi nic się nie stało.

– Święty Alecu!

– Tak, Jerry?

– Jako święty powinieneś znać odpowiedź. To był cud. Gdyby Jahwe nie szafował cudami na prawo i lewo, Izraelici nigdy nie podbiliby Kanaanu. Banda obdartych włóczęgów wtargnęła do bogatego kraju o miastach otoczonych murami… i nigdy nie przegrała bitwy. Zapytaj Kananejczyków, jeśli jakiegoś znajdziesz! Mój Brat kazał ich wszystkich tracić z dużą regularnością, z wyjątkiem kilku przypadków, gdy młode i ładne dziewczęta zachowano jako niewolnice.

– Ale to była Ziemia Obiecana, Jerry, a oni byli Jego Narodem Wybranym.

– W istocie byli Narodem Wybranym. Rzecz jasna, być wybranym przez Jahwe to żaden interes. Czy znasz swoją Księgę na tyle dobrze, by wiedzieć, ile razy ich wykołował? Mój Brat to niezły numerant.

Wypiłem już za dużo Jacka Daniel’sa i przeżyłem zbyt wiele wstrząsów, lecz wypowiadane od niechcenia przez Jerry’ego bluźnierstwa rozgniewały mnie.

– Pan Bóg Jehowa jest sprawiedliwym Bogiem!

– Nigdy nie grałeś z nim w kulki. Alec, „sprawiedliwość” nie jest pojęciem używanym przez bogów. To tylko złudzenie, któremu ulegają ludzie. U samej podstawy kodeksu judeochrześcijańskiego leży niesprawiedliwość: system kozła ofiarnego. Poświęcanie kozłów ofiarnych obserwujemy w całym Starym Testamencie, a w Nowym Testamencie osiąga ono swój szczyt wraz z ideą Umęczonego Odkupiciela. Jak można osiągnąć sprawiedliwość przez zwalanie swych grzechów na kogoś innego? Niezależnie od tego, czy jest to baranek, któremu rytualnie podrzyna się gardło, czy Mesjasz przybity do krzyża, aby „umrzeć za twe grzechy”. Ktoś powinien wyjaśnić wszystkim wyznawcom Jahwe, żydom i chrześcijanom, że nie ma darmowych obiadów. Choć może zresztą są. Znalezienie się w tym katatonicznym stanie zwanym „łaską” dokładnie w momencie śmierci – lub gdy zabrzmiała trąba – gwarantuje dostanie się do nieba. Prawda? Ty dostałeś się tam w ten właśnie sposób.

– Tak jest. Miałem szczęście. Wcześniej zdążyłem zaliczyć długą listę grzechów.

– Długie i grzeszne życie, po którym następuje pięć minut doskonałej łaski, zaprowadzi cię prosto do nieba. Równie długie, porządne życie pełne dobrych uczynków, po którym nastąpi jeden przypadek wezwania imienia

Bożego nadaremnie… a potem atak serca i jesteś potępiony na wieczność. Czy na tym polega ten system?

– W istocie, jeśli odczytywać słowa Biblii dosłownie – odpowiedziałem sztywno. – Jednak ścieżki Pana są tajemnicze…

– Nie dla Mnie, koleś! Znam Go zbyt długo. To Jego świat, Jego zasady i Jego robota. Jego zasady są ścisłe i każdy może się do nich stosować, i zgarnąć nagrodę. Ale nie są one „sprawiedliwe”. Co sądzisz o tym, co zrobił z tobą i twoją Margą? To ma być sprawiedliwość?

Odetchnąłem głęboko.

– Próbuję to zrozumieć już od dnia sądu… i Jack Daniel’s mi w tym nie pomaga. Nie, nie sądzę, żebym wyraził na to zgodę.

– Ależ tak było!

– W jaki sposób?

– Mój Brat Jahwe, występując w przebraniu Jezusa, powiedział: „Kiedy się modlicie, mówcie…”. No, proszę, powiedz to.

– Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje. Przyjdź królestwo Twoje. Bądź wola Twoja…

– Stój! Właśnie w tym miejscu. „Bądź wola Twoja”. Żaden muzułmanin twierdzący, że jest „niewolnikiem Boga”, nie udzielił nigdy bardziej jednoznacznej zgody. W tej modlitwie pozwalasz Mu, żeby uczynił wszystko, co najgorsze. Doskonały masochista. To właśnie jest próba Hioba, chłopcze. Hiob był traktowany niesprawiedliwie pod każdym względem dzień po dniu przez lata. Byłem przy tym i robiłem to, a Mój drogi Brat stał obok i pozwalał mi na to. Pozwalał? Zachęcał Mnie. Był wspólnikiem, który uknuł to ze Mną, a teraz przyszła kolej na ciebie. Twój Bóg ci to zrobił. Czy Go przeklniesz? A może przypełzniesz do Niego na brzuchu jak zbity pies?

Rozdział XXVIII

„Proście, a będzie wam dane; szukajcie, a znajdziecie;
kołaczcie, a otworzą wam”.

Ewangelia według św. Mateusza 7,7

Nie musiałem odpowiadać na to kłopotliwe pytanie, gdyż przerwano nam. Całe szczęście! Myślę, że każdy ma czasami wątpliwości co do sprawiedliwości Boga. Przyznaję, że trapiły mnie one ostatnio często i byłem zmuszony przypominać sobie raz za razem, że ścieżki Boga nie są ścieżkami człowieka i nie zawsze można zrozumieć cele przyświecające Panu.

Nie mogłem jednak wyrazić tych wątpliwości wobec Odwiecznego Nieprzyjaciela Naszego Pana. Szczególnie denerwujący był fakt, że Szatan przybrał w tym momencie postać i głos mojego jedynego przyjaciela.

Dyskusje z diabłem to zawsze przerąbana sprawa.

Rozmowa została przerwana z banalnego powodu – zadzwonił telefon. Przypadek? Nie sądzę, żeby Szatan tolerował „przypadki”.

W każdym razie nie byłem zmuszony szukać odpowiedzi na pytanie, na które nie potrafiłem odpowiedzieć.

– Mam odebrać, mój drogi? – spytała Katie.

– Proszę!

W ręku Katie pojawiła się słuchawka.

– Biuro Lucyfera. Mówi Rachab. Proszę powtórzyć. Zapytam.

Spojrzała na Jerry’ego.

– Odbiorę! – Jerry obywał się bez widzialnego aparatu telefonicznego. – Słucham. Nie. Powiedziałem, że nie. Nie, do cholery! Przekaż to panu Asmodeuszowi. Przełącz następną rozmowę. – Mruknął coś o tym, że nie sposób znaleźć kompetentnych pracowników, po czym powiedział: – Słucham. Tak jest, Sir! – Dłuższą chwilę nie mówił nic, a potem oznajmił: – Natychmiast, Sir! Dziękuję Panu. – Wstał. – Wybacz Mi, Alec. Mam robotę do wykonania. Nie wiem, kiedy wrócę. Spróbuj potraktować okres oczekiwania jako wakacje… Mój dom jest twoim domem. Katie, opiekuj się nim. Sybil, zabawiaj go!

Jerry zniknął.

– Już ja go zabawię! – Sybil zerwała się i stanęła przede mną, zacierając ręce. Jej teksaski strój zniknął, a przede mną tkwiła zupełnie naga dziewczyna.

Uśmiechnęła się.

– Sybil, przestań – powiedziała cicho Katie. – Okryj się natychmiast jakąś szatą albo odeślę cię do domu!

– Nudziara. – Na Sybil pojawiło się skąpe bikini. – Mam zamiar sprawić, żeby Święty Alec zapomniał o tej duńskiej szantrapie.

– O co się założysz, kochanie? Rozmawiałam z Pat.

– Tak? No i co powiedziała?

– Margrethe umie gotować.

Sybil zrobiła zdegustowaną minę.

– Dziewczyna spędza pięćdziesiąt lat, leżąc na plecach i ucząc się intensywnie, a potem zjawia się jakaś pinda, która potrafi przyrządzić kurczaka z kluskami. To niesprawiedliwe.

Postanowiłem zmienić temat.

– Sybil, te twoje sztuczki z ubraniem są fascynujące. Czy jesteś już dyplomowaną czarownicą?

Nie odpowiedziała mi od razu, lecz spojrzała pytająco na Katie. Ta rzekła:

– Z tym już koniec, kochanie. Możesz mówić swobodnie!

– Dobra. Święty Alecu, nie jestem czarownicą. Magia to bzdura. Czy pamiętasz ten werset Biblii, który mówi, by nie pozwolić żyć czarownicy?

– Księga Wyjścia dwadzieścia dwa, siedemnaście.

– No właśnie. Starohebrajskie słowo, które przetłumaczono tu jako „czary", oznaczało pierwotnie „trucicielstwo". Sądzę, że niepozwolenie trucicielce na dalsze oddychanie jest dobrym pomysłem. Zastanawiam się jednak, ile starych kobiet, które nie miały przyjaciół, zostało spalonych lub powieszonych na skutek kiepskiego tłumaczenia.

(Czy to mogła być prawda? A co z „dosłownym słowem Bożym". Zostałem wychowany w wierze, że Biblia nim jest. Rzecz jasna, słowo „czary" występuje w języku angielskim, nie oryginalnym hebrajskim, lecz tłumacze Biblii Króla Jakuba byli natchnieni przez Boga i dlatego tę wersję Biblii – i tylko tę – można traktować dosłownie. Ale… Nie! Sybil musi się mylić. Dobry Bóg nie pozwoliłby, żeby setki, tysiące niewinnych osób zostały zamęczone na śmierć z powodu błędu w tłumaczeniu, który z łatwością mógłby poprawić).

– A więc nie poszłaś tamtej nocy na sabat. Co w takim razie robiłaś?

– Nie to, co myślisz. Israfel i ja nie jesteśmy ze sobą aż tak blisko. Jesteśmy tylko kumplami.

– Israfel? Myślałem, że on jest w niebie.

– To jego ojciec chrzestny, trębacz. Ten Israfel w ogóle nie umie grać. Prosił mnie jednak, bym ci powiedziała, jeśli będzie okazja, że

w rzeczywistości nie jest takim bęcwałem, jakiego udawał jako Roderick Lyman Culverson III.

– Miło mi to usłyszeć. Bardzo dobrze mu wychodziło granie nieznośnego gówniarza. Nie mogłem pojąć, jak córka Jerry'ego i Katie – czy też tylko Katie – może mieć tak zły gust, żeby sobie wybrać na chłopaka takiego chama. Nie mam na myśli Israfela, tylko rolę, którą grał.

– Och. Lepiej wyjaśnijmy i to. Katie, czy jesteśmy spokrewnione?

– Nie sądzę, by nawet doktor Darwin wykrył jakiekolwiek pokrewieństwo genetyczne, kochanie. Jestem jednak z ciebie tak dumna, jak byłabym z rodzonej córki.

– Dziękuję, mamo!

– Wszyscy jesteśmy spokrewnieni – sprzeciwiłem się – poprzez Pramatkę Ewę. Ponieważ Katie, ze zmarszczkami i wszystkim, narodziła się, gdy Dzieci Izraela wędrowały po pustkowiu, tylko około osiemdziesięciu „spłodził" dzieli ją od Ewy. Znając datę twoich narodzin, można za pomocą prostej arytmetyki chytrze odgadnąć, jak blisko jesteście spokrewnione.

– Och, nie! Znowu to samo, Święty Alecu. Mama Katie pochodzi od Ewy, ale ja nie. Należymy do odrębnych gatunków. Ja jestem chochlicą. Afrytką, jeśli chodzi o ścisłość. – Ponownie zgubiła ubranie i przekształciła ciało. – Widzisz?

– Poczekaj! Czy to nie ty stałaś za biurkiem w recepcji Sans Souci Sheraton tego dnia, gdy przybyłem do piekła?

– Jasne, że ja. Pochlebia mi, że zapamiętałeś mnie w moim oryginalnym kształcie. – Wróciła do ludzkiego ciała plus maleńkie bikini. – Byłam tam, ponieważ znałam cię z widzenia. Tata nie chciał, żeby coś poszło źle.

Katie wstała z miejsca.

– Chodźmy na zewnątrz. Chciałabym zażyć trochę słońca przed obiadem.

– Jestem zajęta uwodzeniem Świętego Aleca.

– Optymistka. Możesz to robić na zewnątrz.

Na zewnątrz było piękne teksaskie popołudnie. Cienie zaczynały się wydłużać.

– Katie, proszę o jasną odpowiedź. To jest Teksas czy piekło?

– Jedno i drugie.

– Cofam pytanie.

W moim głosie musiało zabrzmieć zniecierpliwienie, gdyż odwróciła się, kładąc mi rękę na piersi.

– Alec, nie kpiłam sobie… Przez stulecia Lucyfer utrzymywał swoje *pied-à-terre* tu i ówdzie na Ziemi. W każdym odgrywał rolę miejscowego obywatela. Po Armagedonie, gdy Jego Brat proklamował się królem Ziemi na okres milenium, przestał wizytować swoje włości. Jednak niektóre z tych miejsc były dla Niego jak dom, gwizdnął je więc i zabrał ze sobą. Rozumiesz?

– Chyba tak. W takim samym stopniu jak krowa rachunek różniczkowy.

– Sama też nie rozumiem całego mechanizmu. To jest na Boskim poziomie. Weź na przykład te liczne zmiany, które wycierpieliście z Margą w czasie waszego prześladowania. Jak daleko sięgały? Sądzisz, że za każdym razem obejmowały całą planetę?

Rzeczywistość zakołysała się w moim umyśle w sposób, jakiego nie doświadczyłem od chwili ostatniej z tych „zmian”.

– Katie, nie wiem tego! Byłem zbyt zajęty walką o przetrwanie. Poczekaj chwilę! Każda zmiana pokrywała cały obszar Ziemi i około jednego stulecia jej historii. Za każdym razem studiowałem historię tych światów i zapamiętałem tyle, ile zdołałem. Zmiany w kulturze też. Cały ten zestaw.

– Każda ze zmian sięgała niedaleko poza koniec twojego nosa, Alec, i nikt oprócz ciebie, was dwojga, nie zauważył żadnej zmiany. Nie

studiowałeś historii, lecz książki na jej temat. Przynajmniej w ten sposób urządziłby to Lucyfer, gdyby to on zaaranżował całą tę sprawę.

– Hmm. Katie, czy masz świadomość, ile czasu zajęłoby przerobienie, przepisanie i wydrukowanie całej encyklopedii? Z reguły sięgałem właśnie do tych źródeł.

– Alec, powiedziano ci już, że czas nigdy nie stanowi problemu przy działaniu na Boskim poziomie. Podobnie jak przestrzeń. Wytworzono wszystko, co było potrzebne, żeby cię oszukać. Ale nic więcej. Na tym polega zasada oszczędności obowiązująca w sztuce na Boskim poziomie. Co prawda sama tego nie potrafię, gdyż nie jestem na tym poziomie, ale mnóstwo razy widziałam, jak się to robi. Zdolny Artysta od kształtów i pozorów nie czyni więcej, niż potrzeba, aby osiągnąć pożądany efekt.

Rachab przysiadła na krawędzi basenu i machała nogami w wodzie.

– Chodź, usiądź przy mnie! Weź na przykład granicę Wielkiego Wybuchu. Co leży poza linią, na której przesunięcie ku czerwieni osiąga wielkość oznaczającą, że prędkość rozszerzania się wszechświata jest równa prędkości światła? Co jest dalej?

Odpowiedziałem sztywnym tonem:

– Katie, twoje hipotetyczne pytanie jest pozbawione znaczenia. Jestem w pewnym stopniu zaznajomiony z tak głupimi konceptami jak Wielki Wybuch i „rozszerzający się wszechświat”, ponieważ głoszący Ewangelię musi śledzić podobne teorie, aby móc je zwalczać. Te dwie, o których wspomniałaś, zakładają upływ niemożliwie długiego czasu. Niemożliwie, gdyż świat został stworzony około sześciu tysięcy lat temu. Mówię „około” dlatego, że dokładną datę stworzenia trudno ustalić, a także dlatego, że nie jestem pewien dzisiejszej daty. W każdym razie około sześciu tysięcy lat, a nie miliarda, jak twierdzą zwolennicy Wielkiego Wybuchu.

– Alec… wiek twojego wszechświata wynosi około dwudziestu trzech miliardów lat.

Chciałem jej odpowiedzieć, lecz zamknąłem usta. Gościowi nie wypada spierać się z gospodynią.

– I został on stworzony w roku cztery tysiące czwartym przed Chrystusem – dodała. Wpatrywała się w wodę tak długo, aż wynurzyła się z niej Sybil, opryskując nas. – Co powiesz, Alec?

– Nie zostało mi już nic do powiedzenia.

– Zwróć uwagę na to, co powiedziałam. Nie stwierdziłam, że wszechświat został stworzony dwadzieścia trzy miliardy lat temu. Powiedziałam, że tyle wynosi jego wiek. Został stworzony jako stary. Ze skamieniałościami pod ziemią i kraterami na Księżycu wskazującymi na jego ogromny wiek. Jahwe stworzył go w ten sposób, ponieważ bawiło go to. Jeden z tych uczonych powiedział: „Bóg nie gra w kości ze Swym wszechświatem”. Niestety to nieprawda. Jahwe gra w fałszywe kości za pomocą Swojego wszechświata… aby oszukać Swoje stworzenia.

– Dlaczego miałby to robić?

– Lucyfer twierdzi, że to dlatego, iż jest marnym Artystą, takim, który ciągle zmienia zdanie i usuwa to, co namalował. A ponadto jest dowcipnisiem. Ale nie mogę się na ten temat wypowiadać. To nie mój poziom. Poza tym Lucyfer jest uprzedzony do Swojego Brata. To chyba oczywiste. Nie powiedziałeś jednak nic na temat największego cudu.

– Może go nie zauważyłem.

– Nie, sądzę, że chciałeś być uprzejmy. Skąd stara kurwa może się znać na kosmogonii, teologii, eschatologii i innych trudnych słowach greckiego pochodzenia? To największy cud, nie?

– Rachab, kochanie, byłem tak zajęty liczeniem twoich zmarszczek, że nie słu…

W efekcie zostałem wepchnięty do basenu. Wypłynąłem, prychając i plując wodą. Kobiety śmiały się ze mnie. Oparłem ręce na krawędzi basenu z obu stron Katie, która najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu. Otarła się o mnie jak kotka.

– Co chciałaś powiedzieć? – zapytałem.

– Alec, umiejętność czytania i pisania jest czymś równie wspaniałym jak seks. Albo prawie tak wspaniałym. Być może nie doceniasz w pełni owego błogosławieństwa, ponieważ nauczyłeś się tego jako dziecko i od tamtego czasu robisz to bez wysiłku. Ale jako kurwa w Kanaanie prawie cztery tysiące lat temu nie umiałam czytać i pisać. Zdobywałam wiedzę poprzez słuchanie… klientów, sąsiadów, plotek na targu. W ten sposób jednak nie można nauczyć się wiele, a wtedy nawet pisarze i sędziowie byli ciemni. Byłam już martwa od prawie trzech stuleci, kiedy nauczyłam się czytać i pisać, a gdy już to zrobiłam, uczył mnie duch nierządnicy pochodzący z tego, co później stało się wielką cywilizacją kreteńską. Święty Alecu, może cię to zdziwić, ale przez całą historię kurwy uczyły się czytania i pisania na długo przed tym, zanim szanujące się kobiety wzięły się za tę niebezpieczną sztukę. Ale kiedy się już nauczyłam, bracie, na pewien czas wyparło to całkowicie z mojego życia nawet seks! – Uśmiechnęła się do mnie. – Po jakimś czasie wróciłam do zdrowszej proporcji: czytanie i seks w równych dawkach.

– Zabrakłoby mi sił do utrzymania takiej równowagi.

– Kobiety są inaczej skonstruowane. Moja edukacja rozpoczęła się na dobre po spaleniu Biblioteki Aleksandryjskiej. Jahwe jej nie chciał, więc Lucyfer zagarnął duchy tych wszystkich tysięcy kodeksów, zabrał je do piekła, zregenerował starannie… i Rachab miała piknik! Powiem ci jeszcze, że Lucyfer ma na oku Bibliotekę Watykańską, która wkrótce pójdzie do kasacji. Zamiast regenerować duchy, planuje tym razem gwizdnąć ją

w całości na chwilę przed tym, jak czas się zatrzyma, i przenieść nienaruszoną do piekła. Czy to nie będzie bomba?

– Chyba tak! Jedyną rzeczą, jakiej kiedykolwiek zazdrościłem papistom, jest ich biblioteka. Ale co to znaczy „regenerować duchy”?

– Klepnij mnie w plecy.

– Hę?

– Klepnij. Nie tak, mocniej! Nie jestem małym, kruchym motylkiem. Mocniej! O, tak! Właśnie klepnąłeś zregenerowanego ducha.

– Całkiem jak prawdziwy.

– Mam nadzieję. Zapłaciłam za usługę pierwszej klasy. To było, zanim jeszcze Lucyfer zwrócił na mnie uwagę i zrobił ze mnie ptaszka w złotej klatce – doprawdy żałosny widok! O ile wiem, gdy jesteś zbawiony i idziesz do nieba, regenerują cię za darmo, tutaj jednak kupujesz to na kredyt, a potem zapracowujesz się, aż ci dupa odpada, żeby go spłacić. Przynajmniej w ten sposób ja go spłaciłam. Święty Alecu, wiem, że ty nie umarłeś! Zregenerowane ciało jest takie samo jak to, które miałeś przed śmiercią, tylko lepsze. Żadnych chorób zakaźnych, uczuleń, zmarszczek wywołanych starością… ja ci pokażę „zmarszczki”. Nie miałam żadnych w chwili, gdy umarłam, a przynajmniej niewiele. Jak to zrobiłeś, że znowu mówię o zmarszczkach? Rozmawialiśmy o teorii względności i rozszerzającym się wszechświecie… intelektualna konwersacja pełną gębą!

Tej nocy Sybil podjęła poważną próbę dostania się do mojego łóżka, lecz Katie stanowczo sprzeciwiła się temu… po czym sama poszła ze mną do łóżka.

– Pat mówiła, żeby nie pozwolić ci spać samemu.

– Pat sądzi, że jestem chory. Nic mi nie jest.

– Nie będę się z tobą sprzeczać. Nic się nie bój, kochanie! Mama Rachab pozwoli ci spać.

Gdzieś w środku nocy obudziłem się z łkaniem i Katie była przy mnie. Pocieszyła mnie. Jestem pewien, że Pat opowiedziała jej o moich koszmarach. Uspokojony zasnąłem stosunkowo szybko.

Było to słodkie arkadyjskie interludium… mącone jedynie nieobecnością Margrethe. Jednak Katie przekonała mnie, iż ze względu na Jerry'ego (i na nią) powinienem okazać cierpliwość i nie trawić w myślach swej straty. Nie robiłem więc tego, przynajmniej nie za często, w ciągu dnia, a choć noce mogły być gorsze, nawet samotne noce nie były zbyt samotne, gdy matka Rachab pocieszała mnie po tym, jak budziłem się pozbawiony obrony. Była zawsze przy mnie… nie licząc jednej nocy, gdy musiała gdzieś się udać. Sybil przejęła wtedy straż. Katie udzieliła jej szczegółowych instrukcji, więc postępowała tak samo jak ona.

Odkryłem jedną zabawną cechę Sybil. Podczas snu wraca nieświadomie do swego naturalnego kształtu chochlicy czy afrytki. Staje się wtedy około sześciu cali niższa i ma te małe, śliczne różki, które były pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem u niej w Sans Souci.

Za dnia pływaliśmy i opalaliśmy się, jeździliśmy konno i urządzaliśmy pikniki pośród wzgórz. Tworząc tę enklawę, Jerry najwyraźniej podwędził wiele mil kwadratowych. Zanosiło się na to, że możemy wędrować tak daleko, jak chcemy, w dowolnym kierunku.

Albo może nie rozumiem, jak się robi takie rzeczy.

Wykreślcie „może". Wiem tyle o działaniach na Boskim poziomie, co kura o pieprzu.

Jerry był już nieobecny około tygodnia, gdy Rachab pojawiła się na śniadaniu z moim pamiętnikiem.

– Święty Alecu, Lucyfer przysłał instrukcję, że masz go doprowadzić do dnia dzisiejszego i prowadzić dalej na bieżąco.

– Dobrze. Czy może być pisany ręcznie? Albo, jeśli jest tu maszyna do pisania, mogę to jakoś wystukać.

– Pisz ręcznie! Ja przepiszę to na czysto. Robiłam to często dla księcia Lucyfera.

– Katie, czasami mówisz na niego „Jerry”, czasami „Lucyfer”, nigdy „Szatan”.

– Alec, on woli, by nazywać go „Lucyfer”, ale reaguje na wszystko. „Jerry” i „Katie” to były imiona wymyślone na użytek twój i Margi…

– I „Sybil” – dodała Sybil.

– I „Sybil”. Tak jest, Egret. Czy chcesz powrócić do swego imienia?

– Nie. Myślę, że to fajnie, że Alec – i Marga – nazywają nas imionami, których nikt inny nie zna.

– Chwileczkę – wtrąciłem się. – Tego dnia, gdy spotkałem was po raz pierwszy, wszyscy troje reagowaliście na te imiona, jakbyście nosili je całe życie.

– Mama i ja jesteśmy bardzo szybkie w improwizowanym dramacie – odparła Sybil-Egret. – Oni nie wiedzieli, że są czcicielami ognia, dopóki nie wtrąciłam tego do rozmowy. Sama też nie wiedziałam, że jestem czarownicą, zanim mama szepnęła mi to na uszko. Israfel też jest bystry. Miał jednak więcej czasu na zastanowienie się nad swoją rolą.

– A więc wciskaliście nam kit ze wszystkich stron! Para wiejskich matołków.

– Alec – oświadczyła Katie poważnym tonem – Lucyfer nic nie robi bez powodu. Rzadko jednak wyjaśnia swoje motywy. Jego intencje są złe tylko w stosunku do tych, którzy sami kierują się złą wolą… a ty nie jesteś jednym z nich.

Wszyscy troje opalaliśmy się nad basenem, gdy nagle wrócił Jerry. Przemówił niezwłocznie do mnie, nie zatrzymując się nawet, aby porozmawiać z Katie.

– Ubieraj się! Wyruszamy natychmiast!

Katie zerwała się i pobiegła po moje ubranie. Zostałem ubrany przez obie kobiety z prędkością strażaka odpowiadającego na alarm.

Katie wsunęła mi maszynkę do golenia do kieszeni i zapięła ją.

– Jestem gotów – oświadczyłem.

– Gdzie jego pamiętnik?

Katie ponownie pognała do budynku.

– Mam go!

Przez tę chwilę Jerry osiągnął wzrost dwunastu stóp… i zmienił się. Nadal był sobą, ale teraz zrozumiałem, dlaczego Lucyfer był znany jako najpiękniejszy z aniołów.

– Pa, pa! – zawołał. – Rachab, zadzwonię, jeśli będę mógł!

Zaczął podnosić mnie z ziemi.

– Zaczekaj! Musimy z Egret pocałować go na pożegnanie!

– Dobra. Tylko żywo!

Tak też zrobiły – dwa czysto formalne buziaki jednocześnie.

Jerry podniósł mnie jak dziecko i wzbiliśmy się pionowo w górę. Widziałem przez moment Sans Souci, Pałac i plac, po czym zasłoniły je dym i płomień bijące z czeluści. Po chwili opuściliśmy ten świat. W jaki sposób podróżowaliśmy, jak długo to trwało i dokąd dotarliśmy, nie potrafię powiedzieć. Wyglądało to jak ten niekończący się upadek do piekła, było jednak wygodniejsze dzięki ramionom Jerry’ego. Przypominało mi to, jak – gdy byłem dwu- lub trzyletnim dzieckiem – ojciec czasami brał mnie w ramiona po kolacji i nie wypuszczał, dopóki nie zasnąłem.

Wydaje mi się, że zasnąłem. Po dłuższym czasie obudziłem się z poczuciem, że Jerry ląduje. Po chwili opuścił mnie na ziemię i postawił na nogi.

Działało tu przyciąganie. Czułem swą wagę i słowo „dół” odzyskało znaczenie. Nie sądzę jednak, żebyśmy znajdowali się na planecie.

Wydawało się, że stoimy na ganku czy podmurówce jakiegoś niewiarygodnie wielkiego budynku. Nie mogłem go dostrzec, gdyż byliśmy tuż przed nim. W jakimkolwiek kierunku spoglądałem, nie było widać nic poza bezkształtnym półmrokiem.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Jerry.

– Tak. Chyba tak.

– W porządku. Posłuchaj uważnie! Za chwilę zaprowadzę cię, abyś ujrzał, nie, został ujrzany przez Istotę, która jest dla mnie i mojego brata, twojego boga Jahwe, tym, czym Jahwe jest dla ciebie. Rozumiesz?

– Hmm… może. Nie jestem pewien.

– A ma się do B tak, jak B do C. Dla tej Istoty twój pan bóg Jehowa jest odpowiednikiem dziecka budującego na plaży zamki z piasku, a potem niszczącego je w napadach dziecinnej wściekłości. Ja również jestem dla Niego dzieckiem. Spoglądam na Niego tak, jak ty na swojego potrójnego boga – ojca, syna i ducha świętego. Nie oddaję tej Istocie czci jako Bogu. Ona nie wymaga, nie oczekuje i nie pragnie takiego lizusostwa. Możliwe, że Jahwe jest jedynym bogiem, który oddaje się temu dziwacznemu nałogowi. Przynajmniej sam nie słyszałem o żadnej planecie czy innym miejscu w żadnym ze wszechświatów, gdzie oddawano by cześć bogom. Ale jestem młody i mało podróżowałem. – Przyglądał mi się uważnie. Wyglądał na zakłopotanego. – Alec, może ta analogia wyjaśni ci sprawę. Czy w młodości zabierałeś kiedyś jakieś zwierzę domowe do weterynarza?

– Tak. Nigdy mi się to nie podobało, bo one bardzo się tego bały.

– Mnie też się to nie podoba. No dobrze. A więc wiesz, jak to jest, gdy się zaprowadzi chore lub ranne zwierzę do weterynarza. Musisz czekać, aż doktor zadecyduje, czy da się je wyleczyć, czy też jedyne, co można uczynić, to skrócić męczarnie biednego stworzenia. Mam rację?

– Tak. Jerry, chcesz mi powiedzieć, że sytuacja jest niejasna. Niepewna.

– Całkowicie niepewna. Nie ma precedensów. Nigdy jeszcze człowiek nie został doprowadzony na ten poziom. Nie wiem, co On zrobi.

– W porządku. Ostrzegłeś mnie, że trzeba będzie podjąć ryzyko.

– Tak jest. Jesteś w wielkim niebezpieczeństwie. Ja też, choć myślę, że tobie grozi znacznie większe. Mogę cię jednak zapewnić o jednym, Alec: jeśli To postanowi cię unicestwić, nie dowiesz się o tym. Ono nie jest sadystycznym Bogiem.

– Więc to jest „Ono” czy „On”?

– Hmm… używaj formy „On”. Jeśli przyjmie kształt cielesny, będzie to zapewne postać ludzka. Możesz się wtedy do Niego zwracać „Panie Przewodniczący” lub „Panie Kościeju”. Traktuj Go tak, jak traktowałbyś człowieka znacznie starszego od siebie, którego darzysz wielkim szacunkiem! Nie bij pokłonów ani nie okazuj czci! Zachowuj się odważnie i mów prawdę! Jeśli będziesz musiał zginąć, zrób to z godnością.

Strażnik, który zatrzymał nas u drzwi, nie był człowiekiem. Gdy jednak przyjrzałem mu się dokładniej, stał się nim. Podobnie nieokreślony charakter miało wszystko, co widziałem w miejscu, które Jerry określał jako „Filię”.

Strażnik powiedział do mnie:

– Proszę się rozebrać. Może pan zostawić ubranie tutaj, zabierze je pan później. Co to za metalowy przedmiot?

Wytłumaczyłem mu, że to tylko maszynka do golenia.

– Do czego to służy?

– To… nóż do ścinania włosów z twarzy.

– Hoduje pan tam włosy?

Spróbowałem mu wyjaśnić, na czym polega golenie.

– Jeśli nie chce pan mieć tam włosów, dlaczego każe im pan tam rosnąć? Z konieczności czy dla zysku?

– Jerry, obawiam się, że to przekracza moje możliwości!

– Sam to załatwię.

Musiał rozmawiać ze strażnikiem, lecz nic nie słyszałem. W końcu powiedział do mnie:

– Zostaw maszynkę z ubraniem. On ma cię za wariata, ale mnie również ma za wariata, więc to bez znaczenia.

Pan Kościej może być uważany za „Ono”, dla mnie jednak wyglądał jak bliźniaczy brat doktora Simmonsa, weterynarza z Kansas, do którego prowadzałem psy i koty, a raz także żółwia – cały korowód małych zwierząt, które dzieliły ze mną dzieciństwo. Również jego gabinet wyglądał dokładnie jak gabinet doktora Simmonsa, wliczając w to biurko z zamknięciem żaluzjowym, które doktor musiał odziedziczyć po dziadku. Na półce nad biurkiem stał kalendarz Setha Thomasa, który doskonale pamiętałem.

Zdałem sobie sprawę (jako całkowicie trzeźwy i wypoczęty), że to nie doktor Simmons i że choć podobieństwo nie jest przypadkowe, nie ma na celu wprowadzenia mnie w błąd.

Przewodniczący, czymkolwiek On, Ona czy Ono jest, dotarł do mojego umysłu za pomocą pewnego rodzaju hipnozy, kreując otoczenie, w którym mógłbym się poczuć bezpiecznie. Doktor Simmons głaskał zwykle zwierzę

i przemawiał do niego, zanim przeszedł do nieprzyjemnych, nieznanych i często bolesnych czynności, które musiał wykonać.

To skutkowało. W moim wypadku też poskutkowało. Wiem, że Pan Kościej nie był starym weterynarzem z lat mojego dzieciństwa… lecz jako jego sobowtór wzbudził we mnie to samo zaufanie.

Pan Kościej spojrzał na nas, gdy weszliśmy do środka. Skinął głową Jerry’emu i przyjrzał mi się dokładnie.

– Usiądźcie!

Usiedliśmy. Pan Kościej wrócił do biurka, na którym leżał mój pamiętnik. Wziął go, ułożył równo strony i odłożył z powrotem.

– Jak się mają sprawy w twoim obwodzie, Lucyferze? Masz jakieś kłopoty?

– Nie, Sir. No, może zwykłe skargi na złą wentylację. Nic, z czym nie mógłbym sobie dać rady.

– Czy chciałbyś rządzić Ziemią w tym milenium?

– A czy mój brat nie ogłosił się jej panem?

– Jahwe w istocie tak zrobił. Ogłosił koniec czasu i zdemontował ją. Nie muszę jednak pozwolić mu na jej odbudowanie. Czy jej pragniesz? Odpowiedz Mi.

– Wolałbym raczej zacząć z zupełnie nowym materiałem, Sir.

– W twoim cechu wszyscy wolicie zaczynać od nowa, nie licząc się, rzecz jasna, z kosztami. Mógłbym cię na kilka cykli przenieść na Glaroon. Co ty na to?

Jerry nie śpieszył się z odpowiedzią.

– Muszę to zostawić osądowi Pana Przewodniczącego.

– Masz rację. Faktycznie musisz. Porozmawiamy więc o tym później. Dlaczego zainteresowałeś się jednym ze stworzeń twojego brata?

Musiałem chyba zasnąć na chwilę, widziałem bowiem szczeniaki i kocięta bawiące się na podwórzu, a niczego takiego tam nie było.

– Panie Przewodniczący – słyszałem głos Jerry'ego – wszystko niemal w stworzeniu ludzkim jest śmieszne, z wyjątkiem jego zdolności do tego, aby znosić cierpienie i ginąć z odwagą za to, co kocha i w co wierzy. Prawdziwość tej wiary czy sensowność tej miłości nie mają tu znaczenia, liczą się męstwo i odwaga. Są to cechy właściwe wyłącznie ludziom, niezależne od ich stwórcy, który nie posiada ich w najmniejszym stopniu, o czym wiem, ponieważ jest on moim bratem… a ja również ich nie posiadam. Pyta Pan, dlaczego ja i dlaczego to akurat zwierzę? Spotkałem je przy drodze, gdzie wałęsało się bezdomne – i nie zważając na własne trudności, znacznie przerastające jego siły! – ono zaś poświęciło się bohaterskiej (i bezowocnej) próbie zbawienia mojej „duszy" zgodnie z zasadami, których je nauczono. Fakt, że jego próba wynikała z błędnych przesłanek i była bezużyteczna, nie ma znaczenia. Starało się ze wszystkich sił pomóc mi, gdy uważało, że jestem w wielkim niebezpieczeństwie. Teraz, gdy ono popadło w kłopoty, winny mu jestem podjęcie analogicznej próby.

Pan Kościej opuścił okulary w dół nosa i spojrzał ponad nimi.

– Nie podałeś powodu, dla którego miałbym się wtrącać w działanie władz lokalnych.

– Sir, czy cech nie wydał prawa nakazującego Artystom dobrze traktować swe stworzenia obdarzone wolną wolą?

– Nie.

Jerry wyglądał na przestraszonego.

– Sir, najwyraźniej źle zrozumiałem swoje szkolenie.

– Sądzę, że tak. Istnieje artystyczna zasada – nie prawo – która głosi, że powinno się je traktować w sposób konsekwentny. Żądanie, by było to traktowanie dobre, eliminowałoby ten stopień swobody, dla osiągnięcia

którego wprowadzono u stworzeń wolną wolę. Gdyby nie istniała możliwość tragedii, mogłyby one równie dobrze być golemami.

– Myślę, że to rozumiem, Sir. Czy jednak Pan Przewodniczący zechciałby wyjaśnić dokładniej zasadę konsekwentnego traktowania?

– Nie ma w tym nic trudnego, Lucyferze. Aby stworzenie mogło tworzyć własną, pomniejszą sztukę, prawa, które je obowiązują, powinny być albo znane, albo też takie, żeby można je było wykryć metodą prób i błędów – tak by nie prowadziły nieodwołalnie do fatalnego końca. Krótko mówiąc, stworzenie musi być zdolne do uczenia się i korzystania ze swego doświadczenia.

– Sir, na tym dokładnie opiera się moja skarga przeciw mojemu bratu. Niech Pan przejrzy zapis leżący przed Panem. Jahwe zastawił pułapkę i zwabił to stworzenie, by stoczyło walkę, której nie mogło wygrać… a potem oznajmił, że gra jest skończona, i odebrał mu nagrodę. Choć to przypadek ekstremalny – próba na zniszczenie – jest to typowe dla sposobu, w jaki traktuje on swoje stworzenia. Jego gry są tak zaprogramowane, że stworzenia nie mogą wygrać. Od sześciu tysiącleci zbieram przegranych… a wielu z nich przybyło do piekła w katatonii ze strachu przede mną i wiecznymi męczarniami. Nie mogą uwierzyć, że ich oszukano. Moi terapeuci zamęczają się, żeby przeorientować te biedne fajtłapy. To nie należy do przyjemności.

Pan Kościej sprawiał wrażenie, jakby nie słuchał. Pochylił się na swym starym drewnianym krześle obrotowym, aż zaskrzypiało – tak, wiem, że ten odgłos pochodził z moich wspomnień – i ponownie wejrzał w mój pamiętnik. Podrapał się po siwych włoskach otaczających jego łysą pałę i wydał nieprzyjemny odgłos – na wpół gwizd, na wpół nucenie – który również pochodził z moich wspomnień o doktorze Simmonsie, lecz brzmiał całkiem jak prawdziwy.

– To stworzenie płci żeńskiej, przynęta. Czy było obdarzone wolną wolą?

– Moim zdaniem tak, Panie Przewodniczący.

(Wielkie nieba, Jerry! Nie wiesz tego?)

– Możemy więc założyć, że nasze stworzenie nie zadowoli się sobowtórem. – Ponownie zagwizdał czy zanucił przez zęby. – Musimy spojrzeć na sprawę głębiej.

Gdy przybyliśmy, gabinet Pana Kościeja wydawał się mały. Teraz było w nim kilka osób: kolejny anioł, bardzo podobny do Jerry’ego, lecz starszy i ze skrzywioną twarzą, której wyraz nie przypominał łatwo udzielającej się jowialności mojego przyjaciela, następny starszy typ w długim płaszczu, wielkim kapeluszu z szerokim rondem i przepaską na oku, na którego ramieniu siedziała wrona, i – niech go, co za bezczelność! – Sam Crumpacker, ten krętacz z Dallas.

Za Crumpackerem ustawiło się w kolejce trzech dobrze odżywionych typów, którzy wydali mi się znajomi. Byłem pewien, że już ich gdzieś widziałem.

Nagle przypomniałem sobie. Wygrałem od każdego z nich po setce (czy może po tysiącu?) w najbardziej lekkomyślnym z zakładów.

Ponownie spojrzałem na Crumpackera i rozgniewałem się jeszcze bardziej. Ten łobuz miał teraz moją twarz!

Zwróciłem się do Jerry’ego, szepcząc niespokojnie:

– Widzisz tego faceta tam? To on…

– Zamknij się!

– Ale…

– Siedź cicho i słuchaj!

– Kto wniósł skargę? – odezwał się brat Jerry’ego. – Chcecie, żebym przybrał postać Jezusa, by wam to udowodnić? Fakt, iż niektórym z nich się udaje, dowodzi, że nie jest to zbyt trudne. W tym ostatnim rzucie było ich siedem i jedna dziesiąta procent, nie licząc golemów. Za mało? A kto tak mówi?

Stary gość w czarnym kapeluszu stwierdził:

– Uważam, że każdy wynik poniżej pięćdziesięciu procent to porażka.

– Co ty powiesz! A kto tracił wpływy na moją rzecz rok po roku przez całe tysiąclecie? Co ty robisz z twoimi stworzeniami, to twój interes. Mój, co ja robię z moimi!

– Właśnie dlatego tu jestem – odparł facet w wielkim kapeluszu. – Poważnie zakłóciłeś życie jednego z moich stworzeń.

– To nie ja! – Jahwe wskazał kciukiem na faceta, który w jakiś sposób zdołał wyglądać jednocześnie jak ja i Sam Crumpacker. – To on! Mój szabesgoj! Zbyt brutalny? A czyj on jest? Powiedz mi!

Pan Kościej stuknął w mój pamiętnik i przemówił do faceta o mojej twarzy:

– Loki, w ilu miejscach tej opowieści występujesz?

– Zależy, jak liczyć, Szefie. W ośmiu lub dziewięciu, jeśli policzyć same wejścia. W całej, jeżeli wziąć pod uwagę, że spędziłem bite cztery tygodnie na rozmiękczaniu tej ryżej nauczycielki, żeby padła na plecy z wywieszonym ozorem, gdy tylko pojawi się nasz prostaczek boży.

Jerry oparł swą wielką pięść na mym lewym ramieniu.

– Tylko spokojnie!

– I Jahwe mi nie zapłacił – ciągnął Loki.

– Czemu miałem płacić? Kto wygrał?

– Oszukiwałeś! Miałem już twojego zawodnika, twojego bigota pierwszej klasy na widelcu, gdy ogłosiłeś przedwcześnie sąd ostateczny. On

tu siedzi. Zapytaj go! Zapytaj, czy wciąż przysięga na twoje imię, czy raczej cię przeklina! Zapytaj i zapłać! Muszę uiścić rachunki za amunicję!

– Oświadczam, że ta dyskusja jest nie na miejscu – rzekł Pan Kościej. – Ten gabinet to nie punkt totalizatora. Jahwe, skarga przeciwko tobie opiera się najwyraźniej głównie na zarzucie, iż traktujesz swoje stworzenia w sposób niekonsekwentny.

– Mam je całować czy jak? Nie zrobi się omletu bez stłuczenia jaj.

– Mów na temat. Przeprowadziłeś próbę na zniszczenie. Nie jest istotne, czy była ona niezbędna ze względów artystycznych. Jednak na koniec próby zabrałeś jedno ze stworzeń do nieba, pozostawiając drugie. W ten sposób ukarałeś obydwa. Dlaczego?

– Obowiązują jednakowe zasady. Nie spełniło wymagań.

– Czy to nie ty jesteś bogiem, który zabronił zawiązywać pysk młócącemu wołowi?

W następnej chwili, którą sobie przypominam, stałem na biurku Pana Kościeja, spoglądając w jego olbrzymią twarz. Myślę, że Jerry mnie tam postawił.

– Czy to ono? – zapytał Pan Kościej.

Spojrzałem w kierunku, w którym wskazywał, i o mało nie zemdlałem. Marga!

Margrethe zimna i martwa, zamknięta w bryle lodu w kształcie trumny, która zajmowała większą część biurka i zaczynała topnieć.

Pragnąłem rzucić się w tamtą stronę, lecz stwierdziłem, że nie mogę się ruszyć.

– Myślę, że to wystarczająca odpowiedź – ciągnął Pan Kościej. – Odynie, jakie jest jej przeznaczenie?

– Zginęła w walce podczas ragnaröku. Zasłużyła na cały cykl w Walhalli.

– Posłuchajcie go! – zadrwił Loki. – Ragnarök się jeszcze nie skończył. Tym razem ja wygrywam. Ta *pige* jest moja! Wszystkie duńskie dziewczyny są chętne, ale ta to prawdziwy dynamit! – Uśmiechnął się głupawo i mrugnął do mnie. – Prawda?

– Nudzisz Mnie, Loki – rzekł Przewodniczący spokojnym tonem i Loki nagle zniknął. Zniknęło nawet jego krzesło. – Odynie, czy możesz ją odstąpić na część tego cyklu?

– Na jak długo? Zasłużyła sobie na miejsce w Walhalli.

– Na czas nieokreślony. To tu stworzenie wyraziło gotowość zmywania naczyń przez „całą wieczność”, aby o nią zadbać. Można wątpić, czy zdaje sobie ono sprawę, jak długo trwa „wieczność”… jednak jego opowieść wskazuje, że podchodzi do sprawy bardzo poważnie.

– Panie Przewodniczący, moi wojownicy, którzy zginęli w honorowej walce – zarówno mężczyźni, jak i kobiety – nie są moimi niewolnikami, lecz są mi równi. Jestem dumny z tego, że jestem pierwszy wśród takich równych. Nie stawiam przeszkód… o ile ona się zgodzi.

Ogarnęła mnie radość. Nagle Jerry, stojący po drugiej stronie pokoju, szepnął mi prosto do ucha:

– Nie żyw zbyt wiele nadziei! Dla niej mogło upłynąć nawet tysiąc lat. Kobiety z czasem zapominają.

– Utkane wzorce nie zostały naruszone, prawda? – zapytał Przewodniczący.

– A kto zniszczy kopie akt? – odparł Jahwe.

– Zregenerujesz je w miarę potrzeby.

– A kto za to zapłaci?

– Ty. To kara, która nauczy cię przywiązywać wagę do konsekwencji.

– Aj-waj! Wszystkie proroctwa pospełniałem! A teraz On mi mówi, że jestem niekonsekwentny! To ma być sprawiedliwość?

– Nie. To jest Sztuka. Alexandrze. Spójrz na Mnie!

Spojrzałem na Jego olbrzymią twarz. Jej oczy przykuły mnie do miejsca. Stawały się coraz większe i większe. Runąłem naprzód i wpadłem prosto w nie.

Rozdział XXIX

„Nie ma pamięci o tych, co dawniej żyli,
ani też o tych, co będą kiedyś żyli,
nie będzie wspomnienia u tych,
co będą potem”.

Księga Koheleta 1,11

W tym tygodniu Margrethe i ja, przy pomocy naszej córki Gerdy, robimy w naszym domu i zakładzie prawdziwe skandynawskie sprzątanie, ponieważ Farnsworthowie – nasi przyjaciele z Teksasu, nasi w ogóle najlepsi przyjaciele – przyjeżdżają w odwiedziny. Dla Margi i dla mnie wizyta Jerry’ego i Katie jest jak połączone Boże Narodzenie i Czwarty Lipca. Podobnie dla dzieciaków. Sybil Farnsworth jest w wieku Ingi i dziewczęta przyjaźnią się.

Ta okazja będzie szczególna, gdyż przyjedzie z nimi Patricia Marymount. Pat jest naszą przyjaciółką niemal równie długo jak Farnsworthowie oraz najmilszą osobą na świecie. To nauczycielka i stara panna, ale nie jest w najmniejszym stopniu zdziwaczała.

Dzięki Farnsworthom odwróciła się nam karta. Marga i ja spędzaliśmy w Meksyku miesiąc miodowy, gdy nadeszło trzęsienie ziemi, które zniszczyło Mazatlán. Nic nam się nie stało, ale przeżyliśmy ciężki okres. Straciliśmy paszporty, pieniądze i czeki podróżne. W połowie drogi do domu spotkaliśmy Farnsworthów i to wszystko odmieniło. Skończyły się nasze kłopoty. Wróciliśmy co prawda do Kansas bez niczego, jeśli nie

liczyć mojej maszynki do golenia. (Pamiątka o dużej wartości sentymentalnej. Marga dała mi ją podczas miesiąca miodowego. Używam jej do dziś).

Gdy już dotarliśmy do mego ojczystego stanu, znaleźliśmy rodzinny lokal, jakiego pragnęliśmy – mały bar w miasteczku uniwersyteckim Eden, na południowy wschód od Wichity. Był on własnością państwa A.S. Modeus, którzy pragnęli przejść na emeryturę. Zaczęliśmy jako pracownicy, a po niecałym miesiącu staliśmy się dzierżawcami. Następnie udałem się do banku i zadłużyłem po uszy, co uczyniło nas prawnymi właścicielami lokalu U MARGI. LODY Z GORĄCĄ POLEWĄ KARMELOWĄ. Jest tam dyspenser napojów gazowanych, są hot dogi, hamburgery i niebiańskie duńskie kanapki Margi.

Margrethe chciała nazwać lokal U Margi i Aleca, lecz sprzeciwiłem się temu. To nie brzmi dobrze. Poza tym to ona spotyka się z klientelą i jest naszą najlepszą reklamą. Ja pracuję na zapleczu, gdzie mnie nie widać – pomywacz, portier, tragarz i tym podobne. Margrethe odpowiada za front, z pomocą Astrid. I moją. Każde z nas potrafi ugotować lub przyrządzić wszystko, co znajduje się w menu, nawet duńskie kanapki. Niemniej przy tych ostatnich kierujemy się kolorowymi zdjęciami zrobionymi przez Margę oraz spisem składników. Ze względu na dobro naszych klientów tylko Marga może być nowatorska.

Nasze firmowe danie – lody z gorącą polewą karmelową – jest w ciągłej sprzedaży. Udało mi się utrzymać cenę zaledwie dziesięciu centów, choć daje to jedynie półtora centa zysku brutto. Każdy klient, który ma akurat urodziny, otrzymuje porcję za darmo, a poza tym śpiewamy na jego cześć *Happy Birthday* z głośnym waleniem w bęben i obdarzamy go pocałunkiem. Chłopcy z college’u cenią pocałunki Margrethe wyżej niż darmowe lody. To zrozumiałe, jednak papa Graham radzi sobie nie

najgorzej z uczennicami. (Nie wymuszam pocałunków na „urodzinowych dziewczynach”).

Nasz lokal cieszył się powodzeniem od pierwszego dnia. Lokalizacja jest dobra – na skrzyżowaniu Elm Street i Old Main. Duże obroty zawdzięczaliśmy niskim cenom i magicznym zdolnościom kucharskim Margrethe… jak również jej urodzie i urzekającej osobowości. Nie sprzedajemy kalorii. Sprzedajemy szczęście. Na każdy talerz Margrethe dokłada obfitą porcję szczęścia, którego posiada w nadmiarze.

Na domiar wszystkiego ja pilnowałem kasy, więc nie mogło się nam nie powieść. Czynię to bardzo starannie. Gdy zdarza się, że koszt składników zabija zysk, który mamy na lodach, cena idzie w górę. Pan Belial, prezes naszego banku, twierdzi, że kraj wszedł w długi, spokojny okres stałej prosperity. Mam nadzieję, że się nie myli, tymczasem jednak czuwam nad naszym zyskiem.

W mieście doszło do prawdziwego boomu w handlu nieruchomościami – dzięki Farnsworthom oraz zmianie klimatu. Do tej pory typowy bogaty Teksańczyk miał letni dom w Colorado Springs, ale teraz, gdy nie możemy już smażyć jajek na chodnikach, zaczęli dostrzegać uroki Kansas. Mówią, że to zmiana w Jetstreamie. (A może to Golfsztrom? Nigdy nie byłem mocny w nauce). Tak czy inaczej, nasze lata są teraz balsamiczne, a zimy łagodne. Wielu znajomych i wspólników Jerry’ego kupuje grunty w Eden i stawia tu swoje letnie domy. Pan Asmodeusz, który prowadzi niektóre interesy Jerry’ego, mieszka tu przez okrągły rok. Ponadto doktor Adramelech, kierownik Eden College, sprawił, że wybrano go do rady nadzorczej oraz przyznano doktorat honoris causa. Wiem dlaczego – sam niegdyś zajmowałem się zbiórką pieniędzy.

Witamy ich wszystkich serdecznie, nie tylko ze względu na ich pieniądze… nie chciałbym jednak, żeby Eden stało się tak zatłoczone jak

Dallas.

Nie jest to zresztą możliwe. To idylliczne miasteczko. Naszym jedynym „przemysłem” jest college. Jeden kościół obsługuje wszystkie sekty – Kościół Boskiego Orgazmu. Szkółka sabatowa o 9.30, nabożeństwo o 11, zaraz potem piknik i orgia. Nie jesteśmy zwolennikami zmuszania dzieci do praktyk religijnych, lecz faktem jest, że młodzi lubią nasz kościół – dzięki naszemu pastorowi, wielebnemu doktorowi M.O. Lochowi. Malcolm jest chyba prezbiterianinem. Wciąż zachowuje szkocki akcent. Nie ma w nim jednak nic z surowego Szkota i dzieciaki go uwielbiają. To on prowadzi hulanki i kieruje rytuałami. Nasza córka Elise rozpoczęła u jego boku nowicjat striptizerski. Mówi, że ma powołanie. (Guzik. Wyjdzie za mąż, gdy tylko skończy szkołę średnią. Mógłbym nawet powiedzieć za kogo – choć nie rozumiem, co ona w nim widzi). Margrethe pełni służbę przy ołtarzu. Sam chodzę z tacą podczas sabatu i jestem członkiem rady finansowej. Nigdy nie wystąpiłem z Bractwa Apokalipsy, ale muszę przyznać, że odczytaliśmy Pismo błędnie. Koniec tysiąclecia przyszedł i minął, a głosu nie usłyszano. Człowiek, który czuje się szczęśliwy, nie leży po nocach bezsennie, zamartwiając się o życie pozagrobowe.

Czym jest sukces? Moi koledzy z Rolla Tech mogliby uważać, że poprzestałem na zbyt małym jako właściciel – na spółkę z bankiem – maleńkiej restauracji w nieznanym miasteczku. Mam jednak to, czego pragnąłem. Nie chciałbym zostać świętym w niebie, gdyby Margrethe nie było przy mnie. Nie bałbym się udać do piekła, gdyby ona tam była. Co prawda nie wierzę w piekło ani też nigdy nie miałem szansy na zostanie świętym w niebie.

Samuel Clemens powiedział: „Gdziekolwiek była ona, tam był raj”. Omar ujął to tak: „I ty – i śpiew twój przy mnie na pustkowiu, a rajem dla mnie ta pusta kraina”*. Browning użył nazwy *Summum Bonum*. Wszyscy

głosili tę samą wielką prawdę, która dla mnie brzmi: Niebo jest tam, gdzie Margrethe.

* Przełożył Edward Raczyński.

Nowa seria klasycznych powieści science fiction

WEHIKUŁ CZASU

Jednym z niezrealizowanych marzeń ludzkości są podróże w czasie. Nasza nowa seria w pewnym stopniu spełnia to marzenie: publikowane w niej powieści umożliwiają czytelnikom wyprawy w przyszłość – do opisanych przez autorów futurystycznych światów, w przeszłość – w historię literatury fantastycznej, a także – części z nich – sentymentalne podróże do czasów młodości, gdy po raz pierwszy sięgali po te książki.

Seria obejmuje tylko najbardziej znaczące, nagradzane, uznane i lubiane tytuły szeroko rozumianej literatury fantastycznonaukowej. Mamy nadzieję, że stanie się drogowskazem dla tych wszystkich, którzy kochają dobrą, ważną i znaczącą literaturę SF.

To seria, którą po prostu trzeba mieć!

W serii „Wehikuł czasu” ukazały się:

Daniel Keyes

KWIATY DLA ALGERNONA

Arthur C. Clarke

KONIEC DZIECIŃSTWA

Roger Zelazny

ALEJA POTĘPIENIA

Robert A. Heinlein

HIOB. KOMEDIA SPRAWIEDLIWOŚCI

W przygotowaniu:

Brian Aldiss

NON STOP

CIEPLARNIA

Spis treści

Hiob

Komedia sprawiedliwości

Dedykacja
* * *

Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X
Rozdział XI
Rozdział XII
Rozdział XIII
Rozdział XIV
Rozdział XV
Rozdział XVI
Rozdział XVII

Rozdział XVIII
Rozdział XIX
Rozdział XX
Rozdział XXI
Rozdział XXII
Rozdział XXIII
Rozdział XXIV
Rozdział XXV
Rozdział XXVI
Rozdział XXVII
Rozdział XXVIII
Rozdział XXIX

Seria „Wehikuł czasu”

Spis treści

Strona redakcyjna

Tytuł oryginału: *Job: A Comedy of Justice*

Copyright © 1984 by Robert A. Heinlein
All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2018

Informacja o zabezpieczeniach:
W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation
(https://fedorahosted.org/liberation-fonts/)

Redaktor serii: Sławomir Folkman

Redaktor tego wydania: Błażej Kemnitz

Projekt i opracowanie graficzne serii i okładki: Sławomir Folkman

Ilustracja na okładce: Igor Morski

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Hiob. Komedia sprawiedliwości, wyd. II poprawione, Poznań 2019)

ISBN 978-83-8062-685-0

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

e-Book: Sławomir Folkman / www.kaladan.pl